PRZEWODNIK

NAUKOWY I LITERACKI

DODATEK MIESIĘCZNY DO „GAZETY LWOWSKIEJ“

Rocznik XXXVII. — 1909.

Odpowiedzialny redaktor: Adam Krechowiecki.

L W Ó W.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „GAZETY LWOWSKIEJ“

1909.

SPIS RZECZY.

zawartych w trzydziestym siódmym roczniku 1909.

I. Historya. Archeologia i Szkolnictwo.

II. Literatura, Muzyka i Sztuka.

III. Prawo i nauki społeczne.

IV. Kronika literacka, Listy.

Dodatek do „Gazety Lwowskiej“.

PRZEWODNIK

NAUKOWY I LITERACKI

Rok XXXVII.

Tom XXXVII — Zeszyt I. Styczeń — 1909.

Odpowiedzialny redaktor: Adam Krechowiecki.

WE LWOWIE.
Nakładem wydawnictwa „Gazety Lwowskiej“.
Z drukarni Wł. Łozińskiego.
(Zarządca J. Niedopad).
1909.

Treść zeszytu.

PRZEWODNIK NAUKOWY I LITERACKI

Samuel ze Skrzypny Twardowski

i jego poezya na tle współczesnem.

Życiorys.

Pan Samuel Twardowski wierzył w Horacego, jak w wyrocznię. Jeszcze na ławie szkolnej przyszedł do przekonania, że aurea mediocritas w urządzeniu prywatnego życia jest bezsprzecznie ideałem. Inna rzecz, gdy ktoś mając górne ambicye polityczne, pragnie buławy lub marszałkowskiej laski, albo też jest wielkim altruistą i chciałby w koło siać złotem, żeby rozjaśniać zasmucone czoła i łzy ocierać; inna rzecz, gdy ktoś do zaspokojenia żądzeń serca, głowy czy dumy czuje gwałtowną potrzebę pieniędzy. Ale pan Twardowski zgoła odmienne miał zamiary i służąc przejściowo tylko lub długo nawet różnym magnatom potężnym, przecież właściwie jednemu władcy pozostał wiernym przez całe życie. Tym władcą był Apollo.

Wiedział jednak pan Samuel, że trzeba koniecznie zapewnić sobie spokojny byt i strząsnąć z czoła rodzącą często pospolitość myśli i łamiącą energię duchową troskę o chleb codzienny, bo dopiero wówczas będzie można wyłącznie pełnić służby boskiemu Panu Muz dziewięciu. Jakoż od młodzieńczego wieku marzył o jakiej wioszczynie, w której gospodarowałby sam sobie i używając złotej mierności nie potrzebował się oglądać na cudzą pomoc. Ale los nie miał dla niego łask wiele. Nie dał mu dziedziczye

po rodzicach i — jak podówczas przyzwyczaił się z uboższą szlachtą postępować — pchnął go w służbę wielkich panów. Przeniósł wszystkie trudy i wszystkie przykrości pan Samuel, bo ciągle przyświecała mu nadzieja niezależnej doli. Zdawało się czas jakiś, że cel osiągnięty. Wzięte dzierżawą Zarubieńce gotów był trzymać do śmierci i dziękować Bogu za spełnienie marzeń. Kozacki najazd wypłoszył go jednak stamtąd, długoletnie wojny zamięszawszy całą Polskę i jemu odebrały spokój. Dopiero pod koniec życia osiadł w Zalesiu we wielkopolskiej ziemi i znowu przypomniawszy Horacyański ideał, starał się urzeczywistnić go w stosunku do siebie.

Tym razem Fortuna nie minęła gościnnie otwartych wrót szlacheckiego dworku i zatoczywszy szeroki łuk na wywrotnem kole, strząsnęła z rogu obfitości w sam raz tyle, ile trzeba było, żeby odpędzić precz przykrości i mierny zapewnić żywot. Błogosławił pan Samuel boską siejbę szczęścia, błogosławił rożek Amaltei, który niejednokrotnie wspominał w swych wierszach, jakby w jego istnienie rzeczywiście wierzył, błogosławił sprzyjaźliwy los i używał jego darów, wesół, że skołataną nawę swego życia wprowadził do bezpiecznego portu.

Jakoż kiedy w Zalesiu wstaje letnią porą wczas rano mimo podeszłego wieku, wówczas radością przepełnia się jego serce. Poprzedniego dnia do snu kołysał go świergot ptactwa, teraz zbudziło rozgłośne ćwierkanie. Poprzez otwarte okno idzie silny zapach lipowego kwiecia i wpada hukanie pastuchów, pędzących bydło na paszę. Rychło przyniesie powiew wiatru z odleglejszych pól przyciszony dźwięk ostrzonej kosy, albo poryk krów, zresztą zapadnie cisza. Jeno bez przerwy zostanie szum drzew, szelest opadających liści, zmięszany gwar skrzydlatych mieszkańców sadu i wśród kąpieli promieni słonecznych cała natura będzie grała dziwnym chórem. Wówczas w duszy pana Samuela zagrają wspomnienia. Wypadki polityczne wplatały się w bieg jego żywota i porywały go razem w wir i zawieruchę. Oto już trzeci król zasiada na tronie, a żaden z nich nie zdołał zapewnić ojczyźnie dłuższego spokoju. Przeszły ponad północną i wschodnią ścianą chmury wojen moskiewskich, przeszły zawikłane sprawy wypraw Dymitrowych, przesunęła się jak krwawe widmo na południu klęska Cecorska i głęboko w pamięć wrył się bój pod Chocimem;

przeleciała groźba wojen szwedzkich, sztandary polskie załopotały aż w Moskwie, potem przerwa, niedoszłe nadzieje ligi antitureckiej i wiekopomnej wyprawy krzyżowej, w końcu prawie nieprzerwanym ciągiem potop sił kozackich, tatarskich, szwedzkich, moskiewskich, Rakoczego: Pan Samuel śledził zawsze za biegiem wypadków. On jeden, jedyny ze wszystkich współczesnych poetów, trzymał dłoń zawsze na pulsie czasu i nigdy jej nie odrywał. Podczas kiedy inni tylko przygodnie nastrajali lutnię, żeby uderzyć w pobudkę bojową, w hymn zwycięstwa lub w lament rozpaczy nad klęską, on nie wypuszczał z ręki epickiego bardonu i wszystkie prawie wyśpiewał wypadki. Ciosy Rzpltej przejmował w swoje serce, nad nieszczęściami płakał, z powodzeń radował się z zapałem, nieprzyjaciół ojczyzny nienawidził, bohaterów narodowych uwielbiał i w swej prostaczej duszy wierzył święcie, że Bóg opieką specyalną otoczył Polskę. Chwałę oręża polskiego, wiekopomne czyny poświęcenia i zwycięstw, swój ból z powodu klęsk starał się uwiecznić i przekazać potomności. A jak bacznie śledził bieg spraw publicznych, tak również zastanawiał się nad wewnętrznemi stosunkami Rzpltej i nie wahał się satyrą schłostać niesznoości i bezprawia. Jeno o jednej rzeczy mówić nie mógł: o hańbie. Jeżeli postawiwszy sobie za cel prawdę, musiał napomknąć o sromotnych porażkach, to zbywał je krótko, pobieżnie, ze wszystkich bólów o jednym myśleć nawet trudno mu było, on pędził mu krew wstydu do oczu, ból hańby.

Pan Samuel otrząsa się z przykrych wspomnień i poczyna modlić. Modlitwy trwają długo. Jest jedna do św. Anny, do której bractwa należy, są inne za pomyślność ojczyzny i szczęśliwy koniec wojen szwedzkich, które oto przewlekają się bez miary. Właśnie tego samego dnia ma przyjechać starszy syn pana Samuela, Zygmunt, i przywieść garść nowin. Oby były pomyślne! Pan Samuel stary już jest, czuje bliską śmierć, a tak ogromnie chciałby jeszcze zakończyć swoją długą wierszowaną historyę wojen ostatnich lat kilkunastu i zejść do grobu z tem przeświadczeniem, że ojczyznę opuszcza wolną od postronnej i domowej wojny, w pokoju, który ożywi spustoszony kraj, powróci radość i szczęście. Chwilami opada nawet p. Samuela zwątpienie, czy aby dożyje tej błogiej chwili. Wówczas ogarnia go smutek i chciwie czeka wieści, któreby nowej dodały mu otuchy. Syn przyrzekł przyjechać z nowinami. Trzeba uzbroić się w cierpliwość i czekać. Dla rozrywki nie może już iść na polowanie p. Samuel, bo mu ręka i oko nie dopisują. Dawniej było inaczej. W młodości na

dworze księcia Zbarazkiego, który sam był zawołanym myśliwym. najmilszą zabawą w czas pokoju było właśnie polowanie. Teraz zostały jeno przyjemne wspomnienia. To też p. Samuel, odmówiwszy modlitwy, czemprędzej od strzelb, wiszących na jelenich rogach nad łóżkiem, odwraca oczy, żeby nie zatęsknić za młodością, i podchodzi do okna. W sadzie nad trawnikami unoszą się pszczoły, które przez całe swoje życie p. Samuel troskliwie hodował. Idzie silna woń kwiatów. słychać ciche brzęczenie, w dali widnieją żółte ule, słońce oblewa wszystko ciepłymi promieniami. Po za plecami p. Samuela słychać skrzypnięcie drzwi, to jego żona, pani Elżbieta przynosi dzban miodu i mały kusztyczek. Pan Samuel wspomina na nieskończone dzieło. odrywa oczy od ślicznego widoku i idzie w kąt izby. gdzie stoi duża skrzynia. Kiedy się wieko podniesie, ciekawość zobaczy same tylko papiery i książki. Są tam drukowane dzieła historyczne współczesnych, są różne relacye przez życzliwych panu Samuelowi przysłane. są jego własne notatki, są przez niego spisywane opowiadania, jakie słyszał z ust sąsiadów wracających z wojny, są długie i szczegółowe listy od daleko zamieszkałych znajomych, jest cały materyał potrzebny do historycznego dzieła. Pan Samuel wybiera starannie niektóre rzeczy, a potem zasiada do stołu, czyta, przegląda, porównywa, wreszcie odsuwa rozłożone papiery i zamyśla się. Na rękach opiera głowę białą. jak szczyty Karpat, w których niegdyś. kiedy tworzył „Satyra“, wyobraźnia siedzibę sobie obrać musiał. W myśli przebiegają mu rozmaite obrazy, wspomina Lukanową Pharsalię, tłoczą się przeróżne porównania i rzymskie wzory, w końcu podnosi głowę siwą z nad rąk i poczyna pisać.

Z pod pióra płyną łatwo wiersze, równe, jednostajne, nieco monotonne:

„Skoro wzięta Warszawa dziewiątey niedziele
Oblężenia swoiego. stworzyło się wiele
Nowych wnetże nierządów: a znowu się zdało,
Iakoby to, co dotąd chwalebnie się stało,
W ni wco poszło...“

Tego pana Samuela żywot opowiedzieć zamierzyłem.

Był szlachcic polski głęboko przekonany o dziedziczności. Nie stawiał szerokich teoryi, nie splatał statystycznych tabliczek. nie dowodził słuszności swego mniemania, ale wiarę silną miał. Cała natura mówiła do niego: masz racyę, — więc tylko streszczał krótko a dobitnie wedle ulubionego zwyczaju w przysłowiowych wyrażeniach swoje przekonanie. Wiedział, że „rodem kurki czubate“ idą, powtarzał często, że „niedaleko pada jabłko od jabłoni“. Ale czasem. kiedy się zamyślił nad Liviusowemi dziejami, albo kiedy wertował Tacytowe roczniki, wówczas sięgał głębiej i widział jasno. jak wiekowa kultura umysłowa i moralna podnosi całe społeczeństwa, a równocześnie wieloletnia ignorancya kopie wytrwale pod innemi równię pochyłą, po której stoczyć się muszą, lub jeśli jeszcze wcale się nie rozwinęły, zakuwa w mrok i upośledzenie. Zaczem rosła w sercu szlachcica polskiego duma. Nie robił on dokładnego rachunku sumienia, nie zdawał sobie dostatecznie sprawy ze słuszności swego społecznego położenia, ani nie uświadamiał sobie grzechów, jakie wobec młodszej braci popełniał. Niewątpliwie. Ale tego wszystkiego zrobić nie mógł. Na jasność jego sądu rzucały cień uprzedzenia, a ówczesnemi wyobrażeniami droga do prawdziwego rozwiązania kwestyi zatamowaną była. To też nie wszystko w rachubę wciągając, sądził szlachcic, że w pełni zasług zajmuje wyższe stanowisko społeczne i posuwa się naprzód w kulturalnym rozwoju. Oto wiarę przodków chowa święcie, ojczyźnie krwi nie szczędzi, ponad inne warstwy narodu wzniósł się umysłowo i moralnie, a za to używa przywilejów w państwie, którem sam rządzi, które sam utrzymuje i w którem sam prawa stanowi i sam przywileje nadaje. Szlachecki klejnot za zasługi przodków nadany symbolem jest i rękojmią tej jego wyższości. Niechaj sława ojca na syny spada. jak ojcowską hańbę syn za sobą wlecze. Niech wiadome wszystkim będą genealogiczne drzewa, bo też niedaleko jabłko od jabłoni pada. Może się duma zrodzić tam, gdzie jest głębokie przeświadczenie, że przodków klejnot nieskalany był nigdy. a własną pracą blasków mu jeszcze przysporzono.

Jakoż pan Samuel dumnym był ze swego szlacheckiego klejnotu. w dziedziczność wierzył i wyprowadzał genealogiczne drzewa tych ludzi, których opiewał. Słuszną byłoby rzeczą. gdybyśmy wzamian podobnem mu wypłacili.

Dzisiaj jednak jest to wręcz niemożliwością. Odmawiają nam pomocy najważniejsi w tych razach sprzymierzeńcy i Paprocki i Niesiecki i Okolski. Volumina legum skąpo przyrzucają wiadomości o Twardowskich, a nie pozwalają odtworzyć właściwych między nimi węzłów pokrewieństwa. Trzeba się zadowolić tem, co jest, a jest niewiele.

Przybył w r. 1247 Piotr Ogończyk do Kujaw i stał się protoplastą rodu Ogonczyków. Gniazdem rodu była Skrzypna, leżąca nad Lutynią w powiecie pleszewskim w dzisiejszem wielkiem księstwie poznańskiem. Ród nosił miano Skrzypieńskich, gałęź jedna, która się do Twardowa przeniosła, Twardowskich nazwisko przybrała. Z tych w XVI. w. Jan, kanonik poznański, do Rzymu jeździł, a Wawrzyniec koło 1550 r. Barbarę z Kowalskich za żonę pojął. We wieku XVII. więcej imion i lepiej ich godności przechowała pamięci historya. Jest więc Andrzej, żupnik bydgoski, potem podsędek ziemski, komisarz w sprawie granic Ślązka, Polski i brandenburskiego elektora w 1642 r., komisarz do wypłaty żołdu w tymże roku, poseł na sejm w 1646 r., gdzie popiera bardzo energicznie szlachtę wielkopolską przeciw królowi, jest na konwokacyi w r. 1648, wreszcie deputatem na trybunał radomski w 1650 r. i znów posłem kaliskiego województwa w 1653 r. Jest Wojciech, podstarości grodzki malborski, który przedaje dobra Grzymały w województwie malborskiem w 1638 r. Jest dalej Zygmunt, surrogator grodzki poznański w 1650 r. i sekretarz Władysława IV., który razem z wyż wymienionym Andrzejem był komisarzem granicznym i do wypłaty żołdu. Jest dalej Aleksander, burgrabia poznański. Jest Krzysztof, który wspólnie z Aleksandrem i Mikołajem ma udział w komisyi do spraw ze Ślązkiem w 1649, który potem deputatem na trybunał radomski w 1655, potem pisarzem grodzkim poznańskim, posłem z kaliskiego i podwojewodzim generalnym konfederacyi z 1668. Jest w końcu Maciej,[1]) pisarz grodzki kaliski i deputat na trybunał radomski

---

[1]) Tego Macieja zrobiono ojcem poety Samuela. Jabłonowski w „Museum polonum“ (1752, str. 257) opierając się na Niesieckim, który powiada: „Maciej, pisarz... synowie jego Zygmunt i Jan. Samuel, w wierszu ojczystym bardzo gładki“, a przeoczywszy kropkę między Janem i Samuelem, robi z nich jedną i tę samą osobę. Święcki potem powiada wręcz, że Samuel był synem Macieja i Zofii Rejówney. Sobieszczański (w Enc. Orgel. t. 25) powtarza to, ale zamiast Macieja kładzie Mikołaja. Otóż Chlebowski dosadnie dowiódł, że to niemożliwe. Ów Maciej bowiem w 1694 r. musiałby mieć minimalnie 115 lat,

w 1694 r., żonaty z Zofią, córką Mikołaja Reja, ojciec dwóch synów Zygmunta i Jana.

Nie byli więc Twardowscy karmazynami, choć starożytnym był ich ród, bo nie dzierżyli górnych urzędów, ani nie zasiadali w senacie. Ale drobniejsze godności spływały na nich nie rzadko, a w XVII. w. cieszą się niejednokrotnie znacznym mirem w swoich ziemiach, skoro oddawano na nich głosy po sejmikach, a w sejmach delegatami do komisyi naznaczano. Niestety jednak nie znamy zupełnie węzłów pokrewieństwa, jakie łączyły ich ze Samuelem, nie znamy najważniejszych imion jego ojca i matki.

Nie wiemy nawet, gdzie i kiedy się urodził.

Jest w dzisiejszem księstwie Poznańskiem rzeka Lutynia, która ma swoje źródło pod wsią Lgota w krotoszyńskim powiecie, a we wrzesińskim uchodzi do Warty. Leży nad nią i Skrzypna (dziś Skrzypno) i Twardów.

Że nad Lutynią urodził się p. Samuel, to prawie żadnej nie ulega wątpliwości. Sam przecież w jednej z przeróbek ód Horacyańskich powiada:

„Ale mię więtszym uczyni
Woda przezroczysta oyczystey Lutyni.“

Dalej jednak wiodą nas tylko przypuszczenia. Pisał się wprawdzie ze Skrzypny, ale prawie wszyscy Twardowscy w XVII. w. robili to samo. Powiada wprawdzie Kochowski w elegii na jego śmierć:

„Równie, jak Partenope z Maronem się pieści.[1])
Tak Skrzypna sławna będzie z pism twych i powieści.“

---

a to wiek dobrze za sędziwy, żeby godność deputata piastować. Zresztą i owa Zofia Rejowna (lecz nie poety córka), której brat starszy Władysław, umarł w 1676 r., jako wojewoda lubelski, musiała się urodzić koło 1630 r. Nie mogliby więc ani ów Maciej, ani owa Zofia być rodzicami poety.

[1]) Kochowskiego „Fraszki“, wyd. Turowskiego, str. 36.

Ale Wergili nie urodził się w Neapolu, więc niekoniecznie musi to być zestawienie miejsc rodzinnych obu poetów.[1])

Jeżeli jednak w istocie sądzi ktoś, że kwestya to paląca, a jeśli nie pierwszorzędnej, to w każdym razie drugorzędnej wagi, niechaj weźmie kij do ręki i przemierzy brzegi Lutyni. Długość jej niewielka. Mil siedm. Jeśli się nie popaliły księgi metryczne okolicznych probostw, jeśli sądzi, że się skórka opłaci za wyprawkę, niechaj podejmie trud, a wówczas za jednym zachodem rozwiąże i drugą wątpliwość, kiedy przyszedł na świat p. Samuel.

Ogółem wziąwszy, wszyscy prawie zgodzili się, że około 1600 r. Na dowód służy wnioskowanie. Skoro w r. 1616 i 1617 bierze Twardowski przypuszczalnie udział w wojnie moskiewskiej, skoro w r. 1622 napewno towarzyszy księciu Zbarazkiemu w poselstwie do Turcyi, skoro przedtem żadnej daty z jego życia nie mamy, skoro umiera w r. 1660, przeto musiał się urodzić koło r. 1600. Jeden Thieberger[2]) radby przesunąć tę datę na rok mniej więcej 1595, lub nawet dalej. Oto jakżeż przypuścić, żeby Twardowski, który w „Wojnie domowej“ skarży się w r. 1658 na wiek podeszły i choroby, mógł być w pięćdziesiątym ósmym roku życia już zgrzybiałym starcem, tem bardziej, że młodość wśród natury, wśród wojskowego życia, hartującego zdrowie, przepędził. Oto jakże przypuścić, żeby Twardowski, który w r. 1616 i 17 przebywa chrzest wojenny, mógł jako tak młody wyrostek iść na bój. Ale zapomina p. Thieberger, że długie przebywanie w obozach często, bardzo często właśnie na odwrót siły wycieńcza, zdrowie szarpie i szczepi w organizm choroby, które wysysają życie; że szlacheckie wyrostki były chłopami na schwał i pięść miewały ciężką i już się zaprawiały w pewnych ćwiczeniach żołnierskich. Ale nie potrafi w końcu udowodnić p. Thieberger, że Tardowski rzeczywiście brał udział w owej wyprawie moskiewskiej, bo opiera się tylko na mało mówiących wzmiankach z pism Twardowskiego.[3]) Dla tego można pozostać przy 1600 roku.

---

[2]) Thieberger: „S. v. S. Twardowski“. (Breslau 1898) suponuje, że jest.

[2]) „S. v. S. Twardowski“, j. w. str. 6.

[3]) „Władysław IV.“ str. 49. „Miscellanea selecta“ str. 7.

Chodził Twardowski wedle wszelkiego prawdopodobieństwa do szkół jezuickich. Były to bowiem podówczas obok kolonii akademii krakowskiej prawie jedyne szkoły średnie w Polsce. Zresztą Twardowski miał zawsze Jezuitów we wielkiem zachowaniu, a co ważniejsza w jednem miejscu „Wojny domowej“ [1]) wstawia słowa pozwalające wprost wnosić, że w ich kaliskiem kollegium nauki pobierał. Czy kształcił się jeszcze gdzie-indziej? Trudno orzec. [2]) To pewna, że album krakowskiego uniwersytetu nie zawiera jego nazwiska.

Bardzo zły był stan ówczesnych nauk. [3]) Łaciński język górował ponad wszystkiem, jego gramatyka zamęczała uczniów, rzymska literatura wzięła w swe ręce naczelne berło, rugując prawie zupełnie nawet arcydzieła greckie. Szli więc w plan nauk dziejopisarze, jak Tacyt i Livius, wspierali ich poeci i Wergili i Ovidius i Horacy, stawali obok mowcy, jak Cycero. Największy nacisk położono na retorykę i poetykę, a w obu przedmiotach celem była praktyczność, wcale źle zrozumiana. Czytano rzymskich pisarzy gorliwie, rozbierano pod względem gramatycznym, czytano powtórnie, czytano po raz trzeci, uczono się całych ustępów na pamięć, ażeby wbić w pamięć przeróżne wyrażenia, zwroty i poetyczne obrazy. Tą drogą uskładał się w młodzieńczej głowie wcale dostatni zapas i kiedy kogo zaskoczyła potrzeba palnięcia mówki lub kropnięcia okolicznościowego wierszyka, szedł do dobrze zaopatrzonej spiżarni, jak w dym, i świecił w oczy pożyczanym blaskiem. Do tego zaprawiano już w szkołach. Były zadania pisemne na temat mów i inne, które klecono wierszem. Wiersz był chropawy, robiony na zamówienie w całem znaczeniu tego słowa, był bez cienia śladu natchnienia, złożony z obcych myśli i z obcych ozdób poetyckich, ale nic to, skoro jako tako odpowiadał t. zw. regułom i przepisom. Psuł się skutkiem tego ogólny smak i gwałtem wdzierały się we wszelką prozę cytaty łacińskie,

---

[1]) „Wojna Domowa“, cz. II. str. 207.

[2]) Thieberger (j. w.) przypuszcza, że tak. Może w Poznaniu, bo lubi to miasto i zna je dobrze. W dowód: „Pałac Leszczyńskich“. („Miscellanea selecta“, str. 100—101).

[3]) Ówczesne kaliskie kollegium Jezuitów w latach koło 1615 t. zn., kiedy tam był prawdopodobnie Twardowski, znajdowało się w nieładzie i szczupłe miało fundusze. (Chlebowski o Twardowskim, Tyg. illustr. r. 1872).

nawet pojedyncze słowa, a wszelką poezyę zalewał potop klasycznych reminiscencyi.

Taką też być miała poezya i proza[1]) pana Samuela. Nauki wiele nie miał. Wprawdzie Kuszewicz, który był doktorem krakowskiej akademii, nazywa go we wstępie do łacińskiej przeróbki „Przeważnej Legacyi“: „Vir eruditione et nobilitate insignis“, ale to ściśle na współczesną miarę brać należy. Co prawda Twardowski nie poprzestał na szkolnych wiadomościach i kształcił się potem sam. Z licznych miejsc w jego pismach, zwłaszcza w „Legacyi“, widać, że czytywał dużo i poważnie. Znał historyę starożytną i nowszą, znał klasyków rzymskich ze złotego i srebrnego okresu, znał Homerową Illiadę,[2]) znał naprzykład starszego Pliniusza wielkie encyklopedyczne dzieło w 37 tomach p. t. „Historia naturalis“, znał Biblię znał polską historyę bardzo dobrze i literaturę polską, a z niej w pierwszym rzędzie Kochanowskich Jana i Piotra i po łacinie piszącego Sarbiewskiego. Znał może także i język włoski.

Nie godzi się twierdzić, że pod względem umysłowego wykształcenia Twardowski nie wznosił się ponad ówczesną przeciętność.

Możliwą jest rzeczą, że Twardowski brał udział w wyprawie moskiewskiej pod wodzą królewicza Władysława w roku 1616 i 1617.[3]) Możliwą również jest rzeczą, że przebył chocimskie oblężenie w 1621 r.[4]) Ale pozostają te dwie kwestye w sferze przypuszczeń, gdyż opierają się na wzmiankach, które nas skłaniają do dygresyi, dającej świadectwo o naszym na podobne wzmianki poglądzie.

---

[1]) Proza dochowała się tylko w nielicznych przedmowach. Jest pełna t. zw. makaronizmów.

[2]) „Wojna domowa“, cz. I. str. 54.

[3]) Thieberger wnosi to na podstawie „Władysława IV.“ str. 49 i „Miscell. selec.“ str. 7.

[4]) Również Thieberger na podstawie „Władysława IV.“ str. 108. 110 i 142.

We „Wojnie domowej“ i w „Władysławie IV-tym“ używa Twardowski często pierwszej osoby liczby mnogiej. Suponować z tego możnaby, że sam w tych wypadkach magna pars fuit. Ale tylko można, nie trzeba. Kiedy na przykład z zapałem narodowej dumy wspomnę, że n a s i pobili krzyżaków pod Grunwaldem, albo że o d n i e ś l i ś m y wiekopomne zwycięstwo pod Wiedniem, nie znaczy to wcale, jakobym ja sam we własnej osobie szczerbił miecz na teutońskich zbrojach, a potem w 273 lat karabelą rąbał łby tureckie. Podobnie rzecz z Twardowskim.

Mówi on na stronie 7 „Wojny domowej“: „Wiadomości nie mając i języka o nim (Stanisławie Potockim), z a s z l i ś m y tak głęboko“. To znaczy hetman wielki koronny Potocki, który ze sobą miał tylko wojsko kwarciane, 5.000 kozaków regestrowych, a „z ochoczych nikt nie przybył prawie“. Trudno doprawdy przypuścić mimo owego „zaszliśmy“, że Twardowski, który ani w kwarcie nie służył, ani w kozakach, właśnie był jednym z tych niewielu ochoczych. Wyprawa Potockiego skończyła się straszną klęską korsuńską, w której gardło dało całe niemal rycerstwo, a wodzowie dostali się w łyka. Gardła Twardowski nie dał, to pewna. Ale gdyby wpadł w niewolę, lub gdyby był uciekł (jak uciekła garść), to z pewnością nie przemilczałby szczęśliwego ocalenia. Nie mógł go też powstrzymać wzgląd wstydu, bo przebił się i uciekł sam Kalinowski i niktby mu tego za hańbę w tym wypadku nie poczytał.

Podobnymi wywodami mógłbym sypać jak z rękawa. Przedewszystkiem trzebaby inaczej, jak ja, rozumując, przypuścić, że Twardowski bił się prawie we wszystkich wojnach i mnostwie potyczek, które opisuje. Ale jeden przykład wystarczy. Skoro raz współudział Twardowskiego jest zupełnie podejrzany, należy przyjąć, że wogóle takie wzmianki z pierwszą osobą liczby mnogiej są za mgliste i że nie należy z nich snuć stanowczych konkluzyi. Piszemy to, ażeby położyć raz na zawsze tamę lekkomyślnym supozycyom, skoro chcą przybrać pozory pewności.

Również rozstrzygającym dowodem współudziału Twardowskiego w czemś nie jest szczegółowość w opisach. Szczegóły brał Twardowski ze współczesnych dzieł drukowanych i rękopiśmiennych, które krążyły gęsto, a o które pewnie troskliwie się starał. Brał je dalej z opowiadań i z relacyi, które skrzętnie spisywał.

„Dawniej na dwory pańskie jechał szlachcic młody“.

Było to celem zaokrąglenia wiadomości, w szkole i w domu rodzinnym nabytych z jednej strony, a z drugiej był to początek karyery. Zaprawiał się szlachcic do wojennego rzemiosła, w pokojach pańskich rozmowom starszych się przysłuchiwał i powoli przychodził do rozumienia spraw politycznych, poznawał w całej rozciągłości swoje przywileje i swoje obowiązki dla ojczyzny. Nabierał przytem umiejętności obcowania z ludźmi, uczył się obyczajów, wchodził w życie. Przytem wyrabiał sobie stosunki i nieraz protekcyą pańską wspomożony, wysokie osiągnąć zdołał stanowisko.

Twardowski dostał się na dwór księcia Krzysztofa Zbarazkiego.

Ten książę Krzysztof, syn znakomitego Janusza i Anny z Czetwertyńskich, był wówczas koniuszym koronnym i panem olbrzymiej fortuny. Wraz ze starszym bratem Jerzym uczył się za młodu sztuki wojennej w Niederlandach, a obdarzony wielkiemi zdolnościami słynął jako wódz, wytrawny polityk i miodopłynny mówca. Dla ojczyzny nie szczędził nigdy zdrowia, sił ni majątku, to też przy ogromnych zasobach mógł kłaść niespożyte zasługi. W czas wojny wiódł do obozu własnym kosztem utrzymywane chorągwie i bił się mężnie, a przy układach i pokojowych negocyacyach jego dar wymowy, ścisłość rozumowania i zręczność dyalektyczna okazywały się w całej pełni. W czas pokoju miał dwór huczny i ogromny. Spokrewniony z wszystkimi pierwszymi domami w Polsce, nie zaniedbywał rozległych stosunków, miał niejednokrotnie znaczne wpływy na politykę państwa, opiekował się olbrzymiemi dobrami, które zaludniał i podnosił, przytem zabawami nie gardził i urządzał sławne polowania. Jakoż wiele mógł skorzystać na jego dworze Twardowski i wiele użyć przyjemności. A rychło nadarzyła się sposobność, żeby zwiedzić szmat ziemi, zażyć rzadkich przygód, doznać wyjątkowych wrażeń i zdobyć materyał do wielkiego epicznego poematu.

Kiedy bowiem wysłańcy z polskiego obozu pod Chocimem. [1]) Stanisław Żórawiński, kasztelan bełzki, i Jakób Sobieski, ułożyli rozejm, na mocy którego wojsko tureckie zdjęło oblężenie i wróciło do domowych pieleszy, wówczas powstała kwestya, kogoby wyprawić do Stambułu celem wypełnienia warunków chocimskiego traktatu i zawarcia pełnego pokoju. Troska króla i senatu szukała długo. Trzeba było, żeby poseł łączył w sobie zdolności polityka z roztropną odwagą. Prawa narodów nie szanowała zbyt Turcya i można było z poselstwa więcej nie wrócić. Misya była ważna; traktat wcale niekorzystny dobrzeby nieco ułożyć lepiej. Do zyskania aprobacyi sułtana i wezyrowej potrzebna wymowa gładka i znajomość stosunków. W końcu skarb wycieńczony jak zwykle, nie mógł dać wiele pieniędzy, ledwie zdołał zdobyć się na niezbędne podarunki, które rozejmem były warowane. Oko króla i senatu zatrzymało się na Zbarazkim, który posiadał wszystkie potrzebne warunki. Zbarazki zgodził się chętnie i począł przygotowywać się do drogi. Ale wyruszenie odwlekało się bardzo. Dopiero, kiedy wreszcie przyszły z Warszawy długo napróżno wyczekiwane podarunki i to nie wszystkie, wówczas Zbarazki resztę własnym sumptem opatrzywszy, dnia 10. września 1622 r. (więc prawie w rok po rozprawie chocimskiej) opuścił Końskowolę i jechał na Kamieniec podolski z licznym orszakiem, a wystawnie i z takiemi bogactwami, że zadziwił świat cały. W orszaku tym znajdował się także i Samuel Twardowski.

Zajmował miejsce prywatnego sekretarza księcia. Sam mówi wyraźnie, [2]) że był towarzyszem posła, „służąc mu od listów". Przesadzono dawniej w jedną stronę i zrobiono z niego sekretarza całego poselstwa, którym rzeczywiście był Urzędowski; potem Chlebowski [3]) przeholował w drugą stronę i zadecydował, że nie był wcale sekretarzem. Za Chlebowskim poszedł Thieberger.

---

[1]) Na sejm złożony po klęsce cecorskiej, a przed wyprawą chocimską udali się obaj Zbarazcy. Możnaby wnosić, z „X. Wiśniowieckiego Janusza", że Twardowski pojechał razem z nimi.

[2]) „Przeważna Legacya" wyd. z 1706 r. str. 4.

[3]) „Tygod. ilustr." 1872.

Tymczasem Twardowski pilnie służył księciu, do którego bardzo się przywiązał, jako przyboczny pisarz i utrzymywał dyaryusz tej bardzo ciekawej wyprawy.

Droga, jaką ciągnął orszak poselski, szła poprzez malownicze kraje, wśród stepów i lasów i gór. Pieściła oko bujna natura, coraz nowe roztaczały się widoki, każdy dzień przynosił drobne przygody, czy to przy przeprawie brodem przez rzeki i strumyki, czy to przy rozbijaniu namiotów pod noc, czy też przy wjazdach do miast i drobnych miasteczek. Pochód odbywał się wielkim ładem, a ostrożność nie pozwalała czujności spocząć. Tatarskie zagony mogły lada chwila spaść, jak grom, kupy zbójeckie, włóczące się po okolicy, mogły zwłaszcza nocą urządzić nagły napad, zwabione wiezionemi bogactwami. W Rumelii znowu wypadło iść spiesznie, bo grasowała tam zaraza. Poselstwo po dłuższym marszu przez Jassy, Bukareszt, Adryanopol, stanęło wreszcie w Stambule. Tutaj dopiero prawdziwie spiętrzyły się trudności w taki sposób, że nadzieję wypleniło zwątpienie prawie doszczętnie, bo życiu posła i wszystkich jego towarzyszy groziła śmierć. Wezyr Dżiurdżi,[1]) niechętny księciu, domagał się uporczywie haraczu, straszył zerwaniem rokowań, na audyencyach rzucał uszczypliwe, czasem wprost obelżywe słowa. Nie wiele pomagało pośrednictwo obcych posłów; kosztowne podarunki nie zrobiły także swego. Aż przyszła chwila, kiedy na wielkiej radzie tureckiej rzucona wątpliwość, czy Zbarazki jest posłem i króla, czy tylko Rzpltej, radziła osadzić we wieży księcia, a wojsko, któremu wezyr obiecywał zapłacić zaległy żołd, gdy Polacy haracz złożą, niemal nie uderzyło zbrojnie na kwatery poselskie. Książę przeniósł wszystko, wezyrowi odpowiadał z godnością i dumą, nieraz dzielnie mu przyciął, starannie nastrajał przychylnie dla siebie stronnictwo wrogie Dżiurdżiemu, o swej powadze nie zapomniał nigdy, honor Polski utrzymał wysoko, a widząc, że z Dżiurdżim do ładu dojść nie może, poparł Husseina, który w istocie opanował wezyrat. Wtedy pokój zawarto co rychlej. Książę na domiar zasługi, korzystając z tego, że Turcy zagubili gdzieś swój odpis chocimskich traktatów, pozmieniał na korzyść Polski wiele punktów. Poczem,

---

[1]) Gjurgi.

ponieważ zachodziła obawa powtórnego powrotu Dziurdziego do władzy, szybko ruszył w drogę i na Wielkanoc 1623 r. stanął w Końskowoli.

Z materyału, jaki Twardowski nagromadził w dyaryuszu, powstać miał opis tej poselskiej wyprawy, p. t. „Przeważna Legacya Krzysztofa Zbarazkiego... od Zygmunta III. do sołtana Mustafy...“

Książę z rodzinnych dóbr niedługo udał się na sejm do Warszawy, gdzie złożył relacyę z poselstwa, darował ojczyźnie wszystkie ogromne koszta, jakie poniósł, a otrzymawszy publiczne podziękowanie, wrócił do Końskowoli. W r. 1626, przy wybuchu szwedzkiej wojny, pospieszył mimo choroby na sejm toruński, ale rychło siły opadły go zupełnie, a śmierć zabrała w marcu 1627 r. w Końskowoli.

Twardowski prawdopodobnie ruszył po powrocie z Turcyi w rodzinne strony. Krewnych chciał przywitać pewnie, może i panią swego serca obaczyć, za którą tęsknił,[1]) znajomym dawnym uścisnąć ręce i podzielić się wrażeniami z podróży. A tych miał wiele, jak i wiele nowych wiadomości o zwyczajach tureckich, o obrządkach religijnych, o sposobie życia, o szkołach i urzędach, słowem o wszystkiem, co w Konstantynopolu widział. Starał się zaś skwapliwie, żeby zobaczyć jak najwięcej i cały czas wolny poświęcał na zwiedzanie miasta i okolic. Więc jeśli w ojczyste strony powrócił, niewątpliwie wszędzie miłym i rzadkim był gościem.

Następuje teraz ciemna przerwa w życiu Twardowskiego, którą różni różnie zapełnić usiłują. Zawsze w takiej próżni biega

„domysłów tysiące
Jako po deszczu żabki na samotnej łące.“

---

[2]) „Przeważna Legacya“ str. 142.

Chlebowski i Czechowski [1]) sądzą, że Twardowski nie brał udziału w podróży królewicza Władysława po Europie, która miała miejsce w r. 1624 i 25, Chodynicki [2]) i Thieberger, że brał. Chlebowski myli się wprawdzie, kiedy na dowód przytacza: jakżeż mógł Twardowski po powrocie z Turcyi w kwietniu, już w maju jechać w nową podróż? Nie. Rok cały minął, a nie miesiąc pomiędzy tem. Ale z drugiej strony nie wspomina o Twardowskim ani Kobierzycki w „Historia Vladislai principis", chociaż wymienia wszystkie osoby towarzyszące królewiczowi, ani Jagodyński nic o nim nie mówi, ani sam Twardowski się nie chwali, bo wzmianka ze str. 144 „Władysława IV.", niczego nie dowodzi. Nie przemawiają także za współudziałem racye Thiebergera. Prawda, że Twardowskiego opis podróży, zawarty w trzecim punkcie „Władysława IV.", jest obszerniejszy od opisu samego królewicza, a zgadzający się z nim zupełnie, prawda, że szczegółowość jest bardzo wielka. Ale czcze to słowo, że Twardowski podałby źródło obce, gdyby z takiego był czerpał, jak to robił w „Legacyi"; owszem przeciwnie, bo wogóle we „Władysławie IV." i we „Wojnie domowej" nie podaje już źródeł. Ale nieprawda, że nie ma bardziej drobiazgowego opisu: otóż jest Stefana Paca, [3]) pisarza i referendarza litewskiego: „Dyaryusz Podróży", a Pac był rzeczywiście towarzyszem królewicza. Ów „Dyaryusz" pewnie był właśnie materyałem dla p. Samuela. Zaznaczam jeszcze jedno. Współcześnie podróżował po Europie książę Janusz Wiśniowiecki. Tego podróż równie dokładnie jest opisana przez Twardowskiego. [4]) Czy nie z tym może wyjechał w świat? Wiśniowiecki był siostrzeńcem Zbarazkiego Krzysztofa. Protekcya gotowa, związek logiczny łatwy.

Zdaje się jednak, że Twardowski po prostu siedział gdzieś na wsi, pewnie wspomagany dalej pieniężnie przez księcia Krzy-

---

[1]) „S. v. S. Twardowski: „Wojna domowa". (Posen 1894).

[2]) „Dykcyonarz uczonych Polaków". Lwów 1833.

[3]) Pac Stefan: „Obraz dworów europejskich na początku XVII. w." przedstawiony w „Dzienniku podróży królewicza Władysława, syna Zygmunta III... w roku 1524 i 1625". Wydał z rękop. J. K. Plebański. Wrocław 1854, stron 171.

[4]) „Książe Wiśniowiecki Janusz". Leszno 1646.

sztofa, a po śmierci tego protektora w 1627 r. przez jego brata Jerzego. I byłby wesół prowadził sielankowe życie, jedną ręką gospodarząc, drugą kartki ód Horacyańskich przerzucając, gdyby nie klęski wojen szwedzkich w 1626 r., potem ustawiczne ulewy i powodzie w 27 r., potem zwykle takich nieszczęść śladem chodzący głód w r. 28. a za nim pomór bydła i morowe powietrze w 1629 r. Wesołość zwiać musiał z jego czoła podobny dopust Boży, a echo jego ówczesnych cierpień zadzwoniło później we wierszu „Pod elekcyę szczęśliwą Władysława IV.". Na domiar złego uczuł się w kłopotliwem położeniu nie sam, ale z żoną. Bardzo możliwe bowiem, że w tym czasie ożenił się z Elżbietą Obornicką, herbu Gaj. Tej ojciec mieszkał w Poznaniu. gdzie w roku 1617 był podstarościm. Trudno zaś przypuścić, że ożenek p. Samuela przypada na lata 1642—44, t. j. po powrocie z Ukrainy, (jak chce Chlebowski), bo wówczas Twardowski był już więcej niż w sile wieku, zresztą syn jego starszy, Zygmunt,[1] dzierżawi[2]) w r. 1660 Targoszyce. a przedtem już i gdzie-indziej dzierżawił: miałby więc według tej hipotezy w r. 1660 ledwie około 16 lat.

W roku 1631 dnia 30. lipca umiera bezżennie książę Jerzy Zbarazki w Krakowie. Jako brat Krzysztofa objął on był w dziedzictwie i protekcyę nad p. Samuelem, a że z opieki wywiązywał się szczodrze, świadczy sama muza Twardowskiego. Lecz z jego śmiercią przerwała się na jakiś czas pomoc możnego domu, zanim pochwycili ją w ręce swoje Wiśniowieccy. Pan Samuel przybity klęskami poprzednich lat znalazł się w nielada przykrem położeniu, więc porzuciwszy wesoły ton lutni Horacyańskiej, (bo w czas ów pewnie przypadały, jak słusznie wnosi Thieberger[3]) jego parafrazy ód), począł oglądać się w koło za protektorem i uderzać panegiryczną nutę. Tu Muza jego, jakby zagniewana nieco, nie raczyła wyobraźni szeptać natchnionych słów, więc pochlebne wiersze przybrały cechy wymuszone, choć ton miały nie zawsze suchy i bezbarwny.

[1]) Umarł w r. 1674.
[2]) Według Łukaszewicza.
[3]) J. w. str. 13 i nast.

Najpierw z pod pióra wyszła „Oda winszująca“, na cześć późniejszego prymasa Macieja Łubieńskiego z powodu jego wjazdu [1]) na włocławskie biskupstwo dnia 5. października 1631 r. Potem aż do pamięci samego króla zapukać miały dobrze napisane trzy wierszyki: „Pod elekcyą szczęśliwą Władysława IV.“ z roku 1632. Dalej dla Stanisława Łubieńskiego, biskupa płockiego, w pochwałach nie przesadna i wcale ładna „Oda winszująca“.

DR. STANISŁAW TUROWSKI.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) W czem Twardowski brał może udział jako widz.

Z życia domowego szlachty sandeckiej w epoce Wazów.

PRZEDMOWA.

W epoce panowania Zygmunta III. jednym z pierwszorzędnych kupców w Nowym Sączu był bezsprzecznie Jerzy Tymowski (1607—1631).[1] Prowadził on handel na większą skalę, nie tylko z miastami polskiemi: Krakowem, Nowem Miastem Korczynem, Międzyrzeczem, Lublinem, Sandomierzem, Warszawą, Toruniem i Gdańskiem, lecz także z miastami węgierskiemi: Bardyowem, Lewoczą, Lubowlą, Kezmarkiem, Koszycami, Podolińcem i Preszowem. W jego składach można było dostać miedzi, żelaza, stali, ołowiu, prochu ruszniczego, sierpów, klinek: hakownic i szyszaków, które sprowadzał z Węgier, a odstawiał nawet do Gdańska: tureckiej skóry safianowej, szyb okrągłych i kwadratowych —

[1] Urodzony w Grybowie 1559 „nobilis oriundus de Grybow", pod koniec XVI. wieku osiadł w Nowym Sączu i przyjął obywatelstwo miejskie. Był tamże rajcą 1606—1628, † 1631 r. W rynku nowosandeckim przechowała się długa, sklepiona sień, a w niej nad drzwiami wykuty w kamieniu dwuwierszowy napis, samemi wielkiemi literami: „Nosce te ipsum Anno Dom. 1608. G. T. Nobilitas est sola virtus". Jest to pamiątka po kupcu Jerzym Tymowskim, który podobnie, jak swą księgę sklepową, przeplatał nieraz pobożnemi westchnieniami, tak też i odrzwia swego mieszkania przyozdobił znamiennym napisem.

greckiej małmazyi i win węgierskich — różnokolorowych gatunków sukna, jak baja, breklest, falendysz, karazya, kir, pakłak, uterfin; sukno icińskie,[1]) meszyńskie,[2]) wittemberskie,[3]) morawskie, kłockie,[4]) śląskie, żmigrodzkie i brzeskie.

A obok tych poważnych artykułów handlowych, było podostatkiem u niego rozmaitych korzeni, jak anyżek, bobek, cukier, cynamon, cytwar,[5]) dyptan,[6]) fiołkowy korzeń, goździki, gałgan,[7]) imbier, limonia,[8]) migdały, oliwa, kwiat muszkatowy,[9]) pieprz, ryż, rodzynki, ser wołoski, szafran, stokłoska, tatarskie ziele, wreszcie ryby lwowskie,[10]) śliwki suszone, śledzie i sól.

Tymowski, jako rozumny i przezorny kupiec, pragnąc wzorowo prowadzić interesa swoje, sprawił osobną księgę,[11]) czyli dyaryusz kupiecki, i wszystko w najdrobniejszych szczegółach wpisywał do niego. Nieraz i dłużnikom swoim pozwalał podpisywać się własnoręcznie w owej księdze kupieckiej, z czego ciekawe i charakterystyczne powstały notatki. Te jego oryginalne, nieraz z prawdziwym humorem kreślone zapiski, rzucają niemało światła na ówczesny przemysł i handel Nowego Sącza. Można z nich powziąć jasne wyobrażenie o prywatnem życiu kupca, jego gorliwej katolickiej wierze, wykształceniu i zapatrywaniach, wychowaniu dzieci, a wreszcie jak się dorabiał majątku, i jak się czuł wogóle w ojczyźnie swojej.

---

[1]) Z Iczyna w Czechach.
[2]) Z Miśnii (Meissen) w Saksonii.
[3]) Z Wittembergu w Prusiech.
[4]) Z Kłodzka (Glatz) na Śląsku.
[5]) Roślina używana w aptekach, zapachu kamforowego.
[6]) Ziele ogrodowe, używane do lekarstw.
[7]) Ziele aptekarskie.
[8]) Owoc drzewa należącego do gatunku cytrynowego.
[9]) Owoc drzewa z Indyi Wschodnich, wielki jak orzech, zapachu wdzięcznego.
[10]) Wyzina i szczuki, czyli szczupaki.
[11]) Jest to 2-tomowa księga in folio, oprawiona w skórę, w archiwum miejskiem Nowego Sącza. Na okładzinach obydwóch tomów są wyciśnięte postaci 4 Ewangelistów, 4 Ojców Kościoła: Augustyna, Ambrożego, Grzegorza i Hieronima: i inne jeszcze postaci humanistów w medalionach po bokach dokoła. Cały dyaryusz przedstawia się dziś, jako ogromny makularz. Wszystkie bowiem zapłacone pobrania sklepowe, przemazywał Tymowski starannie atramentem. Natomiast niezapłacone, są dotąd nie wykreślone.

Ważniejsze ustępy z tego dyaryusza, o ile dotyczą handlu z miastami polskiemi i węgierskiemi, podałem szczegółowo na innem miejscu. [1]) Ale to przedmiot jeszcze niewyczerpany do dna. Owe zapiski Tymowskiego są zarazem cennym dokumentem do poznania życia domowego szlachty sandeckiej w pierwszej połowie XVII. wieku, która częstokroć borgowała u kupca różne towary, lub w braku dostatecznego z swej strony kredytu, zastawiała kosztowności swoje, złote i srebrne, a nawet szable w srebro oprawne i inne jeszcze rzeczy. A przecież była to epoka, kiedy jeszcze Polska wogóle mówiąc, podobnie jak za Jagiellonów, przedstawiała kwitnący stan dobrobytu, rozwój przemysłu i handlu.

Z tych rozrzuconych, drobiazgowych odłamków, można sobie utworzyć w myśli pewien całokształt i przyjść do przekonania, że dawna rycerska szlachta niezawsze chodziła drogą usłaną kwieciem i kobiercami, lecz nieraz walczyć musiała z mnogiemi trudnościami w pielgrzymce ziemskiej. Miała swoje pogodne i posępne dni życia. Obok charakterów czystych, jak łza, nie zabrakło pomiędzy nią także burzliwych, które nie przynosiły chluby rodzinnemu gniazdu. Rzecz ta cała, zestawiona w ośmiu rozdziałach, a oparta na źródłach archiwalnych, może pouczyć i zająć umysł miłośnika przeszłości niejednym epizodem, w jakie obfitował awanturniczy wiek XVII. W celu uzupełnienia tego obrazu domowego życia, dołączyłem kilka rozdziałów, które już nie na dyaryuszu kupieckim, ale na innych opierają się źródłach. Zaznaczam także na tem miejscu, że do rozdziału VI. i VIII. zaplątały się niektóre zapiski, które właściwie do rozdziału III. odnieść należało. Chęć jednak zachowania w całości i nierozrywania wątku opowiadania o niektórych osobistościach, przeważyła w tej mierze nad innymi względami. W każdym razie zebrane tu okruszyny tworzą pewną, obyczajową mozaikę z dziejowej naszej przeszłości, a zarazem kulturalny przyczynek do Historyi Nowego Sącza, wydanej poprzednio.

---

[1]) Zob. Analekta Sandeckie do XVI. i XVII. w. Lwów 1905.

ROZDZIAŁ I.

Urządzenie mieszkań. — Ubiory męskie i niewieście. — Tryb codziennego życia. — Stan oświaty.

Wystawniejszego urządzenia mieszkań u szlachty, osiadłej po dworach na wsi w Sandeckiem, naprożnobyś szukał w pierwszej połowie XVII. wieku. Do wyjątków należał jedynie zamek Lubomirskich w Nawojowej,[1]) zbudowany wykwintnie i urządzony po wielkopańsku. Z dwudziestu przeszło inwentarzy, jakie miałem pod ręką, można sobie odtworzyć wcale dokładny obraz tego sielskiego, pełnego prostoty, szlacheckiego mieszkania. Wszędzie bowiem, pod względem zewnętrznej formy i wewnętrznego urządzenia, powtarza się to samo jednostajnie, z tą nieznaczną różnicą, że w niektórych ubikacyach mieszkalnych, n. p. komnatach, alkierzach, trafiała się niekiedy powała malowana. Okna były powszechnie szklane, szyby niekiedy weneckie w ramach dębowych, zwykle jednak okrągłe, małe, oprawne w ołów; bywały też oprawione w ramy drewniane, co wówczas nazywano w trzaskę. Piwnice pod domem murowane sklepiste, a niekiedy prosty loch z drzewa obłego na jarzynę. Jak piwnice pod podłogami, tak na powałach ubikacyi mieszkalnych, t. j. między temi a dachem nakrywającym dom cały, znajdował się strych, który pospolicie nazywano górą. W celu łatwiejszego zoryentowania się w częściach składowych dworu, użyjemy dawnej terminologii, jaką posługiwano się przy spisywaniu ówczesnych inwentarzy.

Zbliżamy się do dworu. Wjazd do niego przez bramkę wjazdową, wiodącą na dziedziniec, w której wrota stoczyste z tarcic w słupach dębowych na biegunach drewnianych, z kunami i skoblami żelaznymi do zamykania, z daszkiem nad wrotami nakrytym gontem. Przeszedłszy przez obszerny dziedziniec, stajemy przed domem pańskim. Na samym wstępie widzimy ganek z ławeczkami, oparty na słupach, otoczony dokoła balasami. Z ganku wchodzimy do wielkiej sieni wyłożonej cegłą, o dwóch oknach opatrzonych okiennicami na żelaznych zawiasach, z ławeczkami listwowanemi. Drzwi na zawiasach żelaznych zamszowane,[2]) za-

[1]) Bliższe szczegóły o tym zamku, zob. Dodatek I.

[2]) Obite zamszem, irchą.

mek, antaby,[1]) klamka, klucz. Z tej sieni wiodą drzwi do izb mieszkalnych po obydwóch stronach.

Wielka izba stołowa. Drzwi do niej całe zamszowane na zawiasach żelaznych, zamek, antaby, klamka, klucz, komin murowany ceglany. W tej izbie błon szklanych oprawnych futrowanych, z zawiaskami obertelami porządnych sześć, z prętami pobielanymi, z kołkami po cztery kwatery. Listwy[2]) wokoło sadzone fladrem.[3]) Posadzka po wszystkiej izbie ceglana. Lichtarz wielki na środku izby z jeleniowych rogów, z ochędożeniem żelaza na łańcuszku. Ławy wokoło izby wszędzie stolarskiej roboty listwowane. Piec lipnickiej roboty, wielki dobry. Służba[4]) ze stołem i z dwiema wolmaryami,[5]) na spodku drzwiczki na zawiasach żelaznych. Stołów równych w tej izbie lipowych trzy, a starych dwa. Zydlów[6]) lipowych z poręczem trzy. Do tych okien sześciu okiennice dobre na zawiasach żelaznych duplowane, na obie strony do otwierania.

Wchodzenie z drugiej strony. Sionka mała przed dwiema izbami, do której drzwi zamszowane na zawiasach żelaznych pobielanych, zamek wielki z kluczem, z antabami, z klamkami ochędożnie. W tej sionce ławy wokoło stolarskiej roboty zamszowane, błona cała szklana. Komin murowany do dwu pieców.

Pierwsza izba pokojowa. Drzwi do niej dobre na zawiasach żelaznych pobielanych, zamek dobry, klucz, antaby z klamką, kulki dwie żelazne. Piec zielony dobry i kominek. Listwy stolarskiej roboty z fladrem około. Stół dobry lipowy. Ławy około listwowane. Błona szklana z zawiaskami, ramy futrowane, kwatery cztery. Krata żelazna do tej izby, okiennica do tego okna na zawiasach żelaznych.

---

[1]) Kabłąk żelazny, stały lub ruchomy, przytwierdzony do drzwi, do uchwycenia ręką ich otwarcia.

[2]) Przybicie drewniane do ściany, dla ozdoby lub kładzenia czegoś na nich.

[3]) Przyozdobione fladrem, czyli odpowiadającem sobie z obu stron rozgałęzieniem żyłek, jakie znajdują się niekiedy w drzewie.

[4]) Kredens, szafa wielka, służąca do chowania wszelkiej zastawy potrzebnej do nakrycia stołu.

[5]) Także almarya, olmarya, skrzynia duża malowana.

[6]) Stołek prosty o 4 nogach.

Komnata z tej izby. Drzwi na zawiasach żelaznych, klamka, i kulki dwie. Błony szklane dwie dobre z furtkami [1]) na zawiasach, obertele pobielane. Listwy wokoło stolarskiej roboty jodłowe przybite. Sekretarz [2]) potrzebny, do którego drzwi dobre na zawiasach żelaznych. Kraty do tych okien dwie żelazne z okiennicami. Pawiment kamienny tamże.

Druga izba pokojowa. Drzwi do niej zamszowane stolarskiej roboty na zawiasach żelaznych pobielane, zamek dobry z kluczem, antaba i klamka porządne. Do tej izby okna trzy szklane dobre futrowane, w każdem po cztery kwatery z furtkami na zawiasach. Do tych błon okiennice duplowane, na zawiasach żelaznych porządnie. Piec nowy lipnickiej roboty. Listwy fladrowe wokoło stolarskiej roboty. Ławy wokoło listwowane stolarskiej roboty.

Komnata z tej izby. Drzwi do niej dobre zamszowane na żelaznych zawiasach, zamek nowy dobry, klucz, antaby, klamka. Do tej komnaty okno, szklana błona z furtkami na zawiasach żelaznych, pobielane okiennice. Krata żelazna do tego okna. Listwy około. Ławy do tego zamszowane. Szafa zielona wielka, komórki trzy w niej, czwarta szuflada. Drzwi mocne do inszej komnaty do transitu na żelaznych zawiasach, zamek ślepy dobry. Drugie drzwi do transitu. Drabina wielka przy domie do kominów. [3])

Pomiędzy budynkami folwarcznymi figuruje: kuchnia, piekarnia, spiżarnia, izby czeladne, obora, stajnia, wozownia, karmnik czyli chlew, wołownia, spichlerz, gęsiarnia, kurnik, bróg albo szopa na siano, gumno, stodoła; sernik na słupach dębowych albo jodłowych, pręciem opleciony wokoło, lub tarcicami powierconemi opierzony; plewnia, browar i słodownia, suszarnia, palarnia czyli gorzelnia, ogród owocowy i warzywny, chmielnik za browarem chmielem zasadzony; psiarnia z chlewami do myślistwa; miejscami owczarnia, blech do bielenia płócien, młyn, tu i owdzie pszczelnik. Trafiał się także „gąsior dębowy bez pierza

---

[1]) Z szybkami do otwierania w środku.

[2]) Tyle co locus secretus, necessarius, transit.

[3]) Inwentarz dworu i folwarku w Strzeszycach, spisany 3. marca 1614 r. — Klucz strzeszycki (obecnie w powiecie limanowskim), należał do klasztoru Klarysek w Starym Sączu i obejmował następujące wsi: Żmiąca, Kamionka, Jaworzna, Krosna, Zbikowice, Kobyłczyna, Stańkowa Wola, Sechna, Ujanowice, Strzeszyce. Trzymał je w arendzie 1614 r. Stanisław Lubomirski, starosta sandomierski.

na chłopy". czyli kuna, kłoda, więzienie, w którem za wykroczenia „wlepiano kańczugi".

Do części integralnych budynków gospodarskich należała studnia, zwykle murowana wierzchem ocembrowana, a nad nią żóraw, przy którym wisiało wiadro żelazem okowane. Bywały też studnie murowane z wałem drewnianym i korbą; procz tego studnie z pompą do ciągnienia wody rurami do palarni lub browaru, a nawet studnie najprostsze w kadłubie drewnianym.

Pomiędzy naczyniami browarnemi wymienione: kociołki miedziane piwne, kadzie piwne jodłowe, achtele, pułachtele, kadzie do zlewania piwa, kosze na chmiel, nalewki, szafraki, kadki do zlewania słodu, cebry wodne.

Do naczyń w palarni należały: garnce miedziane z rurami i pokrywami; baryły pod rury, co do nich wódka przechodzi: beczki zacieralne z wiekami: beczki na wywarzyny; lejki drewniane: konwie do nabijania garnców: nalewki do wylewania z garnca: beczki dębowe do zlewania wódki.

Budynek pański, budowany z drzewa rznietego lub ciosanego, pokrywano gontem; budynki zaś folwarczne z drzewa oblego, czyli nieociosanych okrąglaków, rzadziej z drzewa rzniętego lub ciosanego, pokrywano przeważnie słomą. Oparkanienie około dworu bywało z tarcic, chrustu, a nierzadko z tyniny[1]) t. j. ogrodzenie z sosnowych lub jodłowych gałęzi.

Po folwarkach trzymano podostatkiem koni i wołów do orki, a przedewszystkiem krów, czego dowodem jest spis różnych naczyń do wyrobu masła i sera, jako to: loszofy[2]) do tworzenia sera, maślnica, tworzydła gliniane i drewniane do sera, cebry wodne, cebry mleczne, konwie mleczne, konwie wodne, skopce do dojenia, garnce mleczne, warzechy wielkie do mleka, dryfusy wielkie, kociołki miedziane z obłąkiem, flaszki okrągłe mleczne, myśniki do mycia naczynia.

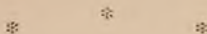
Widzimy więc z powyższych inwentarskich zapisków, że w budowie i urządzeniu mieszkań uderza wszędzie, obok wielkiego ochędóstwa, skromność i prostota staropolska, która wtedy

---

[1]) Tyn po czesku znaczy zamek, gród; a podobno i w Krakowskiem lud do dziś dnia ogrodzenie, sporządzone z sosnowych i jodłowych gałęzi, nazywa tynem albo tyniną. (Józef Łepkowski: Tradycye narodowe i przegląd zabytków przeszłości).

[2]) Także loszow, łoszawa — koryto czworograniaste.

jedynie ustępowała i przemieniała się w zbytek, gdy szło o przystrojenie własnego ciała, o przepych w ubiorach.



Już sama różnorodność gatunków sukna, jakie kupowała ustawicznie szlachta u Tymowskiego, wskazuje dowodnie, że i ubiory jej musiały być bardzo urozmaicone i barwne. W istocie, pod tym względem panowała wielka dowolność i niczem nieskrępowana swoboda. Polacy bowiem, stykając się z ościennymi narodami, zwłaszcza ze Szwedami, Węgrami i Turkami, przyswajali sobie z wielką łatwością i zamiłowaniem ich ubiory i stroje. Z przybyciem do Polski Bony Sforzy, księżniczki medyolańskiej, poślubionej Zygmuntowi I. w r. 1517, napływali do nas rozliczni Włosi. Z osiedleniem swojem wnieśli ze sobą nie tylko architekturę wykwintnego renesansu, lecz także kulturę i drogie materye zaalpejskich krajów, mianowicie aksamity, atłasy i adamaszki weneckie, florenckie i genueńskie — kanawasy neapolitańskie i mantuańskie — tabiny medyolańskie i inne materye włoskie, które z Wenecyi przychodziły do Węgier, a stamtąd do Nowego Sącza;[1] podobnie jak sukna angielskie i holenderskie do Gdańska, skąd rozchodziły się do innych miast polskich. Przebywali tu również od drugiej połowy XVI. wieku (po r. 1572) nierzadko Szkoci, nie mówiąc nic o Niemcach, których podostatkiem było po naszych miastach już od XIII. wieku. Węgrów, Włochów, Szkotów i Niemców, obdarzonych prawem obywatelstwa, nie zabrakło i w Nowym Sączu; nawet akta miejskie spisywano tu po niemiecku aż do r. 1489. Cóż więc dziwnego, że te wszystkie okoliczności oddziaływały dodatnio na wytworzenie przedziwnej różnobarwności w ubiorach i strojach. Tak więc od Węgrów przyjęto bekiesze i dołomany — od Turków ferezye, delie, kaftany

[1]) Przechowały się o tem wspominki w aktach. Tak n. p. 1632 roku pani Maryna na Komornie, wdowa po Jerzym Szeczym, wysłała tratwy do Now. Sącza naładowane, prócz innych rzeczy, czarnym aksamitem. Wskutek wezbrania rzeki Popradu, rozbiła się tratwa pod Biegonicami, między Starym a Nowym Sączem. Korzystając z tego Tomasz Kus z Biegonic, pochwycił 6 łokci aksamitu i sprzedał go żonie aptekarza w Now. Sączu, Szymona Wolskiego. Wyśledzili go jednak flisacy węgierscy i zaskarżyli, a Wolscy, jak niepyszni, musieli zapłacić aksamit. Act. Consul. Sandec. T. 53, p. 33.

kołpaki i kopieniaki — od Persów czamary i kabaty[1]) — od Niemców kitle, mętliki i mycki — od Włochów tuniki i kolety, od innych inne części strojów i ozdób, w których lubował się wiek XVI. i XVII. Zauważył to dobrze Mikołaj Rej z Nagłowic, i dowcipnie powiedział w swoim Zwierzyńcu:

Polak nad wsze narody jest w tem osobniejszy,
Iż ukaż mu jakiś kształt, by też najdziwniejszy,
Ujrzysz go do trzeciego dnia, alić on tak chodzi,
Postawą i ubiorem każdemu dogodzi.

A) Z pomiędzy ubiorów męskich jedne bywały okazalsze, czyli odświętne, drugie służyły do podróży, inne wreszcie do codziennego chodzenia. Jednakowoż i w tym podziale nie można nakreślić ścisłej granicy, bo to przecie zależało od stosunków majątkowych, od godności i stanowiska społecznego, a wreszcie od osobistego upodobania i smaku. Jeden bowiem drugiemu chciał dorównać, albo go przewyższyć okazalszym i modniejszym strojem, jak trafnie zauważył współczesny świadek, ks. Szymon Starowolski, kanonik krakowski († 1659): „Począwszy od najmniejszego, wszyscyśmy miernością świętą, prostem używaniem ubiorów i onem staropolskiem życiem wzgardzili. Pierwej ojczysty ubiór, co go z wełny domowej zrobiono, boki nasze okrywał; teraz jedwabiów, aksamitów, złotogłowów,[2]) tabinów,[3]) lada u kogo pełno. Pierwej królowie sami w baranich kożuchach i szłykach[4]) baranich chadzali, nie tylko szlachta polska i mieszczanie; teraz woźnica nie chce w kożuchu baranim być widziany, ale go ferezyą z wierzchu okrywa, aby przecie suknią czerwoną był od ludu pospolitego różny. A mieszczanin i rzemieślnik każdy, bez sobolej czapki na ulicy ukazać się nie śmie, już za lisi kołpak wstydając się. Także też i białogłowy wyższych i niższych stanów, w ubiorach i strojach miarę bardzo przebrały, że końca utratom nie masz. By mąż nie miał mieć i szeląga w kalecie, by mu na majętność, dom, kamienicę, albo na szyję przyszło się zadłużyć, tedy druga koniecznie chce takie mieć szaty, jakie widziała u której wielmożnej pani nowym krojem, zawicie nową fozą, opasanie,

---

[1]) A. Muchliński: Źródłosłownik wyrazów, które przeszły do naszej mowy z języków wschodnich. Petersburg 1858.

[2]) Materya z nitek złotych na tle jedwabnem, lama.

[3]) Materya jedwabna, gatunek kitajki.

[4]) Czapka futrzana coraz węższa ku górze.

czapkę, łańcuch, kanak,[1]) wstęgi, manele nową robotą. Przez co nam wszystka już prawie Polska zfrancuziała, a podobno zfrancowaciała.“ [2])

I) Do ubiorów pierwszej kategoryi, czyli odświętnych i okazalszych, wchodziły: bekiesze, czamary, delie, dołomany, ferezye, żupany i kontusze. Przypatrzmy się nieco bliżej ich zewnętrznej postaci, o ile przechowane inwentarskie zapiski z lat 1570 – 1650 złożyły się na to. Zaznaczam jednak z góry, że niepodobna tu wymieniać wszystkich gatunków sukna, z jakich wyrabiano te pojedyncze ubiory. To tylko powiedzieć można, że w ubiorach ówczesnych główną rolę odgrywały kolory jaskrawe: czerwone, zielone, lazurowe, brunatne, karmazynowe, błękitne, szare, białe i żółte, w najrozmaitszych swoich odcieniach i gatunkach.

Bekiesze, suknie długie i obszerne, kroju węgierskiego z zaszywanymi rękawami — z sukna morawskiego szarego, czerwonego — z karazyi żółtej, zielonej, czerwonej — z falendyszu zielono papużego, lazurowego — z breklestu zielonego, rożnem podszywane futrem, suto pętlicami i sznurkami do zapinania na piersiach oszyte.

Czamary, suknie długie z rękawami, zapinane na piersiach sznurami jedwabnymi — z sukna morawskiego czarnego, błękitnego, lazurowego — z falendyszu granatowego, błękitnego, lazurowego — z breklestu zielonego, obłoczystego, podbite szlamami [3]) lisimi, rysimi, lub innem futrem, bają czerwoną, pakłakiem czarnym lub błękitnym.

Delie, szaty zwierzchnie, obszerne, z szerokimi rękawami: miały krój ściętej opończy, podbite zaś były futrem, również kołnierz obłożony futrem. Bywały zwykle z falendyszu lazurowego, czerwonego, zielonego, turkusowego, ciemno lazurowego — z sukna morawskiego błękitnego, czerwonego, papużego — z półszkarłatu czerwonego, z pętlicami czarnemi, z listwami atłasowemi białemi. Zimowe delie podbijano kunami, sobolami, wilkami lub lisami: letnie zaś bają czerwoną, błękitną, zieloną, kirem błękitnym lub czerwonym. Zdobiły je pętlice i guzy srebrne złociste,

---

[1]) Naszyjnik kosztowny, drogimi kamieniami wysadzany.

[2]) Starowolski: Reformacya obyczajów polskich, wyd. Turowskiego str. 39. 42. Kraków 1859. Pierwsze wydanie tego dzieła wyszło w r. 1625. Przebija się z niego nie tylko gorąca miłość ku Polsce, ale zarazem jakby prorocze ostrzeżenie przed jej upadkiem.

[3]) Szlamowe futro — brzuchy i boki lisie albo rysie.

po 12—16 wzdłuż na piersiach po obydwóch stronach. Do zapinania służyły haftki srebrne i czapraszka, czyli klamerka zdobna pod szyję.

Dołomany, czyli kurtki zwierzchnie węgierskie z guzikami. Robiono je z falendyszu lazurowego, obłoczystego, czerwonego, ciemno lazurowego — z karazyi czerwonej, zielonej, lazurowej — z sukna morawskiego białego, czarnego, czerwonego i zielonego — a nawet z atłasu czerwonego, adamaszku ceglastego i karmazynu. Podszywano je kirem białym, czerwonym, kitajką [1]) zieloną lub czerwoną. Guzów srebrnych złocistych bywało u dołomana po 16—24, niekiedy dętych z turkusami 20, oraz jedna lub dwie czapraszki pod szyję do zapinania.

Ferezye, suknie zwierzchnie długie, nieprzepasane — z falendyszu jasno czerwonego, brunatnego, lazurowego — z półgranatu, półszkarłatu, lekko podbite szlamami lisimi, bierkami, [2]) barankiem egipskim, wreszcie atłasem lub adamaszkiem żółtym.

Żupany, suknie długie z wązkimi rękawami, bez rozporu z tyłu, w pasie przy biodrach ku tyłowi fałdowane, zapinane z przodu pod szyję na gęste haftki lub pętelki. Bywały zwykle z falendyszu czarnego, wiśniowego, zielonego, lazurowego — z karazyi czerwonej, żółtej, lazurowej — z sukna morawskiego błękitnego, czerwonego — z breklestu zielonego i czarnego — z tabinu, adamaszku i aksamitu. Napotykamy też żupany z guzikami srebrnymi pozłocistymi w żołądź, podszyte barchanem [3]) ceglastym lub kirem czerwonym.

Kontusze, suknie pierwotnie wschodnie, z Turcyi i Tartaryi pochodzące, ale w Polsce innym krojem niż na wschodzie noszone, w połączeniu z odwiecznym żupanem, stały się za Zygmunta III. powszechnym i uroczystym ubiorem narodowym. Robiono je nie tylko z falendyszu zielonego i błękitnego, z karazyi czerwonej i lazurowej, z sukna morawskiego czerwonego i błękitnego, lecz także z atłasu, adamaszku i aksamitu, w różnych kolorach, zapinane srebrnemi haftkami. Kontusze zimowe podszywano lekkiem futrem: gronostajami, popielicami, kunami, sobolami, królikami; letnie zaś różnobarwną materyą jedwabną. Nosili je zarówno mieszczanie, jak szlachta, ale dla jednych i drugich

---

[1]) Materya jedwabna cienka, w różnych kolorach i gatunkach.

[2]) Owca turecka lub wołoska.

[3]) Tkanina bawełniana lub z małą domieszką lnu, z prawej strony gładka, z lewej kosmata.

był to strój świąteczny, a nie ubiór codzienny. Kontusze przywdziewano zwykle na żupan i opasywano pasem aksamitnym czarnym, czerwonym, lub jedwabnym różnobarwnym, złotem lub srebrem przetykanym, z zamklem.[1]) Do tegoż celu służyły pasy złotolite, czyli ze złotej lamy — srebrne pozłociste, fugowane złociste z cętkami i puklaste. Bywały też pasy rzemienne ze srebrnymi brajcarami oraz zamklem, a nawet włosiane czerwone siatczane, z nożenkami srebrnymi, czyli pokrowcem na noże.

Nieodzowną częścią integralną strojów odświętnych bywały złote łańcuchy, które spływały aż ku środkowi piersi, a kończyły się klejnotem z drogich kamieni lub dużym medalem — sygnety złote na palcach, wysadzane dyamentem, rubinem, turkusem, szafirem lub żabim kamieniem, nierzadko także z herbem. Ponad wszystko jednak górowały szable o pochwie srebrnej, nieraz nawet pozłocistej:[2]) szabla była codzienną towarzyszką szlachcica-rycerza, nieodstępną i niezbędną zawsze i wszędzie: w kościele, w domu, w gościnie, w podróży, na sejmiku, na targu, na weselu, pogrzebie i bankiecie.

II.) Do ubiorów podróżnych należały:

Furmanki, suknie na kształt opończy, z rozmaitego grubszego sukna, zwłaszcza z pakłaku czarnego, obłoczystego lub z baji wrocławskiej, z kapturem do nakrywania głowy.

Giermaki, suknie zwierzchnie długie, podbite futrem — z falendyszu czarnego, z listwami czarnemi adamaszkowemi — z pakłaku zielonego, czarnego, błękitnego — z sukna morawskiego czarnego, żółtego lub szarego.

---

[1]) Zaponka, klamerka, agrafa do spinania pasów.

[2]) Podobne okazy znajdujemy również u mieszczan sandeckich. I tak pomiędzy kosztownościami kupca, Baptysty Gandolfiego, figuruje 1599 r. szabla oprawna w srebro z brajcarami, z kolcami srebrnymi pozłocistymi, na rzemiennym pasie — prócz tego buława z gałką srebrną na końcu. W ruchomościach kupcowej, Krystyny Oleksowiczowej, wymieniona jest 1647 r. szabla husarska złocista, z taśmą jedwabną ze srebrem. Tak samo rzecz się miała z ubiorami. Porównywując ówczesne inwentarze szlacheckie z mieszczańskimi, żadnej nie widzimy uderzającej różnicy, chyba daleko większy przepych u szlachty; te same stroje, te same gatunki materyi, z których je wyrabiano, spotykamy u jednych i drugich. Tak więc nie skutkowały uchwały sejmowe z lat 1613, 1620, 1629, zabraniające mieszczanom używania szat jedwabnych i kosztownych futer, noszenia butów safianowych i szabel.

Kopieniaki, płaszcze od deszczu bez rękawów, podobne do burki lub bundy, kroju węgierskiego z peleryną — z falendyszu lazurowego, czarnego, brunatnego — z karazyi, czarnej lub błękitnej — z sukna morawskiego czarnego, białego, szarego i czerwonego.

Opończe, płaszcze od deszczu, bundy — z sukna morawskiego szarego, żółtego, papużego, czarnego — z pakłaku kłockiego, podszywane nierzadko adamaszkiem lub atłasem, z kapturem do nakrywania głowy.

Płaszcze, pod względem kroju, nie różniły się prawie od dzisiejszych, chyba rozmaitością gatunków sukna, z których je wyrabiano. Bywały bowiem z sukna morawskiego czarnego, lazurowego — z baji wrocławskiej — z pakłaku obłoczystego, czarnego, zielonego — z falendyszu granatowego, ciemno brunatnego, lazurowego i turkusowego; a do tego nierzadko podbite popielicami, kunami, lisami, białym barankiem lub innem futrem.

Okrycie głowy. Kapelusze pilśniowe, szare, białe, zielone, czarne, przystrojone piórem. Do zwykłych czapek należały: magierki, czyli wełniane czapki węgierskie, z barankiem czarnym — inycki, czyli czapeczki domowe, z czamlotu lub sukna barszczowego. Do okazałych zaś czapki aksamitne różnego koloru, podszyte bobrem; tudzież kołpaki, czyli czapki wysokie, nieco szersze u góry niż u dołu, obłożone bobrem, kuną lub sobolem, z wierzchami z falendyszu jasno czerwonego, lazurowego, wiśniowego, czerwonego, z aksamitu czarnego, czerwonego, zielonego i fioletowego.

Spodnie noszono różnego kroju. Krój polski bywał długi szeroki — niemiecki krótki — węgierski długi opięty — kozacki i turecki długi obwisły. Spodnie zawiązywano na uczkur t. j. pasek jedwabny siatkowy, z podłużnymi końcami, na który spodnie nawlekano i zawiązywano na przedzie.

III.) Do codziennego chodzenia służyły: kaftany, czyli rodzaj długiej kamizelki: bywały też z łosiowej skóry — kabaty, czyli suknie spodnie w rodzaju kaftanika — kitle, kitliki, czyli suknie zwierzchnie — kurty, kurtki, czyli krótkie żupaniki, albo suknie kuse lżejsze — żupice, czyli kitliki bez rękawów lub z rękawami. Wszystkie te trzeciorzędne ubiory bywały przeważnie z tańszego sukna morawskiego, karazyi i kiru w różnych kolorach, rzadziej z falendyszu, breklestu, pakłaku i baji.

Czeladź, czyli służba szlachecka, nosiła dołomany, delie, ferezye, opończe, kurty, kaftany, z sukna rozmaitych gatunków i kolorów, lecz zwyczajnie tańszego, niż sami chlebodawcy.

Oznaką żałoby bywał kolor czarny, zwyczajnie kir, sukno morawskie i ićińskie, także falendysz i breklest.

B) Daleko większą barwność i urozmaicenie przedstawiają ubiory i stroje niewieście, na które składały się drogie materye jedwabne zagraniczne, zwłaszcza tureckie, tatarskie, włoskie, francuskie, szwajcarskie, holenderskie i niemieckie, jak adamaszek, aksamit, atłas, czamlot, forsztat, haras, kanawas, kapicela, muchair, tabin, tercynela[1]) i inne. Znajdujemy tam w epoce 1570—1650 następujące okazy:

Alamody, suknie nowomodne francuskie. W rejestrze szat Zofii Rożnównej z r. 1643 figuruje między innemi: Alamoda tabinowa czarna w złote kwiaty, rysiemi nożkami podszyta, ze złotemi koronami. Alamoda atłasowa pomarańczowa, pupkami[2]) podszyta, z pasamonem[3]) srebrnym.

Czamary — z uterfinu czarnego, zielonego — duplowane (z podwójnej kitajki) czarne, popielicami podszyte — czamlotowe czarne, szlamami lisimi podszyte, z pasamonem czarnym wokoło — kromrasowe[4]) zającami podszyte — adamaszkowe wiśniowe, podszyte gronostajami — muchajerowe włosiste.

Furmanki, suknie długie z przodu rozwarte — atłasowe czarne wzorzyste,[5]) nowogródkami[6]) podszyte, bez kołnierza — kanawasowe lazurowe, brzuszkami popieliczymi podszyte, z kołnierzem gronostajowym — aksamitne wzorzyste, popielicami pod-

---

[1]) Ceny niektórych z owych materyi podaje taksa z r. 1623. Tak n. p. za łokieć aksamitu tańszego płacono po $3^1/_2$—5 złp.; łokieć droższego weneckiego i florenckiego po 6—14 złp. Łokieć atłasu i adamaszku weneckiego, genewskiego i genueńskiego po 3 złp. 20 gr. do 5 złp. 9 gr. Kanawasy neapolitańskie i mantuańskie łokieć po 2 złp. 10 gr. do 4 złp. Tercynele po $3^1/_2$—4 złp. Tabiny medyolańskie po 4 złp. (Act. Castr. Sandec. T. 116. p. 478—480). Wyrabiano z nich również przybory kościelne: ornaty, kapy, dalmatyki. Zob. Hist. Now. Sącza T. III. 112—123.

[2]) Same brzuchy futer najpiękniejszych, zwykle sobolowe.

[3]) Strefa, taśma, listwa do bramowania sukni.

[4]) Kromras — rodzaj dawnej tkaniny wełnianej.

[5]) Przedstawiające wzory: liście, kwiaty, owoce tkane.

[6]) Futerko z młodziutkich niedźwiedzi (z wyporków), z okolic Nowogródka na Litwie.

szyte, z kołnierzem pupkowym sobolowym — aksamitne czarne wzorzyste, królikami czarnymi podszyte, z kołnierzem nóżkami sobolimi podbitym — aksamitne gładkie czarne, z pasamonem jedwabnym czarnym, podszyte futrem — tureckie wiśniowe z czarnemi potrzebami,[1] popielicami podszyte, z kołnierzem z kunich gardeł — kapicelowe czarne z czarnymi pasamonami, brzuszkami popieliczymi podszyte, z kołnierzem gronostajowym — czamlotowe czarne, białem futrem podszyte — muchajerowe, brzuszkami popieliczymi podszyte — kromrasowe.

Kabaty — tureckie czerwone z barankami — adamaszkowe i kanawasowe wiśniowe z czarnemi potrzebami — kapicelowe czarne — forsztatowe barszczowe — lazurowe futrem podszyte.

Katanki — muchajerowe zielone, barankiem białym podszyte.

Kitle — muchajerowe, barankiem podszyte — czamlotowe czarne.

Kolety, czyli krótkie suknie — kitajkowe mienionej maści, z pasamonem zielonym — kapicelowe czarne, z pasamonem jedwabnym — aksamitne czerwone, zielone, czarne — z muchairu tureckiego — adamaszkowe.

Letniki, letniczki, czyli suknie letnie — z kitajki błękitnej, czerwonej, zielonej, z pasamonami — z muchairu tureckiego: lazurowe, wiśniowe, papuzikowe, zielone, kaczorowatej maści, brunatne, czarne, czerwone, z kształtem[2] aksamitnym lub adamaszkowym zielonym, z rękawami i bez rękawów — z forsztatu czarnego i półforsztatowe — z czamlotu czarnego bez wody,[3] z rękawami z tkanki paciorkowej — atłasowe czarne wzorzyste — wreszcie jednostajne zielone i lazurowe bez rękawów.

Nasuwienie, suknie zwierzchnie fałdziste — falendyszowe turkusowej maści, podszyte futrem lisiem — z materyi cienkiej ciemno wiśniowej, podszyte brzuszkami popieliczymi.

Ormentle (armmantel), płaszcze z rękawami — atłasowe wiśniowe, ze złotym pasamonem, pupkami podszyte — aksamitne czarne wzorzyste, białem futrem podszyte.

Płaszczyki albo mytliki, metliki (mantel) — harasowe czarne, wyłogi z dzikiego adamaszku — kanawasowe czarne, smu-

[1]) Taśmowanie sukni lub jej sznurkowanie.
[2]) Napierśnik białogłowski, stanik do figury, gors.
[3]) To znaczy gładkie, bez wytłoczenia tła, deseni na tej materyi.

szami [1]) czarnymi podszyte, pasamony czarne aksamitne wokoło we troje — sukienne czarne, królikami podszyte, pasamony wokoło we dwoje — muchajerowe czarne, podszyte kunami, królikami, lisiem lub wiewiórczem futrem — tureckie muchajerowe kaczorowatej maści, czerwonem suknem podszyte — tureckie czerwone, podszyte gronostajami, z pasamonem błękitnym — kitajczane zielone, podszyte popieliczymi brzuszkami, a przodki gronostajowe — aksamitne wzorzyste, wyłogi profeskowe — aksamitne wzorzyste i adamaszkowe czarne wzorzyste, felpa [2]) podszyte — falendyszowe lazurowe — tabinowe czarne, brunatne — nędzowe [3]) pstre — atłasowe czarne ze złotym pasamonem, przodki tabinowe białe w złote kwiatki i rysie przodki do niego — atłasowe lazurowe ze złotym pasamonem.

Rękawki. zarękawie — muchajerowe, króliczymi brzuszkami podszyte — atłasowe popielicami podszyte — muchajerowe aksamitem bramowane [4]) — buratkowe [5]) czarne gładkie — buratkowe miotane w wodę [6]) z kwiatami — rabkowe z czarnem szyciem.

Spodnice — kitajkowe czerwone, obłoczyste ciemne, płótnem białem podszyte — kitajkowe barszczowe z bromami w sześcioro, suknem białem podszyte — z muchairu tatarskiego: błękitne i lazurowe — z muchairu tureckiego: czerwone, wiśniowe, fiołkowe, lazurowe i żelaznej maści, z czarnymi pasamonami, kirem czerwonym podszyte — kanawasowe kaczorowej maści, czerwonym kirem podszyte, z czarnymi pasamonami — atłasowe zielone, czarne, lazurowe, z pasamonem szkarłatnym przerabianym złotem — szajowe [7]) czarne — adamaszkowe czerwone, suknem czerwonem podszyte, z pasamonem błękitnym we czworo — forsztatowe zielone wzorzyste i forsztatowe barszczowe podszyte futrem — tabinowe czarne. — Fartuszki kolońskie trefione, czyli marszczone lub fałdowane — czarne tercynelowe.

---

[1]) Futerko z młodych baranków.

[2]) Materya włoska jedwabno-wełniana z kosmatością po wierzchu.

[3]) Nędza — materya jedwabna szychem przerabiana.

[4]) Bram, broma — listwa u sukni obłoga, falbowana, haftowana, pasamonowa.

[5]) Burat, boratek — materya francuska wełniana, lub jedwabno wełniana, różnej farby.

[6]) To znaczy z wytłoczeniem tła, deseni na tej materyi.

[7]) Szaja — materya włoska jedwabna, cienka i lekka.

Smykawice, smukawice, suknie pasiaste czyli w strefy — muchajerowe czarne, zielone, królikowymi grzbietami podszyte — czamlotowe czarne bez wody, lisami podszyte.

Suknie alias delie — falendyszowe czerwone, felpą podszyte — brunatne bagazyą [1]) podszyte, atłasem obłożone dokoła — falendyszowe lazurowe, kitajką czerwoną podszyte — zielone bez kształtu — aksamitne zielone, z pasamonem złotym — aksamitne czerwone z florenckiego aksamitu — tabinowe brzoskwiniowe, z koronami srebrnemi — atłasowe ceglaste, z pasamonem srebrnym — atłasowe wiśniowe, z koronami złotemi.

Szuby, szubki, odzienie zwierzchnie z długimi rękawami — forsztatowe, lisiem futrem podszyte — z sukna morawskiego czarnego, na przodkach lisem, a za sobą królikami podszyte — kanawasowe czarne, kunami podszyte z bramem — czamlotowe z wodą, lisami podszyte z bramem — muchajerowe czarne, podszyte brzuszkami wiewiórczymi, z bramą bobrową.

Tuniki, suknie krótkie fałdziste z wyciętym gorsem, przepięte w stanie pasem lub klamerką — brunatne z aksamitem, bramowane kitajką białą. Jupki, czyli tuniki bez rękawów — falendyszowe kunami podszyte, z kołnierzem sobolowym — brunatne z guzikami srebrnymi i czapraszką.

Okrycie głowy. Czapki aksamitne, bobrem podszyte — aksamitne z bramami — aksamitne letnie — kanawasowe, bobrowe, atłasowe czarne wzorzyste, kuna farbowana — atłasowe karmazynowe, z ogonkami sobolimi — tabinowe czarne, z ogonkami sobolimi. — Kołpaki adamaszkowe błękitne, sobolczyk farbowany. — Kapelusze pilśniowe, białe, czarne, atłasem lub kitajką podszyte. — Do tej kategoryi policzyć należy: tkanki perłowe, czyli siatki ozdobne perełkami — czepce złote, srebrne: jedwabne czarne, lniane i siatczane: wreszcie rantuchy kolońskie, t. j. chustki długie noszone na głowie lub plecach — rantuchy rąbkowe, t. j. z płótna delikatnego, przezroczystego flamskiego, czyli flamandzkiego.

Pasy — srebrne pozłociste na tkance czarnej aksamitnej, z zamklem — srebrne pozłociste na tkankach zielonych, z czarnymi krajami — pasy w sploty złote na mosiądzu pozłocistym — srebrne puklaste z zamklem — aksamitne czarne, jedwabne zielone i pstre. Tu wchodzą również obręcze srebrne pozłociste, o rożnych tablicach czyli sztuczkach, floresach, różach i cętkach.

[1]) Materya bawełniana różnego koloru.

Były to, jak wskazuje nazwa łacińska „torques“ nawiasowo dodana, długie łańcuchy czyli naszyjniki, które nosiły kobiety na szyi, przepasując nimi stanik, lub je w festony zawieszając. Ale przez ten wyraz „obręcz“ rozumiano także srebrne paski kobiece.

Pończochy. Taksa z r. 1623 wymienia: stametowe [1]) białe, farbiste, francuskie, angielskie i holenderskie; jedwabne białe i czarne; wreszcie bawełniane wonniste i niciane w domu zwykle robione.

Ks. Jan Sygański T. J.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) Stamet — rodzaj rasy czyli harasu, lekka materya wełniana, szorstka.

Cypryan Norwid o Słowackim.[1]

Ostatnie lata Juliusza Słowackiego opromieniło kilka jaśniejszych promyków, których miał tak niewiele w życiu. Zaliczam do nich garnięcie się młodzieży, a wśród niej przedewszystkiem Rembowskiego, Kamieńskiego, Edmunda Chojeckiego, Ludwika Norwida i innych. Przez Ludwika Norwida zapoznał się ze Słowackim także Cypryan Norwid, do bliższych jednak stosunków między obydwoma nie doszło. Norwid zachował jednak we wdzięcznej i miłej pamięci nieliczne chwile, spędzone ze Słowackim, czego najlepszy złożył dowód, opisując w kilka lat po śmierci poety wspomnienia swoje o nim w „Czarnych kwiatach", ogłoszonych w Dodatku miesięcznym do *Czasu* (Rok I. Tom IV. Kraków 1856, s. 657—659). Kreśli w nich Norwid dwie ostatnie wizyty swoje u Słowackiego po powrocie z Rzymu 1849 r.

Kilkanaście dni przed śmiercią Słowackiego zaszedł Norwid na ulicę Pontieu przy elizejskich polach do domu, którego odźwierny z uprzejmością odpowiadał, ile razy kto zachodząc, pytał go, jak się monsieur Jule ma?... „Tam na najwyższem piętrze pokoik był ile można najskromniej umeblowany, a okna jego dawały na przestrzeń, jaką się z wysokości zawsze widuje, tem jednem tylko upiększoną, iż czerwone słońca zachody

[1] Rzecz wygłoszona na wieczorze ku czci Słowackiego, urządzonym przez Koło literacko-artystyczne we Lwowie w dniu 20. listopada 1908 r.

w szyby biły łunami swemi. Kilka doniczek z kwiatami na ganku przed oknami temi stało, a ośmielone przez mieszkańca wróble zlatywały tam i szczebiotały. Obok drugi maleńki był pokoik — to sypialnia". Zastał Norwid Słowackiego przy obiedzie, siedzącego przy stoliku okrągłym na środku pokoju, ubranego w długi podszarzały paltot i w amarantową spłowiałą konfederatkę, akcentem wygody na głowę zarzuconą. Zaczęli obaj rozmowę o Rzymie, skąd właśnie niedawno powrócił Norwid, o znajomych i przyjaciołach, między innymi także o Ludwiku Norwidzie — a potem o Nieboskiej komedyi, którą Słowacki wielce cenił, o Przedświcie, który miał za piękne dzieciństwo. Zeszli następnie na sztukę, rozprawiając o tem, że wpadła w mechanizm, mówili też o Chopinie, przyczem Słowacki pokaszlując, wspomniał: Parę miesięcy temu spotkałem jeszcze tego moribunda. Nie spodziewał się, że ten moribundus przeżyje go o kilka miesięcy. W kilka dni był Norwid znowu u poety z odwiedzinami wieczorem: oprócz Słowackiego znajdował się jeszcze w pokoju malarz Pettiniaud, ten jednak nie brał udziału w rozmowie, jaką zaczęli prowadzić. Mówili tym razem o Francyi, rewolucyi, o rzymskich wypadkach. Słowacki naturalnem, ale kolorowanem słowem i niespodziewanemi obrotami mowy i niekiedy akcentem zrezygnowanego żywota; wielkie, czarne oczy poety pełne były jeszcze wtedy ognia, z jakim zapalał się w rozmowie. Kiedy już Norwid żegnał go, rzekł poeta: „Piersi, piersi nadwerężone mam, każą mi już tylko cukierki jeść, co chwilowo łagodzi kaszel, żołądkowi za to o tyleż szkodząc. Przyjdź jeszcze w przyszłym, w zaprzyszłym tygodniu, potem... czuję, że nie zadługo i odejść z tego świata przyjdzie mi". Była to już ostatnia rozmowa Norwida ze Słowackim. W następującym tygodniu wybierał się znów do niego, spotkał jednak jednego z przyjaciół poety, powracającego od niego, który radził mu, żeby lepiej nazajutrz do niego przyszedł, gdyż Słowacki nie czuje się zdrowym. Na pytania Norwida dodał jeszcze, że poeta wątpi o zdrowiu swojem i że wzywał już dzisiaj pomocy i opieki św. Michała Archanioła, tusząc, że mu to sił na jakiś czas użyczy. Wobec tego odłożył Norwid swoje odwiedziny na inny dzień w następnym tygodniu. Przyszedłszy rano 4. kwietnia, nie zastał już poety przy życiu: w nocy poprzedniej Sakramentami opatrzony, list od matki swej nadeszły właśnie w chwili skonania odczytawszy, zasnął śmiercią i w niewidzialny świat odszedł. Norwid pierwszy ze znajomych znalazł się u trumny Słowackiego. Opisując swe wrażenia zaznacza, że mało piękniejszych twarzy

umarłego widzi się, jako była twarz poety, rysująca się białym swym profilem na spłowiałym dywanie ciemnym... Ptaszki zlatywały na niepielęgnowane doniczki z kwiatami.



Ważniejszemi od tych wspomnień osobistych są uwagi, które Norwid ogłosił w r. 1861 p. t.: „O Juliuszu Słowackim w sześciu publicznych posiedzeniach (z dodatkiem rozbioru Balladyny)" (Paryż). Spisali te wykłady — niewiadomo bliżej, gdzie wygłoszone — Maryan Sokołowski, a nadto według wszelkiego prawdopodobieństwa Seweryn Goszczyński i Zofia Węgierska, przyjaciele zaś Norwida ponieśli koszt wydawnictwa. [1])

Treść odczytów nie odpowiada w zupełności tytułowi, gdyż autor dopiero w odczycie czwartym zaczyna mówić szczegółowiej o Słowackim, jakkolwiek i tu znaczna część uwag nie należy do przedmiotu.

Bardzo daleki związek z istotnym tematem mają trzy pierwsze odczyty: w pierwszym zastanawia się Norwid nad stanowiskiem poetów w literaturze wogóle, w drugim mówi o Byronie, w odczycie trzecim pragnie utrwalić cztery pojęcia: oryginalności poetów, profetyzmu ich, naśladownictwa i czytania; profetyzmu jednak tutaj nie porusza, odkładając rzecz tę do odczytu IV. Miał Norwid zamiar, by w rozstrząsaniach tych wstępnych, jak sam mówi, wszystko uprzątnąć i w pamięci odświeżyć, aby przystąpić przygotowanymi do ocenienia dzieł Słowackiego, z wywodów tych jednak później prawie zupełnie nie korzysta, tak więc część wstępna pozostaje w zupełnie luźnym związku z drugą częścią rozprawy, razi to zaś tem więcej, że autor porusza kwestye nie koniecznie znowu potrzebne do zrozumienia dalszych wywodów. Do tego rozstrząsania Norwida w pierwszych trzech odczytach są nieraz oparte na fałszywych szczegółach, które można zakwestyonować nawet z punktu nauki ówczesnej. Fałszywe wywody historyozoficzne, niedostateczna znajomość dziejów i literatury powszechnej, dziwaczne etymologie: oto przedewszystkiem ujemne strony wstę-

[1]) Po raz drugi przedrukowano dziełko to w Sfinksie warszawskim za r. 1908 w III. i IV. kwartale, po raz trzeci w Krakowie 1909 r. w Książnicy naukowej i artystycznej: według tego wydania cytuję w dalszym ciągu.

pnych trzech odczytów. Niektóre tylko wywody można przyjąć za słuszne: np. ogólną charakterystykę Bayrona, jako Sokratesa pieśni. Odnosi się z tych pierwszej części wrażenie na ogół chaosu: autor mówi o wszystkiem. jak gdyby chciał czytelnikowi powiedzieć wszystko. co wie i umie: przy niedostatecznem jednak opanowaniu przedmiotu i często zawodzącej go pamięci. wnioskach opartych na fałszywych przesłankach. dochodzi do mylnych rezultatów.

Po tym przydługim wstępie przystępuje wreszcie Norwid w odczycie czwartym do właściwego tematu. Nie podając żadnych szczegółów biograficznych. mówi o twórczości poety, ale i tę uwzględnia w pewnych tylko utworach, rozpatrując dokładniej nieco Anhellego, Beniowskiego i Króla Ducha, o kilku innych podał tylko krótkie wzmianki.

Jako bezsprzeczną zasługę Norwida musimy uznać, że jeden z pierwszych poznał się na znaczeniu takiego utworu, jakim jest w spuściźnie Słowackiego Anhelli: zdaniem Norwida jest to narodowe arcydzieło, niesłychanie ważne dla twórczości rzeczy ojczystej (Rzeczypospolitej, s. 57). co więcej utrzymuje nawet, że bez przewodnictwa tego poematu nie można być oświeconym patryotą polskim (s. 53). Sam rozbiór Anhellego. podany przez Norwida. jest jednak tak mglisty, że z trudnością dojść można. o co właściwie mu chodzi; do tego zestawia Anhellego z Legendą Krasińskiego (nazwaną przez niego Wigilią Bożego Narodzenia). przez co tem więcej mąci rozbiór, analogii bowiem między tymi utworami przeprowadzić nie można: podobieństwa przez Norwida wyszukane są naciągnięte, nie wyjaśniają też w niczem obu utworów. O samym zaś rozbiorze Anhellego może wyrobić sobie czytelnik wyobrażenie należyte z krótkiego streszczenia: chcąc podać rozbiór Anhellego. rozwodzi się Norwid szeroko o wszystkich cywilizacyach i o całej cywilizacyi. określa różnicę między cywilizacyą starożytną a chrześcijańską, wywodzi wreszcie. że każda cywilizacya musi mieć dwa bieguny: punkt wyjścia i punkt zamierzchu swego. Po tych przydłuższych wywodach twierdzi Norwid. że punktem zamierzchu cywilizacyi dla Polski jest Sybir: to jest powodem, że Słowacki przedstawił w Anhellim sceny, należące do całego wygnaństwa: idzie więc Anhelli, jak się Norwid wyraża. od Syberyi, gdzie są dzieje serca pojedynczego człowieka — bo tam dzieje narodu kończą się. Wspomina dalej o głównych osobach poematu, Anhellim, Szamanie, Eloi i Ellenai, kończąc na tem rozbiór utworu. Zdaje mu się przytem. że wykazał. gdzie

poemat stoi, jak jest zbudowany, jak się czyta, w istocie jednak kwestye te ledwie że poruszył tak, że do wyjaśnienia poematu w niczem czytelnikowi nie dopomógł.

Nie wiele miejsca zajmują uwagi Norwida w lekcyi V. o „Beniowskim“ i „Królu Duchu“: oba utwory jakkolwiek niedokończone, uważa za najdzielniejszy moment w piórze poety. Przy „Beniowskim“ wskazuje na to, że Słowacki okazał w poemacie swym tę wielką i największą odwagę, by uświadamiać i uwieczniać współczesne i potoczne momenta: poza tem wspomina jeszcze o przekleństwach w Beniowskim. Na tych szczegółach poprzestaje — nie wyczerpawszy zupełnie przedmiotu.

Podobnież rozbiór „Króla Ducha“, na kilku ledwo stronach zawarty, nie uwydatnia w należyty sposób znaczenia poematu. „Króla Ducha“ zowie Norwid najciemniejszym poematem Słowackiego, przyczem rozwodzi się szeroko o ciemności w poezyi, patrząc nań jednak ze stanowiska chrześcijańskiej cywilizacyi i ze strony życiowej nazywa go „zrozumiałym“. Ideę poematu wyjaśnia krótko w ten sposób: „Słowacki powiada w jednym z listów swoich: „że za Sasa — jeżeli na sejmie lub sejmiku człowiek który o wyższem pojęciu ducha narodowego przemawiał — to z kąta gdzieś najciemniejszej sejmowej ławki wydobywał się zaraz głos wołający: „jeżeli co masz, — w trzech słowach jasno nam wytłumacz, a nie czmuć „oczu“. Po przytoczeniu tych słów ciągnie rzecz tak: „Umysły takie są zaiste więcej jak ubóstwione same w sobie i przez siebie — cóż podobniejszego Tytanowi?... Wszechmocny poddał bowiem samą wszechmocność prawom świata, jeżeli sześć dni pracował, a siódmego od pracy odpoczął, gdy tymczasem ludzie owi, podobni do azyackich władców, żadnego wyższego prawa nad osobiste bezprawie uznać nie chcą i nie sięgają nigdy wzrokiem duszy po za ciasny widnokrąg arbitralnej swej jaźni. Głos ich, *ja*, jest harmonią i sądem wieków. Ja jestem środkiem i celem głos od Azyi wołający: Ja i Hurrach“. Czy poznajecie jego tony i skąd płynie? — Równał się on Bogu i pienił się, a potem trawę gryzł, jak zwierzę ciche w obłąkaniu swojem.

Nazywał się on Nemrod i Semiramis i Ne-boh-adno-car, — aż w Judei puszczach głos ów *„Ja jestem..“* napotkał głos inny, który kazał owszem: „Ja jestem niczem, jam głos tylko wołającego na puszczy“, a potem wraz onemu *Ja* odrzekło *nie Ja* w osobie Zbawiciela. Ale chciał on jeszcze spróbować, czyli *nie Ja* prawdziwe jest i poznał, ale to było już przy pękaniu się skał.

było przy ciemności słońca, jako włosianej tkaniny ciemność, było za późno. Więc rzucił włócznię swoją, przebódł i przez szramę ramy zobaczył dopiero twarz w twarz — to *nie Ja* i zadrżał..." (s. 75 nn.).

Na podstawie tych t y l k o słów zapytuje Norwid: „Czy mam teraz objaśniać poemat, który właśnie że dopiero co wytłumaczyłem?", jakby nie rozumiał, że w ten sposób nie wyczerpał nawet jednej części wiążących się kwestyi z „Królem Duchem". Szczegółowe zaś uwagi nie wiele przynoszą ciekawych momentów poza to, że bohaterem w utworze jest *Ja*, że budowa poematu obejmuje cały pas wieków, przyczem dodaje Norwid taką mglistą uwagę: „tem więcej, iż w przedchrześcijańskiej karcie Grecya republikanizmem swoim onemu azyatyckiemu *ja* przez samo jej demokratyczne *my* technicznie zaprzeczała była" (s. 77). Zalicza w końcu Norwid „Króla Ducha" do epopei chrześcijańskich, mających za przedmiot ciąg chrześcijańskiego żywota i cywilizacyi; rozróżnia zaś te epopeje pod czterema warunkami światła: wschodu, zachodu, północy i południa.

Epopeją wschodu jest Jerozolima wyzwolona Tassa, epopeją zachodu Don Quichote Cervantesa, epopeją południa Pan Tadeusz, epopeją północy miał być Król Duch. I to chyba określenie nie wiele posłuży do zrozumienia poematu.

Na rozbiór Balladyny, zamieszczony na końcu rozprawy, w żaden sposób zgodzić się nie można: pozostaje on przedewszystkiem w sprzeczności z oświadczeniem autora, że niczego od siebie narzucać słuchaczom nie chce i że tylko na słowach poety najwierniej będzie się opierać (s. 65). Stosuje Norwid w rozbiorze Balladyny metodę allegoryczną: dopatrywa się bowiem w Alinie — ludu, w Balladynie — parafiańszczyzny, w Pustelniku — tradycyi: lud w tragedyi zostaje omackiem w lesie zabity, tradycya odklęta w pustelnictwo, parafiańszczyzna zaś pnie się coraz dalej rozlicznemi larwami swemi. Parafiańszczyzna odsunęła w grobową ciszę siostrę swoją rodzoną — L u d, sama pnąc się wyżej i panowanie rozszerzając bezhistorycznemi tradycyami (104).

Nie potrzebuję chyba dłużej rozwodzić się nad tem, że wywody te Norwida pozbawione są wszelkiej podstawy, że są zupełnie mylne, podobnie jak późniejsze wykłady allegoryczne Balladyny, podane przez Lwa Jabłonowskiego (1875) i przez Zofię ze Strzetelskich Grynbergową (1902). Już to Balladyna miała szczęście do allegorycznych wyjaśnień!

Kilka wreszcie uwag podaje o dramatach i poezyach Słowackiego, tak jednak ogólnych, że można je zupełnie pominąć.

Tak więc uwagi Norwida o utworach Słowackiego, jeżeli uwzględnimy je nawet z ówczesnego stanu badań literackich u nas, przedstawiają niezwykle mało momentów interesujących — trudno też wyznaczyć wywodom Norwida o Anhellim, Beniowskim i Królu Duchu wybitniejsze miejsce w badaniach nad Słowackim. Niezawodnie, że Norwid przejąwszy się twórczością Słowackiego, odczuwał ją i rozumiał dobrze, w niczem jednak prawie nie ułatwił zrozumienia jej. To też w wykazaniu piękności Anhellego nie jego zasługa, lecz Zygmunta Krasińskiego, pierwszy rozbiór Beniowskiego podał Antoni Małecki. Małecki też pierwszy, a nie Norwid w sposób prawdziwie naukowy starał się wytłumaczyć „Króla Ducha".

Dodajmy do tego jeszcze, że wywody Norwida w wielu miejscach są niejasne tak, że z trudnością można dojść właściwej myśli autora: sam Norwid przyznaje się do tej ciemności (s. 18), jakby szczycąc się nią, sam też podaje, że słuchacze nie rozumieją jego wywodów, ztąd później stara się jaśniej je przedstawić (s. 17, 39).

Oryginalne nadto ma zapatrywania na krytykę literacką, zwłaszcza na zadanie katedr uniwersyteckich: „Nie moja rzecz jest mówić tak, jak się mówi z katedr literackich, albowiem pytanie jest, czyli godzi się przeczystą łzę narodu podnosić na widok na to i na to tylko, aby ją mierzono i ważono. Katedry nie są dzisiaj w celu, aby testamenta pieśni ojczystej narodu otwierać, ale raczej ku temu, aby nauczać gramatyki i że tak powiem, samej kaligrafii sztuki" (s. 67).

Na kilka uwag ogólnych Norwida o Słowackim możemy natomiast zgodzić się prawie bez zastrzeżeń. I tak bardzo trafnie określa Norwid zasługi poety koło języka twierdząc, że poeta równego sobie na tem polu nie ma: „Żaden, ani Adam, ani Zygmunt, ani Bohdan, ani sam Jan nawet Kochanowski nie mieli tak jak Juliusz w jednej lirze języków wszystkich wieków, wszystkich, że tak powiem, płci: od języka Bogarodzicy do pamfletu, od rycerskiego słowa do dziewczyny, dźwięk słowiczy mającej w swym akcencie. To jest klejnotem korony jego — Słowacki miał wszystkie wieków, czasów, społeczeństw, typów i płci języki". Nie występuje wprawdzie tutaj Norwid z nowymi poglądami, podobny sąd bowiem o języku Słowackiego wypowiedział

już w r. 1841 Zygmunt Krasiński, („Kilka słów o Juliuszu Słowackim“ w Tygodniku literackim).

Bardzo głębokiem spostrzeżeniem są uwagi Norwida o współczesności Słowackiego. Twierdzi on, że poeta miał dziwną współczesność i może dlatego właśnie współcześnie był niepojmowany.

Podaje przytem przykład, jak należy współczesność tę rozumieć: kiedy w Warszawie 1836 r. nocą budzeni bywaliśmy przez kolegów, aby choć obecnością naszą zasłać pożegnanie wysyłanym na Sybir: Słowacki wtedy z drugiego końca Europy Anhellego ojczyźnie przysyłał — to jest pierwsza współczesność. Jako przykład drugiej współczesności opowiada Norwid o pewnej pani, która w zimie tego samego roku mówiła mu, że zapowiadają coś ciągle o zsyłkach, a przecież z nas nikogo w czwartek nigdy nie brakuje (s. 96 n.). We współczesności poety widzi Norwid prawdziwy patrycyat jego serca, słusznie też zowie ją obywatelską (s. 97). Szkoda tylko, że tezy tej nie poparł większą ilością przykładów: między innymi w tym związku wspomnieć można o śnie okropnym, który poeta miał w dniu 16. sierpnia 1832 r. w Londynie: zdawało mu się, że należy do zaburzeń. „Kiedym szedł na herbatę, wszyscy spostrzegli zmęczenie na mojej twarzy, wyznałem im ze wstydem sen nocy i przepowiedziałem na ten dzień coś ważnego. Anglicy potem mieli mnie za obdarzonego drugiem widzeniem“ (Listy wyd. L. Meyeta, I. s. 63). W istocie w dniu 16. sierpnia 1831 r. rozegrały się w Warszawie znane zaburzenia.

Trafną jest też uwaga Norwida, że Słowacki był poetą — malarzem, a nawet poetą muzykiem — myśli tych jednak szerzej nie rozprowadza.



Józef Reitzenheim przypisuje Norwidowi tę zasługę, że on „pierwszy ocenił i zwrócił uwagę na Słowackiego jako człowieka, Polaka i poetę. Tłumacząc i stawiając na widnie żywot i dążenie utworów jego, dał początkowanie zajęciu zwiększającemu się odtąd coraz bardziej“ (Juliusz Słowacki, Paryż 1862, s. 8). Rzeczywistość przeczy temu jednak. Ani bowiem w roku wydania odczytów, ani też później nie zwrócono na nie uwagi. Z przytoczonych powyżej powodów nie mogły wywrzeć wrażenia; gdyby nawet rozpowszechniły się więcej, nie przyczyniłyby się do ułatwienia zrozumienia twórczości poety.

Dzisiaj przedstawia książeczka Norwida tylko wartość historyczną, jako charakterystyczny przykład jego badań literackich, świadcząca mimo wszystko o niezwykłem, jak na owe czasy, odczuciu poezyi Słowackiego,. jako entuzyastyczny hołd, złożony poecie tak źle pojmowanemu i tak źle znanemu, jak się o nim wyraża Norwid.

Usiłowania wielbicieli Norwida nadania im epokowego znaczenia w badaniach nad Słowackim nie mają słuszności, najwyższej zaś przesady dopuszczają się ci, którzy nadają im miano przewspaniałych prelekcyi.

Dr. Wiktor Hahn.

MATERYAŁY
do historyi polskiej XIX. wieku.

Działalność emigracyi z roku 1831 na terenie Turcyi do pokoju Paryskiego.

(Ciąg dalszy).

II.

Michał Czaykowski.

Relacye składane X-ciu Adamowi Czartoryskiemu.

27. stycznia 1842.[1])

Spóźnienie się statku, które teraz jest zwyczajną rzeczą, nie wiem, czy mi zostawi dość czasu do dokładnego i obszernego odpowiedzenia na list X-cia Pana, spieszę się i dla tego proszę X-cia o przejrzenie w moim rękopisie o Nekrasowcach,[2]) jest tam niesportezowana prawda i to może posłużyć do wyjaśnienia wielu rzeczy. Oddalenie Nekrasowców jest zapewnie wielką niedogodno-

[1]) Rps. 5486. Bibl. XX. Czartoryskich w Krakowie.

[2]) Ta nazywano kozaków, którzy z nad Donu przeszli nad Kubań, a ztamtąd, pod wodzą Ihnata Nekrasy, przesiedlili się do Dobrudży.

ścią i zmniejsza ich wartość, kiedy się ich uważa jako materyał do bezpośredniego czynu, ale dla nas w chwilach przygotowawczych ma także swoje korzyści. 1. Oddaleni od Moskwy mniej są od niej korumpowani, zachowali większą i nieskazitelniejszą prawość i czystszą nienawiść ku wrogom. 2. Przystęp do nich łatwiejszy pod każdym względem możności dostania się, czasu, kosztów i bezpieczeństwa. Zagubienie się między nimi i wyjście na świat turecki ukradkiem daleko snadniejsze. Im więcej rozważam i uczę się z rozmów Andreja Pawłowicza, starego i bogatego koz.(aka), o którym pisałem do X-cia Pana poprzednio, tem więcej widzę, że Nekr. są sztandarem, że tak nazwę, pod który się garną wszystkie cztery osady naddunajskie. Zagnieździwszy się raz w Binewle, można być pewnym swojego wpływu na osady naddunajskie. Rawski już pod opieką Nekr. może się tam przenieść i siedzieć tam, gdyby było korzystniej i potrzebniej; raz będąc zagnieżdżonym, natychmiast wypada pomyśleć i zacząć pomału działać przez Nekr. na Don, Czarnomorze i Ukrainę. Ja nie uważam Nekr. tylko za ognisko działania jedynie na same kozactwo, ich wpływem nie zdaje mi się, aby co można było działać na Słowian — ich siłą w razie potrzeby można Słow. pomódz. Nekr. uważam za materyał directe dla Polski służący, a nie dla interesu Polski połączonego ze Słow. przynajmniej dopóty, dopóki nie przyjdzie się do ostatecznego działania. Gdyby, co daj Boże jak najprędzej, przyszło działanie pod pozorem połowu ryb w jeziorach, które wynajmują w Rumelii, pod pozorem handlu łatwo im jest po 30 lub 40 dostać się na wskazany punkt: o sposobach, jakie oni podają, dostania się, pisałem w poprzednich moich listach. Oni sami ludzie praktyczni do wojny, czują swoją wadę oddalenia się, ale starają się ją zmniejszyć pewnością, iż mogą dostać się, gdzie zechcą i w tem co mówią, przy takiej policyi, jaka jest dziś w rządzie tureckim i przy tylu przyjaznych okolicznościach miejscowych, nie widać nic niepodobnego. Butuk jest sobie poczciwy i szczery człowiek, wiele a wiele ma zdrowego rozsądku a nawet szlachetności. Nie jest to jednak orzeł taki, jakiegoby można wyszukać między kozakami, na nim wszakoż musimy się oprzeć, — jest to koniecznością, on jest władzą, wyszukiwanie innego i opieranie się na nim, rozburzałoby społeczeństwo ich tak doskonale zorganizowane i byłoby najprzeciwniejsze naszym interesom. Szczęśliwie dla nas, że władza przy Butuku, człowieku poczciwym i łatwym do przekonania, do przywiązania się do nas. Kozacy Nekrasowcy, zdaje mi się, że nas rozumieją dobrze i ży-

czą z nami się wiązać i trzymać. Rozmowy, jakie miano o nas po naszym wyjeździe, a które nam opowiadał Andrzej, nakaz atamana, by nas szukał — wszystko to rokuje dobrze: kiedy zupełnie odgonią od siebie grę imaginacyi, widzę tam dla nas doskonałą nadzieję i daj Boże, by Raw. przyjazd i pobyt odpowiedziały moim nadziejom i chęciom. Raw. wyprawiam za dwa lub trzy dni, spodziewam się, że on odpowie swojemu powołaniu. Będę się starał oszczędzać o tyle, ile można i mam nadzieję, że te pieniądze mi wystarczą dostatecznie, chybaby jakiś nieprzewidziany wypadek wpadł na naszą korzyść, to jest trafiła się nam jaka nowa robota. Butukowi pensyi nie przeznaczę, tylko przyrzeczenie, że nie weźmiemy żadnego zobowiązania się i dopóty mu będziemy dawali, póki nam będzie potrzebny. Rawski przenosząc się nad Dunaj, jeśliby tak wypadło, żądałby tam z pensyą, pókiby nie znalazł sposobu utrzymania się — pensya dla niego jest potrzebną materyalnie na życie, moralnie — żeby między kozakami była idea — on od swego króla pobiera żołd, i my tak będziemy, jak zaczniemy Mu służyć. Daj Boże, by wypadki odpowiedziały życzeniom i gorącym usiłowaniom naszym, ale X-że Pan niechaj będzie pewnym, że wszystką ostrożność dołożymy, by nie zrobiło się nic niepotrzebnego.

W.(ukaszyn?) odebrał wiadomość, iż będzie niebawem wezwanym do Belgradu, gdzie ma zająć miejsce przy młodym księciu. Jest to dla nas doskonała rzecz — zawsze on jest ten sam, prezentowałem go Panu Cor, a w tych dniach będę prezentował P. do Bourquenoy — nie dlatego, abym francuskie poselstwo w czemkolwiek miał mieszać do tych rzeczy, ale dobrze jest, by W. widział tych panów — mógł do nich mówić i mówić, że przez nas był przedstawionym; dobrze by było, żeby pismo mogło wyjść, nim W. zajmie nowe miejsce. Z niego najpewniej rozsnujemy nasze stosunki, pomaleńku wprawdzie, ale pewniej, jak innemi drogami. On związany przyjaźnią z najdzielniejszymi ludźmi — jest stronnikiem Miłosza, jedynego dziś człowieka w całej słowiańszczyźnie południowej, rodziny Miłoszowej, prawej i jedynej dynastyi, która może koło się grupować Słow. Całą tę rzecz on uważa za swoją pracę i kocha się w niej namiętnie, gotów dla niej na wszystkie poświęcenia się. Kiedym mu mówił o sądzie pochlebnym X-cia Pana na jego pisma, łzy mu stanęły w oczach, prawdziwy zapał dał się widzieć — prosił, bym złożył jego uszanowanie, uwielbienie dla X-cia Pana i zapewnił, że na niego może X-że wszędzie i zawsze rachować. On uważa X-cia dziś za duchowego opiekuna

całej słowiańszczyzny; potem Bóg da (mówił on), będzie panem i ojcem kwiatu Słow. (Polski), a nie przestanie być nigdy i naszym ojcem, radą i pomocą. W... napisał do A. M. wiersze pełne dobrych nauk i za te to wiersze ma mieć przy nim posadę. Nie jest to zapewne człowiek, jakiegobyśmy chcieli, ale według mnie przez niego tylko możemy się dostać do tego człowieka i do Serbii, która bezzawodnie jest przeznaczoną do wielkich rzeczy i do skupienia Słow. Zaczepiliśmy się o niego, niechże on nas wiedzie dalej choć pomału, ale pewnie i dobrze.

Nie wiem, czy będzie Zwi. mógł wyjechać przed wiosną, wszystko dla niego gotowe, ale nie masz sposobu łatwego dostania się lądem - samemu pocztą jechać nadzwyczaj drogo — statki zaś teraz nie chodzą; lądem 128 godzin — a to kosztuje. Najem samych koni z Siradzy i Karakuri do 250 fr.[1]) Spóźnienie się jego wyjazdu o kilkanaśnie dni nic nie zaszkodzi, radbym, aby mógł jechać razem z W... albo mało co przed nim, jako Francuz nic by nie kompromitował, a nie byłby w takim ambarasie wynalezienia sobie miejsca — obowiązek Zwie. będzie dowiadywać się i donosić o wszystkiem na początek — potem może odkryje się działanie. Jabym ztąd był w (niecz.) — nie wiem jednak, jak mi się to uda. Co do osady u XX. Laz., o której już tyle do X-cia Pana pisałem, donoszę, iż już zdecydowaliśmy szczegółowe warunki dla kolonistów — czekamy tylko na odpowiedź od X-cia i Sup. Laz., jutro lub pojutrze ma tam pójść już zacząć stawiać chałupę — będę musiał im dać malutką pomoc, by już zacząć tę kolonizacyę. Warunki przeszlę przyszłym statkiem. Jeśli ten projekt znajdzie przyzwolenie X cia Pana — może zrobiwszy w Paryżu potrzebny opis rzeczy, przesłać takowy Małachowskiemu do Rzymu i Hermanowi do Florencyi, by zbierali składki — obydwa ci panowie pisali do mnie już po parze listów, jak najchętniejszych. Zygmunta jeszcze w Rzymie nie było, miał tam przybyć po Nowym roku. Składki uzbierane i włożone w porządne gospodarstwo, dałoby chleb biednym Polakom i dostarczyłoby funduszu na utrzymanie wysłannictwa X-cia Pana i potrzebne wydatki dla Nekrasow. Tu pod Ichambolem można mieć znaczne przychody ze wszystkiego — a z czasem możnaby przykupić ziemi za pośrednictwem księży, gdyby, co nie daj Boże, rzeczy się przewle-

[1]) Nie ręczę za dobre odczytanie nazwisk. W słownikach nazwisk znaleźć nie mogłem. Wogóle z nazwiskami tureckimi wielka niepewność.

kały — ziemia tu tania nadzwyczaj. Własność XX. LL. ma jedenaście mil (godzin obwodu, a kosztuje 26 tysięcy franków. Można na niej ze 6 wiosek osadzić, z bydła i ogrodów korzyści będą natychmiast. Jeśliby Wejsenhoff znał się i chciał trudnić gospodarstwem, możnaby go tam osadzić — jako préposé; — zawsze musi być tam człowiek, któryby zarządzał funduszami stosownie do woli X-cia Pana, w miarę funduszów na to przeznaczonych i przybywających do kasy, możnaby nawet pomagać handlowi zamierzonemu przez Korczaka; dodaję to kilka myśli do dawnych. Możeby X-że Pan życzył komunikować tą rzecz kard. Lembraschiniemu jako robotę korzystną katolicyzmowi, wykonaną za wiedzą i opieką X-cia Pana. Lazaryści życzą, aby wieść o tej rzeczy, zostającej pod opieką X-cia Pana doszła do Rzymu przez Niego — oni sądzą, że tym sposobem Rzym przyznałby pakt między księciem a Lazarystami zawiązany na propagandę katolicyzmu w Słowiańszczyźnie. Teraz co do mnie — zdrowie mi dosyć służy — zaufanie X-cia we mnie i Jego dobroć dla mnie dodały by mi sił na wszystko, a na wszystko gotowym, na wszystko. Kto ma takiego Naczelnika, takiego króla (że się wyrażę według mojego upodobania) jak X-że Pan, co tak umie chwycić za serce i przywiązać do siebie, to koniecznie musi zapominać o sobie i o swoich rzeczach — pragnę, radbym wrócił do żony i do dzieci, choć na czas jakiś — czuję to, że póki nie będziemy mieli człowieka, co weźmie za swoją własność słowiańszczyznę, tak, jak X-że Pan wziąłeś Polskę — dopóty X-że Pan musisz być budzicielem, opiekunem Słowiańszczyzny i mieć tu człowieka, któryby unie słowiańskie i czysto polskie, jakie tu mieć można, utrzymywał w ręce i hodował do dojrzałości, czuwał nad wszystkiem, coraz nowe nici wynachodził, a dawnym nie dawał butwieć i rwać się — taki człowiek w Słowiańszczyźnie podług mego zrozumienia do dziś dnia nie może być tylko Miłosz albo jego syn, chyba okoliczności pozwolą wyszukać i wywinąć się w Rossyi, (nieczyt.) lub posiadłościach niemieckich. — W Serbii, póki dynastya narodowa istnieje, trudno a nawet niepodobna z nią konkurować. Ponieważ postawienie takiego człowieka potrzebuje czasu, trzeba zaraz zbierać tu nici a pracować nad wynalezieniem tego człowieka. Trzy nici zdaje się mamy — W... Nekr... Osada... Jeśliby kto mógł mnie zastąpić, toby dobrze było, jabym się X-ciu zdał w Paryżu, zwłaszcza, kiedy robota zaczęta. Wiem ja, że wprowadzeniu rzeczy muszą się zjawiać trudy, przeciwności, nasze położenie jest takie. Wiem, że co raz nowe żywioły się zja-

wiają, które trzeba skwapliwie chwytać i korzystać z nich, do czego może nie tyle zdolności, ile gorliwości i poświęcenia się idei Monarchicznej i Osobie X-cia.

Tu wszystkie rzeczy mną miotają, że sam nie wiem, jakby tu zrobić — mnie się chce i gwałtem chce wracać, a boję się, by rzecz rozpoczęta nie poszła w poniewierkę. Ja będę robił swoje, wola X-cia Pana zawyrokuje — jak zawiążę wszystko ostatecznie — czynem — może mnie kto potrafi zastąpić, a ja będę mógł powrócić. Zawsze będę dla Polski i dla X-cia — dla X-cia, bo jestem z tych ludzi, co się przywiązują do Osoby. Doskonałości politycznej, kochający zimno i roztropnie, samą tylko rzecz jeszcze nie doszedłem i zapewne nigdy nie dojdę, u mnie serce największym bodźcem moich czynności. Kończę mój list, bo serce moje przepełnia się uczuciami, którebym zawsze powtarzał i którémibym znudzał X-cia Pana. One do mnie zawsze z pacierza co rana i co wieczór przychodzą — w myśli i w sercu ciągle mieszkają.

Polecając mnie i moich opiece X-stwa Państwa, pełen najszczerszego uwielbienia i najwyższego uszanowania dla Nich i Ich Świetnej Rodziny, zostaję X-cia Pana prawdziwym i nieodmiennym

sługą

Michał Czaykowski.

N. VIII. aneks p. t. Niż.[1])

Na Niżu zastałem Rawskiego — wszystko tam ożywione najlepszym duchem — wszystko zachowało też same usposobienia. Zaporożec i Kozacy i Rusniacy chcą iść na gwałt wojować z Moskalem — gospodarze radziby przedawać gospodarstwo, kupować konie i broń i iść na wojaczkę — liczba tych kozaków coraz bardziej się zwiększa zbiegami z Mało-Rossyi i Podola. Kozacy Naddunajscy zwani na Niżu Murugilskimi[2]) zmykają z końmi i bronią. Powiadają, że im dobrze — że ich hetman Wasilewski[3])

---

[1]) Rp. 5486. Bibl. Czart. w Krakowie.

[2]) Koloniści po wojnie 1828 osiadali koło Murugila, a powoli wzdłuż delty Georgiewskiej posuwali dalej na zachód swoje kolonie.

[3]) Pułkownik Wasilewski był naczelnikiem noworossyjskiego kozackiego wojska od r. 1836. Wprowadził rewizyę ludności nad Dunajem (Pereborka) i wcale nie cieszył się tytułem „dobrego". Hetmaństwo jego było tylko fantazyą kozacką.

dobry, ale że oni z Moskalem żyć nie mogą. Od czasu naszego pierwszego przyjazdu wszystkie dawne piosnki, gdzie było na Lachów, poprzemieniali na Moskali i duch polszczyzny zagnieździł się w nich gruntownie. Starszyznę ze Sławy widziałem, przyszli do Kustendżyi, gdzie mieszka Rawski u Kuźmińskiego razem z Polakiem Panajołem — oświadczyli swoje chęci i prośbę, byśmy ich nie zapominali, mówili — „my wszędzie z wami pójdziemy, tylko nas nie przerabiajcie na ułanów, ale zostawcie kozakami, będziemy Wam wiernymi". Ten strach ułańszczyzny pochodzi, że między Nakrasowcami Sławy najwięcej jest zbiegów z posielenia kirasyerów i ułanów. Hanczarowa nie ma na Nizie, wyjechał na kilka tygodni, dozierać swoich rybaków na dunajowych spławniach, ale wszyscy nas zapewnili, że on jest gorliwym naszym przyjacielem. Owa awantura o szpilce była nic nieznaczącą rzeczą, niektórzy zawistni chcieli go prześladować dla tego, że on tajemnicę zachowywał i chcieli, by oddał szpilkę — nie oddał, wygrał sprawę u starszyzny i jest gorliwym propagatorem Polskiej rzeczy. Zaporoże chce gwałtem organizacyi. Kazałem Raw. być bardzo ostrożnie, by ich usposobienia wojennego nie bardzo rozbudzać, kazałem mu, by wypatrywał wysłanników, ale nie wysyłał.

Chcę czekać rozstrzygnięcia serbskiej sprawy, gdyż do Dońców będę przemawiał i do Serbów, do naszych zaś trzeba później przemawiać. Generał austryacki Kaner (?) jeździł po Niżu dla przypatrzenia się między kozakami, ale nic nie widział, bo go nie zawieziono do żadnej wioski Nekrasowców. Dyrektor Ajencyi, Słowianin, umyślnie to zrobił — przez niechęć dla Niemca. Potem było dwóch Niemców inżynierów dla rozpoznania drogi z Isakczy do Kustendży; te odwiedziny Niemców bardzo niepokoją tutejszy lud.

22. maja 1842, Boaz-Kios (Czarnowoda).[1]

Dwudziestodniową podróżą zwiedziłem całą przestrzeń, zawartą między morzem Czarnem, Dunajem, a drogą lądową, którędy mają komunikacyę statki parowe niemieckie od Kustendży do Czarnowody (Boaz Kios) nieoznaczonej na mojej karcie, ale znachodzącej się o trzy mile niżej Rasowy ponad rzeką Kara-Su,

[1]) Rp. 5486. Bibl. Czart. w Krakowie.

którą niegdyś korzystano wszędzie na komunikacyę wodną między morzem Czarnem a Dunajem. Zwiedziłem ajeszliki (powiaty) Kustendżi — Karakaman (Kara-niemar) Babadok - Tulcza - Hirsowa. Jest to centrum ludności tu na miejscu zwanej kozaczą. Dzieli się ona na 2 części. Ihnat — kozacy są wolni od wszystkich podatków. haraczu. obowiązani do wojskowej służby, jest ich cztery wsie Sary-Kios, Dusiłówka. Sława — koło Babadah. Kamień czyli Kanuszka koło Matszyna nad Dunajem. Kilka słobod małych, między któremi najznaczniejsza Dycz-dar o dwie mile wyżej Hirsowy nad Dunajem — ma 20 domów, wioski są bardzo silne, po kilkaset osad, są to dawni Nekrasowcy, tacy, jak i w Binewle, ale pełno między nimi nowych przychodniów kozaków z Donu, kacapów a nawet, jak mówią, Polaków, którzy przyjąwszy ich wyznanie, nie chcą się przyznawać do dawnego pochodzenia. Ludność dokładna, Nekrasowców ciężko ocenić, Turcy jej nie liczą, a oni cały rachunek odbywają na domy — do służby wojskowej zapisanych; jest kozaków 2.500 żołnierza i 100 oficerów — idą zaś w takiej liczbie, do jakiej ich powołują, rozkaz powołania pochodzi z Babadach i tam u Ajasza jest ich liczba rejestrowa. Władze tureckie wcale do nich się nie wtrącają. tego roku dali sułtanowi pewną opłatę, jako darowiznę, nie jako podatek i spodziewają się więcej podobnych darów nie dawać — są w wielkiem zachowaniu u Turków i Tatarów — chodzą zbrojnie i nazywają się faskier-bejlek — żołnierz państwa — tegoż dawnego wyznania, co i Binawelscy, ale bardzo wielkie jest rozwolnienie w regułach. Atamana obierają co miesiąca w każdej wsi albo na tyle miesięcy, na ile się godzi. jest on sługą wioski, nie zaś naczelnikiem i w tem się różnią od Binewelskich, jednak korporacya jest doskonale zachowaną. bogatsi od Binewelskich w stada i gospodarstwo. prawie wszyscy rolnicy i rybacy, ale tylko koło swojej wioski. Lubią wojnę i mają dużo ducha wojskowego. Nie chcieliby być pod panowaniem moskiewskiem, czują chylenie się do upadku Turcyi, radziby zrobić opiekę jaką — o Polakach mają dobre mniemanie. wierzą, że Francya mogłaby się nimi równie jak Polakami opiekować, mają twarde rozumienie, że W. X. Konstanty żyje i że jest z Polakami we Francyi albo we Włoszech — to mniemanie podzielają wszyscy mieszkańcy tego kraju, rozumieją również. że wojna wkrótce nastąpi, a Konstanty do tego będzie powodem. Ces. Mikołaja wszyscy nie lubią.

Drugi rodzaj kozaków są nasi Rusini, zbiegi i od panów i z wojska. Są między nimi i Moskale, ale tych nie bardzo wiele —

liczba tych kozaków wynosić może najmniej 10 tysięcy, samych męskich głów. Jedni są osiedli i gospodarze, drudzy służą u Turków, Tatarów i rajów chrześcijan. osiedli znachodzą się we wsiach tureckich, mołdawskich, tatarskich i innych — mają zaś słobody zamieszkałe przez nichże samych, tych liczą na 25, gdzie niemasz tylko kozacy, znaczniejsze są: przedmieście Tuleczy, Jannerlika, Monastyryszcze, Nowe sioło, Kambadzyja i Czallerowa — ci kozacy są znajomi (tak). płacą haracz, dziesięciny, dary i to wszystko winni raje tureccy — biją ich w pięty itd. — dlatego nie lubią bardzo Turków, ale gorzej Moskala. Ku panom pol. mają wiele żalu, jednak tu na ziemi tak urodzajnej, jak nigdzie znaleźć nie można, tęsknią za Polską. Polską zwą swoją ojczyzną. Ludzie osiedli nie wszyscy życzą wojny, są, co jej się bardzo lękają, ale wątpię, czyby wielu zostało się w domu, gdyby ich powołano na wojnę. Ludzie bezżenni, nie osiedli, a tych daleko większa jest liczba, nie myślą o niczem więcej, jak o założeniu nowej Zaporoskiej Siczy i o wojnie — odważni, energiczni, oczajdusze, mają wielką wadę pijaństwo. Do tego ich zachęcają Turcy i Tatarzy, którzyby chcieli ich zawsze widzieć bez pieniędzy, aby łatwiej utrzymać w służbie, a doskonale pracują żydzi, ta szarańcza naszego kraju i tu się zagnieździła. Turcy ich protegują w zakładaniu karczem. Z tego pijaństwa pochodzi brak korporacyi i porządku, mają oni po swoich swobodach czostodzych czyli starostów, ale ich nie słuchają, a często nawet biją. Mimo tę niesforność i pijaństwo, jest to bogaty żywioł dla Polski, łatwo ich poddmuchnąć, a mnie się zdaje, że nie bardzo trudno prowadzić dobrą drogą, tylko trzeba ludzi zdolnych a wyrozumiałych. — Siczy zaporoskiej już nie masz, a Zaporożce, którzy popowracali bejami, służą u drugich, niektórzy siedzą po słobodach — rozrzedzeni — wielu poturczonych znachodzi się między Tatarami, nie mają tu nigdzie swojego zbiegowiska, używają jednak wielkiego zachowania między bezżennymi (bastukami), są to jak cudotwórcy, koło których można innych gromadzić. Inni mieszkańce tego kraju są Tatarowie krymscy, mieszkający osobnemi wioskami, Turków niewiele, wielka ilość Mołdawianów, najwięcej zbiegów z Besarabii — ci ostatni snadno połączyliby się z kozakami. Ledwie do 100 tys. mieszka na tych ogromnych stepach i dziesięć mil można jechać i nie zdybać żadnej wioski — ziemia urodzajna. Dotąd policya turecka nie bardzo gorliwa — moskiewskich szpiegów można unikać, a policya doskonała do naszych robót. Komunikacye z Besarabią mogą być bardzo łatwe, z Mołdawią i Bezarabią także,

a w czasie potrzeby ztamtąd można ludzi wprost w kraj prowadzić. Po tym zarysie ogólnym przystępuję do szczegółów. W Sławie byliśmy przyjęci bardzo gościnnie, mówiłem, żeśmy polscy kozacy w pobratymstwie, znalazłem ich chętnych i gotowych do wszelkich sojuszów, prosili mnie o moje imię, dałem je im. w Sary-Krobi (po turecku Kara-issar), które się uważa za naczelnictwo osad Nekrasowskich. Jak najserdeczniej nas przyjęto, wiedziano o nas z Binewle, cała starszyzna z atamanem wyprowadzali nas za wieś, a przez czas naszego dobowego pobytu i tam i tam wygadzano nam z prawdziwą uprzejmością i szczerością. Najznakomitszy kozak z Sary-Kios, Osyp Siemianowicz, sam zaczął do mnie mówić: Ja wiem, kto ty jesteś i po co jeździsz — my śmielsi jesteśmy od Binewelan, bliżej jesteśmy Europy, lepiej znamy rzeczy — chcemy przyjaźni i pobratymstwa waszego i wspólnej z wami zaszczyty od Francyi, proszę ciebie przedstaw nas dobrze i rachujcie na nas — po tych słowach gadałem mu o wielu rzeczach — on je w dobrem świetle widział — mówił — my z ziemi naszej i z Turków jesteśmy kontenci, ale widzimy, że oni utrzymać się nie mogą, jeśli będziemy mogli utrzymać się na tej ziemi pod pewną opieką to dobrze, jeśli nie, to przejdziemy na inną ziemię, n. p. na waszą: starajcie się zbierać swoich, a nas zastaniecie zawsze gotowych — dodał — to, co odemnie słyszysz, pochodzi od wszystkich naszych staryków. Nie sądziłem tedy dalej rozwodzić rzeczy, kiedy w nich jest więcej gotowości, jak u nas. W oczach moich starszyzna zrobiła mu znak, by mnie wziął na stronę i mówił, był tedy jej organem a ja wolałem mówić z jedynym jak z wielu, bo się mniej kompromitowałem, jeśli my swoje roboty skończymy na niczem. — rozstaliśmy się z sobą w nadziei prędkiego zobaczenia... W wsi tatarskiej Kasantydze dowiedziałem się od Tatara, jak mi się zdaje poturczeńca-zaporożca, że jeden z lepszych i znakomitszych zaporożców żyje w Kara-Karmonie. Pojechaliśmy tam, po drodze w Kazaduja zdybaliśmy tego zaporożca, Stepana z Nenoiwskiego kurenia, z kilkustu młodymi Ukraincami, z nimi razem jechaliśmy stepem do Kara Niemenca, oni nam śpiewali piosnki i dokazywali na koniach, bo byli tęgo podpici, sam tylko Stefan był trzeźwy i ciągle nas uważał. W Karahusmanie w Napaице przystopi (nieczyt.) przyjął nas doskonałem, zamożnem śniadaniem, kazał Ukraińcom wyjść i oni poszli, zostawszy sam na sam ze mną — mówił o dawnej Siczy, o błędzie Hładkiego, jak sam uciekł Mosk. rąk — pytał, czy nie myślę zbierać na nowo Siczy — odpowiedziałem — ha, nie pozwolą,

trzeba wprzódy wypędzić Moskala z Polski, a tam król pozwoli założyć Sicz na miejscu, gdzie niegdyś byli sławni Zaporożce — rzekł: Ja gotowem i do wojaczki, a mołodźców takich przyprowadzę, że się za nich nie powstydzę, szczerze do ciebie mówię, musisz ty być dobry człowiek, kiedy ciebie z Karantyna do mnie przysłano — na Lachów tu krzyczą, ja ich nie znam nad Dunajem, na Siczy urodziłem się i wzrosłem, ale słyszałem od starych, że w Polsce było dobrze mołodźcom — może Bóg da, że jeszcze będzie lepiej. — Chwilę pomyślał i powiedział: Nie myśl, żebym to ja mówił dla dostania bakszyczu, jak to niektórzy mówią, ja mam pieniędzy i pokazał mi potem trzos złota. Ja służę u Turków, żeby nie siedzieć w Tessarze (więzienie), jak to zrobiono ze wszystkimi ze starszyzny, a z Hładkim pokpili, a potem im się dostali w ręce — bogatszy ja, jak mój gospodarz, mam konie, bydło, chusty i więcej sieję, jak on, — on to wie, ale dobry człowiek choć nie chrześcijanin, nie zdradzi mnie — w końcu prosił mnie o znaczek, za którym by mógł poznać człowieka odemnie przysłanego — dałem mu medalik — przyrzekł, że ktokolwiek z takowym się pokaże, znajdzie go gotowym. Mówił mi o drugim starym Zaporożcu Ksyńku, mieszkającym w Słobodzie Satanowa, wyjechał on do Warny, ale on przyrzekł, że z nim się tak umówi, jak ja życzę i że mogę rachować na niego. W Kustendżyi znalazłem człowieka rodem z Kodii, Samojło Kuźmiński, stary, ale bardzo poczciwy człowiek, kocha Polskę i Polaków, córkę wydał za Polaka nazwiskiem Parajoł, sprawnego chłopa a trudniącego się połowem, więc i teść i zięć gotowi na wszelkie a wszelkie posługi. Kuźmiński porządny człowiek, szanowany między ludem, ma syna prawie najlepszego gospodarza z kozaków naszych. Parajoł młody, sprawny, lepszy od wielu innych (nieczyt.) będących w Turcyi. Pod dobrą dyskrecyą może być bardzo użytecznym. Co do komunikacyi, jadąc zwiedzać miejsce Siczy, znalazłem człowieka nazwiskiem Giorgi, który jest mieszkańcem Besarabii, a ma agnaty i dom między Tulczą a ujściem Dunaju. Przez niego możnaby wiele rzeczy przesyłać — o nim można się dowiedzieć w wiosce mołdawiańskiej Kulika, od Ruśniaków tam mieszkających. W Tulczy i Isakczy Moskale mają mnóstwo szpiegów a nawet i miejscowych, płatnych przez siebie, jednak i tam są dobrzy ludzie i dziarscy mołodzcy. W Babadach Hassan-bej ajan tamtejszy przysłał mi w prezencie baranka. Byłem u niego z wizytą, ale nie miałem mu co dać w darze, bo to wielki pan, a moje sprzęty nie wiele warte, gdybyś jednak X-że Pan zamy-

ślał co tu robić i posłać człowieka, trzebaby pomyśleć o prezencie dla Hassan-beja, naprzykład piękne strzelby z pistoletami. W Hirsowie Sali-Aga ajan przyjął nas na kwaterę i bardzo uprzejmnie gościł, dałem mu parę pistoletów, był kontent: zaręczyliśmy sobie dobrą przyjaźń; ma on w swoim ajanliku wielu kozaków i Hirsowa jest najlepszem miejscem, gdyby trzeba było przechodzić do Wołoszczyzny. Gdzie nie miałem potrzeby tajemniczyć, brałem kawasów na przewodników. Z tych kawasów znalazłem trzech ludzi — w Tulczy tak zwanego Hadży-Baba, Ruśniak, tęgi żołnierz i tęgi człowiek, nieprzyjaciel Moskali, zna Polaków i ich lubi. W Matczynie Husseju-Effendi był w niewoli moskiewskiej, porządny człowiek. W Hirsowie Alisz, on bardzo dobry chwat, ale pociągać lubi wódkę. Na prowincyi kawasi używają wielkiej powagi, z nimi można mieć interesa. Kto tam pojedzie, może się odwołać do ich znajomości z (nieczyt.) francuskim, który wojażował swoimi końmi z trzema ludźmi, to jest Askadaszem, Tesdżymanem i Neferem, toż samo odwołanie może służyć do Sali-Agi i do Hassan-beja. W Babadach zastałem instruktorem pułku tatarskiej jazdy Polaka Stefana Juszyńskiego z augustowskiego, poczciwy człowiek, ale ogromna ciemnota w głowie, a że się poturczył, ztąd niepoważany u Turków, tak zakochał się w trunkach, że już ma twarz opuchłą. Pułkownikiem tego pułku jest Murad-bej, Tatar z rodziny Girajów, nie było go w Bobadach, chciałem się z nim poznać, jest on rodem z tego kraju i uważanym przez wszystkich Tatarów jako naczelnik, bardzo majętny — jego znajomość może się przydać, komenderuje pierwszym pułkiem Tatarów. — Po wielu miejscach są Polacy zmieszani, tak w Tulczy jakiś Pawłowski, we wsi Kustrowie Pawlikowski, ale to nie wiele warci. Wielu poprzyjmowało religię grecką, bo tu nasi kozacy są więksi nietoleranci jak Nekrasowce, zaraz naglą do przyjęcia schyzmy, jeśli wiedzą, że katolik, można jednak żyć między nimi i mieć wpływ na nich, będąc katolikiem, nie głosząc tylko tego, uniatów dość lubią. Za tym okresem ziemi są nasi (niecz.) i Wydynia, ci po większej części nieosiadli, na robocie tylko, gotowi się kupić do każdego miejsca, gdzieby się objawiła nadzieja zakładania Siczy lub wojaczki — mało jest osiadłych, a i ci nawet przenoszą się do nowo założonych osad koło Babadach. Koło Sylistryi ma się znachodzić wielka wioska Tatarów, zamieszkała przez samych Nekrasowców, w przejeździe moim będę widział i tych i tych i poznam dokładniej, co to jest, jeśli Bóg pozwolli... Dwojaki sposób jest dzisiejszego działania naszego na kozaków.

1. Jeśliby rząd turecki sam oficyalnie przyzwolił na założenie nowej Siczy z jakiemkolwiek bądź nazwaniem na wzór kozaków Nekrasowskich, o to możnaby się starać. Kozacy by sami o to prosili, bukczyszem tylko pomódz, by im wyszła pomyślna rezolucya, nie robiąc z tego żadnego hałasu, milczkiem, możnaby to wyrobić a przynajmniej o to tentować. 2. Gdyby przyszło obawiać się odnowy, a tem samem obudzenia podejrzenia, osadzić się w okolicy Babadach pod pozorem gospodarczym lub handlowym, a najlepiej obydwoma razem, za uzyskaniem opieki Hassanbeja i ztamtąd wywierać i utrzymywać wpływ. Osadzenie się na ziemi tureckiej łatwe. Turcy dają ziemię do uprawy i na wypasy, za opłatą i dziesięciny, osadza się, pozwalają tym co płacą haracze i chcą być rajami.[1]) Fran(cuz?) może być w osadzie, byle tylko nie posiadał ziemi, nie jest obowiązanym do rajasostwa, można trudnić się wychowem bydła i handlem towarów małej wartości, a potrzebnych do codziennego użytku ludu, jako to chustki, perkale, pasy itd. itd. Posiedziawszy tam z pół roku, można snadnie mieć od 4 do 5 tysięcy ochotników, koni jest dość u Tatarów i Mo(*nieczyt.*), można mieć konie od 8 do 9 dukatów głowa w głowę i to dobrych — o siodła kozackie łatwo, a ja sądzę, że broń może być łatwo przywieziona do Kustendżyi lub Karakiermanu. Cień X-cia Konstantego czyli samozwaniec może być z pożytkiem użyty. Na to wszystko trzeba pieniędzy i znacznych pieniędzy i roboty bez zasypiania ostrożnej ale bez odkładania do jutra. Ja tylko przedstawiam, X-że Pan osądzisz, co będzie właściwem. Ja teraz na Siczy, nie znając o robotach i usposobieniach Polski a nawet Europy, mogę się mylić mniemając, że Polska sama przez się nigdy nie powstanie, jeśli ztąd siła jakakolwiek bądź nie wyjdzie do kraju, że Europa nigdy nam nie pomoże, póki nie pozna na jawie, że my sami bez niej możemy dla siebie robić i zrobić.

Podróż moja pełna niewygód, kosztów, kłopotów i nawet powiem niebezpieczeństw, bez żadnego firmana, z prostą turecką (?) do Widynia i okolic, bo dokąd indziej nie chciano mi jej dać, bez znajomości kraju i ludzi — bez innej rekomendacyi jak do Nekrasowców, musiałem efronterya, śmiałością i datkami torować sobie drogę — gdzie nie umiano czytać, pokazywałem (nieczytelne) za firman, gdzie umiano, sam prezentowałem się z drogmanem, a widząc porządnego człowieka, nie śmiano pytać o pa-

[1]) Rajami nazywają Turcy ludność większą chrześcijańską, będącą w pewnym feudalnym stosunku do spahijów (szlachty).

piery, tylko robiono o com prosił. musiałem kupić swoje konie, pocztowych tu niemasz, zresztą gdyby i były, nie możnaby się niemi kręcić jak po szachownicy, bez obudzenia podejrzenia, swojemi kręciłem się ode wsi do wsi, byłem na dawnej Siczy, jechałem nad granicą mosk., nocowywałem na widoku ich Czardaków, w Tulczy zdybałem się z oficerem i 20 kozakami dunajskimi, przybyłymi dla szukania zbiegów — Ruśniacy nachodzili moją kwaterę — nieraz dusza mi drżała, żeby jakieś nieszczęście się nie zrobiło. Bóg pozwolił, że dobrze poszło, w Nim tylko miałem nadzieję i jemu składam dzięki, że mnie tak obronną ręką wyprowadził. Teraz jadę na Rasowę, Sylistryę do Ruszczuku, mam nadzieję dowiedzieć się o Zwier. i pisałem do niego z Matczyna. Jeśli mi pozwolą z Ruszczuka jechać na Szmulę, Filipolis do Adryanopolu i Stambułu, to zrobię, jeśli nie, to pojadę na Widyn, Nissę. Wolałbym pierwszą drogę, bo krótsza i zamieszkała przez Ruśniaków, druga już należy do wydziału Serbii. Jeśli znajdę jaką dobrą zręczność, to będę pisał do X-cia z Ruszczuka. Ten list odsyłam do Ichambola pod adresem p. Leleu. Koszta mojej podróży są ogromne, wszystkim biedakom naszym trzeba dawać, by ich przychylność zyskać — dla tego proszę X-cia Pana o prędki odpis na mój list, proszę o pozwolenie powrotu, choćby czasowego, inaczej, jak długo potrwa decyzya X-cia Pana, mogę się znaleść w Ichambule bez pieniędzy — zaś konie kosztują po 12 duk. koń w konia — spodziewam się, że na nich nie stracimy, jak pójdą do Ichambola. Jak przyjdzie mi jechać na Widyń, to ze trzy tygodnie więcej drogi, a zatem i trzy tygodnie wydatków. Jeszcze dodaję, w Kustendżi poznałem p. Radziszewicza, Styryjczyka wygnańca, jest on z rodziny zamożnej, która podniosła bunt w Styryi przeciw Cesarzowi Józefowi. Od tego czasu rodzina jego tułała się po Włoszech i Wołoszczyźnie, ten ma swój dom w Kustendżi, administracya stat. par. zrobiła go oberzystą, jest to dzielny Słowianin — człowiek niepospolity i serca i energii wiele — zapoznałem się z nim i obiecałem utrzymywać dalsze stosunki — zna on Draszkowicza, dobrze bardzo o nim mówi. W tej administracyi są i dwaj inni Styryjczycy Maynowicz i Dubrowczyc, dobrzy ludzie, ale niewielkich zdolności. Prosząc jeszcze raz X-cia Pana o jak najprędszą odpowiedź i o pozwolenie — zostaję na zawsze dla X-cia Państwa, Ich Rodu pełen najwyższego uszanowania i najszczerszego uwielbienia, zawsze gotów na rozkazy X-cia dobry i nieodmienny sługa

Michał Czaykowski.

31. marca 1843. [1])

Pan Wincenty Rawski przybywszy do Carogrodu z p. Bol. Wielogłowskim, natychmiast się zajmie wywiedzeniem o kozakach, w miejscach i ze źródeł już mu wiadomych, będzie miarkował z ludzi. od których one wychodzą, o ile prawdy w sobie mieszczą i o ile zasługują na wiarę i uwagę — z takowych wiadomości sporządzi raport na dwa egzemplarze, opieczętowawszy każdy z osobna. złoży p. Wielogłow., aby jeden był przesłany do Władzy Najwyższej Naszej. drugi abym ja znalazł za moim przybyciem do Carogrodu. Sam nie będzie dłużej bawił w Carogrodzie, jak dni kilka. przez ten czas będzie się starał jak najmniej pokazywać przed ludźmi, na przypadek, gdyby był przez kogo ze znajomych takich, przed którymby się musiał tłumaczyć, zapytany co robi, ma odpowiedzieć, że wraca do służby schronienia. Będzie u X. Leleu, do którego piszę, prosząc, by p. Rawski mógł mieć pozorną missyę skupowania bydła, owiec i koni dla Schronienia. Będzie u p. Ludwika Robert, którego proszę o danie listów p. Rawskiemu do doktorów Warny, Kustendży i Ruszczuka. P. Wielogłowski zakomunikuje Panu ustępy o nim w listach moich do ks. Leleu i do p. Roberta. Nie rozgłaszać swego przybycia między osadnikami. Klacz zda p. Wielogłowskiemu a od niego weźmie 150 fr. na kupno innego konia.

Odnowić znajomość z Semenem z Kinczule, Sejmem i ze Stepanem z Kara-hasnem. Pierwszego trzeba uważać jako za najdzielniejszego człowieka do działania na zaporożców i kozaków Ruśniaków na miejscu — drugiego do zawiązania stosunków z zaporożcami, będą oni nad morzem Azowskiem. a może i z Czarnomorcami. Zwiedzić wszystkie wioski kozaków Ruśniaków, wiedzieć o liczbie mieszkańców w każdej wiosce, o liczbie tych, którzy się włóczą na Nizie bez mieszkania i tych, którzy są za Niżem — o ile można najdokładniej. Wyszukiwać ludzi celniejszych, szczególniej nie pijaków, ale statecznych gospodarzy, z nimi mówić o naszej rzeczy, ale bardzo ostrożnie, — więcej od nich wybadywać, jak ze swojem się wygadywać, mówić o przyszłości polskiej, pod królem polskim. Imię króla robić jak najpopularniejszem. tak, by ono mogło być w czasie słowem korzystnie przemawiającym do kozactwa. Upatywać ludzi zdolnych na usługi rozmaite. Popów wszędzie szanować. Zachować jak najlepszy stosunek z Bułga-

---

[1]) Rp. 5486. Bibl. Czart. w Krakowie.

rami na Nizie i za Nizem, jeśliby się z nimi zdybywało — oświecać ich o szkodliwości wpływu Moskwy, mówić o Polsce i o Francyi tak, jakieśmy mawiali w podróży. Ze Słowianami, będącymi przy administracyi statków parowych mieć dobry stosunek i przez nich dowiadywać się o wielu rzeczach, ale przed nimi bardzo mało mówić. Poznać kupca Polakowa, mieszkającego koło Pryzowej i być z nim bardzo ostrożnie, ale wymacać, co on jest. Jak najprędzej napisać do p. Wielogłowskiego, czy ekspedycye do pana mają być posyłane pod adresem M. Isidor Rawa w kopercie K. Narynowicza-Radyszewicza, czy też pod innym adresem i w innej kopercie, czy mają być adresowane po francusku czy po grecku, czy po rusku, zgoła o tem jak najdokładniej donieść p. Wielogłowskiemu. Daję Panu list akredytujący po rusku, który Pan możesz pokazać Hanczarowowi lub komu osądzisz być potrzebnym. Z rozkazu Władzy naszej posyłam niniejszą instrukcyę p. Wincentemu Rawskiemu, obowiązując go do wykonania onej z należną roztropnością, przezornością, gorliwością i umiarkowaniem.

D. 31. marca 1843 roku w Paryżu.

Michał Czayka Czaykowski.

16. lipca 1843. [1])

Załączam ks. Panu wyciągi z raportów P. Raws. i jego przedstawienia. — Poleciłem mu wejść w jak najściślejszy stosunek z czerńcami Monasteru — ztamtąd będzie najpomyślniejsze działanie na Ukrainę — tam dobrze idą rzeczy — tylko trzeba pieniędzy a pewnie osiągniemy nasz cel. Polecam p. Rawie ostrożność największą i wyszukiwanie ludzi — widzenie się z Ganczarowem — po raporcie o tem widzeniu się rozpocznę kroki do (nieczyt.) jakie właściwe. Mam zamiar sprowadzenia z Niża żony dla osadników, tylko czekam na decyzyę o Czyfliku. L. Sadowski życzy pojechać do Kunstendży, by opatrzyć to miejsce — gdyby z układu nie można go było utrzymać w osadzie, natenczas, jeśli dobrze przejmie się sprawą Bułgaryi, będzie właściwym człowiekiem w Kustendży, zkąd mógłby się udać dalej — do Tyrnowy, tylko trzeba mu wyperswadować chęć jechania do Paryża.

---

[1]) Rp. 5486. Bibl. Czart. w Krakowie.

7. sierp. 1843.[1])

Załączam ks. Panu wyciąg raportu z Niżu, są tam bardzo ważne rzeczy, szczególniej zasługuje na uwagę Monaster Czerńców, trzebaby przez X. Leleu przysłać z parę niezłych obrazów do tego Monasteru, gdyby można ze złocistemi ramami, ale właściwych cerkwi gr. obrządku i jakie inne podarunki do cerkwi, oraz dar jednorazowy pieniężny, a co lepiej przeznaczyć rocznego datku po 500 fr., coby nam w lennictwo dało tych mnichów. Mając ten Monaster i Nekrasowców, ma się w ręku Niż i możność działania za Don i Ukrainę. Jak się skończy sprawa serbska i uspokoi drukowanie gazeciarskie o nas, ja będę musiał jechać na Niż, ale w takim razie prosiłbym o rozmaite małe prezenta właściwe dla kozaków, (Nieczyt.) za nie można mieć na licytacyach w Paryżu — oraz z kilka pałaszów kupionych w skadach — tylko wybierać dobre klingi — pistolety tanie itd. itd.

Monaster na Niżu jest tą korzyścią, że przez niego wysyłając emisaryuszów na Ukrainę, ma się do czynienia z jednym przełożonym, nadaje się urok świętości posłannictwa, ma się w ręku cały Niż, a na przypadek nie kompromituje się rzeczy.

26. września 1843.[1])

Odebrałem od p. R. trzy doniesienia z 6., 16. i 22. września razem, w pierwszem donosi o widzeniu się z Ganczarowem, o którego szczerości i dobrych chęciach coraz więcej się upewnił. Ganczarow podjął się zrobić związek z wyborem starców Nekrasowców i związkiem zapewnić się od wszelkich basni i ugruntować możność działania niejako spiskowego — ta myśl Ganczarowa jest dobra, nieomieszkam ją zalecić p. R. W rozmowach Ganczarowa widać wiele zdrowego pojęcia. Mówiąc o tem, jak swojem usiłowaniem potrafił zniweczyć owe plotki, które oskarżały R., że jest moskiewskim agentem — tak się wyrażał: „Ja dawno jestem przekonany i pewny o was, że wy z dobrej strony, że

[1]) Rp. 5486. Bibl. Czart. w Krakowie.

macie dobre i zbawienne zamiary dla nas — ja pamiętam, cośmy z P. M. Cz. w Ruszczuku gadali i wiem doskonale, żeście wy od X. Czart., a waszego przyszłego króla, ale ten list, który teraz odbieram od P. Cz. jeszcze bardziej mnie utwierdza, proszę więc zawsze pamiętać o mnie i nie wypuszczać mnie ze swej opieki, a nadewszystko w czasie powodzenia się politycznego, to jest wojny lub coś podobnego, proszę i błagam pamiętać o mnie i rachować na moją gotowość na wasze usługi, o ile będzie w mojej mocy", po kilka razy prosił, by rachować na Nekrasowców. Największym powodem owego podejrzenia było, że nasi polscy kozacy, przytomnością R. podkrzepieni, zaczęli się przechwalać, że nim do czego innego przystąpią, dadzą hartu brodaczom-kacapom-Nekrasowcom. Że już mają swoich panów. R. bardzo rozsądnie zapewnił, że ja najwięcej mam przychylności do Nekr., że to na moje przedstawienie ks. Pan chce się nimi opiekować — to zapewniło Ganczarowa już zapewnionego — oświadczył, że jak tylko związek zawiąże, gotów na każdy mój rozkaz jechać do Paryża do Księcia Pana i żąda, bym ja mógł choć na kilka niedziel dojechać na Niż dla uregulowania rzeczy. — Ganczarow rezonuje i przedstawia rzeczy, jak człowiek wprawny do czynu. Dziś R. bardzo dobrze się sprawuje, bo się trochę obawia czynu, a tem samem do niego nieprowokuje. Drugi Nekrasowiec wyborczy: (Nieczyt.)dowski Sitkarow, o którym pisałem, zgłaszał się do R., by się z nim mógł widzieć. R. uda się z Kunstendży do Kara-su na jarmark, gdzie zastanie wielu Nek. i Zaporoż. W drugich dwóch listach R. prosi o gratyfikacyę na ubranie zimowe i na konia dla służącego, gdyż tak nie może bezpiecznie jeździć. Czuję ja jego potrzeby — ale muszę mu odmawiać, póki nie nastąpi inny rozkaz Ks. Pana. Tłumaczy p. R., że służba na tem może cierpieć — będę się starał jak można temu zaradzić.

Posłałem p. R. polecenie, by się udał na nowo do Monasterca; z rzeczy, które mi przywiózł P. Jach. posłałem prezent Ihumenowi. Ten związek z Monasterem jest rzeczą konieczną dla nas, zdaje się, że Czerńcy są dobrym elementem. Dowiedziawszy się, że przybył do Stambułu Hassan-bej, jeneralny rządca Niżu — posłałem do niego drogmana naszego z powitaniem, a korzystając z tego, że w roku przeszłym w czasie mojej podróży przysłał mnie (nieczyt.) podarunkiem mu posłałem jeden z pierścieniów przywiezionych mi przez Jucha, bardzo rad przyjął podarunek — pojutrze będę u niego — już zrobiłem kroki, by mieć jego prote-

kcyę dla R... Stosunek z nim jest ważną rzeczą — bardzo jestem zadowolony z naszego drogmana, który doskonale spełnił swą misyę, tak jak wszystkie inne spełnia. P. R. odebrał 60 duk. tur. czyli 300 fr. na trzechmiesięcz. żołd od 18 br. do 1. stycz... Chciałbym zaraz wyjechać na Niż, jak tylko obsadzi się sprawa serbska.

Fr. Rawita-Gawroński.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Fryderyka Chopina
pierwsze lata w Paryżu.
(1831—1838).

STUDYUM BIOGRAFICZNE.

Choć było to wkrótce po rewolucyi lipcowej, która, jak burzliwy huragan przeciągnęła nad Francyą, a zmiotła tron Karola X., Paryż już w pierwszym roku „mieszczańskich rządów“ Casimir Periera za panowania Ludwika Filipa odzyskał swój normalny wygląd zewnętrzny, powrócił do zwykłego trybu życia, które tu, jak dawniej, znów się toczyło gorączkowo i wesoło, zabiegliwie i pracowicie. Choć naprawdę sytuacya była wielce niepewna, tak, że jeśli nie kraj cały, to przynajmniej jego stolica miała zbyt wiele podobieństwa z domem po świeżo ugaszonym pożarze, gdzie jeszcze każdej chwili trzeba być przygotowanym na nowy wybuch utajonych i stłumionych płomieni; i choć znaczna część ludności, a zwłaszcza ludność robotnicza, nie zaspokojona w swych rozbudzonych apetytach na cudze mienie, tylko silnym policyjnym rygorem jako tako była trzymana w karbach, to jednak pozornie, na ulicach, wszystko wróciło do równowagi, tak, że nie bardzo by skłamano, gdyby, naśladując pewnego rossyjskiego męża stanu, rozgłoszono po szerokim świecie, że *l'ordre regne à Paris*. Jakie rewolucyjne zażewia tlały pod szara warstwą popiołu, w to, oprócz

lękliwego rządu, nikt nie wchodził: snać wystarczało ogółowi, zajętemu przedewszystkiem „wzbogacaniem się“, że popiół, choć gorący jeszcze, już nie parzył, a więc pozwalał nie troszczyć się o to, co się dzieje pod spodem. Na powierzchni, gdzie nikomu nie przychodziło na myśl, żeby sobie tym popiołem posypywać głowy, święciła tryumfy *la joie de vivre*. Bawiono się i używano zapamiętale, a jednocześnie bodaj że nie było dnia bez jakiejś politycznej demonstracyi na bulwarach lub przed pałacem królewskim. Ale wielkie manifestacye kończyły się rozpędzeniem przez wojsko, aresztowaniami i — karykaturami w pismach humorystycznych (raz po raz konfiskowanych), a życie nie ustawało w swym zawrotnym pędzie. Co dziwniejsza, że sztuki piękne, tak płochliwe zazwyczaj, nie tylko nie dały się wystraszyć z podminowanej stolicy, ale nawet dostrajały się do jej wolnościowego dyapazonu, jak o tem świadczył posąg Spartakusa, świeżo odsłonięty w Jardin des Tuilleries (a więc pod oknami królewskiego mieszkania), albo słynny obraz Eugeniusza Delacroix, apoteozujący Rewolucyę Lipcową, a wystawiony w r. 1831 w paryskim Salonie, w bliskiem sąsiedztwie niemniej rewolucyjnego Cromwella Pawła Delaroche. Ztąd, jako stolica sztuki, czy to w zakresie malarstwa lub rzeźby, czy muzyki i literatury, Paryż nic nie stracił ze swej świetności, a może był świetniejszym jeszcze, niż kiedykolwiek. Mieszkający tu od paru miesięcy Henryk Heine tak go scharakteryzował w jednej ze swych korespondencyi: „Francya robi wrażenie ogrodu, z którego pozrywano wszystkie najpiękniejsze kwiaty, aby je związać w jeden wspaniały bukiet, a tym bukietem jest Paryż. Prawda, iż nie bije odeń w tej chwili tak silny zapach, jak po owych lipcowych dniach rozkwitu, kiedy tu wszystkie narody aż się odurzały tą wonią, ale pomimo tego jest on jeszcze zawsze dość pięknym, ażeby oblubieńczo błyszczeć na piersiach Europy. Paryż jest nie tylko stolicą Francyi, ale całego cywilizowanego świata, i jest punktem zbornym wszystkich jego duchowych znakomitości. Zgromadziło się tu wszystko, co jest wielkiem, bądź miłością lub nienawiścią, bądź uczuciem lub myślą, bądź wiedzą lub nauką, bądź szczęściem lub nieszczęściem, bądź przeszłością lub przyszłością. Przypatrując się temu zbiorowi sławnych i znamienitych mężów, którzy tu wciąż spotykają się ze sobą, dochodzi się do wniosku, że Paryż jest istnym Panteonem, nie umarłych, lecz żywych. Nowe sztuki, nowe religie, nowe życie, wszystko rodzi się tutaj, a przytem ci, co są twórcami tych nowych światów, tutaj są pełni wesołości. Władcy mogą być ma-

łoduszni, ale naród jest wielki i czuje swe strasznie wzniosłe przeznaczenie. Synowie pragną współzawodniczyć z ojcami, którzy do grobu zstąpili tak sławnie i święcie. Wszędzie świtają brzaski potężnych czynów, a nieznane bogi chcą się objawić światu. A przytem, gdzie spojrzeć, wszędzie śmiechy i tańce, wszędzie rozkwita lekki swawolny żart, wszędzie panuje atmosfera najweselszych dowcipków i podrwiwań.“ W określeniu tem nie było przesady. Istotnie bowiem, jako stolica sztuki, jako centrum życia i ruchu artystycznego, Paryż w tych latach był bez współzawodnika. Wszystko, z czego Europa mogła być dumna, mieszkało w Paryżu. Saintsimonizm, romantyzm, socyalizm, jak wszystko, co było rewolucyonizmem w życiu, w polityce, w religii, w malarstwie, w muzyce, w poezyi, tutaj miało swoje siedlisko, ztąd promieniowało na świat cały.

Jak w każdej epoce, odznaczającej się bujnością — a taką właśnie była epoka po roku 1830 — tak i w tych czasach, wszystko, co w Paryżu składało się na atmosferę duchową, dzieliło się na dwa obozy: na młodych i starych. Jak w Warszawie przed powstaniem listopadowem, tak i nad Sekwaną w tej chwili toczyła się walka klasyków z romantykami, a raczej romantyków z klasykami, i podobnie, jak tam, i tutaj zwyciężali romantycy, czy to byli malarze, jak Delacroix, czy poeci, jak Hugo, czy muzycy, jak Berlioz, czy krytycy, jak Sainte-Beuve. Organem „młodych“ było pismo *Le Globe* i ztąd, niby z obronnych szańców padały zabójcze pociski w stronę słabo odstrzeliwającego się obozu wszelkiego rodzaju Akademii i Instytutów. Czem w literaturze, w przeciwstawieniu do generacyi starego Chateaubrianda, byli Lamartine, Hugo, Musset, Heine, Balzak, George Sand, Sainte-Beuve, Jules Janin, Alfred de Vigny, Dumas i w. i., czem w malarstwie, w przeciwstawieniu do różnych „starych mamutów“ z czasów pierwszego cesarstwa, byli — tak świetnie scharakteryzowani przez Heinego w jego korespondencyi o paryskiej wystawie obrazów z r. 1831 — Scheffer, Horacy Vernet, Robert, a przedewszystkiem Delaroche i Delacroix, tem w muzyce, pomimo całego szacunku, jaki miano dla starych mistrzów, jak Cherubini, Lesueur, Auber, Boildieux, Paër, Rossini, byli tacy „młodzi“, jak Berlioz, Liszt, Hiller, Mendelsohn, Franchomme, Osborne, a przed nimi wszystkimi Meyerbeyer.

Już to jeżeli chodziło o muzykę, to nie było w tym czasie miasta na świecie nad Paryż. Czy to w zakresie opery, czy pod względem koncertów, tutaj skupiło się wszystko, co było naj-

świetniejszego na kuli ziemskiej. Pierwsze miejsce, ale tylko z urzędu, zajmowała wielka opera przy rue Lepelletier, nosząca szumne miano Academie Royale de Musique, której dyrektorem był Veron. Pod jej poważnem sklepieniem święcił ciągłe tryumfy Robert Dyabeł, którego niezrównany wykonawca, Adolf Nourrit, król francuskich śpiewaków, był też i najświetniejszą gwiazdą na śpiewaczym firmamencie tego oficyalnego przybytku Polyhymnii. Swoją drogą i inne gwiazdy, należące do stałego składu wielkiej opery, takie n. p., jak znakomity Levasseur lub słynna Damoreau-Cinti, świeciły pierwszorzędnym blaskiem. Mimo to prym trzymała opera włoska, pod dyrekcyą Rossiniego, w której słuchało się takich śpiewaków, jak Rubini, Lablache, i takich śpiewaczek, jak Malibran, Pasta, Schröder, Devrient, Casadory. Była to pierwsza opera pod słońcem. W innym rodzaju, ale na bardzo wysokim poziomie artystycznym, była Opéra-Comique pod dyrekcyą Feydeau, w której, przy wtórze doskonałej orkiestry, popisywali się śpiewacy tej miary, co tenor Chollet, lub panie Casimir i Prévost. O przybytkach tych muzyki operowej, z wyjątkiem Théâtre des Italiens, krążyły różne złośliwe *bons mots,* podkopujące ich dobrą sławę, ale jak w wielu wypadkach, tak i tym razem, prawdę poświęcano dla dowcipu. Tak n. p. stary Cherubini, zapytany raz, dlaczego nic nie wystawia w Opéra-Comique, odpowiedział: „Je ne fais pas donner des opéras sans choeurs, sans orchestre, sans chanteurs et sans decorations“. Na szczęście tak źle nie było. Heine znowu, który nikomu nie darował, zwrócił uwagę, że między dziewięciu posągami Muz, zdobiących front gmachu opery przy rue Lepelletier, brakowało jednego, a przypadek zdarzył, że tym brakującym był właśnie posąg muzy... muzyki! Biedna Polyhymnia podobno rzuciła się któregoś dnia na bruk i rozbiła się na drobne kawałki, a uczyniła to z rozpaczy, nie mogąc dłużej słuchać zdartych głosów niektórych renomowanych śpiewaków... protegowanych przez p. Verona. Najlepszą orkiestrą, słynącą, jako jedna z najlepszych, jeżeli nie najlepsza na świecie, była orkiestra konserwatoryum. Ztąd koncerty symfoniczne au Conservatoire pod dyrekcyą genialnego Habenecka, który pierwszy zapoznał Paryż z symfoniami Beethovena, cieszyły się zasłużoną sławą. Niestety, były to koncerty tylko dla wybranych, bo prawie wszystkie miejsca były rozebrane w abonamencie, a na to mogli sobie pozwolić tylko najbogatsi. Nie zawsze byli to najmuzykalniejsi, ale bywanie na koncertach w konserwatoryum stało się modą w wielkim świecie,

co sprawiało, że sala zawsze była przepełniona. Inne koncerty odbywały się bądź w sali opery włoskiej, bądź w salach Pleyela lub Erarda, dwóch godnych siebie rywali pomiędzy paryskimi fabrykantami fortepianów. Wśród koncertantów najwięcej było pianistów, z których bardzo wielu stale mieszkało w Paryżu. Z nich wszystkich najsławniejszym był Kalkbrenner, który w zakresie muzyki fortepianowej uchodził za taką znakomitość, jaką w dziedzinie wirtuozostwa skrzypcowego był Paganini. Wśród skrzypków królował tu stary Baillot. Wogóle roiło się tu od muzyków, zarówno kompozytorów, jak i wirtuozów na wszystkich możliwych instrumentach.

A jak w dziedzinie sztuk pięknych, w muzyce, malarstwie i poezyi, wszystko przeobrażało się pod wpływem prądów romantycznych, tak i w polityce, nie w rządzie wprawdzie, ale w całym narodzie francuskim, panował jakiś szlachetny idealistyczny romantyzm, którego atmosferą oddychało się i w Paryżu, a może w Paryżu przedewszystkiem. Na zewnątrz ujawniało się to w postaci niekłamanej sympatyi dla sprawy polskiej. *Vive la Pologne!* było hasłem wszystkich rewolucyonistów francuskich. Ztąd, chodząc po Paryżu, raz po raz słyszało się okrzyk: Niech żyje Polska!

I.

W takiem środowisku znalazł się Chopin, przybywszy we wrześniu 1831 roku do Paryża. Zamieszkał w pryncypalnym punkcie, bo przy Boulevard Poissonière, N-ro 27. Bardzo był zadowolony ze swego mieszkanka. „Mieszkam na czwartem piętrze — pisał o niem do Wojciechowskiego — ale w najładniejszem miejscu, bo na bulwarach: mam balkonik na ulicę wychodzący i mogę bardzo daleko w prawo i w lewo bulwary widzieć“. Ale nie wiele przesiadywał w domu, od chwili bowiem, gdy się znalazł na paryskim bruku, przedewszystkiem był ciekawy Paryża. Jakoż nie tracił czasu, lecz ile możności starał się poznać to miasto nad miastami, w czem zwłaszcza pomocnym był mu od roku już mieszkający tu Ant. Orłowski, oraz książę Walenty Radziwiłł. Mając dwóch takich ciceronów, w bardzo krótkim czasie doskonale poznał Paryż, a że nim był zachwycony, tego dowodziły jego entuzyastyczne listy do przyjaciół w kraju. „Paryż — pisał do Woj-

ciechowskiego — jest to wszystko, co chcesz: możesz się bawić, nudzić, śmiać, płakać, co ci się podoba, i nikt na ciebe nie spojrzy, bo tutaj tysiące ludzi to samo robią, co ty i każdy idzie swoją drogą". „Dziwny to lud ten paryski (pisał innym razem do tegoż Wojciechowskiego): jak wieczór przyjdzie, nic nie słyszysz, jak tylko wykrzyki tytułów nowych książeczek ulotnych, z 3 lub 4 arkuszy drukowanego głupstwa złożonych, i chcąc nie chcąc za sousa kupisz. Tytuł ich bywa najczęściej taki. *L'art de faire des amours et de les conserver ensuite... Les Amours des prêtres... L'Archevêque de Paris avec Madame la duchesse de Berry...* i tysiączne podobne niedorzeczności, niekiedy bardzo dowcipnie pisane. Prawdziwie, że dziwić się potrzeba, na jakie tu się sposoby biorą, aby grosz zarobić. Wiesz, że w Paryżu teraz wielka bieda, pieniędzy mało kursuje, obdrapańców mnóstwo spotykasz z ponuremi fizognomiami i nieraz słyszysz odgrażającą mowę na Ludwika Filipa, który tylko ze swojem ministeryum na włosku wisi. Niższa klasa społeczności jest zupełnie rozjątrzona i co moment radaby zmienić stan rzeczy, aby koniec swej nędzy położyć, ale zbyt wiele ostrożności i baczności rząd ma na nią; najmniejsze zebranie się pospólstwa na ulicy zaraz żandarmerya konna rozpędza". „Potrzeba ci wiedzieć, że tu każda partya polityczna inaczej się nosi (mówi się tu o egzagerowanych); karliści mają zielone kamizelki, republikanie i napoleoniści, to jest ta *jeune France,* Saint-simoniści czyli nowi chrześcijanie, tworzący oddzielną religię i mający już ogromną liczbę prozelitów, noszą się niebiesko i t. d." A na każdym kroku ujawniała się sympatya dla Polaków, którzy tu, po tryumfalnym pochodzie przez Niemcy, napływali w coraz większej liczbie, tworząc pierwsze zastępy nadciągającej emigracyi. Ponieważ ich poznawano po mundurach wojskowych, w których tu demonstracyjnie paradowali po ulicach, więc życzliwe okrzyki: Vivent les Polonais! co moment wyrywały się z ust przechodniów. W teatrach i cyrkach grywano sztuki, osnute na wypadkach ledwo co stłumionej rewolucyi polskiej, której niektórzy bohaterowie, już znajdując się w Paryżu, mogli się przypatrywać swym bohaterskim czynom... na scenie. Na jednej z takich sztuk, dawanej z ogromnem powodzeniem w Théâtre de la Porte Saint-Martin, był i Chopin. Oto, jak ją opisywał w liście do Wojciechowskiego: „Dają też teraz Francuzi w teatrze, gdzie tylko dramy i obrazy konne wystawiają, całą ostatnią naszą historyę. Ludzie tam biegają, jak szaleni, widzieć te wszystkie rzeczy, podziwiać bitwy i kostyumy. Panna Plater

także tam gra rolę z innemi damami, którym dają nazwiska nakształt Lodoiska, Faniska, Floreska; jest generał Gigult, jako brat Platerówny i t. p. Ale nic mię tak nie zastanowiło, jak ogłoszenie afiszem w jednym z mniejszych teatrów, że podczas antraktu muzyka grać będzie la Mazurka Dobruski... Jak Cię kocham, nie facecya, bo mam na to świadków, którzy to razem ze mną czytali“. Jednym z tych świadków był z pewnością Antoni Orłowski, który, korzystając z tego sympatycznego usposobienia Paryżan dla wszystkiego, co miało związek z Polską, na gwałt pisał muzykę do operetki, z akcyą rozgrywającą się w Polsce p. t. *L'Anneau des fiançailles polonaises*. Ale zdarzały się chwile, w których te sympatye polskie objawiały się w Paryżu w taki sposób, że na Chopinie aż skóra cierpła, z czem się wcale nie taił. Jedna z takich polonofilskich demonstracyi odbyła się nawet pod oknami mieszkania Fryderyka, co go bawiło zrazu, a w końcu przejęło strachem, bo takie demonstracye nigdy niewiadomo na czem się mogą skończyć. W danym razie chodziło o uczczenie jednego z wodzów powstania polskiego, generała Ramorina. Oto, jak tę demonstracyę, której się przyglądał ze swego balkoniku, opisał Chopin: „Naprzeciwko mnie stanął kwaterą generał Ramorino, w miejscu tak nazwanem Cité bergère, gdzie duży dziedziniec przechodzi. Wiadomo Ci zapewne, jak go wszędzie Niemcy przyjmowali, jak go w Strasburgu Francuzi, zaprzągnąwszy się w miejsce koni, w tryumfie ciągnęli, słowem, wiadomy Ci ten entuzyazm ludu dla naszego generała. Paryż nie chciał być ostatnim w tym względzie. Szkoła Medycyny, młodzież tak zwana *jeune France*, nosząca bródki i podług pewnych przepisów zawiązująca chustki na szyi, postanowiła urządzić wielką demonstracyę... Otóż do tysiąca takiej młodzieży z chorągwią trójkolorową przechodziło przez całe miasto do Ramorina, aby go przywitać. Chociaż był w domu, nie chciał się jednak narażać na nieprzyjemności ze strony rządu, nie pokazał się mimo krzyku i wołania: *Vivent les Polonais!* Adjutant jego wyszedł i powiedział, że generał prosi ich na inny dzień do siebie. A tymczasem nazajutrz wyprowadził się ztamtąd. W parę dni później wali się ogromne mnóstwo już nie tylko młodzieży, ale i pospólstwa, zebranego pod Panteonem, na drugą stronę Sekwany do Ramorina. Jak lawina śniegu, im więcej ulic przechodzi, tem ogromniejsza masa tworzy się ludzi, aż przy moście Pont Neuf oczekująca na nich konna żandarmerya rozpraszać wszystkich zaczyna. Wielu pokaleczono, ale mimo to znowu mnóstwo ludzi zebrało się na bulwarach pod mojemi oknami, żeby

złączyć się razem z idącymi z drugiej strony miasta. Policya nie pomódz nie mogła. tłumy coraz stawały się większe; przyszedł oddział infanteryi. szwadron huzarów: adjutant placu rozkazał gwardyi municypalnej i wojsku spychać z trotuarów i z ulicy ciekawsze i mruczące pospólstwo: łapią. aresztują (wolny naród!). Strach się wkoło szerzy, sklepy zamykają; po wszystkich rogach ulic bulwarowych kupy ludzi. świstanie. galopowanie posłańców wojskowych. okna pełne spektatorów. jak niegdyś u nas na wielkie święta! I to trwało od godziny 11-ej przed południem do 11-ej w nocy! Jużem myślał, że się zrobi jakaś burda, ale to wszystko skończyło się na zaśpiewaniu ogromnym chórem około północy: *Allons enfants de la patrie!...* Jakie na mnie wrażenie zrobiły te groźliwe głosy nieukontentowanego ludu, ani pojmiesz. Spodziewano się nazajutrz kontynuacyi tej *émeuty*, jak oni to zowią. ale zawiedzione zostały oczekiwania". Należy podziwiać żywość i plastykę tego opisu. Widzi się wszystko.

Ale to była polityka. Tymczasem Chopina przedewszystkiem interesowała muzyka. To też, o ile tylko mógł. korzystał z każdej sposobności. by się przysłuchiwać tutejszym produkcyom muzycznym, bądź w teatrach. bądź na koncertach. Ułatwiali mu to Radziwiłł i Orłowski. z którymi wciąż trzymał się razem. Przedewszystkiem poszedł na Roberta Dyabła, który ciągle robił furorę w wielkiej operze. Oto, co pod jego wrażeniem pisał do Wojciechowskiego: „Jeżeli kiedy był jaki przepych w teatrze. to nie wiem. czy dochodził do takiego stopnia. co w Robercie Dyable. nowej 5-aktowej operze Meyerbeera. co Crociato napisał. Jest to arcydzieło nowej szkoły. gdzie dyabły (chóry ogromne) przez tuby śpiewają. gdzie umarli z grobów powstają, ale nie tak jak w Szarlatanie (Kurpińskiego). tylko po 50. 60 osób na raz. w stosownem ugrupowaniu na tle pięknej dekoracyi, przedstawiającej wnętrze i krużganki klasztorne w ruinach. oświetlonego księżycem i innemi sztucznemi ogniami. Dalej występują mnichy z całą pompą kadzideł i świateł. słychać przy tem organy, których głos w teatrze czaruje. zadziwia i całą orkiestrę nieledwie pokrywa. Trudno to będzie gdzieindziej przedstawić. Meyerbeer się unieśmiertelnił! Ale też trzy lata siedział w Paryżu. nim tę operę wystawił, i 20.000 franków, jak mówią. łożył na rozmaite wydatki".

Niemniej dodatnich wrażeń doznał Chopin. bywając na innych operach. z ktorych w krótkim czasie poznał wszystkie najgłówniejsze. Na ogół był zachwycony. zwłaszcza śpiewakami i śpie-

waczkami, od których lepszych nie zdarzyło mu się słyszeć. Pisząc do Elsnera, tak mu zdał sprawę ze swych paryskich wrażeń teatralnych: „Zbieg mnóstwa ludzi interesujących w każdym rodzaju sztuki muzycznej jest tu do podziwienia. Trzy orkiestry: Akademii, Włochów i Feydeau, są doskonałe. Rossini jest dyrektorem włoskiej opery, która jest najlepszą w Europie. Lablache, Rubini, Pasta, Malibran, Schröder-Devrient, Santini i t. p. zachwycają w i e l k i t o n trzy razy na tydzień. Nourrit, Levasseur, Dérivis, pani Damoreau-Cinti, panna Dorus, podnoszą talentami swojemi Wielką Operę; Cholet panna Casimir Prévost, są podziwiani w Operze komicznej. Słowem, tu dopiero można się dowiedzieć, co to jest śpiew. Dziś niezawodnie nie Pasta, ale Malibran-Garcia jest pierwszą w Europie. Cudo! Książę Walenty Radziwiłł rozpływa się nad nią i nieraz sobie Pana przy tej sposobności wystawiamy, jakbyś Pan ją admirował... Wszyscy tu Pana kochamy i uwielbiamy, zacząwszy odemnie, a skończywszy na pańskim chrzestnym synu, Antonim Orłowskim, który podobno nie tak zaraz przyjdzie do wystawienia swojej operetki, bo *sujet* nie najlepsze, a prócz tego teatr zamknięty aż do Nowego Roku. Król nie sypie pieniędzmi, między artystami wogóle chudo. Anglicy tylko płacą". Obszerniej o swych wieczorach, spędzanych w trzech paryskich operach, rozpisał się Chopin w liście do Wojciechowskiego, któremu tak scharakteryzował główne siły wokalne: „Anim jeszcze słyszał C y r u l i k a, jak w przeszły tydzień przez Lablacha, Rubiniego i Malibran Garcia: anim słyszał O t e l l a, jak przez Rubiniego, Pastę i Lablacha: I t a l i a n a i n A l g e r i jak przez Rubiniego, Lablacha i M-me Raimbeau. Jeżeli kiedy, to teraz wszystko mam w Paryżu! Nie wystawisz sobie, co to jest Lablache! Pasta, mówią, że straciła na głosie, ale nic jeszcze wznioślejszego, jak jej śpiew nie słyszałem. Malibran cudownym głosem swoim trzy oktawy bierze, a śpiewa, jak żadna... Cudo! cudo! Rubini tenor doskonały: rulady robi do nieskończoności, ale czasem za wiele broderyi używa i trzęsie głosem umyślnie: prócz tego tryllłuje bez końca, co mu jednak największe jedna oklaski. Jego *mezza-voce* jest nie do porównania. Występuje tu także Schröder-Devrient, ale nie robi takiej, jak w Niemczech, furory. Pani Malibran grała rolę Otella, a ona Desdemony. Malibran mała, a Niemka ogromna; zdawało się, że Desdemona Otella zdusi! Kosztowna to była reprezentacya: potrzeba było zapłacić 24 franków za miejsce, żeby widzieć Malibran czarną i nie tęgo w tej roli grającą. Orkiestra zresztą cudowna, ale to wszystko nic

jeszcze w porównaniu z przepychem wystawy francuskiej opery (l'Academie royale). Pani Damoreau-Cinti śpiewa też doskonale: wolę jej śpiew, jak Malibran. Malibran zadziwia, Cinti zachwyca: gammą chromatyczną lepiej robi, jak sławny Tulon na flecie. Nie można mieć głosu lepiej wyrobionego. Nourrit, francuski tenor, jest zadziwiający swojem uczuciem, a Cholet w Opéra Comique (gdzie dają Fra Diavolo, la Fiancée i Zampę, nową śliczną operę Herolda), jest to pieszczący się amant, *seducteur,* drwiący, cudny, z romansowym głosem, wytworny śpiewak; utworzył on sobie własny rodzaj, od publiczności bardzo sympatycznie przyjmowany. Na Opéra Comique dają teraz Marquise de Brinvilliers, kobietę, co truła ludzi za czasów Ludwika XIV. Muzykę do tej opery komponowało ośmiu: Cherubini, Paër, Berlioz, Herold, Auber, Bâton, Blangini i Caraffa... Dziś jest w operze włoskiej koncert duży, w którym biorą udział: Malibran, Rubini, Lablache, Santini, M-me Raimbeaux, M-me Schröder, M-me Casadory: przytem Herz gra (czego najciekawszy jestem) i Beriot, ten skrzypek, co pani Malibran w nim się kocha". Jednem słowem, do syta kąpał się w atmosferze muzycznej, co też z pewnością nie było bez silnego wpływu na jego kulturę muzyczną, na jego wyrobienie i wykształcenie artystyczne. Pod tym względem musiał korzystać bardzo wiele.

Zwłaszcza, że nie tylko słuchał wspaniałej muzyki, ale w bardzo krótkim czasie, bo w ciągu paru miesięcy, zrobił mnóstwo znajomości w miejscowym świecie muzycznym, z najznakomitszymi muzykami, jacy mieszkali w Paryżu. Przedewszystkiem skorzystał z dwóch listów polecających, które tu przywiózł z sobą, z listu Malfattiego do Paëra, oraz z listu Elsnera do Lesueura. [1])

Ten ostatni przyjął go bardzo łaskawie, a gdy mu Chopin jeszcze zagrał na fortepianie, odrazu stosunek ułożył się serdecznie. Prosił Fryderyka, by go odwiedzał częściej, co też ten nie omieszkał czynić raz po raz. „Lesueur — pisał raz o tych swoich wizytach u niego do Elsnera — dziękuje Panu ślicznie za pamięć i każe oświadczyć milon ukłonów; najmilej o Panu wspomina i za każdą wizytą pyta mnie: *Et que fait notre bon Monsieur*

---

[1]) W liście z d. 20. lipca 1845 pisze Chopin do rodziców: „A propos pomników, Lesueurowi (muzykantowi) wystawią także w jego miejscu urodzenia, mieście Abbeville. Lesueur był kapelmistrzem Napoleona (membre de l'Institut), profesorem w konserwatoryum. P. Elsner go znał dobrze, dał mi list do niego, jakem do Paryża jechał".

Elsner? Racontez-moi de ses nouvelles. I zaraz przechodzi do Pańskiego Requiem, które Pan mu przysłałeś".

Ale najwięcej pomógł Chopinowi list Malfattiego do Paëra. On to właściwie wprowadził go w świat muzyczny paryski. Przez Paëra, który był nadwornym kapelmistrzem, poznał Rossiniego, Cherubiniego, Baillota, Herza, Hillera, a przedewszystkiem Kalkbrennera, oraz wielu innych, młodszych i starszych. Nie wszyscy mu zaimponowali, nie wszystkimi był zachwycony, a niektórzy nawet zrobili na nim wrażenie.. zer! Oto, co w tej kwestyi pisał do Elsnera: „Baillot bardzo dla mnie grzeczny i uprzejmy... Reicha [1]) znam tylko z widzenia; wiesz Pan, ile tego człowieka poznać byłem ciekawy. Poznałem tu kilku jego uczniów, którzy mi niekorzystne o nim dali wyobrażenie. Nie lubi on muzyki, nawet na koncertach konserwatoryum nie bywa, nie chce z nikim o muzyce rozprawiać, na swoich lekcyach tylko na zegarek patrzy. Toż samo Cherubini: tylko o cholerze i rewolucyach wciąż bajdurzy. Ci panowie są to zasuszone pupki, na które się tylko z uszanowaniem patrzyć trzeba, a z dzieł ich uczyć". Do tej kategoryi starych „zasuszonych pupek" zaliczał Chopin, w skrytości serca, także i Pixisa, który już ze Sztutgardu razem z swą piękną Francillą wrócił do Paryża, tudzież słynnego twórcę tylu oper i Niemej z Portici, Aubera. Za to był z najwyższem uznaniem dla twórcy Roberta dyabła. Meyerbeer odrazu został ujęty grą Chopina, która go przedewszystkiem „zdziwiła", które to zdziwienie, a raczej zdumienie, szybko zamieniło się w podziw. Poznał się na tem Chopin, to też, pisząc do domu, nie omieszkał rozpisać się o tem tak dla niego zaszczytnem zdumieniu Meyerbeera. [2]) Samo się przez się rozumie, że to zdumienie odnosiło się nie tylko do gry Chopina, ale z pewnością w jeszcze wyższym stopniu do jego kompozycyi. Halevy, przyszły twórca Żydówki, od chwili, gdy poznał Chopina, polubił go nadzwyczaj. Po niejakim czasie zaczęli bywać u siebie, a że dlań miał dużo sympatyi, dowodziły chociażby jego bileciki do Fryderyka, w których go tytułował: „Mon cher petit Chopin".

---

[1]) Znakomity skrzypek, profesor paryskiego konserwatoryum.

[2]) W odpowiedzi na ten list Fryderyka pisze do niego Mikołaj Chopin: „L'étonnement de Meyerbeer a du te faire plaisir..." Zachował się list Meyerbeera, w którym tytułuje Chopina: „Cher et illustre maitre".

Jak z twórcami oper, tak i z ich słynnymi wykonawcami. łącznie z dyrektorami obu oper, pp. Veron i Robert, poznał się Chopin niebawem. Ze śpiewaków najwięcej zaprzyjaźnił się z Nourrit'em i z Lablachem, ze śpiewaczek najwięcej życzliwości okazywała mu pani Damoreau-Cinti. co nie znaczyło wcale, żeby i u innych nie cieszył się wyjątkową sympatyą...

Ale najwięcej, więcej nierównie, niż najsławniejsi twórcy oper. więcej niż najsławniejsi śpiewacy lub śpiewaczki, interesowali Chopina fortepianiści. Tych poznania i usłyszenia był najciekawszy, choć nie wszystkich: uważał bowiem. że ich było za dużo w Paryżu, zwłaszcza lichych. „Nie wiem — pisał w tej kwestyi do Wojciechowskiego, — czy jest gdzie więcej pianistów, jak w Paryżu: nie wiem, czy jest gdzie więcej osłów i więcej wirtuozów, jak tu“. Do tych, których nie mógł nazwać osłami. należeli Zimmerman, Herz, Hiller, Mendelsohn, Osborne, Stamati, a przed wszystkimi Kalkbrenner i Liszt.

Stary Zimmermann, sam znakomity fortepianista, a jeszcze znakomitszy nauczyciel, który, jako profesor gry fortepianowej w paryskiem konserwatoryum, wychował całe pokolenie fortepianistów, prowadził dom otwarty, a na wieczorach muzykalnych, które urządzał u siebie, popisywali się najznakomitsi wirtuozi. Chopin wkrótce powiekszył ich liczbę, stawszy się faworytem pani i panny Zimmermann. Wszystko, co w Paryżu było najświetniejszego, gromadziło się na tych zebraniach, co było z wielką korzyścią dla Chopina, bo. bywając tutaj, nie tylko mógł się dać poznać sferom muzykalnym paryskim, ale i pozawierać mnóstwo osobistych znajomości, które szybko przechodziły w przyjaźń. Jedną z takich znajomości Chopina, która niemal odrazu przerodziła się w najserdeczniejszą przyjaźń, była jego znajomość z Ferdynandem Hillerem, doskonałym pianistą, a wcale nietuzinkowym kompozytorem. Chopin tak go pokrótce scharakteryzował w liście do Wojciechowskiego: „Poczciwy Hiller, chłopiec z ogromnym talentem, uczeń Hummla, którego koncert za onegdaj i Symfonia wielki efekt zrobiły, jest to w rodzaju Beethovena, pełen poezyi, ognia i ducha człowiek“. Przez Hillera poznał się Chopin i zaprzyjaźnił z bawiącym tu czasowo przez kilka miesięcy Mendelsohnem. Sympatyczny twórca Pieśni bez słów powziął ogromną sympatyę dla „Chopinetta“ (jak nazywał Fryderyka). zachwycał się jego kompozycyami, podziwiał jego grę na forte-

pianie. W ciągu bytności swej w Paryżu wykonał z orkiestrą na jednym z koncertów w konserwatoryum Koncert C-dur Beethovena, a jego uwertura ze Snu nocy letniej, wykonana przez orkiestrę tegoż konserwatoryum, co było zaszczytem nielada, spotkała się z goracem przyjęciem. Chopin mógł bardzo wiele skorzystać w jego towarzystwie. Jakoż polubili się nadzwyczaj, a gdy Mendelsohn opuścił Paryż, nawet korespondowali z sobą, t. j. pisywał Mendelsohn, a Chopin nie odpisywał. W podobnej korespondencyi pozostawał również z Hillerem. Tymczasem, póki byli razem w Paryżu, stołowali się w jednej restauracyi, przyczem naturalnie o muzyce mówiło się najwięcej. Osborne także należał do tych wesołych obiadów, które stale płacił jeden za wszystkich, codzień inny, po kolei.[1]) Ale nie tylko fortepianiści należeli do tego kółka i nie tylko sami młodzi. Z młodych należał do niego Franchomme, słynny wiolonczelista, od samego początku szczerze zaprzyjaźniony z Chopinem, który w jego domu bywał częstym gościem, a czuł się jak u siebie, będąc w wyjątkowych łaskach u pani Franchomme,[2]) jak zresztą u wszystkich żon swoich młodszych czy starszych przyjaciół. Seniorem wśród nich, przez wszystkich kochanym jakby synowską miłością, był „père Baillot", słynny skrzypek, rywal Paganiniego, a dla Chopina z wielką życzliwością, której mu wiele dał dowodów.[3]) Z innych wybitnych artystów, z którymi teraz Chopin wszedł w bliższe stosunki, dużo mu okazywali sympatyi: Brodt, słynny oboista, Tulon, sławny flecista, Stamati, dzielny pianista, Vidal, wiolonczelista, uczeń i przyjaciel Franchomme'a, oraz „sławny alto-wiolista" Urban.

Od grudnia r. 1832 przyłączy się do tego koła także i Hector Berlioz, który w tej chwili jeszcze bawił we Włoszech, zkąd pisywał ciekawe listy do Hillera, tęskniąc za paryskiem Café Feydeau, w której to kawiarni gromadzili się młodzi muzycy

[1]) Opowiada o tych obiadach Osborne, w swoich Reminiscences of Frederic Chopin, wygłoszonych w formie odczytu d. 5. kwietnia 1880 w londyńskiej Musical Association. Cytowane u Niechsa, I. 238.

[2]) Swoją drogą i Chopin nadzwyczaj lubił panią Franchomme, po śmierci jej (w r. 1850) pisze panna Stirling do pani Jędrzejewiczowej: „Jakby zgon jej odczuł Chopin, gdyby żył jeszcze".

[3]) O wieczorach muzykalnych, które u siebie urządzał Baillot, pisze w swych Reisebriefe z r. 1831 Mendelsohn.

z Chopinem włącznie.[1]) O Berliozie, o jego rewolucyonizmie orkiestrowym, jak i o jego miłości dla pani Smithson, dużo sobie opowiadano w tem kółku, czy to w Café Feydeau, czy też u Dra Francka, wielkiego melomana, który u siebie, w swem mieszkaniu przy rue de la Chaussée d'Antin Nr. 5, gromadził cały świat muzyczny, zwłaszcza młodych. U niego to spotykali się często, muzykując zapamiętale, Chopin, Hiller, Mendelsohn, Stamati, Liszt, Osborne, Franchomme i wielu innych.[2])

Tymczasem, zaraz po swym przyjeździe nad Sekwanę, poznał się Chopin — przez Hillera — z mieszkającym tu od szeregu lat razem z matką, Franciszkiem Lisztem. Chwila to była ważna dla obu, nie tyle dla Chopina, ile dla Liszta. Usłyszawszy grę Chopina, młodszy od niego o półtora roku Liszt, doznał analogicznego wrażenia, jak kiedy po raz pierwszy usłyszał Paganiniego. Zrozumiał odrazu, że to są nowe widnokręgi dla muzyki fortepianowej, że należy iść w ślady tego młodego Polaka, albowiem on zwiastuje przyszłość fortepianu, zarówno w sposobie grania, jak w kom-

---

[1]) O bliskich stosunkach Chopina z Berliozem świadczy — obok innych świadectw — list tego ostatniego z d. 26. grudnia 1833 r., pisany do siostry, Adeli. Pisze tam Berlioz między innemi: „Nous avons quelquefois n o s a m i s le soir; M. Joseph Rocher a fait partie de notre petite réunion de la semaine dernière; Alphonse (Robert) vient souvent, ainsi que les poëtes Emile et Antony Deschamps, A. de Vigny, Legouvé, Brizeux, Liszt, Chopin etc.“ W liście z d. 12. maja 1834 r. pisze Berlioz do siostry: „Nous avons eu lundi dernier une espèce de petite partie de campagne. M e s a m i s sont venus passer une demi-journée chez moi. C'étaient des célébrités musicales et poetiques, MM. Alfred de Vigny, Antony Deschamps, Liszt, Hiller et Chopin. Nous avons causé, discuté art, poésie, pensée, musique, drame...“ Nadto zachowało się kilka listów Berlioza do Chopina, bardzo serdecznych w tonie, w których Berlioz nazywa Fryderyka poufale i pieszczotliwie: „Mon cher Chopinetto“. Berlioz pisywał przez długie lata feljetony muzyczne w J o u r n a l d e s D e b a t s; ile razy mu w nich wypadło pisać o Chopinie, czynił to zawsze w wyrazach najwyższego uznania i uwielbienia...

[2]) W liście do Hillera, pisanym na spółkę z Lisztem i Franchommem, pisze Chopin (20. czerwca 1833): „J'occupe à present le logement de Franck, il est parti pour Londres et Berlin. Je me trouve parfaitement dans les chambres qui étaient si souvent notre point de réunion. Berlioz t'embrasse“. O dr. Hermanie Francku bardzo sympatycznie pisze Mendelsohn w swych R e i s e b r i e f e. Bardzo muzykalny i „geistreich“, był to człowiek wyjątkowych zdolności.

pozycyi. Pod tym względem Liszt momentalnie zoryentował się w sytuacyi. O chwili tej, przełomowej w ewolucyi artystycznej „Króla fortepianu“, tak opowiada — w swym ciekawym liście do Liszta — Ferdynand Hiller: „Było to owej pamiętnej jesieni roku 1831, kiedy Liszt błyszczał już w Paryżu, w gęstem gronie pierwszorzędnych pianistów, szukających nowych dróg na swym instrumencie. Dnie i miesiące upływały na zaciekłem muzykowaniu. Raz n. p. grał Liszt Koncert Webera. W wykonaniu tej kompozycyi wypowiedział on formalną walkę orkiestrze. Kiedy wśród bicia w kotły i wrzasku trąb zagrzmiało *fortissimo* marsza, Liszt nie ustąpił: uważając je raczej za wyzwanie, siłą dziesięciu palców pokonał smyczkujących, na skrzypcach, wiolonczelach i basach, dmących w trąby i w bębny walących przeciwników. W takiej to chwili największego upojenia dla znakomitego Węgra, w fazie przełomu fortepianowego, zjawił się skromny i delikatny, nerwowy Chopin ze swemi *Etiudami*. Zbliżyliśmy się — pisze Hiller — do młodego Polaka, a ty, Liszcie, pomnisz, jąłeś się jego *Etiud* i przekonałeś się, że ich *prima vista* grać nie można. I cóż się wtedy dzieje? Oto Liszt nagle znika z artystycznej widowni. Jedni mówili, że wyjechał do Genewy, inni znów, że dumny madziar ukrył się w niepozornej cinpce olbrzymiego domu Erarda, i że tylko wychodzi błąkać się przy księżycu. Co go do tego skłoniło? Zdaje się, że to wschód chopinowskiego słońca tak go dotkliwie poraził, że aż w mroku i ciszy ulgi szukać musiał“.[1]) Za to, gdy znowu ukazał się na widowni, już był przeobrażonym zupełnie, a przedewszystkiem tak wystudyował *Etiudy* Chopina, że mu sam Chopin musiał zazdrościć ich wspaniałego porywającego sposobu wykonania. Oto, co raz sam Chopin w liście do Hillera, kreślonym do spółki z Lisztem i Franchommem, pisał w tej mierze: „Je vous écris sans savoir ce que ma plume barbouille,“ parseque Liszt dans ce moment joue mes études et me transporte hors de mes idées honettes. Je voudrais lui voler la manière de rendre mes propres études“. Dla Liszta był to największy tryumf, jaki mógł odnieść nad swym delikatnym i nerwowym rywalem. W każdym razie, jak przystało na ludzi, których miano nazwać „dwoma Dioskurami“, choć niewątpliwie współzawodniczyli ze sobą, zaprzyjaźnili się szybko,

---

[1]) Dzień Fryderyka Chopina. „Kuryer Warszawski“. 1878, Nr. 51.

bardzo wiele przestając razem. Ile było szczerości na dnie tej wzajemnej przyjaźni? To inne pytanie. I jeden i drugi nie mogli być zupełnie wolni od zazdrości względem siebie. Chopin mógł Lisztowi zazdrościć jego wirtuozostwa, Liszt musiał Chopinowi zazdrościć jego... geniuszu. [1]) Zresztą stanowili dwa zupełne kontrasty pomiędzy sobą, kontrasty uderzające. O duchowem pokrewieństwie, o tem, co Goethe nazywał Wahlverwandschaft, tutaj nie było mowy. Raczej były to dwa bieguny. Wspólnego właściwie mieli tyle tylko, że obaj byli znakomitymi fortepianistami. Pozatem, jako natury i temperamenty artystyczne, stali na przeciwległych krańcach. Liszt był demoniczny, Chopina słusznie nazywano serafiezuym. Liszt był pełen męskiej siły, Chopina cechowała jakaś kobieca słabość. Liszt był grzmiącym Jowiszem, Chopin miał w sobie coś z czułego kochanka Psychy. Liszt był przedewszystkiem wirtuozem, Chopin był przedewszystkiem kompozytorem. Liszt był fortepianistą, któremu fortepian zastępował całą orkiestrę. Chopin był poetą, dla którego muzyka była tylko środkiem do wypowiedzenia tkwiącej w nim poezyi. Liszt królował na estradzie koncertowej, z której magnetyzował tłumy; Cho-

---

[2]) O tej konkurencyi „dwóch Droskurów“ tak opowiada pani Emilia z Borzeckich Hoffmanowa: „Pierwszy raz widziałam Chopina na jakiemś przyjęciu u Ludwików Platerów. Był tam Chopin razem z Lisztem, z którym się przyjaźnili, choć wiele dałoby się powiedzieć o szczerości tej przyjaźni... Charakterystycznem jest naprzykład, że gdy byli gdzieś razem, nie zdarzyło się nigdy, żeby grali obaj: jeśli grał Liszt, to nie grał Chopin, a jeśli grał Chopin, to nie było takiej siły, któraby skłoniła Liszta, aby zasiadł do fortepianu... Obaj unikali porównania, bo choć się dopełniali wzajemnie, to jednak Liszt zaćmiewał Chopina brawurą i siłą, Chopin zaś Liszta niewysłowioną poezyą...“ Pani Józefa z Wodzińskich Kościelska, która dobrze znała osobiście i Chopina i Liszta, tak o nich opowiadała: „Mając współzawodników tylko w Thalbergu i Liszcie, Chopin w arcyzabawny sposób naśladował ich sposób gry przy fortepianie. Co do Liszta, to zdawał on sobie doskonale sprawę ze swej niższości w porównaniu z Chopinem. Sama go słyszałam, gdy mówiąc o Chopinie, jako kompozytorze, wyraził się: Moi, je ne suis pas digne de lui denouer les cordons de ses souliers. Niemniej jest dlań charakterystycznem, że gdy miał grać Chopina, odrazu zmieniał się całkiem, nawet na twarzy, która wtedy przybierała wyraz skupienia i rozmarzenia, niedostrzegalny przy wykonywaniu dzieł innych kompozytorów. Ale bo też ze wszystkich pianistów, jakich słyszałam, jeden Liszt tak grał Chopina, jak on sam! Liszt i Paderewski!“ Z rozmów o Chopinie, „Kraj“, 1900, Nr. 22, 23.

pin panował w niewielkim salonie, gdzie swą grą czarował *ein Kreis edler Gemüther*. W Liszcie wszystko było obliczonem na efekt, Chopinowi chodziło tylko o treść. W Liszcie było coś z aktora, coś z kabotyna, Chopin był wcieleniem wykwintności światowej, bez cienia snobizmu. Lisztowi imponowało wielu ludzi, pierwszy Chopin, dla którego był zawsze z najwyższą rewerencyą; Chopinowi nie imponował nikt, nawet Liszt, którego sobie lekceważył niekiedy, a czasami nawet mu to dawał delikatnie uczuć. Czuł to „dumny Węgier" i dlatego nie bardzo należy wierzyć w jego szczerość względem Chopina. Zresztą od czasu do czasu wyłaziło szydło z worka... Doskonale stosunek Chopina do Liszta scharakteryzował Jan Kleczyński. Oto jego słowa: „Chopin cenił i szanował Liszta, jako najpotężniejszego fortepianistę, który kiedy chciał (wyrażenie Chopina) cudownie grał Beethowena, Webera, Hummla, Schuberta: ale jego kompozycye efektowne Chopina nie zachwycały. Owo naśladowanie gromów w basie lub świergotu ptaków w wiolinie, owe nieporównanej zręczności kaskady tonów, owe dla efektu jedynie napisane kompozycye (jak Galop chromatyczny) wszystko to było przeciwnem, śmiałbym rzec, wstrętnem naturze Chopina, skromnej i poetycznej. Nie przeto, iżby Chopin miał gardzić świetnością w kompozycyi: wiemy wszyscy, jak pełne elegancyi i blasku są jego pasaże n. p. w polonesie Es-dur Op. 22, ale u niego świetność bywa tylko logicznem rozwinięciem idei kompozycyi, jej organiczną częścią, tak, że niepodobna ani jednej nuty wyrzucić bez naruszenia całości, podczas gdy w ozdobach dodawanych do wielkich transkrypcyi, forma ich, jako nie związana ściśle z organizmem dzieła, może być zmieniana do nieskończoności i łatwo przechodzi w rodzaj zabawki, necącej tylko ucho, a nie dającej duchowi poważniejszej strawy. Oprócz tego wirtuozostwo zbyt jednostronnie rozwinięte, rodzi i pomysły kompozytorskie również niekiedy błahe, tylko dające pole do wykazania mistrzowstwa techniki. Liszt podobno lubił zmieniać niekiedy i Chopina kompozycye, przydając im nie związane organicznie z niemi ozdoby i gdy się raz Chopin o to użalił, przyznał mu słuszność Liszt, ale natury własnej z gruntu zmienić już nie mógł. Jest jakowaś legenda o małem jakoby poróżnieniu dwóch mistrzów z powodu, że Liszt prosił Chopina, aby mu po ciemku odstąpił fortepianu i wówczas zaczął w rodzaju Chopina improwizować, dopiero nagle zapaliwszy świece, zdumiał słuchaczy i przekonał ich, że „Chopin Lisztem być nie może, Liszt zaś, jak chce, i Chopinem być po-

trafi!...“ Ci, co często słyszeli grę Liszta, zapewniają, że i Chopinowskie utwory wykonywał znakomicie...[1]) Pewnem jest natomiast, że Liszt bardzo się przejął kompozycyami Chopina, pod których wpływem — na co pierwszy zwrócił uwagę Schumann — całkiem zmienił swój sposób komponowania, z ultraromantycznego i fantastycznego na bardziej klasyczny i zrównoważony.

F. Hoesick.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) L i s z t j a k o k o m p o z y t o r, Echo muzyczne, 1881, Nr. 18.

Modlitwy Ks. Izabelli Czartoryskiej

WYDAŁ

Karol Badecki.

W wieku XVIII. dwie były ostoje prawdziwego zamiłowania nauk i oświaty. Jedna, to dwór króla Stanisława Augusta, druga to dom ks. Czartoryskich. To dwa parnasy, około których grupuje się cały orszak poetów współczesnych. Tak jak Stanisław August miał swoich przyjaciół wśród grona muz, którzy pełnili niekiedy rolę jego poetów nadwornych (Trembecki), tak też i ks. Adam Czartoryski lubiał otaczać się ludźmi wykształconymi i obdarzonymi prawdziwym talentem i zdolnościami poetyckiemi. Do tego grona poetów ówczesnych, jakich chętnie podejmował ks. generał na swoim dworze, należał i Kniaźnin i ten najdłużej zabawił na dworze Czartoryskich. Zrazu sprawował rolę sekretarza, później stał się dworzaninem i poetą dworskim. Wiemy, jakie zadania i obowiązki były ściśle związane z godnością poety nadwornego, pojął je też zupełnie jasno i należycie poeta, czego dowody mamy w tem, że już od pierwszej chwili swej znajomości z księciem poświęcił swe pióro do usług tego.

Na czas ten przypada cały szereg utworów, czysto okolicznościowej treści i wypływu, o rozmiarach większych lub mniejszych. Wszystko, co wtedy wydało pióro Kniaźnina, nie było samodzielnym płodem duszy i umysłu poety, ale w każdem poruszeniu pióra jego znać wpływ wypadków i zdarzeń ściśle domu generała

dotyczących. Cała poezya jego tchnie losami i kolejami tej rodziny. Najsilniej i najwyraźniej odbił się związek i wpływ rodu Czartoryskich w „Lirykach“. To cała masa najrozmaitszych wierszów na urodziny, imieniny, wesela i t. d. Wszystko na cześć członków i krewnych ks. Czartoryskiego, to znów na cześć osób w bliższych stosunkach z generałem pozostających. Cały ten las wierszów okolicznościowych, wzrósł w dwójnasób, kiedy F. S. Dmochowski wydając, o ile możności, kompletne wydanie dzieł F. D. Kniaźnina, uwzględnił jeszcze spuściznę rękopiśmienną i wydobył całą masę nieznanych ód i wierszów, które w wydaniu stworzyły nowych ksiąg cztery. Nie trzeba sądzić jednak, aby to, co zebrał i wydał Dmochowski, było kompletnym i skończonym wyrazem muzy Kniaźnina. Do kompletnego wydania dzieł tego poety, jeszcze daleko. Od czasu do czasu wyjdą bezsprzecznie na jaw nowe, pogrążone w niepamięci i gnijące w rękopisach płody i ślady twórczych wytężeń umysłu Kniaźnina, które należy nam gromadzić z największym pietyzmem, tembardziej, że dziś za mało wiemy o Kniaźninie, a przecież niepoślednia to ozdoba epoki Stanisławowskiej.

Nowy przyczynek do literackiej spuścizny Kniaźnina, dał nam rękopism biblioteki hr. W. Baworowskiego, noszący na sobie S. 811.

W kodeksie tym (wielkie 4-to), obok autografów Tadeusza Matuszewicza, ministra skarbu ks. warszawskiego, wielkiego miłośnika poezyi i autora: „Świątyni Wenery w Knidos“, dalej obok własnoręcznie spisanych poezyi ks. Maryi Wirtembergskiej, córki ks. Adama Czartoryskiego znajdujemy tu także cały szereg autografów Kniaźnina.

Na samym początku rękopisu wklejona jest mała, sześciokartkowa książeczka, o grubszym kartonowym papierze (wielk. 14·8 × 22), zeszyta niebieskim sznureczkiem. Całość zapisana pięknem, stojącem, okrągłego charakteru, pismem. Książeczka niepaginowana, nosi na pierwszej zaraz stronie taki napis:

Modlitwy
X. I... C... [1])
rymem związane
w dzień
Jey Imienin.

---

[1]) Tak na autografie. Kryptonim ten należy tak rozwiązać: „X. Izabelli Czartoryskiej“.

Własnoręcznego podpisu autora brak zupełnie: ktoś troskliwy jednak zapisał, że to mają być autografy Kniaźnina. Istotnie notatka nie mylna, świadczy o tem piękne pismo, zgodne zupełnie z wiarygodnym autografem, jaki miałem sposobność oglądać w zbiorach hr. Dzieduszyckich.

Kniaźnin, będąc w usługach dworu Czartoryskich, głównie i przedewszystkiem musiał dbać i pamiętać o osobach najprzychylniej mu usposobionych, od których doznawał wyraźne dowody prawdziwej opieki i wprost miłości rodzicielskiej. Lubieli go wszyscy na dworze księcia, największą jednak może pieczą otaczała go żona generała, ks. Izabella Czartoryska. Był to wzór prawdziwej żony, matki, Polki i opiekunki muz. Sama pisząca wiele i lubująca się w poezyi, ceniła należycie talenta obce i otaczała je szczególniejszą pieczą. Nic też dziwnego, że prędko pozyskał Kniaźnin jej względy. Za doświadczone wyrazy życzliwości poeta umiał się stosownie odwdzięczyć. Z niecierpliwością też oczekiwała muza jego chwili stosownej, w której mogła uderzyć w dziękczynną strunę swej lutni. Roi się też w lirykach jego od wierszów, skreślonych na cześć Izabelli. Najstosowniejszą jednak bezsprzecznie chwilą, w jakiej muza poety mogła się odwdzięczyć za doznawane dobrodziejstwa, były imieniny księżnej. Jednym z podarunków imieninowych, jaki po dziś dzień gnił w rękopisie, są właśnie wyżej wymienione „Modlitwy“.

Na treść broszury tej, składa się najpierw 7-mio zwrotkowa przedmowa: „do Xiężnej“, pełna życzeń i pochwał na cześć tejże wypowiedzianych (zamieszczona na odwrotnej stronie pierwszej karty): po której następują cztery modlitwy księżnej, przez Kniaźnina „rymem związane“ i te sięgają do końca odwrotnej strony karty czwartej.

Całą broszurę zamykają dwa wiersze refleksyjne, jeden o tytule: „Religia“, a drugi: „Wieczność“: oba spisane na pierwszej stronie karty 5-tej, to jest na stronie 9-tej: strony 10, 11 i 12-ta, czyste.

Tak się przedstawia wygląd zewnętrzny i podział treści, tego upominku imieninowego.

Nie trzeba sądzić, aby ten płód muzy Kniaźnina był wcale nieznany, owszem początek jego, t. j. odezwę „do Xiężny“, wydobył z pośmiertnych rękopisów Fr. S. Dmochowski i wydał pod takim odmiennym tytułem: „Xżnie Izabelli Czartoryskiey, ofiaru-

iąc icy własne modlitwy w rym ułożone".[1]) Dmochowski wydobył tylko przedmowę, modlitwy nie są mu znane.

Nie wiedzieć, czy rękopism, z którego korzystał, zawierał tylko przedmowę w innej redakcyi rękopiśmiennej, czy może były i „Modlitwy", które Dmochowski przypisał Czartoryskiej, bo tak można wnosić z tytułu i pierwszej zwrotki przedmowy. Mimo wszystko jednak, nie Czartoryska, ale Kniaźnin jest autorem „Modlitw". Świadczy o tem najpierw sposób rymowania, zgodny z techniką rymotwórczą innych utworów Kniaźnina, dalej zasób wyrazów, jakimi bardzo często się posługuje, (n. p. charak. um zam. rozum), wreszcie pocóżby poświęcał Kniaźnin Izabelli w dniu jej imienin wiersze, któreby były jej własnością.

Najistotniejszy jednak dowód, jaki przemawia za autorstwem Kniaźnina, to druga zwrotka przedmowy, gdzie tak wyraźnie powiada poeta:

„Muza, przez którą żyję dla ciebie,
Która czuć umie, coś ty podała;
Kwiaty z ust twoich przyjęte w niebie
W swoje uploty związała".

Zdaniem mojem więc pewnem jest, że Kniaźnin jest autorem tych modlitw, dla księżnej w formę wierszową ubranych.

Utwór ten witamy tem chętniej i milej, że tchnie on prawdziwą poezyą, wolną zupełnie od wpływów starożytnych. „Modlitwy" należą do tego rodzaju liryków Kniaźnina, którym krytyka nadała miano utworów religijnych i postawiła najwyżej w całej spuściźnie poety. Istotnie tam, gdzie miał mówić o Bogu, mówił Kniaźnin szczerze, prawdziwie, z pełnym wyrazem uszanowania tego, co boskie i święte. Nowy dowód tych zalet, jakie cechują religijne płody jego ducha, mamy i w „Modlitwach".

W modlitwie I. przez usta księżnej prosi poeta Boga o łaskę dla niej; w modlitwie II. zawarł prośbę o błogosławieństwo dla dzieci Izabelli; modlitwa III. opiewa potęgę, wszechmocność Stwórcy i Jego „rząd wieczny", a pod koniec zanosi błagania o łaskę i błogosławieństwo dla wszystkich ludzi; wreszcie prośbę o litość nad skołataną i szarpaną przez wrogów ojczyznę, zawarł w modlitwie IV-tej.

To krótki szemat treści, w oryginale pięknie i czuciowo rozprowadzony. W „Modlitwach" dał Kniaźnin obraz nie tylko wiel-

---

[1]) Dzieła Franciszka Dyonizego Kniaźnina wydane przez F. S. Dmochowskiego. Warszawa 1829, (Biblioteka narodowa) t. VII. s. 258.

kiej religijności i pobożności księżnej, ale zawarł w nich także osobiste ja religijne, swoją cześć i miłość względem Boga, a poniekąd i względem ojczyzny (modlit. IV.). Świeżo więc wydobyty z zapomnienia utwór, jest nie tylko ważnym i cennym przyczynkiem do dzieł Kniaźnina, ale także daje nam nowe dowody i materyały do oceny psychologicznej i etycznej strony duszy poety.

Czasu powstania „Modlitw“ określić niepodobna. Poeta nie pozostawił żadnych szczegółów, któreby kwestyę tę rozstrzygały i przynajmniej w przybliżeniu pozwoliły określić rok, w jakim Kniaźnin spieszył z życzeniami dla Izabelli, składając jej utwór powyższy w podarunku. W każdym razie utwór powstał w czasie pobytu Kniaźnina na dworze Czartoryskich.

Przyglądnijmy się wreszcie innym autografom poety, jakie mieści w sobie rękopis Baworowskich. Po tej książeczce, której treść stanowią wyżej wzmiankowane „Modlitwy“, znajdujemy w dalszym ciągu, autografy kilku znanych i drukowanych utworów Kniaźnina, spisanych na luźnych kartkach, mniejszych lub większych rozmiarów. Autografy te o tyle ciekawe, że najpierw wiersze tu dochowane noszą inne tytuły, poczem różnią się od przedruku licznymi i dość poważnymi waryantami, jakie przy ponownem (krytycznem) wydaniu dzieł Kniaźnina, skrzętnie zanotowaćby należało. Tu w krótkości tylko wymienię bodaj tytuły i zaznaczę ich różnice w stosunku do wydania drukowanego. Mamy więc następujące wiersze: 1. „na 13. Augusa 1795“, (w edyc. Dmochowskiego t. VII. s. 217. tytuł odmienny: „Xiężnie Wirtembergskiej“): 2. „na Imieniny Konst. Dembowskiey“, (Dmoch. t. VII. s. 244: „Do Konstan. Dembowskiey“): 3. „na śmierć Xżny Eleon. Czartoryskiey, kancl. Litewskiey“, (Dmoch. t. VII. s. 245: „Na śmierć X. Czartoryskiey, kanclerki Litewskiey“); 4. „O skłonności“ (Dmoch. t. VII. s. 255); 5. „Poranek“ (Dmoch. t. VII. s. 233): 6. „Wiek dziecinny“ (Dmoch. t. VII. 240): 7. „Psyche Xe Zofii Czartoryskiey“, (Dmoch. t. VII. s. 242: „Xiężniczce Zofii Czartoryskiey. Psyche iey portret).

Na przedostatniem miejscu wreszcie, znachodzimy jeszcze jeden wiersz, do dziś pogrążony w niepamięci. To ośmiozwrotkowa oda na cześć Adama Czartoryskiego napisana, pod takim tytułem: „Do Xa Adama Jerze. Czartoryskiego“.

Powstanie tego wiersza możemy nieco bliżej określić. Z treści jego wnosić możemy, że odę tę napisał Kniaźnin w czasie pobytu Czartoryskich w Warszawie, kiedy to ks. generał na wieść o złośliwych i zemstliwych zamiarach Katarzyny, rozgoryczonej

ostatnimi wypadkami w Polsce (Konstyt. 3. maja), formował szwadron kawaleryi, by wszelkiemi siłami niedopuścić do zupełnego upadku ojczyzny. W wierszu tym zawarł poeta ostatnie blaski nadziei i powstanie ody tej odnieść nam należy na lata lub miesiące po r. 1791. To jeden z ostatnich płodów zbolałej duszy Kniaźnina, to na krótki czas przed jego obłąkaniem.

Cenny ten objaw ostatnich drgnień pióra Kniaźnina, podaję obok „Modlitw“, które pozwoliłem sobie przedrukować razem z przedmową do księżnej (drukowaną po raz pierwszy u Dmochowskiego), jako całość ściśle spojoną i nierozerwalną. W przedruku trzymałem się ściśle pisowni autografu.

Lwów, 20. października 1908.

Modlitwy Ks. Izabelli Czartoryskiej rymem związane w dzień Jey Imienin.

Do Xiężny.

Z pióra twey ręki złotego lane,
I pełne maści niosęć ofiary:
Od serca twego Bogu przesłane
Nadziei lotem i Wiary.

Muza, przez którą żyię dla Ciebie,
Która czuć mnie, coś ty podała:
Kwiaty z ust twoich przyięte w niebie
W swoie uploty związała.

Vfność, na żywey oparta wierze,
Pędy rzek cofa, przenosi góry:
Baranek przy niey w złoty leyc bierze
Nie ugłaskane potwory.

Ufaymy Temu, co się z wysoka,
W pośrzód piorunów, pogodą śmieie:
Z owey kotwicy nie spuści oka,
Na którey oparł nadzieię.

On zdobi chlubą szlachetne blizny,
Nie ginie przed nim pobożna praca:[1])
On i dla Ciebie i dla Oyczyzny,
Milszy po nocy dzień wraca.

Gdy nowe słońce na wyzwoleńcach
Słodkim uczuciem twarze roznieci;
Uradowane, w godowych wieńcach,
Rozkwilą Matkę i dzieci.

A ia przymknięty do szczęścia progu,
Gdy mię swym blaskiem olśni dzień złoty:
Nie próżno, rzeknę, ten ufa w Bogu,
Kto nie żałuie swey cnoty!

Modlitwa I.

Wielki na ziemi i niebie!
Pozwalasz Oycem zwać siebie,
Przyimiy łaskawie te dzięki,
Które wdzięczność z serca leie,
Za tyle darów z twey ręki.
Pozwól ieszcze mieć nadzieię,
Pozwól ieszcze: niech ią złożę
W miłosierdziu twoim, Boże!
O stwórce nieprzeniknione
W twoiey potężney wielkości,
W dobroci nie określony!
Odrzucasz z twey wysokości
Żądania pychy i złości:

---

[1]) Dzieła Kniaźnina w wyd. Dmochowskiego, Warszawa 1829, t. VII, s. 259.

— „Pobożna przed nim nie ginie praca“.

A czcza wyniosły ozdobą.
Jako dym. niknie przed tobą.
V tronu twey Wszechmocności
Otwarte czasu podwoie.
Swiat i Wieczność dzieła twoie.
Ale ty w twoiey wielkości
Słuchasz głosu cierpiącego:
A prośby nieszczęśliwego
Nie giną u twey litości.
Dobroć twoiego ramienia
Vdziela łaski obfite
Dla całego przyrodzenia:
Czyny twoie znakomite
Ziemia rodzi. słońce świeci
Na użytek twoich dzieci.
Nadzieią zaś łącząc mile
Z wiecznością przytomne chwile.
Opatrzna twoia opieka
Zbliża do ciebie człowieka.
Ja przy tobie z wiarą stoię:
Miłosierdzie niechay twoje,
Kieruie sądu wyrokiem:
A dobrotliwym rzuć okiem
Na serce i myśli moie.

Modlitwa II.

Panie! któż ciebie na ziemi
Vwielbić może i dociec?
Stwórca ty. sędzia i ociec,
Władasz sercami naszemi,
Opiekuiąc się nad niemi.
Na te, które kocham, dzieci.
Rzuć twe oko dobrotliwe:
Niech im twoia łaska świeci:
Boże! niech będą szczęśliwe.
Błogosławieństwo rodziców.
I spadaiące z ich liców

Niechay te krople rzewliwe
Sciągną im łaski niepłone,
I twoie błogosławieństwo!
A gdy dusze ich stworzone
Są na twoie podobieństwo;
Niechay do niego zbliżone
Darów twoich będą godne.
W kolei przygód doczesnych,
Chroń zawsze ich dni pogodne
Od gorzkich i od bolesnych.
Osnowa godzin szczęśliwa,
I których dla mnie ciąg miły
Ręce twoie wydzieliły:
Niechay raczey na nich spływa.
A ieśli się zgadzać może
Z twą wolą: pozwól, o Boże!
Ażebym przykre i słone
Chwile, dla nich wyznaczone,
Ia mogła przyiąć na siebie.
Niech cię ta modła doleci,
O wszechmogący na niebie!...
Boże! bądź oycem tych dzieci.
Dla nich się moie łzy leią:
Ich przez ufne przekonanie,
Z wiarą pełna i nadzieią
Tobie polecam, o Panie!
Niech doznaią, że mu błogo,
Nad kim iest twoia opieka,
Że nie opuszczasz nikogo,
Kto się do ciebie ucieka.
Prowadź ty ie łaską swoią,
Tą ścieżką, coś im przeznaczył:
A którąś podać nam raczył,
Niech za tarczą wiary stoią,
I twoich się sądów boią.
Ieżeli serce śmieć może
To, co mam, o wielki Boże!
W życiu moim naydroższego,
Tobie iedynie poruczyć:
Toć sam raczyłeś nauczyć,
Że skłaniasz ucha boskiego

Na szczerey prośby wzniesienie;
I że w tobie Oyca swego
Całe czuie przyrodzenie.

Modlitwa III.

Boże we wszystkim cudowny.
Ktoż tobie może być równy?
Nim czas zacząć pędzić wieki.
Ty iuże byłeś odwieczny:
I choć wieków spłyną rzeki.
Tyś za wiecznością daleki,
I bez kresów ostateczny!...
Próżno ciebie rozum sięga:
Ta, którą stoi rząd wieczny,
Nie zna granic Iwa potęga:
I tylko dobroć, o Boże!
Twoia równać się iey może.
Iakkolwiek szalę pochyli.
Ym się twóy w celach nie myli,
O rządzie niebios i ziemi!
Dzień po dniu, chwilę po chwili.
Łaskami znaczysz twoiemi.
A kiedy żal i cierpienie
Nadzieię nawet nam biorą;
Twe iedno wraca skinienie
Pokóy, roskosz i kwitnienie:
Natchniesz ciałom duszę skorą.
Piaski się w krzewy ubiorą.
I po skałach wdzięczysz róże.
Niepoięty w dziełach Boże!
Ieżeli z twoich wyroków
Zsyłasz na nas czasem kary:
W zamiarze twoich widoków
Staią się miłeć ofiary,
W doświadczeniu naszey wiary
Staią się one drogami
Vszczęśliwienia naszego...

O który władasz światami!
O wysokości nieba twego
Osłaniay ty nas skrzydłami
Miłosiernego ramienia:
Zapomniy, ieśli być może.
Zapomniy, o święty Boże!
Na serc naszych wykroczenia;
A my pod tronem dobroci,
Którey nic tobie nie zwróci,
Będziemy szukać schronienia,
I szczęśliwego zbawienia!

Modlitwa IV.

Cóż się tobie oprzeć może.
Jednowładny świata Boże!
Kto może badać w swey myśli
Działania twego powodów.
Które twoia mądrość kryśli?
W twym ręku losy narodów:
Podług twoiey woli słyną,
Podług woli twoiey giną!
Ah! ieśli modła na ziemi
Może łzami wstrzymać swemi,
Co zamyśliłeś na niebie;
Boże! wołamy do ciebie:
Sroga, czarna burza leci.
Wołamy: wybaw, o Panie!
Z otaczaiących nas sieci:
O ty, niewinnych ufanie,
Nie odstępuy twoich dzieci.
Wołamy w okropney dobie:
Nadzieia cała iest w tobie.
Niechay, o Rządzco wysoki!
Spełnią się twoie wyroki...
Ale na sząli, co trzyma
Sprawiedliwość twoia, Panie!
Z miłosiernemi oczyma
Niechay twoia dobroć stanie;

I nasze winy przemoże:
Niech imię twoie, o Boże!
Na które się nieba śmieią,
Imie łaski, imie cudu,
Będzie hasłem i nadzieią
Oddanego tobie ludu.
Chciey za nim łuk swóy natężyć:
I pozwol cnocie zwyciężyć
Tych, co zasługi iey gnębią,
Co swoie pascze wywarli,
Aby strąconym na głębią
Dary nam twoie pożarli:
Dawco szczęścia i cnót chluby,
Nie dopuszczay naszey zguby.
A wtedy twoie moc wszędzie
Vwielbią pienia i świątki:
Wtedy wiek wiekowi będzie
Podawać łask twych pamiątki!

Religia.

Religo! imie święte!
Iakaż udzielność, iaka twoia władza!
Iakże cnót wiele na tobie zasadza
Serce twym darem nięte!
Iakże szczęśliwy ten człowiek na ziemi,
Co się prawdami przenika twoiemi!
Przeciw przywarom, ku serca obronie,
Schronę i tarczę on na twoim łonie
I w trudach swoich pociechy znayduie.
Twóy łańcuch święty związuie
Człowieka z Twórcą, nieszczęście z nadzieią
I czas przytomny z Wieczności koleią.

Wieczność.

Wieczności święta! o dzieło cudowne
Ty przekonanie cnotliwych szanowne.
Iedni, w głębokim ciebie zaufaniu,
Przedziwną w twoiey maluią piękności:
Drudzy się w drżącym o siebie lękaniu,
Rzucaią na cię niewiarstwa ciemności.
Koło i morze niezbrodne,
Naywyższego Boga godne!
O ty; z nim równo nazawsze trwaiąca:
Czas, w nieustannym lecący upłynie,
Jest to gałązka przy tobie rosnąca,
Która się coraz rozwiia i ginie.

Do
Xa Adama Jerze.
Czartoryskiego.

Kędy Potęga oparszy tron srogi
Na skrzydle szczęścia i ukleku trwogi:
Z orężem krwawym nad twardemi ludy
Klucze podniosła obłudy. [1])

Staiesz, Adamie! gdy światu surowa
Grozi swym berłem Semiramis nowa;
Uwagę poday w iey stolicy szumie
Chytrości, zbytkom i dumie.

Ten, co przelata bieg wieków niezmierny,
Woli naywyższey wykonawca wierny:
I graiąc w koley, zbroi nas, rozbraia.
I nikłym szczęściem upaia!

Chwieiąc on danym odmienności światem,
Głowę nad bystrym uzłocił Eufratem:

---

[1]) Zwrotkę tę poprzedza w autografie jeszcze jedna zwrotka, którą własnoręcznie tak zamazał poeta, że odczytać trudno.

Ztamtąd do Nilu swoie przeniósł bogi,
I srebrne czołu dał rogi.

Dopieroż złotym chcć uiąwszy runem,
Z piersi miedzianey gdy huknie piorunem:
Vtkwił, orlemi unosząc się piory,
Ostre nad Tybrem topory.

Na koniec (ktoby tego się był spodział?)
W futra syberskie biodra swe przyodział;
I ręką, płaskiey dziś niewie przyiazną
Rózgę tam podniósł żelazną.

Lecz ten, którcmu towarzyszą Muzy,
Co z przeszłych pychy przyszłe widzi gruzy,
Patrzy się na nią, iak na dym, grę wiatru,
Znaiac udawcc teatru.

Wyżey swóy umysł ku tey ręce zbliża,
Co wznosi skromne, a dumne poniża:
W sercu zaś maiąc niezatarte blizny,
Do miłey westchnie Oyczyzny.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".

Prenumerata wynosi: w cesarstwie austryackiem rocznie **8** K, półrocznie **4** K, ćwierćrocznie **2** K, w granicach Niemiec rocznie **3** talary, półrocznie $1^1/_2$ talara, którą prosimy nadsyłać (najdogodniej przekazem pocztowym) pod adresem: **Administracya „Gazety Lwowskiej“.**

Cena księgarska (główny skład w Galicyi w księgarni Gubrynowicza i Schmidta) za rocznik czyli 1 tom **10** K, za pół roku **5** K, za ćwierć roku **2** K **50** h, za zeszyt **1** K.

Prenumeratorowie „Gazety Lwowskiej“, którzy uiszczą przedpłatę na „Gazetę“ z góry za cały rok (od 1 stycznia) lub za pół roku (od 1 stycznia lub od 1 lipca) otrzymają „Przewodnik“ bezpłatnie, zaś prenumeratorowie ćwierćroczni i miesięczni na żądanie za dopłatą pierwsi **1** K **50** h na kwartał, drudzy **60** h za zeszyt.

Samuel ze Skrzypny Twardowski

i jego poezya na tle współczesnem.

(Ciąg dalszy).

Lecz nie od nich miał otrzymać pomoc.

Na Jerzym Zbarazkim wygasł starodawny ród, a majątki przeszły w ręce Wiśniowieckich, którzy w spadku dostali także i opiekę nad Twardowskim. Jakoż p. Samuel napisaną w tym czasie „Przeważną Legacyę“ [1]) zadedykował Januszowi Wiśniowieckiemu, krzemienieckiemu staroście, a już pod jesień 1633 r. jest w Wiśniowcu. Lecz nie na gody zawitał w te strony. Nad moskiewską ścianą toczyła się wojna od dłuższego czasu, a Turcya korzystając ze sposobności, nie przeszkodziła Abazy-baszy wtargnąć w 100.000 wojska w granice Rzpltej. Na stepach Ukrainy stojące wojska koronne, wzmocnione posiłkami Wiśniowieckiego, stawiły opór. Wiódł je zakamieniały wróg półksiężyca, świeży zwycięzca z pod Sasowego Rogu, przyszły pogromca Kozaków, hetman wielki Stanisław Koniecpolski. Dnia 22. października 1633 r. pod Paniawcami rozbito w puch armię turecką. Pod chorągwią Wiśniowieckiego potykał się pewnie i p. Samuel.

Niedługo potem zakończyła się wojna moskiewska, Smoleńsk pozostał w polskich rękach, a Władysław IV. wielką się okrył

---

1) Wyszła raz pierwszy w Krakowie w 1633 r.

chwałą. Twardowski napisał i wydał z dedykacyą królowi w 1634 roku szesnaście wierszy opiewających „Szczęśliwą Moskiewską expedycyę“. Oddał w nich hołd i samemu królowi i hetmanowi Koniecpolskiemu, hołd nie zawsze w pięknej formie, czasem niedołężny nawet, czasem znów gorętszy, bardziej żywy i milej brzmiący. Pamięci potomnych przekazał także waleczność i niespożytą wytrwałość Jakuba Wojewódzkiego,[1]) który bronił i obronił Smoleńsk, aż poległ na wycieczce. Nawet mały piesek Wojewódzkiego, który na grobie pana życie z żalu zakończył, znalazł słowa[2]) współczucia i... nieśmiertelność dzięki muzie Twardowskiego. W ogóle rok 1634 dosyć był płodny. Oprócz wyżej wspomnianych tłumaczy z własnymi dodatkami przez krakowskie kolegium jezuickie na cześć Stanisława Koniecpolskiego z racyi jego wjazdu na kasztelanię krakowską napisany wiersz p. t. „Siradia Trabeata“, dalej opłakuje śmierć królewicza Aleksandra[3]) w rymach, przeładowanych jednak retorycznemi pytaniami i przesadnych pochwałami.

Na dworze Wiśniowieckiego nie źle się działo Twardowskiemu.[4]) Miał on serce wdzięczne i do swoich chlebodawców przywiązywał się szczerze i głęboko; a w swoich poematach nie szczędził im słów dziękczynnych i wspominał o nich z uczuciem. Tak Zbarazkich, zwłaszcza Krzysztofa, nie zapomniał nigdy, tak i dla Wiśniowieckiego zachował długo wdzięczność.

Na warszawski sejm w r. 1635 wziął Wisniowiecki ze sobą Twardowskiego.[5]) Po skończeniu obrad nadworny teatr Władysława IV. wystawił jakby dramat z muzyką, p. t. „Daphnis przemieniona w drzewo bobkowe“, w obecności króla samego i kró-

[1]) „Jakub Wojewódzki. Pod Smoleńskiem zabity 10. stycznia“. (1634 r.) (w Miscell. selec.).

[2]) „Nagrobek Garsonkowi“ (w Miscel. selec.).

[3]) „Pamięć śmierci Aleksandra Karola r. 1634 20. listop.“ (w Miscel. selec.).

[4]) Niesłusznie wnioskował Chlebowski na podstawie źle zrozumianej „Pobudki cnoty“ (w Misc. sel.), że Twardowski żalił się na Wiśniowieckiego. Thieberger wykazał Chlebowskiemu omyłkę. (Por. Thieberger, str. 22 i nast. w przypisku).

[5]) Dowodem „X. Wiśniowiecki Janusz“, r. 1646, str. 49.

lewiczów i senatorów.[1]) Sztuka ta przez włoskiego poetę napisana i odegrana po włosku, była oczywiście nie dla wszystkich dostępna, a przy małym zmyśle kombinacyjnym nieoswojonej z teatrem szlachty wprost niezrozumiała. To też pewnie wskutek zabiegów samego autora Twardowski przetłumaczył treść po polsku i wydał w Warszawie. Taka treść zastępowała libretto i może rozchwytywana była bardzo.[2]) Później przełożył całą rzecz, przerobił, w niejednem miejscu pozmieniał i wydał w 1638 r.[3])

Po powrocie do Wiśniowca, w nie tak długi czas znowu, umarł książę Janusz, a przy śmierci jego obecnym był Twardowski.[4]) Zanim w 10 lat później żywot jego opisze, teraz wydaje niewielką „Pobudkę cnoty“, w której jednem okiem w przeszłość umarłego spogląda, drugiem zaś w przyszłość sięga i maleńkiemu synowi Janusza świetną wróży przyszłość. Ten syn miał na imię Jerzy Dymitr. Jego to nauczycielem był zdaje się Twardowski w tych latach, w których nie wiemy dokładnie, gdzie się obracał i jakie koleje przechodził.

Spotykamy go znowu dopiero na walnym sejmie w Warszawie w r. 1639, dokąd przybył pewnie w orszaku Jeremiego Wiśniowieckiego, który był opiekunem jego elewa. Na sejmie powstała burza między podkanclerzem Ossolińskim a podkomorzym drohickim, Baranowskim, starły się ostre słowa, posypały obelgi i sejm 15. listopada zerwano. Uderzył żałośnie Twardowski po lutni i wydobył z niej tony skargi na spaczone pojęcia wolności, rozradzającej się w swawolę.[5])

---

[1]) Wójcicki: „Teatr starożytny w Polsce“. Warszawa 1841.

[2]) Do dziś dnia praktykuje się rzecz taka w Warszawie na włoskich operach.

[3]) W Lublinie.

[4]) Patrz dedykacya „X. Wiśniowieckiego Janusza“ z 1646 r.

[5]) „Na sejm rozerwany w Warszawie. 15. Novemb. 1639 r.“ (w Miscel. sel.).

I znowu brak nam wskazówek, według których możnaby dalej splatać wiadomości o jego życiu. Wydaje bezimiennie w 1640 r. długo za utwór Rysińskiego uważanego „Satyra na twarz Rzpltej“. [1]) Przy czytaniu „Satyra“ niejednokrotnie dźwięczą struny jakby żalu, jakby smutku, że samemu autorowi źle się powodzi, jakby wyrzutu, że tym, którzy grosz mają na usługi, wszystko idzie jak spłatka, a biedni wzgardzeni są i postponowani mimo trudów i zasług. Czy bieda go wówczas trapiła, czy może wprost na lodzie osiadł i do Wielkopolski wróciwszy, nie miał o co rąk zaczepić? Wady rodaków wytykał dzielnie i smutny był, że wady są. Czyż do smutku z powodu ojczyzny i troska nad sobą samym się łączyła?

Aż w roku 1642 Piotr na Lachowcach, Zdunach i Kobylinie [2]) Sieniuta dał mu w zarząd Dzierżanów i Stary-gród. [3]) Nie musiały być całkiem skromne z tego dochody, skoro Twardowski powoli zbiera sobie kapitalik. Gospodaruje i zaleca się swoim protektorom. Kiedy Bogusław Leszczyński obejmował wielkopolskie generalne starostwo 6. lipca 1643 r. napisał „Pałac Leszczyńskich“, masowy panegiryk, w którym i Sieniutom z nowym jenerał-starostą spokrewnionym dostały się pochwały.

Dzięki Łukaszewiczowi [4]) następujący notujemy wypadek. Dnia 6. czerwca 1644 r. był Twardowski w Kobylinie z Piotrem Sieniutą, Janem Kaweczyńskim i Kasprem Kuroszą, szlachtą, dworzanami Sieniutów, jako rewizor w sprawie Wawrzyńca Styki, garncarza, którego cech garncarski z powodu jakichś przewinień

---

[1]) Że to utwór Twardowskiego rozstrzygają inicyały na wydaniu z 1645 r. S(amuel) z S(krzypny) T(wardowski).

[2]) Kobylin leży na zachód od Krotoszyna wśród błot między Orlą i Radzącą.

[3]) Odkrycie Józefa Przyborowskiego w archiwum poznańskiem. — W Starygrodzie było przed wojną szwedzką za Jana Kazimierza 10 kmieciów. Był tu kościół, karczma, szkoła. (Łukaszewicz: „Krótki opis“. Poznań 1869).

[4]) „Krótki opis miast i wsi... w powiecie krotoszyńskim...“ (Poznań 1869).

wyrzucił. Twardowski napisał wyrok w swojem i współrewizorów imieniu: „Panowie rewizorowie Wawrzyńca Styke pristino honori et famae restytują, amori fraterno in gremine jako najpilniej oddają, do wszystkich artykułów w przywileju opisanych przypuszczają, ad primatus et praelaturas i drogę torują, wiecznej niepamięci i zapomnieniu to oddawszy, warują, aby żaden tak z braci jak z sąsiadów pod winą niedziel dwunastu turris sessione i grzywien 50 mulcti na ratusz kobyliński odłożenia nie śmiał tego postanowienia naruszać."

I jeszcze jedna pamiątka z tego samego roku. To „Jaśnie w. parze Jakubowi Rozdrażewskiemu[1]) i Annie z Bnina Przyjemskiej, epithalamium zaśpiewane w Koźminie". Z dnia 2. października.

Tymczasem kapitalik rósł wytrwale, aż pozwolił Twardowskiemu pożyczyć 6.000 złotych Sieniutom i wziąć w zastaw Zarubieńce na Podolu. Kiedy się tam przeniósł, niewiadomo. Wydany w Lesznie w 1646 r. „X. Janusz Wiśniowiecki" (opis życia księcia) skłaniałby do wniosku, że w tym roku był jeszcze w Wielkopolsce. Lecz mniejsza z tem, dość, że w Zarubieńcach[2]) zagospodarował się na dobre, hodował obszerne pasieki i rozkoszując się wiejskiem życiem, radował ze złotej mierności. Nie długo radość trwać miała.

Książę Krzysztof Zbarazki po powrocie z Konstantynopola usiłował natchnąć króla, senat i rycerstwo wiarą, że przy natężeniu sił i wytrwałem działaniu możnaby położyć kres potędze tureckiej i zamorskiego przybysza znowu przepłoszyć za morze.

---

[1]) Rozdrażewscy byli dziedzicami Krotoszyna, który leży opodal Zalesia.

[2]) Zarubieńce leżą nad rzeką Dnieczną, która tworzyła tu niegdyś staw obszerny; mają cerkiew pod wezwaniem św. Jana. Gleba b. urodzajna. Lasy w koło. Wypala się tu wapno, robi cegły. (Borkowski: „Album").

Napisał on oprócz relacyi poselskiej „Dyszkurs o tym, jaki był Status monarchiey Tureckiey, jaki teraz, zkąd ten nieporządek i jeźli remediabilis, co za vires morzem y ziemią; czego spodziewać się z tego pokoiu (chocimskiego), y które są racye po nim y przeciwne“. Jego przekonanie, że Turcya jest właściwie próchniejącem drzewem, do którego tylko dobrze trzeba przyłożyć siekierę, podzielał Twardowski i powtarzał nieraz. Władysław IV. podejmował te myśli i układał plany zbrojnej akcyi w tym duchu razem z hetmanem Koniecpolskim. Ale po śmierci hetmana, najmożniejszego i najbardziej gorliwego poplecznika królewskich zamiarów, wskutek opozycyi szlachty robota cała szła w niwecz, a Polska zamiast wystąpić czynnie i nadmiar kipiącej energii w kozactwie obrócić w piersi Stambułu doczekała się okropnych plonów ukrainnej gospodarki, strasznego najazdu Chmielnickiego. Spłynęły krwią naprzód pobrzeża Dniepru, potem wszystkie ruskie kraje, okrucieństwo szło w zawody z męstwem i desperecką zaciekłością. Jeszcze bohater rozgorzałej wojny, ks. Jeremi Wiśniowiecki, mógł był trzymać w szachu w głąb Rzpltej idące wojska kozackie, ażby się nowe porobiło zaciągi i pospolite ruszenie stawiło, gdy dwa nieszczęścia spadły razem prawie. Haniebna klęska piławiecka i śmierć króla.

Czy Twardowski był pod Piławcami, na pewno orzec się nie da.[1]) To niewątpliwe, że kiedy potem zagony kozackie i tatarskie rozlały się szeroko, gdy Chmielnicki zrabował Zbaraż, i on uciekł, a nie oparł się aż w Wielkopolsce.

„Tużem już nie czekał
I ia dłużey i rowno z drugiemi uciekał,
Przyznam się nie leniwiey: fanty procz domowe
Mielsze z sobą, a zbiory wiotche papierowe
W małym pudle uniosszy. Lubo (co za dziwy?)
Uciekał i Pindarus: w tym iednak szczęśliwy,
Że gdy Theby gorzały, Philip mu ochronił
Iego tam Muzeolu. Mego nie obronił
Żaden dźwięk Apollinow, ani głos Łabęci
Niebieskiey Melpomeny. O słodkiey pamięci
Dziedzino! O nad Hible kochańsza pasieko
Tożeś od swey ozdoby barzo dziś daleko!“ [2])

---

[1]) Pro przemawia „Wojna Domowa“: str. 27 i 33, cz. I.
[2]) „Wojna Domowa“, cz. I. str. 36.

Na boku przypisek: „Ruszony z Zarubiniec“. Było to we wrześniu 1648 r.

W Wielkopolsce krótko bawił i pospieszył na sejm elekcyjny do Warszawy, może z Bogusławem Leszczyńskim.[1]) Gniewa go gadanina i ugodowe stronnictwo, które chce układami sprawę załatwić. Przychyla się do zapatrywań Wiśniowieckiego i nawet na obranego w końcu Jana Kazimierza jakby z nieufnością spogląda.

Wojna. chwilowo zawieszona, rozpala się znowu. Twardowski pisze pobudkę wojsku wychodzącemu pod Ołykę i sam może spieszy na teren bojowy. Nastąpiło sławne oblężenie zbarazkie, potem drugie zborowskie i pokój zapadł w 1649 r. Jeżeli był jednym z tych, którzy przetrwali sześciotygodniowe piekło na ziemi, jeżeli był jednym z tych, którzy bohaterami byli prawie wszyscy bez wyjątku, jeżeli przebył zbarazkie oblężenie,[2]) niechaj chwała będzie jego imienia wiekopomna.

Kiedy po zborowskiej ugodzie wrócił do Zarubieniec, skarżyć się musiał:[3])

„...kiedy nam po boiu
I tak przykrych włóczegach, powrócić się beło
Do swych nazad zgorzelisk i przynamniey mieło
Obeyrzeć ich popioły. Aż my miasto chłopów
Poddanych nam dopiero, iakichci Cyklopów
Okrutnych tam zastali, takie stawiać czoła,
Takie twarzy, iakoby nie znali nas zgoła.“

Jakoż w takich stosunkach, kiedy harde, rozzuchwalone chłopstwo zaznawszy przyjemności buntu nie chciało nie już karku pod jarzmo dać, ale wogóle słuchać, kiedy lada chwila groziła rzeź, a nowy najazd kozacko-tatarski, nie dziw, że Twardowski nie chciał zostać w podminowanym kraju i z końcem 1650 r. przeniósł się do Wielkopolski. Sieniutowie przyjęli go gościnnie i powierzyli zarząd dóbr kobylińskich z siedzibą w Zalesiu.

---

[1]) Wojna Domowa“, cz. I. str. 39, 42, że był na sejmie.
[2]) Z opisu możnaby wnosić, że był. „Wojna Domowa“, cz. I. str. 52—102.
[3]) „Woj. dom.“ cz. II. str. 4.

Pomiędzy jedną a drugą wojną kozacką wydany został wielki historyczny poemat,[1] opiewający życie Władysława IV. Dedykacya dla Jana Kazimierza, pisana po powodzi klęsk, płynąca z głębokiego odczucia strasznego kontrastu między szczęśliwem panowaniem poprzedniego króla, a nieszczęściami razem z jego śmiercią spadłemi, zawarła, zawrzeć musiała zwłaszcza przy rozgorączkowaniu ówczesnem przesadny panegiryk dla Władysława. Oto wszystkie cnoty gościły w Polsce w czasie Władysławowych rządów, nie chwiał się tron, szanowano prawa, wolność i swobody nienaruszone, trwał pokój, dawał Bóg urodzaje. A teraz? Teraz w myśl polityki Wiśniowieckiego należało zwalczając pokojowe plany kanclerzyńskiej partyi i wskazując na przykład bitnego Władysława zachęcać króla:

„Przebóg niemieszkay, przebóg nieodkładay,
A w te pożary konia w skok dosiaday“.

Dziwny był los tej książki. Świeżo po jej wydaniu przyjechało do Warszawy poselstwo celem zawarcia pokoju, w istocie celem rozwodzenia skarg i dzikich pretensyi o rzekome i rzeczywiste lekceważenie tytułów cara przez panów polskich. Na czele poselstwa stał chytry Puszkin, szukający, z czegoby się dał wyłuskwić casus belli. Przyzwyczajony do bezwzględnej czci dla władcy, który o tytuły dbał jak człowiek ciasny a fałszywie ambitny, przyzwyczajony do absolutnego traktowania, domagał się w głos, żeby co rychlej spadły głowy tych, co carowi ubliżyli. Król i senatorowie, skłopotani z powodu ukrainnych zaburzeń, wszelkiemi siłami starali się odeprzeć widmo wojny z Moskwą i łagodzili Puszkina, nie mogąc zaspokoić jego pretensyi. Aż gdy poseł w dowód, jak Polacy lżą cara bez ceremonii, czytać począł wyjątki z „Władysława IV.“, w których Twardowski ostro kreślił charakter całej Moskwy, wtenczas poświęcił król dla utrzymania pokoju poemat, głoszący sławę jego poprzednika i brata, i skazał książkę stosownie do życzeń posła na spalenie. Czy ustąpił słusznie? Czy honoru swego nie naraził na szwank? Czy może lepiej, że mniejszą rzecz ofiarował, by większą zachować? Nie nam sądzić. To wiemy, że Puszkin szkody poematowi nie wyrządził

---

[1]) P. t. „Władysław IV.“ (wyd. 1649 i 1650).

wielkiej, raczej przysługę. Kat spalił część egzemplarzy tylko. Resztę rozchwytano czemprędzej i czytano chciwie, bo sprawa przybrała rozgłos i przysporzyła Twardowskiemu niemałej sławy.

W następnym roku podniósł Chmielnicki znowu całe kozactwo i z wszystkiemi hordami tatarskiemi wkroczył w granice Rzpltej. Po drodze zgarniał ku sobie czerń i rosnąc w coraz większą potęgę, szedł wśród pożarów i mordów, ażeby osłabić Polskę do reszty i uzyskawszy korzystniejsze od zborowskich traktaty w udzielne władanie posiąść Ukrainę. Tym razem jednak Rzplta. jakby zbudzona z odrętwienia i lekceważenia przeciwnika, skupiła siły i w jednej bitwie pod Beresteczkiem, jak jej cześć wymagała, skruszyła ambitne plany kozackiej pychy. Ale zwycieskie wojska polskie nie poszły aż do gniazda wrogów i nie zgasiły tam doszczętnie zarzewia, które później znów płomieniem wybuchać miało, bo szlachta pospolitego ruszenia oparła się królewskim zamiarom i rozproszyła do domowych siedzib.

Jeżeli Twardowski posłuchał wezwania rozesłanych przed wojną wici [1]) i jeżli należy mu się gałązka z wieńca chwały beresteckiego zwycięstwa, to pewnie wrócił (jak inni) do Zalesia zaraz po rozgromie wroga.

Odtąd pod zachód życia swojego schodząc z daleka patrzy na polityczne wypadki, choć wszystkie rany i radości ojczyzny sercem odczuwa i pisze wierszem długą historyę wojen, od początku kozackiego buntu.

Zarazem coraz częściej, coraz goręcej myślą do Boga się zwraca, a nawet skłania ku dewocyi nieco. Tak n. p. w r. 1653 przyjmuje wraz z żoną Elżbietą bractwo św. Anny w kościele Bernardynów w Kobylinie.

---

[1]) Wojna domowa", cz. II. str. 10.

Tę ostatnią wiadomość Łukaszewiczowi zawdzięczamy, jak i dwie inne z tego czasu. Oto rozstrzyga w 53 r. sprawę między spadkobiercami młynarza Trafarza o młyn w Starymgrodzie, a nie mogąc ich pogodzić, odsyła do podstarościego Rakowskiego. W r. zaś 1655 zjechał ze Zdun.[1]) (do których przeniosł się z Zalesia) do Kobylina, aby na życzenie Jana Długołęckiego, kobylińskiego mieszczanina, potwierdzić wraz z Przybyszewskim, Kobylina dzierżawcą, testament Długołęckiego i opiekunów jego dzieci.

W roku 1655 umarł Krzysztof z Bnina Opaliński, wojewoda poznański. Musiała więc „Nadobna Paskwalina z hiszpańskiego w polski przemieniona ubiór", być gotowa do druku w tym roku, skoro na jej czele jest dedykacya dla wojewody. Pisana zaś była po 1651 r., gdyż jest w niej alluzya do beresteckiej wiktoryi.[2]) Ale czy była także wydaną zaraz — nie wiemy.

Tymczasem nadchodził nowy paroksyzm na Rzpltą, od poprzednich straszniejszy, obejmujący całą Polskę, jak była długa i szeroka, a zakończony dopiero po wielu latach i wielu trudach. Zemsta i zdrada Radziejowskiego, kapitulacya pod Ujściem, gromadne opuszczenie Jana Kazimierza, odstępstwo Opalińskiego, Radziwiłłów, pierwszych senatorów i urzędników, wojska i szlachty. Rozlały się zastępy szwedzkie po Polsce, a Karol Gustaw obejmował Rzpltą we władanie. Twardowski zwątpił w sprawę Jana Kazimierza i napisał „Omen królowi szwedzkiemu"[3]) zaraz na początku wojny, w którym wróżył Karolowi, że ogarnie całą Polskę. Wiązały p. Samuela stosunki z Opalińskim, który w poznańskiej ziemi pierwszy porzucił drogę obowiązku, szedł p. Samuel za głosem sofizmatycznego rozumowania, że można opuścić prawowitego króla, gdy inny w oczy błyska nadziejami wydobycia z toni nawy skołatanej ojczyzny. To prawda. Mówił w tym wierszu:

---

[1]) Zduny były mieściną Sieniutów, którzy bardzo przyczynili się do jej wzrostu.

[2]) „Nadobna Paskwalina", wydanie z r. 1701, str. 118 i 119.

[3]) W „Miscel. select."

„Ciężka i rzadko bezpieczna odmiana
Ile w poddanym nieznacznego Pana.
O! jakie kto z nas himery nie przędzie
W głowie nie swoiey! złym dobrymli będzie!“

I to prawda. Ale czemu zamiast obaw co do przyszłości nie poczuł trwogi, że honor się takiem odstępstwem plami? Dziwny padł wówczas cień na głowy szlachty i dziwne było zamieszanie pojęć, dziwne pojmowanie obowiązku i stosunku względem króla. Można Twardowskiego, jak i innych, tłumaczyć, — usprawiedliwić nie można.

Rehabilitował się jednak. Jak suponować wypada, że był pod Ujściem, tak też po zmianie frontu przekonań szlachty, po odezwaniu się głosu sumienia, przyłączył się prawdopodobnie do oddziału Opalińskiego w powstaniu zbrojnem.

I tak choć bez dowodów absolutnych przypuszczać by można:

Że brał udział w oblężeniu Leszna 27. kwietnia 1656 r. Że był potem pod Kostyniem, że bił się z Wassemanim, że oblegał Łowicz, że był pod Warszawą, a przed zdobyciem stolicy stawiał opór Duglasowi, ciągnącemu z odsieczą. Po wzięciu jednak Warszawy wrócił do domu. Ale ztąd wypłoszył go w 1657 r. generał szwedzki, Wrzeszowiec, Czech rodem, który rabował okolice Kobylina. Schronił się pewnie znów do oddziału Opalińskiego, pod którego dowództwem zdobywał Kalisz. [1])

Lecz tu już zaczęły się coraz lepiej układać stosunki. Szwedom, wygnanym z głębi Polski, i przy granicach stawało się coraz ciaśniej i coraz goręcej. Twardowski usunął się do Zalesia i ztąd przysłuchiwał się wieściom. Wydaje w 1657 r. część „Wojny domowej“ o potrzebie Beresteckiej i pisze dalszy ciąg i wyczekuje końca, pokoju. Ale na horyzoncie zebrały się nowe chmury, Rakoczy, Kozacy, nowy tumult, nowa zawierucha. Może był Twardowski na sejmie w 1658 r. i jeszcze bardziej zwątpił w rychłe rozwiązanie sprawy. Bo zwątpienie opadało go często. Czuł, że nadchodzi kres życia, że niewiele czasu zostaje do tworzenia poematu, więc końca wojny czekał, końca pragnął. Chwilami chciał

[1]) Wszystkie powyższe wiadomości opierają się na wzmiankach z „Wojny domowej“.

nawet przerwać pisanie. Aż przyszedł pokój oliwski, który z radością powitał jako zapowiedź lepszej doli dla ojczyzny, jakby jutrzenkę nowej epoki.

Jeszcze trzy drobne szczegóły notujemy z jego życia.[1] W r. 1659 obrany został ze stanu szlacheckiego seniorem bractwa św. Anny w kobylińskim kościele Bernardynów. W r. 1660 wstąpił do drugiego bractwa Niepokalanego Poczęcia N. Maryi Panny w tymże kościele. W 60 roku także d. 30. października za jego pośrednictwem mielcarze kobylińscy zrobili układ ze swym proboszczem X. Brysiewiczem o zlewne od każdego waru piwa.

Do pokoju oliwskiego doprowadził Twardowski „Wojnę domową“. Schorzały, pozbawiony sił nie o wiele przeżył koniec długoletnich bojów. W grudniu 1660 roku pochowano jego ciało w kościele Bernardynów w Kobylinie. Zostawił żonę Elżbietę i synów Zygmunta i Stanisława.[2] Rodzina wystawiła mu pewnie nagrobek, ale pożar kościoła w XVIII. w. nie przechował z niego nawet śladu.

Za to pozostał ten jaki Gawiński w „Dworzankach“ umieścił:[3]

„Starożytnych cnót polskich istota prawdziwa
I Muz polskich: Twardowski z Skrzypna tu spoczywa.
Rzućcie laur na jego grób; rzućcie amaranty
Dziedziczki Helikońskie, wiecznej sławy fanty.
Rzuć i krusz grot twój Marsie, twa to trąba była,
Iliadę polskich dzieł co światu głosiła.

---

[1]) Łukaszewicz, j. w.

[2]) Łukaszewicz podaje, że Zygmunt chodził dzierżawami w okolicach Kobylina. Był członkiem bractwa św. Anny, jak ojciec. Umarł w 1674 r. d. 7. kwietnia w Dupinie. Na trzy lata przed śmiercią dzierżawił Targoszyce, z których w 1674 r. ruszył na pospolite ruszenie. Żona jego miała na imię Jadwiga. O Stanisławie nic podać nie może.

[3]) Wydanie z 1664, str. 114.

Cóż słyszę? Z gór auzońskich dźwięk się jakiś jawi,
Który śród możnych Kamen, Kalliope prawi:
Zła śmierci, nie chlub mego kochanka się zbiorem,
Żyje on i pod niebo mądrym wzlata piórem."

Szlachecki typ XVII. wieku na tle epoki.

„Bogu żyj y oyczyźnie swoiey ku ozdobie
Potemże familiey y samemu sobie."
(Twardowski: „Satyr", 1645*).*

Dziejowe przemiany. — Polska XVII. w.: reformacya i humanizm. — Metamorfoza polityczna — Twardowski: Wykształcenie. — Charakter. — Gospodarz. — Żołnierz. — Przyjaciel. — Podziw dla bohaterów. — Rycerskość. — Prawdomówność. — Wesołość. — Pochlebstwo. — Wdzięczne serce. — Wyobrażenia szlacheckie. — Fantazya. — Filozofia. — Wątpliwości. — Pogląd na naturę ludzką. — Namiętności wrodzone i nabyte. — Kara Boża. — Kobieta. — Wychowanie. — Miłość. — Religia. — Tolerancya. — Fanatyzm. — Papista. — Opatrzność. — Powierzchowność. — Zabobon. — Patryotyzm. — „Omen". — Polityka. — Rojalizm. — Znowu „Omen". — Polityka zewnętrzna. — Wewnętrzna. — Pospolite ruszenie. — Choroby Rzpltej. — Poeta. — Pojęcie zawodu. — Sztuka.

W czasach p. Samuela Twardowskiego odbywała się właśnie jedna z dziejowych przemian.

Przychodzą one wolno i działają zrazu leniwo, ospale, niby czując, że mogą przedwcześnie spłoszyć ofiarę, czołgają się cicho, bez szelestu, w pomroce, tylko czasem zaświecą w oczy splotem nowych myśli, jak wielkie węże ślizgające się w nocy po zdobycz błyskają łuską w potwornych zgięciach. Wyrosłe z nasion przeszłości, od przeszłości odmienne, przecież noszą w ogólnych rysach odziedziczone cechy i z początku dziwnie zręcznie układają maskę, aż złudzenie podobieństwa jest zupełne. Zaczem przystęp wszędzie mają łatwiejszy i mogą bezpieczniej pracować. Czasem bystrzejszy umysł nagle spostrzeże ciche, podstępne działanie i uderzy w dzwon trwogi na alarm, odpowie mu niewielu echem, inni zagłuszą zaraz głośnemi drwinami z przywidzeń, przywalą

hałasem żartów, a wśród takiej burzy powolne ciosanie nowej epoki trwa dalej.

Czasem, gdy przemiany niosą dobre dary, z których przyszłość rozrodzić się może świetlana, bardziej czułe ucho załaskocze szept natchnionej wróżby, a wnet oddźwiękną wieszcze struny i zagrają hymn wesela i pobudkę, aby na oścież otworzyć serca i gotować na przyjęcie nowych ideałów. Wówczas znowu rozlegną się głosy zaprzeczenia, sceptyczny chór zawodzić będzie na ton chłodnego rozsądku, a wśród takiego gwaru ciche kucie nowej epoki trwa bez przerwy.

Jakoż pojawiają się coraz częściej dwa wręcz sobie przeciwne zjawiska. Jedne źródła dawnych natchnień i dążeń wysychają systematycznie, jakby zabite suchem tchnieniem wyczerpania, inne natomiast poczynają pracować ze zdwojoną siłą. Rwie się w nich miara i ład, rodzi konieczność przesady, rozpęd przestaje uznawać jakiekolwiek granice, aż zbytnia wybujałość łamie się sama w sobie i następuje bezwiedne samobójstwo.

Trop w trop opada wszystko pewna nuda, pustka w sercu daremnie szuka, bo na równą pustkę w wyobraźni trafia, rozum porzuca próżne wysiłki i miele w koło resztki dawnej strawy, a po tym zmroku przychodzi zupełna noc, w której ospałość zwycięża ostatki pozostałego rozpędu i gasi życie duchowe.

Lecz oto już poczyna świtać. Z popiołów przeszłej epoki wyrasta nowa. Czasem przynosi pęk cudownych promieni i otwiera bogate źródła, sypie perłami wzniosłych uczuć, wabi wyobraźnię w bajeczne kramy i umysłom poddaje głębokie otchłanie dociekań; czasem świt jest dziwnie szary, mglisty, bez uroku, a po świtaniu w dzień ta smutna mgła ani nie opadnie całkiem, ani nie wzniesie się, nie zniknie w górze, jeno waha się równo nad ziemią i zasuwa wszystko w przykry cień, w półmrok, który zaciera kontury i przyćmiewa barwy, budząc szarą jednostajność.

W czasach p. Samuela Twardowskiego odbywała się właśnie jedna z dziejowych przemian.

W XVI. wieku działały dwie potężne siły, które podniecały umysły i dawały impuls temperamentom, ambicyi, uczuciom. Humanizm i reformacya.

W Europie całej poczęte w XVII. wieku wyzwolenie z pod przewagi obu sił w różnych krajach postępowało w różnym tempie; po większej części żółwie to były kroki, była powolność wielka, miejscami zastój nawet, tylko gdzieniegdzie dzięki wybitnym nad zwykłą miarę głowom i dzięki przyjaznym stosunkom wyzwolenie nadchodziło żwawiej.

W Polsce przedewszystkiem reformacya religijna przygasła prędko, jakby zabrakło podsycającego ją materyału rzeczywistej potrzeby dusz i wabiącego tchnienia nowości. Z wielkiego pożaru po przepaleniu głównych wiązań, za ustaniem wiatru, zostają zapadłe zgliszcza, wśród których tlą się jeszcze niewygasłe resztki, czasem żywiej zaświecą, buchną ogniem, na krótko. Iskry przestają latać, nadchodzi spokój, walka z pożarem kończy się pożaru przegraną. Tak w Polsce po mozolnem zmaganiu się katolicyzmu rzymskiego z religijnemi nowinkami, katolicyzm już u wrót wieku podnosił hymn tryumfu i zwyciężał prawie wszędzie absolutnie. Poszli Aryanie na tułaczkę w obce ziemie, a nad głowami innych dyssydentów zawisła chmura podobnego losu. Wśród szlachty z początku ogółem wziąwszy pełnej tolerancyi, budzi się niechęć dla innowierców, potem niechęć przechodzi w żartką antypatyę, kiedy zaś rozpadło się przez łagodzące spory usposobienie Władysława powołane do życia colloquium charitativum, kiedy senat, który dawniej pół na pół miał dyssydentów w swem łonie, teraz przemienił się prawie wyłącznie w katolicki, kiedy innowiercy ponad dobro ojczyzny kłaść poczęli własne interesa i wyciągać ręce po pomoc do ościennych państw i ościennym państwom naodwrót pomoc w ojczyźnie dawać, wówczas antypatya katolickiej szlachty przeszła w nienawiść. Mnożą się sejmowe uchwały przeciw dyssydentom, ale walka na słowa i pióra tak żywa w XVI. wieku z powodu bardziej równomiernego rozłożenia sił, przycicha teraz i wielkie źródło dawnego ruchu wysycha wytrwale, a wody z niego bić przestają i tylko cichą płyną strugą.

Humanizm za to wyrugować się pozornie nie daje i cieszy się, że mu z ręki nikt nie wytrąca berła. Władanie jego rozszerza się nawet bardziej jeszcze niż dawniej, tylko jest w tem panowaniu coś, co stanie się dla niego trucizną. Oto kiedy dawniej koło jego tronu kupiło się niewielu poddanych, ale wyborowych, oddanych władcy całem sercem i całą duszą i dochodzących przez swój zapał i wytrwałość do wielkiej sławy i znakomitej nauki, teraz jego potęga traci na jędrności i energii, a obejmując liczniejsze warstwy i rozpływając się szeroko, rozpływa zarazem płyciej.

Gdy na rozlane po wielkiej przestrzeni wody o małej głębokości działać poczną wysysające promienie słońca, pracę mają mniej żmudną i osuszą prędzej grunt, na którym świeże zazielenią się trawy. Tak humanistyczna oświata rozszerzyła się po całej Polsce, a przetrawiona przez polskie umysły i w polskie przybrana cechy, ruszyła dalej jeszcze na Moskwę, na Ruś, na Wołochy. Lecz zmieniły się jej barwne szaty, bo w szkołach, w życiu, w literaturze nie służyły jej już tak tęgie głowy, jak dawniej. Szkoły przeważnie jezuickie Alwarem lub Piotrowskim znajomość łaciny szczepiły w uczniów, grecki język stracił prawo obywatelstwa, matematykę i przyrodnicze nauki ograniczono bardzo, ducha klasycznych dzieł nie umiano wywołać i uczniom okazać, więc kręcono się w ciasnem kole zewnętrznego traktowania poezyi, prozy i wymowy, i na pamięciowej drodze z bronią formułek w ręku dobywano twierdzy tajemnic retoryki i poetyki. Na domiar złego rozszerza się mniemanie, że twierdzę zdobyć łatwo, nawet zdobywa się mniej więcej dzień w dzień przy wierszowanych toastach, okolicznościowych mówkach, na każdej uczcie i przy każdej rodzinnej uroczystości. Dla pogłębienia studyów za granicę wyjeżdża szlachta rzadko, a krakowska Akademia wchodzi w znak bezsilnej apatyi. Mieszczaństwo z nielicznymi wyjątkami zupełnie nie gra roli w utrzymaniu oświaty, raczej upada w nauce całkiem, tak, jak i pod względem politycznym. Optymizm, zadowolenie się tem co jest, psuje najważniejszą sprężynę rozwoju, świadomość, że do doskonałości droga długa jeszcze, daleka, właściwie nigdy nie skończona. Brak wybitnych, o własnym wyrazie i własnych cechach, samodzielnych osobistości w literaturze i nauce, więc wszystko szarzeje jednostajnie i monotonnie. Jakoż humanizm rozlawszy się szeroko a płytko, pod palącymi promieniami francuskiego słońca skazany został na powolne zanikanie.

Tymczasem odbywa się równolegle przemiana w politycznym i społecznym stanie Rzpltej.

Pierwszy Waza na tronie polskim nie obznajomiony ze stosunkami panującymi w kraju, którym miał władać, popełnia błąd za błędem i wbrew chęci przysporzenia koronie blasku, znaczenia i powagi, rujnuje królewskość jakby z umyślną metodą. Podjawszy tradycye Stefana Batorego, w pragnieniu, ażeby oprzeć się na posiewach wielkiego monarchy, nie okazuje ani dość sił ani

zdolności. Potem odkrywa absolutystyczne dążenia, potem wychodzą na jaw jego szpetne knowania z rakuskim dworem, a zgubiony w opinii ogółu, ściąga na siebie sejm inkwizycyjny i rokosz Zebrzydowskiego. Rokosz zabija powagę królewską do reszty. Zygmunt III, znienawidzony za niesprawiedliwe rozdawanie łask i urzędów, antypatyczny z powodu dewocyi, — przez brak stanowczości w działaniu, przez łagodność odkrywającą jego niemoc względem rokoszan, traci ostatnie blaski korony, która odtąd jakby zgaszona próżno łaknie dawnej świetności. Władysław IV, popularny niezwykle z wielu względów, dzięki swojej rycerskości, dzięki zamiłowaniu w polskiej mowie i polskich obyczajach, dzięki kontrastowi, jakiego między nim a ojcem dopatrywala się szlachta, ten Władysław przychodzi już za późno. To też marzenia o wyprawie tureckiej pryskają o opór sejmu, a na następcę jego, na Jana Kazimierza zwala się nieubłagana konsekwencya królewskiej niemocy, masowe odstępstwo od tronu. Wystarczyło parę klęsk, których winę zwalono na koronę. Zagadkowy charakter Jana Kazimierza rozsiewał nieufność tam, gdzie jej jeszcze nie było, a była prawie wszędzie. Panowanie Sobieskiego miało być tak samo zatrute ciągłą walką i borykaniem z opozycyą lekceważącą władzę królewską; potęgę zagarnął kto inny: zagarnęło ją możnowładztwo.

W naturze nie ginie nic zgoła. Tak zginąć nie mogła siła, tylko przeniosła się od tronu i rozrzuciła między możne rody, które w różny sposób jej używały. Przedewszystkiem rywalizacya, jaka już w XVI. w. była między Zamoyskim a Zborowskimi, teraz tężeje bardziej i daje się odczuwać w całej historyi, bo wpływ jej jest ogromny. To też polityka króla polega na tem, że balansuje między stronnictwami królewiąt, jednych forytując bierze w pomoc do przeprowadzenia swoich planów, a gdy do zbyt wielkiej dojdą potęgi, innych znów łaską obdarza i z tych innych formuje przeciwważący pierwiastek. Oczywiście jest to anomalia straszna z wszelkiemi cechami doryweczości i podobieństwa do chwiejnego chodzenia po linie z naprzemian używanym balastem w obu dłoniach. Królewięta prowadzą politykę na własną rękę. Oto garść ich prowadzi Dymitra do Moskwy; oto inni wypędzają z Wołoch hospodara rządzącego z ramienia Turcyi i osadzają na opróżnionym tronie tego, który jest po ich myśli; oto Wiśniowieccy zakładają na Rusi jakby udzielne księstwo, utrzymują kompletną armię i przyjmują posłów tatarskich i moskiewskich; oto kiedy na jednym krańcu Rzpltej Krzysztof Opaliński pod Ujściem pod-

daje całą Wielkopolskę, niby jej pan i władca, wówczas na drugim Radziwiłłowie marzą o koronie litewskiej dla swego domu i w tym duchu prowadzą układy z królem szwedzkim; oto Lubomirski nakłania chętne ucho austryackim podszeptom i znosi się z dworem rakuskim, jakby już panujący monarcha. Ale naodwrót są inni, którzy wiernie stoją przy królu, wierność swoją pieczętują krwią, wierności swojej dowodzą ofiarą życia i majątku. Jest więc Stanisław Żółkiewski mimo intryg nigdy nie schodzący z drogi obowiązku, jest Chodkiewicz, zwycięzca z pod Kircholmu i Chocimia, jest Koniecpolski, hetman wielki koronny, wytrwały druh i poplecznik planów Władysława IV., jest Paweł Sapieha, Michał Kazimierz Radziwiłł, Piotr Opaliński. Cóż jednak pomódz oni mogli? Prawda, że razem z bohaterami jak Czarniecki bronili Rzpltej i pomnażali sławę oręża polskiego. Lecz i ci, którzy o obowiązkach zapominali, mieli chwile świetności i skarbili sobie cześć ziomków, póki jej nie splamili hańbą. I Janusz Radziwiłł i Lubomirski położyli wielkie dla dobra ojczyzny zasługi. Natomiast wierni tronu i ojczyzny bojownicy nie zdołali tak energii Rzpltej skupić, żeby ona mogła działać potężnie. Dlatego na marne szły niewyzyskane zwycięstwa, stanowczych kroków nie widać, jest przedsiębiorczość polityki zewnętrznej, ale nie ma wykonania, jest chęć reform wewnętrznych, ale jest z drugiej strony wytrwała przeciw reformom opozycya.

Prowadziła opozycyę przedewszystkiem szlachta. Ona w tym wieku urzeczywistniła z dawna upragniony ideał: demokratyzacyę społeczeństwa. W pojęcie ówczesnego społeczeństwa zupełnie nie mają przystępu mieszczanie i chłopi, mają go mieszczanie mniej nawet niż w XVI. w. Ale szlachta sama w sobie i dla siebie głosi hasło równości bezwzględnej i chociaż nie może magnatom odebrać faktycznych przywilejów, chociaż nie może wzbronić im łatwiejszego przystępu do senatu i pierwszych w państwie urzędów, przecież przynajmniej w teoryi i w zewnętrznych oznakach usiłuje wszystkich na jednym poziomie wobec prawa utrzymać i dlatego burzy się zapamiętale na każdy tytuł przywieziony z zagranicy, dlatego nie pozwala stanowczo utworzyć królowi orderu.

Jest szlachta konserwatywną do szpiku kości, czemu jednak konserwatywną w złem, jak w dobrem? Chwała jej za Kircholm i za Smoleńsk, za Trzcianę i za Chocim, za Zbaraż i Beresteczko, za wszystkie zwycięstwa pod Czarnieckim i pod Sobieskim, chwała za niewygasłe męstwo przodków, chwała za dowody gorącej miłości ojczyzny i wiary. Ale czemu pielęgnowała przekazaną

w spadku po XVI. w. wolną elekcyę w takiej formie, w jakiej odziedziczyła? Czemu liberum veto do większej jeszcze potęgi podniosła? Czemu nie stłumiła popędu do anarchii? Czemu oponowała reformom z zaciekłością, z pasyą, ze ślepym, a złym instynktem?

Były wśród tej szlachty typy różne, były i takie, które otwarte miały oko na raka toczącego ojczyznę i bolały nad chorobami Rzpltej, ukochanej z całego serca i z całej duszy.

Jednym z takich typów był p. Samuel Twardowski.

Chociaż nie posiadał wielkiego wykształcenia, przecież na współczesnem tle stanowi widoczną plamę, która zwraca uwagę i każe go zaliczyć w poczet bardziej światłych głów. Nie przez głębokość nauki, ani nie przez rzadką bystrość na ten pochlebny sąd zasłużył, ale przez szersze oczytanie [1]) w historyi i geografii, w poezyi i prozie klasycznej, przez rozsądek czujny zawsze, czego dowody składał niejednokrotnie, przez rozważanie i zastanawianie się nad różnymi problemami i przez sąd trafny.

Rozumienie ma znaczne o sobie i swoich ziomkach. Czuje silnie, że góruje umysłowo nad Moskwą i Turcyą, i z dumą chwali się z większego rozwoju cywilizacyi w Polsce. Nie uchodzi jednak jego baczności, jaka jest odwrotna strona w tej mierze i skarży się we „Wojnie domowej“: [2])

„Nie dawam tu o kim
Swego zdania; ale to rozumiem z prostszymi,
Że pókiśmy nie byli ludźmi tak mądrymi,
Lepiey zawsze biiali swe nieprzyjacioły.
Tak przed laty Atheny, im w naylepszą szkoły
Parnaskie ich kwitnęły, na gruby Philippów
Diszkurs padły. I w Rzymie, im bystrszych dowcipów
Z wodzem ich Cyceronem także się ziawiło,
Przyszłey mu to ruiny wróżką pewną było.
Coś u nas podobnego, kiedyśmy co dali
Wolność tę nieszczęśliwą subtelniey strugali,
Przestrugali nakoniec...“

---

[1]) Biblia, Homer, Livius, Tacyt, Klaudian, Pliniusz starszy, Curtius, Plutarch, Jul. Cezar, Cicero, Diodorus, Busbequius, Leunclaius i t. d. i t. d.

[2]) W. d. cz. II. str. 135.

I racyi trudno mu odmówić. Spostrzega słusznie, że przy większej wyłączności duchowego kultu niknie hart wojenny i rozprzęga się fizyczna potęga, zwłaszcza, kiedy umysłowe kierownictwo i ster społeczny chwyca ludzie pozornej nauki. Tak w czasach Demostenesa gardłacze-sofiści otwierali na ścieżaj wrota czczemu gadulstwu i anemii czynu. Pochlebia wprawdzie rodakom, kiedy ich epokę niejako z Cycerońską porównuje i epitet „mądrych“ im nadaje, za to jednak słusznie karci wolność przeradzającą się w swawolę.

Daje tem dowód rozsądku, który i na innych objawia polach.

Dr. Stanisław Turowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KLUB PATRYOTYCZNY WARSZAWSKI

w czasach powstania listopadowego

(1830 — 1831).

ADAMOWI KRECHOWIECKIEMU,

w uczczeniu Jego jubileuszu literackiego

poświęcam

Al. K.

I.

Towarzystwo patryotyczne. a klub rewolucyjny. — Jego dążność. — Klub pierwszy. — Zebranie na Ratuszu. — Protest Prezydenta Węgrzeckiego. — Wybory. — Zebranie w Salach Redutowych. — Posiedzenie nocne i jego rezultat. — Deputaci w Radzie Administracyjnej. — Pierwsza dyktatura Chłopickiego. — Zamknięcie pierwszego klubu. — Protesty przeciwko klubistom. — Organizator sił zbrojnych Szeptycki i Rada wojewódzka lubelska.

Instytucya pod nazwą „Towarzystwa Patryotycznego“ utworzoną została nazajutrz po wybuchu powstania 29. listopada 1830 roku. lecz istniała zaledwie dni kilkanaście. Wznowiona pod takąż nazwą w drugiej połowie stycznia 1831 r. przetrwała do upadku powstania. zaznaczywszy kilkomiesięczny byt swój przemożnym wpływem na umysły mieszkańców Warszawy, na kierunek rewolucyjnych rządów w kraju, wreszcie na radykalizm większości Izby sejmowej.

Instytucya owa — według opinii jednego z ówczesnych publicystów (*Gaz. Polska* z r. 1831, Nr. 180) — „była kontynuacyą stowarzyszeń, które przez lat piętnaście grobowego naszego spoczynku pielęgnowały iskrę narodowego życia, które uświęcone zostały prześladowaniami i pamiętnym wyrokiem sądu sejmowego“.

Jakkolwiek w odezwach swoich mianowała się i znaną jest w historyi jako „Towarzystwo Patryotyczne“, jednakże — urzędownie — nosiła nazwę klubu.

Przeciw takiemu jawnie i hałaśliwie występującemu organowi stronnictwa radykałów warszawskich zwracały się nawet wśród chwil najgoretszych ruchu narodowego rekryminacye ze strony tych, którzy piastując najwyższą w kraju władzę rewolucyjną, pragnęli nadać powstaniu listopadowemu charakter czysto obronny, wbrew dążeniom partyj skrajnych — do narzucenia mu dążności zaczepnej na zewnątrz, a przewrotowej w stosunkach socyalnych — na wewnątrz.

W dniu 1. grudnia 1830 r. na dane przez członka Rządu tymczasowego, Lelewela, hasło, zawiązało się w sali Ratusza głównego Towarzystwo, zainicyowane przez patrona Trybunału Ksawerego Bronikowskiego, Ludwika Nabielaka, Majznera, Ludwika Żukowskiego, adwokata Kozłowskiego, Anastazego Dunina i Maurycego Mochnackiego, w celu „wpływania na opinię publiczną“, właściwie zaś, w celu obalenia Rady Administracyjnej, którą jako uosobienie kontrrewolucyi poczytywano. „Kluby i komuny paryskie — pisze Barzykowski (T. I. 356) — stały się przykładem. My, naśladować... szczególnie Francuzów, lubimy i umiemy, a więc przyszła myśl nieszczęśliwa i opłakana — założenia klubu...“

Prezydent miasta, Węgrzecki, dowiedziawszy się o zebraniu klubistów, pospieszył na Ratusz i stanowczo przeciw obraniu owego gmachu za miejsce narad rewolucyjnych zaprotestował, grożąc, w razie oporu, użyciem siły wojskowej. Klubiści zreflektowali się i uprosili, by im jedynie dozwolono dokonać wyborów, poczem się przeniosą gdzieindziej. Węgrzecki ustąpił. Z wyborów wyszli: Lelewel jako prezes, Ksawery Bronikowski jako wiceprezes. Zastępcą tegoż został Maurycy Mochnacki, sekretarzem — Franciszek Grzymała.

Pierwsze zebranie klubistów, zrazu nieliczne, na wiadomość o deputacyi rządu, wysłanej do Wierzbna dla rokowań z Wielkim Księciem Konstantym, zmieniło się nazajutrz na tłumną i hałaśliwą manifestacyę w salach redutowych Teatru Narodowego przy

placu Krasińskich, gdzie pod wpływem nawoływań Mochnackiego, zgromadził się sprowadzony z placu bankowego tłum spiskowych, złożony przeważnie z członków Izby poselskiej, adwokatów, profesorów, uczniów i akademików, rzemieślników, podchorążych, uzbrojony w pałasze, karabiny i pistolety.

Ci, co do sali redutowej przecisnąć się nie mogli, hałasowali na placu i w ogrodzie Krasińskich. W sali ustawiono stół długi a wąski, jako mównicę. „Nie rzęsiste światło kilku kagańców — pisze o zebraniu owem Mochnacki — kilku świec, zaledwo rozjaśniało pochmurne czoła młode i stare fizyognomie, które exaltacya, długa bezsenność i oczekiwanie ważnych wydarzeń zarówno ożywiały, charakteryzowały. Im śmielsze wyrażenia z ust mówców płynęły, tym goretszym to zbrojne zgromadzenie unosiło się zapałem. Im zuchwalsze podawano wnioski, tym raźniejszy okrzyk: z g o d a! z g o d a! głuszył ze wszech stron zdanie przeciwne, potępiał nikczemność folgującą rządowi, albo bojaźń obracającą swe oko ku rogatkom, gdzie stał carewicz. Oklaskiem był wtedy szczęk oręża. Kolbami przybijano wota na stole.“

Wynikiem hałaśliwych obrad było wybranie deputacyi, złożonej z dwunastu klubistów, którzy nocną porą zjawiwszy się na posiedzeniu Rady Administracyjnej, w sali Banku Polskiego, przedstawili tonem podniesionym, wyzywająco szereg żądań — między innemi — bezzwłocznego podjęcia akcyi bojowej, zerwania z Wierzbnem wszelakich rokowań i przyjęcia do kompletu Rady kilku członków klubu, przez deputacyę wskazanych.

Wysłuchawszy w milczeniu deputatów, książę Adam prosił o zwłokę dla udzielenia odpowiedzi, po powrocie delegacyi rządowej z Wierzbna.

Nazajutrz, widząc niepodobieństwo uspokojenia zagorzalców, zgodziła się Rada Administracyjna na przyjęcie do grona swego czterech klubistów: Andrzeja Plichty, Ksawerego Bronikowskiego, majora Machnickiego i Maurycego Mochnackiego.

Pomięszanie się żywiołów wywrotowych z konserwatywnymi w łonie rządu spowodowało rozbicie Rady Administracyjnej i utworzenie krótko trwałego R z ą d u t y m c z a s o w e g o, po którym nastąpiła również krótkotrwała pierwsza dyktatura generała Chłopickiego, oraz zwołanie Sejmu nadzwyczajnego na dzień 21. grudnia 1830.

Żywioły goretsze wszelako przyśpieszyły o dni trzy czynności owego Sejmu, a ogłoszenie powstania za narodowe, udaremniwszy zamysł Chłopickiego do paktowania z Petersburgiem,

spowodowało dyktatora do złożenia władzy. Przyjął on ją ponownie pod kontrolą deputacyi sejmowej i ustanowił w miejsce Rządu tymczasowego, Radę najwyższą narodową.

Wystąpienie Mochnackiego z gwałtowną przeciw Chłopickiemu filipiką, atak apoplektyczny, któremu generał uległ, nadewszystko zaś wieść o projektowanym przez klubistów zamachu na dyktatora i o powierzeniu tej władzy Lelewelowi, zaniepokoiły opinię publiczną.

Zanim nastąpiło zamknięcie klubu i oddanie sprawy o zamach dochodzeniu sądowemu, zanim gwałtowne zajście między deputacyą sejmową a Chłopickim, skłoniło tegoż do ostatecznego zrzeczenia się władzy, opinia publiczna w głosach dowódzców siły zbrojnej i w odezwach rad obywatelskich prowincyonalnych zaczęła głośno domagać się zamknięcia wszelkich klubów rewolucyjnych w stolicy.

„Dyktatorze polski! — pisał d. 17. stycznia imieniem wojska organizator sił zbrojnych w Lubelskiem, Szeptycki, oraz członkowie komisyi wojennej — z boleścią wyczytawszy w pismach publicznych, że się jeszcze znajdują łatwowierni, którzy dają się wciągać w różne kluby, osłabiające ducha ufności, należącej się Władzom prawym, oświadczamy jednomyślnie, że nie znamy, ani znać chcemy innych klubów prócz reprezentantów Narodu, ani żadnej innej woli, prócz woli Dyktatora!“

Z protestem niemniej energicznym przeciw klubistom wystąpiła Rada obywatelska województwa lubelskiego:

„W imieniu wszystkich dobrze myślących obywateli swego województwa — czytamy w owym dokumencie (Sek. III. Akta Najw. Rady Narod. N. 1080) — Rada ma wysoki zaszczyt zanieść z uszanowaniem Dostojnemu Dyktatorowi uczucia żalu z powodu smutnych w stolicy wzburzeń umysłów hańbę i nieszczęście narodu sprawić tylko zdolnych.

„Ile przynoszą Narodowi polskiemu zaszczytu świetne zwycięstwa w otwartych odnoszone wojnach, tyle są bolesne wspomnienia kabał i intryg, każde nasze poprzedzających nieszczęście. Przy oświacie XIX. wieku, doświadczenia przed żyjących oczyma w obcych krajach spełnione, a nasza pokuta tak długa, tak sroga, jaką podobało się Bogu ukarać zbrodnię kilku niecnych Polaków, czyż to niedostateczne powody do zwrócenia w tą stronę całej baczności naszej w chwili, w której początkowemu powstaniu Narodu udzielone błogosławieństwa Nieba zdają się zapowiadać pomyślniejszą przyszłość? Z poznaniem indywidualnej godności czło-

wieka, z poznaniem celu stowarzyszenia się Jego, zajęło tron sobie należny Prawo, ta Wola najwyższa, której opór jest zbrodnią przeciw szczęściu Narodu wymierzoną.

„Dostojny Dyktatorze! Ta to Wola Najwyższa powierzyła Ci losy Narodu. Przestałeś istnieć odtąd dla Siebie. Drogie dni Twoje są własnością Narodu polskiego, raz jeszcze, bodaj ostatni, podnoszącego oręż dla zrzucenia jarzma niewoli. Nieograniczona władza, jakiej Ci w tej potrzebie udzielił Naród, ufny w cnoty, ufny w talenta Twoje, wrogom naszym podobać się nie może. Ich to zdradziecki głos, pod maską prawa człowieka, budzi namiętności, zdolne zaprowadzić anarchię, sromotną plagę narodów, narzędzie składające przednią straż nieprzyjaciela, która już tym sposobem depce naszą ziemię. Powinnością jest Twoją, Dyktatorze, działać, abyś zniweczył szkodliwe zamiary, a kiedy Cię przymusi potrzeba opuścić Stolicę, abyś ją zostawił rządną i spokojną...“

II.

Upadek dyktatury Chłopickiego. — Honoratka. — Wznowienie klubu patryotycznego. — Generał Woyczyński. — Decyzya Rady narodowej. — Posiedzenie klubu. — Przemowa Mochnackiego. — W sali posiedzeń akademickich. — Organizacya klubu. — Jego ustawa. — Projekt adresu do Izby poselskiej. — Głosy Znamierowskiego, Bronikowskiego, Wincentego Majewskiego i Konstantego Gaszyńskiego.

Posłuchanie deputacyi sejmowej u Chłopickiego w dniu 16. stycznia 1831 r. i odrzucenie przez nią propozycyi generała, by zamiast niepewnych rezultatów wojny z Rossyą, starać się, choćby za pośrednictwem rządu pruskiego, o ponowne zawiązanie z cesarzem Mikołajem rokowań: gwałtowna scena, jaką wywołało nietaktowne odezwanie się Ledochowskiego do dyktatora, iż Sejm zmusi go do zatrzymania dowództwa nad wojskiem i do walki orężnej, na co Chłopicki gniewnie odrzekł, iż *szelmą będzie, jeśli przyjmie dowództwo od Sejmu* — spowodowały ostateczny upadek dyktatury.

Skorzystała z tego frakcya Lelewela, czyli klub *Honoratki* i dnia 19-go postanowiono wznowić rozpędzony przez ex-dyktatora klub patryotyczny. Rada narodowa zawiadomiona o zamierzonem

w salach redutowych zgromadzeniu się klubistów, wydała rozkaz gubernatorowi miasta, generałowi dywizyi Woyczyńskiemu, by tego zgromadzenia nie dopuścił.

Wersya Barzykowskiego (T. II. 126), jakoby Woyczyński usłuchawszy tego rozkazu, — klubistów z sal redutowych rozpędził, okazuje się nieścisłą, gdyż mamy w aktach Najwyższej Rady Narodowej z 21. stycznia 1831 (N. 1.080) dowód, iż gubernator danego rozkazu nie wykonał.

„Mam honor upraszać Radę Najwyższą — pisał Woyczyński — o wydanie rozkazów władzy policyjnej względem zgromadzeń czyli klubów, mających się zawiązywać, ponieważ po ustaniu władzy dyktatora, gubernator wojskowy tym przedmiotem trudnić się nie powinien.“

Na marginesie Odezwy zanotowano decyzyę Rady tej osnowy:

„Ponieważ prawa krajowe nie obejmują zakazu przeciw towarzystwom jawnym, żadnych przeciwnych prawu dążności nie mającym i ponieważ dotąd kluby nie zrządziły żadnego wypadku, któryby znaglał do ich zamknięcia, Rada nie widzi potrzeby zakazywania obecnie klubów, wzywa jednak JW. generała-gubernatora, aby przedsięwziął środki ostrożności, na przypadek ich otwarcia.“

W dniu 19. stycznia 1831 r. nastąpiło w salach redutowych ponowne zawiązanie klubu patryotycznego pod prezydencyą Lelewela. Przybył nań ukrywający się w mieszkaniu Lubeckiego, Maurycy Mochnacki, przyjęty przez obecnych żywymi oklaskami. W zabranym głosie przedstawił konieczność i cele zebrania, wyjaśnił, że rewolucya listopadowa nie ma nic wspólnego z rewolucyą francuską, której celem było przekształcenie stosunków społecznych, gdy narodowi polskiemu chodzi głównie i jedynie o wywalczenie niepodległości politycznej, a przeto działanie patryotów winno być skierowanem jedynie ku zapobieżeniu niebezpieczeństwu grożącemu z zewnątrz. W końcu płomiennej swej mowy, przerywanej przez obecnych okrzykami zapału, wezwał Mochnacki do zapisywania się licznego w poczet członków klubu, co natychmiast spełniło wielu obywateli i młodzież akademicka. Do komitetu organizacyjnego powołano: Mochnackiego, Gurowskiego, Żukowskiego, Krępowieckiego i księdza Pułaskiego.

Nazajutrz, dnia 20. stycznia, w sali posiedzeń akademickich, przeznaczonej na stałe miejsce zebrań, klub, przyjąwszy projekt swej organizacyi, przystąpił do wyboru czterech wiceprezesów,

w osobach: Romana Sołtyka, Maurycego Mochnackiego, Ksawerego Bronikowskiego i księdza Puławskiego. Kasyerem został Tomasz Czaban, sekretarzami: Michał Dębiński i Tadeusz Krępowiecki. — Prezydujący Mochnacki, ogłosiwszy Towarzystwo za uorganizowane, rozpoczął obrady od udzielenia głosu Adamowi Gurowskiemu, który, wszedłszy na mównicę wniósł, by Towarzystwo Patryotyczne podało Sejmowi akt oskarżenia generała Chłopickiego. Po wysłuchaniu wielu mówców Towarzystwo jednomyślnie wniosek pomieniony przyjęło i upoważniło prezydującego do wyboru członków komitetu, w celu zredagowania, przedstawienia klubowi, wniesienia do Izb sejmowych i poparcia oskarżenia. Komitet oznaczono w osobach: Mochnackiego, adwokata Kozłowskiego, Krępowieckiego, Gurowskiego i Żukowskiego.

Ustawa Towarzystwa wyłuszczona w 16 artykułach, określiła w art. I-ym cel swój: w objawianiu publicznie opinii w rzeczach, dotyczących sprawy naszego powstania. „Instytucya ta ma dogadzać pożytkowi i dobru rewolucyjnego powstania Polski“.

Na posiedzeniu 22. stycznia, Mochnacki wniósł, by Towarzystwo podało adres do Izby poselskiej, awiadamiający o zawiązaniu się i o zamiarach stowarzyszonych.

Oto jego osnowa:

„Reprezentanci narodu!

„Powodowani tem przekonaniem, że zgromadzenia polityczne najskuteczniej pomagają dobru powszechnemu, zawiązaliśmy T o w a r z y s t w o P a t r y o t y c z n e i o tym postępku naszym śpieszymy uwiadomić was, dostojni reprezentanci polskiego narodu, żebyście i wy sami nie zostawali w omylnem rozumieniu względem zamiarów naszych i nie dawali wiary poszeptom nieprzyjaciół rewolucyi, którzyby osławić i we wzgardę waszą podać chcieli tę instytucyę, tak odpowiadającą potrzebie rozwijającego się u nas życia publicznego.

„Celem stowarzyszenia naszego jest rozszerzać, oświecać i wykształcać opinię publiczną, też doskonalić publiczny rozsądek w rzeczach, dotyczących naszego powstania.

„Dostojni reprezentanci polskiego narodu! Żadne mądre prawo, żadna ustawa nie wzbrania publicznych zgromadzeń, gdzieby się godziło mówić i rozumować. Tego tylko despotyczne obawiają się rządy, pod czczym pozorem ukracania swawoli i zapobiegania

wewnętrznym rozterkom. władzę swoją gruntujące na rzeczywistej niewoli, mocująę takową zakazem mówienia.

„Przyjmijcie od nas, dostojni reprezentanci polskiego narodu, to zapewnienie, że tylko chęć szczera wspierania usiłowań waszych moralnymi środkami i najczystsza miłość ojczyzny natchnęła założycieli Tow. Patryotycznego. Tym duchem ożywieni, odbywać będziemy nasze obrady, według przepisów organizacyi, którą drukiem ogłosimy.“

Po odczytaniu projektu adresu, członek Znamierowski wniósł, by adres podany był do obu Izb sejmowych. Po dyskusyi w tym przedmiocie uchwalono jednomyślnie, aby adres podany był do Sejmu i najspieszniej ogłoszony drukiem.

Prezydujący dał głos Ksaw. Bronikowskiemu, który przedstawił zgromadzeniu projekt petycyi do rządu, o jak najspieszniejsze ustanowienie dwu trybunałów, z których jeden sądziłby przestępstwa polityczne, popełnione przed rewolucyą, drugi zaś karał przekonanych o działanie przeciwne celom powstania po rewolucyi.

Członkowie: Wincenty Majewski i Konstanty Gaszyński utrzymywali, iż wszelkie usiłowanie winno stowarzyszenie zwrócić tylko ku nieprzyjaciołom zewnętrznym.

Po wielu głosach zgromadzenie jednomyślnie uchwaliło podanie projektowanej petycyi, lecz nie do rządu, tylko do Sejmu i o jeden tylko trybunał.

III.

Posiedzenie klubu 23. stycznia 1831 r. — Wnioski klubistów o zakładanie klubów na prowincyi. — Bazyli Mochnacki o sądzie przysięgłych. — Leszczyński o reprezentacyi włościan. — Protest Ostrowskiego. — Proklamacya Dybicza. — Wniosek Psarskiego. — Mochnacki w sprawie petycyi do Sejmu o uznanie tronu polskiego za wakujący. — Poprawka Grzymały. — Adres klubu do laski marszałkowskiej.

Na posiedzeniu 23. stycznia prezydował obywatel Roman hr. Sołtyk.

Obywatel Alojzy Stankiewicz złożył Towarzystwu medal bity na cześć Bogusława Radziwiłła, który toż Towarzystwo postanowiło ofiarować naczelnemu wodzowi Michałowi ks. Radziwiłłowi.

Członek Recel uczynił wniosek o zakładanie klubów patryotycznych po prowincyach.

Ks. kanonik Malczewski wniósł, by podjęto starania o rozkrzewianie oświaty między ludem.

Bazyli Mochnacki, z powodu podanej do Sejmu petycyi w sprawie ustanowienia trybunału nadzwyczajnego, wniósł, by również taką drogą starano się o zaprowadzenie sądu przysięgłych.

„Każda zbrodnia — głosił mówca — składa się 1-o z czynu i 2-o ze stosunku do kary. Do przysięgłych należy określenie pierwszego, oni wyrokują, czyli obwiniony dopuścił się czynu. Zwyczajne sądy podlegają wpływom, tu zaś na straży stoi opinia narodu."

Niektórzy klubiści byli przeciwni sądowi przysięgłych, lecz wniosek Mochnackiego poparli wymownie Ostrowski i Szreder. Wyznaczono komisyę do opracowania tego przedmiotu.

Po oddaleniu się hr. Romana Sołtyka na posiedzenie komisyi sejmowej, krzesło prezydyalne zajął Mochnacki Maurycy.

Obywatel Leszczyński mówił o potrzebie reprezentacyi włościan, utrzymując, że rewolucya nasza daje im do tego prawo. „Szwajcarya i Anglia zawdzięczają szczęśliwość swoją owemu zbawiennemu prawu, będzie ono miało takiż skutek i w Polsce!"

Na zarzut Bohdana Ostrowskiego, iż wielkim byłoby błędem przypuszczać do reprezentacyi narodowej tych, co ani oświaty, ani znajomości praw nie mają, Leszczyński zmodyfikował swój wniosek w ten sposób, by oświeceńsi włościanie, a szczególnie sołtysi, mogli asystować wyborom na sejmikach i zgromadzeniach gminnych i by tam przysposabiali się do politycznego życia.

Bazyli Mochnacki poparł wniosek mówcy, uważając go za nagrodę walk ich przyszłych z nieprzyjacielem.

Wniosek ten upadł.

Wereszczyński doniósł zgromadzeniu o proklamacyi generała Dybicza do Polaków, z wezwaniem ich do uległości i z zagrożeniem, w przeciwnym razie, palenia miast i wiosek.

Zebrani w milczeniu wysłuchali proklamacyi, w nadziei, że siła materyalna i moralna narodu oprze się owym przechwałkom; poczem Fr. Grzymała wniósł, by z uwagi na nagłość sprawy, wszyscy obywatele od 18 roku życia do 40 wzięli się do broni.

Pułkownik Gerycz radził, by zamiast rozmów, ruszyć zaraz na pole bitwy, lecz wniosek ten dał powód do sporu z prezydującym. Spór ten zakończył się oświadczeniem pułkownika Gery-

cza, iż nie czytał roty słowa honoru, przepisanej dla członków klubu.

Obyw. Psarski wniósł, by uchwalić petycye do Sejmu, by ten się za nieustający ogłosił.

Maurycy Mochnacki ustąpiwszy krzesła prezydyalnego księdzu Pułaskiemu i stanąwszy na mównicy, uzasadniał konieczność podania petycyi do Sejmu, by ten ogłosił: 1. tron królestwa za wakujący. 2. Niepodległość wszystkich prowincyj polskich. 3. Zwolnienie wszystkich Polaków od przysięgi wierności b. rządowi.

Wnioski te przyjęto i wyznaczono komitet do zredagowania petycyi do Sejmu, z nadmienieniem, by Sejm wezwał do swego grona obywateli Litwy, Wołynia i Podola.

Obyw. Grzymała uczynił poprawkę, by ustały półśrodki i by przeciąć drogę do odwrotu, ogłosić, że tron wakujący dla wszystkich jest otwarty.

Wincenty Majewski żądał, by Sejm udał się na publiczne miejsce i pod gołem niebem zaprzysiągł, że umrze raczej na swem stanowisku, a nie uczyni żadnej koncesyi, którąby na niepodległości narodu opartą nie była.

Prezydujący, wyznaczywszy członków do wygłoszenia mów na zapowiedzianem nabożeństwie za dusze rossyjskich męczenników wolności, posiedzenie odroczył.

Nazajutrz, dnia 24. stycznia złożono do laski marszałkowskiej adres klubu patryotycznego do Sejmu, w osnowie następującej:

„Dostojni reprezentanci narodu!

„Towarzystwo patryotyczne, po wysłuchaniu mówców swoich, zważywszy: że Ojczyzna przez układy dyplomatyczne Rządu tymczasowego, w pierwszych chwilach powstania narodowego, jako i następnie przez układy dyktatury z cesarzem wszech Rossyi, mimo życzeń i wbrew woli narodu polskiego, zawiązane i utrzymywane, narażoną została na wielkie niebezpieczeństwo, tudzież na straty niepowetowane dla przewłok i opóźnień kontrarewolucyjnych, z tego powodu wynikłych, szczególniej co do organizacyi wojska regularnego w pospolitem ruszeniu, rozszerzaniu dobrego ducha i innych działaniach rządowych.

„Zważywszy oraz, że takie postępowanie ludzi tylko bojaźliwych i niechętnych płonną nadzieją zgody, a dalszymi skutkami swymi mogłoby ostudzić szlachetny zapał w sercach wszystkich mężnych i poczciwych Polaków, z jawnym i widocznym naszej

sprawy uszczerbkiem, postanowiło i stanowi jednomyślnością poddać pod światłą rozwagę waszą, dostojni reprezentanci polskiego narodu, życzenia mieszkańców stolicy, zawarte w następującej petycyi:

„Ażeby Sejm polski stargał uchwałą swoją wszystkie ogniwa i wszystkie rozerwał stosunki między narodem polskim i rządem rossyjskich władzców, przez:

1. Uznanie niepodległości narodu polskiego, nie tylko w granicach dzisiejszego Królestwa, oznaczonych na kongresie wiedeńskim, ale także w granicach kraju, który Rossya nieprawymi przywłaszczyła sobie zaborami od roku 1772.

2. Przez uznanie Imperatora rossyjskiego Mikołaja i jego następców za odpadłych po wszystkie czasy od tronu polskiego, a ten tron za wakujący.

3. Przez rozwiązanie przysięgi, którą rodacy i współziemianie nasi złożyli, lub kiedykolwiekbądź złożyć musieli, na wierność królowi i cesarzowi, tak w Królestwie polskiem, jako i w kraju polskim, zabranym przez Rossyę. Nakoniec

4. Przez wezwanie uroczystem powołaniem reprezentantów wszystkich wzmiankowanych prowincyj pod panowaniem Rossyi zostających, ażeby należeli do składu ogólnej reprezentacyi narodu polskiego, tak jak to uczynił pamiętny Sejm w roku 1812, który się zamienił w konfederacyę generalną Królestwa polskiego.“

Po wymownej inwokacyi Sejmu do podjęcia owego kroku stanowczego, kończy się adres słowami:

„Tę prośbę natchnioną najczystszą miłością kraju, składamy u podnóża namiestniczej władzy polskiego narodu, którą wy, szanowni mężowie przez uznanie rewolucyi i pochwalenie jej twórców, z taką chwałą sprawowaliście i sprawujecie.

„Działo się na posiedzeniu Towarzystwa Patryotycznego w Warszawie d. 24. stycznia 1831 r. Za prezesa: *Maurycy Mochnacki*. Za sekretarza: *A. Gurowski*.“

IV.

Adres klubu w sprawie ustanowienia Trybunału rewolucyjnego. — Motywy sekcyi sprawiedliwości w tej sprawie. — Odezwa Rady Najwyższej do Mochnackiego. — Zakwestyonowanie bytu klubu patryotycznego.

Jednocześnie klub patryotyczny wystosował do Rządu tymczasowego w części Polski, Królestwem Polskiem zwanej, adres w sprawie ustanowienia Trybunału, „któryby się zajął rozpoznaniem i ostatecznem sądzeniem osób, które były głównymi pomocnikami tyranii upadłej, oraz któryby odbywał takież czynności sądowe względem osób postępujących kontrarewolucyjnie“.

Rząd tymczasowy przesłał ową petycyę do sekcyi sprawiedliwości, która w motywowanym projekcie swej decyzyi wyjaśniła, iż z uwagi na okoliczność, że Radzie Narodowej nie służy prawo ustanawiania sądownictw i że „Towarzystwo Patryotyczne, jakkolwiek najszczytniejsze może mieć zamiary, nie jest jeszcze ani przez władze istniejące uznanem, ani przyzwolonem, ani niewiadomo, czyli podług pewnych prawideł praw obowiązujących uorganizowanem, a propozycya żądanego Trybunału pociągałaby jeszcze za sobą ustanowienie przysięgłych, którzyby rozpoznawali, czyli i kto był pomocnikiem tyranii i kto postępującym kontrarewolucyjnie — z tych wszystkich powodów, sekcya sprawiedliwości pozostawiła Radzie Najwyższej „dekretacyę udecydować na sesyi“.

Decyzyę tę Rada Najwyższa uchwaliła już po pamiętnym dniu 25. stycznia 1831 r., w którym zgodną z petycyą do Sejmu w sprawie detronizacyi, powzięto uchwałę.

„Odebrawszy przedstawienie Towarzystwa Patryotycznego przez p. Maurycego Mochnackiego w zastępstwie prezydującego podpisane — brzmiała odezwa do Mochnackiego — Rada Najwyższa, nim odpowie na wniosek względem ustanowienia jakowego sądu nadzwyczajnego, zapatrzywszy się na art. 277 prawa krajowego i na art. 2. postanowienia z d. 6. listopada 1821 r. jako prawa dopóty obowiązujące, dopóki władza prawodawcza ich nie odwoła, lub nie zmieni, tudzież na art. 2. Uchwały sejmowej z d. 30. stycznia 1831 r. zapytuje się, na mocy jakiego upoważnienia Towarzystwo Patryotyczne zawiązało się i jakie są jego ustawy i zamiary?“

Odpowiedzi na powyższą odezwę Towarzystwo Patryotyczne nie udzieliło Rządowi, gdyż zaszły wypadki znamienne, które począwszy od dnia 25. stycznia 1831 r. uwagę władz krajowych i całego społeczeństwa na inne ważniejsze skierowały sprawy.

V.

Uchwała detronizacyjna 25. stycznia. — Klub urządza manifestacyę uliczną na cześć męczenników wolności Rossyan. — Pochód przez miasto: Trumny symboliczne. — Przed kolumną Zygmunta. — Lelewel prezyduje po raz pierwszy na posiedzeniu klubu. — Mochnacki Bazyli przeciw artykułom „Kuryera Polskiego“. — Dyatryba przeciw posłom. — Huki na Sejmie. — Uchwała o wytoczeniu procesu „Nowej Polsce“. — Protest Wład. Ostrowskiego.

Adres klubu patryotycznego do Sejmu w sprawie detronizacyi, jakkolwiek urzędownie odrzuconym został, wszakże wobec podnieconego nastroju umysłów nie pozostał bez wpływu na bieg wypadków. Uchwała sejmowa z 25. stycznia 1831 r. odpowiedziała żądaniu klubistów. Spaliwszy wszelkie mosty, do układów wiodące, popchnęła naród na pole walki beznadziejnej na życie lub śmierć, z potężniejszym liczebnie przeciwnikiem.

Jednocześnie klub patryotyczny święcił i drugi tryumf, porwawszy tłumy uliczne do manifestacyi, urządzonej na cześć męczenników wolności Rossyan: Rylejewa, Bestużewa Riumina, Pestela, Murawiewa Apostola i Kachowskiego.

Z gmachu koszar kadeckich — pałacu Kazimierowskiego — wyruszył orszak akademików, członków gwardyi akademickiej, niosąc na karabinach w krzyż ułożonych symboliczną trumnę, której ozdobieniem zajął się gwardyak Suchodolski. Trumna była czarna, leżał na niej wieniec laurowy, przewinięty kokardami trójkolorowemi. Na pięciu tarczach widniały nazwiska męczenników. Poprzedzał orszak kapitan Mayzner, niosąc na żałobnem wezgłowiu zamiast korony i orderów, trójkolorową kokardę, godło wolności europejskiej. Za nim szło trzech innych kapitanów gwardyi, a po nich z opuszczoną w dół bronią, oddział tejże gwardyi akademickiej, wśród którego powiewał przewiązany krepą błękitny sztandar Uniwersytetu. Niezliczone tłumy napełniały ulice i okna domów, którędy orszak przechodził. Towarzyszyło mu

w porządku kilkudziesięciu oficerów gwardyi narodowej, tudzież oddział wolnych strzelców pod komendą pułkownika Gerycza. W pochodzie ku Oryentalnej kaplicy na Podwalu, gdzie duchowieństwo greko-unickie odprawiało mszę żałobną, orszak zatrzymał się przy kolumnie Zygmunta, gdzie wysłuchał krótkiej, lecz płomiennej przemowy — Adama Gurowskiego. Przy kaplicy przemówił Tadeusz Krępowiecki. Orszak pogrzebowy postępował potem ulicami: Senatorską, Napoleońską i Długą, dalej przez Leszno do Karmelitów, wreszcie przez plac Saski do sali posiedzeń klubu w gmachu Uniwersytetu. Przemowy rozbrzmiewały w rożnych punktach korowodu. Przy eksportacyi z kadeckich koszar mówił Lach Szyrma, przed arsenałem — Stanisław Koźmian, przed Karmelitami — Mayzner, na placu Saskim, przy powrocie: Dorożko i ksiądz Pułaski.

W wilią tej pamiętnej uroczystości odbyło się posiedzenie klubu, na którem po raz pierwszy ukazał się powitany frenetycznymi okrzykami prezes Lelewel. Zawiadomiwszy zebranych o przyjęciu przez Izby adresu obywateli z prowincyj zabranych i o bliskiem uznaniu owych prowincyj za wcielone do Królestwa, dał Lelewel głos Gurowskiemu, który w kilku słowach obwieścił o usunięciu kokardy białej i przyjęciu trójkolorowej — barskiej — za godło narodowe. Grzymała mówił o potrzebie pospolitego ruszenia, Tański o zapale panującym między obywatelstwem kaliskiem, Bazyli Mochnacki powstał przeciw artykułom *Kuryera Polskiego,* w których przemawiano za koniecznością zawieszania w nagłych wypadkach wolności osobistej i wolności druku.

Wolnosć ta, w rzeczy samej, przekraczała wszelkie dozwolone granice. Wyrazem samowoli drukowanego słowa był artykuł, inspirowany przez klubistów, pod tytułem: „Nowa własność języka polskiego“, ogłoszony w N-rze 23. Nowej Polski, w którym, zwracając się do posłów sejmowych, już po uchwale z 25. stycznia, autor użył następującego zwrotu: „Wobec was, wobec całej Europy, w obliczu nieba i ziemi, oświadczam wam: żeście się do tej roli, którą teraz sprawujecie, nie zrodzili. Dobrymi, poczciwymi ludźmi jesteście: jesteście nawet dobrymi Polakami — lecz nie wiecie tego, co czynić potrzeba w obecnej chwili!

„Wahaniem i oscylacyą, ustanowieniem zdradzieckiej dyktatury, ustanowieniem niedołężnego rządu zawodziliście przez ośm tygodni nadzieje wojska i ludu. Teraz zawodzicie te nadzieje aktem śmiesznym i błahymi tego aktu wyrazami.

„Jedną wam radę podaję: złóżcie namiestniczą narodu władzę, powróćcie do nicestwa, z którego was naprożno wyrwać chciała rewolucya. Uznajcie tem wspaniałomyślnem zrzeczeniem się samych siebie za ludzi zdatnych do wszystkiego, ale nie do tej roli, którą wam los jakby przez ironię, jakby przez szyderstwo i naigrawanie się poruczył“.

Kończy się artykuł wezwaniem:

„Trzeba zwołać kongres narodowy, bo Ojczyzna jest w niebezpieczeństwie!“

Gdy na sesyi sejmowej 28. stycznia artykuł powyższy odczytano, oburzenie powszechne dopatrzyło się wpływu rubli i talarów na pióro jego autora. Minister sprawiedliwości otrzymał rozkaz pozwania autorów artykułu Nowej Polski przed sądy krajowe, wbrew opinii marszałka Izby, Władysława hr. Ostrowskiego, który bronił zasady wolności druku.

VI.

Projekty adresów klubu do Sejmu, z dziękczynieniem za detronizacyę i do akademików za udział w obchodzie ulicznym. — Majewski w obronie wolności druku. — Hałasy w klubie. — Mochnacki przeciw Sejmowi. — Świstek wiedeński. — Z powodu odrzucenia adresu klubu. — Głosy Lelewela i Mochnackiego. — Nagłość wniosku w sprawie Trybunału rewolucyjnego. — Godła dzienników. — Głos Sołtyka.

W dniu uchwalonej detronizacyi, na posiedzeniu klubu pod prezydencyą Mochnackiego, Ksawery Bronikowski wniósł, by przesłano Sejmowi adres dziękczynny, drugi zaś by wystosowano do gwardyi akademickiej za udział jej w uświetnieniu obchodu na cześć rossyjskich męczenników wolności.

Obyw. Malinowski ofiarował Towarzystwu pieczęć z napisem „Pieczęć klubu patryotycznego“.

Wincenty Majewski, wykreślony dnia poprzedniego z listy członków za artykuł, zamieszczony w Kuryerze Polskim przeciw wolności druku, stanął w obronie własnej, przypominając zgromadzonym swój liberalny i patryotyczny zawsze sposób myślenia. Wielu obecnych głośno wyraziło mu uznanie, lecz Józefat Ostrowski poparł wczorajszą decyzyę klubu i żądał jej utrzymania. Przyłączyli się do tego wniosku Gurowski, Kozłowski i ksiądz

Puławski. W obronie Majewskiego stanęli: Grabowski i Szabrański. Odpowiedział im Mayzner. Konstanty Gaszyński usprawiedliwiał wymownie Majewskiego, zarzuciwszy komitetowi stronność w rozdawaniu głosów. Dorożko, członek komitetu, chciał przemówić, lecz na mównicę wdarł się Majewski i nie chciał się z niej usunąć. Wszczęła się wrzawa i szemranie. Prezydujący posiedzenie zamknął.

Nazajutrz, 26. stycznia, Mochnacki zagaił posiedzenie zawiadomieniem, że Sejm odrzucił adres klubu i dlatego wniósł, że należałoby mu przedstawić statut Towarzystwa. Zachęcał do wytrwałości i do zajmowania się dobrem ojczyzny. Powstawszy gwałtownie przeciw Sejmowi, zarzucił mu, że bez żadnej zasady broni poszarpanego świstka wiedeńskiego, „jak tonący chwyta się drobnych ułamków rozbitego czółna“. „Przestańmy udawać się do Sejmu — wołał mówca — czekajmy nowego rządu, jemu przełożenia nasze czynić będziemy“.

Obyw. Miklaszewski odrzucenie adresu uważał za skutek nieporozumienia i dlatego radził usunąć zeń niektóre wyrazy i na nowo adres Sejmowi przedstawić.

Obyw. Gurowski twierdził, że odrzucenie nastąpiło wskutek zaciekłości reprezentantów Sejmu, którzy „monopolicznie“ zachowują sobie prawo radzenia o dobru ojczyzny. Klub winien przejąć się uczuciem godności własnej i zrzec się stosunków z Sejmem. Egzystencya klubu nie zależy od Sejmu. I w Paryżu obecnie kilka tysięcy młodych gromadzi się w klubie i zastanawia się nad interesami narodu. Tem więcej możemy się spodziewać postępu w naszych działaniach, iż mamy na czele Lelewela, jednego z reprezentantów, który u narodu i u Europy sam znaczy więcej, niż wielu i w potrzebie mógłby całą reprezentować Izbę“.

Obyw. Stacherski twierdził, że klub zasługuje na względ u narodu, lecz Sejm o tem zapomina, „gdyż arystokraci w nim intrygują“.

Szreder utrzymywał, że w każdym razie, choćby do poszarpanej konstytucyi, należałoby się stosować.

Obyw. Psarski uważał, że klub nie powinien się czuć obrażonym, gdyż obrazić go może jedynie omijanie celów szlachetnych, jakie sobie zamierzył.

Mochnacki: Klub nie zna miłości własnej, zna tylko miłość wolności i niepodległości!

Prezes Lelewel: Konstytucyę musimy uważać za istniejącą i pod wieloma względami za obowiązującą.

Wezwał w końcu do wytrwałości i gorliwości.

Kilku członków przemówiło za słusznością oddania takiej samej czci zmarłym w więzieniach Polakom, jaką oddano męczennikom rossyjskim.

Odpowiedział ks. Pułaski, że o tem już pomyślano i że na dzień 1. lutego zaprasza klub do kościoła Karmelitów.

W końcu posiedzenia przemawiano za ustanowieniem natychmiastowem Trybunału rewolucyjnego dla ukarania zdrajców. Inni głosili, że należałoby się zająć wychowaniem dzieci żołnierskich rossyjskich, „aby z nich Polaków kiedyś mieć można było".

Obyw. Gacki radził wezwać redaktorów, aby ozdobili swe pisma wyobrażeniem dawnego herbu polskiego: orła z pogonią, a władze krajowe o skasowanie na gmachach publicznych orła dwugłowego.

Porucznik Kaczanowski mówił o potrzebie podniesienia ducha włościan przez patryotyczne listy pasterskie.

W chwili solwowania sesyi przybył oklaskami przyjęty wiceprezes klubu Roman Sołtyk z oświadczeniem żalu z powodu odrzucenia przez Sejm adresu Towarzystwa, którego jest członkiem.

Mochnacki oświadczył, że klub winien o tym fakcie obwieścić narodowi przez dzienniki.

Alexander Kraushar.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z życia domowego szlachty sandeckiej w epoce Wazów.

(Ciąg dalszy).

Do całości strojów niewieścich, zwłaszcza w czasie odwiedzin, biesiad i wesel, należały manele, czyli bransolety srebrne pozłociste lub szczerozłote — także rubinowe i koralowe w złoto oprawne — kanaki (naszyjniki) dyamentowe, rubinowe; róże dyamentowe; zausznice dyamentowe — na szyi sznurki pereł uryańskich, czyli oryentalnych, z zaponką rubinową — obrączki lub pierścienie złote, wysadzane drogiemi kamieniami — noszenie (monile), czyli klejnoty i wogóle wszelkie ozdoby z drogiemi kamieniami, perłami, zawieszane na szyi lub piersiach — rękawice lniane, włóczkowe, łosie i podszyte futerkiem, a nawet perfumowane najprzedniejsze rzymskie — wreszcie pacierze piżmowe w złoto oprawne, czyli gałki wonne do noszenia przy sobie dla woni, rodzaj dzisiejszych perfum.

Ceny robót rzemieślniczych ustanawiał corocznie podwojewodzy sandecki,[1]) wraz z innymi urzędnikami grodzkimi, lub też

---

[1]) Wojewoda krakowski miał do pomocy w Nowym Sączu swego urzędnika, czyli podwojewodzego (vicepalatinus sandecensis), który go wyręczał w niektórych czynnościach jego urzędowania w powiecie sandeckim. Podwojewodzego wybierał sobie sam wojewoda, podobnie jak podstarościego starosta grodowy.

istniejące na nowo potwierdzał. uzupełniał. modyfikował. Nie dziw przeto, że i taksy krawieckie od roboty ubiorów męskich i niewieścich. były raczej na korzyść wygodnej szlachty, niż pracowitych rękodzielników. Wystarczy nadmienić, że według ustawy z 18. września 1630 pobierali krawcy:

Od delii długiej sukiennej z 12 pętlicami, jedwabną podszewką podszytej 20 gr.

Od uszycia ubrania podkładnego 8 gr.

Od uszycia kołpaka sukiennego 4 gr.

Od żupana prostego nieszmurkowanego 10 gr.

Od delii listwowanej 10 gr.

Od kaftana adamaszkowego albo kitajczanego przeszywanego 1 złp. 10 gr.

Od żupanika pacholęcia w lat 12—14, także od delijki 15 gr., a od ubraniczka na takoweż 4 gr.

Od letnika podszytego płótnem z pasamonami 16 gr.

Od spodnicy z pasamonami 15 gr.

Od sukni białogłowskiej z kształtem aksamitnym 15 gr.

Od czamary z pętlicami i pasamonami 20 gr.

Od płaszcza białogłowskiego 20 gr.

Od kołpaka aksamitnego męskiego 6 gr.

Od kopieniaka podszytego sznurkowanego 20 gr.

Od płaszczyka albo mętlika z pasamonami 12 gr.

Od ferezyi sznurkowanej 12 gr.

Od opończy sznurkowanej 15 gr.

Od szarafona albo furmanki z pasamonami 12 gr.

Od delii wyrzynanej z pętlicami. z podszewką sznurkowaną 16 gr.

Podobnie rzecz się miała z obuwiem. Podług tejże ustawy z r. 1630 pobierali szewcy safiannicy:

Od zrobienia butów safianowych [1]) z podkówkami 18 gr.

Od zrobienia baczmag z kapciami [2]) i z podkówkami 18 gr.

Od zrobienia ciżem [3]) safianowych z podkówkami 15 gr.

Od roboty ciżemek pacholęcia w lat 12—14 gr. 8.

---

[1]) Safian turecki bywał koloru żółtego i czerwonego.

[2]) Baczmag — trzewiki na wzór obuwia tureckiego. męskie i kobiece. Kapcie — obuwie męskie zimowe ze skóry na jedną stronę wyprawnej.

[3]) Ciżmy — półbuciki z Węgier przyjęte.

Za półbutki pod kolana na wielką nogę 3 złp., na mniejszą nogę 2 złp. 20 gr.

Szewcy prości:

Buty jałowicze kowane z podkówkami na pacholka 1 złp. 12 gr.

Od podszycia takich butów z podkówkami 16 gr.

Buty proste za kolana woźnicy 1 złp. 6 gr.

Od podszycia takowych butów 18 gr.

Buty proste chłopskie skórnie przednie 1 złp. 20 gr.

Od podszycia takowych butów 16 gr.

Buty kowane pachołęciu w lat 12—15 gr. 20.

Od podszycia takich butów 10 gr.

Buty kozłowe wielkie na wielką nogę 2 złp.

Buty takież na mniejszą nogę 1 złp. 15 gr.

Buty kozłowe jeszcze na mniejszą nogę 1 złp. 6 gr.

Ciżemki pachołęciu w lat 12—15 gr. 10.

Ciżmy męskie z podkówkami dobrego rzemienia 20 gr.: na mniejszą nogę 18 gr.; jeszcze na mniejszą 16 gr.

Trzewiki męskie zawięzowane o dwóch podeszwach 20 gr.

Takież trzewiki na mniejszą nogę 18 gr.; jeszcze na mniejszą 16 gr.

Buty białogłowskie dobrego rzemienia 20 gr.

Takież buty na mniejszą nogę 18 gr.

Od podszycia butów białogłowskich 10 gr.

Trzewiki proste zawięzowane 16 gr.

Takież trzewiki na mniejszą nogę 14 gr.: jeszcze mniejsze 12 gr. [1])

Takie same prawie ceny, z małemi zmianami i dodatkami, spotykamy w ustawie z r. 1625, 1626, 1629, 1638 i 1640. Natomiast ceny w r. 1652 już znacznie podskoczyły w górę.



A jakiż był tryb codziennego życia tej uprzywilejowanej warstwy narodu? Przez długi szereg wieków tak się u nas warunki bytu składały, że każdy przeciętny Polak musiał być albo rolnikiem albo rycerzem, a był najczęściej jednym i drugim — rolnikiem w czasie pokoju, rycerzem w czasie wojny. Przypatrzmy

[1]) Act. Consul. Sandec. T. 52, p. 71—76.

się teraz, choć w ogólnym zarysie, jakim był tryb życia owej dominującej, a najbardziej wpływ wywierającej cząstki naszego społeczeństwa, rolnika-gospodarza.

Było to życie wogóle wygodne. Szlachcic-obywatel pracował niby na polu, czynił to jednak bez osobistego wysiłku — nie jego bowiem ręce orały, siały, ani plonów nie zbierały: cały jego trud rolniczy ograniczał się na kontrolowaniu ekonoma i na popędzaniu chłopa. Rolnictwo nie utrudzało także jego umysłu, gdyż postępowało utartym szlakiem rutyny: syn gospodarzył, jak ojciec, wnuk, jak dziadek. Nieznanemi były dawniejszymi czasy dzisiejsze łamigłówki płodozmianów, leśnictwa, oraz różnych kombinacyi, jakie wytworzyły obecnych czasów przemysłowe gospodarki.

W dawniejszem rolnictwie osobliwym sposobem wszystko sprzyjało lenistwu. I tak n. p. skoro na wiosnę pola zostały obsiane, na tem kończył się zwykle trud właściciela: mógł on wówczas, założywszy ręce, czekać leniwie aż zasiew wzrośnie: nie pozostało mu jeno wyglądać z nieba deszczu i słońca dla pomyślnego urodzaju. Cały czas, od zasiewów wiosennych aż do żniwa, był dla obywatela czasem próżniaczego wypoczynku, czasem, który w każdym razie nie dostarczał mu dostatecznej pracy, mogącej zużytkować jego siły, tak fizyczne, jak umysłowe. Praca jego nie była mu „pracą w pocie czoła“, do której każdy człowiek jest obowiązany, lecz najwyżej zajęciem, a prawdę mówiąc, często rozrywką tylko.[1]) W każdej chwili mógł się od niej oderwać, aby wyjeżdżać na polowania, odwiedzać sąsiadów, dnie i noce spędzać na zabawie, gonić burzliwie z sejmiku na sejmik, lub wreszcie jeździć do miasta, zwłaszcza do ulubionego Krakowa, do Nowego Sącza na kwerele grodzkie, czyli sądy starościńskie, do Czchowa na terminy sądowe ziemskie, lub do Lublina na sądy trybunalskie. Bo nie było prawie szlachcica, któryby nie chadzał do prawa, nie potrzebował oblatować jakiegoś przywileju, munimentu, intercyzy; aktykować czegoś ku wiecznej rzeczy pamięci, manifestować się lub protestować. Wojaczka lub miła hulanka miały go zawsze na zawołanie.

Świetnem też było zdrowie szlachcica sandeckiej ziemi, siły fizyczne olbrzymie,[2]) co zawdzięczał zapewne ustawicznemu prze-

[1]) Zob. rozprawę: Jaka jest nasza wada narodowa główna? Warszawa 1905, str. 18—21.

[2]) Niejeden też z nich doczekał się późnej starości. I tak n. p. Jan Dobek z Łowczowa żył od r. 1553—1628, Jerzy Tymowski od r. 1559—1631. A przecież jeden i drugi poniewierał swe zdrowie po

bywaniu na świeżem powietrzu, wśród uroczych lesistych gór i pól, poprzerzynanych srebrzystą wstęgą rzek: Dunajca, Popradu, Kamienicy i Łososiny. Ruch konnej jazdy, trudy łowów, polowanie, a choćby codzienna krzątanina około gospodarki, potęgowały jego apetyt, a dawały mu sen kamienny, czem mieszkaniec miast pochwalić się nie mógł. Że zaś na wsi czasu było zawsze za dużo, a dzień był długi, gospodarz skracał go sobie częstym posiłkiem, całe godziny trwającym, przyczem w towarzystwie sąsiadów złociste miodki, grecka małmazya i wina węgierskie, obfitym lały się strumieniem.

A kiedy już winem rozgrzała się głowa, wtedy rozwiązywała się związka języka. Opowiadano sobie nawzajem anegdoty myśliwskie, ciekawe fraszki i baśnie o średniowiecznych zamkach w Sandeczyźnie z XIII. i XIV. wieku, mianowicie o zamku w Czorsztynie, Gródku, Białejwodzie, Rożnowie, Tropsztynie (Wytrzyskach), Melsztynie, Pieninach i Czchowie nad Dunajcem; o Muszynie i Rytrze (Rytter) nad Popradem, skąd rozbójnicy rycerze (Raubritter) napadali na płynących kupców z towarami Dunajcem i Popradem od strony Węgier. Z pomiędzy wymienionych zamków: czorsztyński, rożnowski, czchowski, melsztyński, muszyński i ryterski, były w niezłym jeszcze stanie 1608 r., inne już w ruinie. O Tropsztynie (Tropstein), naprzeciw kościoła w Tropiu, z drugiej strony Dunajca w Wytrzyskach, krążyła jeszcze w r. 1608 dość głośna pogłoska, że z tego zamku, leżącego na wysokiej skale, napadali na płynących Dunajcem jacyś wojewodzice krakowscy. Nie mogąc na to dłużej patrzeć szlachetni Wydżgowie,[1]) dziedzice

---

dalekim świecie. Pierwszy w sprawach poselskich Rzpltej, drugi w handlowych, i to w czasach, kiedy podróżowanie tak bardzo uciążliwem było.

[1]) W r. 1251 hrabia Wydżga, kasztelan niegdyś z Sącza „comes Wierzgo olim castellanus de Sandec“, sprzedaje swą dziedziczną wieś Łącko klasztorowi w Miechowie. W r. 1255 hrabia Gedko, kasztelan sandecki z bratem Wydżgą „comes Gethca, castellanus de Sandech cum fratre Wichga“, przychodzą jako świadkowie przywileju zamiany połowy Nieszkowej przez Bolesława Wstydliwego na wieś Biczyce z Henrykiem, przeorem miechowskim. Piotr Wydżga (Wiczga) był starostą sandeckim 1354—1358. (Kod. dypl. małopol. II. 84, 102. III. 94, 122). Po założeniu Nowego Sącza 1292 r., przez Wacława króla czeskiego, księcia krakowskiego i sandomierskiego, kasztelanowie sandeccy przenieśli w XIV. wieku ze Starego do Nowego Sącza rezydencyę swoją.

Rożnowa, oblegli zamek tropsztyński i zburzyli go, a tym sposobem położyli koniec rozbójniczym napadom.[1])

W takich przyjacielskich gawędach sadzono się też na różne dyskursy, okraszone nieraz sporą dozą dowcipu, choć nie zawsze odpowiedniego, a raczej rubasznego. I nie dziw, bo to według ówczesnego przysłowia:

Hungaricum vinum — Est donum divinum,
Dum hilarat mentem — Facit eloquentem.

Jadło się też dużo: tłusto i sosisto, bo pokarm znakomicie się trawił, a to tem bardziej, że był starannie przyrządzony przez żony-gosposie, które, nie znając trudów książkowych, mogły się wyłącznie oddawać usługom spiżarni i kuchni, obok szycia bielizny i haftowania, zwanego wówczas szyciem wzorzystem. Do ulubionych potraw, oprócz jarzynnych, mącznych, owocowych, należały przedewszystkiem: barszcz, z mięsem wieprzowem, kiełbasą, kurą: grochówka, czyli zupa z grochu, ze słoninką wędzoną: rosół, zupa migdałowa; kiełbasa, pieczeń wołowa, cieleca, wieprzowa, z dziczyzny lub ptactwa; szołdry, czyli szynki wędzone, sztuka mięsa, bigos hultajski, kiszki, zrazy z tatarczaną kaszą: jajecznica, szczuki, czyli szczupaki, łososie, ryba smażona z kapustą. To wszystko sprzyjało zapewne zdrowiu i siłom, myśli jednak nie kształciło — a pozwalało nadmiernie rozwijać się ciału kosztem ducha.

Skracano sobie jeszcze czas jeżdżeniem na jarmarki, nie tylko do obydwóch Sączów, Muszyny i Limanowej, do Czchowa, Wojnicza i Tarnowa, do Gorlic, Grybowa i Bobowej, lecz także puszczano się w dalsze strony: do Krakowa, Jarosławia, a nawet Lublina. Pochłaniało też niemało czasu odwiedzanie sąsiadów, co czyniono często, z okazyi chrztów, ślubów, imienin i pogrzebów, bez względu na znaczne odległości sąsiedztw. Te zaś odwiedziny nigdy krótko trwać nie mogły, gdyż urozmaicały je zabawy nieraz kilkudniowe lub kilkutygodniowe.

---

[1]) Notandum de arce devastata Tropstein. Haec arx ex adverso istius ecclesiae in Tropie, ex altera parte fluvii Dunajec sita. In eadem arce fuisse olim quosdam Pallatinides Cracovienses, alias Wojewodki dictos, qui piratas agebant et praetereuntes in fluvio Dunajec infestabant. Unde postea ventum est, quod nobiles quidam Wyżgowie haeredes in Rożnow illos invaserint et arce destructa, in nihilum redigerunt, illosque expulerint, et ita ruinae saltem apparent. Haec arx in rupe alta erat posita. (Visit. Ecclesiar. 1608 per Joannem Januszowski, archidiac. sandec. Tom XXV., w archiw. kapitul. przy kat. krakow.).

Nie wszystkich jednak tą samą miarą mierzyć należy. Bywali pomiędzy panami sandeckiej ziemi i tacy, co w chwilach spokoju, wolnych od wrzawy wojennej, czytywali chętnie dzieła autorów polskich. Mianowicie ks. Piotra Skargi S. J. owe nigdy niespożyte Żywoty Świętych — ks. Jakóka Wujka S. J.: Postyllę katolicką, czyli wykład Ewangelii na niedziele i święta — Mikołaja Reja: Wizerunek własny żywota poczciwego człowieka — Jana Kochanowskiego: Psałterz, czyli psalmy Dawida, przełożone przez niego na język polski, pięknym niezrównanie wierszem — Marcina Bielskiego: Kronikę Polski — Szymona Syreniusza: Zielnik z łac. herbarzem zwany — Bartosza Paprockiego: Ogród królewski — ks. Jana Januszowskiego: Naukę umierania chrześciańskiego — ks. Waler. Andrzejowicza: Ogród różany — St. Ząbkowicza: Młot na czarownice — wreszcie ks. Przecława Mojeckiego: Żywot bł. Kunegundy.[1]) Prócz tego inne jeszcze, dziś nieznane książki, jak Zwierciadło przykładów — Pacierza wykład — Doktorski gwintowny regiment — Sprawiedliwy Józef — Przeciw powietrzu nauka — Rozmowa koło religii i polskiej korony — Zwierciadło bez szkła złociste.

Obok literatury polskiej, znajdujemy też dzieła łacińskie, jak n. p. Antonii Murae: Medica — Leonardi Fuchsii: De historia stirpium — Guilelmi Rondeletti: Curandi morbos methodus — Scribonii Largi medici: De compositione medicamentorum — Misaldi: Historia Hortensium — Joannis Meznae: Antidotarium — De conservanda bona valetudine — Epitome Galeni — Figurae Antonii Rampeloi — Synonima Simonis Gennensis — Vehaeri: Antidotum.

Trafiały się i niemieckie książki, przeważnie lekarskiej treści. Można z tego wnioskować, że i apteczka domowa nie była w zapomnieniu, która oczywiście, przy ówczesnej rzadkości lekarzy i znaczniejszej odległości od grodowego miasta,[2]) walną mogła oddawać przysługę.

To rozczytywanie się w dziełach autorów polskich, zwłaszcza z okresu złotego wieku literatury (Skargi, Kochanowskiego, Reja), wywierało niemały wpływ na wykształcenie ojczystej mowy. To też język polski, który od wstąpienia dynastyi Wazów (1587),

[1]) Wymienione dzieła, o ile ich autorowie znani są w bibliografii polskiej, wydane w latach 1560—1617

[2]) Oprócz chirurga, cyrulika i aptekarza, nie znano wówczas w Nowym Sączu innego lekarza.

pojawiał się już coraz częściej w aktach grodzkich i miejskich sandeckich, był nierównie lepiej wyrobiony i wypolerowany, niż po innych grodach na Rusi Czerwonej.



Stan oświaty wogóle z początkiem XVII. wieku przedstawia się wcale pomyślnie w sandeckiej ziemi. Ks. Jan Januszowski, archidyakon kollegiaty sandeckiej, który w czasie swej wizyty 1608 r. z taką dokładnością opisał pojedyncze kościoły parafialne w całej Sandeczczyźnie, nie pominał też zakładów naukowych i przekazał nam o ówczesnem szkolnictwie cenne zapiski w relacyach swoich. Głównem ogniskiem oświaty dla młodzieńców były dwie szkoły w Nowym i Starym Sączu, zostające pod bezpośrednim nadzorem dydaktycznym i pedagogicznym miejscowego duchowieństwa, a w wyższej instancyi Akademii Krakowskiej. W jednej i drugiej był nauczycielem „bakałarz nauk wyzwolonych i filozofii", uzdolniony do tego poprzednio w Akademii Krakowskiej. [1]) Przedewszystkiem w tych szkołach kładziono nacisk na wykształcenie religijno-moralne, wpajano zatem w umysły młodociane pobożność i bojaźń Bożą, która jest początkiem mądrości: posłuszeństwo względem rodziców i przełożonych: uległość i uszanowanie dla starszych, zwłaszcza duchownych; zamiłowanie pracy i przestawanie na małem: a źródłem tego była powszechna religijność, wpływ matki, która czuwała nad moralnością, skromnością i przyzwoitością dzieci.

Do programu przedmiotów szkolnych należało czytanie, pisanie, nauka religii podług katechizmu Jakóba Ledesmy S. J. lub Roberta Belarmina S. J., biblijnej historyi, rachunków, a głównie języka łacińskiego. Stąd też znajdujemy, że z pomiędzy starożytnych klasyków czytano tam: Virgilii lib. X. Aeneidos — Flores poetarum — Justini lib. IV. — Ciceronis epistolas familiares et alia, tłumacząc je przytem na polskie, rozbierając gramatycznie pochodzenie słów i składnię zdań. Równocześnie z tymi przedmiotami

---

[1]) Był nim wtenczas w Now. Sączu: Joannes Kurowski Opatoviensis, clericus academicus, a 5 annis in baccalaureum promotus, a 2 annis in rectorem scholae per consules sandecenses institutus. W Starym Sączu zaś: Baltasar Borszowic, artium et philosophiae baccalaureus, Cracoviae promotus sub decanatu M. Martini Plocensis 1607.

rozpoczynała się nauka łacińskiego śpiewu kościelnego, uważana w owych czasach za nieodzownie potrzebną do wykształcenia; ta jednak miała raczej służyć do uświetnienia nabożeństw kościelnych, niżeli do obudzenia w duszy zamiłowania do sztuki lub estetycznego poczucia piękna i harmonii. Obok śpiewu uczono także muzyki na skrzypcach i flecie, bo te dwa instrumenta były wówczas najbardziej lubiane i używane. Cała więc powyższa nauka miała przeważnie na celu wzbogacenie wiedzy i rozwinięcie umysłowe, lecz obok tegoż zwracano również jak największą baczność na dobre obyczaje i umoralnienie chłopców, względem czego nauczyciele mieli osobne ścisłe polecenia. Nielicznie jednak uczęszczała młodzież do tych przybytków Muz. Liczba młodzieńców szkolnych w Nowym Sączu wynosiła 100:[1]) w Starym Sączu zaledwie 40.[2])

W Nowym Sączu budynek szkolny (przy ulicy św. Ducha w pobliżu kollegiaty), do którego przylegał niewielki owocowy ogród, składał się z siedmiu izb. Wielka izba i cztery mniejsze przeznaczone były dla młodzieńców szkolnych, po jednej izbie mieli dla siebie na mieszkanie bakałarz i kantor, czyli nauczyciel śpiewu, który nie tylko co sobota w szkole, lecz także w kościele był kierownikiem śpiewu w czasie nabożeństw, przyczem ubierał się w togę i dzierżył w ręku stypułę, czyli srebrną kantorowską laskę.

Bakałarz szkoły nowosandeckiej, sprowadzany z Krakowa przez rajców miejskich, miał utrzymanie, jak na owe czasy, wcale dostateczne. Pobierał bowiem kwartalnie od rajców po 4 grzywny, czyli po 6 złp. 12 gr., z tego jednak musiał dawać po 2 złp. kantorowi, a po 2 złp. swemu suplentowi (hypodidascalo), który mu pomagał w szkole. Prócz tego dostawał od rajców kolendy na św. Marcin grzywnę (48 gr.), na Trzech Króli 8 złp., a 1 złp. od księży wikarych, za wyuczenie chłopców ministrantury, czyli sposobu służenia do mszy. Za odśpiewanie officium defunctorum przy nabożeństwach żałobnych, otrzymywał także pewną należytość od księży wikarych. Od młodzieńców szkolnych dostawał kwartalnie

[1]) Rector scholae (Joannes Kurowski) pueros, quos ad 100 habet, docet et instituit per classes satis egregie, sollicite et cum fructu animae et morum, cum ipse solus et bene doctus, et bene moratus et disciplinae sit amans.

[2]) Rector scholae (Baltasar Borszowic) pueros ultra citra 40 instituit. Adolescens bonis moribus praeditus, diligens, exemplaris sine querela. — Późniejsza wizyta biskupia z r. 1635 podaje ich cyfrę fere 60.

ogółem po 10 złp. Ogólna zatem jego roczna pensya (oprócz nabożeństw żałobnych, których obliczyć nie można), wynosiła 60 złp. 6 gr. Do tego otrzymywał obiady kolejno od pięciu zamożnych mieszczan. Przed objęciem swego urzędowania szkolnego, wykazywał się świadectwem nauk akademickich, i składał zarazem wyznanie wiary.

Istniały też podówczas szkoły parafialne dla chłopców w Limanowej, Piwnicznej, Muszynie, Podegrodziu, Jazowsku, Łącku, Pisarzowej, Chomranicach, Ujanowicach, Mystkowie, Kamionce, Nawojowej, Biegonicach, Żeleźnikowej i Barcicach, ale nauczyciele tych szkół, czyli rectores scholae, nie posiadali akademickiego wykształcenia, i nie uczyli nic więcej, oprócz czytania, pisania i śpiewu. Wspomina jeszcze ks. Januszowski o szkole parafialnej w Kamienicy, Czarnympotoku, Łukowicy, Przyszowej, Jakubkowicach i Zbyszycach, ale w tych miejscowościach nie było żadnych nauczycieli.[1])

Wychowanie córek odbywało się wyłącznie w domu pod dozorem matek, bo szkoły publicznej dla dziewcząt nie było żadnej. W wychowaniu ich bowiem nie chodziło o rozwinięcie w nich wyższych zdolności, lecz o przygotowanie na dobre gospodynie i matki, a więc o nabycie niezbędnych wiadomości gospodarskich, kuchennych i robót kobiecych, których uczyły się w domu od matek pod ich kierunkiem i dozorem. Jedynym zakładem wychowawczym dla dziewcząt, była wzorowa szkoła klasztorna Klarysek w Starym Sączu. Kształciła się w niej między innemi sławna Maryanna Marchocka, córka Pawła Marchockiego, starosty czchowskiego i Elżbiety z Modrzejowskich, późniejsza Karmelitanka[2]) (Teresa od Jezusa Marchocka), fundatorka dwóch Karmelów: we Lwowie, gdzie dziś seminaryum łacińskie, i w Warszawie.

---

[1]) Visit. Ecclesiar. 1608. Tom XXV.

[2]) Urodzona w r. 1603, do zakonu wstąpiła w Krakowie przy kościele św. Marcina (dziś zbór ewangelicki) 26. kwiet. 1620, zmarła w Warszawie 19. kwiet. 1652 r. Zob. rzadkie dzieło in folio Karmelity Onufrego ab Assumptione B. V. M. (Ośmielskiego): Ozdoba Karmelu Zakonnego... któregò tom IV. ma jeszcze osobny tytuł: Konterfekt życia przykładnego... Kraków 1747. — Świeżo wyszedł obszerny żywot Marchockiej: Vie et vertus héroiques de la Mère Térèse de Jésus Marchocka, carmélite déchaussée de Pologne, fondatrice des couvents de Léopol et de Varsovie (1603—1652). Lille-Paris-Bruges 1906.

ROZDZIAŁ II.

Wbrew prawu o wadze i łokciu.

Konstytucye sejmowe w r. 1505 i 1633 orzekły wyraźnie, że szlachectwo swe traci, kto się trudni rzemiosłem lub handlem.[1]) Tych jednak uchwał, jak wiele innych, nie bardzo przestrzegano lub je omijano dowolnie. Złota wolność szlachecka nie lubiała snadź krępować się paragrafami uchwał sejmowych: same zresztą ekonomiczne stosunki lub chęć zysku zniewalały ją poniekąd do wyłomu w tem prawie. To też znajdujemy nierzadkie przykłady, że w pierwszej połowie XVII. wieku niektórzy panowie szlachta wchodzili z Jerzym Tymowskim w spółki handlowe wina i sukna, a przecież przez to nie tracili szlachectwa i piastowali nadal urzędy grodzkie, jak dowodzą umieszczone poniżej kupieckie zapiski.

1. Andrzej z Zakliczyna Jordan w Strugach i Chochorowicach, komornik graniczny (1618—1643). Na wzór podgórskiej szlachty, chodził w karazyi białej, czerwonej i lazurowej. Brał też na ubranie falendyszek brunatny lub sukno czerwone morawskie. W r. 1609 zmarł jego krewniak, Adam Jordan z Zawady. Wziął więc na żałobę 11 łokci sukna czarnego po 18 gr.[2]) Na stypę pogrze-

---

[1]) Volum. Leg. T. 138. III. 382.

[2]) Ponieważ w tym rozdziale i następnych znachodzi się często wzmianka o monecie polskiej, dlatego podaję na tem miejscu, jaki kurs miała, i jak się jej wartość zmieniała w epoce Wazów:

a) Czerwone złote, w r. 1598 czerw. złoty = 1 złp. 28 gr.; 1600 = 2 złp.; 1607 = 2 złp. 5 gr.; 1611 = 2 złp. 10 gr.; 1618 = 2 złp. 17 gr.; 1621 = 2 złp. 15 gr.; 1624 = 4 złp.; 1828 = 6 złp.; 1632 = 5 złp. 15 gr.; 1639 = 5 złp. 28 gr.; w latach 1640—1648 szły po 6 złp.; 1649—1662 szły po 6 złp. do 6 złp. 15 gr.

b) Talary pojedyncze, w r. 1598 talar = 1 złp. 6 gr.; 1611 = 1 złp. 10 gr.; 1620 = 2 złp.; 1625 = 2 złp. 15 gr.; 1630—1648 szły po 3 złp. — Talary twarde albo bite, czyli imperyały (imperiales) w latach 1640—1648 szły po 3 złp.; 1649—1661 szły po 3 złp. 15—18 gr. — Talary kopowe w r. 1620 po 37 gr.; w r. 1648 po 54 gr.

c) Orty (ortones). Ort był czwartą częścią talara. Liczba groszy, którą zawierał, zmieniała się z kursem talarów. W pierwszych latach panowania Zygmunta III. szły orty po 10 gr., pod koniec zaś jego

bową brał funtami rozmaite korzenie: cukier, kwiat muszkatowy, rodzynki drobne, stokłoskę, cytwar, korzeń fiołkowy, dyptan, pieprz, gałgan, bobek i mirę.

Odtąd niema o nim wzmianki aż w r. 1615, kiedy wszedł w spółkę win z Jerzym Tymowskim. Zakupili w Torysie u Peregryna Istwana 24 beczki po 100 talarów węgierskich. Spławiano je do Warszawy Dunajcem i Wisłą w pierwszych dniach października. Popłynął z niemi pan Jordan, Tymowski zaś wysłał syna swego Józefa, któremu dał na drogę legumin za 50 złp. i gotowych pieniędzy 20 złp. Nieoznaczona jest kwota, po której je tam sprzedawano, w każdym razie musiał być zysk niezawodnie znaczny dla obu wspólników, tem bardziej, że koszta transportu wodą były daleko tańsze, aniżeli na wozach.

Od tych ulubionych zajęć gospodarskich i handlowych odrywały go raz po raz sprawy urzędowania jego, odkąd został komornikiem granicznym, a bardziej jeszcze wojna turecka pod Chocimem. Obrany porucznikiem husarskim powiatu, wyprawił się 27. września 1621 r. z pospolitem ruszeniem na Ruś, pod wodzą Sebastyana Lubomirskiego, starosty grodowego, bo Zygmunt Tarło, kasztelan sandecki,[1]) wymówił się od tego zaszczytnego zajęcia, z powodu niesposobnego zdrowia.

W r. 1622, odebrawszy pan Jordan na siebie część dziedziczną Tęgoborzy, płacił zbożem za karazyę i dawne długi, mianowicie dał pszenicy na słód wierteli[2]) 6 po 70 gr., mąki pszenicznej wiertel za 70 gr., żytnej 3 wiertele także po 70 gr. Pożyczył nawet Tymowskiemu 50 złp. samymi trojakami. Wkrótce jednak wybrał i nadebrał jeszcze swoją pożyczkę, bo wziął od kupca 27 talarów celnych i talar złotowy, co uczyniło 69 złp. Wziął też karazyi zielonej 10 łokci po 36 gr., a na ubranie sukna czerwonego po 26 gr. i breklestu po 3 złote. Dał na to 10 złp. i wiertel siemienia konopnego za $1^1/_2$ złotego.

---

rządów (1629 r.) po 16 gr. Taki sam kurs miały za Władysława IV. (1638 r.), lecz za Jana Kazimierza już po 18 gr.

Podług stałej rachuby: 1 złp. = 30 gr. (grossi); 16 szelągów (solidi) szło na 1 grosz; 1 grzywna (marca) = 48 groszom. Ze złota bito czerwone złote, czyli dukaty. Ze srebra talary, orty i grosze. Z miedzi szelągi.

[1]) Piastował tę godność od 23. kwiet. 1613 do † 7. września 1628 r.

[2]) Od niem. viertel — ćwierć, czwarta część korca.

W r. 1624 zawarł powtórną spółkę win z Jerzym Tymowskim. Kupili w Krużlowej pod Grybowem za 3.239 złp. 41 beczek po 79 złp. od Marcina Kopcia z Grybowa. Pan Jordan dał do tej spółki gotówką 1.000 złp., a resztę obowiązał się oddać niebawem, sprzedawszy wina własne lub też nowo kupione wspólne. Sprowadziwszy je do Nowego Sącza, dodali po 10 beczek, co mieli w domu, i zebrało się ich 61, z których jedna szła na dolewkę. Jejmość pani, Zuzanna z Kuczkowskich Jordanowa, sama trudniła się dolewką, a jak trzeba było, to kazała dokupić kilka garncy od kupca, Stanisława Pełki. Panowie rajcy zrobili początek drobnej sprzedaży tego wina, a Tymowski ugościł najprzód pana Zygmunta Stradomskiego, z którym wypił półgarncówkę. Odtąd panowie Stradomski i Adam Tabaszowski bardzo uczęszczali do Tymowskiego, począwszy od 29. czerwca. Towarzyszył im wiernie ks. Jan Ptak, pleban ze Siedlec, a Tymowski, rad nie rad, musiał też pić z nimi półgarncówką. Na jedno posiedzenie wypili tak $2^1/_2$ garnca. Przed jarmarkiem na św. Małgorzatę, zjechawszy się znów Tabaszowski z ks. Ptakiem, przy pomocy pana Depskiego, który dał kwartę, i Jerzego, który jako gospodarz swoją kwartą rozpoczął, wypili ni mniej ni więcej tylko $3^1/_2$ garnca. Pan Wodzisław Jordan z Tymowskim 3 garnce; tyleż wypili w dzień św. Małgorzaty panowie Jan Strowski i Tabaszowski; panowie zaś Jan Wojakowski i Mikołaj Domaradzki już skromniej, bo wraz z Tymowskim ledwie 2 garnce wzwyż. Pan Samuel Gołuchowski po kilkanaście garncy brał w ogromne cynowe flaszki; ks. Ptak z Siedlec po kilka; ale najwięcej sam pan Jędrzej Jordan: w lipcu wziął $25^1/_2$, w sierpniu 16, i tak co miesiąc do 20 garncy. Część wypijał w miejscu z panem Stradomskim, Tabaszowskim i Wojakowskim, a nawet kilka razy z panią Kopciową. Z pierwszych części rozpoczętych beczek wypił $81^1/_2$ garnca. Kozacy waleczni i komornik króla Jegomości, wzywający na pospolite ruszenie przeciwko królowi szwedzkiemu, Gustawowi Adolfowi.[1]) także się tam pozbyli pragnienia.

---

[1]) Od chwili wstąpienia na tron polski Zygmunta III. w r. 1587, stosunek między Polską a Szwecyą był wciąż nieufny. Wojna tlała, wybuchała i znów chwilowo gasła. Trwało to z przerwami aż do r. 1629, kiedy Stan. Koniecpolski, wojewoda sandomierski i hetman polny koronny, odniósł zwycięstwo nad Gustawem Adolfem pod Trzcianną (w Prusiech zachodnich).

Panie nawet nie gardziły szlachecko-mieszczańskiem wspólnem winem. Jejmość pani starościna Lubomirska raczyła sama nawiedzić panie: Wierzbięcinę. Wojakowską. Stradomską, Błędowską, Gładyszową i Zawadzką; a pani Jordanowa, jako współwłaścicielka, kazała grzać wino w izbie swej dla niewieścich gości swoich. albo z kupcem Tymowskim w poważnej rozmowie o kupi i molach futrzanych wypiła 3 kwarty, a panią Wierzbięcinę, przyjaciółkę starościny, raczyła kwartą, podczas kiedy pan Jordan do panów z półgarncówki przypijał. W ten sposób pan Wojciech,[1]) brat Tymowskiego, wyszynkował 11 beczek.

Te jednak wina, których przywóz z Krużlowej do Sącza kosztował po 1 złp. od beczki, zawiodły nadzieje i oczekiwania. Wprawdzie sprzedawano je okolicznej szlachcie, do Krakowa. Mogiły i Wieliczki beczkami w cenie po 80 do 106 złp., a więc z zyskiem dochodzącym do 32%, lecz wogóle dla obu spólników okazał się zysk bardzo mały. Tymowski. mając częstych gości u siebie, wypijał sam niemało, przypijając do nich według obyczaju. O klasztorach, mianowicie o Franciszkanach i mniszkach Kletkach vulgo Klepkach, pamiętał także: nawet mamce swej, sprawiając wesele, dał 1½ garnca wina. Bardzo wiele również kosztowały bezpłatne częstowania, które brat jego Wojciech, zapisując do księgi, nie zapomniał nigdy naznaczyć krzyżykiem (+).

---

[1]) O krewniakach Jerzego Tymowskiego niewiele znam szczegółów. W r. 1600 figuruje Augustinus Thimowski Oppidanus Grebowiensis. Dnia 9. maja 1601 installował się na probostwo w Chomranicach ks. Marcin Tymowski, gdzie bezpośrednio przedtem był ministrem aryańskim sprofanowanego także kościoła: Stanisław Farnowski, a przed nim jeszcze Jan Patrycyusz. Venerabilis Martinus Augustini Tymowski Greboviensis, praesentatus 17. Aprilis 1601 et 9. Maji 1601 installatus plebanus in Chomranica. Successit in locum Stanislai Farnesii ministri, quem antecesserat Joannes Patricius. (Visit. Eccles. 1608). Stanisław Tymowski z Grybowa pomagał nieraz w handlu (1613—1622) bratu swemu Jerzemu. Tak samo inny brat, Wojciech Tymowski, który był później ławnikiem sandeckim 1640. Jan Tymowski, syn Jerzego, spadkobierca kamienicy w rynku oraz folwarku z ogrodem na przedmieściu większem, czyli węgierskiem, kształcił się naprzód w szkole sandeckiej, następnie w Akademii Jagiellońskiej 1639—1645, zamianowany także bakałarzem wyzwolonych nauk. We wrześniu 1649 r. przywieźli go rajcy sandeccy z Krakowa kolasą miejską, ażeby w swem rodzinnem mieście kierował edukacyą młodzieży szkolnej. (Hist. Now. Sącza T. II. 221—222).

jakby żegnając się z pieniędzmi na zawsze: także litkupy[1]) daremnie, kupującym dawane, wynosiły wiele, a przytem i o dawnych znajomych również trzeba było pamiętać. Lecz najwięcej przyczyniło się do straty, że wina co podlejsze skwaśniały, tak że wszystkiego zysku okazało się tylko 98 złp. i beczka wina, czyli razem 200 złp., a więc zaledwie $5^1/_2{}^0/_0$. Dlatego też pan Jordan, zwalając całą winę na Kopcia, który zaręczał zysk odpowiedni tak znacznemu kapitałowi („iściźnie“), wynoszącemu dla każdego wspólnika po 1.800 złp., zatrzymał na swą stronę 400 złp., zapisując je własnoręcznie na Kopcia do księgi kupieckiej. Prócz tego nie obeszło się bez innych przykrych zajść i wydatków, albowiem poddani pana Jordana ze Strug, przyjechawszy po wino do Krużlowej, gdzie Kopeć miał swoje piwnice i składy, pospuszczali konie na paszę, z czego przyszło do kłótni i krwawej bójki z miejscowymi, aż Tymowski, łagodząc sprawę, zapłacił za paszę i krwawe guzy 1 złp. 15 gr.

Ks. Jan Sygański T. J.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) Od niem. Leikauf, Leitkauf — poczęstunek przy kupnie i sprzedaży. Zwyczaj litkupu znany był przy kontraktach kupna od XIV. w. Zob. Przemysł. Dąbkowski: Litkup, studyum z prawa pol. Lwów 1906.

MATERYAŁY
do historyi polskiej XIX. wieku.

Działalność emigracyi z roku 1831 na terenie Turcyi do pokoju Paryskiego.

(Ciąg dalszy).

6. paźdz. 1843.[1])

Statek z Kustendży nie przywiózł żadnej wiadomości od p. R. On sam mnie o tem uprzedzał, że będąc zajętym rozmowami na jarmarku w Nekrasie, nie będzie mógł do mnie pisać tym statkiem. Poznałem się z Hassan-bejem, rządcą głównym Niżu, tak w tej wizycie rozmawialiśmy, że mnie oświadczył wszelką pomoc dla mojego agenta nawet do tego stopnia, iż powiedział, jak mu trzeba pieniędzy, to mu każ do mnie się udać — na twoje polecenie wszystko zrobię — powiedziałem, że jestem Polakiem i że trzymam agenta dla interesów Czyflika. Zapragnął, bym na zimę przyjechał na Niż na polowanie i żałował, że niema dość czasu, by pojechać do mnie w gości na Czyflik, ale powiedział, że jak ja przyjadę na Niż, to on do mnie później przyjedzie

---

[1]) Rps. 5486. Bibl. XX. Czartoryskich w Krakowie.

na Czyflik, zgoła. że byłem bardzo rad pod wszelkimi względami z tej wiadomości. Zapewne, że pojechanie na zimę na Niż byłoby nader ważną rzeczą, ale na to trzeba pieniędzy. a tych w kasie niemasz. P. Raw. poleciłem jak najgorecej Hassan-bejowi i ułożyłem z nim korespondencyę przez czas zimowy — ponieważ statki parowe do końca marca od początku listopada chodzić nie będą. To zapoznanie się z Hassan-bejem uważam za nader ważne, o ile mogłem w jednem widzeniu się, które trwało ze 2 godz., obznajomiłem go z imieniem X. Pana i z imieniem Polaków — do czego mi służył Czyflik. On nie tyle co inni nieświadomym jest o sprawie polskiej. ponieważ urodził się w Niżu. tam wzrósł i mowi po kozacku.

6. grudnia 1843. [1])

Jedna z najsmutniejszych klęsk spotkała sprawę. P. Rawski w czasie niebytności Hassan-beja został widać oskarżony przed władzą turecką, uwieziono go i po 6 dniach z więzienia za przybyciem Kadego (sędziego) wypuszczono — zapowiadając mu. żeby nie przesiadywał w ajanlikach [2]) Babadach, Tulcza. Isakcza — właśnie. gdzie przebywają kozacy. P. Rawski udał się do Kustendży, a ztamtąd przez Warnę przybył do Stambułu. Powiada, że w czasie jego więzienia robiono śledztwo, ale to nic nie wykryło — w czasie tej nieszczęśliwej przygody kozacy okazywali mu wiele przychylności. Dyrekcya statków parowych z Kustendży natychmiast dała wiedzieć do agenta konsularnego francuskiego we Warnie — ten zrobił swoje kroki do władz tureckich — ale to na nic się nie przydało. bo już p. Rawski był wolny. Nie wiem, czy nie była w tem sprawka moskiewska, gdyż urzędnik Raszyd, który go kazał więzić, jest Mołdawianin. renegat, nieużywający bardzo dobrej reputacyi. P. R. roztropnie zrobił, że pojechał do Warny, by przeciąć gadania i zachody koło tej sprawy — gdyż publikacya byłaby dla sprawy szkodliwą. P. R. powiada, że stosunek z kozactwem nie został bynajmniej odkrytym, że już po opuszczeniu więzienia widział się z rozmaitymi ludźmi, którzy go zapewniali o swojej przychylności i wierności. W całej tej nieszczęsnej przygodzie p. R. postąpił roztropnie, zapewne, że lepiej

[1]) Rp. 5486. Bibl. Czart. w Krakowie.
[2]) Nie jestem pewny dobrego przeczytania.

by zrobił, żeby był został na zimę w Kustendży, a mnie o wszystkiem doniósł, ale impresya, pod jaką zostawał, stracenie wszystkich pieniędzy a nawet i konia z rynsztunkiem na opłacenie posyłek do Kustendży i Warny — tłumaczą jego powrót. Na przyszły statek przyszlę sporządzone opowiadanie p. R. teraz tylko, ile z opowiadania wnosić mogę — kozactwo jest zawsze do wzięcia i cały stosunek z nimi był może za nadto nawet ostrożnie prowadzony, co wcale nie jest złe na ten wypadek. Napisałem natychmiast małą notę i podałem Sasimowi Ef. Pokazywałem ją p. de Boucq., który ją znalazł bardzo dobrą i właściwą — posyłam jej kopię. Pisałem także list do Hassan-beja. Czekając wyjaśnienia tej rzeczy, posyłam p. R. na Czyflik — by tam sporządził notaty i odszedł z niedobrej impressyi. Jeśli ta impressya nie zniszczy się w umyśle p. R., nie będzie on dobrze mógł spełniać obowiązku na Niżu. Jednak zdaje mi się, że powinien tam choć na chwilę wrócić, żeby zniszczyć niedobre wrażenie, jakie jego uwiezienie mogło sprawić na kozactwie — poczem może nawet powrócić do Francyi, jeśli inaczej nie można będzie, na jego charakter i patryotyzm można rachować, że nie wyda tajemnicy. Trzeba szukać innego człowieka, naprzykład pana tego z Wersalu, o którym mówił Bystrzonowski albo Baranowskiego z Lyonu, który był wachmistrzem w naszym pułku, a do którego posyłam list — wywiedzieć się o nim, a potem go sprowadzić do Paryża i mówić. Teraz nie można inaczej zrobić, tylko wydzierżawić jaki futor od Turka i tam gospodarować — najlepiej wydzierżawić go od Hassan-beja. Za ilebym czasu bawił na Niżu, to połowę mojej pensyi w ten futor bym włożył — agent Niżu włożyłby z góry połowę pensyi. Z kasy publicznej Książę Pan najwięcej przyłożyłby się do tego 1½ tys. franków, które będziemy się starali uważać jako pożyczkę, winną nazad wpłynąć do budżetu. To jest jedyny na ten raz sposób osadzenia się na Niżu. Gdyż o tem ani myśleć, że Turcy pozwolą nam przed czasem organizować kozaków — dosyć, że nas będą tolerowali. Czekam decyzyi Ks. Pana w tej mierze — jednak przed jej odebraniem wszystko co tylko w mojej mocy, będę robił w tym sensie.

Sasim przyjął bardzo uprzejmie notę, kazał ją przetłumaczyć i obiecał dać Rizie. List do Hassana posłałem przez jego pełnomocnika tu bawiącego p. de Boucq. zapewniłem, że życzę, aby to się nie rozgłaszało. Przyznać muszę, że zastałem p. de Boucq. usposobionym do upomnienia się za nami — wziął odemnie kopię

listu — przyrzekł zrobić użytek i zachować jak najwyższą tajemnicę względem mojego stosunku z Sasinem, o którym zresztą nic więcej nie powiedziałem, tylko, że go znając, sądziłem rzeczą przyzwoitą do niego się zgłosić.

16. grudnia 1843.[1])

Rawski na Czyfliku dotąd nie sporządził swojego zdania sprawy, nie może przyjść do siebie, więzienie na nim zrobiło wrażenie, jednak mniemam, że w górach osady opamięta się. Nie mam jeszcze żadnej odpowiedzi od Hassan-beja — dopiero tą pocztą w przyszły poniedziałek mogę ją mieć. Oto jest mój plan. Jak tylko odbiorę odpowiedź, zaraz Josza dragmana z Rawskim wyszlę statkiem żaglowym do Warny, ztamtąd pojadę do Kustendży i Babadach, będę się starał nająć czyflik jaki, to jest wziąć w posesyę, jeśli można u samego Hassan-beja. Czyflk taki, żeby można zrobić ogród, mieć maleńką chałupę i zasiać trochę jęczmienia a przytem mieć wypas. — Po odebraniu wiadomości, że znaleźli, natychmiast tam pojadę, zabiorę ze sobą dwa ogiery ze Stambułu, a tam nająwszy czyflik, kilka kupię klaczy, tym sposobem zaprowadzi się *un établissement*, które będzie miało dobry pozór naszego pobytu na Nizie. Innym sposobem nie można sztucznie osadzać się na Niżu, a to rzecz koniecznie potrzebna — bo stracimy ten wpływ, jakiśmy tam zyskali, a ten wpływ musiał być skuteczny, kiedy w monasterze ofiarowano Rawskiemu urząd Tytara (opiekuna) Monasteru. On tego nie przyjął przez dzieciń700 stwo, żeby się nie kłaniać popowi w cerkwi. Imię Księcia Pana chciano w cerkwi czytać na miejscu imienia św. Mikołaja. Kozactwo całe nas zna — wszystko to szkoda tracić i to jest istotnie punkt główny naszego działania — droga nasza do kraju. Tam sami osadzić się musimy — gdybyśmy przyszli do największego zaufania Francyi i Turcyi. — Na Niżu za ich opieką i pomocą osadzić się możemy. Natura naszego działania, jest przez Niż konspirować w Ces. rossyjskiem. Lud Niżu podnieść i wziąć ze sobą na żołnierzy. W pierwszym razie Fr. lub Tur. opiekując się nami, złapane byłyby przez Moskwę na gorącym uczynku. W drugim razie grozilibyśmy wyludnieniem Niżu. Turcy, którzy najwię-

---

[1]) Rp. 5486. Bibl. Czart. w Krakowie

cej robią pieszą populacyą kozacką, narzekaliby na swój rząd. a ztąd wykrycie przed Moskwą. Trzeba tedy mieć miesięcznie jakąś posadę handlową lub gospodarską — ostatnia lepsza, bo przywiązana do miejsca — tu tańsza — bo z nią można połączyć pierwszą. tak posadziwszy się, będziemy mieli działanie na kozactwo i na Monaster, a może i na Tatarów. Teraz Rawski musi na chwilę wrócić, to potrzebne dla uroku zyskanego u kozactwa. żeby go nie stracić. potem trzeba go zastąpić człowiekiem zdolniejszym. wyższym nawet w pojęciach. a jego albo odesłać nazad — albo zostawić na Niżu przy drugim. on się zda. Rawskiego doskonale mógłby zastąpić Baranowski. ale wątpię. by i ten miał zdolność wyższą. Jeśli Michał Budzyński nie stępiał — toby był człowiek jedyny. Zdaje mi się. że ekspens byłby mniej więcej taki:

Wynajęcie czyfliku rocznie od 3 do	4.000	fr.
Kupienie dwóch ogierów	2.000	„
„ 10 klaczy	5.000	„
Rozmaite rzeczy. konieczne potrzeby do domu	2.500	„
Utrzymanie 3 ludzi	3.000	„
Zasiew. robocizna. zbiór, dziesięcina	3.500	„
Ogółem . .	20.000	fr.

Do tego dodać podróż Jana z Rawskim. konieczne bakczysze przy kontrakcie — wyniesie 6.000 fr. zaprowadzenie. W żadne gospodarstwa się nie wdawać. tylko niby próba zaprowadzenia rasy koni. Może który Pan polski albo Anglik zechce się przyczynić do tego. zresztą przytem zakładzie będą Polacy. mogą być podciągnięci pod takie dobrodziejstwo jak i Czyflicy osadnicy. Mniemam, że przynajmniej w połowie można użyć na zakład Niżu pieniądze składane na Osadę — tam jest punkt konieczny, a z Lazarystów nie wiele się spodziewać możemy. Zapewne, że to jest nowy ekspens. ale to nie moja wina. przewidywałem złe. prosiłem o fundusze. bym mógł pojechać na Niż — byłbym uprzedził złe — teraz stało się — trzeba mu radzić, a ja nie widzę innego sposobu. tylko ten. który wskazuję. Uznaję go koniecznem, nieodbitem — tym tylko sposobem będziemy mieli Niż w ręku i działanie z Niżu — bez tego nie mamy klucza wprost do drzwi Polski. Tak długo nad tem się rozciągnąłem, bo chciałem wszystko wykazać i proszę o najprędszą rezolucyę. Jeśli odbiorę od

Hassan-beja wiadomość dobrą — natychmiast wyszlę na Niż. Możeby p. Włodz. Potocki albo jaki inny amator koni przyłożył się do zakładu, dostarczylibyśmy mu rączych biegunów i chartów.

26. grudnia 1843. [1])

Z Niżu nie mam żadnej odpowiedzi od Hassan-beja, gdyż i jego synowie, będący tu w Stambule, nie mają wiadomości od tego czasu — dziś posyłam do nich dowiedzieć się. Uważam za konieczny projekt, który przedstawiłem Ks. Panu i gdybym odebrał odpowiedź od Hassan-beja przed odpowiedzią X. Pana i przysłaniem funduszów, gotowem się zapożyczyć na wysłanie mego drogmana z Rawskim — dla wyszukiwania czyflika i dla ukazania się tam — sumiennie jestem przekonany, że tak zrobić powinien, a jeśli Ks. Pan nie chcesz przyjąć mojego projektu — nic jeszcze zrobionem nie będzie przed moim przyjazdem na Niż — gdyż ja sam mam zawrzeć umowę i urządzić rzecz — natenczas nie moja będzie wina z tej ogromnej straty dla sprawy. Możeby można zainteresować jakich amatorów końskiej rasy, naprzykład Francuzów lub Anglików. — X. (nieczyt.) lub X. d'Er(nieczyt.) lub innego, a wybrać na miejscu Polaka, którýby był i zdatny nam, i koniarz, ci panowie na tej spekulacyi amatorskiej i materyalnie by nie stracili. Mieliby ztąd i konie i charty, a ja miałbym dobry pozór siedzenia na Niżu trochę dłużej, żeby tam urządzić rzecz, jak się n leży — trzeba, żebym sam posiedział przynajmniej ze 3 miesiące. Na miejscu Rawskiego trzeba innego człowieka — przy swojem niepotrzebnem uprzedzeniu do zakonu Nekrasowców i do wszystkiego, co nosi na sobie cechę organizacyi zakonnej, (co jest jedynem dobrem), nie ma potrzebnego rozgarnienia i ruchawości, co na ten raz bardzo dobrze posłużyło, ale na przyszłość byłoby niekorzystnem do tego bardzo się przestraszył i zdemoralizował. Od 10 dni siedzi na Czyfliku, przysłał mi jedną część zdania sprawy — którą przyłączam — ciekawa do przeczytania, ale nie trzeba w niej szukać ani prawdy politycznej, ani ocenienia politycznego. Rawski jest wierny i poczciwy człowiek — przy drugim rozumniejszym wyśmienity, bo dobrze pije i dobrze śpiewa, a przytem choć krnąbrny, ale posłuszny — na Niżu się

---

[1]) Rp. 5486. Bibl. Czart. w Krakowie.

zda — jako podwładny — przedstawiam, że trzeba go tam na nowo zawieść i trzymać — chybaby demoralizacya do tego stopnia doszła, żeby koniecznie chciał wracać, w czem może się jakoś pomiarkuje. Spodziewają się tu Hassan-beja wkrótce — co byłoby bardzo pożądanem. Puławski, jak mówią poturczeniec znany pod imieniem Achmet-beja, którego zna generał Dembiński i p. Kuźmiński, który w r. 1828 był przy Hussen-Paszy, zarekomendowany przez poturczeńca Polaka Hidajet-beja, (zostającego na dziś w Mece, jak mówią, bardzo rozumnego człowieka), później odbywał podróż do Indiów z paszportem angielskim, był w Persyi — Kurdistanie, a nawet Gruzyi zna doskonale języki tych krajów i zwyczaje i wielkiej wziętości używał w Kurapapachów — przyszedł do mnie, oświadczając chęć służenia sprawie publicznej pod rozkazami X. Pana. Dał mi malutką notę, którą tu załączam. Używa on tu reputacyi uczciwego człowieka, od jego znajomych w Paryżu można się także dowiedzieć. Ja mniemam, że oddając go pod dyrekcyę p. Le Noir, na co on przystanie, można zrobić bardzo użyteczną misyę — która zastąpi tę, którą przedsięwziął p. Wereszczyński. Jeśli wyspieszę, tobym jeszcze kuryerem zrobił małą relacyę, którą by X. Pan mógł pokazać lordowi Dudlej Stuart, jeśli nie to, przyszłą pocztą poszlę, a teraz dobrze przygotować się do tej rzeczy — i wywiedzieć się — Wereszczyński chciał go mieć z sobą, ale wówczas on był zajętym.

6. stycznia 1844, Carogród. [1])

J. O. M. Ks. W raporcie moim o całym biegu służby publicznej donoszę — tu to tylko umieszczam, co nie sądziłem być rzeczą potrzebną umieszczać w raporcie, iż wiem z dobrego źródła, bo od (nieczyt.), że sir Canning [2]) tak się przestrasza naszym stosunkiem z p. de Bou., iż temu ostatniemu po kilka razy powtarzał z wielkim naciskiem o niebezpieczeństwie, jakie ztąd wyniknąć może, tak się lęka, jak gdyby cesarz moskiewski mógł go porwać wprost z Stambułu na Sybir. Na P. de Boue., dotąd to szkodliwego wrażenia nie zrobiło, widuję się z nim bardzo rano bo sam chcę być ostrożniejszym jak on, by w nim coraz większe zaufanie wzbudzać. Wartoby zaradzić tej straszności p. Caning.

---

[1]) Rp. 5486. Bibl. Czart. w Krakowie.

[2]) Podsekretarz Stanu, od r. 1841 członek parlamentu angielsk.

Jeśli można, teraz zdarza się zręczność, jeśli jeszcze czas przez jadącego tu na sekretarza p. Wekerley — zarekomendować mnie temu panu i przez niego ostudzić trochę płochliwość p. Caning. zresztą to dobry i zacny człowiek — ale ten strach Moskwy a przytem nienawiść ku Moskwie odwracaja go od konsekwentnego postępowania: żeby miał mniej strachu i mniej nienawiści — mógłby zrobić wiele dobrego, boby mógł się oświecić nie o jednej rzeczy i z zimną krwią niejedną by dokonał. Czyby p. Wekerley nie był dla nas tem. czem byśmy chcieli mieć p. Caning. na to zwracam uwagę X-cia Pana. — Pan Wielogłowski ciagle chory — przez dziesięć dni od ostatniej poczty. byliśmy w największej niespokojności — musieliśmy kilka razy na dzień i na noc przywoływać doktorów. Już dwudziesty pierwszy dzień. jak na łóżku nawet podnieść się nie może — ani podnieść go można — ale chwała Bogu od 4 dni gorączka i maligna ustały i mamy w Bogu nadzieję, że już nie będzie niebezpieczeństwa — ale według mniemania doktorów, wyzdrowienie trwać będzie długo. gdyż tak jest osłabiony. że ledwie parę słów przemówić może. Koszta tej choroby są bardzo znaczne. gdyż tu lekarz i apteka nadzwyczajnie się opłacają. Po ozdrowieniu nie wiem. czy klimat Stambułu będzie mu służył. tu trzeba mieć wiele ruchu. dlatego sądzę. że trzeba zawczasu myśleć o jego destynacyi politycznej. szkoda. żeby po tylu poniesionych kosztach powracał do Paryża: daleko byłby użyteczniejszym w Jassach. Jassy. mające już niejaki polor towarzyski, nie tyleby mu smutnemi były, co Stambuł. U p. Vinklera znalazłby gościnność. choćby projekt o dyliżansach nie przyszedł do skutku. Utrzymując się tam swoim kosztem. mógłby wielkie usługi oddać sprawie. wiążąc tutejsze działanie z Galicyą, co mu snadnie przyjść może — to byłby wielki pospiech dla sprawy: gorliwość p. Wielogłowskiego znalazłaby obszerne pole do działania, a usposobienie jego i gusta więcejby pasowały z Jassami. jak z każdem innem miejscem na Wschodzie. Dotąd nie odebrał ani listów ani pieniędzy obiecanych z domu. Wszystko ekspensuje się z kasy publicznej. a doktorom i aptece dłużni jesteśmy. Zapowiedzianych pieniędzy przez PP. Moraw. i Budz. nie odebrałem. oczekuję je z przyszłym statkiem. jak nie przyjdą, to dalibóg nie wiem, co będę robił. P. Le Noirowi zmniejszać pensyi w żaden sposób nie można. bo by nie mógł się utrzymać. trzeba go jak najprędzej użyć. co się staram i nieomieszkam korzystać z najpierwszej okoliczności. Byłbym go bezzawodnie umieścił przy Kiamilu-Paszy. gdybym był miał na ten czas pieniądze. ale ich

nie miałem, a Kiamil na swój koszt brać nie chciał, brak funduszu rezerwowego czyni, że nie jedna najkorzystniejsza zręczność marnie się traci. Człowiek, co żyje z dziś na jutro, ma ręce związane. P. Le Noirowi ani odmawiać, ani zmniejszać pensyi, nie zdaje mi się być podobnem, z tego mógłby się narobić hałas, któryby był nader szkodliwy sprawie publicznej. Co do budżetu, piszę o tem wszystkiem w raporcie, wiem o tem i czuję doskonale, że ofiary X-cia Pana dla sprawy publicznej są wielkie i bezzawodnie robię, co umiem i co mogę, by oszczędzać grosz publiczny, dowodem tego, że odmawiam sobie wszelkich a wszelkich przyjemności a nawet odzienia — ale co niepodobna to niepodobna, może pomyślność naszych stosunków zależy od tego, abym nie miał miny nędzarza lub żebraka — dlatego muszę stać porządnie i nie mogę się włóczyć po gangułach [1]) — muszę dawać bakczysze, bo tu bez tego ani kroku zrobić nie można. Turcy od Europejczyków oświaty nie przyjęli, ale Europejczycy od Turka doskonale przyjęli zwyczaj bakczyszów. Na Nowy rok odpędzić się nie można było odwiedzających sług i służków pos. Fr. i od innych potrzebnych ludzi, a każdemu trzeba było dać. Co do siebie wszystko zniosę, a co do potrzeb sprawy, na to upraszam jak najgoręcej, gdyż inaczej ucierpiałaby na tem polityka X-cia Pana, a toby był cios dla Polski, a dla mnie ogromna boleść. Piszemy a piszemy do Tebsir, a dotąd ani odpowiedzi wyraźnej, ani żadnego zgłoszenia się od konsula Abaad [1]) doprosić się nie możemy. LL... są niepoczciwi, bardzo grzecznie dali mi poznać, że p. Bose płaci p. Bounalt za utrzymanie swoich koni i że zatem i ja muszę płacić za mojego jednego, gdyż drugiego trzymam — będę musiał wziąć tego, ha, bo by zmarł z głodu, a o taką bagatelną rzecz nie warto było spór wszczynać; udałem, że nie poznaję do czego była mowa i tego w raporcie nie umieszczałem, ani też o tem LL wspomnę, piszę to tylko dla wiadomości prywatnej X-cia Pana, trzeba koniecznie rzecz schronieniem poprawić, bo inaczej będzie on dla sprawy bez użytku, to można zrobić w Paryżu, tu tego zrobić nie można.

Pełen wysokiego uszanowania i uwielbienia dla Obojga Księstwa Państwa i Ich świetnego Rodu — polecam siebie i rodzinę moją opiece X-stwa Państwa i zostaję zawsze i wszędzie gotów na rozkazy X-cia Pana prawdziwy i nieodmienny sługa

Michał Czaykowski.

---

[1]) Nie ręczę za dobre odczytanie.

17. stycznia 1844. [1])

P. Rawski obawia się powracać na Niż — ta obawa robi go niesposobnym do służby, bo mimo najlepszych chęci, mając przed oczyma niebezpieczeństwo, stracił wiarę i wszystko, by mu dobrze szło. Zastąpię go dostatecznie p. Puławskim, o którym już poprzednio pisałem, jak tylko będzie możność wysłania do Warny, zaraz go wyszlę — pierwszym statkiem chcę sam pojechać — wyszlę go z moim drogmanem — zabawiwszy tam jakiś czas, dopiero zgłoszę się o innego Polaka — tylko naprzód upraszam o dobry wybór, żeby słuchał i był poczciwy człowiek a dobry Polak, zakład gospodarstwa choćby najmniejszy, koniecznie jest potrzebnym do pokrycia przed Turkami pobytu swego na Niżu. Co do Rawskiego trzeba, żeby wracał do Francyi, tu dla niego jak nie na Niżu, niemasz żadnej posady — może potrafię go wyprawić z 3-miesięcznym żołdem i dodatkiem 100 lub 150 franków — tak tedy kasa publiczna nad budżet wyda 150 frank. w p. Puławskim policzy się podróż bez żołdu i dopiero od drugiego kwartału postanowi się mu żołd. Jeszcze o pieniężnym stosunku z nim szczegółowo nie mówiłem, ale pewny jestem, że kosztować będzie albo tylko tyle, albo mniej, co Rawski. Jego jako Tatara i Muzułmanina obrócę do działania na Tatarów — sam posiedzę na Niżu i wszystkie stosunki, zawiązane przez Rawskiego, zostaną z natury rzeczy w mojej ręce, a ten Polak w przyjeździe zostawszy ze mną przez kilka czasów, wprawi się do służby, to się później wyjaśni, a teraz przedewszystkiem trzeba wrócić na Niż — osadowić się — zrobiłem i tu krok tyczący się Niżu, jak to okaże się w paragrafie następ. Z Rawskim po odjeździe statku natychmiast skończę i doniosę przyszłą pocztą. Takie śniegi tu opadły, że ani podobieństwo Bałkany przejechać, a okręta nie chodzą teraz na Czarne morze.

17. marca 1844.

Posyłam instrukcye, dane pp. Rawskiemu i Pułaskiemu oraz przepisanie, jak mają z początku postępować, z pierwszym statkiem mam nadzieję wyjadą. Jeśli choć w czwartej części wypełnią

[1]) Rp. 5487. Bibl. Czart. w Krakowie.

dane sobie instrukcye, co jest rzeczą możebną, to będzie wielką korzyścią dla sprawy i poniesiony ekspens na utrzymanie p. Puławskiego sowicie się nagrodzi.

Notatka dla jadącego na Ruś.

Jadący na Ruś może mieć na uwadze, że najlepszemi okolicznościami do poznania mieszkańców, ich ducha i zawiązania z nimi stosunków są — kontrakty, wybory, jarmarki, karnawały — każde z tych zbiorów ma swoją właściwą cechę. Kontrakty przez samą naturę interesów pieniężnych, jakie się tam odbywają, ma się rozumieć, że w tem zebraniu można zastać najwięcej ludzi poważnych, majętnych, nie bardzo pochopnych do słuchania o naszej rzeczy, jak tylko to wskazuje bliskość i nieodzowność powstania, ale idee monarchiczne, idee porządku więcej znajdą przystępu do nich, jak do innych i jeśli miedzy takimi można znaleźć człowieka, któryby chciał z nami się związać, na takiego można rachować. Jest też miedzy kontraktowymi więcej takich, co roztrwonili majatki, ostatkami gonią, ci są rodzimi spiskowi, chwycą się rzeczy z pospiechem i mogą być bardzo użyteczni. Nareszcie spekulanci różnego rodzaju, między tymi można znaleźć ludzi zdatnych i ofiarujących pewną gwarancyę. Kontrakty odbywają się w Kijowie w styczniu, a w Dubnie także raz na rok — ale nie pamiętam czasu.

Wybory oprócz zdrowej części, która w każdem zebraniu być musi i do której zawsze i wszędzie jednym językiem się trafi, są tam ludzie próżni, ubiegający się za urzędami. Krzykacze decydujący o wyborach, ci ostatni są najwyśmienitsi do rozniesienia rzeczy, którą trzeba roznieść — gotowi do każdego działania, prowadzącego do czynu, w czynie samym rzadko kiedy staną. Działając na pierwszych próżność, można osiągnąć niejeden pożyteczny skutek. Wybory odbywają się w każdej gubernii w innym czasie.

Jarmarki, tam się zbiera więcej obywateli hulających jak kupujących i przedających. Tam można widzieć całą młodzież hulaszczą i ztamtąd można mieć niejeden materyał zdolny do sprawy, przy koniku i kieliszku najprędzej uczucia polskie, uczucie wojenne się obudzi, znajomości tam porobione zaprowadzą na polowania zbiorowe, gdzie najlepiej patryotyczne rzeczy układać. Ka-

żdy myśliwy — każdy jarmarkowiec jest rodzinny powstaniec. Oni największej popularności używają między ludem prostym, między klasą oficyalistów a nawet i żydzi najwięcej się boją i więcej zrobią dla nich, jak dla innych. Od wszystkich złych narowów dobrem patryotycznem słowem najwięcej ich odwrócić, ale nie trzeba się zrażać ich rubasznością i hulaszczyzną, nie nudzić ich nudnemi rozprawami politycznej dogmatyki, gadać im o tradycyach historycznych, o sławie polskiej — rzeczy poetyczne — a można ich zaprowadzić, gdzie się zechce i z między nich można wyrobić najtęższych i najbieglejszych konspiratorów. Jarmarki najsławniejsze są w Berdyczowie, w Bałcie, w Chwastowie, w Felsztynie, w Tulczynie, w Małorossyi, w Romnach, w Lebedzianach itd., o tych łatwo się wywiedzieć między emigrantami i o czasie, w którym się odbywają karnawały, tam między modnemi papinecikami są zuchy krasno(nieczyt.) — i z jednych i z drugich można mieć dobre materyały. Czasem nawet coś celniejszego się napotka, ale nie tyle warci, co jarmarkowicze i myśliwi. Na tych zebraniach jest czas i właściwe okoliczności do pogadanek, najwięcej działać można na kobiety i przez kobiety na modnych mężczyzn. Te zebrania powinny być uważane za ważne, dlatego samego, że tam tylko można zdybywać większą liczbę kobiet zgromadzonych, jak gdzie indziej.

Karnawałowe zabawy odbywały się i zapewne odbywać się muszą w Kijowie, w Żytomierzu, Murowanej Machnówce, Winnicy, Kamieńcu, Krzemieńcu, Odessie itd. Jeszcze jest dobra chwila, być latem w Odessie, wszyscy urzędnicy moskiewscy odsyłają swoje rodziny na wieś a Polacy wyjeżdżają do miasta na kąpiele morskie i wtenczas Odessa, jakby czysto polskie miasto. Także są pewne miejsca, gdzie są wody mineralne, gdzie się zbiera szlachta miejscowa, jak na Ukrainie w Lisiańce i w innych miejscach; tam można spotykać dobrych Polaków. Ważną jest rzeczą zawiązanie związku z nauczycielami Uniwersytetu St. Włodzim. w Kijowie, tam oprócz Polaków jest mnóstwo uczniów z Ukrainy Zadnieprskiej i z kraju kozaków dońskich. Na Ukrainie zadnieprzańskiej i w ziemiach dawnych województw kijowskiego i bracławskiego trzeba żywić, krzepić i rozbudzać tradycyę kozaczą przywiązaną ścisłym węzłem do Polski z godłem króla polskiego. O ile można robić widomem rodzinę, do której korona polska przywiązana — to tylko jedyny sposób — związania ścisłego chłopstwa ze szlachtą — pociągnięcia do sprawy polskiej zadnieprzan. Ukrainy — ujęcia stanu duchownego szyzmatyckiego —

wciągnięcia do Polski kozaków czarnomorskich, nawet zyskania udziału w wspólnej sprawie Dońskich kozaków, — to tylko jedno, co zabezpieczy ludowi Rossyi swobodę, a ochroni kraj od swawoli hajdamackiej. Szlachtę trzeba o tem przekonać, a z ludem pójdzie łatwo. Taką propagandę najlepiej rzucić od Połtawy i nad granice Dońskiego kraju, co najłatwiej zrobić przez Kijów. W gubernii wołyńskiej najważniejszymi są powiaty żytomirski-owrucki, część zwiahelskiego. Cała ta część kraju, co składała niegdyś województwo kijowskie — tam najwięcej dobrej i dziarskiej szlachty i lud tęgiego ducha — po tej części co do wartości idzie Polesie, Wołyń, a w końcu Wołyń od galicyjskiej granicy. W gub. podolskiej cała część, składająca dawne województwo bracławskie, była daleko dzielniejsza od drugiej połowy w tej gubernii. Trzeba wielką wartość przywiązywać do dóbr X. Czartoryskich, tam przywiązanie chłopów do księcia Adama może być iskrą rozpalającą duch w całym ludzie Rusi. W gubernii kijowskiej prawie wszystko było dzielone, tam wielkiej uwagi warte dobra pp. Branickich i Potockich, niedzielone na cząstki drobne, zachowały więcej jednorodności — tam żyje najgorzej tradycya dawna, nowe pokolenia są takoż elementem, który należy wyeliminować a na stan należy silnie działać. Besarabia kraj nowy, miał jednak wiele elementu polskiego w szlachcie tam się osiedlającej, tam trzeba wyexaminować kozaków naddunajskich, między którymi jest wielu ze szlachty czynszowej naszej. W małoruskich guberniach, w Połtawie i Czernichowie, zachowało się najwięcej tradycyi i między szlachtą i między ludem. Jak utrzymują, ta szlachta mimo że daje mnóstwo urzędników wojskowych i cywilnych Moskwie, niema ku Moskwie żadnej sympatyi. Wierzę, że Grabowski (Michał), Hołowiński i H. Rzewuski dali się ułudzić slawizmowi moskiewskiemu, to rzecz pokwapna i loiczna, ale myślę, że ten slawizm moskiewski możemy zwalczyć, a zwalczyć slawizmem polskim. Fakta, które można wskazać jadącemu, najlepiej mu do tego posłużą i nie wątpię, by 2 pierwszych nie miały zwrócić na dobrą drogę, na drogę Polski, gdyż powszechnie o nich mówią, że są dobrzy i poczciwi ludzie prywatnie. Co do trzeciego, chociaż zdolny człowiek i katolik Ortodoxa używał nie bardzo zalecającej się reputacyi, tak jak i cała jego rodzina, pochodząca od senatora Adama Rzewuskiego z Pohrebyszcz.

Grabowski, Hołowiński, Rzewuski nie są ludźmi powstania, wszyscy trzej są właściwie do rozkrzewiania idei patryotycznych i wkorzeniania myśli porządku. Piewszy wypełniał ten obowiązek

bardzo święcie... z nim stosunek jest arcywielkiej wartości. Stosunek z Kraszewskim, szwagrem Woronicza, jest także nader ważnym. Dziś znani literaci na Rusi są — Groza w Kijowskiem, wydawca Rusałki — Mich. Jezierski z Ukrainy, syn Prezesa, był w naszem powstaniu, ale zdrowie nie pozwoliło mu znosić trudu wojennego, jednak ma wiele patryotyzmu, Kotoni, syn architekta, Kijów, bardzo narodowy. Szymon Konopacki w Żytomierskiem musi już być niemłody, znany człowiek, dobry Polak. Konstanty Piotrowski poeta, niemłody, schorzały, Polak dobry, ma liczną rodzinę w Żytomierskiem, ich wzięcie może się przydać, byli wszyscy różnemi czasy za granicą, dwóch było w powstaniu i w wojsku, moi dobrzy znajomi — Pągowski w Owruckiem poeta-powstaniec, dzielny Polak, ma stosunki familijne między drobniejszą owrucką szlachtą. Jan Stępkowski w Zasławskiem, wnuk regimentarza, brat Józefa St., który był w gwardyi strzel. kon. i Ignacego, który był marszałkiem tego powiatu, ten ostatni majętny i dobry Polak. Są zapewne i inni literaci, których nie znam. Z literatami trzeba się zapoznać, bo oni działają na opinię kraju. Trzeba się starać pozbierać wiadomości o ludziach, należałoby zwracać uwagę na tych panów: Grocholski, dawny guber. podol., o którym bardzo wiele można się dowiedzieć od Zaszczyńskiego i innych Polaków. Kozłowski, generał moskiew. w gub. kij. w pow. taraszczańskim czy lipowickim, we wsi Zaszkowie, o którego zdolnościach i patryotyzmie tyle mówił nieboszczyk Krasicki. Neczaj, były marszałek czerkaski, który chciał mieć udział w powstaniu, nie należy zapominać o mężu pani Mężyńskiej, Danielu Mężyńskim, o którym są już pewne wiadomości z naszego pułku w kraju. Koło Lubaru Adam i Jozafat Domaradzcy, doskonali i Polacy i żołnierze byli, jeden porucznikiem a drugi podp. Antoni Trypolski w Żytomier. we wsi Tiutiunnikach, podp. znany Polak. Aleks. Opolski majętny, zdolny i dobry podoficer. Antoni Szaszkiewicz w Żytomirskiem na pograniczu Podola, dzielny choć trochę szaławiła, można go używać — musi być popularny.

Z innych powstań i wojska są: Petrykowski Ed. w Krzemieniec., Rościszewski Adolf w Zasławsk., Lipkowski Henryk na Podolu, Lipkowski Leon tamże, wieś mi się zdaje Urucze. (Nowo) siółka za Bohem (?). Zbyszewscy Nepomucyn. Kar. w (niecz.) w Taraszczańskim. Podhorski Anastazy w Skwirskiem, Zbrożkowie na Podolu. Z tymi można mówić. Są jeszcze rodziny, które powinny być dobre, przynajmniej warto o nich się wywiedzieć. Na Podolu:

Dorożyńscy w Lityńskiem, Trzeciacy tamże, synowie Mich. Trzeciaka, Jaroszyńscy, Sobańscy na Wołyniu, Prószyńscy w Kowieńskiem, Głęboccy w Żytom., Zielenieccy, Rapsztyńscy w Owruckiem, Zaleńscy w Kijow. Rościszewscy pod samym Kijowem, Grudziński Kaz. koło Smieły, brat oficera naszego pułku. Turkuł, Zalescy. Świdersey, Madejski, Tarnowiecki. Wiadomość o ludziach powinna być najważniejszą dla chcącego zawiązywać stosunki. Na Donie trzeba mieć na uwadze rodziny Greków, Jłowajski, Ptalof, syn hetmana, ma być bardzo przychylny Polakom — dobrze przyjmował mieszkających zesłańców. Na Czarnomorzu samego hetmana Zawadowskiego, którego znają Sobańscy Izydor i Aleks. Trzeba nie zaniedbywać mieszcz. Kijów. Z hetm. kozaków naddunajskich Wasilewskim; ma być nie bardzo chętny Moskwie. Jeśliby jadący z Besarabii chciał mnie co dać wiedzieć, może przysłać list do Administr. Stat. austryac. pod adr. M. Raclicheri Thomas albo docteur de quarantaine M. Barbier i we środku list adresowany: Il Siqnor Vizencio Rava — niech będzie pisany cyframi pod godłem Chrzanowskiego (?), a jeśliby chciał się widzieć albo posłać kogo, to niech szuka wioski Kawgadżyja, o godzinę drogi od Babadach koło Sławy — tam niech pyta o Panajoła Snilukdży a u niego o Sydora Sydorowicza. Na Donie blisko Taranrogu we wsi Wodotaje mieszka por. Martinow z gwardyi Dońców, ma połowę tej wsi — żonaty, ma syna — ma być wielkim przyjacielem Polaków i Polski.

Fr. Rawita-Gawroński.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Fryderyka Chopina
pierwsze lata w Paryżu.
(1831—1838).

STUDYUM BIOGRAFICZNE.

(Ciąg dalszy).

Ale pomiędzy muzykami, mieszkającymi w Paryżu, nie brakło i Polaków, nawet takich, którzy tu cieszyli się pewnym rozgłosem. Najsławniejszym z nich, wymienianym między lepszymi pianistami, a wcale modnym i wziętym, jako płodny i wszechstronny kompozytor, był Albert Sowiński, od lat już zamieszkały nad Sekwaną. Chopin oczywiście nieomieszkał poznać się z nim (wszak przed laty nawet wymienili parę listów w sprawie pieśni polskich i słowiańskich), ale nie bardzo był zadowolony z tej znajomości, albowiem była to znajomość z dużą dozą poufałości ze strony Sowińskiego, która go nudziła chwilami. Przedewszystkiem nie traktował go na seryo, jako kompozytora, a jako pianistę uważał za wcale nie nadzwyczajnego. „Ani się umywał“ do nieboszczyka Aleksandra Rembielińskiego! Jako człowiek był może poczciwy, ale mało interesujący. „Głowa nie tęga, — czytamy o nim w liście do Wojciechowskiego — ale figura dobra i serce“.

A że bardzo polubił Chopina, więc przychodził do niego często, za często. Fryderyka nudziły, a czasem irytowały te bezceremonialne wizyty, bo nie zawsze był usposobiony do przelewania z pustego w próżne, czemu się równały jego rozmowy z Sowińskim, z którym nie wiele miał sobie do powiedzenia, a cóż dopiero do słuchania tuzinkowej muzyki, lub rutynicznych improwizacyi od siedmiu boleści! Oto, jak raz w liście do Wojciechowskiego opisał jedną z takich przedpołudniowych wizyt Sowińskiego: „Do Ciebie pisząc, nie cierpię, kiedy mi się dzwonek ruszy i właśnie jakieś coś z wąsikami, duże, wyrosłe, tęgie, siądzie do fortepianu i samo nie wie, co improwizuje. Wali, tłucze bez sensu, rzuca się, przekłada ręce, z pięć minut na jednym klawiszu gruchocze ogromnym paluchem, który gdzieś tam na Ukrainie do batoga i do leje był przyzwyczajony. Masz portret Sowińskiego, który innego merytu nie ma, jak dobrą figurę i dobre serce. Jeżelim mógł kiedyś sobie szarlatanizm albo głupstwo w sztuce wystawić, to nigdy tak doskonale, jak teraz często muszę słuchać, chodząc po pokoju i umywając się tymczasem. Uszy mi się czerwienią, wypchnąłbym za drzwi, a muszę menażować, nawet być czułym wzajemnie. Nie masz wyobrażenia o czemś podobnem, ale ponieważ oni go tu (oni, co się nie znają tylko na krawacie) za coś mają, więc trzeba to znosić. A czem mi najwięcej krwi napsuje, to zbiorem swoich karczemnych, bez sensu, najgorzej harmonizowanych, bez najmniejszej znajomości prozodyi układanych śpiewek z zakończeniami kontredansowemi, które on zbiorem polskich pieśni nazywa. Wiesz, ile chciałem czuć i po części doszedłem do czucia naszej narodowej muzyki, zatem miarkuj, jak mi przyjemnie, kiedy on czasem to tu, to tam złapie coś mojego, czego piękność często na akompaniamencie zależy, i z karczemnym, szenkatarynkowsko-gainguetowsko-parafialnym gustem zagra: a nic nie można powiedzieć, bo więcej nad to, co złapał, nie pojmie...“

Inny zupełnie, bo na rzetelnej serdeczności i przyjaźni jeszcze z warszawskich czasów oparty, był stosunek Chopina z Orłowskim, zdolnym skrzypkiem i kompozytorem, a niebawem szefem orkiestry teatralnej w Rouen. Gdyby nie Orłowski, możeby Chopin istotnie został w Paryżu tylko *en passant*, bo przecie jechał do Londynu. Ale Orłowskiemu miał do zawdzięczenia, jego namowom, że na razie zdecydował się zostać nad Sekwaną. Orłowski, który w Paryżu bawił już rok przeszło, zaraz po swym przyjeździe tutaj, gdy się rozejrzał i zoryentował w paryskiej

atmosferze muzykalnej, pisał do swych rodziców, by skłaniali Chopina, ażeby koniecznie przyjechał do Paryża. „Radźcie mu — są słowa jego listu — by jak najprędzej przyjeżdżał do Paryża, zrobi furorę. Gdyż ani Herz, ani Kalkbrenner, ani Pixis, ani Liszt, nie mogą mu dorównać; słyszałem wszystkich: żaden nie jest jedną częścią Chopina“. Samo się przez się rozumie, że tak dobry kompozytor i znawca, jak Orłowski, wypowiadając tak entuzyastyczne zdanie o Chopinie, nie miał na myśli przewagi jego techniki nad techniką wspomnianych pianistów, lecz jedynie dziwną oryginalność gry Chopina, i niewymowny urok, jaki wywierała na słuchaczach. Przekonany o tem, Orłowski, od chwili, gdy Chopin stanął na paryskim bruku, zachęcał go do pozostania tutaj, przepowiadając mu najpiękniejszą przyszłość. [1])

Trzecim ziomkiem Chopina, z którym bardzo się zaprzyjaźnił w Paryżu, był Ludwik Norblin, syn „naszego polskiego Norblina“, malarza, pierwszy wiolonczelista w orkiestrze wielkiej opery paryskiej, a bardzo piękna i artystyczna dusza w każdym calu. Z Chopinem mieli to wspólnego, że pomimo swych francuskich nazwisk byli gorącymi Polakami, których nic tak nie drażniło, jak kiedy ich ktoś przez niewiadomość, a tylko sądząc z nazwiska i nienajgorszej znajomości języka francuskiego, wziął za Francuzów. Obaj byli bardzo drażliwi na tym punkcie. [2])

Zawiązawszy stosunki z paryskim światem muzycznym, wśród którego w bardzo krótkim czasie, bo jeszcze przed upływem roku 1831, zdobył sobie „znaczne imię“, [3]) starał się Chopin być dobrze i z koryfeuszami paryskiej krytyki muzycznej, a przedewszystkiem z Fétisem, który wśród nich zajmował pierwsze miejsce. Wprawdzie Chopin w duszy zaliczał go do tej samej kategoryi,

---

[1]) Al. Poliński: O Fryd. Chopinie feljetony w Kurjerze Warsz. z r. 1899 (w pięćdziesiątą rocznicę śmierci Chopina).

[2]) Między papierami Chopina znalazła się także kartka Norblina z d. 9. września 1832 r., po polsku pisana, a brzmiąca jak następuje: „Kochany Rodaku Chopin. Ta tu panna Segny z Lionu przyjechała, jeszcze nikogo tu nie słyszała i mnie jest rekomendowana. Nieboga! Zagraj jej mazurka, albo co będziesz chciał, a usłużysz tego, któren Cię pozdrawia

rodak i przyjaciel

Norblin“.

[3]) W liście z 12. grudnia 1831 pisze Chopin do Wojciechowskiego: „Pomimo wszystkiego, trzeba ci wiedzieć, że już tu mam między artystami znaczne imię“.

co Reicha i Cherubiniego. mianowicie do „zasuszonych pupek“, ale mu tego naturalnie nie dał do poznania, lecz sobie odrazu umiał zyskać jego względy. Bardzo zabawnie scharakteryzował go w liście do Wojciechowskiego. bezpośrednio po ustępie o zasuszonych pupkach: „Fétis znowu, którego znam i od którego można istotnie wiele się dowiedzieć, mieszka za miastem i tylko na lekcyach w Paryżu bywa: bo inaczej dawno siedziałby u św. Pelagii za długi. których ma więcej. niż mu jego *Revue musicale* przynosi. Trzeba wiedzieć. że prawo pozwala dłużników aresztować *à domicile:* dlatego Fétis w Paryżu w swojem *domicile* nie siedzi, tylko tam. gdzie prawo dosięgnąć nie może“.

Między niewieloma listami polecającemi. z któremi przyjechał do Paryża. miał Chopin. jak sam pisze, „kilka od edytorów z Wiednia“. Łatwo się domyśleć, że były to przedewszystkiem listy do wydawców paryskich, na których czele wtedy stał właściciel największego składu nut, oraz wydawca konkurującej z pismem Fétisa *Gazette musicale,* Maurice Schlesinger. Kiedy się jest kompozytorem. a ma się pełną tekę gotowych kompozycyi, to o wydawcę dba się prawie więcej, niż o muzyków i recenzentów. Będąc w tem położeniu właśnie. a pragnąc gorąco, żeby przywiezione manuskrypty jak najprędzej mogły być wydane i... zapłacone, Chopin nie zwłóczył z wizytą u Schlesingera, a że był dobrze przyjęty. że stosunki, jakie nawiązał z tym potentatem na rynku muzycznym, ułożyły się jak najlepiej. ba, zamieniły się w rzeczywistą przyjaźń. która leżała zarówno w interesie Chopina, jak Schlesingera. o tem świadczył chociażby ten fakt. że Schlesinger odrazu stał się głównym wydawcą kompozycyi Chopina, mającym pierwszeństwo przed innymi. Chopin bardzo sobie cenił ten stosunek. W składzie nut Schlesingera. jak niegdyś u Brzeziny, przeglądał i przegrywał nowości muzyczne, a na zebraniach tygodniowych, urządzanych przez państwa Schlesinger. na których bywał prawie cały świat artystyczno-literacki paryski. należał do stałych gości, słusznie uważany przez wszystkich. jako jedna z najświetniejszych ozdób tego muzykalnego „Salonu“. W swoich arcydowcipnych sprawozdaniach muzycznych z Paryża nazywa Heine Maur. Schlesingera „poskromicielem muzyków“, *Musikantenbeherrscher.* Bądź co bądź. była to osobistość. z którą musieli się liczyć wszyscy muzycy. nie wyłączając Chopina. Będąc muzykiem, komponując lub koncertując. a mieszkając w Paryżu. wypadało się zdecydować: czy być dobrze ze Schlesingerem, a tem samem mieć zapewnioną przychylność recenzentów z *Gazette mu-*

sicale, słowem być oddanym firmie M. Schlesinger, należeć do schlesingerowskiej koteryi, a tem samem być źle z Escudierem, wydawcą *La France musicale,* i być z góry przygotowanym na szykany w tem konkurencyjnem piśmie muzycznem; albo być dobrze z Escudierem, a tem samem mieć zapewnioną przychylność recenzentów z *La France musicale,* czyli należeć do innej koteryi, a tem samem być źle ze Schlesingerem, co za sobą pociągało w nieuniknionem następstwie, że się będzie miało przeciwko sobie *Gazette musicale.* Taką była sytuacya. Chopin od pierwszej chwili stanął pod sztandarem Schlesingera, co zresztą było roztropnem z jego strony, bo koterya schlesingerowska, do której należeli Liszt, Berlioz, Hiller, Osborne i w. i., była silniejsza.

Podobne stosunki panowały i w sferze fabrykantów fortepianów. I tu były dwie wielkie koterye, Pleyela i Erarda, z tą różnicą jednak, że tutaj konkurencya ujawniała się w mniej jaskrawy sposób. Jako zaprzyjaźniony z Kalkbrennerem, który był cichym wspólnikiem fabryki Pleyela, Chopin od samego początku związał się z tą firmą, pozostając jej wiernym do końca. Nie przeszkadzało to, że był w przyjaznych stosunkach i z domem Erarda, który znów zaakaparował dla siebie Liszta. Jak Chopin stale grał na fortepianach Pleyela, tak Liszt zawsze używał instrumentów Erarda. Z głównym właścicielem firmy Pleyel, Kamilem Pleyelem, który był nietylko fabrykantem fortepianów, ale i wcale niepoślednim kompozytorem (jak przystało na syna Ignacego Pleyela), zaprzyjaźnił się Chopin, jak mało z kim drugim. To też u państwa Pleyelów, również urządzających świetne wieczory muzykalne, Chopin rychło stał się ulubieńcem pani domu. Choć, gdzie on nie był ulubieńcem?!...

II.

Królem fortepianu, niepodzielnie panującym w dziedzinie tego instrumentu, był w roku 1831 Fryderyk Kalkbrenner, uważany za „następcę Clementiego“, nazywany także „Delillem fortepianu“. O grze jego, niesłychanie świetnej i efektownej, pełnej elegancyi, wyrażali się znawcy, jako o „najczystszej cyceroniańskiej łacinie na fortepianie“. Cokolwiekbądź, jedno nie ulegało wątpliwości, że Kalkbrenner podówczas był najsławniejszym ze wszystkich fortepianistów świata, bez współzawodnika. Jako kom-

pozytor, również zajmował pierwszorzędne stanowisko. Jedyny zarzut, jaki mu czyniono, był ten chyba, że pisał za wiele. W każdym razie miał wielką łatwość komponowania, a niektóre z jego kompozycyi, n. p. koncert fortepianowy, jeszcze dziś dadzą się słuchać. Była to muzyka w starym stylu, ale w tych czasach prawie nie znano innej muzyki.

Jako do takiego, uzbrojony w rekomendacye Paëra, udał się Chopin, wkrótce po swem zainstalowaniu się na Boulevard Poissonière, z wizytą do Kalkbrennera, ażeby mu się przedstawić. O tej swojej wizycie u sławnego pianisty, który go przyjął bardzo uprzejmie, tak pisał Chopin w jednym ze swych listów do Wojciechowskiego: „Po zaprezentowaniu, Kalkbrenner prosił mię, żeby mu coś zagrać. Rad nie rad, przystałem; a wiedząc, jak Herz gra, zdjąwszy pychę z serca, siadłem do fortepianu. Zagrałem mój Koncert E-moll, nad którym unoszono się w stolicy bawarskiej. Zadziwił się Kalkbrenner i natychmiast zadał mi pytanie, czy nie jestem uczniem Fidda? Mówił dalej, że mam styl Cramera, a uderzenie Fidda. Ucieszyło mię to w duszy, a jeszcze bardziej, gdy usiadłszy do fortepianu, Kalkbrenner, chcąc się przedemną wysadzić, omylił się i musiał zaprzestać grania. Ale też trzeba było słyszeć, jak zrobił repryzę: nic podobnie pięknego!“ Wogóle gra Kalkbrennera niesłychanie podobała się Chopinowi. Według jego najgłębszego przekonania, żaden z pianistów, których teraz poznał w Paryżu, nie wyłączając tyle sławionego Herza, nie dorastał do kolan temu prawdziwemu mistrzowi gry fortepianowej. „Wszystko to są zera przeciwko Kalkbrennerowi, — pisał w tymże liście do Wojciechowskiego. — Przyznam Ci się, że gram tak, jak Herz, lecz chciałbym tak grać, jak Kalkbrenner. Jeżeli Paganini jest perfekcyą, to Kalkbrenner stoi z nim na równi, ale oczywiście w innym zupełnie rodzaju. Trudno ci opisać jego *calme*, jego dotknięcie czarujące, równość niesłychaną i to mistrzowstwo malujące się w każdej jego nucie. Jest to olbrzym, depczący wszystkich pianistów, a tem samem i mnie. Cóż się dziwić?“ Swoją drogą „olbrzym“, na ogół dość nieprzystępny i nie skłonny do poufalenia się z byle kim, dla Chopina od pierwszego dnia okazał się wyjątkowo łaskawym i uprzejmym, tak dalece nawet, że nie tylko sobie postąpił z wprost uprzedzającą grzecznością wobec niego, ale mu odrazu dał dowody przychylności, która szybko zasypała przepaść między wszechświatowej sławy „królem fortepianu“ a młodym nieznanym cudzoziemcem. Ale taki to już jest wpływ geniuszu: nawet takiego „olbrzyma“,

jak Kalkbrennera, podbił sobie odrazu. Po tej pierwszej wizycie, Kalkbrenner zaraz rewizytował Chopina, i odtąd widywali się codzień. Poprostu przylgnęli do siebie. Dom Kalkbrennera, pysznie urządzony, z wspaniałą galeryą obrazów, stanął otworem dla Chopina: i sam „olbrzym", i jego żona, i córki, wszyscy dlań byli z niesłychaną serdecznością. Zapraszano go na obiady *tout à fait en famille*, a żeby mu się nie wydawało, że bywa za często, sam Kalkbrenner, taki dumny i nie skory do poufalenia się z innymi artystami, co parę dni przychodził do niego, nie zrażając się ani czwartem piętrem, ani niepokaźnością jego kawalerskiej stancyjki. Przyjaciele Chopina, którym opowiadał o tej swojej zażyłości z wielkim Kalkbrennerem, nie mogli wyjść z podziwienia, podejrzewali, że to nie może być szczere ze strony Kalkbrennera itp. Tymczasem Chopin, nie podzielając ich zdania, codzień widywał się z wielkim fortepianistą, muzykowali razem, aż wreszcie Chopin zwierzył mu się któregoś dnia, że całkiem na seryo myśli o karyerze pianisty, że jako taki przedewszystkiem pragnie występować, a dopiero następnie, już zdobywszy sobie renomę, jako pianista, a tem samem zdobywszy sobie niezależność, poświęcić się kompozycyi, nie tylko na sam fortepian, ale i w zakresie operowym. Co go skłaniało do powzięcia takiej decyzyi, o tem w podobny sposób mniej więcej, jak to pewno uzasadniał Kalkbrennerowi, pisał w liście do Elsnera. Oto jego argumentacya: „Roku 1830, lubom widział, ile mi nie dostaje i jak mi daleko, gdybym chciał się za którymkolwiek Pańskim wzorem pokusić, śmiałem jednakże sobie pomyśleć: zbliżę się choć trochę do niego i jeżeli nie Łokietek, może jaki Laskonogi wyjdzie z mojej mózgownicy. Ale dziś, widząc tego rodzaju wielkie nadzieje zniweczone, przymuszony jestem myśleć o torowaniu sobie drogi w świecie, jako p i a n i s t a, odkładając tylko na niejakiś czas w y ż s z e w i d o k i a r t y s t y c z n e, jakie mi Pan słusznie w liście swoim przedstawiasz. Aby być k o m p o z y t o r e m w i e l k i m, trzeba ogromnego doświadczenia, które, jak mię Pan uczyłeś, nabywa się nie tylko słyszeniem obcych, ale więcej jeszcze słyszeniem prac własnych. Kilkunastu zdatnej młodzieży, uczniów Konserwatoryum Paryskiego, z założonemi rękami czekają wystawienia oper, symfonii, kantat swoich, które tylko Cherubini i Lessueur na papierze widzieli (nie mówię ja tu o małych teatrzykach, do których także trudno się dochrapać, a dochrapawszy się n. p. jak Tomasz [1]) na Leopold-

[1]) Nidecki.

stadt, mimo czasem wielkich zalet, żadnego znaczenia artystycznego się nie nabywa). Meyerbeer, od 10-ciu lat jako kompozytor oper chlubnie znany, trzy lata pracował, płacił i siedział w Paryżu, nim przecie (kiedy już za dużo Aubera było) przyszedł do wystawienia furorę paryską robiącego dzieła Robert le Diable. Podług mnie, co się tycze objawienia się w świecie muzykalnym, szczęśliwy ten, co może być kompozytorem i aktorem razem. Znają mnie już, jako pianistę, gdzieniegdzie w Niemczech; niektóre muzykalne gazety wspomniały o moich koncertach, czyniąc nadzieję, że wkrótce mnie zobaczą zajmującego miejsce między pierwszymi mojego instrumentu wirtuozami (co znaczy: disce puer faciam te mościpanie)“. Kiedy Chopin o tych swoich zamiarach powiedział Kalkbrennerowi, powiedział mu tenże, że gdyby trzy lata popracował pod jego kierunkiem, to on zeń zrobi pierwszorzędnego pianistę. Usłyszawszy to Chopin, zdziwił się trochę, uważał bowiem, że trzy lata to zbyt długi termin. Odpowiedział więc, że wie doskonale, ile mu brak do doskonałości. To dało asumpt Kalkbrennerowi, że mu wytłumaczył, jakie braki dostrzega w jego grze, i co potrzeba zrobić, żeby się ich pozbyć. Z rozmowy tej, która mu wiele dała do myślenia, zdał sprawę Chopin w liście do Wojciechowskiego. Oto jego dosłowna relacya: „Od tego czasu (t. j. od owej pierwszej wizyty u Kalkbrennera) codziennie widujemy się, albo on u mnie, albo ja u niego, a poznawszy mię dobrze, zrobił propozycyę, ażeby trzy lata u niego się uczyć, a uczyni ze mnie coś bardzo, bardzo znakomitego. Powiedziałem mu, że wiem, ile mi nie dostaje (lecz ja go nie chcę naśladować i trzy lata za dużo). Tymczasem przekonał mię, że mogę dobrze grać, kiedym natchniony, a źle kiedy nie, co jemu się nigdy nie zdarza. Przypatrzywszy mi się bliżej, powiedział, że nie mam szkoły, że jestem na ślicznej drodze, ale się zderutować mogę; że po jego śmierci, albo jak on grać przestanie, nie będzie reprezentanta wielkiej fortepianowej szkoły: że nie mogę, choćbym chciał, budować nowej szkoły, nie mając starej, słowem, że jestem tylko machiną, a tem samem krępuję bieg myśli moich muzycznych; że mam pewne odrębne piętno w kompozycyi, i szkoda by było, żebym nie został tem, czem być obiecuję, i t. d. i t. d.“

Bezpośrednio po tej rozmowie z Kalkbrennerem, przekonany jego argumentami, choć nie mógł pogodzić się z myślą o tych trzech latach nauki, a sam nie chcąc decydować w tak ważnej sprawie, napisał Chopin list do rodziców, w którym wyłuszczywszy wszystko, jak było, co mu powiedział Kalkbrenner, pytał

o radę, o ich zdanie, a także i o zdanie Elsnera, który najlepiej będzie umiał zadecydować, jak należy postąpić, co zrobić z propozycyą Kalkbrennera, jak na nią reagować? Nie omieszkał dodać, że Kalkbrenner jest człowiekiem „niepospolitym“ pod każdym względem, pełnym „wyższości moralnej“, że mu okazał niezmiernie wiele serdeczności i chęci zaopiekowania się, że mu się sam ofiarował ze swą opieką, że z nim postępuje, nie jak człowiek bogaty i sławny, nie jak król fortepianu, nie jak pierwszy pianista na świecie, nie jak „olbrzym, depczący wszystkich pianistów“, ale poprostu, „jak ojciec, jak brat“, jak najczulszy „opiekun“. Dlatego nie należało wątpić o jego jak najzacniejszych intencyach, podyktowanych jedynie wyjątkową życzliwością dla niego... Że Kalkbrennerem w tym razie nie powoduje żaden interes, tego można być pewnym. Kalkbrenner wcale go nie myśli krepować, daje mu swoją salę koncertową na cały rok, a w ciągu tego roku jeszcze cztery miesiące na podróże. Samo się przez się rozumie, że go się podejmuje uczyć bezinteresownie, za darmo, jedynie z przyjaźni. Wogóle cały list był pełen uwielbienia dla Kalkbrennera. Wprawdzie nie we wszystkiem przyznawał racyę „mistrzowi“: nie zgadzał się z nim n. p. gdy mu z partyci Koncertu wykreślił jeden pasaż; ale to jest rzecz osobistego zapatrywania. Ostateczna konkluzya, do jakiej Chopin doszedł w tym liście, była ta, że jeśli chodzi o jego zdanie, to on nie ma nic przeciwko braniu lekcyi od Kalkbrennera. Z takiej okazyi należy korzystać. Nikt jeszcze nie wyszedł źle na tem, że się uczył. Nigdy się nie umie za wiele, więc trzeba się uczyć, o ile możności jak najwięcej. To jest jego zdanie. Ale chciałby wiedzieć, co oni myślą o tem? Jak oni zapatrują się na tę sprawę? Co o niej myśli Elsner? Dlatego, nim powéźmie jakąkolwiek decyzyę, nim da stanowczą odpowiedź Kalkbrennerowi, chciałby mieć list od swoich, a w tym liście, żeby mu napisali: tak albo nie. Przyznawał, że tak bardziej dlań było upragnionem. Pozatem, cały list, był wesoły, zawierał w sobie „wiele facecyi i nowinek“, słowem, świadczył o nienajgorszym humorze, owszem, był pełen humoru.

List ten, przyszedłszy do Warszawy, odczytany w rodzinie Fryderyka, a niezwłocznie zakomunikowany i Elsnerowi, wywołał zdziwienie, graniczące z oburzeniem. Wszyscy byli przekonani, i Mikołaj Chopin, i siostry Fryderyka, i Elsner, a pewno i Żywny, że tu w grę wchodzi zwykła zazdrość, *jalousie du metier*, że Kalkbrenner, poznawszy się na geniuszu Fryderyka, chce zabić jego oryginalność, chce go podciągnąć pod ogólny strychulec,

a w najlepszym razie zrobić swoim uczniem, żeby nim chwalić się później, żeby jego sławę ściągnąć na siebie, etc. Ani na chwilę nie chciano przypuszczać, że Kalkbrenner mógł być bezinteresownym wobec Fryderyka, a mógł powodować się jedynie życzliwością względem niego, że mu istotnie mogło zależeć na tem, by Chopin przez sumienną pracę pozbył się swoich niektórych niepoprawności, n. p. w palcowaniu. W tem przekonaniu zdecydowano się napisać do Fryderyka, odradzając mu, ażeby nie słuchał przewrotnych rad Kalkbrennera, który tylko czyha na jego, jeżeli nie zgubę, to przynajmniej oryginalność. W tym duchu poszły aż cztery listy do Chopina, ojca, dwóch sióstr i Elsnera, wszystkie pisane tego samego dnia 27. listopada 1831 roku.

Pierwszym był list Mikołaja Chopina, który brzmiał, jak następuje:

Drogie moje dziecko! [1])

Z przyjemnością spostrzegłem z treści ostatniego Twego listu, że pobyt w Paryżu będzie dla Ciebie korzystniejszy, niż w Wiedniu, i to niewątpliwie pod wielu względami, gdyż jestem przekonany, że skorzystasz z wielkiej sposobności udoskonalenia się w sztuce, której się oddałeś. Poznanie sławnych artystów, rozmowy z nimi, wykonywanie ich utworów przez nich samych, oraz ich doświadczenie, mogą przynieść wielką korzyść młodemu człowiekowi, który się stara utorować sobie drogę. Przyjaźń, którą Ci okazał p. Kalkbrenner, pochlebna jest dla Ciebie i, jako ojciec, jestem mu za nią jak można najbardziej obowiązany. Ale, mój drogi, nie pojmuję, jak wobec Twych zdolności, które, jak mówi, zauważył, sądzi, że jeszcze trzech lat potrzeba, ażeby pod jego okiem zrobić z Ciebie artystę i nadać Ci szkołę. Nie jestem w stanie zrozumieć tego ostatniego wyrazu, chociaż pytałem o znaczenie onego prawdziwego Twego przyjaciela, Elsnera, i do listu jego Cię odsyłam. Wiesz, że czyniłem wszystko, co odemnie zależało, ażeby popierać Twe

---

[1]) Jak wszystkie listy Mikołaja Chopina do Fryderyka, tak i ten w oryginale pisany jest po francusku. Tutaj cytuję go w polskim przekładzie Mieczysława Karłowicza, którego cenne Pamiątki po Chopinie są pierwszorzędnem źródłem do biografii twórcy Nokturnów.

zdolności i talent Twój rozwijać, że w niczem Ci się nie sprzeciwiałem; wiesz także, że technika gry mało Ci czasu zabierała i że umysł Twój więcej pracował, niż palce. Jeżeli inni całe dnie spędzali nad fortepianem, Tobie rzadko kiedy godzina zeszła na wykonywaniu cudzych utworów. Zważywszy to wszystko, ów termin trzyletni przechodzi moje pojęcie. Nie chcę Ci się jednak w niczem sprzeciwiać, to tylko powiem, że dogodziłbyś mi, gdybyś z powzięciem postanowienia zaczekał, aż dopóki dobrze się nie zastanowisz, nie nasłuchasz i nie namyślisz. Dopiero co przybyłeś, sam mówisz, że nie możesz jeszcze podnieść głowy i pokazać się takim, jakim się czujesz: zaczekaj więc jeszcze, talent może zaraz od pierwszej chwili zwrócić na siebie uwagę znawców, lecz mogą oni nie dojrzeć na razie jego wysokości, daj im przeto czas lepiej Cię poznać i nie zobowiązuj się do czegoś, coby pochód Twój tylko opóźniło.

Po ojcu zabrała głos młodsza siostra Fryderyka, Izabella. Oto ustęp z jej długiego listu, dotyczący Kalkbrennera:

Mój drogi Fryciu, nie uwierzysz, jak mocne wrażenie na nas list Twój uczynił. Obiedwie z Ludwiką spać nie mogłyśmy z radości. Ale to nasze wyobrażenie silne tego nas nabawiło. Każdy wyraz odczytując kilkakrotnie, zdawałyśmy się widzieć w Twoim opiekunie, który Ci opiekę ofiarował, człowieka niepospolitego; cieszyłyśmy się, że w jego dostaniesz się ręce, ale każda pozorna radość, nieugruntowana na fundamentach, których nic wzruszyć nie zdoła, musi się zwalić; i tak nasza minęła. Te wyrazy: Bratem i ojcem, wyższość moralna, tak mię zajęły, że wyobrazić sobie nie zdołasz. Wystawiłam sobie tego człowieka ojcem Twoim, nie takim, jak Papa, ale takim, który, dając Ci rady, kierowałby przyszłym losem Twoim: widziałam, a raczej rozumiałam, że będzie bratem, będąc na jednym stopniu wykształcenia. Lecz te złudzenia, jakkolwiek mię cieszyły, pozostawiały zawsze wątpliwość, jaką te nieszczęsne trzy lata nasuwały. Taki talent, jak Twój, aby poznać i ocenić, trzeba być wiele wyższym; o różnicy piszesz i ja jej wierzę, ale nie wątpię, że bez trzech lat ją zmazaćbyś potrafił. Lecz co piszę, to nie są żadne przestrogi, bo ja ich nigdy Tobie dawać nie chcę, ale chciałam Ci donieść, jaki wpływ Twój list miał na umysłach naszych.

Najobszerniej wypadł list starszej siostry, Ludwiki, tej, o której wiedziano w domu, że ma największy wpływ na Fryderyka, że jej zdanie najwięcej waży w jego postanowieniach. Ona też, jako literatka potroszę, a więc mająca największą łatwość wypisania się, skreśliła szczegółową relacyę o wszystkiem, co nastąpiło od chwili otrzymania listu Fryderyka, aż do chwili, kiedy po naradach rodzinnych, popartych opinią Elsnera, zasiadła do pisania swego długiego listu, który brzmiał, jak następuje:

Najdroższy Fryciu! Pojmuję bardzo, że dzisiejszy list zrobi Ci niejaką przykrość z powodu odmiennego po części zdania od Twojego, i żal mi Ciebie, że będziesz miał może cokolwiek ambarasu z tego powodu. W chwili, jakeśmy Twój list odebrali, tak nas ucieszył Kalkbrenner, tak byliśmy zadowoleni, że chociaż już było po godzinie dziewiątej, jak się skończyła lektura, coprędzej zabrałam się do pisania i z uniesieniem donosiłam Ci, że nikt z nas nie jest temu przeciwny, że jednozgodnie posyłamy Ci to upragnione *tak* i dziwiłam się nawet, że możesz myśleć, iż Ci się przeciwnie odpisze. Kalkbrenner mnie zachwycił: widziałam w nim już przez imaginacyę człowieka takiego, jakimi, daj Boże, żeby wszyscy byli; widziałam szlachetność, wyższość moralną, słowem byłabym mu (gdyby o mnie szło) cyrograf na siebie napisała, a nawet na Ciebie: Ciebie, mój drogi, nie wahałam się nawet, żeby oddać w ręce. Lecz nazajutrz poszliśmy do poczciwego Elsnera, który nie tylko, że Cię kocha, ale może więcej, jak ktokolwiek, sławy Twojej pragnie i gruntownej wiadomości etc. (może się niedorzecznie wysłowiłam, ale mi to daruj, mój drogi). On tedy po wysłuchaniu listu nie był kontent tak, jak my z propozycyi, krzyknął: „już zazdrość, trzy lata“, kiwał głową, chociaż ja mu gadałam, zdziwiona, że tak zrazu przeciwnego prawie był zdania i wystawiałam zalety Kalkbrennera i zamiłowanie jego do sztuki i kilkakrotnie odczytywałam te wyrazy, że jego żaden interes do tego nie powoduje etc. Nic to wszystko nie pomogło. Krzywił się Elsner i powiedział, że sam do Ciebie napisze z dodatkiem: Fryderyka znam, on dobry, nie ma miłości własnej, małą chęć postępu; łatwo go opanują. Ja napiszę mu, jak ja to rozumiem. Istotnie dziś rano przyniósł list, który Ci posyłam i jeszcze więcej o tem z nami gadał. My, sądząc w prostocie serca o ludziach, nie myślałyśmy, żeby Kalkbrenner był czem innem, jak

najgodniejszym człowiekiem. Elsner zaś niezupełnie tak utrzymuje. I tak dziś gadał: poznali w Fryderyku geniusz i już ich korci, żeby wyższym nad nich nie był, więc trzy lata czasu chcą go w swoim trzymać ręku, aby cokolwiek wstrzymać to, coby sama natura popełnęła. Pani Szymańska o Kalkbrennerze śmiała powiedzieć, que c'est un filout, więc to jest jakaś spekulacya na Fryderyka, mniejsza, żeby ta tylko, żeby go nazwał elewem swoim, ale tam jest taka, która pomimo zamiłowania sztuki krępowanie Twojej genialności ma na celu. Elsner powiada, że on nie rozumie, co to za szkoły on wymaga, a potem dodaje: jeżeli on ma tę szkołę sam, więc bez zapisywania się na trzy lata, jeżeli to się egzekucyi tyczy, Ty to sam pojąć potrafisz i przejąć, jeżeli Ci się podoba. Bo Elsner nie chce, żebyś Ty naśladował i dobrze się wyrażał: wszelkie naśladowanie nie jest to, co oryginalność: skoro będziesz naśladował, nie będziesz oryginalnym, a chociaż młodszy jesteś, Twoje pomysły mogą być lepsze, jak już doświadczonych; masz geniusz wrodzony i Twoje utwory świeższe i lepsze: masz grę Fielda, chociażeś słyszał Żywnego, cóż to dowodzi? A potem p. Elsner nie chce Cię widzieć tylko koncercistą i kompozytorem fortepianowym i egzekutorem sławnym, bo to łatwiejsze i mniej znaczy, jak opery pisać, ale chce Cię widzieć tem, do czego Cię pcha natura i do czego Cię usposobiła. Ty masz przeznaczone miejsce między Rossinim, Mozartem i t. d. Twój geniusz nie ma osiąść na fortepianie i koncertach. Ty z oper masz się unieśmiertelnić. Powiada, że tak ukształcony, jak jesteś, w czem wyżej od wszystkich może w Twoim wieku kiedyś będących, a dziś sławnych autorów, z takim geniuszem powinieneś dążyć tam, gdzie Cię geniusz popędzi, a nie za nikim postępować. Z początku (podobno jak mówił) śmiano się z Mozarta, nie chciano grać jego kompozycyi, tylko poprzedników, a później dopiero ocenili. Wszystko postępuje, nowy geniusz nie może być tem, co stary. Uważaj dobrze, co Ci Elsner pisze, czytaj z uwagą: zdaje się, że ma racyę. On utrzymuje, że to są wszystko frazy, które eblouisują i pomimo szczerości są nieszczere, (Boże, czemuż tacy ludzie się znajdują!) Ty czujesz sam, co dobre, bo słysząc tyle osób grających, umiałeś jednak ocenić wartość każdego: to samo, żeś ocenić umiał, dowodzi wyższość Twoją. Elsner utrzymuje, że tam wielkiej miłości nie ma do sztuki, tylko do siebie i kieszeni: bardzo się to zdaje daleka kalkulacya, ale tak się tłumaczy: czemuż nie chciał Liszt przy-

jąć propozycyi, kiedy taka dobra, Liszt, tak od Ciebie daleki? Czemu sobie innego jakiego nie wynalazł z talentem, któregoby miałby ambicyę postawić na tym stopniu, kiedy się to li egzekucyi tyczy. Ofiaruje Ci salę koncertową swoją, a przez cztery miesiące możesz wojażować, bo wtenczas on koncertów dawać nie będzie, bo to nie pora. Ty niby do tego nie należałbyś, ale sama complaisance kazałaby Ci wywiązać się grzecznością; byłbyś zawsze podrzędnym, wtedy kiedybyś mógł być wyżej od niego i wielu. Powiada także: a gdyby Reicha, (z którym dziwi się, żeś się jeszcze nie poznał), także przejęty Twojem dobrem co się tyczy kompozycyi, równie ambicyonował i znów Cię chciał na trzy lata zapisać? Rozgniewała go okropnie ta, jak nazwał, śmiałość i arogancya: podanie ołówka do wykreślenia pasażu, przejrzawszy tylko partycyę, nie słysząc nigdy koncertu w całym efekcie z orkiestrą. Powiada, że gdyby Ci był podał radę, abyś drugi pisząc starał się zrobić krótsze allegro, to co innego; ale z już napisanego kazać wykreślać, tego darować nie może. Porównał to do już wybudowanego domu i kiedy cały skończony stoi, komuś się zdaje, że filar jeden za wiele i przemieniać chcą rzecz, wyjmując go, czyli raczej niszcząc to, co się dobrem nie zdaje. Elsner utrzymuje, że już ten krok jest krokiem do zdegustowania Cię i z daleka dania Ci uczuć, żeś jeszcze niedoskonały. Zaraz dodał: a Kalkbrennera koncerta nie długie? chociaż nie tak zachwycające. Z kimże Cię porównywał? Dawał na przykład Hertza, Liszta, Sowińskiego. Zdaje się, że słusznie Elsner utrzymuje, że aby być wyższym, trzeba nie tylko przejść nauczyciela, ale swoich współczesnych. Można ich naśladować i przejść ich, ale wówczas to będzie postępowanie za nimi, a on koniecznie utrzymuje, że Ty dziś czując, co dobre i lepsze, sam sobie drogę torować powinieneś; Twój geniusz będzie Cię prowadził. Jeszcze co dodał: Fryderyk ma tę oryginalność i ten rytm, czy jak tam, z ziemi rodzinnej, który go tem oryginalniejszym przy wzniosłych myślach czyni i charakteryzuje; chciałby, żeby Ci to zostało. W operach dopiero się to lepiej da uczuć, każdy pozna, kto jesteś, co niemało zrobi Ci zwolenników; szczególniej teraz, kiedy masz tam tyle swoich, więcej niż ktokolwiek możesz zrobić wrażenia muzyką Twoją. Elsner Ci radzi, że jeżeliby kto napisał jaką sztuczkę z czasów, cośmy się nie widzieli, żebyś się zajął pomału robieniem muzyki; żebyś nie odrzucił, jeżeli Ci zaproponuje kto. Elsner pragnie, żebyś był wielbiony z koncertów, ale powiada,

że to nie Twój punkt ostateczny, bo Ty masz geniusz. Opery Twoje, nie tylko fortepianowa muzyka, mają Cię zrobić pierwszym. O mój drogi Fryciu! biednyś Ty, albowiem przewiduję, że będziesz miał wiele nieprzyjemnośai, jak się zdecydujesz odmówić. Pan Elsner jednak powiada, że zapewne jeszcze napiszesz nam odpowiedź wprzódy. Kalkbrenner czy nie zmniejszył czasu i co to on rozumie przez to piętno europejskiego artysty, tę szkołę, której p. Elsner nie rozumie; bo jeżeli egzekucya, to ją prędzej, jak w trzy lata zrozumiesz i do swej metody zastosujesz. Mój drogi Fryciu, my nie rozumiejąc rzeczy ani tak, ani tak Ci nie radzimy, posyłamy Ci uwagi: nie śpiesz się z odpowiedzią, możesz jeszcze napisać, co myślisz, co Kalkbrenner na list Elsnera powie, (bo on powiada, że go możesz jemu pokazać). Elsner da Ci radę przyjacielską, bo tu idzie o to, aby Ci tamy w biegu Twoim nie położono. Elsner powiada, że gdyby innym sposobem była ta propozycya zrobiona, nie tak prędkoby się na niej było można poznać, ale tak widać łapkę. Nie uwierzysz, jak mnie to boli. Miał racyę ten ktoś od dróg, co to był kiedyś u Ciebie, jakeś wystawiał zazdrość, której będziesz powodem, przyjechawszy do Paryża. Nieprzystanie, lubo w najgrzeczniejszy oddane sposób, zawsze nie będzie miłe i boję się złości: a przystać i lepiej drugim, jak sobie zrobić, jeszcze w takim względzie, to okropnie. Prawda, niema jak się uczyć: tego samego, co i Ty jesteśmy zdania: człowiek nigdy dość nie umie. Uczyć się pod okiem kogoś, co pragnie naszego postępu, ale tu nie każdemu się zdaje, że pragnie Twego postępu. Bo to wszystko fraszki, żeby to odrzucać dla tego, żeby się nie nazywać elewem, żeby się niby wstydzić uczyć; zostawmy głupcom tę źle zrozumianą miłość własną i wstyd. Ani Ty, ani my nie widzimy w nauce retrogradacyi, ale tu w tym przypadku obawia się Elsner, żeby te 3 lata, w którychbyś ogromny mógł zrobić postęp, nie były tamą onego. Nic Ci, mój drogi, nie radzę; niech Tobą instynkt powoduje, sam najlepiej rzecz rozumiesz. Elsner sądzi, że po odczytaniu jego listu może trochę zmienisz Twoje zdanie i chęć. Co się tyczy lat trzech tam pobytu, to nas nie powoduje bynajmniej, żeby Ci zaraz nie napisać *tak*, bośmy i tak przygotowani na to, że Cię prędzej nie zobaczymy. I gdybyś miał się fatygować aż do nas z wizytą, nie chcąc, żebyś tak niemiłej dyliżansowej drogi doznawał, gotowibyśmy na wpół drogi do Ciebie pojechać, aby Cię uściskać. Boże, daj Ci tylko zdrowie i żeby tak szczęśliwe były okoli-

czności, żebyś miał wszystkich przychylnych Tobie. Czemuż ja z Tobą być nie mogę! Nie na wiele cobym się przydała, ale czasem możebym i nie zawadziła.

Berend znalazł, że Twój biust podobniejszy, niż portret, i Barciński, który onegdaj przyjechał, toż samo. P. Hoge, który go przywiózł, ucieszył nas, dając o Tobie zapewnienie, jakeśmy się pytali, co tam robisz, czyś zdrów: „Ej zdrów i Państwo mogą być spokojni, bo on się potrafi znaleść“. Dobryś, myślę sobie, albo to jeden na świecie taki dobry. Widzę, żeś w lepszym humorze, ale obawiam się, żeby ten ambaras nie popsuł Ci go znowu, lub zdaje mi się na krótko: bo kiedyś tyle dobrych znalazł znajomych, rozweselić Cię potrafią, lubo ludzie nie zawsze rozweselić mogą; czasem by się chciało być od nich daleko... Bądź zdrów, mój drogi Fryciu! Rób tak, żebyś był kontent, i teraz i potem.

F. Hoesick.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z młodości Bony Sforzy.

Dzień 26. stycznia 1493 r. dał rodzinie Sforzów, w Medyolanie rzadką sposobność złożenia wspólnych familijnych powinszowań. W wigilię tegoż dnia urodził się Ludwikowi Maryi Sforzy, przezwanemu *il Moro*, z żony Beatryczy d'Este, syn Maksymilian, a Janowi Galeazzowi Sforzy, jego bratankowi, panu Medyolanu, z Izabelli Aragońskiej, urodziła się nazajutrz — córeczka Bona Marya. Młody Jan Galeazzo miał wtedy rok dwudziesty piąty, a jego żona, hiszpanka z Neapolu, dwudziesty trzeci. Byli pobrani od lat czterech: on przystojny blondyn, nie bardzo silnego zdrowia i niezbyt wyrobiony umysłowo, ona, jego bliska kuzynka, rodząca się z Sforzównej, także blondynka, pełna życia i hiszpańskiej ambicyi. Natomiast Ludwika il Moro, wystawiać sobie musimy, jako typowego potomka kondotyerów, dzielnych, śmiałych, wielkiej energii, nie pozbawionej awanturniczości i — bezwzględnych, o głowach silnych i postawie imponującej. Pomimo, że stosunki pomiędzy opiekunem a bratankiem nie były serdeczne, nie można było pominąć wspólnych powinszowań, jakie były w użyciu, owszem nawet położenie było tego rodzaju, że młody Jan Galeazzo Sforza starać się musiał o względy i przychylność stryja.

Bona była trzeciem dzieckiem młodej pary, mieszkającej w medyolańskim Castelsforzesco. Pierwsza urodziła się Hipolita (14. lutego 1490 r.), potem przyszedł na świat syn Franciszek (30. stycznia 1491 r.), wreszcie Bonita, która po babce swojej, Bonie Sabaudzkiej, imię chrzestne otrzymała.

W lunetach jednej z sal odrestaurowanego niedawno zamku Sforzów w Medyolanie, znajdują się freski, przeniesione tam z starego pałacu Cigala, przedstawiające osoby z rodziny Sforzów, pędzla Bernardyna Luiniego, ucznia Leonarda da Vinci, a pomiędzy nimi są także popiersia Jana Galeazza i jego żony Izabelli. Jasnowłosy młody pan Medyolanu, oddanym jest w wysokiej okrągłej czerwonej czapce książęcej, obłożonej futrem gronostajowem, a jego żona, stosownie do zwyczaju z końca piętnastego wieku, tak jak Lukrecya Crinelli Leonarda da Vinci, lub Bianka Sforza na obrazie Ambrożego de Predis, nosi w włosach przepaskę, z klejnocikiem zwieszającym się na czole. Twarz jej nie jest pozbawioną energii.[1]) W samej rzeczy, neapolitańskie aragonki miały dużo temperamentu, przedsiębiorczości, która je stawiała wyżej od przeciętnych księżniczek ówczesnych, po większej części biernych charakterem, jak np. Lukrecya Borgia lub Bianka Sforza, gdy tymczasem Beatrycze Aragońska na Węgrzech, Bona Sforza w Polsce i jej matka w całem swojem życiu wykazują sporo energii, podniecconej przez hiszpańską dumę. Oboje odtworzeni są w pełnym rozkwicie młodości, zanim on zapadł w chorobę, jak utrzymywano wtedy, spowodowaną trucizną, zadaną mu przez stryja, ona jeszcze pogodna, zanim została wdową i doznała rozczarowań i prześladowań losu.

W uczuciu więc radości z urodzin córeczki, *una puta,* jak mówi Gian Galeazzo, donosi opiekunowi swemu:

„Będąc Wielmożność Wasza, dla pokrewieństwa, danego nam przez przyrodę, stryjem (barba) i przez szczególne przywiązanie, jakiem się odznacza, ojcem naszym, zdało się nam, iż jest naszym obowiązkiem i powinnością nie zaniedbać zawiadomienia go obecnym listem, dodając do nadzwyczajnego szczęścia, jakiem napełniło nas urodzenie się syna, Wielmożności Waszej, stryjowi i ojcu naszemu, także i to, jakie się nam nadarzyło. Dzisiaj więc z pomocą Bożą, nasza J. Wielmożna małżonka urodziła córeczkę, która to rzecz szczególną napełniła nas pociechą i radością, z jaką mianowicie zwykli są witać książęta dzieci swoje, z powodu rozradzania się tym sposobem krwi i domu naszego: radość ta podwoiła się jeszcze przez szczęśliwy poród Jaśnie Wielmożnej Naszej małżonki... itd."

W Medyolanie, 26. stycznia 1493.

(Arch. di Stato, Medyolan).

---

[1]) W Bibliotece Ambrozyańskiej w Medyolanie jest inny portret Izabelli Aragońskiej, pędzla A. Bolbraffio.

Urzędowa forma tegoż listu nie dozwala zapewne odgadywać uczuć, jakie mu towarzyszyły. Położenie stało się przykrem, fałszywem. Kiedy Jan Galeazzo żenił się w r. 1489 *per procura*, tj. przez wysłanie do Neapolu Hermesa Sforzy, brata swego, z Izabellą Aragońską, poczem odbyły się uroczystości ślubne w Medyolanie, kiedy to jednocześnie Alfons książę d'Este zaślubiał Annę Sforza, spodziewano się, że Ludwik il Moro złoży regencyę Medyolanu, powierzoną mu przez Bonę Sabaudzką w roku 1479 i odda rządy księstwa swemu bratankowi. Leonardo da Vinci zajmował się naonczas urządzaniem festynów dla obu par nowożeńców. Ludwik Moro nie spieszył się jednak wcale ze zdaniem władzy, skutkiem czego Izabella widziała się zmuszoną wezwać dziadka swego, Ferdynanda, króla neapolitańskiego i ojca swego Alfonsa, aby go skłonili do oddania księstwa bratankowi.

Ów domowy zatarg sprowadził nieszczęście nie tylko na Izabellę, ale i na Neapol i na całe Włochy, bo Ludwik Sforza przywołał Karola VIII., króla francuskiego, pokazując mu łatwą zdobycz, zagarnięcie królestwa neapolitańskiego. Jego ofiarą stała się także bratowa, Bona Sabaudzka, ta, której Godzinki (książka do modlitwy), ozdobione wspaniałemi miniaturami, niegdyś własność Bianki Sforzy, potem Karola V., znajdują się dziś w Muzeum Brytańskiem. Skarżyła się nań w listach przed córką Bianką, naówczas cesarzową, i następnie schroniła się do Francyi, zkąd wróciła do Piemontu, aby umrzeć w zamku Fassano, w r. 1503. [1])

Nie da się zaprzeczyć, że Ludwik Sforza il Moro, czuł się panem położenia. O jego imponującej postaci daje nam wyobrażenie wspaniały nagrobek u Kartuzów w Pawii, dłuta Krzysztofa Solarego. Książę o silnej inteligentnej głowie leży na nim, obok żony Beatryczy d'Este. Równie wymownym jest portret jego — pędzla Bolbraffio (?), w prywatnym zbiorze markiza Trivulzio w Medyolanie. Na pięknej, wyrazistej twarzy maluje się wiele energii, stanowczości i pewności siebie.

Dążąc do zostania rzeczywistym panem Medyolanu, byłby oddał bratankowi i jego żonie w zamian księstwo Bari i Rottano, jakie na prawie feudalnem, jako lennik, otrzymał od króla Neapolu. Zażegnanie tego ciągłego niebezpieczeństwa, grożącego od

[1]) W Britisch Museum znajduje się także, drukowany na pargaminie „Żywot Franciszka Sforzy" z r. 1490, a w Bibliothèque Nationale w Paryżu „Sforziada", (druk z r. 1490).

stryja, było trudnem i niebezpiecznem, wypadało więc głaskać tygrysa. Nawet nie tylko Moro, ale i Beatrycze d'Este stawała się hardą, wyśmiewała Izabellę i żądała pierwszego kroku przed nią... Wszystko to, razem wziąwszy, oddziaływało na ludność księstwa, korzącą się zawsze przed silniejszym.

W dzień urodzin Bony wysłany został z Castelsforzesco list z zawiadomieniem (i to pilny!) do wikaryuszów niedokończonej jeszcze wtedy katedry medyolańskiej, (Arch. civico. Lettere ducali. Vol. II. str. 214), z wezwaniem, aby odprawili przez trzy dni nabożeństwo dziękczynne i suplikacye, tak, jak dotąd było w zwyczaju. Na liście podpisanym jest Bartłomiej Calco, pierwszy sekretarz księcia.

Obaj też, Moro i Jan Sforza, udzielają w kilka dni później amnestyę przestępcom, z powodu urodzin dzieci.

W podobnych razach wysyłano także zawiadomienia do innych książąt włoskich, do zaprzyjaźnionych dworów, gdzie zwykle uwierzytelnionymi byli agenci. Więc otrzymał je Piotr Medyceusz, pan Florencyi, przez Stefana Castiglioni i wyraził osobliwe swoje zadowolenie, otrzymał je Jan Bentivoglio, pan Bolonii (pod zwierzchnictwem papieża), listem Izabelli, która dzieląc się radością i odwołując się do przyjaźni, donosi mu: *„hogi è nata una puta, la quale cosa ad noi è stata di gran piacere“* [1]) i takie zawiadomienie wysłano niewątpliwie do papieża, Aleksandra VI. Borgii, do Ferrary, Mantui i Neapolu.

Dziewczynce dano za guwernantkę Zuzannę Pietrasanta.

Na wiosnę Izabella jedzie z mężem, bez dzieci, do pobliskiego Vigevano, gdzie był zamek Sforzów i do Pawii, gdzie była wspaniała rezydencya, zapewne dla zmiany powietrza i dla zdrowia księcia. Ztamtąd ósmego maja dziękuje Ludwikowi, iż odwiedzał jej dzieci. Bo Moro poszedł był zobaczyć małą dziewczynkę, pisał, że jest pewną życia, tak jak i hrabia. Ów hrabia, mający wtedy lat dwa, jest to Francesco, noszący, jako pierworodny syn Sforzów, tytuł hrabiego Pawii, *comes Papiae,* pod którą to nazwą wspominanym bywa w dokumentach. Więc matka dziękuje mu za wiadomość, poleca się po tysiąc razy i podpisuje się „powolna córka Izabella, księżna Medyolanu“. I znowu wydaje się, jak gdyby pożycie było jak najzgodniejszem. Tymczasem ona prosiła już wtedy ojca o pomoc, a Moro wysłał był z swojej strony po-

---

[1]) „Dzisiaj urodziła się dziewczynka, co nam wielką radość sprawiło“.

słów do Francyi, aby przygotować najazd na dawną włoską dzielnicę rodziny Anjou.

Medyolan stanowił wprawdzie lenno cesarstwa niemieckiego, ale bez daniny, tylko cesarz na znak inwestytury, doręczał każdorazowemu księciu uroczyście chorągiew z herbem miasta, mniej więcej w ten sam sposób, jak to się działo w Polsce z Wielkim Mistrzem krzyżackim.

We wrześniu tegoż roku, trzeba już pomyśleć o sukienkach dla małej Bonity, więc pisze znowu do stryja swojego męża z Pawii, d. 13. września 1493 r.:

„Madonna Zuzanna Pietrasanta, która ma nadzór nad moją dziewczynką i inne kobiety powiadają mi, że już czas jest ubrać małą, gdyż z trudnością da się utrzymać w powijakach. Ponieważ i ja jestem tego samego zdania, kazałam sporządzić spis rzeczy, potrzebnych do ubrania jej i posyłam go Waszej Wielmożności, aby go mógł zobaczyć i kazać wysłać, jeśli taka będzie jego wola, i Jemu się też polecam".

Więc i drobiazgi musiały przechodzić przez ręce stryja, faktycznego władcy, z niemałem zapewne upokorzeniem ambicyi naszej neapolitanki, wychowanej w otoczeniu dworackiem, karmiącem pychą dwór królewski. Na to nie było rady: mąż chory, ojciec daleko, a nieprzyjaciel pełen zuchwałości i siły woli, prawdziwy potomek kondotyera. Intrygując u króla francuskiego przeciw rodzinie Izabelli, szuka on jednocześnie poparcia u cesarza Fryderyka III., chce go sobie pozyskać, swatając Biankę Sforzę, siostrę Jana Galeazza, pupila swego, z następcą tronu niemieckiego, wdowcem Maksymilianem, który też w r. 1496 na tron po ojcu wstąpił. Cesarz i syn Maksymilian zżymają się wprawdzie na myśl, iż Karol VIII. wkroczy do Włoch, zwłaszcza dlatego, że cesarz chce wciągnąć Francyę do wojny przeciw Turcyi, ale wkońcu Fryderyk III. oświadcza posłom Ludwika Moro, iż niema nic przeciw wyprawie króla francuskiego na Neapol. W istocie, Sforza obawiał się, iż dziad Izabelli, Ferdynand I., król neapolitański, pociągnie z wojskiem do Medyolanu, a że Piero de Medici, pan Florencyi, był w przyjaźni z nim, więc byłby przepuścił wojska, tak jak prawdopodobnie także papież Aleksander VI.

Aby pozyskać cesarza, Moro nie żałuje pieniędzy z skarbca Sforzów. Księstwo Medyolanu dawało dochodu 600.000 dukatów rocznie, a skarbiec był bardzo bogaty. Taką więc drogą cesarz staje się niejako wspólnikiem nadużyć tego człowieka, jego ambitnych widoków. Ładna, delikatna blondynka, Bianka Sforza (jej

portret znajduje się w Ambrozyanie), została zaślubiona Maksymilianowi d. 30. listopada 1493 w Medyolanie bardzo wspaniale i otrzymała ogromny, jak na owe czasy, posag 400.000 dukatów, kosztowną wyprawę, ale jednocześnie Moro wyrobił sobie inwestyturę księstwa, płacąc za nią 100 tysięcy dukatów, które podszyto pod posag Bianki. Tak to, szafując hojnie z skarbca, zapewniał sobie ewentualną pomoc na wszelki przypadek. Z pomocy tej, nie on wprawdzie, ale jego syn miał korzystać. Bianka urodziła się w r. 1472, miała więc wtedy 21 lat, a umarła w r. 1510, nie zostawiwszy potomstwa. Przedtem, tj. w r. 1487, była obiecaną naturalnemu synowi Macieja Korwina, króla węgierskiego, Janowi, ale ten umarł, zanim ją mógł zaślubić. Podróż Bianki z Medyolanu do Insbruku, do męża, opisał Maciej Bandello w trzydziestej pierwszej noweli. Jednocześnie, druga siostra Jana Galeazza, Anna Sforza, wychodziła za mąż za Herkulesa Estego, księcia Ferrary.

Prawdopodobnie też, zarówno Jan Galeazzo Sforza, jak i jego małżonka, spoglądali teraz z pewną rezygnacyą i z obawą zdrady na szeroką działalność opiekuna. W innych warunkach, gdyby prawowity pan Medyolanu był zdrowy i energiczny, mógł wybuchnąć spisek, a wtedy jeden lub drugi byliby zginęli pod sztyletami sprzysiężonych: wszyscy jednak obawiali się Mora, ciężył on na Medyolanie, przygniatał wzrokiem, tak, że nikt się nie porywał, a on wzbijał się w hardość.

Rok 1494 miał być krytycznym w życiu Izabelli i jej męża.

Tymczasem, nie tylko mała Hipolitka i Bonka, ale i Franciszek, potrzebują sukienek, *robbe*. Więc wśród kłopotów, jakich słabowite zdrowie męża, przebywającego w Pawii, przysparza, należało pomyśleć o trzyletniem hrabiątku. 2. lipca 1494 pisze Izabella nowy list do Ludwika Maryi il Moro, posyłając mu spis rzeczy potrzebnych dla Franciszka i Bony i prosi o pospiech w wysłaniu. Stosunki, niezbędne nawet w tak rozpaczliwem położeniu, mają, zdaje się, tylko charakter urzędowy. Poddać im się trzeba, zwłaszcza że książę zapada na zdrowiu, trzeba stłumić oburzenie i rozpacz i znosić prześladowanie losu. Moro cichaczem już tryumfuje, gdyż musi mieć wiadomości, że król francuski gotuje się do wyprawy wojennej na Neapol, jako prawny spadkobierca dynastyi Anjou, że będzie chciał go odebrać włoskim Aragonom. Jest również drugi jej list, także z Pawii, z 16. lipca, oznajmiający Morowi, iż chce się przenieść do Vigenano, bliżej stolicy:

„Wasza Wielmożność wiesz, od jak dawnego czasu rozkazałeś, aby był przygotowany wyczyszczony pokój na pomieszczenie mojej córeczki Bony, w Zamku w Vigenano, w ten sam sposób, jak pokój Hipolity i nie mniej. Słyszę, że dotąd nic tam nie zrobiono, ani też myślę, że zrobią, jeśli Wasza Wielmożność jeszcze raz nie zarządzisz. Widzimy zbliżającą się chwilę powrotu do Vigenano i wiedząc, jak niedbale często takie roboty się prowadzą, zdało mi się, o ile można najrychlej, zwrócić się do Niego i prosić go, aby zechciał rozkazać ponownie, aby ten pokój został urządzony tak, aby, skoro tam pojedziemy, można go było zamieszkać. Bo i hrabia, który już podrósł, potrzebuje także większego mieszkania. I dlatego należałoby wynieść z jego pokoju sztachety, (cameretta de atte), za któremi spał poprzednio. Co gdy się zrobi, pokój będzie chłodniejszy i z korzyścią dla chłopca, który jest delikatnym (nino). Ponieważ nikt o tem może nie pomyślał, chciałam przypomnieć Waszej Wielmożności, aby zechciał rozkazać: aby pokój hrabiego tak urządzono, jak pokój Hipolity i jak pokój Bony“.

Adam Darowski.

(Dokończenie nastąpi)

KRONIKA LITERACKA.

O Cypryanie Norwidzie.

Cezary Jellenta: *Cypryan Norwid.* Szkic syntezy. Literatura i sztuka. Monografie. T. VII. Nakładem księgarni A. Staudacher i Sp. (Maryan Haskler). Stanisławów (1909). — E. Wende i Sp. Warszawa.

...Nie wystarcza zawieszać poetę na niebie między gwiazdami wielkiej naszej plejady i dać mu choćby równy jej blask. Będzie to mogiła złota, ale zawszeć mogiła. Trzeba się strzedz, ażeby z Norwida nie uczynić jednego z owych świętych z trzeciej części Komedyi Boskiej Danta, którzy w niebie swem pędzą żywot świetlanych słupów, obracających się dokoła swej osi. Egzystencya to bardzo efektowna, ale na dłużej bardzo jednostajna, nawet nudna. A przypuszczam, że Norwid uważałby ją za męczeństwo całkiem niepotrzebne i wolałby błądzić śród potomnych, z obliczem chociażby mniej gwiaździstem, lecz za to bardziej wyrazistem. Trzeba mu oddać jego własną niekonstelacyjną duszę, narysować jego duchowy kontur, ująć w ręce indywidualność, wskazać odrębność śród wielkich wieszczów naszych i wskazać to miejsce w Panteonie polskim, na którem powinien stanąć jego posąg. Niczem lepiej, dostojniej, uczcić nie można wielkiego twórcy, jak tem, że się, prócz obrządkowego hymnu i nieunikionego wieńca z lauru, obdarzy go rozumieniem, przeniknięciem i dotarciem do głębin jego jestestwa."

Te słowa p. Jellenty można uważać za zupełnie słuszne, i do tego dąży krytyka poważna, usiłująca sprawiedliwie ocenić działalność

literacką, tak różnorodną, „zmartwychwstałego“ Norwida. Że do zupełnie ścisłej oceny tej działalności brak jeszcze wielu danych, rzecz jasna. Jeszcze nie wszystkie poezye, utwory i rozprawy Norwida są znane, jeszcze nie wszystkie ważne fakty z jego życia są wyjaśnione, ale w tym kierunku odbywa się praca sumienna za przykładem Miriama, który „wynalazł“ Norwida, że wspomnę o dwutomowem studyum Adama Krechowieckiego, opartem na faktycznym, źródłowym materyale, które wyszło w tych dniach z druku,[1]) że dodam, iż dr. Erzepki z Poznania ma posiadać wielkie bogactwo pozbieranych przez siebie rękopisów Norwida.

Pan Jellenta twierdzi jednak, że na podstawie pism, które mamy w ręku, można „doskonale Norwida poznać i na mniej lub więcej dokładny wizerunek się odważyć“.

Twierdzenie to, zdaniem mem, jest jeszcze za śmiałe i za przedwczesne, co zresztą potwierdza omawiana książka, w której. może mimo woli autora, znajdujemy to tu to tam ustępy dyktowane jedynie entuzyazmem. a skutkiem tego nie zupełnie zgodne z rzeczywistością.

Przypatrzmy się niektórym punktom tej interesującej rozprawki nieco bliżej.

W pierwszym jej rozdziale („Człowiek i ustrój duchowy“) stara się autor określić Norwida pod względem psychicznym.

Symbolem najlepszym do określenia Norwida, są jego własne słowa: „Pójdę, albowiem Muzy mojej jest przydomek sieroctwo“. To sieroctwo uważa p. Jellenta za tragedyę życia Norwida. Pisarz niepospolity. „autor wielu koncepcyj poetyckich i pomysłów estetycznych, i taki wielki wędrowiec po labiryntach starych kultur“, żył w zapomnieniu przez lat sześćdziesiąt dwa, mimo, „że bardzo wieloma nićmi łączył się żywot jego z całym ruchem umysłowym Polski, aż do ostatniego ćwierćwiecza“. Żył niezrozumiany przez współczesnych, niedoceniany, a nawet wyśmiewany.

Przyznając pod niejednym względem słuszność temu wywodowi p. Jellenty, już tu zauważamy pewną przesadę.

Niejeden dziś, podobnie jak i niejeden z współczesnych Norwidowi, uznać musi niezwykłość jego spostrzeżeń, niezwykłość wniosków, wybiegających nieraz daleko w przyszłość, ale każdy bezstronny, nie zahipnotyzowany tem, że Norwid był w pewnej mierze uniwersalistą, co tak imponuje niektórym, przyznać musi, że przyczyną tego „sie-

[1]) „O Cyprysnie Norwidzie. Próba charakterystyki. Przyczynki do obrazu życia i prac poety, na podstawie źródeł rękopiśmiennych“. Lwów 1909. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Syna. 1909.

roctwa“ był on sam w znacznej mierze. Przedewszystkiem winien tu rodzaj jego talentu, który streszczał rzeczy, które współcześnie a nawet obecnie nie mogą być popularne, nie są i nie będą nigdy dla ogółu tem, czem jest np. „Pan Tadeusz“, acz mają znaczenie, w niektórych swych punktach nawet doniosłe dla poszczególnych jednostek. Winien temu i język Norwida, mimo swych specyalnych piękności, naszpikowany dziwactwami językowemi, winien temu jego styl zawiły, pełen niedomówień i mglistych określeń, winien temu zresztą i dydaktyzm, który przytłacza i psuje piękno rzeczywiste bardzo wielu jego utworów. A że znów w stosunkach towarzyskich czuł się Norwid może nieraz „osieroconym“, to temu bezwątpienia najwięcej winien on sam, jego usposobienie zamknięte w sobie i jego brak tolerancyi dla poglądów sobie niemiłych, o czem świadczą dosadnie dane z jego życia.

Zupełną za to słuszność należy przyznać Jelleńcie co do zasadniczego tonu drugiego rozdziału p. t. „Poeta ludów i stygmatów“

„Śpiewając, nieraz obyczaj stary zawadzałem, z wyszczerzonemi na jutrznię zębami“ — powiada Norwid w pewnem miejscu, wyrażając przez to trafnie i zwięzle, (choć wcale nie poetycznie), najrdzenniejsze swoje skłonności i najulubieńszą swoją drogę. Bo i rzeczywiście sądząc po znanych utworach Norwida, tenże „dochodzi do ogarnięcia całej starożytności; od starożytności i klasycyzmu wznosi się do jasnowidzenia drogowskazów przyszłych“. To rozmiłowanie się w dziejach starożytnych narodów, i w następstwie budowanie na podstawie tej znajomości historyozoficznych teoryj, jest rzeczywistą cechą umysłowości Norwida. Rzecz inna, że właśnie to sprowadza Norwida nieraz na manowce, że to szukanie „symbolów kultur i narodów“, często niezwykle śmiałe i oryginalne, czasem znów jest tylko niezwykle — dziwaczne; że to uogólnianie wypadków poszczególnych do jakichś teoryjek historyozoficznych psuje i szpeci nieraz jego utwory, jak np. dość ciężką zresztą nowelę „Stygmat“, której całe zakończenie poświęcone jest sztucznym historyozoficznym wyszukiwaniom „stygmatów“ rozmaitych narodów. Ta właśnie właściwość talentu psuje też w niejednem miejscu wartość odczytów Norwida o Słowackim.

Rozdział trzeci swego studyum poświęca p. Jellenta przeważnie poglądom estetycznym Cypryana Norwida.

Stwierdza on zupełnie słusznie, że „ze strony wyjawienia się w sztuce brał Norwid wszystkie wielkie wydarzenia cywilizacyjne i cały proces dziejowy“ pod uwagę. W każdym narodzie czci Norwid przedewszystkiem zbiorowego twórcę. „Wszystko, — zdaniem Norwida — czem się naród uplastycznił, a więc i to, co wyszło z rąk l u d u i dla użytku c o d z i e n n e g o, jest namaszczone stygmatem sztuki“. I ztąd

pochodzi u Norwida owe zupełnie współczesne, bo wpojone nam przez Witkiewicza i Wyspiańskiego dopiero, znaczenie motywów czysto swojskich, czysto ludowych w architekturze, zdobnictwie i sztuce stosowanej; ztąd też pochodzi u Norwida, w rozumieniu sztuki ludowej, owe doskonałe wniknięcie w muzykę Chopina, jedynego z tych współczesnych sobie geniuszów, którego Norwid uwielbia bez zastrzeżeń i o którym wygłosił to piękne zdanie: „Muza Fryderyka (Chopina) to zaśpiew na sztukę narodową“. — A równolegle z temi pojęciami rozwija się zasadnicza idea Norwida, że sztuka jest wysokiem kapłaństwem, które nie jest ani zabawką ani też nauką ale jest „najwyższem z rzemiosł apostoła i najniższą modlitwą anioła“. W innem znów miejscu powiada Norwid, że „sztuka poświęcenia zupełnego wymaga i jest jednym z zakonów pracy ludów i pracy ludzkości“.

Następnie zaś w rozdziale: „Cisi bohaterowie tragedyi“ uzasadnia p. Jellenta, stwierdziwszy poprzednio, że „c z y s t a s z t u k a nie była nigdy Norwidowi przewodniczką, albowiem zanadto obarczony jest różnemi ideami“, wartość jego utworów i jakość bohaterów jego tragedyj. Mimo uwielbienia, jakie ma Norwid dla starożytnych, nie odnajdujemy w jego utworach tonów Ajschylosa, w głębi takiego „Krakusa“ nie czają się smoki i potwory, lecz „ścielą się fiołkowe pola rzewności“. Jego bohaterowie i bohaterki są to postacie zupełnie różne od spotykanych zwykle w utworach dramatycznych bohaterskich postaci.

Tragedya Wandy (w utworze „Wanda“) jest uczucie wiecznej samotności, podobnie i Krakus kryje się w milczeniu i zapomnieniu, i oboje, jeżeli czynią dobrze i poświęcają się, to nie ma w ich działaniu żadnej domieszki egoizmu, postępują tak a nie inaczej, bo im tak czynić wskazuje przekonanie, wobec czego nad obojgiem unosi się „niewysłowiony urok czynu milczącego“.

Inna rzecz, że skutkiem tego — zdaniem mem — postacie Krakusa i Wandy zarysowują się blado, że mgła „bezcielesnego liryzmu“ osłaniająca je, nie dozwala im w tragedyach wysunąć się na plan pierwszy, lecz przeciwnie oddala je w zamgloną dal.

Ale — twierdzi p. Jellenta — postacie te mają jeszcze inne znaczenie. Ich czyny bezegoistyczne czynią z nich symbole. I Wanda i Krakus są symbolem ludu, który także w sposób niedostrzegalny wyraźnie działalnością swą tworzy przyszłość narodu. Że za to uważał je Norwid, świadczą o tem jego odczyty o Słowackim, a przedewszystkiem rozbiór „Balladyny“, gdzie całą swą uwagę zwraca Norwid na Alinę, będącą dlań również symbolem ludu. Nie przecząc wcale, że Norwid w ten sposób dziwny zapatrywał się na Balladynę Słowackiego, nie przecząc, że pogląd ten jest rzeczywiście dziwnie oryginalnym, tru-

dno nie dodać, — zdaniem mojem — że pogląd ten dla poważnej krytyki nie ma najmniejszego znaczenia, że jest zupełnie dowolnym, wmawiającym w Słowąckiego to, czego tenże jako genialny poeta-dramaturg wcale nie miał na myśli, gdy treść pieśni ludowej przetwarzał w utwór dramatyczny. I dlatego, acz twierdzenie, że Alina jest ludem, Balladyna parafiańszczyzną i t. d. dziwi swą niezwykłością, razić musi równocześnie swą niczem nieuzasadnioną dowolnością, podobnie jak dziwić i razić musi nazwanie przez p. Jellentę Norwidowskich odczytów o Juliuszu Słowackim „wielkiem dziełem sztuki“.

Również trudno się zgodzić na wnioski p. Jellenty, zbudowane na podstawie poprzedniego rozdziału, bez uwzględnienia danych biograficznych z życia Norwida, wręcz temu przeczących.

P. Jellenta twierdzi, że stało się nawet „potrzebą i samowiedzą Norwida mówić o czystości swego artyzmu i usuwać wszelkie podejrzenia, że pożąda sławy“ — a nieco dalej twierdzi, że Norwid „wyrzeka się po prostu prawa indywidualności i zgadza się być jedynie śpiewającą nebulozą“.

Otóż słowa te odnieść jedynie można z pewną dozą słuszności tylko do ostatniego okresu życia Norwida, który oderwał niejako Norwida od ziemi i czynił mu życie tylko możliwem w marzeniu i kontemplacyi, ale poprzednie okresy jego życia świadczą dowodnie, że pożądał on silnie, (jak zresztą każdy artysta), sławy i uznania, i bolało go, a nawet zalewało jego duszę niesprawiedliwą goryczą przeświadczenie, że inni, (przedewszystkiem Mickiewicz), blaskiem swej sławy przyćmiewają jego własną indywidualność.

Również nie przemawia mi do przekonania twierdzenie p. Jellenty, zamieszczone przy końcu książeczki, że „Norwid szedł naprzód ku jutru, swymi poglądami i myślami, ale nogi miał nieskończenie spętane mnóstwem różnorodnych c z c i i t r a d y c y j“. Na pierwszą bowiem część zdania można się zgodzić pod pewnemi zastrzeżeniami, Norwid bowiem n i e r a z szedł ku jutru swymi poglądami i myślami — ale druga część zdania jest dla mnie niezrozumiałą hipotezą. Przecież i Kochanowski i Słowacki i Mickiewicz i Krasiński poglądami swymi tkwili „w czci i tradycyi“, mimo to język ich stał się ożywczem źródłem językowem dla przyszłych pokoleń, podczas gdy (zdaniem p. Jellenty), „ten układ duszy znalazł swój wyraz (u Norwida) w formie i języku, nie zawsze kwitnącym i świeżym, w predylekcyi do zwrotów staroświeckich, empirowych, prowincyonalnych“ i t. d.

Mojem zdaniem, niemocy Norwida jako artysty, należy szukać w dziwnym jego ustroju psychicznym, który dozwolił jego duszy rozdzielić się na dwie części, na duszę myśliciela-estety i na duszę poety.

A te dwie władze toczyły z sobą ustawiczną walkę przez całe jego życie, żadna z nich nie odniosła nigdy stanowczego zwycięstwa, lecz zawsze jedna psuła to, co miało być dziełem niepokalanie pięknem drugiej.

Mimo tych uwag jednakże, podyktowanych najszczerszą chęcią, należy z zadowoleniem powitać „szkic syntezy", podjęty przez p. Jellentę. Nie jest on doskonały, bo nim być nie może, ze względu na brak materyału, na którymby się można było oprzeć, razi w niektórych miejscach dowolnością i bezkrytyczną przesadą, ale porusza także momenta ważne, zaobserwowane bystro, i będzie musiał być uwzględniony przez tych, którzy w przyszłości nad postacią Norwida pracować będą.

Adam Stodor.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".

Samuel ze Skrzypny Twardowski
i jego poezya na tle współczesnem.

(Ciąg dalszy).

Jest pono choroba grasująca w Polsce wyjątkowo zuchwale, a imię jej: życie nad stan. Jakżeżby mogło być inaczej! Że koło mnie bardzo krucho, co komu do tego; więc światu pokazać gęstą minę i zewnętrzny blichtr. Wszak jak cię widzą, tak cię piszą. Żył mój ojciec hucznie, okazale, przeszastał majątku połowę, lecz cóż stąd? Czy mogę tak się poniżyć, żeby wejść w znajomość z oszczędnością i odmawiać sobie szumnych zabaw, wesołych uczt, wielkiego dworu, czy nie ucierpi na tem splendor imienia?

P. Samuel zżymałby się okrutnie, gdyby sąsiad tak wobec niego rozumował. Aurea mediocritas! Według stawu, mości panie, buduj groblę, bo Bóg świadkiem, że wrychle pójdziesz z torbami. Pofolguj tylko fałszywej ambicyi, spraszaj gości i pij i jedz i poluj z nimi, trzymaj małą muzyczkę nadworną, sfory chartów, przednie ogary, niech sto sztuk zwierzyny pada na jednem polowaniu; obaczym wnet, czy dotrzymasz sąsiedzie wojewodzińskiej wystawności. Zrujnujesz się doszczętnie, spłuczesz do cna i cóż z tego ci przyjdzie?

Ale jeśli p. Samuela gniewało srodze życie nad stan, to z drugiej strony skąpstwo budziło w nim obrzydzenie. Rozrzutność

da przynajmniej zarobić biedzie, a skąpy dusi grosz i ani sam nie użyje, ani nikomu niczem nie usłuży. Kiedy go śmierć zabierze, spadkobiercy rozdrapią czemprędzej skarby i pójdą w swoją drogę, nad grobem zaś chciwego sknery nie zapłacze nikt, nikt nie westchnie, nikt go nie wspomni z żalem.

Więc p. Samuel wytknąwszy sobie drogę w pośrodku, smucił się, że wielu sąsiadów nad stan żyje, a oczy odwracał od skąpców, którymi gardził. Pilny bardzo, obowiązki pełnił sumiennie, wytrwałość okazywał wielką we wszystkiem. Jako szlachcic czuł nieprzeparty pociąg do roli, więc osiadłszy na wsi, gospodarował zawzięcie i przywiązywał się gorąco do owoców swej pracy. Przytem przyjemności sobie nie odmawiał i gdy zagrała trąbka, hasło polowania, czuł, że krew w nim żywiej grać poczyna, z zapałem przewieszał torbę przez ramię i strzelbę zdejmował z kołka. Od sąsiedzkich odwiedzin nie stronił, zwłaszcza lubił zebrania u wielkich panów, bo na nich szła rozmowa de publicis i niejedną ważną nowiną ciekawość zaspokoić się mogła.

Każdy szlachcic jak był gospodarzem, tak był również żołnierzem i rzucał lemiesz, by wziąć za kord, po wojnie zaś karabela szła w pochew, a ręka chwytała za lemiesz.

Żołnierzem był Twardowski z jedną w pierwszym rzędzie ważną zaletą, jakiej ogółowi brakowało. Rozumiał ważność dyscypliny wojskowej, którą tak lekceważono w Polsce! Dla żołnierskiego stanu, często pełnego trudu i przykrych niewygód współczucie miał wielkie:

„O iakoż są w swey doli żołnierze mizerni!
Nie próżno się wysączać zdadzą cudze poty,
Kiedy za to te nędze cierpią i lichoty!“ [1])

Sam przecież niejednej musiał zaznać przygody. W życiu obozowem wspólność niebezpieczeństw zaciska węzły koleżeńskiej przyjaźni i wzmacnia nici sympatyi ogromnie. P. Samuel druhem był wiernym i nad stratą drogiego kolegi rzewne łzy ronił; tak opłakiwał z uczuciem śmierć Stefana Tysieckiego, który koniuszym był księcia Zbarazkiego i w poselstwie tureckiem brał udział; tak wielu innym znajomym zaszczytne wzmianki pozostawił w swoich pismach.

---

[1]) W. d. cz. I. str. 70.

Bo rozumiał, jaka obok poczucia obowiązku pobudka grała w ich duszach. Miłość sławy. Rozkosz to nad rozkosze, ażeby:

„Po śmierci nie umierać y na wieki słynąć!“ [1])

Dla narodowych bohaterów cześć ma Twardowski ogromną, śmierć Żółkiewskiego [2]) opisuje tak, że czuć, jak w sercu poety drgał zapał i ból, podziw i żal straszny. Po umierających bohaterach wylane łzy, rozsiewa w swoich poematach, a świecą one jak czyste perły o szlachetnym blasku głębokiego uczucia.

Rycerski jest bardzo. Gdy wróg na niego godzi, wówczas cios odeprze, swój zada:

„...nizkiey jednak głowy
Miecz nie bije.“ [3])

Bo dla mężnego wroga trzeba mieć szacunek, i gdy się podda, uszanować, gdy się ukorzy, „miecz w pół drogi wstrzymać“. Dla wrogów można nawet mieć pewną sympatyę, lecz nie bez wyjątku. Twardowski był człowiekiem o dobrem bardzo sercu; zdawałoby się, że uczucie nienawiści było mu obcem zupełnie. Ale on nienawidzieć umie, choć nie za siebie, jeno za Polskę. Tak Chmielnickiego nie cierpiał z całej duszy za wszystkie zbrodnie, za klęski zadane Polsce, za pożary Ukrainy i Rusi i z ulgą a pogardą po jego śmierci mówił, że „zdechł“ nakoniec. [4])

Męstwo oceniać zawsze umiał, w kimkolwiekby ono zajaśniało blaskiem, bo wiedział, że szlachetnego ducha pierwszym przejawem jest odwaga. Dzielność i śmiałość szlachcica jest jego naturalnym prawem i obowiązkiem, nagrodę same w sobie znajdują; lecz gdy pod Zbarażem raz krucho już było bardzo, a pospólstwo mężnie natarło i wiele przysporzyło korzyści, wówczas odzywa się, że

„Godniby za wiarę taką swoią nadani wolnością bydź wieczną“. [5])

---

[1]) Wład. IV. str. 240.
[2]) Leg. i Wład. IV. str. 85, 86.
[3]) Wład. IV. str. 50.
[4]) W. dom. cz. II. str. 238.
[5]) W. dom. cz. I. str. 69.

Sprawiedliwy w ocenianiu cudzych zasług, sprawiedliwy, surowy nawet dla siebie, miał prawo zupełne nie pobłażać cudzym winom, miał nawet poniekąd obowiązek, skoro natura obdarzyła go trafnym instynktem moralnym i zdolnością pisarską. Jakoż prawdę ciął ostro, zestawiając w „Satyrze na twarz Rzpltej“ długą litanię grzechów publicznych i prywatnych. Ale utrzymał się w sferach ogólnych, palcem nikogo nie wskazując, nie wypalając na nikim hańbiącego piętna. Paszkwil był mu obcą i wstrętną bronią, jak sztylet skrytobójczy. W historyach swoich nawet, gdzie z istoty rzeczy wynikała potrzeba wymieniania nazwisk smutnej pamięci, przecież o ile możności pomija je i osobistych wycieczek unika. Tak człowiekiem był najlepszym. Jego natura otwarta i szczera, pogodna i wesoła, prawdziwa natura polska! Na świat patrzył jakby z dobrotliwym uśmiechem i cieszył się, gdy wkoło widział twarze rozjaśnione szczęściem. Wolał wesołe śpiewki od dumek rzewnych i smutnych, wolał, gdy śpiew rodził uciechę, niż gdy tęsknotę budził i rzewność.[1]) Lubił żart rubaszny[2]) i figle i nieszkodliwe psoty. Trudno, żeby inaczej być miało, bo skoro w życiu wielu doznał przykrości, chciał przynajmniej o ile możności odpędzać smutek i w wesołości szukać zapomnienia.

Współcześni szanowali go i cenili jako charakter wysoko, to też zgodnym chórem świadczą[3]) o jego zacności tak, jak oddają hołd jego pracy na polu poezyi.

Natomiast wśród potomnych podniósł się poważny zarzut. Pomawiano mianowicie Twardowskiego o zbytnie pochlebstwo i bezwstydny panegiryzm względem magnatów. Nie całkiem sprawiedliwie. Przedewszystkiem w jego pochwalnych wierszach przebija się uczucie z pod fali frazesów i sztucznej gadaniny. Tak Władysława IV. musiał kochać i cenić szczerze, kiedy już po jego śmierci we „Wojnie domowej“[4]) rozpływa się nad nim w pochwałach i wspomina go rzewnie i ze czcią, z zapałem, z żalem; tak nie ruguje nigdy wdzięczności z serca dla Zbarazkich i ilekroć o nich mówić zacznie, zawsze dowody składa rzeczywistej ku nim miłości. Powyższe przykłady stwierdzają zarazem, że nie szczędzi pochwał dla ludzi, którzy już ze świata zeszli, od których

---

[1]) Leg. str. 195.
[2]) Leg. str. 161.
[3]) Gawiński, Kochowski, Potocki i t. d.
[4]) W. dom. cz. I. str. 12.

więc już nic dostać nie mógł. Następnie godzi się zauważyć, że sławił rody zasługujące na to, że prawie bez wyjątku panegiryki pisał o ludziach zasłużonych, że nie poniżał się sam, że mówiąc o pięknych czynach zarazem zachęcał do naśladownictwa, że w przesadę wpadał wprawdzie, ale nie często znowu, że w końcu nawet najwyżej położonej osobistości nie chwali, gdy jej nie lubi. O elekcyi Jana Kazimierza mówi tak niewyraźnie,[1]) potem tak o nim się wyraża, iż zarazem odpiera zarzut bezwzględnego pochlebstwa, jaki na nim ciąży. Potem co prawda nawraca się do Jana Kazimierza, ale dopiero wówczas, kiedy miał jawne przykłady królewskiej dzielności. To nawrócenie, wywołane sprawiedliwem ocenieniem faktów, raczej właśnie chwały Twardowskiemu przysparza.

Nie poniżał się Twardowski przedewszystkiem dla tego, że honor swój szlachecki cenił wysoko. Turcy, nawet możni Turcy mogli brać munsztułuki, ale on mógł się tylko temu dziwić.[2]) Niskie prośby tracą liberyą, a lizuństwo żydowskim hałatem; tak czuł Twardowski i tem się brzydził.

A dumny był ze swego stanu bardzo. Szlachcic[3]) „świat ma otwarty... do godności wszelkiej“, „nic mu trudnego i niepodobnego“,[4]) szlachcic ponad inne wyrósłszy stany i ponad inne narody, dbać winien o nieskalaną czystość obyczajów i pielęgnować polskość w mowie, strojach, we wszystkiem. Precz z cudzoziemszczyzną:[5]) z niej wykwita jadowita obłuda, ona sprowadza zniewieściałość i kazi polskiego ducha.

Polski zaś duch w szlachcicu taką fantazyą wybucha, że olśniewa, porywa, zachwyca. Taki Kordecki, taki Żegocki, taki Wiśniowiecki... imion ich legion, wielki, sławny, barwny jak tęcza, świetlisty jak słońce, ukochany, w historyi wszechświata najliczniejszy. I Twardowski zabłysnął świadectwem takiej fantazyi, kiedy z poselstwem Zbarazkiego w Konstantynopolu, niby w ja-

---

[1]) W. dom. cz. I. str. 40.

[2]) Legacya.

[3]) Jako szlachcic zajmuje się pilnie genealogią domów i wierzy w bajeczne pnie drzew genealogicznych. „Leg.“, „X. Wiśniow. J.“ i t. d.

[4]) Miscel. selec. wyd. z 1770, str. 78.

[5]) Satyr.

mie pełnej śmiertelnej grozy zamknięty, przetrzymuje wszystkie pogróżki, wszystkie niebezpieczeństwa, wszystkie trwogi z odważnem sercem, z dumnie podniesionem czołem.

Myślący człowiek, trudno żeby miał zawsze jedno przekonanie i jedną wiarę. Ograniczony umysł raczej nie ma wątpliwości, bo zsuwa się po wierzchu zjawisk i spostrzeżeń, cudzą myślą żyjąc, obcemi przekonaniami nakarmiony nigdy samodzielnie nie skontroluje zgodności życiowych faktów z ogólnemi zasadami swojej wiary. Umysł głębszy ma nieraz wątpliwości; szczęśliwy gdy je pokona, nieszczęśliwy, gdy pozwoli im miotać sobą i rozterkę wewnętrzną jątrzyć w jedną wielką, niezgojoną ranę. W duszy Twardowskiego, zwłaszcza po nieszczęściach spadłych na ludzi cnoty, rosły sceptyczne pytania, jak rosną złe, jadowite grzyby po deszczu. Oto powiada, że nieraz z Brutem na myśl mu przychodziło,[1]) czy Bóg opiekuje się sprawami świata, czy też los, ślepa fortuna bez praw moralnych rządzi niemi. We wielkim porządku celowym materyi,[2]) w doskonałym, przepysznym układzie świata widzi rękę Bożą. Ale z ludźmi inaczej. Źli „kwitną w swej złości“, a dobrzy przepadają mimo cnoty, nawet świętokradców nie chłonie ogień z nieba, nawet świętych prześladuje nieubłagane nieszczęście. Czyżby sprawiedliwość była czczą ułudą?

Dopiero Chmielnicki upadkiem swoim mimo ogromnego powodzenia i początkowej bezkarności zbrodni wybił Twardowskiemu tę wątpliwość z głowy, więc zakłopotał się wierzący szlachcic, zawstydził swej słabości i o jedno doświadczenie bogatszy pospieszył z drugimi podzielić się zdobyczą duchową:

„Ani ia iuż, fantazyi iakich o tym marzę,
Ani próżno na Boga moiego się skarżę
Zawsze sprawiedliwego: który złych im wyżey
Wzniesie w górę, tym na dół zturbuie ich niżey,
I kształtem roztrąconey na wiele sztuk skały
Stłucze ciężko.“ [3])

---

[1]) W. dom. cz. II. str. 1.
[2]) W. dom. cz. II. str. 1; 205.
[3]) W. dom. cz. II. str. 2.

Twardowski zastanawiając się nad naturą ludzką usiłował dociec, jakie są zbiorowe jej cechy. Niefilozoficzny umysł nie potrafił naturalnie „dorwać się głębokich rezultatów i kontentował się przeważnie porównywaniem wyniku własnych badań z aforystycznemi uwagami popularnych pisarzy łacińskich. To też filozofia jego prosta nosi wogóle charakter bardzo przeciętny, średni i nigdy nie uderza niezwykle bystrą, czy śmiałą uwagą. Tak i pogląd jego na istotę ludzkich namiętności w kilku miejscach oszczędnie rzucony do pism odkrywa wrodzony rozsądek zbogacony doświadczeniem, — nic więcej.

„Złym być z natury wrodzona człowiekowi". [1]) Wobec takiej tezy pozornie nie byłoby odpowiedzialności za występki, ale Twardowski wie zarazem, że jest w człowieku łaską Bożą dodana moc, która może podjąć skuteczną walkę ze złemi skłonnościami, a dlatego wówczas dopiero godzi się rzucić potępienie, kiedy walka nie miała miejsca zupełnie, albo była prowadzona ospale. Oprócz namiętności wrodzonych istnieją jeszcze nabyte. „Nałóg rzecz wielka". [2]) Trudno się z niego otrząsnąć; gdy wejdzie w krew, wtenczas wojowanie z nim jest tak samo żmudne, jak z wrodzonymi popędami, bo „consuetudo est altera natura". Jeśli zaś komu los służy i wszystko powodzi się jak najlepiej, to przez to walka staje się najcięższą.

„Nie zna człowiek nieszczęścia y przyszłey przygody,
Umiarkować nie umie za szczęsney pogody". [3])

Jego krótkowidztwo przypuszcza, że zawsze tak będzie, jak jest; jego powodzenie zuchwałość w nim podnieca i zapamiętanie takie, że prawo moralne przestaje uważać za obowiązujące i rzeczywiste. Tymczasem prawda zwycięży zawsze w końcu i „tryumfalne proporce rozwinie". [4]) choćby kłamstwo szczęśliwie ludzi mamiło i zysk ciągnęło z oszustwa. Tak i złość w końcu ukaraną być musi, tak naodwrót przykładem (na Wiśniowieckim) można stwierdzić:

„że żadne obroty
Żadna ludzka machina nie pogrąży cnoty". [5])

---

[1]) Satyr, str. 14.
[2]) Leg. str. 33.
[3]) Leg. str. 33.
[4]) Satyr, str. 2.
[5]) W. dom. cz. I. str. 104; potwierdza: W. d. cz. II. str. 11.

Dzieje się tak dla tego, ponieważ Bóg we wszystkie sprawy wglądając, zrazu pozwala złym źle postępować, póki się nie opamiętają i nie opatrzą, lub nie przebiorą miary. W drugim przypadku najpierw odbiera zastanowienie winnemu, który przez to sam już sobie gotuje upadek. Prawda to tak w stosunku do człowieka, jak i do całych państw, jakoż

„...gdy kres zamierzy i której chce ruszyć
Z miejsca Bóg monarchiey, pierwey radę zdrową
I ludzie iey odeymie.“ [1])

Jeżeli się chce kogoś do siebie przywiązać, nie należy bezwarunkowo postępować z nim surowo i nieustannie trzymać nad jego głową strachu i trwogi. „I jako ten nie zdradzi, kto zawsze się boi“. [2]) Lęk, obawa kary twarz stroi w uśmiech i o przywiązaniu zapewnia z przymilaniem się, ale równocześnie natęża wzrok, czy nie nadarza się sposobność zrzucenia jarzma i prędzej czy później szuka zemsty. Niezaprzeczona znajomość natury ludzkiej!

Ciekawy jest pogląd Twardowskiego na kobietę.

Przy czytaniu jego pism odnosi się wrażenie, że lada chwila skoczy do oczu sławne wyrażenie Seneki „animal impudens“ i w sylwetkę jakiej niewiasty stopią się wszystkie niskie instynkta i złe popędy. Przedewszystkiem płochość i niestateczność kobiet jest jego zdaniem tak wielka, że hamulcem dla nich nie zdoła być rozum, nawet gdyby go która posiadała w wysokim stopniu, nawet gdyby biblijnego króla Salomona w kąt zapędziła wiedzą. [3]) A już te naczelne wady, w bezmiernej wietrzności charakteru ciągną za sobą coraz szerszy ogon złych przymiotów, jak kometa wlecze coraz obficiej rozsypany warkocz iskier. Tak kobieta bez względu na majątek męża, któremu nieraz gotuje ruinę, sprawia ogromnie kosztowne stroje, bo próżność nie pozwala jej

---

[1]) W. d. cz. I. s. 1. powtarza w cz. II. str. 140, choć nie dosłownie. Homerycki to zwyczaj.

[2]) W. d. cz. I. str. 5.

[3]) Satyr. str. 25.

ustępować nikomu w wystawności. Próżność ta każe jej niejednokrotnie chwytać do ręki broń podstępu, bo gdy mąż zachceniom odmawia, wówczas udana choroba, pochodząca niby z rozżalenia, wszystko na nim wymódz może. Mężom hańba na wieki, gdy są takimi pantoflami, ale wstyd kobietom, że do niej przywodzą. Cóż dopiero rozwiązłe życie, skalanie rodzinnego ogniska, a co za tem idzie zły przykład i zły wpływ na młode panienki, które na grzech patrząc, z grzechem się oswajają! Na domiar ujemnej charakterystyki kobiet służy fakt, że one w żadnej rzeczy nie znają statku i przesadzają we wszystkiem. Najgorzej jest, gdy kobieta dorwie się do władzy, bo ta

„...płeć z płochości
Ku tyrańskiey się chyli prędko okrutności“, [1])

i już gruchocze prawa boskie i ludzkie z zapamiętałością bezwzględną.

Tylko jeden jest wyjątek, albowiem pod jednym względem kobieta nie potrafi przesadzić: w rozumie, i jego konsekwencyi: w hartowności przekonań. Prawda, że wiary nie zdoła obalić sceptyczne dowodzenie, ale przekonania, jeśli za niemi nie stoją logiczne przesłanki, lecz tylko słaba intuicya lub instynktowy pociąg, obracają się jak chorągiewki na dachu, byle w nie mocniej dmuchnąć, byle je do muru przyprzeć. Więc Twardowski takie żywiąc o kobietach wyobrażenie, nauczony doświadczeniem, że pod naciskiem jego inteligencyi nie wytrzymuje oporność niewieścich sądów, rzuca w końcu pytanie:

O któraż Białogłowa, kiedy nie woskowa,
Z którey co chce ulepić każdy snadnie może?“ [2])

Lecz sposób jest niezaprzeczony, ażeby wznieść kobietę na wyższy poziom moralny i umysłowy. Wychowanie. Gdy to będzie czujne, gdy troskliwie zły przykład oddali, gdy w dziewczęcej duszy zażegnie ogień zapału dla religijnych ideałów, wówczas będzie lepiej. Panienki kochać się winny nie w swojej zewnętrznej pie-

---

[1]) Leg. str. 158.
[2]) Wład. IV. str. 24.

kności, ale w wewnętrznych przymiotach. Niechaj wiele i pilnie pracują, bo praca jest nieprzebitą tarczą przeciw namiętnościom. kiedy naodwrót z żartów, ze śmiechów, z zabaw złych, z tańców hucznych, które krew burzą, z korespondencyi, niby z razu niewinnych, wszystko złe się rodzi. Przedewszystkiem oczu strzedz należy! Bo przez nie wpełza namiętność do serca i w sercu piekielną rozpoczyna gospodarkę.

Mimo tak ujemnego poglądu na kobietę, miłość rozumiał i wiedział, że nie da się w walce z uczuciem wyjść obronną ręką. Jego miłość nosi naturalnie cechy bardziej średnie, nie sięga idealnych porywów, a choć często zespoli się z czystą tęsknotą i rozrzewnieniem, przecież głównie jest zmysłowo namiętną. Innego typu prawie nie wyobraża sobie i redukuje miłość do naturalnego pociągu dwu płci. Jego wierszy erotycznych nie mamy. Dwa dodane do „Daphnis“ wyrażają żal z powodu rozstania z ukochaną, w której ujmuje go wdzięk i niewinność. Do kogo były pisane — orzec trudno, zresztą nie odznaczają się niczem wybitnem. Jako mąż był zdaje się dobry, co wnosićby można z jednej ody (z Horacego przerobionej) — jako ojciec dla wcześnie zmarłej córeczki [1]) był pełny miłości i rodzicielskiego przywiązania, czego dowodem po jej śmierci napisane cztery „Treny“.

W duszy szlachcica polskiego pojęcia religijne i narodowe tak się wzajemnie splatały, że rozciąć je dokładnie, oznaczyć, gdzie się jedne kończyły, drugie zaczynały, jest niepodobieństwem. Szlachcic bił się równocześnie za wiarę i za ojczyznę, bo w nieprzyjacielu widział zarazem wroga religii i rodzinnego kraju. Twardowski jest zupełnie w stylu swego czasu. Polacy poturczeni srodze go bolą, [2]) nie tylko jako odstępcy ojczyzny, lecz także katolicyzmu. Wierzy w Nemezis dziejową, która Konstantynopol odda w ręce chrześcijan [3]) i zgnębi Turków, którzy dotąd najeżdżali Polskę i świat katolicki.

---

[1]) Maryanny.
[2]) Leg. str. 106.
[3]) Leg. koło str. 100.

Chociaż jednak Twardowski był przez całe życie gorąco wierzącym człowiekiem, przecież nie posuwał się do fanatyzmu i okazywał tolerancyjność religijną jak narodową.[1]) Żydów nie cierpiał wprawdzie zawsze,[2]) ale też uważał ich za istoty minorum gentium: natomiast dla innowierców był wyrozumiały, nawet wcale pochlebnie się o nich wyrażał.[3]) Dopiero pod koniec życia na widok zdrad dyssydentów, którzy przełożyli interesa osobiste nad dobro ojczyzny, dopiero kiedy doświadczył, jak ich patryotyzm szedł w puch wobec najezdnika, mającego wspólną z nimi wiarę, wówczas stał się w swoim rzymskim katolicyzmie wyłącznym i radby „oczyścić dom z śmieci“ obcych religią, chwiejnych w miłości ojczyzny.

Jest zarazem papistą. Kościół jest jeden, powszechny, stolica Piotrowa powinna nad nim niepodzielną władzę sprawować. Dumny patryarcha walczył o prymat z papieżem, a potem czołem bić musiał wezyrowi.[4]) To boli: to boli bardzo, lecz kara jest w tem Boża za pychę, lekceważącą prawdziwą konieczność jedności naczelnej władzy kościoła.

Jak tu, tak i wszędzie widzi Twardowski rękę Bożą, która już to nagrody rozdaje, już to karami nęka. Więc siły natężyć, wolę skupić, wytrwałość w pomoc przyzwać należy, by zarobić na łaskę niebios. Źle jest, gdy kto nie rozumie tej prawdy. Nie uznają jej częstokroć Polacy, gdy się na specyalną opiekę Bożą zdają i sądzą, że bez pracy od nieszczęść Opatrzność ich uchroni.

Twardowski nie jest powierzchowny w swojej religijności i zewnętrzną świetność obrządku dość lekko waży w stosunku do treści. „Mniey trway o to (ładny pogrzeb), gdy dobrze dziać się będzie z duszą“[5]) powiada w „Legacyi“, niejako do zmarłego Tysieckiego się zwracając. Lecz przez ten brak powierzchowności tem bardziej oburza się, gdy zobaczy, jak ktoś obłudnie wielkiego

---

[1]) Wład. IV. str. 18.

[2]) Leg. Woj. dom. — liczne ślady.

[3]) Wład. IV. str. 217. Woj. dom. cz. II. str. 212. Satyr: O sądach, str. 16.

[4]) Leg. str. 207.

[5]) Leg. str. 159.

słowa religii używa za hasło, aby osłonić egoistyczne cele. Tak u Turków

„Płaszczem się religiey pokrywa ochota,
A w rzeczy nic innego ieno chciwość złota". [1])

Tak księża niektórzy wyzyskują swoje stanowisko, żeby napełnić trzos i zaspokoić łakomstwo. W „Satyrze" za to schłostani zostali.

Zabobonność pospolita w XVII. w., niemal powszechna, wkradła się naturalnie także w ten średni umysł, jakim był Twardowski. Wierzy on w wróżby, [2]) wierzy w złe omina, [3]) wierzy w sny, [4]) wierzy w szkodliwą potęgę czarownic. Nie dziwi go ścięcie wieszczki, która Firlejowi przepowiedziała przegraną, bo jest zupełnie przekonany, że Chmielnicki przysłał ją, ażeby uroki rzucała na polskie wojsko. [5]) Zabobon do dziś dnia przechował się we wielu sferach, czyż można się dziwić ówczesnym ludziom?

Patryotyzm Twardowskiego zespala się z religijnością, jak to wyżej już zaznaczyłem. Jest on Polakiem z krwi i kości i dumnym z tego, że jest Polakiem. Wierzy w specyalną opiekę Bożą nad swoją ojczyzną, [6]) to też dzięki tej wierze jest jakby cieniem w przeszłość przez mesyanistów rzuconym. Rozumie jednak patryotyzm obcy, [7]) jeno innemi narodowościami pomiata, lub je lekceważy. Względem Szwedów po sławnym najeździe za Jana Kazimierza czuje nawet bezwzględną nienawiść. Turcyi nie znosi od zarania lat swoich; wszelki związek z sułtanem smuci go, więc boleje nad przymierzem z Turcyą, jakie Polska zawarła przeciw

---

[1]) Leg. str. 158.
[2]) Np. Wład. IV. str. 19, 74, 100.
[3]) Tamże, str. 45.
[4]) Tamże, str. 102.
[5]) W. dom. cz. I. str. 49.
[6]) Tamże, str. 3 i 43.
[7]) Wład. IV. str. 18.

Moskwie i Kozakom.[1]) Niemcami gardzi, pomocnicze wojska austryackie w wojnie ze Szwedami uważa za łupieskie i niedołężne.

Z ód Sarbiewskiego wybiera te do tłumaczenia, które zagrzewają do męstwa, miłości współplemiennej, cnoty, poszanowania praw ojczystych. Sam zagrzewa także do ofiarności publicznej i karci skąpstwo szlachty w tym względzie.[2]) Zarazem sądzi, że wszyscy Polacy powinni być owiani ideą wspólności i braterstwa, a nie egoistycznie troszczyć się wyłącznie o swój powiat i nie dbać o rodaków najechanych przez wroga.

Zdradą brzydzi się zasadniczo.[3]) A jednak pisze „Omen". Jak to pogodzić ze sobą? Nie sposób. Można go tłumaczyć, nie można usprawiedliwić. Odczuwał wszystkie nieszczęścia ojczyzny i przejmował się bólem na widok klęsk; wówczas zawiodło go patryotyczne sumienie. Plama zostaje na nim, jak na jego towarzyszach w odstępstwie. Plama ta blednie, jeśli się rozumie ówczesne poglądy: blednie, ale nie znika.

Wśród szlacheckiego społeczeństwa, które dążąc do absolutnej swobody, rozkochane w złotej wolności patrzyło na króla zawsze z nieufnością i podejrzeniem, że zapragnie samowładzy, — stanowi Twardowski rzadki wyjątek. Jest rojalistą. Fakt to tem ciekawszy, że jego najbardziej umiłowany protektor, Krzysztof Zbarazki, często bruździł w królewskich zamiarach. Ale Twardowski ma bystry zmysł polityczny i widząc, jak niezbędne reformy inicyuje tron, choć bez skutku, przywiązuje się do idei królewskiej i głosi ją wprawdzie nie wprost, ale pośrednio. Wiara w dziedziczność i intuicyjne odgadywanie, może świadomość, że siła ducha dobywa się przez kształt zewnętrzny, tworzą w nim teoryę o samej fizycznej postaci króla, która zdradza władzę już w samych rysach twarzy.[4]) Oczywiście przejmuje go okropnem oburzeniem sprawca zamachu na Zygmunta: imienia zbrodniarza nawet umyślnie nie wymienia.[5]) Mniej naturalnie, ale zawsze gniewa go nie-

---

[1]) W. dom. cz. II. str. 121 i 151.
[2]) Woj. dom.
[3]) Wład. IV. str. 83.
[4]) Tamże, we wielu miejscach.
[5]) Tamże, str. 98.

dowiarstwo względem króla i nałogowa opozycya szlachty. Otóż ten rojalizm piętrzy jeszcze trudności zrozumienia „Omenu“ zwłaszcza w połączeniu z jego zasadniczym konserwatyzmem:

„...każda jest odmiana
Niebezpieczna z natury, cóż dopiero w Pana
Nieznanego poddanym“.[1])

Twardowski bierze w obronę Wielkopolan, że się szybko poddali. Tłumaczy ich: nie posiłkowani ani ludźmi, ani armatą, nie wspomożeni nawet przez sąsiednie województwa, jakżeż wytrzymać mogli? Dajmy na to, że nie mogli wytrzymać. Ale między poddaniem się, a popieraniem obcego króla, czy nie ma przepaści całej?

Politykiem wojny nie był podobnie, jak ogół szlachty. Kiedy po obiorze Jana Kazimierza, Chmielnicki cofnął się i jedni radzili bić go, drudzy zatrzymać pokojem, Twardowski tych drugich nazywa „uważniejszymi“.[2]) Swoją drogą w tym wypadku potem zdanie zmienił, gdy się przekonał o uporze i całej perfidyi Chmielnickiego.

Politykiem jest także spokojnym i nie zacietrzewia się względem nieprzyjaciół wogóle, chociaż czasem uznaje wyjątki. O synu Krzywonosa powiada, że powinien był „za oyca słusznie bydź na palu“,[3]) a o samym Chmielnickim wyraża się z pasyą; co prawda jednak ci dwaj przebrali miarę ludzkiej wyrozumiałości.

Jako polityk zewnętrzny jest Twardowski znowu, jak szlachta ówczesna, mało przedsiębiorczym. Wyprawy bowiem z Dymitrem lub na Wołoszczyznę mają charakter awanturniczy raczej, niż jakiejś konsekwentnej myśli politycznej. Inaczej było z królami; wszyscy Wazowie hodowali daleko sięgające pomysły, niestety właściwie zupełnie pozostałe w sferze zamiarów. Twardowski popierał plany Zbarazkiego, a potem Władysława IV. i Koniecpolskiego hetmana, którzy marzyli o zupełnem zgnieceniu Turcyi. Tę ideę propagował nawet dość usilnie,[4]) lecz jest to

---

[1]) Woj. dom. cz. II. str. 141.

[2]) Tamże, cz. I. str. 42.

[3]) Tamże, str. 50.

[4]) Leg.“ „Wład. IV.“ Tłum. z Sarbiewskiego. Koniec „Szczęśliwej moskiew. eksped. Wład. IV.“

jedyny przykład przedsiębiorczości i tak inspirowanej przez kogo innego.

Twardowski nienawidzi tyranii. W równej mierze anarchii:

„...żaden nie brykał
Tyran długo i państwa, które są gwałtowne,
Ani prawem i rządem iakim są warowne
Muszą przez się upadać".

Takie rozumne założenie pociągnęło rzecz prosta zastanowienie się, czy w Polsce sprawy idą należytym trybem, czy też nie. Twardowski nie zostawił po sobie systematycznego poglądu na stan Rzpltej, ale w licznych dygresyach po historycznych poematach, w „Satyrze" i krótkich wierszach są ślady, jakie widział, luki w ojczystym prawie i rządzie. Tyle zaś daje dowodów zdrowego politycznego zmysłu, że suponować się godzi jak najzaszczytniej o całokształcie jego poglądów w tej materyi.

O królu i chorobliwym stosunku szlachty do króla mówiłem wyżej. O karności wojskowej [1]) i żelaznej dyscyplinie także. Szczególnie ciekawe i miarodajne są jego uwagi o pospolitem ruszeniu. [2]) Źle jest — powiada — że spuszczamy się na nie, skoro to nasz grom ostatni. My jednak musimy od razu nim uderzać, czyli po niepowodzeniu zostajemy z gołemi rękami. Dawniej to było możliwe i dobre, pókiśmy „w obrotach" zawsze bywali i bez długich „konsultacyi" uderzali. Teraz zdajemy się na kilka tysięcy zaciężnych, lecz czy to dosyć straży od pogan, dla pokoju i złotej wolności? Pospolite ruszenie jest niesprawne, gadatliwe i nie zna subordynacyi. Przyznajmy (powiada):

„Żeśmy męstwo wyzuli, że się bić nie chcemy,
I więcey prócz uciekać grubo, nie umiemy,
Więc szerzem się na włości i przy kuflach srogich
Niemal krew wysączaiąc z oraczów ubogich
Wiele dokazuiemy; a gdy do potrzeby,
Abo się absentuiem, abo o tym, gdzieby
W stronę umknąć, myślimy". [3])

---

[1]) Woj. dom. cz. II. 83.
[2]) Tamże. cz. I. 84.
[3]) Tamże, cz. II. 72.

Obraz smutny, niestety prawdziwy. Rada na to: lanowe tworzyć piechoty.

Podobnie powstaje Twardowski na gadulstwo i zrywanie obrad w sejmach, [1]) politykomanię i dysputowanie dla dysputowania, [2]) niedojrzałą młodość senatorów, zły, próżny skarb, przekupstwo urzędów, nawet sądów, upadek handlu, prywatę i rozhukane umiłowanie swawoli.

Ten szlachcic prosty i szczery, żołnierz i obywatel-gospodarz, gorący katolik nie bez zabobonności, patryota i rozumny polityk, często okiem ducha spoglądał w przyszłość pozagrobową swojego imienia i z pogodą w sercu marzył o nieśmiertelności. Był poetą. Nie tu wyznaczyliśmy sobie miejsce na rozbiór jego talentu i określenie cech twórczości: pragniemy jedynie parę słów powiedzieć o wiązaniu, jakie spajało charakter człowieka z usposobieniem poety. Czuł on nieraz, jak dziwna siła rozpalała się w jego duszy i jak natchnienie spływało z nią razem. Wówczas podniesiony duchem wyrywał się myślą z ziemskiego otoczenia, a przyzwyczajony wszystko tłumaczyć na język klasyczny, swój stan gotów był zawdzięczać Muzom z orszaku delickiego boga, jakby one kładły ręce na strunach jego wyobraźni i poczynały grać na nich natchnione melodye. Dumny z łaskawości Muz, o zawodzie poetycznym bardzo wysokie miał pojęcie, bo sądził, że w chwilach twórczego podniecenia godzien jest zasiąść do olimpijskiej biesiady w gronie bogów. Nie miała jednak poezya jego służyć próżnej i wietrznej piękności, jeno przez piękność prawdzie:

„Jowiszowe córy,
Które coś nam za ducha posyłacie z góry,
Że onym napuszeni uderzać się zdamy
Głową w niebo y Bogów samych dosięgamy,
Stołu ich uczestnicy, nie iako po grudzie,
Albo czołach Stojickich, ale p r a w d ę w ludzie
Wierszem wdzięcznym wmawiając...“ [3])

---

[1]) „Na seym“. Mis. sel. 92.
[2]) Satyr.
[3]) Wład. IV. str. 1.

I nie mógł szlachcic polski inaczej pojąć swego zawodu, bo praktyczny pożytek społecznej służby pociągał go za silnie. Współczesna Polska ceniła go wysoko i zgodnie nazywała polskim Maronem bez poczucia, że wpada w przesadę. On zaś mówił spokojnie jak Horacy, o sławie swojej pośmiertnej: „urodziłem się do poetyki, zkąd spodziewam się imienia nieśmiertelności“ [1]) i wolny był od trwożliwej drażliwości autorskiej, od zazdrości względem kolegów po piórze.

Estetycznie nie był wyrobiony i w odczuwaniu tak natury, jak sztuki objawiał zapał średni. Z opisu dawnego kościoła świętej Zofii, [2]) dziś meczetu w Stambule, z opisu pałacu sułtana [3]) nie wymiarkować się nie da o wrażeniu, jakie architektura na nim wywoływała, a samo takie milczenie świadczyłoby ujemnie. Dla malarstwa może miał podziw, ale podziw nie jest estetycznem zadowoleniem. Muzyka, najłatwiejsza do odczucia, pewnie oddziaływała na niego najsilniej. Orfeusza zawsze z dumą wspomina i wierzy w potęgę melodyi, bo:

„po iego lutni
Słonie, lwi y Pardowie skakali okrutni“. [4])

Swoją drogą zabawny i ucieszny musiałby być widok, gdyby słoń z lwem zaczęli hołupce wybijać. Ale zawsze dowodem to zostanie, że rozumiał silny wpływ muzyki na nerwy nawet najgrubsze. Wysokiego pojęcia naturalnie i rozumienia muzyki nie miał. Na natury pierwotne oddziałują dźwięki wprost fizyologicznie i rytm, melodya, która bieg krwi przyspiesza, jest najwyższym wyrazem sztuki tonów. Twardowski również jest niewymagającym i oto przyznałby pochopnie wyższość nad samym Orfeuszem automatowi muzycznemu, który przecież nie może mieć wyrazu, który musi być bezbarwny, jakby tępy i suchy. Kiedy naprzykład opi-

---

[1]) Mis. sel. str. 91 (z Horacego oda).
[2]) Leg. 139.
[3]) Ibidem.
[4]) Ibidem.

suje srebrny kołowrotek (darowany przez księcia Zbarazkiego matce sułtana), w którym był instrument samogrający, tak mówi:

„Zewnątrz tony y panzy tak się w nim zgadzały,
Że kołem obrócone same strony brzmiały
Francuskie Pasamedze. Gdzieżbyś się nie zdumiał?
Y cobyś o Orfeu z lutnią tu swą umiał? [1])

Dr. Stanisław Turowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) Leg. str. 103.

KLUB PATRYOTYCZNY WARSZAWSKI

w czasach powstania listopadowego

(1830 — 1831).

(Ciąg dalszy).

VII.

Posiedzenie klubu 27. stycznia. — Oddziaływanie na wojsko. — Projekty pism. — Głos Wójcickiego. — Wyznaczenie komisyi. — Grzymała za ogłoszeniem nowych wyborów. — Wniosek Psarskiego. — Protest ob. Dorożko. — Projekt adresu do Piotra Wysockiego. — O zniesieniu komisyj wojewódzkich. — Wójcicki za zniesieniem list płacy biskupów i prałatów. — Ks. Pułaski w obronie biskupów. — Wniosek ks. Tęsiorowskiego. — Sołtyk o artykule *Nowej Polski*. — Mochnacki i Gurowski chcą ustąpić z klubu. — Głosowanie.

27. stycznia na posiedzeniu klubu pod prezydencyą ks. Pułaskiego ob. Woliński rozwinął potrzebę obznajmiania wojska z wypadkami krajowymi. Radził w tym celu, by wezwać redaktorów poważniejszych dzienników warszawskich do przesyłania za pośrednictwem głównego sztabu pewnej liczby egzemplarzy tychże pism wojsku.

Obyw. Miklaszewski, Kacperski i Kazim. Wład. Wójcicki silnie poparli ów wniosek, z uwagi, że dotychczas „żaden jeszcze

z naczelnych wodzów nie przemawiał z entuzyazmem do żołnierzy". Należałoby podnieść w wojsku ducha obywatelstwa i wlać w nie przekonanie, że „*una salus est nullam sperare salutem*".

Obyw. Dmochowski przemawiał za potrzebą wydawania specyalnej gazety dla wojska.

Wyznaczono do ułożenia w tym przedmiocie projektu komisyę, złożoną z Wolińskiego, Miklaszewskiego, Wójcickiego, Dmochowskiego i Janowskiego.

Fr. Grzymała radził wystosować do Sejmu petycyę, by się za nieustający ogłosił. Przypomniał obyw. Szuszkowski, iż poseł Ledochowski już taki wniosek był poprzednio uczynił.

Obyw. Krzymuski chciał, by wyznaczono deputacyę z 14 posłów i senatorów, któraby ciągle obradowała. Radził, by Izba ustanowiła nowe prawo o wyborach i nowe wyznaczyła wybory.

Obyw. Psarski radził, by na wypadek ogłoszenia Sejmu za nieustający, obyczajem przodków pomieścić posłów w zamku i utrzymywać ich kosztem narodu.

Obyw. Dorożko był przeciwny nowym wyborom, twierdząc, że Sejm obecny zasłużył na zaufanie Ojczyzny.

Na wniosek Kamilla Mochnackiego zebranie poruczyło oddzielnemu komitetowi ułożenie adresu do Piotra Wysockiego, z wynurzeniem wdzięczności za jego zasługi dla rewolucyi.

Czytano list Aleksandra hr. Walewskiego z doniesieniem o przyjaznych uczuciach gabinetu paryskiego dla Polski, oraz inny list z nad granic Litwy o wrzeniu w wojsku rossyjskiem.

Obyw. Moszyński dowodził potrzeby zniesienia komisyj wojewódzkich, które opóźniają tylko egzekucyę rozkazów rządowych.

Odparł Jakubowski, że byłoby to naruszeniem konstytucyi w punktach *de facto* nienaruszonych, a przez Sejm uświęconych.

Obyw. K. Wł. Wójcicki był za zniesieniem wielu urzędów cywilnych, a bardziej jeszcze za wymazaniem z list płacy pensyj biskupów i prałatów.

Kacperski zarzucił, że nadwerężenie w czemkolwiek przywilejów biskupich mogłoby niekorzystnie oddziałać na ludność.

Wszelako Dmochowski poparł wniosek Wójcickiego i jemu też powierzono opracowanie projektu odpowiedniego.

Prezydujący ks. Pułaski wyjaśnił, że wielu biskupów poczyniło już znaczne ofiary, a wymagana oszczędność mogłaby być pozyskaną przez zmniejszenie biskupstw i seminaryów.

Na wezwanie prezydującego ksiądz Tęsiorowski zdał raport z projektu rozkrzewiania ducha obywatelstwa między ludem. Po-

stanowiono wydawać pismo: Tygodnik patryotyczno-religijny. Dmochowski był za wydawnictwem litografowanem, jako tańszem, patryotycznych kazań i artykułów do pojęć ludu zastosowanych.

W końcu obyw. Miklaszewski podniósł projekt papierowej monety.

Nazajutrz d. 28. stycznia prezydował klubowi Roman hr. Sołtyk i w zagajeniu oświadczył, że artykuł *Nowej Polski* pod tyt.: Własność języka polskiego, przykre uczynił na Sejmie wrażenie, a jakkolwiek klub obrał sobie owo pismo za swój organ urzędowy, to jednak z pomienionym artykułem nie ma nic wspólnego.

Obyw. Miklaszewski był za podaniem Sejmowi adresu usprawiedliwiającego.

Ks. Pułaski uznał taki adres za zbyteczny, gdyż klub nic o artykule nie wiedział. Grzymała w tym samym przemówił duchu.

Sołtyk oświadczył, że należałoby ogłosić w pismach o uczuciach klubu dla Sejmu.

Po oddaleniu się Sołtyka, krzesło prezydyalne objął ks. Pułaski i odczytał listy Maurycego Mochnackiego i Gurowskiego, proszące o zwolnienie ich z udziału w klubie, z uwagi, że jako współpracownicy *Nowej Polski* nie chcą ściągać na klub niechęci Sejmu.

Dały się słyszeć oklaski, co znów wywołało podanie się do dymisyi członka Chrząszczewskiego. Nowe oklaski.

W tej chwili ks. Pułaski oświadczył, że i on klub opuszcza, gdyż uważa się za objętego niełaską kolegów dla Mochnackiego i Gurowskiego.

Obyw. Miklaszewski zaklął oddalających się, by pozostali, gdyż byłoby to z ich strony czynem nieobywatelskim.

Obyw. Kotlik przypomniał słowo honoru, obowiązujące członków klubu.

Zgodzono się wreszcie zarządzić głosowanie nad wykreśleniem protestujących z liczby członków.

Większość zgodziła się, by nie wykreślać tych, którzy tego żądali.

VIII.

Pamiątkowy obchód nocy listopadowej. — Sala akademicka. — Zagajenie Lacha Szyrmy. — Wiersze Hunnickiego. — Mowa Hubego źle przyjęta. — O Gołuchowskim. — Wiersz Magnuszewskiego na cześć młodzieży. — Kiciński. — Dmochowski. — Śpiewy dam polskich o 3. Maja i Cześć polskiej ziemi. — Obchód patryotyczny u Karmelitów. — Ks. Pułaski i Adryan Krzyżanowski. — Straż honorowa. — Grzymała o męczennikach polskich. — Przysięga ludu. — Poznańczycy. — Wieczorne posiedzenie klubu. — Przeciw Geraldowi Witowskiemu. — Świeca symboliczna.

Dzień 29. stycznia 1831 r. wybrał klub jako święto pamiątkowe dla uczczenia daty powstania listopadowego. O 5-tej wieczorem wszystkie miejsca sali akademickiej zapełniły niezliczone tłumy. W okół stołu prezydującego i na galeryi zasiadły damy. Prof. Szyrma w mundurze gwardyi akademickiej zagaił posiedzenie, uczciwszy noc 29. listopada.

Ks. Pułaski odczytał patryotyczną przemowę na cześć entuzyazmu, z jakim naród przyjął i zachowuje pamięć wiekopomnej nocy.

Po wierszach Hunnickiego oklaskami nagrodzonych i po przemówieniu prof. Kunatta, zabrał głos prof. Hube, lecz mowa jego, krytycznie poryw patryotyzmu oceniająca, nie znalazła uznania. — Dopatrzono się w niej wpływu prelekcyj Gołuchowskiego, „owego filozofa w chłopskim stroju, odrabiającego pańszczyznę arystokratom, lekcye niebezpieczne dla narodowego entuzyazmu". Wśród sykań i pogwizdów zakończył Hube swoje niezręczne wystąpienie.

Dały się słyszeć okrzyki: „W i w a t J e z i e r s k i, B a j k o w i N o w o s i l c o w!"

Poeta Magnuszewski wygłosił wiersz na cześć młodzieży akademickiej i w tej chwili właśnie gdy na scenie teatru narodowego grano jego tragedyę „G l i ń s k i", otrzymał poklask zgromadzonych klubistów, za przypomnienie wersetów z Mickiewicza: „R a z e m m ł o d z i p r z y j a c i e l e" i z ody bojowej Słowackiego.

Bruno Kiciński odczytał naśladowanie z m e s e n n i e n ó w francuskiego wieszcza.

Jeden z akademików przemówił na temat tyranii i wolności. Po nim popisywali się Stanisław Koźmian, Gaszyński i Franci-

szek Salezy Dmochowski. Część oratorską zakończył Fr. Grzymała okrzykiem: „Do broni!“, powtórzonym z zapałem przez obecnych.

Uproszono następnie damy o uświetnienie zebrania popisem wokalnym. Panie Bońkowska i Łabęcka śpiewały o 3. Maju i Cześć polskiej ziemi i wywołały udziałem swoim uwagę pism peryodycznych, iż „w teraźniejszej Polsce zdaje się spełniać owa myśl, powstająca dziś w Anglii i Ameryce, że kobiety mogą i powinny należeć do życia publicznego.“

We dwa dni później, zgodnie z zapowiedzią ks. Pułaskiego, święcił klub w kościele Karmelitów obchód pamiątkowy na cześć męczenników polskich.

Przed nabożeństwem obyw. Leon Ulrich i Marceli Pomaski oddali cześć nieszczęśliwym ofiarom: poczem zabrał głos Bruno Kiciński, a po nim miał wzniosłe kazanie ks. Pułaski. Adryan Krzyżanowski odczytał serdecznie odczutą mowę głosem cichym, przez obecnych mało usłyszanym, poczem Ksawery Bronikowski, osobiście wycierpiawszy długie lata więzienia, skreślił we wstrząsającym obrazie dzieje Bastylii warszawskiej. Kapitan Wieland energicznym głosem zakończył obrzed kościelny.

Oddział szwadronu Braci zjednoczonych, który pod swoim dowódzcą pełnił honorową straż w świątyni, zdjął z katafalku i wyniósł trumnę do więzień. Przed bramą przemówił Franciszek Grzymała i w żywych barwach odtworzył obraz ofiar, które w tym przybytku cierpienia zgasły. Odmalował cierpienia Dobrogojskiego, co lat szereg mnogi przebywszy wśród wojen po różnych ziemiach, na obu półkulach, okryty bliznami i zaszczytnymi znaki, ozdobiony przez Napoleona przydomkiem mężnego, cierpiał w kajdanach za to, że już siwy jak gołąb marzył o niepodległości Ojczyzny. Przypomniał Sabińskiego, który zaledwie wyszedłszy z dzieciństwa, oddał się sprawie wolności i znalazł śmierć męczeńską, w więzieniu kończąc. Wskazał mowca na zawieszony portret siepacza Rożnieckiego, obrzucony klątwą obecnych.

Gdy wniesiono trumnę do sklepu, Józef Majzner uwolniony przez lud w dniu 30. listopada, w krótkiej, lecz rzewnej przemowie pożegnał i tę trumnę i owe straszne pamiątki. Dwa te ostatnie głosy podniosły entuzyazm zebranego tłumu. Na klęczkach wykonali mężczyźni i kobiety przysięgę poświęcenia się sprawie wolności.

Na uroczystości była obecną i młodzież poznańska.

Wieczorne tegoż dnia zebranie klubu poświęcone było wyłącznie ocenie działalności dziennikarza Gerarda Witowskiego (1787—1837), który jako Pustelnik z Krakowskiego Przedmieścia, naśladując francuskiego satyryka Jaisa, wydawcę pisma: *L'Ermite de Chaussée d'Antin*, również jak i on wyśmiewał systematycznie obyczaje i ludzi swej epoki. Należał on do składu redakcyi dawnego *Monitora* i *Gazety Warszawskiej*, urzędował zaś pod Szaniawskim. Zarzucono mu, że w swym *Pustelniku* potępił nie tylko wolność druku, lecz i sam wynalazek druku, jako szkodliwy i niepotrzebny. „Grecy i Rzymianie — twierdził Witowski — nie znali druku, a byli światłymi ludźmi. Ztąd — zdaniem jego — i dzisiejsza cywilizacya bez druku obejść się może“. Oskarżał przytem romantyków o dążność rewolucyjną w literaturze, co na romantyków ściągnęło podejrzenie, że stanowią sektę polityczną. Gdy zmarłemu Prezesowi Bielińskiemu wyprawiono pogrzeb narodowy, Witowski śmiał się z entuzyazmu młodzieży, gromił liberalistów a chwalił nabożnisiów. Był wrogiem rewolucyi, którą buntem mianował i podnosił znaczenie władzy silnej. Podczas pamiętnej nocy Listopadowej ukrył się przed ludźmi i dopiero piątego dnia wyjrzał na światło dzienne, a nawet przybył na posiedzenie klubu.

Po wygłoszeniu owej filipiki, ozwało się szemranie wśród obecnych, ktoś gorejącą świecę rzucił przez długość sali w kierunku, gdzie dostrzeżono Witowskiego. Unikając dalszych następstw oburzenia, wyniósł się Witowski z owego „gniazda Jakobinów“, jakiem nazwał klub patryotyczny.

IX.

Uczczenie Staszica. — Pochód na Bielany. — Ks. Korycki i Krępowiecki przypominają ustawę o cenzurze. — Wieści o wkroczeniu kozaków. — Proces *Nowej Polski*. — Sąd poprawczy uwalnia oskarżonych. — Tryumf *Nowej Polski*. — Przeciw Sejmowi z powodu Lelewela.

Z kolei klubiści postanowili uczcić na Bielanach grób wielkiego patryoty Staszica i w tym celu 3. lutego urządzili nabożeństwo w kościele OO. Kamedułów na Bielanach. Młodzież pieszo odprawiła pielgrzymkę do grobowca bielańskiego. Ksiądz Korycki i artylerzysta narodowy Krępowiecki, czcząc pamięć zasłużonego

męża, nie pominęli zarzutu, iż swego czasu podpisał ustawę o cenzurze. Zgromadzeni uczcili grobowiec skromny Staszica, wynurzywszy żal, że go trwalszym dotychczas nie uczczono pomnikiem.

Tegoż dnia, gdy nadeszła pierwsza wiadomość, iż kozacy przebyli Bug pod Łosośną i gdy wojska stolicy wyruszyły na spotkanie wkraczającej armii rossyjskiej, odbyła się w Sądzie poprawczym I. obwodu miasta Warszawy, sprawa przeciw organowi klubistów *Nowa Polska*, obwinionemu o obrazę Sejmu. Sąd poprawczy nie uznał istoty czynu w inkryminowanym artykule i zwolnił redaktorów od wszelkiej odpowiedzialności.

„Cześć obywatelstwu Sądu policyi poprawczej — pisała *Nowa Polska* w Nr. 34. — Cześć niepodległym urzędnikom. Sąd policyi poprawczej uszanował wolność druku, uczcił rewolucyę i okrył zasłużonem zawstydzeniem przeciwników wolnej, szlachetnej, Ojczyznę i rewolucyę tylko szanującej opozycyi".

Wysławiając zasługi prezesa klubu Lelewela, zwróciła *Nowa Polska* nowy kołczan zatruty przeciw Izbie poselskiej, iż męża tak zasłużonego najmniejszością członkiem rządu obrała.

„Opinia publiczna — głosiła redakcya — wskazywała mu pierwsze miejsce, jako reprezentantowi najśmielszych wyobrażeń rewolucyjnych, jako twórcy tej strasznej chwili, z której się albo wielkość Polski, albo ostateczne wywiąże zatracenie. Rzec możemy: że bez tego rozmnożyciela i patrona rewolucyjnych w Polsce wyobrażeń, powstanie nasze do dalszego czasu byłoby odłożone. On pierwszy zwrócił na siebie uwagę wojskowej i cywilnej młodzieży. Ośmielił odważnych, pobudził nieśmiałych, zaszczepił ufność w sercu wątpiących. Z tego względu, jego nazwać by można autorem nocy 29. listopada. Weźmy w nasz rozmysł to, co zdziałał dla powszechnej oświaty polskiej, nie w gronie sejmującem, ale z mownicy profesorskiej, któż podniecał iskrę tlejącą w sercach polskiej młodzieży w Warszawie, Krzemieńcu i Wilnie? I kto te zarody ożywczem rozwijał tchnieniem przez pisma rzecz polską wyświecające?

„Lelewel jest niewątpliwie najpopularniejszą w Polsce osobą. Uważając zaś mechanizm nowego rządu i oceniając ową mniejszość kresek, tak zdaje się, jakoby Izba dlatego tylko obrała go członkiem rządu, aby nie rządził i nie posłował, gdyż jako członek tej najwyższej magistratury, na obrady sejmujących wpływać nie może; a jako piąty z porządku, w każdej równości głosów, w nieobecności prezesa i za każdem przybyciem wodza oddalać się musi. Przetoż działalność jego w kole sejmujących ustała,

a w administracyi jest podrzędna i ścieśniona. Dostał mu się najszczuplejszy ułamek władzy, mimo największej ufności, jaką wznieca ku sobie za obrębem Izb sejmowych".

X.

Kwestya socyalna w klubie. — Włościanie a własność ziemska. — Krępowiecki przemawia za rewolucyą socyalną. — Nadanie włościanom ziemi. — Ostrowski przypomina wniosek Sołtyka. — Krzymuski w obronie obywateli ziemskich. — Projekt Dębińskiego wypuszczenia listów zastawnych za ziemie oddane włościanom. — Krzyżanowski przeciw projektowi. — Miklaszewski o sprzedaży soli. — Gurowski w obronie praw skarbu. — Projekt ogłoszenia emigrantów za zdrajców kraju.

Oprócz spraw polityki ogólnej, narodowej i sprawy natury socyalnej znalazły gorących rzeczników w łonie klubu patryotycznego.

Na pierwszem miejscu była sprawa włościańska, którą zapaleńsi klubiści pragnęli rozstrzygnąć, nadaniem włościanom ziemi na własność.

Tadeusz Krępowiecki dowodził, iż mylnem jest mniemanie tych, którzy twierdzą, że u nas nie ma powodów do rewolucyi socyalnej, a jest jedynie powstanie narodowe, skierowane do wyparcia nieprzyjaciela z dawnych dzielnic polskich. Przytoczył, jakie pobudki miała Francya do rewolucyi w końcu XVIII wieku i porównywał je z pobudkami powstania listopadowego. Uważał, że bez rewolucyi powstanie nasze nie może być dosyć silne. Aby zaś rewolucya postępować mogła, niezbędnem sądził nadanie u nas własności włościanom, dlatego, iżby tem dobrodziejstwem Ojczyzna silniej do sprawy swojej przywiązała masy, których działanie jest najpewniejszą nadzieją tryumfu naszego.

Nadmienił przytem, że Prusy tym sposobem pozyskały znaczną masę ludu własnością obdarzonego.

Józefat Ostrowski, popierając wniosek Krępowieckiego, wspomniał o ogłoszonym w pismach projekcie Romana Sołtyka, w sprawie zakupywania dla włościan naszych własności ziemskiej z funduszu składkowego na pomnik dla cesarza Aleksandra zebranego. Sam zaś radził rozdanie włościanom, którzy wzięli się do broni, własności dóbr rządowych.

Obyw. Krzymuski, krytykując mowców poprzednich, sądził, że nie należy wydzierać własności jednym, dla nadania jej drugim.

Krępowiecki wyjaśnił, że takiej myśli nie miał i oświadczył, że pragnie, by nadanie własności włościanom uskuteczniło się bez krzywdy osób trzecich.

Dębiński uważał, że wszyscy jednako są przeświadczeni o ważności sprawy uposażenia włościan własnością i o korzyściach, jakie ztąd spłyną na kraj, lecz najważniejszem zadaniem jest obmyslenie środka, przez który dzieło to bez pokrzywdzenia osób trzecich przeprowadzić by się dało.

Środkiem tym, zdaniem mowcy, byłoby wypuszczenie papierów publicznych, na wzór Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, któremiby wynagradzani byli właściciele gruntów włościanom nadanych. Papiery takie zabezpieczone na tychże samych gruntach i na podatku, jakiby na wszystkich mieszkańców rozłożonym być mógł, przynosiłyby ich posiadaczom procent pewny, a nadto z podatku wspomnianego i z czynszów przez włościan opłacanych, część pewna funduszu mogłaby być przeznaczona na umorzenie owych papierów.

Prof. Adryan Krzyżanowski odradzał projektowania tej sprawy rządowi, gdyż to mogłoby jeszcze zwiększyć liczbę przeciwników klubu patryotycznego. Nadmienił, iż miał sposobność przekonać się, iż Sejm obecny nie chce się tą sprawą zajmować, mianowicie dlatego, by nie oburzyć właścicieli ziemskich w prowincyach cesarstwa.

Mimo to, prezydujący ks. Pułaski wyznaczył komitet dla opracowania odpowiedniego w tej sprawie projektu i petycyi do Sejmu.

Walenty Miklaszewski podniósł głos w sprawie sprzedaży soli w kraju. Odwoływał się do dekretów króla pruskiego, który przeznaczał fundusz na zakup soli, z potrąceniem 5 procent dla skarbu, co czyniło sól tanią. Mówił, że w tej materyi ostrzegał ks. Lubeckiego, lecz bezskutecznie. Wnosił wkońcu, by klub podał petycyę do rządu w sprawie obniżenia ceny soli, ubytek zaś w dochodzie skarbu radził zastąpić przez podatek osobisty, lub przez zaciągnięcie pożyczki. Tym sposobem klasa włościan chętnie przystąpi do sprawy rewolucyi.

Obyw. Woliński poparł mowców poprzednich i sądził, że tą sprawą zająć się winni publicyści, lecz nie był za podaniem petycyi do Sejmu.

W tym duchu przemawiał i Gurowski z uwagi, że nie można czynić w obecnych okolicznościach uszczerbku skarbowi, że zresztą sam Sejm miał tę sprawę na uwadze przy układaniu budżetu, a jednak pozostawił do czasu dochody solne.

Prezydujący wyznaczył komitet do opracowania w tej materyi stosownego projektu.

Adam Gurowski wniósł projekt ogłoszenia za zdrajców tych, którzy emigrowali z kraju po powstaniu.

Grabowski radził pozostawić ów projekt rządowi, na co Gurowski oświadczył, że rząd będzie działać na zwłokę, klub zaś, reprezentujący opinię publiczną, sam to uskutecznić może.

Wyznaczono komitet dla ułożenia redakcyi owego ogłoszenia.

XI.

Posiedzenie klubu 4. lutego. — Wniosek utworzenia dziennika rządowego. — Mochnacki za jawnością działań rządu. — Objekcye Gurowskiego. — Lelewel w obronie jawności działań wewnętrznych. — Monita *Kuryerowi Warszawskiemu*. — Dmuszewski przyrzeka nadać pismu charakter rewolucyjny. — Saniewski przeciw republikanizmowi Kozłowskiego. — Zasada monarchiczno-konstytucyjna. — Psarski protestuje. — Głosy za Senatem. — Bronikowski za wojną partyzancką. — Projekty uczczenia Belwederczyków.

Na posiedzeniu klubu z dn. 4. lutego 1831 r. obyw. Kozłowski przedstawił wniosek, by rząd czynił działania swoje jawniejszemi przez ogłaszanie ich w dziennikach.

Józef Miklaszewski był za utworzeniem dziennika rządowego, któryby ogłaszał wiadomości pewne, lecz nie zgadzał się na pożytek z ujawniania publicznego zamiarów rządu.

Maurycy Mochnacki, zbijając poprzedniego mowcę, obstawał za zupełną jawnością działań rządowych. Niechaj rząd zdaje sprawę z działań swoich. Naród wiedzieć powinien, jak z nim chcą postępować. Sprawy rządu powinny być kontrolowane przez opinię publiczną.

Gurowski: „Nie mam nic więcej przydać do głosu obywatela Mochnackiego tylko to, że pominął wzgląd na działania dyplomatyczne. Stosunki rządu naszego z zagranicznemi mocarstwami

jawnymi być winny. Czas jest pozbyć się w tej mierze systematu rządów despotycznych, które z dyplomatyki robią tajemnice!"

Lelewel: "„Nieszczęściem dla narodów dyplomatyka tajną być zaczęła od czasu Tyberyusza i nie może do dawnej wrócić jawności. Stosunki nasze z mocarstwami są zbyt małe, a zatem, dyplomatyka mniej ważnym u nas jest przedmiotem. Naszem przeznaczeniem jest działanie samych przez się. Co do jawności w sprawach wewnętrznych, mogę, jako członek rządu zapewnić, że zamiarem naszym jest wynurzać się w dzienniku rządowym z działań naszych, jednakże mnogie zatrudnienia nie pozwoliły dotąd jeszcze tego urzeczywistnić".

Na posiedzeniach lutowych następnych 5., 6., 7. i 8. między wieloma głosami uczyniono redaktorowi *Kuryera Warszawskiego*, Dmuszewskiemu zarzut, iż nie ogłosił wezwania do rękodzielników, aby wstępowali do klubu.

Dmuszewski przyrzekł, iż nada swemu *Kuryerowi* bardziej rewolucyjny charakter.

Obywatel Saniewski, przypomniawszy republikańskie dążności obywatela Kozłowskiego, wygłoszone na poprzedniem posiedzeniu klubu z aprobatą towarzystwa, oświadczył, że się to sprzeciwia uchwale sejmowej, która zasady rządu monarchiczno-konstytucyjnego za podstawę przyszłego rządu Polski obrała. Żądał przeto, by obyw. Kozłowski wykreślonym został z listy członków klubu.

Obyw. Psarski oświadczył, że uchwała sejmowa nie ma sankcyi prawa, gdyż Senat ją jako przedwczesną i wykraczającą za mandat dzisiejszych reprezentantów odrzucił.

Dały się słyszeć okrzyki: Niech żyje Senat!

Obyw. Kozłowski wniósł, by przyspieszono ukaranie szpiegów.

Janowski żądał powtórzenia petycyi o ustanowienie trybunału rewolucyjnego.

Ostrzykowski przypomniał działanie ludu francuskiego przeciw ministrom, tem więcej należy działać przeciw szpiegom.

Obyw. Bronikowski, wystawiwszy ważność wojny partyzanckiej, odczytał ustawę związku w tej sprawie się tworzącego. Oświadczył przytem, że choćby nawet rząd krajowy uznał potrzebę układów, to klub nie przestanie odwoływać się do siły orężnej.

Krępowiecki domagał się zaszczycenia sprawców nocy listopadowej oznaką honorową.

Sulimierski twierdził, że ważniejszą dla nich nagrodą byłoby ogłoszenie ich nazwisk w aktach sejmowych.

Artur Zawisza uczynił uwagę, że orderami rozporządzają tylko monarchowie, na cześć zaś Belwederczyków należałoby wybić medal pamiątkowy.

Prezes Lelewel zgodził się na utworzenie komitetu, któryby opracował projekt wybić się mającego medalu pamiątkowego.

Alexander Kraushar.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z życia domowego szlachty sandeckiej w epoce Wazów.

(Ciąg dalszy).

Pan Jordan, zamawiając ustawicznie u kupca piękny falendysz, karazyę angielską i sukna morawskie, częstokroć nie spieszył się z wypłatą. Dopiero później zaspokoił te długi, to też jeden ze spadkobierców Tymowskiego († 1631) dopisał na krawędzi księgi kupieckiej z pewną ironią: „Tandem aliquando... die 6. junii 1634 sat cito dat".

W r. 1642, kiedy Nowy Sącz prawował się z Piotrem Rożnem z Mogilna, który ustawicznie rozszerzał miedze swoje i wrębywał się w lasy miejskie w Paszynie, zjechał pan Jordan na rozgraniczenie lasów miejskich od strony Mogilna. Uradowane miasto jego wyrokiem, ofiarowało mu pro honorario beczkę wina za 100 złp.

2. Zygmunt Stradomski z Roćmirowej, podstarosci sandecki (1625—1627). Od Stanisława i Bernarda, braci Czernych z Witowic, trzymał zastawem w 1.355 złp. folwark w Rożnowie (1609 do 1616). Jako szlachcic gospodarny i zapobiegliwy, posługiwał się swym wójtem, Mikołajem Radojewskim, który mu kupował (1608) różne sukna u Tymowskiego, mianowicie uterfin zielony po 44 gr. na ubranie, karazyę czerwoną lub lazurową, i sukno morawskie czerwone na kontusz i żupan, do tego sznurek błęki-

tny i haftki. Dla jejmości pani. Zofii z Jordanów Stradomskiej, brała panna służąca cieniutki falendysz lazurowy po 2 talary łokieć, sznurek i kir czerwony: także brunatnego 1½ łokcia po 2½ złp., dla syna pańskiego Jakóba

Na jarmarku w Lublinie 1611 r., kupił mu Tymowski futro pod giermak za 14 złp. i dał falendyszu błękitnego, także karazyi żółtej 8 łokci po 20 gr., i takiegoż kiru na żupan zimowy.

Od czasu do czasu zjeżdżał Stradomski na obrachunek z kupcem, przyczem wypijali wspólnie 2—3 garncy wina. Żonie i synowi przywoził pięknego falendyszku lub breklestu, a kilka postawów[1]) kiru dla czeladzi. Na jarmark posyłał kupcowi wełny jarzęcej kilka kamieni, za którą chętnie płacił sukiennik sandecki Wojciech Kardasz: prócz tego tatarki 20 wierteli po 15 gr. Jejmość zaś przez wójta beczkę soli i serów kopę z przyczynkiem za 3 złp. To też Tymowski nie wahał się borgować, choćby i na 130 złp.

Rad był Stradomski, kiedy mu wygodzono w potrzebie, ale też i sam lubiał wygodzić drugim. Nie mając jeszcze sam gotowych pieniędzy, a widząc potrzebę kupca, postarał się o nie u krewnego swego, Olbrachta Stradomskiego, który na jego słowo i ręce przysłał 27. marca 1611 Tymowskiemu 397 złp., żądając zwrotu przed św. Janem Chrzcicielem w tym roku. Kupiec nie posiadał się z radości, bo był w potrzebie, to też nie żal mu było kupić dla jejmości pani Stradomskiej w Lublinie jedwabiu za 7 złp., a jegomości na jarmarku w Żmigrodzie kilka serów wołoskich po 22 gr., które on z wielkim smakiem spożywał. Zato państwo Stradomscy mało kupowali korzeni; ledwie raz w rok ów wójt, Mikolaj Radojewski, wziął nieco szafranu, gałganu, cytwaru i cynamonu za kilka groszy — oto cały zbytek.

W r. 1615 przysłał w długu soli 2 beczki za 4 złp.: masła 2 faski po 4 złp.; mąki żytnej 10 korcy a jęczmiennej 4 korce; żyta za 20 złp., jęczmienia kilka wierteli po 15 gr. — wszystko przez pana Samuela Chwaliboga. Brał zaś falendysz obłoczysty po 80 gr. i falendysz zielony, 5 kwart wina starego do flaszki i półachtel piwa.

W r. 1616 jeździł Tymowski do Rożnowa na obrachunek z panem Stradomskim. Na św. Elżbietę obrachowali się ostatecznie. Tymowski wziął od jegomości pszenicy i żyta za 141 złp. 18 gr. Zapisując to do swej księgi rachunkowej, westchnął o bło-

[1]) Postaw sukna miał w sobie łokci 32.

gosławienstwo do nieba: „O Jezu! Ty moja najsłodsza nadziejo!“. sam bowiem zaciągnął dług 68 złp. u pana Stradomskiego, lecz nie na długo.

Posłał niebawem Stradomskiemu pakłaku, synowi Jakóbowi karazyi lazurowej, panu Janowi bratu małmazyi i sukna. a na Wielkanoc wina 6 garncy. uterfinu i baji, dla chłopca zaś żółtego kiru i guzików. Tym sposobem winien był Stradomskiemu tylko 6 złp.. a kiedy niedługo potem zażądano 5 łososi, to się już wyrównały rachunki i jeszcze nadwyżka pozostała. Wygodę więc wielką miał pan Stradomski, bo co tylko potrzeba było. czy szyb do okien i ołowiu na ich oprawę, papieru, żelaza, ryb, czy też kotlarza, bednarza. wszystko zgoła załatwiał Tymowski. Stąd też zażyłość wzrastała między nimi z dniem każdym, bo oba szczerą pracą dorabiali się mienia.

W r. 1617 Zygmunt Stradomski przewyższał już w dostatkach starostę grodowego. Sebastyana Lubomirskiego, któremu Tymowski nie chciał dalej borgować. Mógł też pan Zygmunt pożyczyć kupcowi 400 złp. Jejmość pani Zofia mogła sprawić chrzciny córce pani starościny, co kosztowało ogółem 30 złp. Wydatki mnożyły się wraz z dochodami. Na jarmarku w Żmigrodzie już pani Stradomska potrzebowała 200 złp. na materye tureckie przywiezione z Węgier. Pod płaszcz już kupowała kuny. a wierny sługa Janusz chodził w błękicie po 15 gr.. sam zaś pan wraz z synem w falendyszu obłoczystym po 80 gr. i w karazyi lazurowej śląskiej po 23 gr.. podszytej żółtym kirem: buty safianowe nosił. Zawsze płacił wełną, żytem i solą. Tak było i w r. 1619. Synowi kupił siodło za 2 złp. 15 gr. i szablę za 3 złp. Proch rusznicy i ołów funtami kupował. Dał też do schowania Tymowskiemu 200 złp.. z których za pisaniem odebrał pan Tabaszowski 100 złp., a drugie 100 syn pański, Jakób Stradomski.

W r. 1620 wydzierżawił Stradomski Zabełcze pod Nowym Sączem u pana podstolego, Jana Dobka z Łowczowa. Tymowskiemu na wino pożyczył 400 złp., połowę w dukatach, połowę w trojakach.[1]) zwrotu zaś żądał w ortach czeskich. Pani Stradomska na swoją kuchnię wzięła beczkę wina za 34 złp.

W spółce z Tymowskim kupuje 1621 r. sukien za 1.176 złp. u Piotra Walentyna w Miedzyrzeczu. mianowicie morawskich czerwonych postawów 20. zielonych 7, żółtych 2, goździkowych 3. błękitny 1, miesi 1. Z tych sukien sam pan Stradomski wziął

[1]) Trojak (ternarius). srebrna moneta = 3 groszom.

4 postawy czerwone a zielonych 2, które dał Węgrzynowi, bo wchodził z Tymowskim w spółkę kupi winnej, do której dał zaraz 200 złp.

Ciężki morowy rok 1622 przycisnął widocznie Stradomskiego, skoro pożyczył u Tymowskiego 256 złp. i dał w zastaw miednicę srebrną pozłacaną, konew srebrną garncową i parę roztruchanów. Zastawił także w 100 złp. u pana Krzysztofa Wielogłowskiego łańcuch złoty, ważący 50 czerwonych złotych i to nie swój, ale pani Pieniążkowej, lecz tego samego roku zaspokoił swe długi.

Zabełcze snadź nie tak mu popłacało, jak Rożnów, bo 1624 r. już nie pszenicą i żytem, lecz owsem płacił, którego za 100 złp. dał 125 wierteli. W roku następnym wszedł w powtórną spółkę kupiecką z Tymowskim, dając gotówki 500 złp., a jego spólnik 600 złp. Piotr Walentyn z Międzyrzecza odstawił im do Krakowa morawskich sukien 34 postawy, skąd na furach odwożono je do Nowego Sącza. Pan Stradomski swoimi postawami płacił natychmiast Węgrzynowi z Preszowa za wino.

3. Sebastyan Gładysz z Szymbarku, podstarości sandecki (1613—1617), musiał być zamożnym, skoro żona jego Zofia w koronkach chodziła i złotem za nie płaciła (1609 r.); nawiasem jednak nadmienić należy, że oba czerwone złote, za towar przysłane, były nieco obcięte i po 8 gr. nie doważały. Falendyszek brunatny brała po 80 gr., a karazyę lazurową po 23 gr.

W r. 1614 kupczył pan podstarości w Lublinie, gdzie dopożyczył od Tymowskiego 6 złp., a potem sprzedał mu 4 beczki śledzi po 13 złp. Pani zaś sama brała w sklepie dla sług na ubranie karazyę lazurową po 24 gr., na kurty 15 łokci czarnego morawskiego przedniego po 16 gr., i kiru brzeskiego czerwonego na podszewkę. Kupowała też dla synów swoich karazyę lazurową przed Wielkanocą. Prócz tego 17 łokci czerwonego sukna po 13 gr., szarego 4 i sznurków 13 łokci po szelągu. Z korzeni brała tylko szafran łutami.

Obrotny Tymowski, widząc zysk i pokup win, umówił się z Andrzejem Jordanem ze Strug, i podwodą doświadczonego sołtysa z Muszyny ruszyli na Węgry 1615 r. Tu w Torysie kupili wspólnie u Peregryna Istwana 24 beczki po 100 talarów węgierskich. Otrzymali od niego fury i przewodnika Węgrzyna, dobrze dróg świadomego, a same fury kosztowały do Nowego Sącza 96 złp., t. j. po 4 złp. od beczki. Jechali na Koszyce, Drynów, Preszów, Sobinów, Nowawieś i Petrowianiec. Wozów z winem doglądał wierny zięć Tymowskiego, Stanisław Mączka, ani na krok nie

odstępując od nich. „Wydatki w drodze, oprócz wszelkich opłat i myt. wynosiły 17 złp., razem więc 113 złp., czyli prawie 5 złp. na beczce. Wino złożono w piwnicy pana Jędrzeja Jordana, poobcierano starannie beczki i podolewano, a skoro się trochę podstało, upuszczono naprzód 3 kwarty i posłano do 3 głównych kościołów w obrębie murów miejskich warownych: do kollegiaty, Franciszkanów i Norbertanów.

Pan Gładysz, który pożyczył był Tymowskiemu na to kupno 400 złp., tak bardzo zetknięty z temi winami, raczył osobą swą godną zaszczycić dom Tymowskiego, gdzie przy pogadance o tem i owem wypito wraz z sąsiadami 3 garnce wina. Opowiadał też głośno przed bracią szlachtą o dobroci wina i przysłał 13. września po półgarnca na okaz. Wielmożny Jan Pieniążek z Krużlowej i Simbar, brat starosty grodowego, Sebast. Lubomirskiego, uznali dobre jego własności i udali się do Tymowskiego wraz z panem podstarościm i zapewne jeszcze z kim więcej, bo przecie dla trzech nie wyniesionoby 5 garncy tego wina. W najbliższy czwartek po 13. września zażądał pan podstarości $2^1/_2$, a w następny czwartek dla pana Stan. Chrzanowskiego $2^1/_2$, a w trzeci czwartek dla siebie garniec tego wina. Pożyczone pieniądze wybierał później potrosze. Za 94 złp. kazał sobie kupić złoty łańcuch, żona czapkę za 16 złp. i kobierzec za 13 złp., przez pannę zaś służącą wybierała po kilkanaście i kilkadziesiąt złotych.

Pomimo tak znacznej pożyczki udzielonej poprzednio Tymowskiemu, nie miał przecie pan Gładysz kredytu u niego, kiedy zaraz następnego roku za marnych 20 kilka złotych nie chciał mu zborgować sukna, aż zań zaręczył Krzysztof Janosz, złotnik sandecki. Widocznie kupiec przyszedł do przekonania, że jaki pan starosta, taki i podstarości jego. Bo właśnie niedługo przedtem i staroście wypowiedział kupiecką wiarę. Pani podstarościnie jeszcze cokolwiek ufał i borgował sukna błękitnego kilkanaście łokci i uterfinu zielonego angielskiego. I nie zawiódł się w oczekiwaniu swojem, bo pan Gładysz obrachował się i zapłacił. Dla pewności zaś podpisał się własnoręcznie w księdze Tymowskiego, bo go nie zastał w domu.

Odtąd jednak różne niepowodzenia sypały się, jak z rogu obfitości, na dom państwa Gładyszów. W r. 1618 zastawili w 30 złp. złoty łańcuch, ważący 49 czerwonych złotych, według oszacowania złotnika, Stan. Janosza. Dopożyczyli nań jeszcze 50 złr. i urósł ten dług do 124 złp. W r. 1622 dali znów w zastaw 2 łyżki srebrne z herbem Gryf i literami S. G., które pani Zofia

wykupiła po morowem powietrzu. Póżniej znów 1624 r. przycisnęła ją bieda, bo w nagłej potrzebie musiała w 40 złp. zastawić 8 łyżek srebrnych.

4. Krzysztof z Wielogłów Wielogłowski podstarości sandecki (1618—1624 i ponownie 1628—1638), współdziedzic Klęczan, człowiek stateczny a zapobiegliwy, jak zwykle podstarostowie, chodził w dobrym falendyszku lazurowym po 80 gr. łokieć, o czerwonej kirowej podszewce: ale brał też i sukno kłockie po 12 gr. Lubiał także swoich przyjaciół wspomagać w potrzebie. I tak krewnemu swemu, Jędrzejowi Wielogłowskiemu z Trzetrzewiny, kazał dać przedniego kiru po 12 gr., Czerneckiej 19 łokci karazyi, a Wiktorowi czarnego kiru 12 łokci po 13 gr. Robił mu krawiec Gąska, a potem Marcin Ziółko, a szyli jedwabiem kręconym.

W r. 1615 brał falendyszek lazurowy po $2\frac{1}{2}$ złp. i kir zielony; prócz tego ryby, rodzynki wielkie, pieprz i oliwę funtami. Najczęściej posyłał sługę starszego lub młodszego, a po sukno krawca.

W r. 1618 kupował falendyszek czarny po $2\frac{1}{2}$ złp., ale tylko $1\frac{1}{2}$ łokcia, za to kiru czarnego aż 4 postawy, po 6 złp. postaw tylko bez orta. Kazał znowu dać jakiemuś krewnemu: morawskiego czarnego po 14 gr. Widać, że ciężką żałobę przywdziała rodzina Wielogłowskich, bo oznaką jej był kir czarny.

W r. 1623 wypożyczał pieniędzy na lichwę. Zygmunt Stradomski w 100 złp. zastawił u niego łańcuch złoty pani Pieniążkowej, wartości 50 czerwonych złotych. Za przykładem Stradomskiego i inna szlachta, nie zważając na uchwały sejmowe o wadze i łokciu, imała się kupi. Andrzej Jordan ze Strug wszedł w spółkę win węgierskich z Tymowskim. Krzysztof Wielogłowski, słysząc o dobroci zakupionych win przez obu spólników, chciał sam popróbować szczęścia. Przyłączył się również do spółki, ale z początku bardzo ostrożnie, bo naprzód kupił od Tymowskiego tylko 2 beczki po 75 złp., i to zborgował: dał też na spółkę kupi sukiennej 100 złp. W rok potem wziął już 4 beczki wina dobrego po 118 złp. Złotych 200 dał zaraz, a 272 „obiecał cnotliwem słowem oddać na blisko przyszłe Try Krole“. Wino brał znowu beczkami, a „na bezrok“ był jeszcze winien 276 złp., które obiecał oddać, jak najprędzej.

Jako podstarości sandecki, brał udział w ustawie rzeczy strawnych i robót rzemieślniczych w Nowym Sączu 1630 r., wraz z bratem swoim Marcinem Wielogłowskim, podwojewodzym san-

deckim, Tobiaszem Jaklińskim, burgrabią zamkowym, i Stanisławem Ujejskim, pisarzem grodzkim. Ustawa ta jednak, przykazująca urzędowy wymiar naczyń szynkownych, obok zniżenia cen gorzałek i piwa, nie podobała się miastu i wywołała wielką wrzawę pomiędzy pospólstwem. Zaprotestowano przeciwko temu bezzwłocznie w grodzie sandeckim; posypały się skargi do Jana Tęczyńskiego, wojewody krakowskiego; a nawet wytoczono sprawę w trybunale lubelskim przeciwko podwojewodzemu, który ostatecznie pogodził się z miastem, widząc wielkie rozgoryczenie mieszczaństwa ku szlachcie.

ROZDZIAŁ III.

Borgowanie [1]) i zastawy. [2])

1. Piotr Biernacki, syn Franciszka i Jadwigi z Wielogłowskich, po której dostał część Dąbrowy i Łęgu, odprzedaną później Wespazyanowi Schlichtingowi, zagorzałemu Aryaninowi i głośnemu sojusznikowi [3]) króla szwedzkiego, Karola Gustawa, w czasie jego najazdu na Polskę. Jako niezamożny szlachcic, szukał niekiedy pomocy u krewnych swoich, nie obfitujących w dostatki. W r. 1618 Andrzej Wielogłowski z Trzetrzewiny ręczył za niego, lecz Tymowski nie bardzo ufał, więc pan Andrzej musiał w 12 złp. zastawić 12 talerzy i 12 półmisków cynowych, a nawet płaszczyk tabinowy swej żony. W rok później pani Biernacka, kupując dla siebie 5 łokci falendyszu zielonego po 3 złp., zastawiła czamarę zieloną, futrem podszytą. Snadź do zimy nie zapłaciła

---

[1]) Borg, borgowanie (od niem. Borg, Borgen) kupno na kredyt — trąci oczywiście germanizmem, i może razić delikatne ucho czytelnika polskiego. Zatrzymałem jednak to słowo dlatego, bo ówcześni kupcy polscy stykali się nieraz w interesach handlowych z Niemcami na Węgrzech, Spiżu i w Prusiech zachodnich, zwłaszcza w Gdańsku, Toruniu i Malborgu, i od nich przyswoili sobie ten wyraz, jak wiele innych.

[2]) Już w Przedmowie zaznaczyłem, że szlachta borgowała u kupca różne towary, zwłaszcza sukna, lub w braku dostatecznego z swej strony kredytu, zastawiała u niego kosztowności swoje. W tym rozdziale zestawiam szereg tego rodzaju wypadków.

[3]) Więcej szczegółów o nim zob. niżej w rozdziale VIII.

długu, skoro zniewoloną była czamarę zamienić za płaszczyk, który w zastaw oddała.

Podobnie w następnych latach nie miał pan Biernacki kredytu u kupca. W r. 1621, borgując $3^1/_2$ łokcia sukna morawskiego białego po 28 gr.. dał w zastaw kitajkę czerwoną od pościeli! Później znów za czarne sukno po 20 kilka groszy, zastawił cyny 49 funtów mianowicie talerzy 12, mis 4 i nalewkę, a kiedy potrzebował koniecznie owych naczyń stołowych, odebrał je napowrót, dając wzamian delię swą szlamami podszytą.

W r. 1625, kupując drogi falendyszek po $3^1/_2$ złp.. zastawił pierścień z białym dyamentem: niedługo potem przysłał sługę swego po kir i w 2 złp. zastawił karabin! W końcu przez pana Wierzbiętę, sąsiada swego, sprowadzając sukno błękitne po 34 gr., dał w zastaw swą ulubioną siekierkę,[1]) która musiała mieć niepospolitą wartość, skoro ją kupiec bez trudności przyjął, a on sam później wykupił.

2. Jan Dobek z Łowczowa, podstoli krakowski (1618—1628), pan na Dąbrowie, Zabełczu i Wielopolu, poseł Zygmunta III. do Turcyi, Szwecyi i Moskwy. Wspominają o nim konstytucye sejmowe z r. 1606 i 1613, tudzież dziennik wyjazdu na pospolite ruszenie, przeciw Turkom pod Chocimem 1621.[2]) Pierwszą jego żoną była Barbara z Wielogłowskich († 1610), druga Zofia z Marcinkowskich, wdowa po Piotrze Pęgowskim. Od roku 1608 mieszkał zwykle w Dąbrowie nad Dunajcem pod Nowym Sączem, bo w tym przynajmniej czasie pierwsza o nim zachodzi wzmianka w księdze kupieckiej Tymowskiego. Sługa jego, przyszedłszy z listem, brał potrosze korzenia: pieprzu, stokłoski, goździków, szafranu, kwiatu muszkatowego, rodzynków, migdałów i cukru. Na św. Jan sama jejmość pani zjawiła się w sklepie, nakupiła baji czerwonej, sukna błękitnego, nici i haftek, wszystkiego razem za 29 złp.

W r. 1610 borgował pan Dobek falendyszek brunatny po $2^1/_2$ złp.. sukno morawskie zielone po 14, bernadyńskie i szare po 13 gr. Dał na to czerwony złoty, a na resztę zastawił pierścień złoty z dyamentem.

---

[1]) Był to właściwie czekan, który służył za broń i laskę zarazem. Rękojęść tej laski stanowił obuch, czyli młot, z przeciwnego zaś końca był długi, ostry i szpiczasty grot, czyli tak zwany nadziak.

[2]) Grabowski. Starož. hist. pol. T. I. 148—151.

W r. 1613 przysłał w długu: tatarki 30 wierteli po 15 gr., w mierze ubyło jej 4 wiertele, a Tymowski musiał ją sprzedać po 11 gr. Żyta 15 wierteli po 24 gr., ubyło go 2 wiertele, a sprzedano je po 17 gr. Wziął to zboże kupiec w długu 43 złp.; pan Dobek dopłacił jeszcze 3 złp. I później również przy obrachunku zachodziła sprzeczka o kilkanaście groszy, których szlachetny dłużnik nie chciał przyznać kupcowi.

W r. 1620 dał znowu żyta 6, pszenicy 4 wiertele po 3½ złp. Zacharyaszowi Gutsmittlowi w Keżmarku winien był talarów węgierskich 42, które miał oddać Tymowskiemu. W tym czasie jeździł na Węgry, dlatego zaopatrzył się w dostateczną ilość prochu, bo bez broni i prochu nikt nie śmiał podówczas puszczać się w góry karpackie, z obawy przed opryszkami. Za sukno winien był kupcowi 18 złp. Zastawił więc 2 łyżki srebrne z herbem Podkowa, i 2 czarki srebrne z herbem Gryf.

W czasie wojny z Turkami wyprawił się z pospolitem ruszeniem na Ruś, jako generalny porucznik i sędzia województwa krakowskiego, lecz dotarł zaledwie pod Jaworów 10. października 1621, kiedy właśnie regimentarz generalny, Stanisław Lubomirski, złamał pod Chocimem ottomańską potęgę Osmana II. Wśród tej wojennej wyprawy, sfrasowana pani Zofia Dobkowa, rozstała się z tym światem. Potrzeba było kiru żałobnego, lecz zrażony kupiec dawniejszymi długami, nie chciał dać więcej! Dlatego pan brat, Nikodem Dobek, rad nie rad, przysłał w zastaw tkankę perłową i wzięto 4 postawy kiru czarnego. Pan podstoli, powróciwszy z drogi na Wszystkich Świętych, zamówił nabożeństwo żałobne za duszę małżonki, a za listem jego wydał Tymowski na ucztę pogrzebową rodzynków wielkich 3 funty, małych 2 i imbieru funt, przez wójta z Dąbrowy.

W rok po szczęśliwym powrocie z wyprawy chocimskiej (1622), zbudował przy kościele Franciszkanów w Nowym Sączu osobną kaplicę św. Bernardyna, w której mieściły się podziemne groby rodziny Dobków, a na jej utrzymanie, tudzież na msze św. za dusze fundatorów, wyznaczył popłatę roczną 60 złp. od kapitału 1.000 złp., legowanego na dobrach swoich Zabełczu i Wielopolu.[1]) Napisy grobowe Jana Dobka († 1628) i drugiej jego żony Zofii († 1621), wyryte w marmurze, przechowały się dotąd w zabudowaniach pofranciszkańskich (dziś ewangelickich w Nowym Sączu), lecz już znacznie uszkodzone, podobnie jak sam po-

[1]) Act. Castr. Sandec. T. 39, p. 1890.

mnik Dobka, przedstawiający leżącego rycerza w zbroi, z herbem Gryf i hełmem.

3. Gabryel Gładysz z Jazowska. Nad niego nie miał już Tymowski gorszego płatnika, bo nie wymazany dług świadczy, że do dziś dnia jeszcze nie zapłacony. A brał sukna i korzeni niemało. W r. 1607 chodził w falendyszu brunatnym po 80 gr., dla czeladzi brał szarego 16 łokci po 13 gr. Borgował też na ubranie uterfin zielony po 52 gr., karazyę lazurową i błękitną, z kirem czerwonym lub żółtym: na dołoman karazyę zieloną, a na podszewkę baję czerwoną. Do tego haftki tuzinami, sznurka 30 łokci, guzików 3 tuziny, pętlic 18 par za $3^1/_2$ złp. Wreszcie z korzeni brał pieprz funtami po 18 gr., szafran łutami po 26 gr., kwiat muszkatowy i imbier. Zapłacił za to jęczmieniem i żytem zaledwie 14 złp., a reszty pozostał dłużnikiem.

Natomiast prawdziwą pociechę sprawiał kupcowi ks. Jan Gładysz, pleban grybowski. Żył on w wielkiej przyjaźni z Tymowskim, bo miał do niego szczególne zaufanie. W r. 1610 dał mu do przechowania 380 złp., w rok później znowu 50 złp., wreszcie zaokrąglił tę sumę do 500 złp. W razie potrzeby wybierał potrosze gotówką lub towarami korzennymi, których spotrzebował za 23 złp. W r. 1614 kupował sobie na żupan falendysz czarny po 2 złp. 5 gr. łokieć, i czarne sukno morawskie na płaszcz, chłopcu zaś służącemu karazyi lazurowej i zielonej, prócz rozmaitych korzeni dla domu za 20 złp. Na jarmark do Sącza chętnie przyjeżdżał i stawał zwykle gospodą u kupca, Stanisława Pelki. Przy tej sposobności posyłał do Tymowskiego po garniec wina za 32 gr., które z nim wspólnie wypijał przy pogadance wśród grona przyjaciół. Płacił czerwonymi złotymi, bo przestrzegał pilnie obyczajów szlacheckich.

4. Wodzisław Jordan z Gołąbkowic. W r. 1615 brał 8 łokci falendyszu w wełnie farbowanego po 80 gr., a dla syna Jana karazyę czerwoną po 24 gr. Tak drogi falendyszek lazurowy brał na ubranie i w późniejszych latach. Zato w r. 1626 brał tańsze sukna czerwone i białe po 28—30 gr.: dał w zastaw 2 czerwone złote.

W r. 1629 pani Jordanowa przysłała swą mamkę po $5^1/_2$ łokcia białego sukna po złotemu, przyczem zastawiła łyżkę srebrną. Sama zaś pani, biorąc dla woźnicy sukna czerwonego $6^1/_2$ łokcia po 32 gr. i białego łokieć, dała w zastaw „złoto do noszenia piórek“.

W r. 1630 w 9 złotych za sukno czerwone zastawiła szablę starą srebrem okutą. Później jednak przyszedł stary Błażej, dawny jej sługa, odebrał szablę, a natomiast zastawił pierścień z rubinkiem. Owa stara szabla mogła być cenną spuścizną po przodkach, zwłaszcza po Spytku Wawrzyńcu z Zakliczyna Jordanie, rotmistrzu Stefana Batorego.

Nakoniec w r. 1633 za postaw sukna morawskiego czarnego w 33 złp., zastawiła „do krótkiego czasu“ rządzik na rzemieniu. Smutne musiały być dla niej czasy, kiedy za żałobne sukno zastawiała mężowski oręż i rządzik na konie.

5. Sebastyan Kempanowski w Zagorzynie. W r. 1610 za karazyę czerwoną i zieloną po 22 gr. zastawił sygnet złoty.

W r. 1613 sługa pana Kempanowskiego wziął postaw kiru czarnego trzyzyglowego za $8^1/_2$ złp., karazyi i kiru żółtego 3 łokcie. Dał w zastaw łańcuszek.

W r. 1614 przez pachołka swego borgując pakłak kłocki po 12 gr., zastawił pierścień złoty do czwartku tylko.

W r. 1618 za postaw kiru czarnego sługa jegomości zastawia znów na czas krótki sygnet, ważący 5 czerwonych złotych. Tegoż roku sprawiał świetne szaty: dołoman lazurowy podbity bają, a kontusz zielony kirem żółtym podszyty. Zastawił zato kubek srebrny z wierzchem i pierścień złoty, ale nie ów znany sygnet pański.

Wojciech Kempanowski. W r. 1623 nabrał sukna za 22 złp. Dał w zastaw 4 czerwone złote: 3 kruczki, jeden z nich arabski: 3 talary stare i sygnet złoty. Tegoż samego dnia, wróciwszy do sklepu, wziął białego sukna za $7^1/_2$ złp., a zastawił obrączkę srebrną, w której było ogniwek 95.

W r. 1633 w 14 złp. za sukno lazurowe zastawił łamane srebro do św. Trójcy najdalej. W r. 1635 sama jejmość pani w 3 złp. za kir zastawiła koronkę.

6. Stanisław z Lubomierza na Wiśniczu Lubomirski, starosta grodowy sandecki (1597—1613), następnie sandomierski i spiski, późniejszy bohater pod Chocimem 1621, wojewoda ruski (1625—1638), w końcu magnat rozlicznych włości i wojewoda krakowski (1638—1649). W pierwszym i drugim dziesiątku XVII. wieku był jeszcze wcale niezamożnym szlachcicem, skoro nie [illegible] dzierżawił Siedlce, Słowikową, Strzeszyce, Łącko i inne dobra

starosandeckich Klarysek.[1]) lecz także borgował różne towary u Jerzego Tymowskiego.

W latach 1605—1608 przesiadywał najchętniej w Siedlcach, gdzie odwiedzała go niejednokrotnie matka, Anna z Branickich Lubomirska, kasztelanowa wojnicka. W tym czasie brał dla siebie i gości w małych ilościach rodzynki, migdały, oliwę, pieprz, szafran, cukier, śledzie i ryż. Chodził w karazyi lazurowej po 23 gr., a kirem czerwonym lub białym po 8 gr. łokieć kazał podszywać swą kurtę, jak również kurty sług swoich. Sługował mu Lubicki ze Spiża, a żyd Guldek był mu walną pomocą w załatwianiu interesów sklepowych. Nie płacił jednak gotówką, lecz na dług dawał jęczmienia 30 wierteli po 13 gr.

Tak samo w r. 1610 żyd Guldek, pani Nieborska i Jan Szalowski, włodarz w Stadłach, biorą oliwę, pieprz, szafran, rodzynki; krawiec Gąska na żupan panu staroście sukno morawskie czerwone, czarne i białe po 12—14 gr., lub karazyę po 23 gr., a na podszewkę zawsze kir czerwony lub lazurowy po 8 gr. łokieć. Kupiec zapisywał wszystko w dyaryuszu swoim na imię pana Stan. Lubomirskiego, którego dług wynosił już 43 złp. 15 gr., za 29 łokci sukna luńskiego czerwonego po 45 gr., i za postaw kiru błękitnego 7 złp.

W r. 1611 inny już żyd, Wulf z Wiśnicza, był znów prawą ręką starosty. Brał on na rachunek pański falendysz lazurowy w wełnie farbowany po 80 gr.; dla sług morawskiego błękitnego 45 łokci po 15 gr.; dla Stanisława Ługowskiego, skrzypka starosty, falendysz brunatny po 80 gr. i kir brzeski po 10 gr. łokieć; całymi zaś postawami karazyę lazurową i czerwoną, a po roku dał na to zaledwie 3 czerwone złote, czyli 7 złp. Zakłopotany tem Jerzy Tymowski, wpisał pana starostę w rejestr starych dłużników i zanotował nad rachunkiem jego z humorem kupieckim, choć nie bez żalu: „Starzy dłużnicy, jakoby ze starych snopów gorzałka". — „O Jezu mój najdroższy! nadziejo smutnej duszy".

Stanisław Lubomirski poślubił 1613 r. Zofię, córkę księcia Aleksandra Ostrogskiego, hrabiego na Tarnowie, wojewody wołyńskiego. W listopadzie tego roku odstąpił starostwo grodowe

[1]) Już poprzednio Sebastyan Lubomirski, starosta sandecki (1590—1597), kasztelan wojnicki (+ 1613), trzymał w dzierżawie całe klucze klasztornych dóbr. Podobnie arendował je syn jego, Stanisław Lubomirski, aż do r. 1629. Zob. Arendy Klasztoru Starosandeckiego w XVI. i XVII. wieku.

sandeckie, wraz z zamkiem w Nowym Sączu i przynależnemi do tegoż starostwa dobrami królewskiemi, bratu swemu stryjecznemu, Sebastyanowi Lubomirskiemu,[1]) który też w następnych latach (1613—1627) był wiernym naśladowcą w borgowaniu poprzednika swego, a nawet o wiele go przewyższył.

W r. 1619 porachował Tymowski pojedyncze długi sklepowe nowego starosty i z bólem serca zawołał: „Wszystko dotąd uczyni 82 złp. 15 gr.“ Nie dziw przeto, że w r. 1623 już nie chciał kupiec dalej borgować. Więc pani starościna, Elżbieta z Drohojowskich Lubomirska, rada nie rada, musiała dać zastaw. Użyła jednak do tego pani Zofii Wierzbięciny i w 5 złp. za sukno czerwone zastawiła kubek srebrny złocisty. Rozbrojony tem kupiec, zborgował jeszcze 14 łokci szarego sukna po 25 gr.

W r. 1624 znowu zborgował jej karazyi papużej i kiru, lecz więcej już nie zdołała wymódz na kupcu nawet panna Sawicka, służąca starościny; to też za falendysz czerwony i postaw karazyi zielonej w 39½ złp. musiała zastawić konewkę srebrną pozłocistą.

Następnego roku służący pani starościny posłany po kir, dał w zastaw widelce srebrne. W tymże roku wzięła pani starościna kiru za 3 złp. 15 gr., przyczem odebrała od kupca zastawione widelce srebrne, lecz koneweczkę srebrną dała na to miejsce. Pani Wierzbięcina znowu zastawiła ów kubek srebrny, więc panna służąca zborgowała dla pani starosciny postaw karazyi śląskiej za 32 złp., kiru i karazyi lazurowej za 6 złp. Brali też inni słudzy: kir, karazyę, ołowiu kamień,[2]) soli beczkę, a w końcu sama starościna sukna morawskiego czerwonego na tłumok 12 łokci po 12 gr. Tym sposobem uzbierało się długu 142 złp. Martwiło to niezmiernie kupca, to też kiedy 1626 r. pani starościna zażądała znów 12 łokci sukna czerwonego po złotemu, Tymowski w żaden sposób nie chciał już nic dać, więc nieboga składała się i przysięgała, że „zapłaci duszą męża swego i samą swoją“. A musiała się upokorzyć, bo właśnie były rękowiny córki jej Zofii, która szła za pana Krzysztofa Rarowskiego, rota zaś husarska wojewody ruskiego, Stan. Lubomirskiego, stała w mieście i asystowała uroczystości weselnej.

Ale i ów zięć starosty, pan Rarowski nie był lepszym płatnikiem, bo zaraz na weselu swem nabrał u Tymowskiego wina

---

[1]) Act. Castr. Sandec. T. 33, p. 2173—2176.

[2]) Kamień dawna waga polska = 32 funtom.

40 garncy po grzywnie (po 48 gr.) i nie zapłacił, a wkrótce potem, biorąc breklest lazurowy, musiał w 7 złp. zastawić kubek srebrny.

7. Kasper Łapka z Białejwody, którą zamienił był 1571 r. z Jordanem Spytkiem za Wolicę w Krakowskiem, ubierał się w falendyszek brunatny po 3 złp. 6 gr. łokieć, ale nie od razu za towar wypłacał, jak wielu innych. W r. 1609, kupując dla siebie falendysz po 3 złp., a dla sługi sukno kłockie czerwone po 11 gr., dał na dług śliw wierteli 6 po 36 gr., faskę masła za 4 złp., i pod dość pięknym podpisem swego nazwiska zanotował w księdze kupieckiej Tymowskiego: „znowum złoty wynyen". Kazał jeszcze słudze dać karazyi 3 łokcie, a wkrótce potem, płacąc w kwietni tydzień, zaznaczył pismem drobniejszem: „ten dług juzem zapłacił". W kilka miesięcy znowu dopisał wcale płynnie i wyraźnie. „Po swyethym filipye jakubye porahowalysmy sye s panem yorkiem — zostałem mu złothych seszcz y grosy dwadzyesczya po wsytkyem rahunku. Kasper łapka m. p." Podpisując się, nigdy nie pisał inaczej. Zdaje się, że niedługo potem życie zakończył, bo niema dalszej wzmianki o nim, a kupiec wyrysował przy jego rachunku grobowy krzyż.

Jan Łapka z Moszczenicy w r. 1610 winien za $6^1/_2$ łokcia kiru czarnego trzyzyglowego po 10 gr., daje w zastaw pas cętkowy na rzemieniu, w którym było cętków 23 z zamklem. Brał też na ubranie uterfin ciemno zielony po 44 gr., a dla sług sukno szare. Za czerwone sukno dał w zastaw czerwony złoty.

8. Adam Rożen, podsędek ziemi krakowskiej, syn Jakóba sędziego grodzkiego sandeckiego, dziedzicząc małą wioskę Łękę, nie mógł zapomnieć o sławnym średniowiecznym rycerzu, Sulisławie Rożnie, w zameczku Gródku nad Dunajcem (1384 r.), i idąc w ślady walecznych swych przodków, z orężem w ręku dzielnie stawał pod królem Stefanem Batorym, to przeciwko Moskwie, to na Multanach turecką wyrywając chorągiew. Miał też poważanie u szlachty, zasiadał na kapturach[1]) w czasie bezkrólewia po zgonie Stefana Batorego, posłował na sejm i komisarzował w kole rycerskiem, a w końcu, jako podsędek, rozstrzygał

[1]) Kaptur, czyli sądy kapturowe — jurysdykcya czasowa, sądząca w czasie bezkrólewia [illegible] kryminalne i wykroczenia przeciwko spokojności i bezpieczeństwu publicznemu. Sądy kapturowe zaprowadzono po raz pierwszy w r. 1572, zniesiono je w r. 1768.

szlacheckie sprawy na kwerelach (terminach sądowych) grodzkich sandeckich.

Żył dwornie i hojnie, a sługowali mu: Czapliński, Krynick i Ścibor,[1]) Węgrzyn. Zaraz na wstępie 1609 r. pożyczył u żony Tymowskiego 100 złp. Wkrótce potem 20 złp. przez Czaplińskiego, i znów drugie tyle sam. Prócz tego postaw karazyi czerwonej, postaw żółtej, w końcu znowu 50 złp. przez Czaplińskiego. Na codzienne ubranie brał sukno czarne, a na barwę sługom karazyę błękitną i zieloną po kilkanaście groszy. Pod koniec mięsopustu 1611 r., zjechawszy do Nowego Sącza, gościł szlachtę w gospodzie, a skoro nie stało pieniędzy, posłał do Tymowskiego. Lecz ten już ostrożniejszy, zaledwie 6 złp. pożyczył, które przez sługę swego Jędrzeja do rąk własnych jegomości oddać rozkazał.

Andrzej Rożen z Kąsnej. Małżonka jego, Zofia ze Stadnickich, bierze 1607 r. 30 łokci sukna błękitnego i czerwonego po 15 gr., a kiru szarego na podszewkę, zwykle sama lub przez urzędnika swego, Jakóba Gieralta. Także na ubranie granatowego po 80 gr., sznurka zielonego i guzików, a bernadyńskiego sukna 8 łokci.

W r. 1609 kupowała falendysz karmazynowy, granatowy i czerwony po 2 złp. 20 gr. do 3 złp. 10 gr., zawsze przez swego Jakóba Gieralta, a dla sług, prócz taniej barwy, brała szare sukno. Podobnie w r. 1611 sprowadza dla sług białe i jasno zielone sukna, płaci za nie na jarmarku w Ciężkowicach.

Jegomość pan Rożen nie zawsze mieszał się w te domowe sprawy: ledwie 1613 r. raczył zaglądnąć do sklepu i wziąć między innemi falendyszku zielono papużego po 2 talary, na co podpisał się własnoręcznie w księdze Tymowskiego.

W r. 1615 sam pan zborgował na dołoman i na delijkę 5 łokci falenduszu czerwonego po 80 gr., lazurowego zaś $1^1/_2$ łokcia. Znowu podpisał rachunek, który jednak później jejmość pani zaspokoiła, ale nie wszystko od razu, bo tymczasem tylko 30 złp., a i po te musiał kupiec posyłać swego wiernego Nożyńskiego. Nie dobrze go tam przyjęto, a gdy prócz tego zostało długu kil-

---

[1]) Ściborowie byli pochodzenia polskiego, ale w XIV. wieku przyjęli indygenat węgierski i piastowali na Węgrzech wysokie godności. Jeden ze Ściborów, po zwycięstwie pod Grunwaldem wkroczył w granice Polski, w celu powstrzymania dalszych Jagiełły zapędów i zajął Nowy Sącz, lecz został na głowę pobity. (Zob. Mar. Sokołowskiego: Sprawoz. komis. do bad. hist. sztuki w Polsce. T. VIII.).

kadziesiąt złp., zniechęcony kupiec nie chciał dalej borgować. Tak samo 1617 r., kiedy sługa jejmości Marcinek, zażądał utertinu zielonego 4½ łokcia po 50 gr., Tymowski nie chciał dać pierwej, aż Jaworowa bednarka zaręczyła zań. Później jednak złagodniał, skoro mu odwiózł pieniądze sługa pana podsędka, Adama Rożna.

9. Gabryel Sędzimir z Łukowicy. W r. 1609 kupuje pani Sędzimirowa 2¼ łokcia falendyszu czerwonego po 3 złp. 10 gr. i kir zielony, do tego kwartę małmazyi. Zastawia pierścionek z dyamentem. Pierścień musiał mieć wielką wartość, skoro Tymowski zborgował jej jeszcze 40 kilka łokci sukien czerwonych i błękitnych po 23 gr. i kiru 20 kilka łokci, także guzików szychowych. Brała też falendyszek brunatny po 3 złp., a zawsze obiecywała oddać na pewien czas, zwykle do 6 niedziel.

W piątek przed zapustem 1611 r. nabrała korzeni za 9 złp. Mnóstwo sukna kupowali rok w rok, dla siebie i sług, żyli snadź wystawnie. W długu dawał on pszenicę, a ona masło.

W r. 1620 porachowali się dokładnie i odtąd nie borgowali. Pan Sędzimir sprzykrzył sobie widocznie tę wystawność swej żony i powstrzymywał jej hojność. Musiał i kupcowi przykazać, bo odtąd nie borgował nic, chyba za dobrym zastawem. W r. 1632 (już u spadkobierców Tymowskiego) za breklest czerwony po 60 gr. zastawiła pierścionek złoty; 1634 r. znowu pierścionek złoty z rubinkiem; wreszcie 1635 r. garnuszek srebrny z pokryweczką wyzłacaną.

Marcin Sędzimir. W r. 1609 borguje tanie sukna czerwone i lazurowe po 22 gr. Płaci zań pan Trzciński. Na ubranie brał falendysz granatowy po 80 gr., przyczem zastawił czerwony złoty. W r. 1616 za takiż falendysz dał w zastaw szablę srebrem oprawną.

10. Adam z Tabaszowej i Znamierowic Tabaszowski. W r. 1611 nie miał jeszcze kredytu u Tymowskiego, skoro Tomasz Pytlikowicz, cechmistrz krawiecki, musiał zań ręczyć o 1½ złp., a w 7 złp. musiał zastawić szablę.

W r. 1613 za korzenie: anyżek, tatarskie ziele, szafran, pieprz, rodzynki, które brał w małej ilości, także za karazyę angielską zieloną po 22, czeską po 44, falendyszek czerwony po 82 gr., płacił złotem i masłem.

W r. 1616, borgując sukno czerwone po 14 gr. na ubranie synowi, a sobie falendysz na kołpak, dał w zastaw łyżkę srebrną. Na dług dał 5 zajęcy po 62 gr., a dopożyczył jeszcze złotego.

W r. 1619 brał karazyi angielskiej lazurowej 6 łokci po 27 gr., sukna brunatnego $4^1/_4$ łokcia po 16 gr., baji czerwonej i uterfinu zielonego 2 łokcie po 50 gr. Obiecał oddać za 2 niedziele. Odpłacał po kilka złotych i dał wiertel jagieł za 40 gr.

W r. 1621 kupił beczkę wina za 70 złp., płacił ortami i czerwonymi złotymi. Jesienią posłał mu Tymowski sukna szaroburego 9 łokci po 10 gr., taniej nie mógł dać, bo było stąpione.

W r. 1624 prócz falendyszu, brał sukna czarnego 11 łokci po 26 gr., a przez sługę Krzysztofa jeszcze 15 łokci po złotemu. Później znów, prócz zwykłego błękitnego, brał breklest, sznurki i guziki.

W r. 1629 dał Tymowskiemu beczkę soli i 4 skóry po 8 złp., pożyczył zaś na gonty 7 złp., wziął też 100 szyb za 2 złp. 15 gr. Dał na to tatarki 4 wiertele po 40 gr., obiecując dać jeszcze 11 wierteli.

Jako dziedziczny pan, pozywa 1636 r. Bartosza Marszałka, garncarza sandeckiego, o spuściznę sobie przynależną po bezdzietnie zmarłym poddanym swym, Walentym Cięciwie, lecz pozwany odprzysiągł się wszystkiego.

W r. 1642 pożyczył 500 złp. Szymonowi Wolskiemu, aptekarzowi sandeckiemu, w przytomności Piotra Kempińskiego.[1])

11. Olbracht Wiktor z Biesnej. W r. 1608 pani Wiktorowa bierze czarny kir, wyziny 4 funty po 6 gr. i ryb. W r. 1610 pan Wiktor sam nabrał dla siebie $5^1/_2$ łokcia falendyszu czerwonego po $2^1/_2$ złp., i karmazynu czerwonego 4 łokcie po 80 gr.; a 4 łokcie karazyi czerwonej i lazurowej po 14—22 gr. na kurty sługom i na delie, do tego guziki, sznurki i pętlice. Przez sługę swego, Czudnowskiego, przybrał jeszcze sukna, haftek, pętlic i nici czerwonych.

Z oddaniem pieniędzy nie spieszył się wcale. Dopiero w r. 1613 pojawił się w sklepie Tymowskiego, wraz z panami: Piotrem Rdzawskim i Stanisławem Złockim. Uzbierało się długu 48 złp. 24 gr. Wobec tych panów obiecał oddać, skoro zboże wymłóci. Tymowski gotów był przyjąć nawet niewymłócone zboże i stanęło na tem. Dał tedy 40 kóp pszenicy, a 10 kóp żyta, które kupiec sprzedał za 35 złp. jakiemuś Jantkowi z Chomranic. Ostatek obiecał oddać po wymłóceniu. Lecz nie oddał, a kupiec z żalem wpisał, ile odebrał, dodając, iż reszta przepadła.

---

[1]) Act. Scab. Sandec. T. 57, p. 93.

W r. 1633 znowu się pojawił po pakłak obłoczysty za 80 gr. Ale spadkobiercy Tymowskiego, mając zanotowane w księdze dawne nierzetelności pana Wiktora, nie chcieli borgować, aż za pisaniem i zaręczeniem pana Waleryana Strowskiego z Witowic. Brali wtedy oboje breklestu czarnego 17 łokci po 2 złp. i baji czerwonej $3^1/_2$ łokcia po 40 gr. Odtąd też wypłacali się należycie.

Ks. Jan Sygański T. J.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MATERYAŁY
do historyi polskiej XIX. wieku.

Działalność emigracyi z roku 1831 na terenie Turcyi do pokoju Paryskiego.

(Ciąg dalszy).

(Dodatek do instrukcyi).

1. Zachęcać obywateli do dobrego obchodzenia się z popami, z chłopami, ze szlachtą czynszowa, zgoła ze wszystkimi mieszkańcami, (wystawiając każdemu stanowi korzyści z powstania Polski i ustalenia się jej bytu niepodległego). 2. Upatrywać ludzi zdolnych i poczciwych i tych mianować, ile okoliczności pozwolą, naczelnikami powiatów, zachecać i mieć dość mniej pewnych do niektórych posług, które mogliby spełniać tak jednak, by jedni o drugich nie wiedzieli tylko w potrzebie. 3. Zbierać pieniądze na sprawę publiczną i takowe natychmiast przesyłać X. Panu — do zbierania pieniędzy, żeby się nie kompromitować u ludzi mniej pewnych, używać powodów religijnych i dobroczynnych, u pewnych wprost na sprawę. 4. Upatrywać w województw. postronnych ludzi zdolnych na naczelników województw i takowych przedstawiać X. Panu przez wysłanych ludzi. 5. Zbierać doskonałą wia-

domość o stanie mieszkańców powierzonego okręgu i o usposobieniach tych ludzi. 6. Zachęcać chłopków do polowania — do nabywania broni i toż samo robić przez naczelników powiatowych i ludzi znanych a pewnych, by jak najwięcej ręcznej broni można mieć w kraju. 7. Mieć wiadomość o dymisyowanych wojskowych w okręgu, o ich zachowaniu i usposobieniu. 8. Starać się wejść w znajomość z naczelnikiem lub wyższymi oficerami i wybadywać, czy nie można przekupstwem lub innym jakim fałszem tę twierdzę nabyć w potrzebie. 9. Zbierać wiadomość jak najdokładniejszą o wojskach, o ich naturze, o charakterze dowódzców, czem można do nich trafić, jak dalece są wiernymi carowi, czy będą się bronili, czy nie — w jakim stanie ich oddziały. O urzędnikach cywilnych i ich usposobieniach. Z tego wszystkiego, jak można najczęściej, posyłać raporta do X. Pana. 10. Mieć doskonałą wiadomość o drogach i miejscowości okręgu i najpewniejszych kryjówkach, gdzieby się można było utrzymać w potrzebie. 11. Zachęcać właścicieli hut, gorzelni i innych fabryk, jeśli ludzie pewni — by skupywali i zwozili w miejsca nie bardzo przystępne wielkie zapasy żywności — aby takowe w czasie potrzeby mogły służyć na magazyny. 12. Zachęcać także ludzi pewnych do skupowania prochu częściami i ołowiu. 13. Także skupywanie sukna i skór dla ludzi fabrycznych w wielkiej ilości. 14. Bez-robienia towarzystw i spisków przedwcześnie, zachęcanie wszystkich, by się mieli gotowymi do powstania na rozkaz ks. Pana, zapewniając jak najsolenniej, że takowy nastąpi, kiedy książę Pan wyrachuje przyjazne okoliczności i zawsze przymierze postronne. 15. Wpajanie we wszystkich potrzebę porządku, posłuszeństwa i poświęcenia się, uszanowania władzy, robiąc silne przekonanie, że z temi tylko rzeczami dojdziemy do niepodległości i wszystkich ulepszeń właściwych i nieodbitych dla nas.

7. kwietnia 1844.

P. Puławski (Achmet-bej) wyjechał d. 2. kw. do Warny z instrukcyami, które komunikowałem poprzednio, gdyż jemu poleciłem, o ile będzie mógł, zająć się i częścią p. Rawskiego. Dałem mu listy do Gonczarowa odemnie, do Panajoła Polaka, u którego zostawał Rawski i któremu wyrobiłem franc. protekcyę, by go więcej zobowiązać, do pp. Rudyszewicza i Dubrawczycza w Ku-

stendży, do Hassan-beja i ten poleciłem dopiero oddać po dokładnem wybadaniu tego Turka listy od X. Mola Mustafy — do swoich agentów w Warnie i Matczynie z poleceniem, aby mu dane były rekomendacye na miejscu i tam, do kogo zechce pojechać. List p. Leona, syndyka oficyalnego koferencyi handlowej francuskiej do wicekonzula franc. w Warnie p. Olive. Drogi do komunikacyi wskazałem mu. Dałem mu pieniędzy ilość, jaką wskazuje kopia kwitu tu załączonego. Znalazłem Ormianina Papuh-Ogla, właściciela młynów w Ostakiej, który mi polecił interes o kupno zboża. Poleciłem jak największą ostrożność, a przytem gorliwość i czynność. Zgoła zrobiłem wszystko, co tylko było w mojej mocy, żeby go na dobrej postawie posadzić. P. Puławski przytem zakupił sobie małą apteczkę, a znając się trochę na medycynie, myśli doktorską rzecz prowadzić na Niżu, a ja bardzo pochwalam. Ja mam dobrą nadzieję o p. Puławskim, raporta jego pokażą, o ile on odpowiada potrzebom rzeczy, wymaganiom władzy. Jego posłanie było koniecznie potrzebne — mój przyjazd i pobyt jakiś czas na Niżu może zrobić, że Puławski sam jeden wystarczy — przynajmniej do czasu, coby było oszczędnością dla publicznej kasy, chociaż można doprowadzić, żeby p. Puławski po niejakimś czasie, jak potrafi osadzić się na Niżu, będzie mógł utrzymywać się własnym zarobkiem — ja przedstawiam dla dobra sprawy, żeby go na takie utrzymanie nie puszczać, ale go utrzymywać pensyą skarbową — zwłaszcza, jeśli będzie dobrze robił swoją misyę. Niż jest punktem najważniejszym i misya p. Puławskiego jest bardzo a bardzo ważna; niech tylko dopełni cząstkę tego, co ma poleconem w instrukcyach, a co może i być powinno. P. Rawskiego muszę trzymać w Stambule i dawać mu żołd 100 fr., gdyż inaczej niepodobna, by mógł wyżyć, a porzucić go tak niepodobna — byłaby krzycząca niesprawiedliwość. Ja mniemam, że najlepiej go osadzić na dozorce w Czyfliku, nowych ludzi nie sprowadzać, kiedy niemasz pieniędzy, — odsyłać go do Paryża, trzeba najmniej 400 fr. Taki człowiek, jak p. Rawski, sam sobie utrzymania nie znajdzie, a w czasie danym może być bardzo użytecznym, gdyż ma znajomości i wzięcie u hołoty kozackiej, która na koń najprędzej wsiądzie i nam będzie najpotrzebniejsza. Kiedy tedy Rawski jest na miejscu, to go trzymać do potrzeby. Mam nadzieję, że z (nieczytelne) teraz nie będzie wojował, nie będzie miał o co, ja moje kondycye zawrę z nim tak, aby potem nie skarżył się, chciałbym, aby to jak najprędzej nastąpić mogło dla oszczędności skarbowych wydatków. W Kustendży skasowano

agencyę — z jednej strony szkoda, że nie będziemy mieli przystani i ludzi nam przyjaznych, z drugiej strony korzyść, że nie tyle ludzi ciekawych będzie przejeżdżało przez Niż, szkoda jednak większa, jak korzyść.

Carogród, 17. kwietnia 1844.[1])

Od p. Puławskiego (Achmet-beja) odebrałem dwa listy, jeden z 6. kw. z Warny, drugi z 13. kw. z Kustendży. W pierwszym mi donosi, że był dobrze przyjętym przez Mahameda-Paszę Warny, do którego miał list od mojego przyjaciela Mola-Mustafy. Nie poznał wicekonsula franc., gdyż ten był nieobecny, ale był bardzo przyjaźnie przyjętym przez jego wspólnika, P. Tedeski (miał list do p. Olive, wicekonsula, od teścia p. Cor. p. Jakóba Aléon) donosi mi, że się mu trafia sposobność zwiedzenia Niżu i Dobrudży z przewodnikiem (?) Niemcem. Czeka mego upoważnienia i donosi, że Hassan-bej, rządca Niżu, wyjechał do Carogrodu dla tłumaczenia się z zadanych mu nadużyć pieniężnych w kolonizacyi Arabów na Dobrudży. Odpisałem p. Puławskiemu, upoważniając go do tej podróży, byle tylko nie zaniechał potrzebnych ostrożności z Niemcem i byle ta nie wychodziła za granicę Niżu i Dobrudży, obznajomienie się z krajem uważam za rzecz pożyteczną. W ten moment posłałem Dragmana z obszerną instrukcyą do Hassan-beja. Hassan przyjął go jak można najlepiej, zaraz zapytał go o moje zdrowie i przystąpił do rozmowy o Rawskim. Zwala całą winę na Rawskiego, mówiąc, że mu się nie prezentował, ani władzy się nie prezentował, że on nie wiedział, co on jest za człowiek, że się nosił po wojskowemu, postępował po wojskowemu, że on go sam widział w takim ubiorze, że chłopi rozmaici oskarżali go przed władzą o namawianie do brania za broń, że w nieprzytomności Hassan-beja władza go zaaresztowała myśląc, że on jest Moskalem, że dopiero tam się dowiedziano, iż on jest moim człowiekiem, że kiedy dano znać do Hassana, natychmiast wysłał rozkaz, by go wypuszczono, ale już Rawski był wypuszczony, że on, Hassan, zaraz posłał do Warny do wicekonsula franc. list, że Rawski może wracać na Niż i zajmować się dalej swoim handlem, ale że już Rawskiego w Warnie nie było.

[1]) Rps 5487. Bibl. XX. Czartoryskich w Krakowie.

To tłumaczenie Hassan-beja, jakkolwiek zapewnie niesprawiedliwie wszystko rzucające na Rawskiego — trzeba przyjąć za rzecz dobrą, bo się tłumaczy — i protestuje ze swoją przyjaźnią, zapraszał, bym jechał na Niż przed 25 dniami na wielki jarmark i oświadczył po kilka razy chęć utrzymania przyjaznych stosunków z nami. Dragman dał mu na to uczuć, że dla tego nie skarżyłem go, że spodziewałem się, iż to stało się bez jego wiedzy, że nie chciałem mu robić ambarasu — a tem samem psuć zaczętej przyjaźni. Hassan oświadczył, że za kilkanaście dni spodziewa się wrócić na Niż, że teraz jest bardzo zajęty, ale że radby mnie widział i rozmówił się ze mną. Będę się z nim widział i radbym korzystać z zaprosin na Niż, gdyby pieniądze nadeszły. Drugi list p. Puławskiego donosi, że 14-go wyjeżdża do Babadach, że Hufsy-Pasza Ruszczuku miał naznaczyć zastępcę Hassanowi, ale że ten ostatni może się wykupić w Stambule, pisze o ogromnej ilości szpiegów na Niżu, — o obuwie — z prośbą o paszport angielski, o pisma lub ba(niecz.) jako przewodnikowi, o tem, że się poznał z Ajanem (?) Kustendży Hadży Hassan Agą, trudno mu idzie zawiązać stosunek handlowy — o Rawskim nic pewnego dowiedzieć się nie mógł — gdyż musi być ostrożny — to tylko się dowiedział, że Stefan Kara(niecz.) zniknął i dotąd go niemasz — proponuje p. Puławski, by Pasze Ruszczuku obwieścić o ilości szpiegów moskiewskich i ofiarować się wyśledzenie onych. Donosi także, że ogromna ilość naszego ludu przeszła do Turszczyzny tej zimy. Odpowiedziałem p. Puławskiemu, by w ilość szpiegów nie bardzo wierzył, by ich się nie obawiał, gdyż to jest rzecz bezzawodnie przesadzona — tak gadano i mnie — żeby się wstrzymał z komunikacyą z Paszą Ruszczuku — by ustalił swoją posadę handlową, a z resztą bez obawy i z dobrą wolą czekał na mnie. Ostatnia wiadomość p. Puławskiego bardzo się sprawdza. Turcy mówili Kaczkowskiemu, że ogromna ilość kozaków uciekła z Rossyi do Turcyi. P. Puławski pokazuje dość czynności, ale żeby był dobrym agentem, trzeba żebym z nim posiedział z miesiąc na Niżu, a tu nieszczęście, pieniędzy niemasz — nie możesz X. Pan wierzyć, ile straty sprawie publicznej przynosi i przynieść jeszcze może ta nieakuratność w przesyłaniu funduszu na służbę — przedstawiam to tak usilnie, bo czuję całą szkodę i odpowiedzialnym za nią być nie mogę.

27. kwietnia 1844.

Odebrałem od p. Puławskiego list, ale w którym zapomniał dać datę dnia i miejsca, lecz pisze, że był w Babadach i Tulczy, zkąd pojechał do Hirsowy, zwiedził wioski Tatarów i kozaków Rusniaków, będące po drodze. O Tatarach bardzo korzystnie mówi, jest między nimi dwa stronnictwa, jedno kontentne z rządu tureckiego, — mają oni swoją municypalną władzę, do której Turcy się nie wdają i swojego sędziego, który sądzi sprawy Tatarów tylko. Drugie ma niejakąś skłonność ku Moskwie, ale p. Puławski uważa tę za słabą i łatwą do przerobienia. Wszyscy nienawidzą Turków i jak się wyraża p. Puławski, jak wilka do lasu, tak ich natura ciągnie do innego życia. Dopytał się, że człowiek, którego uważają za naczelnika ogólnego, mieszka w Czatal-Kerman i nazywa się Han Murza, ma być młody, roztropny a nawet rozumny człowiek, nie mógł się z nim widzieć, bo Han-Murza wyjechał do Paszy Ruszczuku, za powrotem z nim się pozna. Między Tatarami znalazł p. Puławski ludzi, jak się wyraża, rozumnych z którymi o interesie mówić można. Z kozakami położenie p. Puławskiego — Muzułmanina i beja tureckiego nie pozwoliło wejść w stosunki. Z ajanami (?) Kustendży, Babadach i Tulczy zrobił znajomość i był dobrze przyjętym, ajan zastępca w Babadach powierzył mu, że rząd kazał mu schwytać szpiegów moskiewskich, a on zadość czyniąc woli rządu, schwytał Greka piawocznika i posłał w kajdanach do Stambułu. Całe podejrzenie było, że przyjął kilku kozaków na służbę i ich kaptował. P. Puławski wskazuje konieczność jakiegoś zajęcia się, by mu dało pozór pobytu na Niżu — inaczej przewiduje trudność w utrzymaniu się tam, wskazuje także jako najkorzystniejszy handel — zbożem i woskiem, szczególnie tym ostatnim artykułem — na miejscu tam płaci się oko po 12, 15 i 17 piastrów, tu w Stambule po 36 piastr. Staram się o wynalezienie jakiejś kombinacyi handlowej dla p. Puławskiego, ale to trudno, jeśli niepodobna bez pieniędzy — możeby p. Falkenhagen Zaleski o wosku co pomyślał, ale trzebaby nie odkładać rzeczy i spiesznie z nim się znieść. Polecam p. Puławskiemu coraz więcej wdrażać się w rzecz z Tatarami, co do kozaków, to musi być odłożona aż do mojego przyjazdu, to jest, jeśli ten nastąpi. Jeśli przyjdą zapowiedziane pieniądze i jeśli spóźnienie mojego wyjazdu nie naniesie okoliczności, które go zupełnie mogą przeszkodzić, to jest bardzo złą rzeczą dla sprawy, a przyczyną tego brak funduszów Żeby kto mógł się zająć poszu-

kaniem w emigracyi człowieka-patryoty roztropnego, któryby chciał choć na czas jakiś wdziać na siebie habit czerńca i być w monasterze zaporożskim, toby było dla sprawy wielką rzeczą, taki człowiek mógłby kierować całem kozactwem, że umieścić go tam snadnie by poszło. Żeby się zajął tem p. Bystrzonowski, przez Sabatynów możeby się dało wynaleźć takiego człowieka, tylko nie demokratę, nie takiego jak Rawski, toby był człowiek nieoszacowany dla sprawy.

7. maja 1844.[1])

Odebrałem list od p. Puławskiego i takowy przesyłam w oryginale, by władza mogła sądzić z pisania o agencie — to zdaje mi się być potrzebnem. P. Puławski okazuje chętność i dość taktu w zapoznawaniu się i w ostrożności — ja mam nadzieję, że przy dobrym kierunku będzie z niego pożyteczny agent i dla tego wyczytując z jego listu brak funduszu, co bardzo łatwo pojmuję, musiał objechać kraj i zapoznać się. Pisałem do p. Marynowicza, prosząc, by mu dał sto franków — a te pieniądze składam jego szwagrowi tu mieszkającemu. Sądziłem, iż należało to zrobić, by nie zmusić p. Puławskiego do powrotu przed moim przyjazdem na Niż, zrobiłem to przed przyjściem statku francuskiego. Poleciłem p. Puł. zapoznanie się z (niecz.)tami. Utrzymanie się agenta na Niżu uważam za rzecz najpotrzebniejszą ze wszystkich naszych robót. Niemożność pojechania tam i ustalenia się, może zniszczyć wszystkie moje nadzieje i zachody.

16. maja 1844.[1])

Z Niżu od p. Puławskiego nie odebrałem raportu — wiem tylko, że był w Kustendży i ztamtąd powrócił do Tulczy — widno, że mu brakowało pieniędzy, co jest rzeczą naturalną, gdyż przy pierwszych objażdżkach musiał więcej tracić, jak gdyby siedział na Niżu już na miejscu — i dlatego, jak mi mówili agenci

---

[1]) Rp. 5487. Bibl. Czart. w Krakowie.

statków parowych. przybyli tu z Kustendży — był zdecydowany wracać do Carogrodu. ale odebrawszy tam moje listy, wziął u p. Radyszewicza 700 piastrów i pozostał — czekam jego raportu, to się stało bardzo szczęśliwie. że nie opuścił stanowiska, ale to razem pokazuje, jak byłaby potrzebna moja bytność tam, a na nieszczęście brak funduszów nie pozwala mi to uczynić. Chciałbym go przyczepić do jakiego handlu, ale to stanowczo zrobić się nie da aż za moim przyjazdem na Niż. P. Puławski jest daleko zdolniejszym od Rawskiego — lubi on Polskę i jest człowiekiem poczciwym — nie dość gorący, ale pojmuje rzecz i jest ostrożnym bez wielkiego obawiania się. Jego pozycya Muzułmanina i beja tureckiego jest nieoszacowaną dla nas. Na Tatarów on jeden tylko może działać — a kozaków może obserwować. On najłatwiej może się zagnieździć na Niżu, a potem mu można będzie dodać człowieka zdolnego do kozaków — ale zdolnego — trzeba go tedy szukać. Taki jak Rawski może być dobrym w chwili powołania do broni — ale do kombinowania posyłek emisaryuszów, co jest głównie potrzebną rzeczą, to on tego ani pojmuje, ani jest w stanie pojąć. Gdyby towarzystwo angielskie, chcące istotnie i rozumnie wspierać Czerkiesów, przystało na założenie komptuaru w Warnie, za pomocą którego możnaby przesyłać broń i proch Czerkiesom, wtenczas by Achmet-bej (Puław.) mógł być użytym do tego komptuaru, równie jak i innych dwóch Polaków z imionami cudzoziemskiemi. Broń i prochy przywiezione mogłyby służyć w potrzebie dla nas na Niżu. co lepsza. jak dla Czerkiesów. I wtenczas mielibyśmy ogromną korzyść w ręku. O tym projekcie założenia komptuaru w Warnie dla Anglików Czerkieso-lubców piszę do p. Bystrzonowskiego i prośbę, by okazał to władzy zaraz po odebraniu — piszę do niego na pocztę, gdyż nie wiem. czy wyspieszę do pakietu Ambasady, gdyż z przyczyny przeniesienia się jej do Turcyi, muszę dniem wprzódy wysyłać tam mój pakiet. Wartoby się starać gorąco o przyprowadzenie do skutku założenia komptuaru w Warnie. Moralnie mówiąc. mamy rękę położoną na Niżu. na tym punkcie najważniejszym dla nas. ale aby go mieć w ręku i na każde nasze zawołanie. trzeba tam się usadowić. Po nieszczęśliwym wypadku Rawskiego całem mojem usiłowaniem było wejść napowrót do niego — bytnością tam agenta X-cia Pana, gdyż według mnie polityka X-cia Pana tak powinna być prowadzona, żeby żaden stosunek nawiązany zerwanym nie był — żeby żadne stanowisko raz wzięte, nie było opuszczone — przy

takiej polityce rzeczy muszą postępować i dojść do pożądanego skutku. Dlatego tu piszę to moje pojecie, bym przed władzą wytłumaczył się z nowej ofiary 500 fr., zrobionej na utrzymanie p. Puławskiego na Niżu. Według mego mniemania taka tylko polityka coraz większą będzie nadawała powagę imieniowi X-cia Pana u dworów nam przyjaznych i doprowadzić nas może do zrobienia powstania w Polsce i do poparcia go silnie.

6. czerwca 1844.[1])

Odebrałem od p. Puławskiego trzy listy z 13., 16. i 31. maja, które tu załączam. Listy te chociaż jeszcze niewiele mówią o rzeczy politycznej, ale pokazują człowieka mającego samodzielność w wyrobieniu sobie zapewnienia osobistej pozycyi, co jest ważną rzeczą w każdym agencie. Mam nadzieję, że z niego będzie pożytek. Zdecydowałem p. Tomasza Radyszewicza, że jedzie na Niż, tam zakłada dom handlowy — przyjmuje do spółki p. Puławskiego, a dwóch agentów naszych uważać jako w swojej służbie zostających. Każdemu wysłanemu odemnie dawać będzie schronienie, zasłonę moralną — ja za to jego komisa będę robił przez mojego drogmana w Carogrodzie i nakażę agentom naszym, by pomagali mu w handlu o tyle, o ile obowiązki służby będą im pozwalać — o ile nie będzie ta czynność przeszkadzać obowiązkom służby. P. Radyszewicz sam nawet będzie nie w jednym razie pomagał naszej rzeczy, do czego jest zdolnym i chętnym. Zgoła, że przychodzimy do posiadania domu czyli przystanowiska, jakiego od dawna sobie życzyłem, bez żadnych zobowiązań się ze strony X-cia Pana, tylko zobowiązanie się moralne ze strony mojej wspierania go w jego handlu, za co w zamian odbieram zobowiązanie się wspierania nas w naszej sprawie. Na zrobienie jakiegoś podarku, jakiejś posługi p. Radyszewiczowi niewiele pójdzie pieniędzy — i to będzie sowicie zapłacone jego posługami. P. Radyszewicz jest doskonały słowianin, nie cierpiący Moskali, był w służbie wojskowej kroackiej w pułkach granicznych, Kroat rodem, umie po turecku i po grecku — bardzo zacny człowiek — na jego poczci-

[1]) Rp. 5487. Bibl. Czart. w Krakowie.

wości polegać można. Jest to takie usadowienie się na Niżu — jakiego od dawna pragnąłem — Opatrzność go nam daje. Jeśli pieniądze przyjdą, a posiedzę parę miesięcy na Niżu — to spodziewam się urządzić rzeczy na dobrą stopę. Co zaś do p. Rawskiego, jego strata jest żadną, bardzo on był właściwym do zbratania się z hołotą kozacką i do rozbudzenia dobrego ducha w tej kozackiej hołocie, co też wypełnił. Dalej rzeczy nie rozumiał i nie mógł zrozumieć, mimo wszelkie instrukcye, on chciał mundurować i organizować kozaków, a nam trzeba emisaryuszów wysyłać, a kozactwo hołotę pod rękę trzymać, nam trzeba z Nekrasowcami się wiązać, a on ich nienawidził dla tego, że porządne ciało, że zakon — nam trzeba z monasterem się łączyć, a on po pierwszej dobrej myśli, zniechęcił się do nich dlatego, że to księża i nie przyjął Tytarstwa, nam trzeba ostrożnie, cichaczem i ukradkiem działać, a on chciałby jawnie, umundurowany. On myśli, że ja mogę wszystko u Porty i poselstwa francuskiego i że jeżeli mu nie daję finansów i zaszczytów, to dla tego, że nie chcę, że nie dbam o niego, ztąd pretensye ciągłe a ciągłe — nierozum i krnąbrność buntownicza są przemagającemi cechami jego charakteru. Hassan-bej, p. Marynowicz i p. Radyszewicz na jedno się zgadzają, że on sam winien swojemu aresztowaniu. Posyłam wszystkie jego papiery i zdanie sprawy, które mu poleciłem, by pisać, chcąc go wyprawić raz pierwszy, kiedym nie mógł z nim wytrzymać, potem mnie prosił, żebym nie posyłał tego zdania sprawy i zniszczył go. Nie zniszczyłem go, bo widziałem w nim rzeczy ciekawe, teraz go posyłam, zwłaszcza, że on chciał mieć to zdanie u siebie w jego listach i w tem zdanie sprawy. Władza będzie mogła widzieć, jakiej trzeba było męki do zachowania stosunku z nim, żeby służba publiczna nie cierpiała. P. Rawski mówił, że część moich listów zniszczył, a resztę mi nie chciał złożyć, niech je władza koniecznie rekwiruje u niego — zobaczy władza, jakem go uczył — naprowadzał — dalibóg wolałbym tatarskiego najdzikszego konia Frankoniego sztuk uczyć, jak uchadzać takiego człowieka: mimo swoją poczciwość, przez głupstwo, gotów największą niedorzeczność zrobić — dlatego prosiłbym władzy, by z nim tak wyjść, żeby cicho siedział i demokratom nie gadał o Niżu i naszych robotach, użyć go do jakiej roboty albo umieścić w szkole naprzykład G(niecz.), to potrzebne i konieczne dla sprawy. Powiada p. Rawski, że ja mu nie wskazywałem posady, którąby dała pozór jego pobytowi, chociaż każdy agent powinien sobie taki pozór na miejscu wynaleść, ma jednak w pierwotnej

instrukcyi miejsce piawocznika wskazane. najwłasciwsze. w każdym liście mu pokazuję. co ma robić — nie wypełniał poleceń do mnie. teraz pretensye. równie jak to, że go do dymisyi podałem. Każdy ktokolwiek przyjedzie na Niż z dobrą instrukcyą, potrafi doskonale zastąpić Rawskiego. byle tylko był posłuszny i dobrej woli. — Takich wybierać potrzeba. a nie innych.

Fr. Rawita-Gawroński.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Fryderyka Chopina
pierwsze lata w Paryżu.
(1831—1838).

STUDYUM BIOGRAFICZNE.

(Ciąg dalszy).

Do tych trzech listów był dołączony czwarty, Elsnera, pisany po francusku, bo nie bez myśli o tem, żeby go Chopin mógł pokazać niektórym. „List Elsnera — pisała mu Ludwika — możesz pokazać Lesueurowi, nawet masz“. Snać Elsner więcej ufał Lesueurowi, niż Kalkbrennerowi. W każdym razie pisany był tak, że i Kalkbrenner mógł go przeczytać.

Oto rzeczony list w polskim przekładzie:[1])

Kochany Fryderyku! Dowiaduję się z wielką przyjemnością, że pierwszy fortepianista (jak pisałeś), Kalkbrenner, przyjął Cię tak dobrze. Znałem jego ojca w Paryżu w roku 1805, a wtenczas już młody jego syn słynął między pierwszymi wirtuozami. Tem więcej mię to cieszy, że Ci przyrzekł odkryć tajemnice swojej sztuki. To mnie jednakże nadzwyczajnie zadziwia, że do tego oznacza koniecznie czas trzyletni! Miałżeby

[1]) Karasowski podając list niniejszy, nic nie nadmienia, że go przetłumaczył z francuskiego oryginału.

od pierwszego zaraz widzenia Cię i posłyszenia poznać, że tyle czasu potrzebować będziesz do przyswojenia sobie jego metody? Żeś geniusz Twój muzyczny tylko dla klawikordu i Twoje usposobienie kunsztowne tylko dla tego rodzaju kompozycyi poświęcić powinien? Jeżeli swemi wiadomościami artystycznemi sztuce naszej w o g ó l n o ś c i w osobie Twojej zechce się przysłużyć, jeżeli będzie Twoim p r a w d z i w y m p r z y j a c i e l e m, wywdzięczaj mu się, jako uczeń. W nauce kompozycyi nie należy podawać przepisów zbyt drobnostkowo, szczególniej uczniom, których zdolności są widoczne, uderzające; niech sami je wynajdują, by mogli sami siebie przewyższyć i dojść do wynalezienia tego, czego jeszcze nie znaleziono. W mechanizmie sztuki, w posunięciu się nawet w części jej wykonawczej, nie tylko trzeba, żeby uczeń zrównał się z mistrzem swoim i przeszedł go, ale żeby jeszcze miał i coś własnego, czemby także mógł świetnieć. Granie na instrumencie, nawet najdoskonalsze, naprzykład Paganiniego na skrzypcach, Kalkbrennera na fortepianie, ze wszystkiem, czem ono czaruje, czy to przez charakter właściwy instrumentu, czy to przez oryginalność kompozycyi, zastosowanej do uwydatnienia i podniesienia jego przymiotów, granie to, samo w sobie uważane, jest tylko ś r o d k i e m na polu muzyki, jako mowy uczuć. Rozgłos, jakiego używali niegdyś Mozart, a potem Beethoven, jako fortepianiści, dawno już przebrzmiał, a ich kompozycye fortepianowe, mimo zawartej w nich cechy zacności klasycznej, musiały ustąpić smakowi nowszej mody. Za to inne ich utwory, nie przywiązujące się do jednego wyłącznie instrumentu, ich opery, śpiewy, symfonie, żyją między nami, istnieją i istnieć będą zawsze, obok dzisiejszych dzieł sztuki. *Sapienti pauca.* Nie można doradzać uczniowi zbyt długiego zajmowania się jedną metodą, manierą, jednego narodu smakiem go karmić i t. d. To, co jest prawdziwem i pięknem, nie powinno być naśladowanem, lecz odczutem według swoich praw własnych, praw wyższych. Za wzór (jako *non plus ultra*), ani człowiek, ani naród służyć nie powinien: tylko wieczna natura jest doskonałością samą w sobie. Nakoniec, jednem słowem: to, w czem artysta (zawsze korzystający ze wszystkiego, co go otacza i uczy) zadziwia współczesnych, tylko mieć może z s i e b i e i przez udoskonalenie s a m e g o s i e b i e. Bo przyczyna jego prawdziwie zasłużonej chwały tak w teraźniejszości, jako i w potomności, nie jest inna, jak jego genialna indywidualność, żyjąca w jego dziełach kunsztu.

Ponieważ wszystkie te listy nie krępowały w niczem Chopina, owszem, zostawiały mu zupełną swobodę w powzięciu stanowczej decyzyi, więc, przeczytawszy je, wbrew ich podejrzeniom, a także i wbrew namowom przyjaciół paryskich, którzy mniej więcej utrzymywali to samo, postanowił uczyć się u Kalkbrennera. Czy mu pokazał list Elsnera? Nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że Chopin ufał Kalkbrennerowi, nie podejrzewał jego czystych intencyi względem siebie, a będąc pewnym jego „wyższości moralnej", postanowił pójść za jego światłą radą, zwłaszcza, że Kalkbrenner, częściej go słysząc grającego, sam mu oświadczył któregoś dnia, że nie będzie potrzebował trzech lat czasu, żeby się stać godnym reprezentantem wielkiej szkoły fortepianowej, czyli, żeby się stać znakomitym pianistą. Mogło to tylko zachęcić Chopina. Jakoż nie zwłócząc, wziął się do nauki pod kierunkiem Kalkbrennera. Czemu nie spróbować?

W tym duchu też napisał do domu, a osobno d. 14. grudnia do Elsnera. Zapewniwszy go, że w jego liście widział „nowy dowód tej ojcowskiej troskliwości, tych prawdziwych, szczerych życzeń, jakie raczył zachować dla najprzywiązańszego z uczniów", tak uzasadniał swoją decyzyę korzystania z nauk Kalkbrennera: „Nastręcza mi się jedyna sposobność dotrzymania wrodzonej obietnicy, czemuż jej nie mam chwytać? W Niemczech nikomu bym się na fortepianie uczyć nie dał, bo choć niejeden czuł, że mi czegoś jeszcze nie dostaje, nie wiedział sam, czego: ja zaś nie widziałem w swojem oku tej belki, jaka mi dzisiaj wyżej patrzeć zawadza. Trzy lata jest wiele, za wiele (nawet jak sam Kalkbrenner lepiej mi się przypatrzywszy przyznał, co dowodzić Panu powinno, że prawdziwy z zasłużoną chwałą wirtuoz zazdrości nie zna). Jednakże i na trzy lata pracy bym przystał, byłebym tylko mógł tym sposobem duży uczynić krok w moich przedsięwzięciach. Mam tyle pojęcia, że nie będę kopią Kalkbrennera i nic nie zdoła zatrzeć może zbyt śmiałej ale szlachetnej chęci i myśli utworzenia sobie nowego świata, i jeżeli pracować będę, to dlatego, żeby na tem mocniejszych nogach się postawić. Riesowi, znanemu z fortepianu, łatwiej było za Braut[1]) laury po Berlinie, Frankfurcie i t. d. zbierać. Spohr jakże długo za skrzypka był miany, nim Jessonde, Fausta i t. d. napisał. Spodziewam się, że mi Pan nie odmówisz swego błogosławieństwa, wiedząc, na jakich zasa-

[1]) Die Räuberbraut.

dach i z jakiem przedsięwzięciem postępuję". Jednocześnie, pisząc d. 12. grudnia do Wojciechowskiego, tak mu donosił w tej kwestyi: „Żebyś tu był, sambyś powiedział: ucz się, chłopcze, póki czas. Wielu odradza mi jednak, utrzymując, że ja tak dobrze grać potrafię, jak Kalkbrenner, i że on się narzuca z lekcyami przez pychę, aby potem mnie swoim uczniem nazywać i t. p. To wszystko są facecye. Trzeba wiedzieć, że o ile tu dla talentu Kalkbrennera mają wszyscy a wszyscy uszanowanie, o tyle jego osoby nie cierpią, bo się nie z lada kim paniebraci; a ja Ci szczerze mówię, że jest w nim coś wyższego nad wszystkich wirtuozów, com dotąd słyszał. Pisałem o tem do rodziców, oni jakoś przystają, ale Elsnerowi zdaje się to dziwnem i przypuszcza jakąś zazdrość".

Że Elsner był w błędzie, a Chopin miał słuszność, kiedy wierzył w lojalność Kalkbrennera, tego niebawem dowiódł ich prawdziwie przyjacielski stosunek z sobą, nie żaden stosunek ucznia do mistrza, czy mistrza do ucznia, ale stosunek koleżeński zupełnie, stosunek, który przynosi zaszczyt Kalkbrennerowi, jako człowiekowi. Po za lekcyami, do których Chopin przykładał się pilnie i z całem przejęciem, a które dla obu raczej były interesującem spędzeniem czasu, nie lekcyą w dosłownem znaczeniu tego wyrazu, Chopin stał się serdecznie oddanym przyjacielem całej rodziny Kalkbrennerów, a sam Kalkbrenner, snać zadowolony ze swego genialnego ucznia, czynił wszystko z swej strony, żeby mu ułatwić stosunki w Paryżu. W tym celu, na przyjęciach u siebie, na których bywała śmietanka paryskiej arystokracyi ducha, zarówno ze sfer muzycznych, jak literackich i artystycznych, poznał go z mnóstwem wybitnych osobistości, albo go wprowadził do wielu domów, do których bez niego byłoby mu dostać się trudno. Kiedy Chopin zaczął się nosić z myślą dania koncertu, Kalkbrenner nie tylko mu pierwszy przyrzekł swój udział, (co już samo równało się dobremu finansowemu rezultatowi koncertu), ale nadto z całą gorliwością użył swoich osobistych stosunków z innymi pierwszorzędnymi wirtuozami, żeby również swoim występem przyczynili się do zwiększenia atrakcyjnej siły projektowanego koncertu. Miał słuszność Chopin, gdy pisał do rodziców o „wyższości moralnej" Kalkbrennera, który nim zajął się nie tylko jak opiekun, ale jak ojciec, jak brat! Wogóle w bardzo krótkim czasie przyszło do tego, (co ogromnie dziwiło tych wszystkich, z którymi Kalkbrenner „paniebracić się" nie miał najmniejszej ochoty), że Kalkbrenner, choć niby to dawał lekcye

Chopinowi, coraz bardziej z nauczyciela przeobrażał się w jego wielbiciela, czego dał wymowny dowód, skomponowawszy świetne waryacye na temat Mazurka Chopina:[1]) *Variations brillaites pour le piano sur une Mazourka de Chopin.*[2]) Równocześnie Chopin, drukując swój Koncert E-moll dedykował go Kalkbrennerowi. Nadto Kalkbrenner, gdy mu wypadło improwizować, czy to na koncertach, czy na wieczorach w domach prywatnych — w swoim między innemi — bardzo często swoje improwizacye osnuwał na tle melodyi z kompozycyi Chopina, zwłaszcza z jego Mazurków. Trudno wymagać więcej! W ten sposób ułożył się dziwnie miły stosunek między dwoma artystami, z których jeden był „królem fortepianu“, a drugi stał się niebawem instrumentu tego — jak trafnie powiedziano — Kopernikiem. Tymczasem młodziutki „Kopernik“ uczył się jeszcze pod kierunkiem „króla“ i „mistrza“ — jak Rafael u Perugina — ale uczył się wyłącznie w kierunku wirtuozowskim, pracował nad techniką, którą tak podziwiał u Kalkbrennera, a pragnąc grać tak, jak Kalkbrenner, mieć jego wyćwiczone palce, wcale się nie starał naśladować jego kompozycyi. To była całkiem odmienna dziedzina, do której nie dawał wtrącać się nikomu, nawet Kalkbrennerowi. Tutaj wierzył w swoją oryginalność, nie chcąc być niczyją „kopią“. Kalkbrennerowi, którego uważał za pierwszego fortepianistę w wielkim stylu, powierzył swoje palce, ale też nic więcej. O kompozycyi prawdopodobnie nie było mowy na lekcyach z Kalkbrennerem. Jak się zapatrywał na jego rolę, jako pedagoga, w stosunku do siebie, to doskonale i dowcipnie określił d. 25. grudnia 1831 r. w swym liście do Wojciechowskiego: „Co mi o drodze mojego artystycznego życia piszesz, jest także prawdą, o jakiej i ja mam to samo przekonanie. Jadę po niej własnym ekwipażem, tylko furmana do koni nająłem“. Własny ekwipaż, to oryginalność Chopina, to ten „nowy świat“, który sobie w muzyce „utworzyć“ pragnął. Konie, to wyłącznie palce, to wirtuozowskie opanowanie klawiszy, to technika bez zarzutu, w której zakresie odczuwał pewne braki, „wiedząc, czego mu nie dostaje“, a w której musiał celować, skoro „przymuszony był myśleć o torowaniu sobie drogi w świecie, jako pianista“. Najęty furman do tych koni, to Kalkbrenner! Ale furman jest jedynie od powożenia; o drodze zaś, którą należy obrać, żeby bez przygód dojechać do danego — artystycznego — celu.

[1]) Opus 7. nr. 1.

[2]) Opus 120.

decyduje tylko właściciel ekwipażu. Z tego sobie Chopin jasno zdawał sprawę. Trzeba podziwiać jego zdrowy rozsądek, jego trafny sposób stawiania kwestyi. Wiedział, czego chciał.

III.

W zakończeniu listu swego z d. 27. listopada 1831 r., donosząc Fryderykowi o wysłaniu dlań „niewielkiego zasiłku“, prosił go Mikołaj Chopin, żeby o ile możności starał się trzymać zdaleka od nadciągającej do Paryża emigracyi: *en t'engageant à ne pas trop te fier à bien des nouveaux venus*; albowiem, nie chcąc mieć utrudnionego lub wprost uniemożliwionego powrotu do kraju, należało być ostrożnym w zbliżaniu się do politycznie skompromitowanych emigrantów. Wszak wypadało mieć na względzie, że Chopin nie należał do emigracyi, że wyjechał z kraju przed rewolucyą i za paszportem, czyli, że każdej chwili, gdyby zechciał, mógł bez żadnych przeszkód wracać do Warszawy. Dlatego radził mu ojciec, by się nie kompromitował przez zbyt ścisłe stosunki z wychodźtwem polskiem, by nie palił za sobą mostów. Wiadomo było, że ambasador rossyjski w Paryżu, hrabia Pozzo di Borgo, bacznie śledził, na skutek specyalnej instrukcyi cesarza Mikołaja, co się działo wśród polskich wychodźców... Chopin jednak, niepomny tej ojcowskiej przestrogi, całą duszą przylgnął do emigracyi, chętnie uczestniczył w jej różnych zebraniach, bo przedewszystkiem zależało mu na manifestowaniu swej polskości, co nawet na paryskim bruku poniekąd było koniecznem, jeśli nie chciał, żeby go brano za Francuza. Że Chopin nie stronił od emigracyi, ale owszem garnął się do niej, że zaraz w początkach brał żywy udział w życiu emigracyjnem, dowodzi chociażby jego list z d. 25. grudnia 1831 r. do Wojciechowskiego, któremu pisze między innemi: „A teraz ubiorę się i pójdę, a raczej pojadę na obiad, jaki dzisiaj nasi dają dla Ramoriny i Langermanna...“ Widocznie, że na takich uroczystych obiadach, które emigracya urządzała dla swoich różnych znakomitości, Chopin bywał dość regularnie, bo gdy w następnym roku wyprawiono wielki obiad dla generała Dwernickiego, między jego uczestnikami był i Chopin. Był na nim i Słowacki, który tak między innemi o tym „wielkim obiedzie“ pisał do matki: „Podczas obiadu Cezary (Plater) biegał i zapraszał nas na wieczór artystów do siebie; był to wieczór z mężczyzn samych złożony. Chopin, sławny fortepianista, grał nam, gadaliśmy różne poezye, słowem, że

dobrze nam zeszedł wieczór. Wielu było Wołynianów, wiele wypiliśmy szampana... Wieczór ten był naśladowaniem świetnych wieczorów, które tu dają artyści francuscy: na takich wieczorach muzycy najpierwsi grają, malarze przy stolikach rysują karykatury i często korzystają z twarzy przytomnych sawantek. Wojażerowie opowiadają swoje podróże, uczeni swoje odkrycia i t. d.. W kilka dni potem u Straszewicza był drugi taki wieczór, ale jak zwykłe z długich przygotowań nic się nie klei, tak i na tym wieczorze nudziliśmy się śmiertelnie od 10-tej do 2 giej w nocy; pod koniec jednak Chopin upił się i prześliczne rzeczy improwizował na fortepianie". [1]) W tym samym roku 1832 pisał Bohdan Zaleski w liście do Ludwika Nabielaka: „W tej chwili przyszedł do mnie sławny nasz Karol Różycki. Idziemy zaraz do Mickiewicza, a z Mickiewiczem do Chopina, fortepianisty sławnego". [2]) Wszystko to świadczy, że Chopin nie unikał stosunków z emigrantami polskimi.

Ale bo też jak miał stronić od nich, kiedy wśród emigrantów właśnie liczył tylu osobistych przyjaciół i kolegów z Warszawy! Przestając z nimi, zapominał chwilami, że jest na obczyźnie. Nie upłynęło kilka miesięcy, a znaleźli się tu obaj Mochnaccy, Kamil i Maurycy, obaj Zalescy, Józef i Bohdan, dwóch Grzymałów, Franciszek i Wojciech, dwóch Wołowskich, Franciszek i Ludwik, Leon Smitkowski, Aleksander Hoffman, Teofil Kwiatkowski, Andrzej Plichta, a w końcu przyjechał i Stefan Witwicki. Przez nich nawiązały się nowe znajomości i przyjaźni: z Aleksandrem Jełowickim, z Eustachym Januszkiewiczem, z Józefem Straszewiczem, z Napoleonem Ordą, z Feliksem Wrotnowskim, z Juliuszem Słowackim, z Władysławem i Cezarym Platerami, oraz z mnóstwem innych. A ponieważ emigracya, z małemi wyjątkami, była nastrojona rewolucyjnie, więc i Chopin — jak przystało na serdecznego przyjaciela a pewno i stronnika Maurycego Mochnackiego — przysięgał na rewolucyę. „Kocham karlistów — pisał o tem do Dominika Dziewanowskiego — nie cierpię filipistów, sam jestem rewolucyonistą". Zdaje się jednak, że więcej był rewolucyonistą, aniżeli demokratą, a jeśli nim był nawet, to swego demokratyzmu — bardzo modnego na emigracyi — nie posuwał tak daleko, żeby nie dbać o zażyłe stosunki z arystokratami. Owszem na tych sto-

[1]) List z Paryża d. 3. września 1832.
[2]) List z Paryża d. 4. grudnia 1832.

sunkach, do których zresztą przywykł od dziecka, bardzo mu zależało.

Ztąd, jeszcze w roku 1831 zaprzyjaźnił się z domem kasztelana Ludwika Platera na rue de Londres, gdzie będąc w nadzwyczajnych łaskach u pani kasztelanowej, a w niemniejszych u kasztelanki, bardzo muzykalnej panny Pauliny, w krótkim czasie był na zupełnie bezceremonialnej stopie, uważany za domowego prawie. Kochano go, jak syna, pieszczono, psuto. Pierwszą uczenicą, która od niego zaczęła brać lekcye w Paryżu, była hrabianka Platerówna, poprostu „panną Pauliną“ przez wszystkich nazywana, o słabości zaś, jaką pani kasztelanowa miała dla Chopina, najlepiej świadczy jej *bon mot* o Chopinie, Liszcie i Hillerze: „Si j'étais jeune et jolie, mon petit Chopin, wyraziła się raz w rozmowie z Fryderykiem, je te prendrais pour mari, Hiller pour ami et Liszt pour amant“. Na wieczorach u Platerów, na których w karnawale nieraz Chopin na przemiany z Lisztem, z Hillerem, z Sowińskim, z Ordą, przygrywali do tańca, bywało wszystko, co emigracya posiadała świetniejszego. Bywał tu szczerze zaprzyjaźniony z kasztelanem, generał Kniaziewicz, którego Chopin znał z Drezna, bywał „stary patryarcha poetów“ Niemcewicz, Chopinowi dobrze znany z Warszawy, bywał Słowacki, którego Chopin nie lubił, bywali wszyscy główniejsi członkowie „monarchicznego“ stronnictwa Czartoryskich, bywały wszystkie arystokratyczne rodziny polskie, stale lub czasowo mieszkające w Paryżu, bywało i niemało dystyngowanych cudzoziemców, Francuzów i Anglików, bywało i wielu pierwszorzędnych artystów, muzyków, malarzy, poetów, historyków. Dla Chopina było bardzo pomyślnem, że właśnie z tym domem tak się związał ściśle, bo Platerowie mieli olbrzymie stosunki, a więc bardzo mu mogli być pomocni. Jakoż byli w wielu wypadkach. A przytem był to jeden z najświetniejszych domów polskich, a na jego „czwartkach“ panował taki duchowy poziom, że o równy mu nie było łatwo nawet w najpierwszych salonach francuskich. Nie zawsze tak było, bo zdarzały się i czwartki skromne, raczej familijne, ale czasami zdarzały się i wyjątkowo świetne. Na jednym n. p. rozegrał się sławny turniej pomiędzy Lisztem, Hillerem i Chopinem, kto najlepiej zagra Mazurka: Jeszcze Polska nie zginęła. Zaczęło się od tego, że Hiller i Liszt utrzymywali, że nie potrzeba być koniecznie Polakiem, aby hymn ten zagrać z należytem zrozumieniem i odczuciem jego ducha. Chopin, wraz z całem towarzystwem polskiem, był innego zdania, utrzymując, że cudzoziemiec nie po-

trafi z melodyi tej wydobyć należycie to, czego ona jest natchnionym wyrazem: to może oddać tylko Polak. Postanowiono, że ją wszyscy trzej pianiści zagrają po kolei, a zgromadzeni słuchacze rozstrzygną, komu się należy palma zwycięstwa. Pierwszy zasiadł do fortepianu Liszt, po nim Hiller, a dopiero po nich Chopin, który tak wspaniale, z takim porywającym zapałem uwydatnił bohaterskiego ducha tej pieśni nadziei i zwycięstwa, że i Hiller i Liszt, uprzedzając wyrok zgromadzonych słuchaczy, uznali się za pokonanych. O najrozmaitszych figlach Chopina, które raz po raz urządzał Platerom, a które świadczyły o jego nadzwyczajnej poufałości z nimi, istnieje szereg anegdot.[1])

Przez Platerów wszedł w równie przyjacielski stosunek z domem Czartoryskich, którzy, osiadłszy w Paryżu, zamieszkali na Faubourg du Roule. Razem z księstwem Adamowstwem przyjechały tu księżna Sapieżyna, matka księżnej Adamowej, i księżna Wirtemberska, autorka *Malwiny*. Chopin znał obie z Warszawy, od Zamoyskich. Tutaj stał się ulubieńcem całej książęcej rodziny, a na „poniedziałkach“ u księżnej, na których bywało mniej więcej to samo towarzystwo, co u Platerow, nigdy się nie dał prosić, gdy się domagano, by zasiadł do fortepianu. Bardzo często grywał i do tańca, w nieporównany sposób grając zwłaszcza mazury. Niezrównanym był również, gdy chcąc rozweselić towarzystwo, popisywał się swym talentem naśladowczym, gdy pokazywał, jak to gra Liszt lub Pixis. Były to parodye złośliwe niekiedy, bo podchwytujące różne śmieszności znakomitych artystów, ale przypatrując się tym „poliszynelom“ Chopina, całe towarzystwo musiało zanosić się od śmiechu. I on wtedy, tak zwykle smętny i wytworny w manierach, ożywiał się do niepoznania, nabierał humoru i werwy, o jakie by go nikt nie posądził, był pełen konceptów, rzucał rakietami dowcipów najprzedniejszych, słowem, stawał się osią ogólnego rozbawienia. Nie zawsze bywał takim, ale w gronie rodaków, w gronie dobrych znajomych, gdy wśród nich nie brakło i pięknych kobiet, lub takich, które cieszyły się jego sympatyą, ożywiał się, rozweselał, wpadał w dobry humor,

---

[1]) W papierach po Chopinie znalazły się i listy Platerów. W jednym Ludwik Plater, nie zastawszy Chopina, pisze kilka słów po francusku w jego mieszkaniu (przy boul. Poissonière) zapraszając go do siebie na wieczór, na którym ma być kilku Polaków, pragnących usłyszeć Chopina. W innym liście pani kasztelanowa pisze między innemi: „Niech Chopenek przyszle swój manuskrypt nut. Czy mówiłeś z p. Frepą? Spodziewam się, że się pożegnasz z nami“.

a wtedy różnym „poliszynelom“ nie było końca. Ale na to musiał się czuć między swoimi, co właśnie miało miejsce w domu Czartoryskich.

Z pomiędzy polskich domów arystokratycznych, z którymi Chopin pozostawał w bardzo bliskich stosunkach, wyróżniał się także dom hr. Komarów, którzy go znali jeszcze z Drezna, zkąd już na początku r. 1832 przenieśli się na stały pobyt do Paryża. Bawiła też tu z nimi od r. 1832 córka ich, hrabina Delfina Potocka, żona Mieczysława, z którym jednak żyła w separacyi. Zarówno jej, jak i jej dwóch młodszych sióstr, Ludmiły i Natalii, równie jak ona posągowo pięknych, był od samego początku Chopin gorącym wielbicielem.

Po za temi trzema pierwszemi domami polskiemi w Paryżu miał tu wkrótce Chopin jeszcze i kilkanaście innych, Wołowskich, Grabowskich, Ossolińskich, Hoffmanów, Plichtów oraz „Lorki“ Czarnowskiej, dla której zawsze był pełnym sentymentu na tle wspomnień warszawskich. Te same wspomnienia, choć innego rodzaju, bardzo mu czyniły miłym dom Karolostwa Hoffmanów, jako że dla pani Klementyny z Tańskich od dziecka żywił kult szczególny. U Andrzejostwa Plichtów był jak u siebie, pełen uwielbienia dla rzadkich cnót pani Plichciny.

Jednocześnie z emigracyą, od której w końcu roku 1831 zaroiło się w Paryżu, przybył tu z Warszawy, także w roli politycznego rozbitka, Aleksander de Moriolles, który po śmierci Wielkiego Księcia Konstantego, nic nie mogąc wskórać u rządu rossyjskiego, rozgoryczony wrócił do Francyi. Przybywszy do Paryża, odszukał Chopina, „przywożąc mu serdeczne pozdrowienie od swej córki“. Po niejakim czasie przyjechała i sama „Mariolka“. Oczywiście, że Chopin zaczął bywać u niej, a choć już nie kochał się w niej, jak za warszawskich czasów, to jednak nie przestał mieć sympatyi dla niej. Wiedząc, że i „Mariolka“ i jej rodzina, mają dlań — według jej zapewnienia w jednym z listów do niego — *toujours la même amitié pour le genie devenu grand que pour le virtuose de 7 ans* — chętnie w ich towarzystwie, a zwłaszcza w towarzystwie „Mariolki“, tytułującej go „Monsieur le Diabelek“, odświeżał wspomnienia warszawskie, pod jednym warunkiem wszakże, by go w imię tych wspomnień z czasów Ronda à la Mazur, nie chciano... żenić z Mariolką. O tem mu się nie śniło. A jednak rodzice Mariolki, która, jako niebogata hrabianka, jakoś nie mogła wyjść za mąż, nie tylko przemyśliwali o tem, żeby ją wydać za Chopina, ale zdaje się nawet, że w tej

kwestyi wymienili listy z rodziną Fryderyka. Ale cóż z tego, że rodzice Chopina, a nawet jego siostry, nic nie mieli przeciwko temu mariażowi, kiedy sam „Monsieur le Diabełek“, choć bardzo lubił Maryolkę, wcale w tej chwili nie myślał o ożenku, ani z nią, ani z kimkolwiek innym. Że jednak w Warszawie nie miano nic przeciw Maryolce, dowodził list Ludwiki do Fryderyka, która mu tak pisała d. 27. listopada 1831 roku: „Był Nowakowski: chciał, żeby dać te ronda, coś dla Moriolles kazał wylitografować, ale Papa nie dał. Czy każesz? to się dadzą. Nie piszesz o Aleksandrince, czy ona istotnie nie zasługuje na Twoje afekcye?“ Już to samo, że Chopin nie pisał o niej, dowodziło, że dla tych matrymonialnych powodów zaczął politykować z Maryollami, a gdzie się zaczyna polityka, tam się kończy szczerość, a gdzie się zaczyna brak szczerości, tam się zwykła kończyć i przyjaźń. Bardzo być może, że w ten sposób powoli zaczął ostygać stosunek z Maryollami...

Tymczasem Chopin wciąż nawiązywał nowe stosunki, w tej liczbie z wieloma znakomitościami literackiemi. Na początku sierpnia poznał się z Adamem Mickiewiczem. Wprawdzie niezawsze zgadzali się z sobą, owszem, najczęściej mieli odrębne zapatrywania, ale pod jednym względem byli podobni do siebie: Mickiewicz unosił się nad muzyką Chopina, Chopin unosił się nad poezyą Mickiewicza. A przytem obaj byli genialnymi improwizatorami. To też, gdy byli razem, a bywając w tych samych kołach, ciągle spotykali się ze sobą, zdarzało się nieraz, że albo Mickiewicz improwizował po improwizacyi Chopina, albo Chopin improwizował po improwizacyi Mickiewicza. Szczęśliwi ci, co mogli być świadkami tych improwizacyi! Oto zaś, w jaki sposób raz Mickiewicz scharakteryzował Chopina: „Oto on, najucieszniejsza figura, jaką znałem na świecie: Talent Garricka, dowcip warszawsko-francuski. I jedno mię w nim tylko nieprzyjemnie uderzało, to zabawianie swoją osobą figurek salonowych, z których żartował i miał racyę... Polskiej matki dusza grała przez niego, śpiewała, szlochała, a dusza ojca-Francuza śmiała się na całe gardło: i to był Chopin!“ Gdy Mickiewicz pisał Pana Tadeusza, na wieczornych zebraniach u niego na *Carrefour de l'Observatoire,* na których poeta odczytywał świeżo napisane pieśni poematu, bywał wraz z wieloma jego przyjaciółmi i Chopin.[1]) Te „nocne roda-

[1]) Władysław Mickiewicz, Żywot Adama Mickiewicza. II. 266.

ków rozmowy" „u Mickiewicza, który wtedy tworzył Pana Tadeusza, tak opisuje Bohdan Zaleski: „Odwiedzali Adama wtedy tłumnie, jako słynnego już autora Wallenroda, Dziadów i Ody do młodości, rozbitkowie powstania listopadowego, roznamiętnieni, krzykliwi, powracający z Taranne i Vauban. Tak zwały się dwie Góry, huczące naprzeciw siebie wyklinaniami, nasze emigranckie Hebal i Garyzim. Z umiarkowańszą bracią Adam chętnie przestawał: usiłował nastroić zwichnione umysły do zgododźwięku i zapał ich nieobłudny skierować ku wyższym celom, pożyteczniejszym dla sprawy narodowej. Nie bardzo mu się to udawało. Nastały wkrótce wieczorne schadzki u Adama, po większej części umiarkowańszych osób i tem samem sympatyczniejszych. Uczęszczali na nie, ile pamiętam: Jełowiccy, Edward i Aleksander, bracia Sobańscy, Kaszyc, Worcel, Cezary Plater, Karol Montalambert, Dawid rzeźbiarz, generałowie Dembiński i Miś Mycielski, Władysław Zamoyski, Fryderyk Chopin, Franciszek Szemioth, Leonard Chodźko, Wrotnowski, Weisenhoff, Januszkiewicz, Kołysko, K. E. Wodzyński, Kajsiewicz, Rettel, Semenenko, Ropelewski i wielu, wielu innych. Goście przychodzili do szczupłych pokoików nie codzień, ale po parę razy w tygodniu, na pół godziny, na godzinę, czasem raz jeden na miesiąc. Adam stał wtedy na swym zenicie, w pełni twórczości poetyckiej i w ciągłem podniesieniu ducha. W mowach i rozmowach codziennych błyskawicował parabolami, rozświetlającemi głębie ducha, sypał jak z rękawa genialne spostrzeżenia, cudne myśli, oryginalne dowcipki w oryginalnem wysłowieniu. Schadzki te, a właściwiej mówiąc biesiady patryotyczne, toczyły się w najzupełniejszej swobodzie, o przedmiotach tyczących się Polski, jej bied i prześladowań ówczesnych." Chopin niemało musiał korzystać na tych zebraniach, w tej skondensowanej a podniecającej atmosferze patryotyzmu." Wogóle na emigracyi często łączono nazwisko Mickiewicza i Chopina, nie tylko jako dwie znakomitości pierwszego rzędu, jako dwóch geniuszów, jako dwie chluby narodu polskiego, ale jako dwa pokrewne sobie duchy. Kiedy Mickiewicz, w ekstazie natchnienia, improwizował, we wzroku jego przymglonym i zapatrzonym jakby w zaświaty, widzieli niektórzy „melodye fantastycznych improwizacyi Chopina".[1])

F. Hoesick.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) Wspomnienia moje o Francyi, Kraków 1859.

Z młodości Bony Sforzy.

(Dokończenie).

Prawdopodobnie nie opuściła Pawii, gdyż zdrowie Jana Galeazza jeszcze się pogorszyło. Przytem nastąpiło wtedy zerwanie stosunków z Morem. Karol VIII. już kierował się z wojskiem ku Piemontowi. Dziad Izabelli, król Ferdynand, odwołał swego rezydenta z Medyolanu i odesłał rezydenta medyolańskiego z Neapolu, zasekwestrował dochody księstwa Bari.

Straszne chwile musi przechodzić córka Alfonsa II., wobec zbliżającej się tragedyi domowej i publicznej. Zachorowała przy chorym mężu, przytem Bona dostała ospy.[1]) Paweł Bilia, widocznie jeden z otoczenia Izabelli i Jana Galeazza, pisze z Pawii 1. października list do Mora:

„Dziś wystąpiła wcale obficie ospa madamie Bonie, córeczce Jaśnie Oświeconej Pani, o czem miałem sobie za obowiązek donieść Waszej Wielmożności, tak, jak i nadal uczynię w miarę przebiegu choroby.

„Powyżej wymieniona Pani, zdaje się, że od kilku dni lepiej się ma.“

Izabella była wtedy w ciąży.

Tymczasem Jan Galeazzo gaśnie, umiera w listopadzie (1494 r.) w zamku w Pawii, w dwudziestym szóstym roku życia, widząc

---

[1]) Może szkarlatyny.

nad łożem swojem pochylone dwie straszne twarze: młodego, szpetnego Karola VIII., który wtedy nadciągnął z wojskiem do Lombardyi i Ludwika il Moro. Była to prawdziwa tragedya! Co się wtedy działo w duszy Izabelli? Trudno opisać jej boleść, zgrozę, trwogę i nienawiść tłumioną do tyrana rodziny w chwili, kiedy traciła ukochanego małżonka, zrospaczona i bezsilna.

Bona wyzdrowiała z ospy, gdyż doktorowie Mikołaj Cusani i Gabryel Pirovano, pisali poprzednio do Medyolanu: „Madonna Bona, córka Jaśnie Oświeconej Madonny, znajduje się w doskonałym stanie co do ospy, która u niej wystąpiła...“ Ale za to matka cierpiała na boleści żołądka, zkąd podejrzywano, iż były próby otrucia jej, bo i przedwczesną śmierć męża przypisywano truciznie, zadanej przez stryja, choć podejrzenie w owych czasach powtarzało się tak często, że zbyt na serjo brać go może nie trzeba.

Urodziła się jej w marcu (1495 r.), tj. w cztery miesiące po śmierci męża, trzecia córeczka, Bianka, która żyła tylko dwa lata, gdyż umarła 28. stycznia 1497 roku. Wynika to z listu, jaki stara królowa Bona pisała w r. 1551, tj. na cztery lata przed opuszczeniem Polski, a którego kopia znajduje się w archiwum państwowem (pod rubryką P o l o n i a) w Medyolanie. Bona odniosła się wtedy do Aleksandra di Lampugnano, o zarządzenie poszukiwań, w jej specyalnie interesie, o wierzytelne świadectwa co do śmierci ojca, księcia Jana Galeazza, jako też i co do tego, że jej matka była wtedy w czwartym miesiącu ciąży, oraz i co do narodzin siostrzyczki Bianki. Prosiła, aby szukano, gdzie została pochowaną, czy może w Nawarze?

Myśl jej odgadujemy z innego dokumentu, znajdującego się w tym samym dziale, tj. z listu datowanego 5. lipca 1556 r., kiedy Bona powróciła była do Neapolu i Bari od dwu miesięcy. Królowa kazała wtedy oświadczyć, za pośrednictwem Jakóba Maryi Stampy, medyolańskiego patrycyusza i Karola Antoniego Gambacosty, że chce w medyolańskiej katedrze wznieść rodzinną kaplicę, aby zebrać w niej ciała wszystkich zmarłych z swojej rodziny. Kanclerz cesarza niemieckiego, ówczesnego władcy Medyolanu, przychyla się do życzenia Bony. W istocie, ciała jej rodziny były rozproszone. Matka zmarła w Neapolu, ojciec w Pawii, brat Francesco we Francyi, Hipolita siostra została złożona w Neapolu, a o drugiej, tj. Blance, nie wiedziała nawet, gdzie ją pochowano? Widocznie chciała zrobić to samo, co Zygmunt, kiedy fundował kaplicę Jagiellońską w katedrze na Wawelu, ale zamy-

sły te, z powodu jej rychłej śmierci, zaszłej w półtora roku później, nie doszły do skutku.

II.

Przygnębiona, bezsilna, podczas gdy Karol VIII. zajmował Neapol, wróciła Izabella z Pawii do Medyolanu, wyczekując dalszych wypadków, ale nie zamieszkała już w Castelsforzesco, tylko osiadła z dziećmi na uboczu, w zamku przy dawnej bramie Giovia, dziś już nie istniejącym. Musiała ustąpić przed wrogiem: Wiadomości, jakie dochodziły z Neapolu, zapewne przez Rzym, nie były tego rodzaju, aby mogły podnieść na duchu: Jej dziadek Ferdynand umarł, a ojciec, Alfons II., wobec zbliżania się Karola VIII. z wojskiem, abdykował i uciekł do Sycylii, a rządy objął Ferdynand II., brat Izabelli, w chwili kiedy król francuski wkraczał tryumfalnie, w lutym 1495, do Neapolu i koronował się na króla. Rozpoczynała się więc długa wojna. Potem Karol VIII. wracał w maju do Francyi, zostawiając załogi, podczas gdy przeciw niemu zawiązywała się liga cesarza Maksymiliana, Ferdynanda katolickiego, Wenecyi, papieża Aleksandra VI. i przestraszonego jego powodzeniami, Ludwika il Moro. Następne lata wypełnione są więc utarczkami między Hiszpanami i Francuzami, w czasie których umiera brat Izabelli, a jej stryj, Fryderyk, dobija się o królestwo.

Mało wiemy o tych latach, jakie matka Bony spędziła wtedy w Medyolanie, aż do chwili, kiedy w końcu 1499 r. ucieka na południe. Wiemy tylko, że była świadkiem zupełnego objęcia władzy przez swego prześladowcę, gdyż szlachta medyolańska oddała ją Morowi i tylko potrzeba było jeszcze ceremonii doręczenia chorągwi księstwa przez cesarza, aby sankcya stała się zupełną.

Jakoż uzyskał ją od męża Bianki Sforzy, obecnie cesarza, (po ojcu swoim Fryderyku III.), Maksymiliana. W d. 5. kwietnia 1495 r. otrzymuje il Moro, prawem wolnego lenna, Medyolan.

Na słynnym pomniku cesarza, w nadwornym kościele w Insbruku, otoczonym, jak wiadomo, posągami rodziny Habsburgów, znajduje się płaskorzeźba, przedstawiająca udzielenie lenna Ludwikowi Sforzy. Cesarz siedzi na tronie zdobnym w podwójnego orła i ma obok siebie Biankę Sforzę: przed nim klęczy il Moro i otrzy-

muje symboliczną chorągiew z herbem Medyolanu, tj. z wężem zjadającym dziecko. Otaczają ich dwory i dygnitarze.

W r. 1497 umiera Beatrycze d'Este, żona obecnego pana Medyolanu. W następnym roku umiera Karol VIII., a wstępuje na tron jego siostrzeniec, Ludwik XII., książę orleański, który podejmie prawa swoje i do Neapolu i do Lombardyi, gdyż pomiędzy antenatami znajduje się jedna z Viscontich, panów Medyolanu, zanim Sforzowie zagarnęli byli władzę. A w owych czasach krew rozstrzygała o prawach i dlatego Habsburgowie szukali małżeństw w innych państwach, jak w Hiszpanii i Węgrzech, a teraz, dla wzmocnienia pretensyj, także pomiędzy Sforzami.

W r. 1498 Izabella skoligaciła się z Borgiami, z papieżem Aleksandrem VI., skoro naturalny syn jej ojca, Don Alfonso d'Aragona, książę na Bisceglie, ożenił się z córką papieża, Lukrecyą Borgią, rozwiedzioną wtedy z Janem Sforzą, panem na Pesaro, zaślubionym w r. 1494. Ślub odbył się w czerwcu (1498 r.) w Rzymie, ale książę na Bisceglie został zamordowany w dwa lata później, z namowy Cezara Borgii.

Przez jakiś czas księżna Medyolanu mieszkała w pobliżu katedry, wystawiona ciągle na tyranię uzurpatora, gdyż ten ostatni pozwolił jej widywać syna tylko raz na tydzień.

Nadchodzi wreszcie chwila, kiedy jej się zdaje, że pomszczona zostanie. Ludwik XII. przybrał tytuły nie tylko króla Neapolu, ale i księcia Medyolanu i gotuje wyprawę do Włoch w przymierzu z Wenecyą. Tego dowódzca, Trivulzio, wkracza do Piemontu z 25 tysiącami żołnierza, potem do Lombardyi 6. października 1499 r., poczem i król sam nadciąga. Skutkiem tego Moro uciekł z synami we wrześniu do Insbruku. Wtedy to Izabella zdobywa się na krok rozpaczliwy i śmiały. Kiedy Ludwik XII. wszedł z wielką pompą do Pawii, a potem do Medyolanu, przyjęty ostentacyjnie, tak, że miasto złożyło mu przysięgę wierności, ona ufając w rycerski umysł króla, wysyła naprzeciw niego synka, ośmioletniego Franciszka, hrabiego Pawii, aby powitał tego, którego uważa za swego wybawiciela. Franciszek był tak ładnym chłopczyną, że poseł księcia Gonzagi z Mantui wyrażał się o nim z zachwytem. Ale i tutaj miało spotkać wdowę po Janie Geleazzu, bolesne rozczarowanie! Ludwik XII. zatrzymał chłopca i kiedy w listopadzie wracał do Francyi, zabrał go z sobą, mówiąc, iż przeznacza go dla swojej małej córeczki Klaudyi, która później, w dwa lata po śmierci Franciszka, tj. w r. 1514, poszła

za mąż za księcia Angoulême, znanego pod nazwiskiem Franciszka I.

Ludwik Moro jednak nie daje za wygranę, zaciąga Szwajcarów, aby odebrać Medyolan. A jeśli wróci na czele wojsk, zwłaszcza, że miasto zaczyna się buntować przeciw załodze francuskiej, w takim razie życie Izabelli jest niepewne... Lepiej uciekać, zanim wróg nadejdzie, więc Izabella zabiera córeczki i uchodzi do Mantui, do Izabelli d'Este — księżnej Gonzaga. Portret tej ostatniej znajduje się w cesarskiej galeryi obrazów w Wiedniu. Ztamtąd, po upływie roku — w marcu 1501 r. — uchodzi do Neapolu, aby tam pozostać. Całą może pociechą było, że wróg il Moro w kwietniu 1500 r. schwytany został przez Francuzów w bitwie pod Nowarą i uprowadzony, jako jeniec, do Francyi, gdzie w roku 1509, w zamku Laches życie zakończył, zostawiając dwu synów: Maksymiliana i Franciszka.

Księżna Izabella stała się świadkiem nowej wojny w Neapolitańskiem, między wojskami francuskiemi i hiszpańskiemi i podziału królestwa między Ferdynandem katolickim i Ludwikiem XII., co nie przeszkodziło, że wojna między nimi na nowo się wszczęła. Ostatni z neapolitańskich Aragonów, Fryderyk, wyjechał do Francyi, a Ferdynand katolicki zajął ostatecznie Neapol, gdy wojska francuskie się wycofywały.

III.

Księżna Medyolanu — dziś już tylko tytularna — otrzymała księstwo Bari i Rossano, jako odszkodowanie, i tam osiadła. Pomiędzy zamkiem w Bari a pałacem Castelcapuano w Neapolu, upływają jej następne lata wśród otoczenia więcej hiszpańskiego niż włoskiego, w nowem środowisku, gdzie pomimo towarzystwa dwu ostatnich królowych neapolitańskich i ciotki swojej, Beatryczy węgierskiej, rozwiedzionej z bratem naszego Zygmunta I., Władysławem Jagiellończykiem, musiała nieraz wzdychać za Medyolanem i utraconem stanowiskiem. Na wyspie Ischii umarła Hipolitka, syn Franciszek przebywał daleko, w niewoli u tego, który w r. 1505 otrzymał od cesarza Maksymiliana przez dyplom inwestyturę księstwa. Została się jej tylko Bona.

W r. 1513 Bona miała już rok dwudziesty i ogólne położenie nieco się zmieniło. Francesco, jedynak syn, zmarł był w niewoli przed rokiem, zabił się na polowaniu — jak mówiono wtedy — spadłszy z konia. Od roku także, tj. od 1512, Maksymilian Sforza, syn zmarłego Ludwika il Moro, odzyskał z pomocą najemnych Szwajcarów i Świętej Ligi Medyolan, a nawet cesarz, chwilowy sprzymierzeniec Ludwika XII., jemu znów powierzył lenno.

Teraz więc, kiedy kuzyn jest władcą Medyolanu, kiedy odzyskał dziedzictwo Sforzów, do niego zwracają się myśli Izabelli, jako do ewentualnego męża dla Bonity, bez względu nawet na to, że uchodzi za leniwego i nieuka. Pominąwszy trudności znalezienia odpowiedniej partyi dla córki, aspirującej do wysokiego stanowiska, uśmiecha się matce przedewszystkiem myśl powrotu do wspaniałej dzielnicy Sforzów, jakby zwycięstwo nad pamięcią Mora i nad jego intrygami. O zabiegach tych dowiadujemy się z listu księżnej Izabelli, zachowanego w Archiwum państwowem w Medyolanie, pisanego z zamku w Bari, d. 27. października 1513 r., do Andrzeja da Borgo, cesarskiego agenta w misyach dyplomatycznych i rezydenta w Medyolanie, którego też nazywa „najdroższym przyjacielem“, nie żałując uprzejmości, aby tem goręcej polecić mu sprawę, zajmującą od roku jej myśli. Księżna tem więcej może zapaliła się do projektu wydania córki za Maksymiliana Sforzę, że syn Ludwika il Moro nie okazywał wielkiej ochoty do stanu małżeńskiego, a może też chciała skorzystać z chwili, kiedy w Medyolanie bawił zaufany doradca cesarza i jego kanclerz, biskup Gurku, kardynał Maciej Lang, mogący wpłynąć na doprowadzenie planu do dobrego skutku. Znać więc w liście pewną natarczywość, połączoną z niecierpliwością ujrzenia nareszcie postanowienia córki, dla której zaczynała już zbierać posag.

„Niech się Pan nie dziwi — pisze księżna do Magnifico Andrzeja da Borgo — jeśli nie przestajemy nagabywać go, gdyż mamy w was wiarę, a to pochodzi z życzenia, aby doprowadzić rzecz tę do skutku i rozpocząć nareszcie układy. Jestem jeszcze matką i pragnę, póki żyję, widzieć córkę naszą postanowioną i każda godzina wydaje się nam tysiącem lat. Prosimy Pana, aby się przyłożył do tego, tak, jak mamy w Was nadzieję i jak robiliście obecnie. I mając naszą córkę w tamtem państwie, możecie być przekonani, że będziecie mieli osobę, która zawsze dla Was będzie miała szacunek i uważać będzie za ojca i którą możecie rozporządzać jak córką i tak uczci Wasze czyny, że przekonacie

się po skutku, żeście oddali usługę osobom pełnym wdzięczności i abyśmy mogli widzieć rychło rzecz zrobioną i nie zwlekać jej dłużej, zważywszy, jak długo już się ciągnie...“

Sprawa pomimo to jakoś nie szła; w dwa lata później Izabella ogląda się za innym pretendentem i koresponduje z innemi osobami. W Rzymie mieszka wtedy nieznany nam bliżej ksiądz z Bari, którego listy pisane do księżnej Izabelli, wydane zostały z archiwum watykańskiego w r. 1890 (Don Gregorio Palmieri: Spicilegium vaticanum). Zadaniem księdza było widocznie pilnowanie interesów księżnej, na dworze Leona X., Medyceusza, jaśniejącym przepychem o charakterze nierównie więcej świeckim niż duchownym, jak u prawdziwego księcia odrodzenia. O tym księdzu i jego listach miałem już sposobność mówić poprzednio.[1]) Atoli po wydrukowaniu obszernej jego korespondencyi z matką Bony, znalazły się jeszcze listy rękopiśmienne, stanowiące dalszy ciąg, a dotąd nie ogłoszone. Podają one, jak i tamte, wiadomości z pola wojny między zjednoczonemi wojskami Hiszpanii, cesarza i papieża, przeciw wojskom Franciszka I., który podjął prawa Ludwika XII. i Wenecyanom w r. 1515 w górnych Włoszech, gdzie się rozstrzygają losy Maksymiliana Sforzy i kwestya, czy zdoła utrzymać się przy Medyolanie, w którym panuje od lat trzech.

I tutaj także wypadki poszły całkiem nie po myśli księżnej, jeśli wogóle były jakie widoki, aby kuzyn zaślubił córkę, skoro się do tego nie skłaniał. Maksymilian Sforza został pobity 15. września (1515) przez Francuzów pod Marignano, w Lombardyi, kapitulował i schwytany, poszedł za innymi Sforzami do Francyi! Zrzekł się nawet Medyolanu i uznał młodego Franciszka I., od dziewięciu miesięcy króla francuskiego, księciem.

Wobec takiej katastrofy wszystkie plany i nadzieje Izabelli rozsypały się w niwecz!

Nieznany nam księżyna z nad Tybru pisze też 27. października 1515 r. list do księżnej do Bari, jakby pocieszając ją, bo wspomina już o nowych kombinacyach: „Myśleliśmy, że kiedy Donna Bona odda się, jako żona, infantowi kastylijskiemu, który jest prawem oczkiem Hiszpanii, bratu arcyksięcia i robiąc go księciem Medyolanu, mogłoby się dalej rzecz prowadzić (odebranie Medyolanu Francuzom — przyp.), jej posagiem. Do tego cesarz jak i Hiszpania, aby go wywyższyć, bo jest wnukiem obojga,

[1]) Bona Sforza. Rzym 1904, str. 230, w drukarni Senatu.

na zasadzie praw Donny Bony, mogliby wypędzić Francuzów, tak jeden jak i drugi, aby do Wenecyi z nogami za pasem[1]) uciekali...“ [2])

Infantem kastylijskim jest młody jeszcze bardzo, piętnastoletni Karol, syn Filipa Pięknego Habsburskiego i Joanny kastylijskiej, spadkobierca tronu hiszpańskiego, a następnie cesarz Karol V. Karol w pół roku później zasiadł na tronie hiszpańskim, po śmierci Ferdynanda katolickiego. Widocznie księżna pisała przedtem, że Bona będzie miała sto tysięcy dukatów posagu, więc księżyna ma na myśli użycie tej sumy na dalsze prowadzenie wojny. Wszelako, zdaje się, o podobnej partyi choćby z powodu wieku Karola, nie mogło być inaczej mowy, jeno w pięknych zabiegach agenta w sutannie, lubiącego się czasem przychlebić, tak jak i kanonicy jednej z kapituł w księstwie Bari, przymilali się wtedy do swojej władczyni, projektem tego samego rodzaju, jakoby Bona miała wkrótce wyjść za arcyksięcia austryackiego.

Trzynastego listopada tegoż roku wracał nasz ksiądz do świeżych wspomnień, pisząc nowy list do swojej dostojnej Pani, mówiąc o klęsce, jaka spotkała Maksymiliana Sforzę:

„Ale Bóg, który wydał sąd swój nad tą psią krwią żydowską (contro quel cane de sangue ebraico), ojcem jego (tj. Morem), który zamordował bratanka, aby stać się tyranem księstwa, który wypędził jego żonę z domu, odbierając jej synka, chciał ukarać także chytrego tyrana, syna, podobnego do ojca i ja sam dziękuję Bogu za to, że małżeństwo to nie przyszło do skutku, przysięgając i zaręczając, że ta córka Donna Bona nie byłaby pożyła ani roku w jego domu, gdyż byłby ją uśmiercił, aby zabawić się potem z innemi, któreby mu były dogodniejsze...“

Skoro ten projekt poszedł w niwec, nie pozostało jak szukać kandydata na innych dworach. Dlatego jest jeszcze potem mowa o Filipie, księciu sabaudzkim, lub też o jednym z Medyceuszów z Florencyi, o Magnifico Lorenzino, bratanku papieskim, lub o Magnifico Giuliano, bracie Leona X. i dlatego zapewne ostatnie listy naszego księdza, pisane są z Florencyi, dokąd się udał w powyższej sprawie. Ale korespondencya urywa się z styczniem 1516 roku. Nie jest niemożliwem, że księdzem tym był Chryzostom Colonna, nauczyciel Bony, którego następnie uj-

---

[1]) De bone gambe.

[2]) Z listów rękopiśmiennych księdza, z Arch. watykanu.

rzymy w Polsce, kiedy układy matrymonialne toczą się z poręki cesarza.

Możemy również domyślać się, że wtedy właśnie, na początku 1516 roku, doszły księżnę Izabellę w Bari pierwsze propozycye ze strony wiedeńskiego dworu, skoro Maksymilian I. chciał wyswatać owdowiałego niedawno Zygmunta I.

Barbara Zapolya umarła była po połogu, 1. października 1515 roku, na Wawelu. Zostawiła dwie córeczki, ale następcy tronu nie było. Jest więc bardzo prawdopodobnem, że Andrzej da Borgo, poseł cesarski w Medyolanie, albo raczej kardynał biskup Gurku, Lang, przypomnieli sobie zabiegi księżnej, o jakich wyżej mówiliśmy. Dlatego ksiądz Chryzostom Colonna, o którym Zygmunt Herberstein, poseł cesarski, jadący z nim do Polski, wyraża się z wielkim szacunkiem, nazywając go „podeszłym w wieku czcigodnym księdzem“,[1]) pojedzie później, aby pokazać królowi polskiemu miniaturę Bony i wziąć udział w pertraktacyach.

Wiemy, że układy zakończyły się pomyślnie. Bona Sforza miała wyjść za Zygmunta I.

Adam Darowski.

---

[1]) Fontes rerum austriacarum. T. I.

LISTY PARYSKIE.

I.

Marius-Ary Leblond. — Początki romantyzmu francuskiego. — Emil Zola i Naturalizm. — Eugeniusz Fromentin. — Dzisiejsza literatura kobieca we Francyi.

Panowie Marius i Ary Leblond, w roku zeszłym, po powrocie z Polski, podjęli inicyatywę wystawienia pomnika Adama Mickiewicza w Paryżu. Projekt uzyskał poparcie świata literackiego francuskiego i miejmy nadzieję, w najbliższej przyszłości wprowadzony zostanie w życie. Z powodu tej wielkiej manifestacyi franko-polskiej, chwila wydaje mi się być odpowiednią dla zaznajomienia publiczności polskiej z literacką działalnością pp. Leblond, która ma już za sobą poważną przeszłość, a rokuje na przyszłość jak największe nadzieje.

A najsamprzód kilka szczegółów biograficznych. Bracia Leblond (Marius urodzony w 1887, Ary w 1880) pochodzą z wyspy de la Réunion; po odbyciu studyów w miejscowem liceum przyjechali do Francyi. Działalność swą pisarską rozpoczęli od powieści: *Les vies parallèles* (1902), *Le Zezère* (1903), *Le secret des robes* (1903), *Sarabande* (1904), *L'Oved* (1907) — oto, co w tym dziale dotychczas ogłosili. Są to wszystko powieści z życia kolonialnego francuskiego, różniące się od powieści angielskich Kipling'a, a także od utworów Loti'ego; kiedy u Loti'ego przeważa fatalizm, rezygnacya, smutek jakiś, u Leblondów przeciwnie, pa-

nuje spokój, pogoda, powiedzieć nawet można więcej, pewnego rodzaju egzaltacya, romantyzm; starają się oni uzewnętrznić przywiązanie Francyi do swych kolonij i podjęte przez nią wysiłki w celu asymilacyi pokojowej kolonistów, w celu zrobienia z tych kolonistów nie wrogów metropolii, a obywateli kochających ją, jako swą ojczyznę...

Drugą stronę działalności braci Leblondów stanowią ich podróże, a raczej sprawozdania z tych podróży: W roku 1907 wydali bardzo obszerną i źródłową monografię o Madagaskarze:[1]) jest to studyum nie tylko etnograficzne i folklorystyczne, ale uwzględniające również literaturę, sztukę, słowem wszystko, co odnosi się do życia tej kolonii; napisane barwnie, z dużym talentem literackim, ozdobione licznemi rycinami, stanowi pewnego rodzaju encyklopedyę przedmiotu. — Obecnie pracują pp. Leblond nad kwestyą polską; w tym celu odbyli w zeszłym roku podróż po całej Polsce, zbierali materyały na miejscu, starali się z bliska zapoznać z naszem życiem politycznem, społecznem i artystycznem. Zresztą sprawa polska nie była dla nich obca i przedtem i niejednokrotnie na szpaltach przeglądów i dzienników głos w niej zabierali, dowodzący zawsze zrozumienia rzeczy i oryentowania się w sytuacyi; o ile chodzi o kwestyę polską, szczegóły dość rzadkie w prasie francuskiej.

Trzecią wreszcie stroną działalności pisarskiej pp. Leblond są ich krytyki literackie i prace o charakterze filozoficznym. W roku 1907 wydali *La société française sous la troisième république*,[2]) w której, na podstawie powieści spółczesnej, starali się przedstawić społeczeństwo francuskie ostatnich lat trzydziestu, te składniki, jakie społeczeństwo to tworzą; mamy więc typ dziecka, typ oficera, typ finansisty, arystokraty, anarchisty i socyalisty, typ wedle bohaterów ważniejszych powieści francuskich. Pominąwszy ciekawe i pouczające rezultaty tego rodzaju badań, oraz wskazania, jakie ztąd wyciągnąć można na przyszłość, sama metoda tej pracy jest oryginalna i bodaj na taką skalę dotychczas niestosowana.

---

[1]) Marius-Ary Leblond: La grande ile de Madagaskar, Paris Delagrave, 1907, 1 fr. 50.

[2]) Marius-Ary Leblond: La societé française sous la troisième république. Paris, Alcan, 1907, 5 fr.

Druga pracą w zakresie krytyki literackiej jest monografia o Leconte de Lisle'u.[1]) Nikt bardziej nie był powołany do napisania tej monografii, jak pp. Leblond. Leconte de Lisle, urodzony na wyspie de la Réunion, spędził na niej młode swe lata, a i w wieku późniejszym niejedną tam przeżył chwilę. Życie wyspiarskie, życie kolonistów w szczególności, otoczenie przyrody miejscowej — wszystko to niemały wpływ wywarło na twórczość Leconte de Lisle: aby twórczość tę zrozumieć, konieczną była znajomość kraju i ludzi taka, jaką mieli pp. Leblond — sami z wyspy tej pochodzący. Studyum pp. Leblond o Leconte de Lisle'u należy do najlepszych w literaturze francuskiej.

Wreszcie ostatnia praca, jaką ogłosili pp. Leblond w końcu roku zeszłego, aczkolwiek wchodząca w zakres krytyki literackiej, stawia sobie cel, że tak powiem filozoficzny, — określenie ideału XIX. wieku.[2]) Jest to na bardzo szeroką skalę zakrojona synteza dorobku umysłowego XIX. wieku, starająca się objąć i wyrazić to wszystko, ze szczególnem uwzględnieniem Francyi, co rok ubiegły przyniósł ludzkości. Rzecz oczywista, w tak obszernie pojętej pracy, w tak śmiałem przedsięwzięciu, muszą być braki i niedomówienia: trzeba jednak autorom przyznać, że zebrali materyał bardzo sumiennie, że materyał ten sądzili bezstronnie, z dobrą wiarą i z wielką tolerancyą. Panowie Leblond za ojca umysłowego wszystkich myślicieli XIX. wieku uważają Rousseau, który znowu nie był tym, za co go mają przeciwnicy, tj. nie był skrajnym indywidualistą, anarchistą, a domagał się raczej reform zgodnych z tem, co wskazuje natura, reform, do których zresztą wiek XIX., a także wiek XX. dąży. — Stają też pp. Leblond w obronie romantyzmu; romantyzm w ostatnich paru latach gorzkie przechodził chwile: oskarżono go, że był chorobą, że był elementem społecznie destrukcyjnym; opierając się na wielkich pisarzach francuskich z epoki romantycznej, wykazują pp. Leblond fałsz tego rozumowania i konkluzyj zeń wypływających.

Przyszłość widzą autorzy w świetle różowem: to co było wczoraj niemożliwem, a dzisiaj stawia się w wątpliwość, w niedalekiej przyszłości zostanie w czyn wprowadzone. Na świecie

---

[1]) Marius-Ary Leblond: Leconte de Lisle, Paris, Mercure de France, 1906, 3 fr. 50.

[2]) Marius-Ary Leblond: Du l'idéal du XIX. Siècle, Paris, Alcan, 1909, 5 fr.

zapanuje harmonia: dojdzie do niej ludzkość nie drogą radykalnych reform, ale drogą nieświadomej ewolucyi, drogą powolnego odradzania się artystycznego i intellektualnego.

Nie każdy może się zgodzić z konkluzyami pp. Leblond: w horoskopach tak dalekich i tak szerokich muszą być różnice zdań znaczne. To też, nie ze względu na te przepowiednie książka wartość posiada: ciekawe i pouczające są w niej analizy pisarzów, artystów, działaczy, analizy głoszonych przez nich idei, analizy prądów i kierunków, które pojawiały się, walczyły z sobą, rozwijały się, i albo ginęły, albo przetrwały. *L'idéal du XIX. siècle* nie określa tego ideału, ale w każdym razie do jego określenia nas zbliża.

Oto dotychczasowy dorobek braci Leblond, dorobek niespełna dziesięcioletniej pracy na polu literatury i piśmiennictwa. Już dzisiaj, mimo wiek młody, zajmują stanowisko wybitne, a w każdym razie oryginalne, w szeregach nowej, a tak licznej generacyi pisarzów francuskich.

* * *

Od kilku lat zajęto się we Francyi żywo studyami nad epoką romantyczną: Konferencye Lemaître'a o Rousseau, głośna książka Lasserre'a p. t. *Le romantisme français*, występująca przeciw romantyzmowi i jego twórcom, przynajmniej niektórym, wykazująca dzisiaj jeszcze zgubne wpływy romantyzmu, zaostrzyły tę dyskusyę.

W szeregu obrońców tradycyi romantycznej wybitne zajmuje miejsce p. Leon Séché; publikacyami swemi nie mało przyczynił się do zaznajomienia nas z rozmaitemi fazami romantyzmu francuskiego: ogłosił studya i materyały, odnoszące się do życia Alfreda de Vigny, Lamartine'a, Musset'a, Saint-Beuve'a i innych. Dzisiaj daje nam tom nowy, poświęcony „Muzie francuskiej“ [1]) z lat 1823—7, tj. wydawnictwu, około którego, w tym czasie, ruch romantyczny francuski grupował się.

---

[1]) Leon Séché: Le Cénacle de Muse française, Paris, Mescure de France, 1909, 1 fr. 50.

Pan Séché, korzystając z tego wydawnictwa, poprzedza je ogólnemi uwagami o romantyzmie i stara się zbić te zarzuty, jakie mu w ostatnich czasach zrobiono. Najsamprzód stwierdza, że romantyzm francuski przechodził dwie odrębne fazy: pierwszą od r. 1801 do 1827, od *Génie du Christianisme* do *Cromwell'a*, w której był katolickim, rojalistycznym i nacyonalistycznym, drugą, od 1830—1850 — fazę liberalizmu. Te wszystkie zarzuty, jakie zrobiono romantyzmowi, odnoszą się do drugiej jego fazy, fazy, która o wiele niżej stoi od pierwszej. W pierwszej wszystkie formy artystyczne już istniały: elegie Lamartine'a, ody i ballady Victora Hugo, poematy de Vigny'ego, utwory historyczne Chateaubriand'a itd. „A skoro to wszystko istnieje, ktoż śmie, będąc o tyle o ile poinformowanym, twierdzić, że romantyzm był chorobą. Oby Bóg nie był dał innej tylko choroby Francyi. Nie byłaby z pewnością upadła, zdemoralizowała się do tego stopnia, jak to ma miejsce obecnie". Gdzież w czasach przedromantycznych są pisarze, którzyby z większą siłą sformułowali obowiązki względem Boga i ojczyzny? „Czyż nie Chateaubriand odnowił religię naszych ojców? Czyż nie Lamartine oczyścił atmosferę miłości?" Inna sprawa — ciągnie p. Séché — z drugą fazą romantyzmu: tam widać już wpływ Rousseau; tam są ludzie chorzy, neuropaci. Romantyzm, po rewolucyi, po wojnach za czasów cesarstwa „nie wiedział może odrazu co należy robić", ale wkrótce stał się „ruchem umysłowym zachwycającym..." można go jedynie porównać do epoki renesansu!

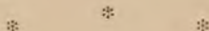
Widzimy więc w p. Séché gorącego zwolennika romantyzmu, a dodać trzeba nie tylko gorącego zwolennika, ale i pierwszorzędnego znawcę, który poprowadzi nas poprzez historyę tego ruchu literackiego początku XIX. wieku.

Muza francuska — powiada p. Séché — była manifestacyą zdrową, a jedną tylko wadę posiadała, że nie dosyć odważna, trwała zbyt krótko. Gdyby nie te okoliczności, dzięki wielkim talentom, jakie się koło niej grupowały, niezawodnie przeszkodziłaby degeneracyi romantyzmu; ale, niestety brakło Muzie francuskiej kierownika, musiała upaść...

Poświęca p. Séché oddzielne studya założycielom tego pisma (Alexandre Sounet, Alexandre Guiraud, Emile Deschamps, Victor Hugo, Alfred de Vigny, Saint-Valéry, Desjardin), oraz współpracownikom (pani Ancelot, Baour-Lormian, Belmontet, Brefant, Chauvet, Chenedolle, Durangel, Guttinguer, Lefèvre, Pons, Resseguier), mówi dalej o salonach literackich, w których zbierali

się romantycy, w szczególności o salonie Charles Nodiera, wreszcie o początkach romantyzmu w teatrze, oraz o roli, jaką w tym względzie odegrał baron Taylor.

Poprzestanę na zaznaczeniu tych szczegółów, zatrzymam się nieco nad doktrynami, głoszonemi przez Muzę francuską. Wyrażone są one, w pierwszym rzędzie, w artykule Guiraud pt. *Nos doctrines;* rzecz szczególna, nic w nim niema o metryce, a zaledwie w kilku wierszach podane określenie sonetu. Guiraud kładzie duży nacisk na uczucia religijne w poezyi, o romantyzmie nie wspomina. Pierwszym, który nad określeniem romantyzmu dłużej się rozwiódł, był Charles Nodier (w artykule p. t. *De quelques logomachies classiques*, „La Muse Française" z 15. IV. 1824). „Romantycy, — pisał Nodier — pragną wyrażać fabuły dawnej poezyi przy pomocy faktów malowniczych, ale naturalnych... Klasycy, jeżeli istnieją klasycy, zachowali dziwny przywilej oddawania swych myśli, posługując się fikcyami, w które sami nie wierzą i to właśnie jest różnica, która dzieli te dwie szkoły". Artykuł Nodier'a wywołał oficyalną odpowiedź Akademii francuskiej: na jednem z posiedzeń zabrał głos akademik Auger, aby, wykazawszy całą przewrotność romantyków, ostrzedz przed nią społeczeństwo. Odezwały się głosy po za Akademią i po za romantykami: znana jest powszechnie broszura Stendhala p. t. *Racine i Shakespeare,* w której Auger'owi autor *Le rouge et le noir* dał odprawę znakomitą. Sami romantycy, z początku zacięci w walce, powoli z niej wycofują się; powodem tego są rozmaite sprawy uboczne: Jeden z założycieli *la Muse française,* Soumet, ma zamiar stawiać swoją kandydaturę na członka Akademii, nie śmie więc przeciw Akademii występować, a nie tylko sam milczy, ale nawet swych przyjaciół uprasza, aby nie mącili świętego spokoju, nawet Victor Hugo do jego życzenia się skłania. *La Muse française* wobec takiego obrotu rzeczy istnieć dłużej nie mogła, nie miała żadnej racyi bytu, gdyż chcąc istnieć dalej, musiałaby walczyć, a walczyć jej nie było wolno. Była to więc pierwsza przegrana bitwa, przegrana nie na długo, gdyż wkrótce, podjęta przez innych, inne wydała rezultaty. Ze szczegołami dalszych losów romantyzmu zaznajomi nas p. Leon Séché w następnej swej pracy p. t. *Le cénacle de Joseph Delorme* (1827—1829), która wkrótce ma się ukazać.[1])



[1]) W nakładzie księgarni Mercure de France.

Szkoła naturalistyczna jest zjawiskiem zbyt świeżem, aby dzisiaj już można było wyznaczyć jej miejsce niezmienne w historyi piśmiennictwa: materyały pierwszorzędne, które kiedyś niezawodnie będą dostępne, ukrywane są jeszcze starannie w archiwach prywatnych: z drugiej strony, naturalizm, chociaż w mniejszym, niżeli przed kilkudziesięciu laty stopniu, jest sztandarem, w imię którego się walczy, albo który się zwalcza, jest więc kwestyą dyskutowaną i podlegającą dyskusyi, a więc nie nadającą się do bezstronnej oceny. Wszak taki naturalista jak Huysmans umarł niemal wczoraj, a wpływ jego na współczesnych długo jeszcze będzie ciażył. Nie można uważać za ostatnie słowo w tej materyi, ani studyów Brunetiere'a, w znacznej części artykułów, pisanych w wirze walki, ani tej całej literatury przedmiotu bądź w książkach, bądź w broszurach, lub artykułach, wywołanej pojawieniem się nowej pracy jednego z przedstawicieli naturalizmu... To jedno tylko dzisiaj nie ulega kwestyi, że naturalizm miał swoje znaczenie dziejowe, że nie był chimerą zmyśloną dla względów oryginalności, ale, że wywołany został reakcyą przeciw zapoznaniu życia realnego w utworach wyobraźni, że był reakcyą silną, a więc skłonną do krańcowości, do przesady, nawet do absurdu.

Fakt ten, iż nie możliwa jest ocena ostateczna szkoły naturalistycznej, nie stoi bynajmniej w sprzeczności z możliwością badania poszczególnych faz naturalizmu, i z gromadzeniem materyałów do przyszłej jego oceny, przy której opinia współczesnych, tych, co udział w walce brali, jeżeli decydować nie będzie, to w każdym razie zaważy na szali niemało...

Literatura przedmiotu w ostatnich czasach wzbogacona została cenną pracą p. Edmunda Lepelletier o Emilu Zoli.[1]) Dał nam był p. Lepelletier, przed paru laty, wyczerpującą książkę o Verlaine'ie,[2]) książkę, która niejeden szczegół z działalności i z życia nieszczęśliwego poety wyjaśniła, niejedną legendę o bezładnem życiu Verlaine'a sprostowała... Pan Lepelletier pół wieku niemal w życiu literackiem francuskiem czynny udział przyjmuje: był jednym z założycieli Parnasu, był przyjacielem wielu ludzi wybitnych, jedynym bodaj prawdziwym przyjacielem Verlaine'a... Z Zolą łączyły go stosunki bliskie z początku, później, ze wzglę-

---

[1]) Edmond Lepelletier: Emile Zola, sa vie, son oeuvre, Paris, Mercure de France, 1908, 7 fr. 50.

[2]) Edmond Lepelletier: Paul Verlaine, Paris, Mercure de France, 1907, 7 fr. 50.

dów politycznych, bardziej luźne: p. Lepelletier przeszedł ewolucyę polityczną i z wielkiego socyalisty stał się radykałem, a później nacyonalistą; sprawa Dreyfusa zrobiła resztę: stanął w opozycyi względem Zoli...

Sprawa Dreyfusa, albo jak się po prostu mówi „Sprawa", nie tylko najserdeczniejszych przyjaciół, ale nawet najbliższych krewnych poróżniła: trzeba też było bezstronności nielada, aby mimo stanowiska wręcz przeciwnego, p. E. Lepelletier mógł napisać tak pochlebną książkę o Zoli. „Między Emilem Zolą a autorem tego studyum, — pisze p. Lepelletier — bardzo długo trwały ścisłe stosunki przyjaźni. Warunki nie zrobiły z nas nieprzyjaciół, ale antagonistów. Każdy z nas walczył w przeciwnym obozie w imię tego co uznawał za słuszne. W walkach literackich nie różniliśmy się w niczem. Literatura nie stoi w zależności od polityki, a sztuka znajduje się ponad sprawami partyjnemi". W tym duchu więc napisana jest książka o Zoli, z wielkim zachwytem „dla tego, który badał nasze obyczaje i analizował nasze namiętności i wady".

Na razie pominę ocenę p. Lepelletier literackich zasług Zoli, a zajmę się wyłącznie faktyczną stroną jego książki. Powiem odrazu, że w tym względzie jest ona bardzo cenna: podaje szczegóły biograficzne nieznane, prostuje rozsiewane przez nieprzyjaciół Zoli fałsze i kłamstwa, między innemi odnoszące się do pochodzenia Zoli i do jego pierwszych kroków paryskich. Zola, jak wiadomo, był początkowo urzędnikiem w księgarni Hachette'a, a mając w niej styczność z literatami, sam pisarzem zostać postanowił. Pod silnym wpływem Musset'a rozpoczął od pisania poezyi, wkrótce jednak przekonał się, że w tym względzie nic zdziałać nie zdoła; zaczął pisać sztuki teatralne, artykuły dziennikarskie, mające wielkie powodzenie, wreszcie powieści.

Początkowo sentymentalny mistyk, Zola, w miarę jak życie poznawał, z mistycyzmu tego i z sentymentalizmu emancypował się, doszedł do przekonania, że „generacya jego aż do szpiku kości zdemoralizowana jest przez romantyzm": począł kochać cnotę dla cnoty samej, sprawiedliwość dla sprawiedliwości: posiadając braki w wykształceniu, uwierzył we wszechwładzę nauki, w to, że nauka wszystko tłumaczy. To też kiedy wpadło mu do ręki dziełko dr. Lucasa: *Traité de l'hérédité naturelle* — stało się ono dla niego ewangelią i wskaźnikiem stosowania teoryj naukowych do studyów literackich. Oto, słowami p. Lepelletier, rozumowanie Zoli: „Pisać dzieła, będące wynikiem nie wyobraźni,

a kombinacyj mniej lub więcej szczęśliwych, osobistości fikcyjnych i zdarzeń wyjątkowych, ale opartych na obserwacyi życia realnego, obserwacyi ludzi i ich czynów, które się widzi, co do których posiada się dokumenty, uwzględniając jednocześnie zjawiska biologiczne, choroby nabyte i dziedziczne, skłonności, szczerze i z zimną krwią zbadane...“ A dalej: „Przedstawić społeczeństwo dzisiejsze, umieścić bohaterów w ich prawdziwem środowisku, pokazać ich czyny, ich namiętności, zbrodnie, cnoty, cierpienia i rezygnacyę tych istot, równie żywych, równie prawdziwych, równie współczesnych jak w rzeczywistości, uwzględniając ich życie organiczne, niedomogi odziedziczone po rodzicach“ — oto zadania, jakie sobie stawiał Zola. Podobne były zadania Balzaca, podobny plan, jeżeli nie bardziej obszerny, zakreślał Balzac dla swych powieści, ale Balzac rzeczywiście żył życiem realnem, tymczasem Zola z gabinetu swego wychodził wtedy tylko, kiedy „zbierał dokumenty“: znane są jego wycieczki nocne do Hal Centralnych, wycieczki do wielkich magazynów, na obiady w „świecie“ i w „pół-świecie“. Kiedy dla Balzaca życie, ze wszelkiemi jego manifestacyami, trwało ciągle, dla Zoli te tylko manifestacye życia istniały, które go na razie obchodziły, o których na razie pisał. Znalazłszy się w warunkach dla niego niezwykłych, bystrzej może niż kto inny obserwował, ale obserwował, a szczególniej wnioskował fałszywie, gdyż to co było zwykłem, jemu wydawało się nadzwyczajnem. Ztąd też i dla tych względów, w pismach Zoli razi „robiona“ sztuczność, która, jeżeli weźmiemy pod uwagę jego sposób „dokumentowania się“, była konieczna, a z jego punktu widzenia nawet szczera. Zbyt wielka rozbieżność istnieje między życiem prawdziwem, a życiem odzwierciedlonem w książkach, choćby nawet naukowych, aby studyowanie ostatnich, zastąpić mogło studyowanie życia. Zola wyszedł z fałszywego założenia i do fałszywych dojść musiał wniosków.

Te były wady naturalizmu Zoli: polegał on na obserwacyi zbyt pobieżnej, a nadewszystko zbyt powierzchownej i zewnętrznej; za mało uwzględniał „tajemnicze czynniki życia ludzkiego“, te czynniki, których obecność ukryta jest przed okiem widza najbystrzejszego: naturalizm ten, co zresztą wynikało z samego założenia, za bardzo był materyalny, brakło mu źdźbła psychologii: zapominał, że oprócz życia cielesnego, człowiek prowadzi, jeżeli nie równie ważnej jak cielesne, to jednak zasługujące na uwagę, życie duchowe. A dalej jeszcze jedno: ponieważ w założeniu na-

turalizmu było niemal ślepe kopiowanie tego, co się zaobserwowało, ponieważ był to cel wystarczający, wpłynął on w znacznym stopniu na upadek intellektualny utworów pisarskich: stały się one opisami obrazów, bez żadnej głębszej myśli, opisami obrazów powiązanymi ideami banalnemi, które zresztą schodziły na plan drugi i nie miały istotnego znaczenia. Nie należy się też dziwić, że bankructwo czystego naturalizmu nastąpiło wkrótce; spełniwszy swoje posłannictwo dziejowe, zwróciwszy uwagę na znaczenie obserwacyi w pracy pisarskiej, naturalizm umiarkowany, rozumny, wszedł jako część składowa do szkół literackich, które go zastąpiły.

Wracając do książki p. Lepelletier, przyznać jej trzeba tę zasługę, że tak samo jak zaznajamia nas z osobą Zoli, wtajemnicza nas i wprowadza w teoryę i w precedensy szkoły naturalistycznej; wskazuje nam cele, wyjaśnia metody i fazy rozwoju tej szkoły pisarskiej, której Zola, jeżeli nie był najwybitniejszym przedstawicielem, to w każdym razie był twórcą oraz rzecznikiem najbardziej typowym. Mąż wielkiej pracy, pozbawiony poczucia artystycznego, jednostronny w ocenie faktów zaobserwowanych z życia, Zola zajmuje i zajmować będzie stanowisko wybitne w historyi piśmiennictwa francuskiego; byłoby ono niezawodnie bardziej powszechnie uznane, gdyby nie moment polityczny w życiu Zoli, który do jego nazwiska dołącza i przyczepia podjęcie i rozjątrzenie sprawy, dzielącej społeczność francuską na długie bardzo lata.

* * *

Z powodu ogłoszenia korespondencyi z lat młodzieńczych Eugeniusza Fromentin[1]) (1820—1876), chciałbym na tem miejscu o tym oryginalnym i wyrastającym ze swej epoki pisarzu, słów kilka powiedzieć. Karyera jego pisarska stoi do pewnego stopnia w związku z powstaniem i rozwojem szkoły naturalistycznej. Eugeniusz Fromentin częściowo tylko należy do literatury: napisał oprócz pamiętników z podróży po Algierze (*Un été dans le Sahara*, 1857, i *Une année dans le Sahel*, 1859), powieść auto-

---

[1]) Eugène Fromentin: Lettres de jeunesse, biographie et notes par Pierre Blanchon, Paris, Plon, 1909, 3 fr. 50.

biograficzną p. t. *Dominique* (1863), oraz szereg studyów nad sztuką holenderską i belgijską, wydanych w r. 1876 p. t. *Les maîtres d'autrefois;* Fromentin był znakomitym malarzem kolorystą, bodaj jednym z pierwszych, który we Francyi dał poznać krajobraz afrykański; to zresztą o tyle nas obchodzi, o ile mogło mieć wpływ na jego działalność pisarską, a że wpływ ten miało, zobaczymy poniżej.

Powszechnie uznane jest, że Fromentin w spółczesnem mu piśmiennictwie zajmuje stanowisko odrębne: żadnych doktryn ani programów nie uznaje, a idzie wyłącznie za nakazem serca i rozumu; należy go postawić po za wszelkiemi szkołami, zresztą tym, którzy go pragną do jednej ze szkół zaliczyć, sprawia kłopot niemały.

Bardzo trafną ocenę działalności pisarskiej Fromentin'a znajduje w świeżo wydanych szkicach literackich p. Maurycego Wilmotte,[1]) profesora z Leodyum. P. Wilmotte wykazuje, że Fromentin w tem co pisał, był przedewszystkiem malarzem, a następnie, że aczkolwiek miał w sobie pierwiastki romantyczne, to jednak co do sposobów pisania i co do swych koncepcyj najogólniejszych nie różnił się w niczem od realistów. Przeprowadza p. Wilmotte paralelę między opisami Goncourt'ów i Fromentin'a i wykazuje podobieństwo niejednokrotnie rażące. Ale jednocześnie stwierdza, że Fromentin był „rewanżem idealizmu w stosunku do najbardziej przesadnych wybryków realizmu“, „rodzajem odmłodzonego klasyka“, który, wziąwszy od realistów to, co mieli dobrego, nie zatracił puścizny odziedziczonej po swoich poprzednikach. Że Fromentin'owi precedensy realizmu musiały trafiać do przekonania, jest to rzeczą zrozumiałą, jeżeli uwzględnić jego działalność malarską; malował to co widział, a więc pisząc, także obserwować musiał. Że znowu obserwacya nie była wyłącznem źródłem jego pracy pisarskiej — tłumaczą nam przejścia życiowe Fromentin'a, o których informuje nas świeżo wydana korespondencya.

Fromentin wychowany na prowincyi, w samotności, w młodych bardzo latach, bo w 15-tym roku życia, zakochał się w kobiecie, która za innego wyszła za mąż. Ta miłość do tej kobiety wypełniła całą młodość Fromentin'a, zarazem dała mu materyał

---

[1]) Maurice Wilmotte: Etudes critiques sur les traditions littéraires en France, Paris, Champion 1909, 3 fr. 50, pp. 283—305.

do powieści, o której mówiłem wyżej; kto tak, jak Fromentin, przeżył swoją powięść, nie mógł się zadowolić obserwacyą i notowaniem „kawałków życia", a w tem co pisał, nie tylko uwzględniał spostrzeżone i zaobserwowane, ale również i odczute i przemyślane.

Korespondencya daje nam dużo nowego materyału do biografii autora Dominika, zaznajamia nas z jego działalnością poetycką (Fromentin w młodych latach dużo pisał poezyj, ale wszystko niemal niszczył) i tłumaczy, jaką ewolucyę przeszedł, zanim znalazł właściwą sobie drogę, zanim wziął za pióro; zatrzymuje się na 1848 roku. Czy kiedykolwiek p. Blanchon, wydawca korespondencyj z lat młodzieńczych, da nam jej ciąg dalszy — spodziewać się tego należy; zanim to jednak nastąpi, druga połowa życia Fromentin'a, pozostanie tajemnicą, a będzie jedynie oceniana na podstawie pism i obrazów autora.



Pan Jean de Bonnefon, jeden z bardzo znanych dzisiaj we Francyi pamflecistów, niejednokrotnie nie przebierający w środkach, aby przeciwnika swego zgnębić, ostatnią swoją broszurę, wydaną, mówiąc nawiasem, na pięknym papierze a odbitą niebieską farbą, poświęcił kobietom literatkom. Ta broszura zatytułowana: „*La Corbeille des Roses ou les Dames de Lettres*" [1]) wielkiej może wartości literackiej nie posiada, analizy działalności pisarskiej kobiet francuskich nie daje, ale, mimo to zawiera wiele ciekawych uwag, wiele bystrych spostrzeżeń, często bardzo osobistych i złośliwych, a nadewszystko stwierdza fakt, że kobiet piszących dzisiaj we Francyi jest z górą sześćset. Liczba pokaźna, która zaważyć może i musi na dorobku piśmienniczym doby obecnej. Przyjrzyjmy się jednak bliżej tej działalności kobiecej na polu literatury, biorąc za podstawę książkę p. Juliusza Bertaut p. t. *Le litterature féminine d'aujourd'hui.* [2]) Pan Bertaut nie studyuje jednostek, natomiast w szeregu rozdziałów syntetycznych analizuje następujace kwestye: stosunek literatury kobiecej do publiczności,

---

[1]) Jean de Bonnefon: La Corbeille des Roses ou les dames de Lettres, Paris, Rouville, 1909. 10 fr.

[2]) Jules Bertaut: La littérature féminine d'aujourd'hui, Paris, Librairie des annales, 1909, 3 fr. 50.

jak kobiety-pisarki pojmują kobietę i mężczyznę, jak widzą przyrodę, jak oceniają dziecko i jaką oddają mu rolę w tem co piszą, jaką jest ich wyobraźnia, wrażliwość, obserwacya, jak pojmują miłość, wreszcie jakie mają zdolności twórcze!

Cecha pierwsza, która nas uderza, przy czytaniu utworów kobiecych — powiada p. Bertaut, — utworów poetyckich czy też prozą, jest ich wzajemne podobieństwo, „są przedewszystkiem kobietami, są niemi bezwzględnie, całkowicie“. Nie potrzeba specyalnego uzdolnienia ni znawstwa, aby tę „kobiecość“ utworów kobiecych stwierdzić. Jest to oczywiście niższość, gdyż wyklucza indywidualność — cechę, która nadaje właściwą wartość pracy pisarskiej.

„Rozumowanie ograniczone jest do minimum w działalności pisarskiej kobiet. instynkt wszechmocny jest jej doradcą i kierownikiem. Trwa to od wieków, to też kobieta poddaje mu się bezwzględnie, całkowicie. Skutkiem tego usposobienia właściwego kobiecie, wszystko coby mogło walczyć z tym instynktem, obrócona jest w niwecz“. Jedno uczucie panuje w sercu, rządzi wszystkiem, stanowi pobudkę do czynu; tem uczuciem jest uczucie miłości, co w języku sztuki znaczy: „kobieta przeznaczona jest dla opiewania miłości“.

Do niedawna ta miłość wyróżniała się jeszcze tem, że była nieszczęśliwa, bolesna, ubolewająca: dopiero ostatnie zdobycze emancypacyi nadały jej charakter zwycięski: kobieta pewniejsza siebie i świadoma swej niezależności, opiewa wielkość, piękno tego uczucia, które dawniej miało dla niej coś tajemniczego i strasznego.

Obok miłości rozumieją i odczuwają kobiety najlepiej przyrodę; ale jest to nabytek względnie nowy, datujący od epoki romantycznej: przed tą epoką opisy pejzażów w utworach kobiecych niemal na palcach wyliczyć można. Wogóle kobieta zbyt lubi siebie samą, aby obserwować mogła to, co się wkoło niej dzieje: „rada myśli — powiada p. Bertaut — że istnieją dwie rzeczy na ziemi: świat i ona; a do tego dodaje po cichu, że w istocie istnieje tylko jedna: ona sama“. Tego egoizmu kobiecego nie zniwelowała jeszcze emancypacya. „Kobieta chce się pokazać nie taką, jaką jest w istocie, ale taką, jaką być pragnie: wkłada dużo kokieteryi nawet do swoich wyznań... „urządza“ swoją opowieść, ubiera ją w gałganki modne w danej chwili“.

Dochodzi p. Bertaut do wniosku, że większość literatek-kobiet, to na razie istoty zwyrodniałe, że długo jeszcze czekać

trzeba, zanim nastąpi zrównoważenie, które mogłoby konkurować z męskiem. Stwierdza jednak już dzisiaj pewien postęp zarówno pod względem różniczkowania się talentów kobiecych, a więc powolne nabywanie indywidualności pisarskiej, a także powrót do zasadniczych koncepcyj społecznych, rodziny przedewszystkiem, dotychczas albo zapoznawanych, albo wprost, jako krępujących, nieuznawanych.

Memento. Książki odebrane: Z księgarni Blond et C-ie: Deroulède: Pages françaises, 3 fr. 50; Planque: Histoire du catholicisme en Angleterre, 1 fr.; Cognets: Les idées morales de Lamartine, 0·60 fr.; Navarre: Le comité du salut public, 0·60 fr.; Nicole: Le prisme..., 0·60 fr.; F. de Lamennais: Pensées, 0·60 fr.; Fortin: Les Croisades, 0·60 fr. — Z księgarni Giard et Briere: P. Lacombe: Taine historien et sociologue, 5 fr. — Z księgarni Alcan'a: Emerson: Pages choisies, 3 fr. 50. — Z księgarni „Mercure de France": Van Bever et Léautaud: Poetes d'aujourd'hui, 2 t. 7 fr.; Wells: Douze histoires et un rève, 3 fr. 50. — Z księgarni „Le monde Illustré": Geniaux: Les musulmanes, 3 fr. 50. — Z księgarni Plon'a: J. H. Rosny: Marthe Baraquin, 3·50 fr. — Z księgarni Stock'a: Conan Doyle: La grande ombre i Un début en médecine, 2 t. po 3·50 fr.; Wilde: Théatre t. I. 3·50 fr.; Swinburne: Chants d'avant l'aube, 3·50 fr.; Jaloux: Le reste est silence, 3·50 fr.; J. Barbey d'Aurevilly: Théatre contemporain 3 t. po 3·50; Ade Bazy: Le vent dans les arbres, 3·50 fr. — Z księgarni Hachette'a: Rousse: Lettres à un ami, 2 t. 7 fr. — Praca pp. Mariusa i Ary Leblond: L'idéal du XIX. siecle, o której mówię w Liście uzyskała 1-szą nagrodę syndykatu krytyków literackich francuskich (Association syndicale des critiques littèraires et Bibliographes).

KAZIMIERZ WOŹNICKI.

Z powodu artykułu p. Karola Badeckiego o „Modlitwach ks. Izabelli Czartoryskiej“ Franciszka Dyonizego Kniaźnina, otrzymujemy od hr. Ignacego Krasickiego z Bachórca następujące pismo:

W zeszycie styczniowym „Przewodnika naukowego i literackiego“ umieścił p. Karol Badecki kilka nieznanych utworów Kniaźnina. Jeden z nich ma nadpis: Do Xięcia Adama Jerzego Czartoryskiego; p. Badecki zaopatrzył go komentarzem następującym:

„Z treści jego wnosić możemy, że odę tę napisał Kniaźnin w czasie pobytu Czartoryskich w Warszawie, kiedy to ks. generał na wieść o złośliwych i zemstliwych zamiarach Katarzyny, rozgoryczonej ostatnimi wypadkami w Polsce (Konst. 3. Maja), formował szwadron kawaleryi, by wszelkiemi siłami nie dopuścić do zupełnego upadku Ojczyzny. Powstanie ody tej odnieść nam należy na lata lub miesiące po r. 1791.“

Otóż mojem zdaniem oda ta powstała w r. **1795,** gdy książę Adam Jerzy Czartoryski, syn księcia generała Z. P., udawał się na dwór Katarzyny II. do Petersburga wraz z swoim bratem Konstantym, poniekąd jako zakładnicy dla zwrotu skonfiskowanych olbrzymich dóbr księcia generała. Dwie pierwsze zwrotki wyraźnie wskazują na Petersburg i Katarzynę:

Staiesz, Adamie! gdy światu surowa
Grozi swym berłem Semiramis nowa;
Uwagę poday w iey stolicy szumie
Chytrości, zbytkom i dumie.

Potem widzi poeta groźne potęgi przeszłości: Assyryjską nad Eufratem, egipską nad Nilem, rzymską nad Tybrem i nakoniec

(ktoby tego się był spodział)
W futra syberskie biodra swe przyodział
I ręką, płaskiey dziś niewie przyiazną
Różgę tam podniósł żelazną.

Lecz poeta „z przeszłych pychy przyszłe widzi gruzy", patrzy się na tę potęgę, „iak na dym, grę wiatru" i w sercu mając

...niezatarte blizny,
Do miłey westchnie Oyczyzny.

Wiersz ten, czyli oda, jest więc i przestrogą i wiatykiem dla młodego księcia, by nie uległ pokusom tej potęgi, a zawsze pamiętał o miłej Ojczyźnie.

Całem życiem dowiódł książę Adam Jerzy Czartoryski, że został wierny uczuciom, wyrażonym w tej odzie Kniaźnina.

Ignacy Krasicki.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".

Samuel ze Skrzypny Twardowski
i jego poezya na tle współczesnem.

(Ciąg dalszy).

Epika historyczna.

Rymowane historye: „Przeważna Legacya". — „X. Wiśniowiecki Janusz". — „Władysław IV." — „Wojna Domowa". — Zakończenie.

[Przeważna Legacya Jaśnie Oświeconego Książęcia Krzysztofa Zbarazkiego, koniuszego koronnego, krzemienieckiego, soleckiego, wiślickiego, rubieszowskiego etc. starosty, od Naiaśnieyszego Zygmunta III. króla Polskiego y Szwedzkiego do Napotężnieyszego Sołtana Cesarza Tureckiego Mustafy w roku 1621,[1]) na pięć rozdzielona punktów z dotknieniem krótko przez ucieszne digressye stanu pod ten czas rządów, ceremonijy y zwyczaiów pogańskich. Kraków: 1633,[2]) str. 241. — Kraków, Franciszek Cezary: 1639;[3]) Wilno, Soc. Jesu: 1706;[4]) Kraków, wyd. Turowskiego: 1861.]

[1]) Na wszystkich wydaniach umieszczono tę mylną datę. Legacya odbyła się w 1622 r. nie w 1621. — Estreicher podaje w bibliografii XVII. w. wyd. „Legacyi" pod r. 1621; oczywiście przez omyłkę.

[2]) Biblioteki: Dzikow., Jag., Kras., Ossol., Uniw. lwow., wrocławsk.

[3]) Branic., Czartor., Jag., Uniw. warsz.

[4]) Chrept., Bran., Czart., Dzikow., Jag., Kras., Ossol., Przezdz., Wileń. Ak. Um., Un. warsz.

Geneza: czas i warunki powstania. — Układ i treść. — Wartość historyczna. — Znaczenie „Legacyi“ dla współczesnych. — Z artystycznego punktu widzenia.

Stanisław Żółkiewski, znakomity hetman, nieskazitelny i czysty jak łza charakter, złożył sędziwą głowę na polach cecorskich, śmiercią swoją domagając się krwawego odwetu na tureckim najeździe. Niestety jednak zbyt małe siły zebrały się w rok po jego zgonie w okopach chocimskich, ażeby szukać należytej zemsty i znaleźć ją. Sprzymierzone wojska polskie i kozackie musiały zatoczyć koliste wały i bronić się więcej niż nacierać, bo wielka armia sułtańska, rozsunąwszy się w potworne szczypce, z łatwością zdołała zamknąć oba olbrzymie ramiona. Szczęściem nie potrafiła doszczętnie zacisnąć śmiertelnego wieńca i w konwulsyjnych próbach nieudałych ataków doczekała się jesiennych deszczów i tak strasznej pluchy, że żołnierz przygnany z południa stracił zupełnie hart i broń wypuszczał z ręki. Rozpoczęto układy. Sułtan oporny był i wzdragał się długo, za to przekupny wezyr, „w którym ta wżdy cnota była wielka, że wiele rad czynił dla złota“,[1]) swoim wpływem doprowadził w końcu do rozejmu, a dla zatwierdzenia paktów miała Rzplta wysłać do Konstantynopola wielkiego posła.

Król powierzył tę ważną misyę Krzysztofowi Zbarazkiemu, który w rok po chocimskiej potrzebie ruszył z licznym orszakiem w daleką i niebezpieczną drogę. Twardowski, jako przyboczny sekretarz księcia, brał udział w wyprawie pełnej przygód, a co widział i słyszał, w prywatny dyaryusz wpisywał skrzętnie dla pamięci.

Odniesione wrażenia niewątpliwie silne, cały łańcuch ciekawych wypadków, niezwykłe widoki nieznanych ludów, obcych zwyczajów, krajów odległych, ważność samego poselstwa, żywa aktualność wszystkiego, co się tyczyło Turcyi, wreszcie cześć i podziw dla księcia Zbarazkiego skłoniły Twardowskiego do przerobienia surowego materyału prozaicznych notat w „oyczyste heroicum“, któreby choć bez wielkich pretensyi dźwiękiem wiersza i płynnością poetyckiej mowy wdarło się do serc czytelników i w ich wyobraźni utrwaliło obraz bohatera poematu, księcia Krzysztofa.

[1]) Leg. punkt I.

Nie zaraz jednak po powrocie z Konstantynopola (1623) zabrał się Twardowski do pisania „Przeważnej Legacyi“. Upłynęło lat kilka, zanim zawierzywszy swoim twórczym zdolnościom i przez przyjaciół otuchą zagrzany przekuł dyaryusz w poetyczną formę i zachęcony przez możnych znajomych[1]) wydał w roku 1633. „Legacya“ powstawała bezwarunkowo po śmierci księcia Krzysztofa (1627), czego dowodzi choćby sam początek poematu, a skłaniałbym się do przypuszczenia, że nawet po śmierci Jerzego (1631), bo w przeciwnym razie nie rozwodziłby się nad zupełnem wymarciem rodu Zbarazkich.[2])

Oprócz wyżej wymienionych pobudek jeszcze jeden zamiar stał przed oczyma Twardowskiego w czasie pisania „Legacyi“. Książę Krzysztof przekonawszy się o wewnętrznym rozstroju Turcyi, z osobistej obserwacyi zapewniał króla i senat, że przy energicznej akcyi możnaby zdusić potęgę Stambułu raz na zawsze. Ale gdyby nawet Zygmunt III., jak późniejszy Władysław, podjął był myśl Zbarazkiego, to szlachta stawiłaby opór nieprzełamany i wielkie plany spełzłyby na niczem. Oddziałać na opinię szlachty, zaświecić jej dokumentem naocznego świadka tureckiego rozprzężenia, dać świadectwo, jak próchnieje potęga sułtana, oto chęć Twardowskiego, wprawdzie nie wypowiedziana wprost, ale widoczna. A przez ten zamiar, przez ten cel przy pisaniu, nabiera „Legacya“ cech obywatelskiego czynu.

Rzecz cała dzieli się na pięć pieśni, które „punktami“ się zowią. Punkt pierwszy tworzy niejako wstęp, bo zapoznaje nas z właściwym bohaterem poematu, tudzież rozwija tło historyczne oznaczając czas, okoliczności i przyczynę poselstwa. Punkt drugi zawiera opis podróży i pierwsze trudności przy wjeździe do Konstantynopola. Punkt trzeci opowiada o układach i sprzeczkach z wezyrem. Punkt czwarty jest kulminacyjnym momentem akcyi. Przyjęcie u sułtana, dalsze układy z wezyrem, rozbicie się wszystkiego o podstęp wezyra, który na wielkiej radzie tureckiej nasadza mówcę żądającego uwięzienia księcia, — niebezpieczeństwo

[1]) Leg. „Do czytelnika“.

[2]) Mówi też o ks. Jerzym: „Widzieliśmy go, jak stał na wysokim lichtarzu korony“.

życia grozi poselstwu. Punkt piąty przynosi rozwiązanie. Nowy wezyr, nagle obrany, zawiera pokój, a książę wraca do Polski.

Rozwińmy rdzeń treści nieco dokładniej i szerzej.

Hołd dla pamięci księcia Krzysztofa i genealogia domu Zbarazkich rozpoczynają poemat. Następuje opis życia bohatera, nauk w kraju i zagranicą, służby publicznej i wojennych przewag. Potem klęska cecorska i potrzeba chocimska, negocyacye pokojowe za pośrednictwam greckiego kupca Wewelego.[1]) opór sułtana, rzeczywista obietnica podarunków i podstępna rocznego trybutu. Zawarcie pokoju kończy punkt pierwszy.

Następują przygotowania do podróży Zbarazkiego, wymarsz, ostrożny pochód z obawy tatarskiego napadu i band zbójeckich, spotkanie za Prutem z hospodarem wołoskim. Tomszą. który ich potem podejmuje w Jassach. Dalsza droga do Multan, gdzie znowu gości ich hospodar tamtejszy, Raduł. Przez Rumelię i Bułgaryę do Konstantynopola. Pięciodniowe czekanie pod miastem, bo kwatery polskie zajął był poseł czeski, Turno. Odwiedziny posłów chrześcijańskich i pierwsza zwada z wezyrem Dżiurdżim, który domaga się bezowocnie myta od kupców przy poselstwie.

Punkt trzeci rozpoczyna wspaniały wjazd. Książę rozsyła bogate upominki. Wezyr pragnie wojny, a znając pokojowe usposobienie wojska, chce podstępnie posła zmusić do zerwania układów. Książę z własnej szkatuły opędza koszta utrzymania kilkuset ludzi poselstwa. Pierwsza audyencya rozbija się o upór wezyra. Zaczyna się obustronne przygotowywanie opinii, co się udaje niezgorzej księciu przez podarki. Druga audyencya wskutek tego spokojniejsza i naznaczone oficyalne przyjęcie u sułtana.

W następnej pieśni jest złożenie upominków sułtanowi i uczta. Ale Dżiurdżi żąda haraczu, niby pod Chocimem warowanego, bo inaczej pozwoli janczarom samym brać. Gotowość wojenna poselstwa. Znowu audyencya u wezyra. Książę korzystając z wieści, że Turcy zgubili swój odpis traktatów chocimskich, zmienia je nieco mimo niebezpieczeństwa podobnego kroku. I tak wyrzuca stałego agenta przy dworze sułtańskim, bo uważał to za próżny wydatek i hańbę; dalej w Chocimiu ma być nie tureckie, ale wołoskie prezydyum; posłowie mają być szanowani, kupcy przy wielkich poselstwach uwolnieni od myt. Wezyr zwleka, odkłada, żmudzi. Zaburzenie osadza na wezyracie chwilowo Dauda.

[1]) Szajnocha (Szkice historyczne) powiada, że Wewelli był Włochem.

Rychły upadek Dauda, Dżiurdżi wraca do władzy. Na wielkiej radzie, jeden spahia podmówiony przez niego stawia wniosek, ażeby uwięzić księcia, aż się zbada, czy on jest posłem króla i Rzpltej, czy tylko Rzpltej. Niebezpieczeństwo życia grozi wobec tego całemu poselstwu, tem bardziej, że janczarowie złudzeni obietnicą haraczu mogli lada chwila urządzić zbrojny napad na kwatery.

Nagle przyszedł ratunek. Dżiurdżi zrzucony: Husseim wspomożony wpływami i pieniędzmi księcia, opanowuje wezyrat. Swoją drogą nielada fantazyi trzeba było, żeby nie mogąc dojść do ładu z jednym, poprostu zmienić sobie wezyra. Z Husseimem sprawa poszła gładko. Książę wykupił trzech polskich więźniów własnym kosztem. Pokój zawarto. Po pożegnaniu z sułtanem i bardzo przyjaznem z wezyrem, ruszył Zbarazki szybko w drogę, bo zachodziła obawa, że Dżiurdżi znowu wróci do władzy. Stało się to rzeczywiście, ale poselstwo było już w Siedmiogrodzie. Książę z domu pospieszył na relacyę do Warszawy, a odebrawszy od sejmu i senatu publiczne podziękowanie, do Końskowoli powrócił. W r. 1626 jeszcze stawił się na sejm toruński, ale niedługo życie zakończył.

Wartość „Legacyi" jako historycznego źródła jest niezaprzeczona. Naoczny świadek pisał może nieco stronniczo, koloryzował nieco stosunki na korzyść Polski, ale były to czasy współczesne, więc objektywny spokój utrzymać, zwłaszcza dla szlachcica odczuwającego wszystko patryotycznem sercem, stało się niepodobieństwem. Natomiast sumienność Twardowskiego i fakt, że nie odtwarzał opowieści z zawodzącej często pamięci, lecz opierał się na szczegółowych notatkach dyaryusza, są rękojmią wiarygodności, zwłaszcza, jeśli się przypomni, jak Twardowski za cel poezyi obrał sobie: „prawdę w ludzi wdzięcznym wierszem wmawiać".

Książka Chometowskiego Władysława: „Książe Krzysztof Zbarazki" (Warszawa 1866) jest od jakiejś 34 do 68 strony jakby rozszerzonem, a gdzie potrzeba zwężonem opowiadaniem w ramach „Legacyi". Oprócz tej bowiem źródłem do historyi owego poselstwa jest jeszcze wprawdzie „Narratio legationis Zbaravianae et rerum apud Othomanos anno 1622 gestarum",[1]) ale jej autor,

---

[1]) Dantisci, apud Georg. Forsterum 1645, in 12°.

Samuel Kuszewicz, opierał się właśnie na „Przeważnej Legacyi“ i tylko przerabiał wiersz na prozę.[1]) Po za tem jest „Relacya poselska“[2]) samego księcia Krzysztofa oczywiście pod niektórymi względami wyższa, posiada jednak pewne braki tak, że dopiero razem z „Legacyą“ uzupełnia się w całkowite, wyczerpujące źródło. W „Relacyi“[3]) podróż jest pominięta, wjazd do Stambułu tylko ze strony politycznej opisany, szczegóły prywatne opuszczone, natomiast są wiadomości większej wagi, tyczące się stosunków obu państw i przez to stanowiące materyał do historyi polskiej dyplomacyi. Zgodność „Relacyi“ z „Legacyą“ rozciąga się aż do dokładnej treści przemów, a jeśli są różnice, to zbyt drobne, żeby na nie zwracać specyalną uwagę.

Znaczenie „Przeważnej Legacyi“ dla współczesnych było wielkie. Przedewszystkiem musiała ona być bardzo poczytną, najpierw dla tego, bo zawierała ciekawy temat obrobiony dobrze, a potem dla tego, ponieważ tytuł obiecywał oprócz opisu samego poselstwa jeszcze coś. Oto powiada: „z dotknieniem krótko przez ucieszne digressye stanu pod ten czas rządów, ceremoniy y zwyczaiów pogańskich“. Dla szlachty XVII. w. atrakcya ogromna. Południowo-wschodnia ściana Rzpltej wiecznie od Turków i Tatarów była zagrożona. Ciekawa myśl wybiegała zawsze po za kwieciste stepy Ukrainy aż do Krymu i poprzez bukowińskie lasy i pełny zdrad kraj Wołochów do bałkańskiego półwyspu. Mieszkaniec ruskich województw nieraz z drżeniem pomyslał, że jeśli ogarnie go kiedy rozbójnicza orda i zagnawszy przy koniu do swych komyszy, potem zaprzeda w turecką niewolę, że wówczas będzie musiał rad nie rad poznać i owe kraje i ludzi, na własne oczy zobaczyć wiele nieznanych rzeczy i gorzkie łzy wylewać. Jakoż rodziła się zaraz ciekawość, jak i co tam jest. Każdy wiedzieć pragnął, co go czekać może, żeby niespodzianka nie była równie

---

[1]) Dzieło Kuszewicza przetłumaczył Wojciech Wolski i wydawał w kalendarzach krakowskich (1693—1702).

[2]) W rękopisie w zbiorach Świdzińskiego. Bibl. Krasiń. w Warszawie.

[3]) Była drukowana dopiero w „Dzien. wileń.“ 1827. Hist. i lit. t. III.

nagła jak straszna. Z drugiej strony mieszkańcy dalej na północ i zachód położonych ziem, również radzi byli usłyszeć, jaki jest ten utrapiony wróg, który sporadycznie z dziką zajadłością rzucał się na Rzpltą, a potem cofał, gojąc otrzymane rany i nabierając tchu do nowego, namiętnego napadu. Cała Polska słała młódź na owe kresy, cała Polska musiała pragnąć, ile można najwięcej, wiadomości o dziedzicznym i dziedzicznie strasznym wrogu. Ztąd poczytność dzieła Twardowskiego, które w r. 1639 wychodzi w nowym nakładzie. Ztąd Kuszewicz może w parę lat potem drukować łacińską, prozaiczną przeróbkę „Legacyi", swoją „Narratio", która również w dwóch wydaniach obiega Polskę (1645 i 1653). Ztąd i inni historycy i poeci, którzy pióro i pracę tamtym stronom poświęcali, mieli zapewniony popyt. Zwłaszcza Twardowski przynosił społeczeństwu dość dużo. Nie dawał wprawdzie z rozmysłem ułożonego opisu Turcyi, ludzi i obyczajów tamtejszych, bo to w dziele, którego oś stanowiła opowieść o poselstwie, było niemożliwością. On tylko przygodnie poruszał różne kwestye, bez porządku i ładu, ale za to poruszał ich wiele. Nie do wszystkiego doszedł sam, własną obserwacyą i badaniem na miejscu. Znaczną pomocą była mu książka Busbecq (Boussebecques): „Itineraria Constantinopolitanum et Amasianum" (Antwerpia 1582), z której sporo zaczerpnął szczegółów i nieco ogólniejszych poglądów.

Jest w Twardowskim trochę geograficznych objaśnień o Turcyi całej, jest nieco typografii, są wzmianki o florze i faunie i o ludach mieszkających na Bałkanie. Do Konstantynopola poselstwo jechało dość żwawo, nie było więc czasu na dokładniejsze studya. To też o obyczajach ludów spotkanych w drodze jest mało; tu i ówdzie jakaś wzmianka, jakiś szczegół, który widział przypadkiem. Potem opis samego Stambułu, przedmieść i portu, domów, meczetów, pałacu sułtana; jest o seraju, najwyższych urzędnikach, wojsku, najwyższym kapłanie (mofti'm), o szkołach, obyczajach, religii, obrzadkach, skrytem pijaństwie Turków, o ich potrawach, (dla których ma rzetelną pogardę), ich wewnętrznym nierządzie, burdach, nieładzie, bezprawiach. Uderza go chciwość Turków, nieznająca żadnych granic:

„Złotem serca pogańskie uniosą się snadnie,
Złoto śrzodkiem Janczarów zbroynych się przekradnie,[1])

[1]) Kochanowski, Pieśni ks. I. p. 6, w. 9 brzmi: „Złoto śrzodkiem Janczarów zbrojnych pójdzie snadnie".

Złoto ich dzikość miękczy, złoto gniew nadyma,
Złotem się y sam Cesarz na tronie swym trzyma.[1])

Robił Twardowski także wycieczki w okolice Konstantynopola, oglądał grobowce, rozpytywał o napisy, słowem starał się o jak najszersze wiadomości i liczne szczegóły.

Zdarzających się gdzieniegdzie omyłek nie można mu brać za złe. Dunajowi każe na 50 str. wypłynąć z gór szwajcarskich. Bagatela. O Wenetach (Wenecyanach) sądzi, że jednego z nami są narodu. Trudno go winić. Powtarza za Busbecq'em między innemi dykteryjkę, dla czego Mahomet zakazał wino pijać, dodając, że „insze maią kryminały y baśni“, które milczeniem pomija; za to daje ogólny pogląd na mahometanizm, który ma być sektą skleconą z wyznania wiary Żydów i donatystów (!).

Wszystko jednak, razem wziąwszy, było niezmiernie ciekawe dla współczesnych i chciwie musiało być czytane.

Takiej wartości dla nas „Legacya“ oczywiście mieć nie może. Zajmuje kolorytem, zajmuje nas pogląd ówczesnego szlachcica na stosunki, na ludzi, obyczaje i religię turecką, ma znaczenie w końcu jako historyczne źródło. Ale nie stanowi takiej atrakcyi, jak dla ludzi XVII. w. Podobnie z punktu widzenia artystycznego nie może zyskać aplauzu bodaj przez pół równego współczesnemu podziwowi.

Pisana wierszem trzynastozgłoskowym o rymach aa, bb, cc i t. d., jednostajna w rytmie, płynie równo i potoczyście, ale przez monotonność sprawia wrażenie bezustanku w równych odstępach czasu wolno spadających kropel deszczowych. Jest to poprawność, nie jest artyzm. Okrasa figur poetyckich i tropów godna jest dłuższej uwagi, bo we wszystkich historycznych poematach Twardowskiego ma jeden i ten sam charakter, choć nie zawsze równie jest dobra.

Wykształcony na klasycznych autorach ma już gotowe pojęcia dla ozdób poetyckich wyrobione. W Grecyi wymyślono w poezyi i prozie i utrwalono najprzeróżniejsze typy i wzory. Dziś można się już niecierpliwić, bo tej klasyczności jest może za wiele.

---

[1]) Leg. str. 68.

Pojono nas i poją ciągle bogami i boginkami greckimi. jakby to była nowość. Jakoż poczciwy i bogobojny p. Samuel idzie śladem poprzedników i współczesnych i z całą naiwną wiarą poety sypie i wysypuje z Olimpu. z Hadesu i z Elisium całemi tłumami starożytne postacie. Gdy od stołu, przy którym pisał, wstanie, opadną go zaraz wszelkie te myśli i może za godzin parę klęknie do pacierza i ani mu przez głowę nie przejdą boginki, ani w ich istnienie nie wierzy więcej. Ale gdy do pisania się zabierze. w tym samym momencie myśli już gotowemi formułkami poetyckiemi, gotowemi porównaniami, jak żywy zjawia się w jego wyobraźni świat mityczny grecki i do niego wszystko odnosi. do niego wszystko nagina. Twardowski nie tylko nie mógł zerwać z tą tradycyą, on nawet nie potrafiłby przypuścić, że to się da zrobić. Kanonem w sztuce była starożytność; żeby się z niej otrząsnąć. trzebaby mieć albo genialność stworzenia nowych zastosowań, albo odszukać świat, z któregoby te zastosowania dać się wzięły. trzebaby nowych typów, nowych wzorów, nowych pojęć. Można je było znaleść i znalazło się kiedyindziej w świecie średniowiecznym i chrześcijańskim, a z drugiej strony przez większy nacisk na głębie duszy ludzkiej w niej samej, bo bardziej w opisowej poezyi klasyczność szła w pomoc i narzucała się bezwzględniej, niż w lirycznej, czy dramatycznej. Epika wśród ludów klasycznych stanęła najwyżej. Do dziś dnia nie można prawie spotkać epicznego utworu bez różnych odniesień do klasycznego świata. Łatwiej i szybciej otrząsnęły się liryka i dramat. Wówczas jednak wogóle wyzwolenie było czystem niepodobieństwem.

Ztąd Twardowski często sięga do klasycznego worka. czerpie zeń suto i rozsiewa klasyczne wiadomości po wszystkich dziełach. Świat grecki i rzymski, aureolą przeszłości otoczony, uświęcony uznaniem przez znakomitości artystyczne. jest dla niego w sztuce wszystkiem. Obok istnieje świat drugi. rzeczywisty. Ten świat odnosi do pierwszego, szuka nici porównań, szuka gotowych wzorów, według których mógłby się w teraźniejszości. we współczesności oryentować i tę współczesność z artystycznego punktu widzenia ocenić, ztąd też dziwna. a u współczesnych pospolita mieszanina chrześcijaństwa moralnego z pogaństwem artystycznem. Kiedy ocenia zjawiska moralne, wychodzi z niego prosty wierzący szlachcic; kiedy znów jakieś zjawisko artystyczne. pracuje w nim pamięć i przywodzi na uwagę pogańskie formułki i wzorki. Nie znaczy to wcale, że jest człowiekiem, który po prostu nauczył się cenić sztukę i naturę, że nie odczuwa bezpo-

średnio, tylko pośrednio według tego, czy sobie przypomni, o ile coś kiedyś podobało się jakiemuś poecie. Ale w nim zlały się te pojęcia tak, że kiedy był np. pod wrażeniem natury, wnet poczynała pracować pamięć i dla oddania, dla uzewnętrznienia spostrzeżeń i przejawów duchowych brał gotowe formy ze świata klasycznego. Tak, kiedy chce opłakać śmierć Krzysztofa Zbarazkiego, w pomoc przyzywa Muz i Apollina z Helikonu, tak Gedyminowi „Augur“ tłumaczy sen, tak posłańcem stale bywa Merkury („lekka dera na nim, spięte pióry ramiona“), bez którego list nigdy nie dojdzie przeznaczonych rąk, tak królewicz Władysław:

„...cnotą y sercem przeszedłby Achille
Y święte rzymskie one dobrocią Kamille,“ [1])

tak w każdem miejscu i o każdej dobie Olimp w sukurs przysyła mu swoich mieszkańców. Czasem, że to nie potrafi dostatecznie rozgraniczyć pojęć klasycznych od nowoczesnych, — jak zwłaszcza w wysokim stopniu razem z przytępieniem smaku nie umiano w trzech pierwszych ćwierciach XVIII. stulecia, — zabawne wypadają mieszaniny anachronistyczne. Oto np. Herkulesa uzbraja w kopię. Czasem znów, raczej często gniewa wprost, kiedy rzeczy, które wyobrazić sobie łatwo, porównuje z rzeczami, o których czytał w klasycznych autorach, ale których nie widział ani on sam, ani czytelnik. Janczarowie rzucili się na pokoje sułtańskie, ażeby zabić Osmana:

„Nieinaczey, gdy z Hemu y przykrey Rodopy
Lecą wód rozpuszczonych ogromne roztopy:
Groble tęgie ruinuiąc y warowne tamy,
Że się w łonie okryią Propontydy samy“,

albo też:

„...a iako pienisty srożeie
Niedźwiedź na Erymancie, gdy z tełu y w czoło
Zgraia go ossoczników obskoczy w około...“

Czemu na Erymancie, a nie w Koziej Wólce na przykład? Ach! to w złym byłoby tonie, ojciec Horacy przewróciłby się w grobie, współczesny Francuz skrzywiłby usta z niesmakiem,

[1]) Leg. str. 21.

a polski szlachcic w karabelęby uderzył i zakrzyknał: bój się Boga, panie bracie!

Oko Twardowskiego, suggestyonowane przez klasyczne myty, ożywiało naturę w kształty ludzkim podobne. Trytony wynurzają się z Dniestru i życzą poselstwu szczęśliwej drogi[1]) do Konstantynopola, potem te same Trytony wychylają się z morza, aby podziwiać wjazd książęcy. A tak miły mają uśmiech, choć niewidzialny, i taką minę przyjemną, choć tylko siłą wyobraźni dostrzegalną, że jak odmówić im prawa bytu i jak zerwać z tradycyą dryad, nimf, czy Trytonów?

Mnogość i dobór tropów i figur są miarą piękności poetycznego języka. Dla figur retorycznych, jak onomatopeja, gra wyrazów, antyteza, u Twardowskiego miejsca prawie nie masz. Gramatycznych używa dość często, zwłaszcza apostrofy[2]) i powtórzenia;[3]) lecz zapominać się nie godzi, że figury gramatyczne są zwłaszcza w poezyi rzeczą pospolitą i nieraz konieczną ze względu na ilość zgłosek i rytm. Z tropów na dobrą ironię zdobywa się rzadko, bo niema dość gibkiego umysłu. Spotkałem eufemizm np. tylko jeden: Sudermann opanowuje Rygę „ofiarując podobne y Wilnie ruiny".[4]) Synekdoche trafia się, lecz nie uderza oryginalnością. Metonymia i personifikacya ograniczają się głównie do tych, które w potocznej mowie obiegając gęsto wytarły się, jak pieniądz zdawna kursujący z rąk do rąk, i straciły urok, jak właśnie co dopiero przezemnie przytoczone porównanie. „Swawola bierze górę",[5]) „nowiny przyidą",[6]) „wieczórby mnie zaszedł",[7]) „Ossman próżną dumą nadęty",[8]) itd. itd. Ale są ładniejsze i mniej pospolite:

„Wieść iednak niecierpliwa...
. . . . między gminem sieie
Hołdu postąpionego łakome nadzieje."[9])

---

[1]) Leg. str. 41.
[2]) Leg. 4, 19 i t. d.
[3]) Leg. 22 i t. d.
[4]) Leg. 27.
[5]) Tamże.
[6]) Leg. 29.
[7]) Leg. 7.
[8]) Leg. 26.
[9]) Leg. 24.

lub:

„. . . ruszenia się dały
Trąby znak y wesoły Pean zahuczały:
. . . .
A Echo dźwięki zbiera y wiatr lekki goni.“ [1])

Najwięcej jest porównań, z których jedne krótsze, wcale nieźle odrazu do wyobraźni zwabiają plastyczny kształt, wrażenie barwy, czy dźwięku, albo złudzenie ruchu, drugie dłuższe, epickie, chybione po większej części, gdy ze świata klasycznego wzięte, trafne, kiedy autor nie wędrował daleko, ale czerpał je z otaczającej nas natury.

„A iako wilk srożeie, gdy w owczarniey czuie
Stado owiec zamknionych: iuż on przepatruie
Ze wszystkich stron przystępu, iuż dziury kryiomey,
Żeby obrok obmyślił paszczęce łakomej:
Niemniey w ten czas poganin żarzył się sam w sobie...“ [2])

Naturalnie wśród porównań tuła się wiele przerobionych, niejednokrotnie wprost tłumaczonych z poezyj łacińskich, bo wielkich ceremonii nie robiono wtedy z cudzym dorobkiem i wspomagano się sowicie z żelaznego kapitału dzieł klasycznych, który się nigdy nie wyczerpywał. Czy wyławiać podobne pożyczki? Czy oddać Horacemu, co jest Horacego, a Wergilemu, co Wergilego jest? Sądzę, że mrówcza praca, jakąbym tu podjąć musiał, nauce korzyści przysporzyłaby bardzo mało, a w rezultatach okazałaby się nieraz płonną.

Styl Twardowskiego sumarycznie biorąc, jest dość barwny, lecz nie zawsze jasny. Wpływ gramatyki łacińskiej odbił się ujemnie na architektonice polskich okresów, nawet szyk słów nieraz myśl plącze i zaćmiewa. Zwięzłością nie grzeszy p. Samuel także. Przemowy, jakiemi gęsto przetyka opis audyencyi, są rozwlekłe i przez rozwlekłość czasami nudnawe. Gdy nie ma tych wad, staje się styl jego wcale plastycznym. Trywialności, na której zyskuje dobitność, ale traci poezya, unika, rzadko tylko sobie na nią pozwalając. [3]) Język jego niestety nie jest czysty, a choć, jak wogóle poezya XVII. w. w przeciwstawieniu do prozy, wolny od słów

[1]) Leg. 70.
[2]) Leg. str. 17.
[3]) Leg. str. 45; rubaszność str. 163.

łacińskich, to jednak pełny ruskich i spolszczonych tureckich. Te ostatnie ciekawe były dla współczesnego czytelnika, który mógł się czegoś nauczyć tem bardziej, że Twardowski dawał objaśnienia na marginesie. Ale dzisiaj utrudniają one czytanie i macą wrażenie ogromnie. Jest właśnie winą Twardowskiego wielką to wprowadzanie najrozmaitszych słów obcych, albowiem języka nie wzbogacał bardzo, a powagą swojego rozgłosu innych zachęcał do podobnego każenia ojczystej mowy.

Świadectwem talentu opisowego p. Samuela są charakterystyki ludzi. Nie wiele ich; mamy dokładniejsze sylwety jedynie księcia, Dżiurdżiego i sułtana. Jak zwykle sięga do klasycznego worka i ztamtąd do obrazu wybiera farby, lecz zdolności rysunkowych i malarskich nie można mu odmówić. Księcia Krzysztofa opisuje z zapałem tak, że rozumie się jego cześć dla tej wyrazistej postaci, bo ten dumny i możny pan jest odważny, śmiały, rozumny, w ruchach pełny godności, jest bardzo dobrym mówcą, zręcznym dyplomatą, który zimną krew zachowuje do czasu, a gdy potrzeba, umie wybuchnąć i z całą stanowczością bronić zagrożonego honoru. Jego przeciwieństwo stanowi Dżiurdżi: [1])

„W ogromnym tedy siedział niewdzięcznik on czubie,
W soboli, by Lucyfer odąwszy się szubie:
Oczy mu świdrem poszły, a twarz maglowana,
Jako w ogniu świeci się miedź polerowana.
Kto widział Radamanta, [2]) iako gdy przed piekłem
Dusze sądzi przeklęte, wzrokiem toczy wściekłem:
Gęba y nos klisterą iakoby rozdęty,
A u rydzey brody wąs miązszy y pomięty.
Czoło rugi zdżymaią y twarz starożytną,
A chropawe iagody piernikiem mu kwitną:
Na łonie trzyma brzydkim tablicę kamienną,
Wieczny wyrok niosącą y śmierć nieodmienną.
Nie inakszych Dżiurdżi był oczu y urody:
Oprócz, że ani wąsów, ani miał y brody:
Rzezany brzydki trzebień y długo wątpimy,
Onegoli, iakąli maszkarę widzimy."

W opisie obrazów natury reminiscencye klasyczne znowu pewną sprowadzają nienaturalność i wymuszenie, chociaż rozumienie i odczucie natury jest. Lubuje się Twardowski w słone-

---

[1]) Leg. str. 82.
[2]) Oczywiście nikt.

cznych obrazkach, podczas kiedy burze nie budzą w nim estetycznych wrażeń. Przytaczam najlepszy opis Dunaju: [1])

„...w górę się podniosszy, obaczym w równinie
Dunay, iako y bystrze y szeroko płynie:
Rzekę przednią Europy, która w horyzoncie
Począwszy się Helwetów, w czarnym znika Poncie.
Po niey żyzne ostrowy, gdzie po wdzięczney trawie
Gęsi y białopióre pasą się żórawie:
Krzyk y lament łabęci Echo w cieniu sporzy,
Z łożnice gdy różaney przyidzie wstawać Zorzy.
Po nurtach Nereidy z sobą harce zwodzą,
A w cieniu spracowane myrthami się chłodzą:
Brzegi bluszcz buyne snuie, z tey y owey strony
Smakiem nadoskonalsze żółcą się mellony.
Ciekawych pełno pływa rybołowów wszędy,
Ci po iazach jesiotry, ci na sielne wędy
Biorą wyzy ogromne: ci w lekkie sageny
Czeczugi y złocone imaią barweny.
Któraliż y uciechy y żyzność tey wody
Powie Muza?“

Wypadki, zdarzenia opisuje przeciętnie gorzej. Z powodu rozwlekłości obraz rozbija się i tam, gdzie najwyżej objawia się mistrzostwo poety, w żywym ruchu, tam właśnie Twardowskiego daremnie szukać. Akcya nie toczy się z zacięciem, osoby nie działają dość żywo, szczegóły nie rozmieszczone w odpowiedniej perspektywie mają się do całości czasem jak na średniowiecznych obrazach wielkie, drugoplanowe figury do malutkich na pierwszym planie. Lecz tak nie jest zawsze. Czasem Twardowski nie tylko dobrze opowiada, ale nawet umie wywołać nastrój, co najlepiej udało mu się w końcowej scenie czwartej pieśni.

Księciu grozi zamknięcie we wieży, poselstwu całemu napad niepłatnych janczarów, którzy wietrzą pieniądze w polskich wozach. Zapada noc. W niebezpieczeństwie poseł nie traci ducha i zagrzewa towarzyszy do mężnego wytrwania. Zatoczono armaty, zabarykadowano bramy, przysypano je ziemią, u okien stanęła czeladź i piechota gotowa do strzału. Niepokój przychodzi razem z mrokiem. Niepewność jutra mrozi wesołość, zamyka gadatliwe usta, budzi zadumanie. Książę dopiero dodaje otuchy, ożywia szlachecką fantazyę, która zaraz kipi, jak war, więc zaczyna się pijatyka, huczą śmiechy, padają żarty. Jakby na ironię Ibrahim-basza

[1]) Leg. str. 51.

przys[illegible] ie dziewki. Światła płoną, gr[illegible] dziewki pląsają, pod[illegible]cenie ogarnia wszystkich. Jeden książę spokojnie gra w warcaby, jak gdyby nigdy nic, a tu lada chwila może się rozledz dziki wrzask, mogą świsnąć kule, rozbrzmieć jęki, może się polać krew. Lecz oto zamiast bitwy, przyszedł różany świt i wybawienie.

Chodynicki w swoim „Dykcyonarzu" słusznie sądzi, że „Legacya" byłaby świetnym tematem do historycznego romansu.

Dr. Stanisław Turowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KLUB PATRYOTYCZNY WARSZAWSKI

w czasach powstania listopadowego

(1830 — 1831).

(Ciąg dalszy).

XII.

Uroczystości 7. lutego na cześć Jana Kilińskiego. — Przygotowania klubu. — Pochód uliczny. — Municypalność. — Mowy przed kamienicą Kilińskiego na Szerokim Dunaju. — Rettel i Jan Kanty Wołowski. — Szewc Chodorowski. — W kościele OO. Augustyanów. — Pod kolumną Zygmunta. — Na Starem Mieście. — Przed pałacem Igelstroema. — Klubiści do szeregów. — Nowe wybory zarządu. — Rekryminacya przeciw członkom Komitetu śledczego i prof. Zinserlingowi. — Odezwa do Polek. — Pułk dzieci warszawskich. — Projekt uczczenia pamięci Bielińskiego. — Jawność posiedzeń klubu. — Podniesienie ducha Warszawian. — Ks. Gacki o potrzebie przedstawień opery „Niema z Portici.“ — Misya kapłanów.

Dzień 7. lutego 1831 r. wybrano na uroczystość oddania czci pamięci szewca Jana Kilińskiego. — Od chwili pogrzebu patryoty i walecznego pułkownika, święconego w roku 1816 na ulicach Warszawy, pamięć jego, jakkolwiek zawsze żywa w sercach ludu i domek historyczny na Szerokim Dunaju nie były i nie

mogły być przedmiotem publicznego kultu z obawy na następstwa. Klub patryotyczny postanowił tym razem dać głośny wyraz wdzięczności heroldowi ruchu ludowego z czasów Kościuszki.

O godzinie 10-tej rano, rada municypalna ze swym prezydentem Węgrzeckim, członkowie klubu, gwardye: narodowa i akademicka, obywatele rzemieślnicy, szczególnie z regimentu Kilińskiego, tudzież tłumy ludu, zebrały się na ulicy Dunaj przed kamienicą Kilińskiego. Dwaj oficerowie gwardyi narodowej wynieśli portret pułkownika. Obywatele Rettel i Jan Kanty Wołowski przemówili z zapałem. Orszak poprzedzony przez duchowieństwo kościoła Augustyanów i Metropolitalnego otwierał obywatel cechu szewckiego, niosący na wezgłowiu kokardę trójkolorową, wbrew uchwale sejmowej. Za nim dwaj oficerowie gwardyi narodowej nieśli portret Kilińskiego. Po obu stronach portretu obywatele: Wiśniewski i Chodorowski szli z chorągwiami powstania 1794 r., przechowywanemi w rodzinie pułkownika. W kościele księży Augustyanów, do którego wszedł orszak i gdzie śpiewano nabożeństwo żałobne, mieli mowy ksiądz Ludwik Tęsiorowski i Konstanty Danielewicz. Pierwszy przedstawił wiernym ucisk religii panującej za poprzednich panowań. Następnie orszak udał się przez plac Zamkowy do Fary. U kolumny Zygmunta Adam Gurowski w energicznej przemowie wykazał konieczność obrony stolicy, przytaczając pamiętne przykłady Kilińskiego, rzeźnika Sierakowskiego, księdza Mejera. W kościele zabrali głos ks. Pułaski i Józafat Ostrowski. Gdy orszak udał się na rynek Starego Miasta, przemówili tam: Żochowski i kapitan gwardyi narodowej wymowny improwizator, Józef Kozłowski, przypominając cierpienia patryotów. Lud głośnymi okrzykami wyraził oburzenie. Z rynku Starego Miasta w drodze do pałacu ongi Igelstroema, zatrzymał się orszak w kościele OO. Dominikanów, gdzie piękne mieli mowy: Gacki, Janowski i Grzymała. Po nich zabrał głos szewc Chodorowski, przypominając świetne czyny Kilińskiego i zachęcając lud do pójścia za jego przykładem. Przed pałacem Igelstroema, gdzie się obrzęd zakończył, miał mowę członek klubu Krępowiecki, poczem lud spokojnie rozszedł się do domów.

Tegoż dnia z powodu udania się na pole walki wiceprezesów klubu: Maurycego Mochnackiego, ks. Aleksandra Pułaskiego i Ksawerego Bronikowskiego, oraz sekretarzy: Tadeusza Krępowieckiego i Michała Dębińskiego, odbyły się nowe wybory członków zarządu. Prezesem pozostał Joachim Lelewel, pierwszym wiceprezesem — Roman Sołtyk. Ich towarzyszami zostali: Józafat Ostro-

wski, ksiądz Ludwik Tęsiorowski, ksiądz Józef Gacki, Józef Kozłowski. Sekretarzami: Nepomucen Janowski i Maciej Moszyński.

Pod prezydencyą Ostrowskiego odbyło się w d. 9. lutego posiedzenie klubu, na którem sekretarz Moszyński odczytał projekt podania do gubernatora stolicy, w sprawie potrzeby skruszenia lodów na Wiśle przynajmniej na dwie mile wokoło stolicy.

Ks. Tęsiorowski wystąpił z oskarżeniem przeciw profesorowi Zinserlingowi o tamowanie przezeń oświaty za zeszłego rządu.

Józafat Ostrowski żądał wniesienia petycyi do rządu w sprawie ukarania członków komitetu śledczego: Ordynata Stanisława hr. Zamoyskiego, Hankiewicza, Poklękowskiego, Supersona, Ilnickiego i innych, co przez aklamacyę przyjęto.

Ks. Pułaski wniósł, aby klub uchwalił odezwę do obywatelek stolicy w sprawie pomagania pannom miłosierdzia w zawiadywaniu szpitalami. Myśl tę podała mówcy panna Strzemeczna, co klub przyjął.

Ignacy Radkiewicz doniósł, iż przeor Dominikanów uwięził jednego z zakonników za to, iż tenże chciał udać się do wojska.

Sekretarz Janowski odczytał odezwę do Polek, by wyprawiały do wojska młodzież, wałęsającą się jeszcze po ulicach stolicy i zapowiedział jej ogłoszenie w pismach publicznych.

Nazajutrz d. 10. lutego, obyw. Miklaszewski odczytał projekt podania do rady municypalnej w sprawie potrzeby pośpiechu w umundurowaniu pułku dzieci warszawskich. Wezwał w końcu obecnych, by liczniej się gromadzili na posiedzeniach klubu. Przyczynę niewielkiej frekwencyi upatrywał ks. Tęsiorowski w braku dokładnej organizacyi i w rozpuszczanych pogłoskach, jakoby klub składał się z ludzi podejrzanych i ambitnych. — Z tego powodu zgromadzenie postanowiło przejrzeć i uzupełnić organizacyę klubu, poczem ją ogłosić publicznie.

Sekretarz Janowski odczytał wniosek Aleksandra Komarnickiego w sprawie uczczenia pamięci senatora wojewody Piotra Bielińskiego stosownym obrzędem, co w dniu 5. marca spełnić postanowiono.

Dnia 11. lutego obyw. Kozłowski dowodził potrzeby ogłaszania drukiem protokołów posiedzeń klubu i radził utworzyć w tym celu dziennik specyalny.

Dmochowski uważał* takie wydawnictwo za zbyteczne i kosztowne w obecnych okolicznościach i radził poprzestać na wyborze pisma już istniejącego np. *Nowej Polski.*

Obyw. Chmielewski dowodził, iż na zmianę opinii o klubie wpłynęłaby lepsza redakcya głosów w nim wygłaszanych. „Dziennik *Nowa Polska* — mówił — wkłada w usta mowców zdania, których nie wypowiedzieli. Z całkowitych protokołów publiczność sądzić winna o naszych naradach, a wówczas nie będzie nas obwiniać o dążność do anarchii, o tworzenie stronnictw i zgubne dla ogółu zamachy".

Kr. Tesiorowski mniemał, że ogłaszanie całkowitych protokołów zbyt wiele miejsca zabrałoby w *Nowej Polsce,* co nie zgadzałoby się z życzeniem redaktora. Radził więc umieszczać jedynie ważniejsze wyjątki, a dopiero później możnaby oddzielną książkę protokołów ogłosić.

Sekretarz Janowski przedstawił niemożność podania petycyi do naczelnego wodza, w sprawie wyboru na gubernatora stolicy męża sprężystego, oraz zmiany nazwy jego urzędu na inną: np. starosta, marszałek.

Obyw. Kozłowski twierdził, że to sprawa obojętna, byleby rzecz sama nie była szkodliwą.

Na posiedzeniu 12. lutego obyw. ks. Gacki wskazywał potrzebę ożywienia ducha rewolucyjnego w ludzie warszawskim. — Dowodził, że zajęcie Warszawy przez nieprzyjaciela szkodliwie oddziałałoby na sprawę powstania, gdyż jak po 29. listopada za stolicą poszły wszystkie województwa, tak nawzajem, po poddaniu się stolicy i te ostatnie z łatwością ulegną, a tak wszystkie wysiłki narodu ku wyzwoleniu się byłyby odrazu stracone. Działanie zatem na polu bitwy należałoby pozostawić wojsku, a obronę stolicy powierzyć ludowi warszawskiemu, zwłaszcza tej klasie, która powstanie wywołała. „Nie wiele potrzeba, — głosił mówca — by zapalić serca do poświęcenia się sprawie narodowej, dosyć, jeśli członkowie klubu będą objaśniać lud o potrzebie obrony i o straszliwych skutkach niewoli".

Obyw. Miklaszewski żądał, aby po rogach ulic przylepiać odezwy wzywające mieszkańców do obrony.

Ks. Gacki radził, by prosić dyrekcyę teatrów o bezpłatne przedstawienia opery „Niema z Portici" i sądził, że teatr wogóle, a przedstawienia owej sztuki w szczególności, są jednym z najskuteczniejszych środków działania na obudzenie zapału rewolucyjnego.

Obyw. Dorożko był za publicznemi mowami członków klubu po rynkach i ulicach, tudzież po kościołach.

Za zdaniem poprzednich mowców poszli: Piotrowski i Miklaszewski.

Prezes oświadczył, że duchowieństwo otrzymało już od swej władzy polecenie odprawiania stosownych modłów i kazań, członkowie klubu mogliby zatem obserwować po kościołach, czyli owo polecenie się spełnia; sam zaś przyrzekł ułatwiać mowcom świeckim możność występowania po kościołach.

XIII.

Głosy z prowincyi przeciw klubom i klubistom. — Odezwa Rady obywatelskiej lubelskiej. — Ksiądz Gacki w obronie klubu. — Zasady *Nowej Polski* a klub. — Gacki za godłem: „być albo nie być". — Tugendhold i jego wystąpienie w klubie. — „Dumania Izraelity na warcie". — Ksiądz Tęsiorowski podaje rękę Tugendholdowi. — List Lelewela do Tugendholda. — W sprawie krzewienia patryotyzmu polskiego między Żydami. — Tugendhold zapowiada wydanie broszury w żargonie.

Widzieliśmy już, iż działalność klubu patryotycznego nie znalazła sympatycznego echa w niektórych miejscowościach kraju.

Rada obywatelska województwa lubelskiego nadesłała do Rady Najwyższej Narodowej adres z potępieniem jego działalności i krytyki uchwał sejmowych w Nr. 23 *Nowej Polski*.

„Rada obywatelska — brzmiała odezwa — przejęta bolesnem uczuciem przeciwko tak zwanemu Towarzystwu patryotycznemu za pomieszczony w Nr. 23. gazety *Nowa Polska* artykuł przeciw reprezentacyi narodowej, uważając zarazem artykuł ten za ubliżający Narodowi i ziarno zatrważającej burzliwości siejący, uchwaliła adres do Sejmu, oświadczając się przeciw klubom wszystkim i naprzeciwko swawoli nadużywającej wolności druku, który czyniąc razem i Rządowi zaręcza, że w czystej miłości Ojczyzny nie potrzebuje podnoszenia ducha i klubów żadnych nie zna i znać nie chce, że w reprezentacyi narodowej poważa Majestat Narodu, a przez tę reprezentacyę utrwalone prawa i ustanowiony Rząd Narodowy za prawy z należną uległością poczytuje; w dowód zaś, że w zamiłowaniu Ojczyzny i współubieganiu się do dobra kraju nie dała się przewyższyć, wylicza wszystkie ofiary, jakie dla wspólnej sprawy też województwo poniosło etc."

Adres pomieniony, za pośrednictwem zast. ministra sprawiedliwości zakomunikował rząd klubowi, lecz minister Wiktor Rembieliński odmówił swego w tej sprawie pośrednictwa... W odezwie z dnia 19. lutego 1831 r. do Rządu Narodowego — kontrasygnowanej przez wiceprezesa klubu patryotycznego Józafata Bohdana Ostrowskiego — oświadczył minister, „iż gdy przedsięwzięcie środków ku utrzymaniu towarzyskiego porządku należy do władzy administracyjnej policyjnej, komisya sprawiedliwości przeto ma zaszczyt zwrócić Rządowi Narodowemu oświadczenia w mowie będące“.

Na posiedzeniu klubu z dnia 13. lutego sprawa adresu Rady lubelskiej była przedmiotem dyskusyi.

Ksiądz Gacki oświadczył, iż nie wdając się w ocenę artykułu *Nowej Polski*, już przez władze sądowe ocenionego, należy do klubu upomnieć się o własną obrazę i sprostować błąd, który dotąd jeszcze wszystkich ogarnia, mianowicie utożsamianie klubu z dziennikiem *Nowa Polska*. Wprawdzie wielu członków klubu do redakcyi należy, jednak opinie ich osobiste nie wiążą klubu.

Obyw. Smolikowski, który był obecny na Sejmie podczas czytania adresu lubelskiego, oświadczył, że poseł Tymowski, jako członek klubu, stanął w jego obronie.

Ksiądz Tęsiorowski zamknął dyskusyę oświadczeniem, iż nie należy przywiązywać wagi do pokątnych o klubie pogłosek.

Ks. Gacki rzekł, iż godła *Nowej Polski* wzięte z Szekspira: „być, albo nie być“, trafnie wyrażają i cele klubu. „Mają one stawiać nam w umyśle wielkie przeznaczenie, że albo Polska od Bałtyku do Euxynu zmartwychwstanie, albo niema Polski“. „Godła te winny stać się hasłem wszystkich dzienników i każdego Polaka“.

Obyw. Tugendhold, podziękowawszy za przyjęcie go do klubu, złożył w darze 20 egzemplarzy dziełka: „Dumania Izraelity na warcie“, tudzież kilka egzemplarzy: „Rozpamiętywań i modłów Izraelity gwardzisty“. Oświadczył, że religia mojżeszowa budzi miłość do kraju i wolności i podał środki do zapobieżenia szpiegowstwu między Izraelitami.

Klub z zadowoleniem wysłuchał głosu Tugendholda a ks. Tęsiorowski, podawszy mu rękę, rzekł: „Czas jest zapomnieć o rozdziale, do jakiego nas prowadzi różność stanów i wyznań. Niech jedna nas wiąże cnota i tej wszędzie szukajmy, a tą jest miłość do Ojczyzny i wolności!“

Odczytał w końcu list prezesa Lelewela jako członka rządu do Tugendholda z podziękowaniem za przedstawiony projekt krzewienia obywatelskości między Izraelitami. na co Tugendhold zapewnił, że w tym celu zajmie się wydaniem swej broszury w żargonie.

XIV.

Pierwsze wieści o zwycięstwie Dwernickiego pod Stoczkiem. — Ks. Gacki nastaje na przyspieszenie przedstawienia opery „Niema z Portici“. — Dmuszewski o bezpieczeństwie teatru. — Publiczność z lulkami. — Dyskusya nad ustawą klubu. — Ważność klubowych zebrań. — Zabezpieczenie losu robotników. — Zapomoga z sum seminaryjnych. — Sprawa napisu na pieczęciach klubu. — „Być albo nie być“ Hamletowskie. — Projekt Tugendholda.

14 lutego 1831 r., dnia, w którym do Warszawy nadeszła pierwsza wiadomość o odniesionem przez generała Dwernickiego zwycięstwie pod Stoczkiem, uwieńczonem zdobyciem kilkunastu armat, odbyło się pod prezydencyą ks. Tesiorowskiego posiedzenie klubu, na którem ks. Gacki zdał sprawę z rokowań prowadzonych z dyrekcyą teatralną w sprawie bezpłatnego dla ludu przedstawienia opery: „Niema z Portici“.

Członek dyrekcyi Ludwik Dmuszewski okazał w tej mierze chętną gotowość, lecz wyraził obawę, iż wobec braku należytego nadzoru nad porządkiem w teatrze, „kiedy znajdują się osoby, przybywające tam z lulkami, wystawa bezpłatna kosztowałaby może niejednego życie i spalenie budowy teatralnej“.

Obyw. Miklaszewski wnosił, by z tego powodu zwrócić się do ministra spraw wewnętrznych i policyi i wyjednać od niego oddział gwardyi narodowej dla przestrzegania porządku.

Stankiewicz radził, by dla zapobieżenia nieszczęśliwym wypadkom, obrachować liczbę miejsc i wydać odpowiednią ilość biletów zgromadzeniom rzemieślniczym.

Prezydujący uważał, że tłumaczenie się Dmuszewskiego było pozorem jedynie dla wywinięcia się od natarczywości klubu. Ten jednak zgodził się na podanie adresu ministrowi.

Następnie przystąpiono do dyskusyi nad ustawą klubu. Prezes komitetu, Józef Miklaszewski wystawił ważność organizacyi. „W narodach wolnych — mówił — w narodach, które dokupiły

się swobód politycznych, życie obywatela winno być więcej publicznem, niż domowem. Zgromadzenie się dobrze myślących obywateli czyli kluby, są konieczną dla rządów wolnych potrzebą. Wytwarzająca się tam opinia jest wskazówką dla rządu, jak ma postępować, jeżeli chce być trwałym i niewzruszonym".

Odłożywszy na później dyskusyę w tej sprawie, prezydujący udzielił głosu obyw. Cyprysińskiemu, który odczytał adres podziękowania członkom klubu, za poświęcenie się wojnie partyzanckiej.

Nazajutrz nielicznie zebrali się członkowie i dlatego znowu odłożono dyskusyę nad organizacyą klubu.

Obyw. Tochman podał wniosek o zabezpieczenie losu rzemieslników, mających być użytymi do obrony stolicy.

Obyw. Gostyński uważał, że rada municypalna winna zniżyć taksę żywności, by uchronić klasę uboższą od nędzy.

Ks. Tęsiorowski był za użyciem na zapomogi dla ludu funduszu, przeznaczonego dla alumnów po seminaryach, którzy się do szeregów zaciągnęli.

Ułożono w tym celu stosowne przedstawienie do rady municypalnej.

Na posiedzeniu 17. lutego, obyw. ksiądz Korycki mówił o nieporządkach w szpitalach wojskowych. Ks. Gacki zawiadomił o utworzeniu się komitetu obywatelskiego dam, dla czuwania nad szpitalami.

Przy dyskusyi nad ustawami organicznemi klubu, zażądała większość wykreślenia z nich wyrazów: „rewolucyjnego powstania Polski".

W sprawie pieczęci klubu projektowano: orła, pogoń i napis z Szekspira: „być albo nie być". Miklaszewski wniósł, aby pod orłem i pogonią dać napis: „29. listopada 1830". Stankiewicz był za wyrazami: „wolność, równość i niepodległość".

Tugendhold wnosił, by opuszczono wyraz „nie być", gdyż to byłoby według pojęć dawnych Hebrajczyków złą wróżbą i proponował wyrazy: „dla takiego bytu".

Prezydujący ksiądz Ludwik Tęsiorowski uważał, że zdanie wyrwane z Szekspira nie tłumaczy myśli jasno i dlatego proponował, by to pozostawić decyzyi Lelewela, na co się klub zgodził.

XV.

Po bitwie pod Grochowem. — Adresy klubu do Naczelnego Wodza Skrzyneckiego i do generała Dwernickiego. — Odpowiedź Skrzyneckiego i Dwernickiego.

Po krwawej bitwie pod Grochowem, w której wielu członków klubu udział czynny przyjęło, nastąpiła czasowa przerwa w rozprawazh klubowych, natomiast zaznaczono wdzięczność ogółu walecznym wodzom bohaterskiego wojska przesłaniem adresów dziękczynnych, w dniu 6. marca Janowi Skrzyneckiemu, który po księciu Michale Radziwille objął był naczelne dowództwo siły zbrojnej narodowej i w dniu 9. marca 1831 r. generałowi dywizyi Dwernickiemu.

Osnowa pierwszego adresu brzmiała: „Towarzystwo patryotyczne: bydź, albo nie bydź.

„Wybór, który Cię obywatelu powołał do piastowania władzy, mającej oswobodzić wolną niegdyś, a przez pół wieku przeszło nieszczęściami kołataną i gnębioną ziemię, pocieszył naród cały, pocieszył sprawę wolności. Towarzystwo patryotyczne, dzieląc to powszechne uczucie, rzetelną dla siebie znajduje chlubę, bydź jego przed Tobą tłumaczem. Osiwiali na usługach kraju mężowie, wsławieni w bojach wojownicy, którzy z zaszczytem przywodzić mogli walecznym, podziwiają sami w Tobie geniusz i męstwo, pierwsi przy wyborze za Tobą głosy podnieśli. W tem czystem poświęceniu się dla sprawy ojczyzny i Twój i ich tryumf upatrujemy. Historya czeka na piękne bohaterskie czyny Twoje, obywatelu Naczelny Wodzu, naród na nich opiera swoje oswobodzenie, a oświecona część świata pragnie oklaskami rozsławić Twe imię. Chwała Obrońcom i synom wolności! Śmierć służalcom despotyzmu!

„Warszawa 6. marca 1831. — Prezes: *Joachim Lelewel*. Sekr.: *J. Nep. Janowski*."

W odpowiedzi na adres powyższy wódz Skrzynecki przesłał na ręce prezesa następujące pismo:

„Do Towarzystwa patryotycznego.

„Z rezygnacyą przyjąłem władzę naczelnego wodza z rąk Izby poselskiej i Senatu i wojska polskiego Przejęty wiarą

w sprawę wolności i religii, w sprawę wieku i cywilizacyi, nie wątpię, że równie mocna wiara w sercu każdego prawego Polaka znajdować się powinna. Chciałbym wskrzesić szczęście, cnoty i męstwo zacnych przodków naszych, aby jeszcze więcej obudzić cnoty i męstwo obecnego nam pokolenia. Chcę wszystkie siły moralne i fizyczne wywołać z łona Ojczyzny, z łona Polski, aby nad dumnym nieprzyjacielem mieć przewagę.

„Znam moje położenie i zasyłam do Boga westchnienie moje, aby nas obdarzył prawdziwie wielkimi mężami, którzyby Ojczyznę naszą na jej właściwych postawili fundamentach. Nie mam się za wielkiego, jestem dobrym Polakiem obywatelem, u którego honor rycerza i narodu jest rzeczą świętą. Ojczyznę nad wszystko przekładać i siebie dla niej poświęcić, uważam za najświętszy, za mój jedyny obowiązek.

„Takiemi powodowany uczuciami, miłem przyjmuję sercem wynurzenie obywatelskich uczuć i życzeń, jakich organem jest Towarzystwo patryotyczne. Życząc Towarzystwu patryotycznemu, aby Ojczyźnie zupełnie użytecznem być mogło i aby do swoich zasad policzyło tę prawdę: że porządek jest wolnością, a wolność porządkiem: radbym widzieć jego usiłowania prawdziwie czynnemi i kierowanemi duchem porządku w postępie do jego celu wszystkich prawych Polaków, do celu dźwignienia i powstania Polski. Niech zbawienne prawdy po całej Polskiej ziemi upowszechniają się, niech szlachetne uczucia rozszerzają się po całej masie ludu, a ztąd powstanie wielka siła, która wielkie czyny, bohaterskie dzieła stworzy. Historya uraduje się, gdy do jej księgi kilka pięknych kart przybędzie, na pociechę wolności i cnoty, na zawstydzenie despotyzmu i niewolniczego służalstwa“. — Naczelny Wódz *Skrzynecki*.

Generał Dwernicki odpowiedział na adres:

„Do Towarzystwa patryotycznego warszawskiego.

„Pismo Towarzystwa patryotycznego przyjąłem z wdzięcznością, będąc przekonany o jego czystym patryotyzmie, chwalebnych dla narodu chęciach.

„Pochwały Wasze mam za pochwałę Narodu i wszelkich dołożę starań, abym przez dopełnienie powinności i wykonanie najszczerszych moich chęci w przyłożeniu się do wywalczenia niepodległości Ojczyzny zyskał zupełne zadowolenie.“

Krasnystaw, d. 9. marca 1831 roku. — Gen. dyw. *Dwernicki*.

XVI.

Odezwa prezesa Lelewela do członków klubu z d. 27. marca 1831 r.

W połowie marca 1831 roku postanowił klub, dwa jedynie razy tygodniowo, w niedziele i czwartki odbywać o godzinie 6-ej wieczorem swoje posiedzenia. W wyjątkowych jedynie wypadkach zgodzono się odbywać posiedzenia nadzwyczajne.

W zamiarze podniesienia ducha członków klubu, wystosował prezes Lelewel w dniu 27. marca następującą do nich odezwę:

„Obywatele, bracia towarzystwa patryotycznego!

„Niedawno odbierałem od Was życzenia, za które Wam dzięki składam. Czterdziesty szósty rok życia mojego zaczynam. Przeżyłem tedy różne narodu naszego koleje i z młodych lat moich są mi żywo obecne zdarzenia upadającej Ojczyzny. Wzrastając z upływem czasu, szedłem drogą publicznej, naukowej lub obywatelsko-politycznej posługi, w której zaskoczył pamiętny dzień rewolucyi.

„Widzieliście, że z wami podzielałem powszechne uczucia narodu i podobało się Wam powołać mnie na prezesa otwartych obrad Waszych, otwartych wynurzeń myśli i uczuć. Tknęła niejednego Wasza żarliwość, z gorącej chęci, ognistego upragnienia, poparcia, utrzymania i rozwinięcia sprawy narodowej wynikająca. Czyste Wasze rewolucyi i powstaniu narodowemu wylanie się, źle wystawione, naraziły was na niezasłużone pociski. Wytrwałość wasza i licznych obywatelów braci waszych, po całym narodzie polskim rozproszonych, niestrudzona czynność i jedność niejednego z uprzedzonych zawstydziła, a nie przestała podzielać życia, którem naród oddycha.

„Już nie dopiero z obrad waszych liczni towarzysze spieszyli z bronią w ręku szukać braci swoich, w narodowych szeregach niecierpliwie nieprzyjaciela oczekujących, aby nas wyzwali do oswobodzenia dotąd ujarzmionych ziomków naszych. Odgłos najścia na wolną ziemię naszą stał się hasłem dla reszty i wypróżnił prawie salę obrad. Dziś, mała liczba nas pozostała, którzy wyobrażamy w sprawie Ojczyzny walczących braci naszych: oczekują oni po nas, abyśmy godnie w ich imieniu przemawiali i działali, abyśmy zachowali ten zawiązek, który się w każdym zakątku ziem polskich w swych synowskich obowiązkach Ojczyźnie wy-

wiązuje. W małej liczbie pozostali oddaliśmy niedawno hołd uczczenia naczelnemu wodzowi naszemu, od którego dziś wam obywatele bracia składam oświadczenia i życzenia. Są one dla nas tem droższym upominkiem, że podzielamy te uczucia, tak wzniosie i uroczyście przez naczelnego wodza naszego wyrażane, które kojarzą i krzepią dzielność powstającego narodu. Podajemy je wiadomości obywatelów braci naszych i całego narodu polskiego, aby przeświadczyć każdego, jak są rozlane najzacniejsze i najczystsze uczucia i pobudki w świętej sprawie naszej.

„Wrócą obywatele bracia nasi z pola zwycięstw i sławy, wrócą okryci bliznami, zaszczytnem kalectwem i chwałą poświecenia się dla Ojczyzny: niosąc wdzięczność i błogosławieństwo narodu, że się do jego ocalenia i wyswobodzenia przyczynili. Uściśniemy z rozrzewnieniem i radością ich dłoń bratnią. Napełnią się wtedy sale nasze dobrem sercem i dobrą radą, obrady świetności nabędą. Oby zbieg pomyślny zdarzeń, wspierając dzielność poruszeń narodu, najpożądańszą tę chwilę przyspieszył.“

Warszawa, d. 27. marca, niedziela kwietna. — *Lelewel Joachim*, prezes.

XVII.

Uroczystość 29. marca na pamiątkę nocy listopadowej. — W sali Uniwersytetu. — Kapelusze sejmowe dam. — Przemowy Lacha Szyrmy i mecenasa Kraińskiego i Kozłowskiego. — Hymn Czeczota: „Cześć polskiej ziemi!“ — Uroczystość pamiątkowa 3. Maja przy ruinach kościółka Opatrzności. — Mowa szewca Chodorowskiego w obronie ludu przeciw arystokratom.

29. marca 1831 r. święcił klub czwartą uroczystość na pamiątkę nocy listopadowej.

Już o siódmej wieczorem liczna zebrała się publiczność w sali Uniwersytetu. Damy przystroiły się w kapelusze tak zwane sejmowe, t. j. w kolorach białym i amarantowym i otoczyły wieńcem trybunę prezydyalną.

Przewodniczący, prof. Lach Szyrma zagaił posiedzenie długą przemową. Skreśliwszy krwawy przebieg walk lutowych, przeszedł

do polityki gabinetów europejskich, mówił o zasadzie nieinterwencyi, twierdził, iż metafizycy niemieccy zamienili się w pisarzy sprzedanych dworowi północnemu. Odmalował interes, jaki mają narody w pomaganiu Polsce, podał obraz spustoszenia Puław i zakończył przepowiednią klęsk na wypadek niepomyślnego rezultatu wojny.

Obyw. doktor Dorożko twierdził, iż losy narodów zależne są od Opatrzności i że rewolucya listopadowa była koniecznością. Wytrwałość narodu może jedynie kraj zbawić.

Oklaskiwano mówcę i jego następcę Fr. Grzymałę.

„Kiedyśmy obchodzili w styczniu pamiątkę listopadową — mówił Grzymała — mieliśmy tylko nadzieję powodzenia. Luty zamienił tę nadzieję w pewność. Wawrzyny zebrane na polach Dobrego, Grochowa, Białołęki, Stoczka, Nowej wsi, Puław, Kurowa i Uściługa, zapewniają i dalszą pomyślność orężowi polskiemu. Strzedz się jedynie należy polityki układów z przeciwnikiem!“

Po mowie Grzymały zaczęto czytać wiersze, ale tak cichym głosem, że zebrani zaczęli wołać: „dosyć!“

Mecenas Kraiński podniósł głos przeciw despotom i zyskał szumne oklaski.

Popularny mowca Józef Kozłowski tym razem mowę swoją odczytał. Zwrócił uwagę na obojętność Francyi dla Polski, na błąd Lafayetta, na nieszczerość Ludwika Filipa, lecz zdaniem prelegenta, przyspieszy to zaprowadzenie republiki we Francyi, gdyż wszystkie ludy do niej dążą.

Twierdził, że niepodległość Polski na zewnątrz, a wolność na wewnątrz winna być celem powstania.

„Konstytucya Aleksandra — mówił — była dobrą, lecz choćby była najlepszą w świecie, nigdy przy niej Polacy szczęśliwymi być nie mogli, gdyż niepodległości nie mieli!“

Czytano potem wiersze: „Wolność Polaków“, a na zakończenie Antoni Cyprysiński mówił o obecnem powstaniu i odśpiewano hymn Czeczota: „Cześć polskiej ziemi!“

W kwietniu oprócz nabożeństwa w kościele Franciszkanów za poległych w boju rycerzy, nie było obchodów publicznych narodowych.

Dopiero na pamiątkę konstytucyi 3. Maja, klub patryotyczny urządził przy ruinie kościółka Opatrzności uroczystość, przypominającą chwilę odrodzenia narodu. Ubrano ołtarz w świeże kwiaty i zioła. Ksiądz Trepka, kapelan pułku 9. piechoty, odprawił Mszę czytaną i zakończył ją przemową do uroczystości zastosowaną. Po nim zabrał głos szewc Roch Chodorowski. Otoczyli mowcę: Marszałek Sejmu, generał-gubernator stolicy, generał dowódzca gwardyi narodowej i wielu posłów.

„Czterdzieści lat upływa — głosił mowca — jak na tem miejscu świętem płynęły nam łzy radości na widok szczęścia ojców naszych; dziś też same łzy wydobywają się z oczu moich, gdy widzę szczęście dzieci naszych. Jakże ten przeciąg czasu dotknął nas srodze obywatele! Sieroty opuszczone, bez ojczyzny, bez rządu własnego, poniewierani przez obcych, a nawet gnębieni przez swoich, nie żyjąc przeżyliśmy długie lata cierpienia, aż wreszcie rozpacz i Bóg jej potężny Opiekun, zbawił nas w tej pamiętnej nocy, którą dzieci nasze wnukom swoim rozpowiadać będą.

„My, obywatele miast, ciemiężeni długie lata przez głupstwa i pychę biczów bożych nieszczęśliwej ziemi, zyskaliśmy przecież opiekę i prawa od czcigodnych mężów, którzy pamiętny Sejm czteroletni składali. Konstytucya 3. Maja utwierdziła szczęście nasze, a my sercem i duszą do niej przywiązani, przy tych głazach, na których miał stanąć dom Boży, pamiątka odrodzenia Polski, gorące zanosiliśmy modły o ustalenie dobra Ojczyzny. Ale nie spała wówczas pycha, nienawidząca szczęścia ludu, karmiąca się dostatkiem publicznym, obaliła świętą ustawę, kraj na rozszarpanie wydała, aż musiał pochwycić za miecz rozpaczy — lud i Kościuszko. O Rodacy! Nikt nie czuł większych nieszczęść, jak lud polski, nikt go też w poświęceniu dla Ojczyzny nie przewyższył. Ojcowie nasi powstali w tutejszem sławnem mieście, zniszczyli wrogów, a my, dziatki wówczas niedołężne, już słabą ręką rzucaliśmy pocisk na ujarzmicieli naszych. Ozdoba tego miasta, Kiliński, podpora owego powstania, przekonał świat cały, że aby stać się wielkim, nie trzeba być koniecznie hrabią lub księciem, dosyć jest być poczciwym rzemieślnikiem, kochać swój kraj, swobody i dobro Ojczyzny nad własne przekładać. Kiedy lud krew przelewał, panowie, bogacze, ciemiężyciele nasi, używali dostatków, kiedyśmy łaknęli, oni zyskiwali opiekę tyranów naszych, kiedy my sieroty, dręczeni, pogardzani, potrącani, tylko długoletnią nędzę zyskali. Nie powrócą

już tak smutne czasy, umiemy znać, co się należy ludowi, umiemy cenić, cośmy pamiętnej nocy 29. listopada uczynili. Kiedy przy tych fundamentach kościoła Opatrzności, na pamiątkę odrodzenia założonych, zanosimy modły do Boga, o dobrotliwe łaski dla Ojczyzny, już ten wielki Bóg, Opiekun świętej sprawy, gotuje szczęśliwą przyszłość ludowi polskiemu!“

Alexander Kraushar.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z życia domowego szlachty sandeckiej w epoce Wazów.

(Ciąg dalszy).

Nie lepszym też płatnikiem był ów wymieniony Piotr Rdzawski. W r. 1609 ubierał się brunatno po $2^1/_2$ złp.; chodził też czerwono i zielono po 45 gr. Cukier brał funtami, szafran łutem. Następnego roku brał sukna tańsze po 23 gr., a zwykle zielone, i 4 łokcie uterfinu zielonego po 48 gr.; sama pani synowi karazyi czerwonej 8 łokci po 22 gr. Na pogrzeb jakiś brali 2 funty oliwy po 12 gr., małmazyi za 20 gr. Płacił potrosze złotem, lecz nigdy od razu.

W r. 1612 brał sukno droższe po 80 gr., w długu dał wanienkę ryb w 17 złp., nie spieszył się jednak z oddaniem reszty. Dlatego też w r. 1617 za karazyę białą po 22 gr. zastawił pochwę szablaną o srebrnych brajcarach.[1]) Mimo to kupiec nie chciał jeszcze zaufać, aż uczciwy Piotr, stary sługa, musiał zaręczyć za pana swego.

12. Stanisław Wielogłowski w r. 1611 chodził w falendyszu granatowym i czerwonym po 2 talary łokieć, lecz nie wypłacał, dlatego Tymowski wynurza swe żale pod rokiem 1620: Summa

[1]) Brajcary — rodzaj szlufek (koluszek) metalowych, przymocowanych do pochwy, przez które przeciągano rzemienie.

długów 30 złp. 20 gr. Do tego przejąłem jego dług 24 złp. 12 gr. u pana Walentego Wolińskiego z Grybowa i wziąłem do siebie łańcuszek.[1]) w którym było czerwonych złotych 20½. W tym roku były czerwone złote po gr. 100. Na przewodnią niedzielę, na żądanie pańskie samego pana Stan. Wielogłowskiego, dopłaciłem mu tego łańcuszka i wydałem mu łyżkę srebrną, za którą mi był winien 3 złp. Do tego wszystkiego dodałem mu 10 złp. 10 gr. I kazał mi go (łańcuszek) przedać na swój lepszy pożytek. Pewnie, że nie inaczej, bom go prosił, żeby mnie kwitował. Powiedział tak przy jejmości pani Jędrzejowej Wielogłowskiej i przy pannie Biernackiej, że mi go wolno przedać, jako sam będę chciał, chociaż i z moją szkodą, bo złoto nie węgierskie było. Tak powiedział złotnik Stanisław, syn pana Krzysztofa Janosza, złotnika, i z swym towarzyszem nie kazał mi drożej brać od 3 złp. za czerwony złoty. Jam dla potrzeby swojej musiał przyjąć drożej, gdym po sukno miał jechać, i darmom mu czekał roków 9. Sprawiedliwiem to wszystko napisał.

13. Piotr z Zawady Zawadzki. W r. 1608 bierze karazyę lazurową po 24 gr. i postaw czerwonego kiru. W rok potem winien za czapkę dla żony 12 złp., a za Krzysztofa Jordana winien 46 złp. W r. 1610 kupuje pani po 1½ łokcia falendyszu czerwonego i brunatnego po 2½ złp., zielonego 6½ łokcia po 16 gr. i cukru 2 funty, zastawia pierścień. W r. 1634 za 1½ łokcia breklestu czerwonego po złotemu zastawiła łyżkę srebrną do tygodnia.

Jan Zawadzki. W r. 1617 panna jejmości w kopie i groszu (= 61 gr.) za kir czerwony zastawiła obrączkę srebrną o 26 ogniwkach. Dobrała jeszcze małmazyi półkwarty. Jegomość kupował sukna tanie i długo musiał się targować o półgrosza, bo wreszcie wytargował po 13½—14½ gr. W r. 1618 zborgował 11 łokci sukna czarnego po 28 gr., czerwonego 7 po 2½ złp. i kir żółty. Zastawił portugał i św. Jana głowę złotą, co ważyło wraz 9 czerwonych złotych. W r. 1630 brał karazyę i breklest po 59 gr., więc znowu grosz wytargował.

* * *

[1]) Ponieważ według zapisków kupca w r. 1620 jeden czerwony złoty = 100 groszom, czyli 3 złp. 10 gr., więc ów łańcuszek złoty przedstawiał wartość 68 złp. 10 gr.

Nie może być celem niniejszej pracy wypisywanie dalszych wszystkich i pojedynczych drobnych rachunków. Wspomnę więc tylko, że oprócz wymienionych, którzy u Jerzego Tymowskiego kupowali różne towary, a czasem brali na kredyt albo zastawiali kosztowności swoje, należało jeszcze kilkunastu panów z pomiędzy szlachty sandeckiej ziemi, jako to: Adam Błędowski z Kobyla — Adam z Potoka Potocki — Bartosz Siemichowski z Klimkówki — Jan Wojakowski alias Lisek z Wojakowej — Krzysztof Jordan z Mordarki — Krzysztof Stadnicki z Wiatrowic — Krzysztof Marek z Będzieszyny — Zygmunt Chronowski z Posadowej — Kasper Poniatowski z Poręby, rządca dóbr Klarysek w Starym Sączu — Mateusz Klonowski, podrzęczy[1]) klasztoru starosandeckiego — Przecław, Józef i Marcin Wierzbięta z Przyszowej — Stanisław Olszowski, urzędnik księdza opata sandeckiego w Dąbrówce, który w r. 1633 wziął rozmaitego sukna za 106 złp. 18 gr. dla opactwa Premonstratensów, czyli Norbertanów w Nowym Sączu.

Lecz nie tylko wobec szlachty, przy braku dostatecznego z jej strony kredytu, ubezpieczał się Tymowski żądaniem zastawu, ale robił to samo i wobec panów wojskowych. I tak, gdy w r. 1630 chorągiew husarska, pod wodzą porucznika Radzikowskiego, została w Nowym Sączu na leże zimowe, towarzysze tej chorągwi, kupując u Tymowskiego różne towary, a przedewszystkiem sukna, w braku gotówki brali na kredyt, lub musieli dać zastaw. Chociaż w husaryi służyła najbogatsza szlachta, to przecież pokazuje się, że środki jej pieniężne były tak szczupłe a kredyt tak mały, że Tymowski niektórym z wymienionych panów chorągwi husarskiej „exercitus gravis armaturae“ kredytował dopiero na słowo samego pana porucznika Radzikowskiego — „powierzyłem z rozkazania pana porucznika“, albo „pan porucznik kazał dać“ — a jeszcze bardziej charakterystycznem jest, że tenże wypłacał nawet sam za drugich kupcowi. Inni zaś wprost musieli dać zastaw. Tak n. p. Andrzej Kitecki, biorąc sukna za 70 złp. 18 gr., zastawił pałasz srebrem oprawny; podobnie Mikołaj Prusiński za 37 złp., należących się za sukno, dał w zastaw kozacką krzywą szablę z srebrem białem; tak samo Spytek Jordan za 20 łokci breklestu zielonego po 2 złp. i postaw kiru żółtego za 13 złp., zastawił szablę oprawną.

[1]) Podrządca, podstarości, niższy urzędnik w zastępstwie właściwego rządcy dóbr klasztornych.

Sam pan porucznik, kupując za większe kwoty sukna, konia, ołów, także nie od razu płacił wszystko gotówką, lecz spłacał częściowo. Przy ostatecznem zaś obrachowaniu się z kupcem w obecności swego sługi, uznawszy swe długi za słuszne, „na alkierzu sam je napisał“, a spłaciwszy później znaczną część długu, resztę obiecał dopiero z domu odesłać.

Z powyższych zapisków widzimy, że gatunki sukna, które wówczas kupowała szlachta sandecka na rozmaite ubiory, oraz ceny tychże, jakie wymieniają źródła nasze, były następujące:

Baja — czerwona łokieć po 24 gr. do 1 złp. 20 gr. — wrocławska po 1 złp. 12 gr. — angielska lazurowa po 2 złp. — czarna po 1 złp. 15 gr. — śląska po 24 gr.

Breklest — czarny łokieć po 2 złp. — czerwony po 1 złp. do 2 złp. 10 gr. — lazurowy po 2 złp. — obłoczysty po 2 złp. 3 gr. — zielony po 2 złp. 4 gr.

Falendysz (feinholländisch) — błękitny łokieć po 1 złp. 4 gr. do 6 złp. 10 gr. — brunatny po 2 złp. 15 gr. do 3 złp. 6 gr. — brunatny ciemny po 1 złp. 20 gr. — czarny po 26 gr. do 2 złp. 15 gr. i po 2 talary stare — czerwony po 2 złp. 15 gr. do 5 złp. 12 gr. — jasno czerwony po 1 złp. 20 gr. — granatowy po 2 złp. 15 gr. do 3 złp. 10 gr. — karmazynowy po 2 złp. 20 gr. do 3 złp. 10 gr. — lazurowy po 2 złp. 15 gr. do 6 złp. 10 gr. — lazurowy w wełnie farbowany po 2 złp. 20 gr. — obłoczysty po 2 złp. 15 gr. do 5 złp. 15 gr. — różnobarwny po 2 złp. 15 gr. — zielony po 2 złp. 15 gr. do 5 złp. — zielono papuży po 2 talary — turkusowy po 4 złp. 15 gr. do 5 złp. 10 gr. — wiśniowy po 2 złp. 15 gr.

Karazya — biała łokieć po 14—23 gr. — błękitna po 1 złp. 4 gr. — czerwona po 14—26 gr. i po 1 złp. 25 gr. — czeska po 1 złp. 14 gr. — lazurowa po 14—27 gr. i po 2 złp. 9 gr. — lazurowa angielska po 24—27 gr. — lazurowa śląska po 23 gr. do 1 złp. — niebieska po 1 złp. 12 gr. — zielona po 22—24 gr. i po 1 złp. 12 gr. — jasno zielona po 20 gr. do 1 złp. 12 gr. — zielona angielska po 22 gr. do 1 złp. 24 gr. — żółta po 20 gr. — morawska postaw po 14—16 złp. — żmigrodzka postaw po 14 złp.

Kir — biały łokieć po 8—15 gr. — błękitny postaw po 7 złp. — brzeski po 10 gr. — czarny po 6 gr., postaw po 6—18 złp. 15 gr. — czarny trzyzyglowy po 10 gr. — czarny żałobny, czerwony, lazurowy i żółty po 8—16 gr. — kłocki przedni postaw po 15 złp.

Pakłak — błękitny łokieć po 2 złp. 15 gr. do 3 złp. 15 gr. — czarny po 2 złp. 18 gr. do 3 złp. 8 gr. — czerwony po 2 złp. 22 gr. — obłoczysty po 2 złp. 20 gr. — zielony po 2 złp. 25 gr. — kłocki po 12 gr.

Sukna morawskie — białe łokieć po 12—28 gr. i 1 złp. — bernadyńskie po 13 gr. — błękitne po 14—15 gr. i 1 złp. 20 gr. — czarne po 12 gr. — czarne przednie po 16—18 gr. — czerwone po 12 gr. do 1 złp. 5 gr. — lazurowe po 3 złp. — papuże po 22 gr. — szare po 12—13 gr. — zielone po 14 gr. — mnisze po 14 gr.

Sukna różne — icińskie czarne — meszyńskie po 1 złp. 5 gr. — meszyńskie nakrapiane po 2 złp. 3 gr. — kłockie czerwone po 12 gr. — wittemberskie czerwone po 40 gr. — czeskie zielone po 14 gr — bieckie białe po 15 gr. — ołomunieckie.

Uterfin — czarny łokieć po 1 złp. 18 gr. — zielony po 1 złp. 14 gr. do 1 złp. 22 gr. — ciemno zielony po 1 złp. 14 gr.

Z wymienionych gatunków najwięcej były poszukiwane sukna zagraniczne, falendysz, karazya i sukna morawskie; inne zaś już podrzędniejszą odgrywały rolę. Tak więc osią stałą, około której obracały się wszystkie borgowania i zastawy, były prawie zawsze i wyłącznie sukna. Jakie to zaś kosztowności zastawiano za nie, uwidoczni nam bliżej treściwy rejestr.

1. Z pomiędzy monet: rozmaite talary — czerwone złote,[1]) czyli zwykłe dukaty — portugały, czyli wielkie dukaty, ważące po 5, 10, a nawet 20 dukatów. Te ostatnie bywały rzadsze i dawano je nieraz w nagrodę za niepospolite zasługi.

2. Z pomiędzy zbroi: szable, pałasze w srebro oprawne, a nawet same pochwy szablane o srebrnych brajcarach — muszkiety, karabiny i czekany. Do tego rycerskiego rynsztunku możnaby dodać jeszcze jeden niezwykły okaz. Przecław z Marcinkowic Marcinkowski, zamawiając u Tymowskiego 10. marca 1611 r. sukna za 70 złp., dał w zastaw sztukę złota wagi 26 czerw. złotych. Po św. Janie Chrzcicielu tegoż roku przybiegł sługa pański

[1]) Tak n. p. Adam Wielogłowski w r. 1618 za sukna zastawił 15 czerw. złot. — Przecław Marcinkowski w r. 1625 za postaw sukna zastawił 15 czerw. złot. — W tymże roku Jan Wiernek, podstarości lubowelski, pożycza 60 złp., a daje w zastaw czerwone złote i talary.

do kupca, odebrał ową sztukę złota, a wzamian złożył „ogłowie[1]) końskie oprawne“, które przecie musiało mieć niemałą wartość, skoro kupiec zgodził się chętnie na tę zamianę.

3. Z pomiędzy naczyń stołowych: czarki srebrne, niekiedy z herbem — czarki dwoiste, z których jedna wchodziła w drugą — łyżki i widelce srebrne, łyżki kozackie, łyżki z herbem — konewеczki srebrne pozłociste, z wieczkiem na łańcuszku — garnuszki srebrne, z pokryweczką wyzłacaną — kubki srebrne pozłociste, niekiedy także z wierzchem — miednice srebrne pozłacane — roztruchany, czyli kubki wielkie z wieczkiem złocistem — srebro łamane, czyli różne drobiazgi uszkodzone, a jednak wartościowe — wreszcie cynowe talerze, miski, półmiski i nalewki, czyli dzbanuszki.

4. Z pomiędzy ozdób służących do stroju: różne łańcuchy złote — manele, czyli bransolety złote — noszenie z dyamentami, czyli kosztowne naszyjniki — obręcze, obrączki srebrne, czyli pasy białogłowskie o różnych ogniwach i cętkach, złociste, pancerzowe i białe litwerkowe — paski srebrne męskie pozłociste, o różnych ogniwach i sztuczkach — pasy rzemienne z cętkami, czyli blaszkami wypukłemi, i zamklami srebrnymi — zwiłe, czyli wisiory — pierścienie złote, z dyamentem, rubinkiem, turkusem, szafirem i żabim kamieniem — sygnety złote, niekiedy z herbem — zamkle srebrne do pasa — złoto do noszenia piórek (przy kapeluszach pań). — Z pomiędzy dewocyonaliów figuruje raz jeden: „Św. Jana głowa złota, ważąca 9 czerwonych złotych“.

Niektóre z owych przedmiotów, srebrnych i złotych, sięgały niezawodnie czasów Zygmunta I. i Zygmunta Augusta, skoro już podówczas (1607—1630) nazywano je starymi lub staroświeckimi. Bądź co bądź, to ustawiczne borgowanie towarów i zastawianie za nie rozmaitych kosztowności, znamionuje wybornie wiek i ducha czasu. Z podobnymi zapiskami trudno się spotkać nawet w Pamiętnikach z XVII. wieku: Stanisława Oświecima, Jana Poczobuta, Mikołaja Jemiołowskiego i Jana Paska. Z tego powodu dyaryusz Jerzego Tymowskiego, typowego kupca polskiego, jest niezmiernie ciekawym i cennym dokumentem do poznania życia domowego szlachty sandeckiej, w epoce panowania Zygmunta III.

[1]) Ogłów, ogłowia, ogłówka — gatunek uzdy na całą głowę końską, kamieniami wysadzanej.

ROZDZIAŁ IV.

Stosunek szlachty do mieszczaństwa.

Szlachta niechętnem okiem spoglądała na wzrastające bogactwa miast, na ich przywileje i warowność, dlatego też na sejmach koronnych, zwłaszcza w latach 1538, 1543 i 1550, zniewoliła częstemi skargami Zygmunta I. i Zygmunta Augusta do zniesienia cechów rzemieślniczych po miastach, prócz rządów i obchodów kościelnych, ponieważ ubliżają i szkodzą wolności szlacheckiej i ziemskiej.[1]) Pomimo tych wszystkich zabiegów i uchwał sejmowych, istniały dalej bractwa rzemieślnicze, bo były na czasie, a królowie z dynastyi Wazów stawali w obronie instytucyi cechowej, której zakres działalności ścieśnić usiłowano. Jako warownie kraju, okazały się miasta koniecznemi, a za obronę i na utrzymanie ich trudno było mieszczanom odmówić nagrody. Zygmunt III. szczególnie, sprzyjając żywiołowi niemieckiemu, sprzyjał i cechom, jako instytucyi niemieckiej, która rzeczywiście zasługiwała na uwzględnienie: bo dopóki instytucye miejskie wzorowały się według modły zachodniej, z Niemiec pochodzącej, dopóty wzrastała ich siła, a z nią i rozwój cywilizacyjny miast. Za jego przykładem poszli synowie i następcy jego: Władysław IV. i Jan Kazimierz, i można rzec, iż za Wazów bractwa rzemieślnicze zakwitły w całym swym, może nieco dziwacznym, lecz ówczesnym ustroju.

Szlachta, nie uzyskawszy zgnębienia miast, a przedewszystkiem nie mogąc obejść się bez nich, zachowała sobie przecie choć pozór panowania nad niemi w ustanawianiu miary, wagi i ceny towarów. Podwojewodzy, lub w jego zastępstwie podstarości, ustanawiał corocznie ceny żywności i robót rzemieślniczych, wraz z innymi urzednikami grodzkimi, którzy nie mieli o nich dokładnego wyobrażenia — sama zaś szlachta uchwalała na sejmach 1613, 1620 i 1629 r. prawa i kary na zbytek mieszczan „lex sumptuaria“, używających szat i podszewek jedwabnych, kosztownych futer, oraz safianowych butów.[2])

---

[1]) Ks. Januszowski: Statuta, prawa i konstytucye koronne. Kraków 1600, druk gocki in fol. str. 278—280.

[2]) Volum. Leg. T. III. p. 89, 180, 297.

Podobne prawa nie przyczyniały się do utrzymania zgody pomiędzy szlachtą i mieszczaństwem. Miasta ze wstrętem patrzyły na szlachtę, zazdroszczącą im owocu pracy i przemysłu, a dążącą do podbicia miast wolnych w poddaństwo swoje. Szlachta zaś za obronę kraju i dzielność, jaką okazywała w bezustannych prawie wojnach, żądając nagród i uznania od całego narodu, wymagała wyłącznej wolności i wyłącznych swobód dla siebie, i nie mogła się oswoić z widokiem zamożnych i strojnych, a nie rycerskich miast. Zazdrość ta szlachty wobec miast była powszechną podówczas w Europie, bo wszędzie oparta na zobopólnych, wyłącznych interesach. Mieszczanie, ponosząc coraz większe ciężary, opłacając wzmagające się pobory i stacye żołnierskie, gdzie tylko mogli, odbijali na szlachcie, czy to w sklepie, rzemiośle, czy w gospodzie. Szlachta zaś nie miała ochoty płacić więcej i zniżała ceny, więc kupcy i rzemieślnicy dostarczali podlejszych towarów i wyrobów; stąd hałasy i skargi! I w tem właśnie upatrujemy pierwszy, charakterystyczny rys, ujemnego stosunku szlachty do mieszczaństwa.

Ujemnie również wpływali starostowie grodowi na utrzymanie bratniej zgody pomiędzy szlachtą a mieszczaństwem. Samowolnem postępowaniem uchwycili w swe ręce kontrolę nad całym zarządem wewnętrznym miast, a przedewszystkiem nad radą miejską, przez co poddali ją w bezpośrednią od siebie zależność i zniszczyli dawną jej samodzielność. Na to ścieśnienie przywilejów swoich, nie mogli mieszczanie obojętnem spoglądać okiem. Wskutek skarg pospólstwa Nowego Sącza, orzekli zesłani komisarze królewscy w r. 1543, ażeby starosta grodowy nie mieszał się do jurysdykcyi i sądownictwa miejskiego, ale pilnował swych sądów grodzkich starościńskich. Mimo to jednak podobne skargi powtórzyły się jeszcze niejednokrotnie w XVI. i XVII. wieku.

Ale pomijając te ujemne rysy obyczajowe, znajdujemy przecie wiele innych dodatnich stron, które znamionują przyjazny stosunek pomiędzy szlachtą a mieszczaństwem.

Szlachta grodzka i okoliczna bynajmniej nie usuwała się od mieszczaństwa Nowego Sącza, lecz owszem utrzymywała z niem stosunki towarzyskie, nawet niekiedy przyjazne. Stąd to nierzadkie zdarzały się wypadki, że mieszczanie sandeccy żenili się z szlachciankami, jak n. p. kupiec Walenty Wałowicz z Katarzyną, córką szlachetnego Jana Olszowskiego; albo inny mieszczanin, Stanisław Zawistowski, z Konstancyą Wielogłowską, której zapisał na kamienicy Smoczowskiej oprawy, czyli wiana 1.000 złp. Od-

wrotnie znowu córki majętnych mieszczan wchodziły nieraz w związki małżeńskie ze szlachtą, jużto okoliczną, jużto w mieście osiadłą. I tak Anna, córka kupca Mikołaja Pełki, poślubiła szlachetnego Jana Gębczyńskiego, a przy podziale majątku rodzicielskiego (1614 r.) otrzymała wieś Klimkówkę niedaleko Sącza, oszacowaną na 3.000 złp. Szlachetny Juliusz Delpacy „Del Pace", syn Juliusza rajcy krakowskiego († 1608), ożeniony był 1613 r. z Magdaleną, córką Stanisława i Jadwigi Fratrowiczów, właścicieli trzech przedmiejskich folwarków [1]) Podobnie także Wojciech Bogdałowicz, którego ojciec Stanisław, podupadły szlachcic, przyjął niedawno prawo miejskie i był poważanym ławnikiem „nobilis civis et scabinus sandecensis": a on sam urzędował w kancelaryi grodzkiej „vicenotarius castri sandecensis", pojął za żonę bogatą mieszczankę Felicyę, wdowę po kupcu, Sebastyanie Piotrkowiczu († 1631). Nowy Sącz łączyły z Krakowem od dawien dawna ścisłe stosunki handlowe, to też i mieszczanki sandeckie wychodziły za mąż do Krakowa za obywateli tamtejszych. Tak n. p. Urszula, córka zamożnego kupca, Baptysty Gandolfiego, była żoną Reneslego, mieszczanina krakowskiego w XVI. wieku. A wiadomo skądinąd, że mieszczanie krakowscy, zrównani byli pod pewnymi względami ze szlachtą i w niczem jej nie ustępowali.[2]) Stąd to urosło owo znane adagium: „Civis cracoviensis, est par nobili".

Na weselach panów rajców i ich córek bywała nieraz szlachta i duchowieństwo, dla których imieniem miasta stawiano po 6—12 garncy doborowego wina; przy wychylaniu tak zwanych „pełnych", t. j. dzisiejszych toastów, wygłaszano mowy na cześć państwa młodych oraz czcigodnych gości. Tak na weselu córki burmistrza, Jędrzeja Adamowicza (1607), było bardzo dużo szlachty, jak ks. Jan Jordan, opat Norbertanów sandeckich: Sebastyan Gładysz z Szymbarku: Jan Krynicki, dzierżawca dóbr miejskich w Paszynie, i wielu innych, a panowie rajcy wystawili przy tej sposobności 12 garncy wina. — Podobnie przy powtórnych zaślubinach Jerzego Tymowskiego (1610) z Krystyną, drugą córką wymienionego Jędrzeja Adamowicza, pan Jakób Chwalibóg z Ropy, dotrzymując słowa Tymowskiemu, kiedy go pocieszał po zgonie jego pierwszej żony, zaszczycił gody swą obecnością i nawet ka-

[1]) Act. Consul Sandec. T. 35, p. 349, 351, 507.

[2]) Zob. Rocznik Krakowski T. VII. 199. Kraków 1904. — Por. także Oswald Balzer: Państwo pol. w XIV. i XVI. w. Kwartal. Hist. z r. 1907, str. 268—269.

zał dać 2 achtele piwa. — Również, kiedy rajca, Matyasz Pleszykowicz, wydawał swą córkę Magdalenę za Jerzego Frączkowicza (1632), na weselu tem był obecnym powszechnie lubiany i poważany pan starosta grodowy, Jerzy Stano, przyczem ze strony miasta dano 10 garncy starego wina.

Podobnie postępowali starostowie grodowi. Na wesela swych córek zapraszali rajców, ci zaś, odwzajemniając się za to, częstowali hojnie w imieniu miasta weselnych gości. I tak w r. 1626 „przy rękowinach jejmości panny Zofii Lubomirskiej, starościanki sandeckiej, która szła w stan święty małżeński za jegomościa pana Krzysztofa Rarowskiego, gratyfikując jegomości panu staroście, Sebastyanowi Lubomirskiemu, daliśmy beczkę wina za 60 złp., ryb i wyżiny za 5 złp.“ — Póżniej znów 1628 r. „gratyfikując jegomości panu Jerzemu Stano, staroście sandeckiemu, gdy wydawał córkę swoją w stan św. małżeński za jegomościa pana Zygmunta Palczowskiego, daliśmy beczkę wina za 80 złp.“ — Tak samo w r. 1634 „za beczkę wina 80 złp., gratyfikując jegomości panu staroście, Jerzemu Stano, gdy wydawał wychowanicę swoją w stan św. małżeński, do którego aktu jegomość nas zaprosić raczył“.

Każde odniesienie zwycięstwa nad wrogami ojczyzny, witano w Nowym Sączu z niesłychaną radością, wśród wystrzałów armatnich, przy odgłosie trąb i kotłów, przyczem nie obeszło się bez wydatków na koszt miasta. Tak n. p. w r. 1629, po najświetniejszem zwycięstwie Stanisława Koniecpolskiego, hetmana polnego koronnego, nad Gustawem Adolfem pod Trzcianną 27. czerwca, zanotował burmistrz, Tomasz Pytlikowicz: „Puszkarzom za odprawienie tryumfu po zwycięstwa otrzymaniu nad Gustawem, dało się 14 gr.; panu Walentemu Korzeniowskiemu, który przy tymże tryumfie moustrował i regimentował pospólstwo, także i bębeniście kontentacyi 9 gr.“

Każdy wreszcie szczęśliwy wjazd nowego grodowego starosty, lub jego powrót z obozu, obchodzono wśród wesołych biesiad. I tak w r. 1611, kiedy Stanisław Lubomirski, starosta grodowy, powrócił do domu z wojny moskiewskiej, gdzie pod Smoleńskiem i Moskwą potykał się z wrogami na czele własnej chorągwi husarskiej ze 200 koni złożonej,[1]) darowano mu na przywitanie be-

[1]) Naruszewicz: Żywot Karola Chodkiewicza. T. I. 247. T. II. 3.

czkę wina za 80 złp. — Z powodu przybycia nowego starosty grodowego w r. 1627 zanotowano w księdze wydatków: „Na przywitanie jegomości pana Jerzego Stano, daliśmy pro honorario 2 beczki wina za 112 złp.“ A kiedy tenże starosta w r. 1634, wskutek poddania się Moskali i układów z nimi pokojowych zawartych w Polanowie, powrócił z obozu, ofiarowało mu miasto beczkę wina za 70 złp.

Po ustąpieniu Jerzego Stany w r. 1637, objął starostwo grodowe Jerzy Lubomirski.[1]) Z wielką okazałością witało go miasto, kiedy wjeżdżał do Sącza wraz z ojcem swym Stanisławem, wojewodą ruskim. U krakowskiej bramy na rozkaz rajców, wystawiono ogromny kolos, czyli słup, przyozdobiony odpowiednio do uroczystości, za co cieśle dostali 26 gr. Szychtarz [2]) miejski regimentował cechami i dostał wina garniec za 2 złp., pomocnicy zaś jego gorzałki za 1 złp. 6 gr. Pisarz miejski za przemowę do Imci pana starosty wziął też garniec doskonałego wina za 2 złp. 18 gr. Za starostą zjechało wiele szlachty i chorągiew dragonii wojewody ruskiego, ojca starosty. Nie mogąc się zmieścić jedną bramą, chcieli wjeżdżać drugiemi, że zaś były zamknięte, nie myśląc wiele, poodbijali kłódki i wjechali sobie wśród huku doboszów, wrzasku trębaczów i szyposzów miejskich, dmących w długie trąby na wjazd pana starosty.

Charakterystycznym zwłaszcza był wjazd starosty 6. października 1646 r. Burmistrz, Jakób Poławiński, i rajcy sandeccy, naradziwszy się pospołu, czynili przygotowania do należytego przyjęcia nowego pana starosty, Konstantego Lubomirskiego, syna Stanisława, wojewody krakowskiego. Lunarowie [3]) odebrali rozkaz wystawienia tryumfalnego łuku przed krakowską bramą, a sławetny Floryan Benedyktowicz, wielce zasłużony i słynny malarz, odebrał polecenie odmalowania tablicy tryumfalnej i 6 herbów, za co wypłacił mu burmistrz 20 złp. Bramę zaś tryumfalną stawiano pod okiem pana lunara, Wawrzyńca Sławińskiego, który

---

[1]) Było to niezawodnie w maju, gdyż 10. kwietnia 1637 figuruje jeszcze starostą Jerzy z Nowotańca Stano; 22 maja już Jerzy z Wiśnicza Lubomirski.

[2]) Od niem. Schaft, wyrabiał łoża, czyli osady do broni palnej, tak ręcznej jak i wałowej, i wszelką przynależność do niej.

[3]) Od niem. Lohnherr, gospodarze miejscy, doglądali wszelkich robót publicznych, mianowicie naprawy murów warownych, bram i baszt miejskich, wodociągów, mostów, bruków itp.

podał rejestr wydatków 17 złp. 26 gr. Składką dobrowolną zebrano po mieście 10 złp., resztę dodał burmistrz ex aerario.

Służba miejska, tak radziecka jako i wójtowska, już znacznie przechodziła mundury swoje, trudno ją więc było przedstawić pańskiemu oku w takiem zaniedbaniu. A zatem nabrano na świeżą barwę sukna morawskiego i kiru, i razem z robotą krawiecką zapłacono 20 złp. 24 gr. Była więc brama tryumfalna i czeladź przystrojona; był i pan pisarz miejski przygotowany z uroczystą mową powitalną; duchowieństwo zaś świeckie i zakonne ze święconą wodą i błogosławieństwem było w pogotowiu.

Ks. Jan Sygański T. J.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MATERYAŁY
do historyi polskiej XIX. wieku.

Działalność emigracyi z roku 1831 na terenie Turcyi do pokoju Paryskiego.

(Ciąg dalszy).

16. czerwca 1844.

Odebrałem raport od p. Puławskiego z 8. czerwca z Tulczy, który tu załączam. Mam nadzieję, że ten agent się uda i dobrze go można będzie pokierować — co też czynię. P. Radyszewicz odjechał 10. b. m. wprost do Tulczy na mieszkanie, — z nim umówiłem się tak: P. Radyszewicz będzie prowadził handel zbożem, woskiem i innemi osobnemi rzeczami, mogącemi się zbywać na Niżu, jako to: żelastwa, broń, perkale i t. d. Przyjmuje za imiennego wspólnika Ahmet-beja i obiecuje przyjąć za imiennych komisantów dwóch ludzi przezemnie wysłanych — swoją firmą będzie ich zasłaniał przed władzami miejscowemi, a nawet będzie nam pomagał w rzeczach, które będziemy żądali od niego, to jest w naszych robotach. P. Tomasz Radyszewicz jest człowiek pewny, czynny i obrotny, jednak o istocie naszej roboty nie wie i wiedzieć nie będzie, wie tylko, że jesteśmy wrogami Moskwy, której

i on nie lubi, z całem zaufaniem nam się powierza, a w rzeczy politycznej żadnego powierzenia się od nas nie żąda. Ja z mojej strony obowiązałem się, że Achmed-bej równie jak i dwaj inni agenci będą czynnie pomagali p. Radyszewiczowi w jego handlu, co bynajmniej służbie nie przeszkadza, owszem pomaga, gdyż daje zręczność przebiegania kraju i prowadzenia roboty bez obudzenia podejrzenia. Tu w Carogrodzie obowiązałem się spełniać komisa p. Radyszewicza i ile będę mógł i umiał; kondycyonalnie także bez żadnego koniecznego zobowiązania się przyrzekłem, iż będę pisał do Francyi i Anglii, żeby go z czasem przedstawić na komisyonera domów potrzebujących towarów z Niżu i Dobrudży, jako to: zboża, wosku, skór, kości i t. d. Zgoła być mu pośrednikiem w jego handlu mojemi posługami, do żadnych datków pieniężnych ani udziału w handlu nie zobowiązałem się. Agenci będą mieli mieszkanie i żywność w domu p. Radyszewicza, będą mu za one bonifikowali żołd albo mogą dostać od p. Rad. za dobre usługi, co będzie ich korzyścią. P. Rad. za przyjazdem swoim objedzie z Achmet-bejem, czy nie można usadowić się w Kossowie, Matczynie lub Kustendży, a wolałby jak w Tulczy: jednak jeśli inaczej nie można, to muszę przystać i na Tulczę. Za moim przyjazdem na Niż ureguluję tę rzecz, zrobię może umowę między Achmet-bejem a p. Radysz., zawiązującą dom komisyonerski, to dla Francyi a szczególniej i tu dla oka. Tym sposobem będziemy mieli nasz dom, nasze przytulisko na Niżu, to, co od dawna życzyłem, — usadowimy się dobrze na Niżu. Korespondencyę pewną mamy zapewnioną — póki statki chodzą — a zimową porą wynajdziemy inną.

Ja odbieram listy pod adresem p. Glavary, przez kapitanów statków, Słowian nam chętnych, choć o niczem nie wiedzących. Na Niż pisuję albo przez konsula francuskiego w Warszawie, p. d'Olive, za pośrednictwem p. Aleon, albo pod adresem p. Marvopolo, agenta statków w Tulczy — nawet w czasie zimy zostaje nam droga Warny, dokąd żaglowe statki ciągle chodzą. Prosiłbym władzy jak najusilniej, by zajęła się jak najprędzej zawiązaniem stosunków tego domu komisyonerskiego z Anglią, to jest, żeby przygotować dla tego stosunku, aby go przyjęto, jak przyjdzie umowa zawiązująca dom. P. Rad. wielkich pieniędzy niema, sądzę, że więcej nad sto tys. p. t. nie może włożyć w handel — ale jest to człowiek uczciwy, któremu można zawierzyć — z towarami w konie i z pieniędzmi na konie. Gdyby ten dom wzrósł, byłaby to nasza własność polityczna — przez niego moglibyśmy

usypiać władze miejscowe i do niego sprowadzać broń i inne potrzebne nam rzeczy — do niego z czasem i więcej agentów także koniecznych do rozpoczęcia przybrać można — ten dom byłby także pozorem dla emisaryuszów jadących do Besarabii i Mołdawy za skupnem produktów. Proszę także władzy o wypatrzenie ze dwóch agentów na Niż — i trzymanie onych w pogotowiu do wysłania, szczególniej jednego, który mi się zdaje, nieodbicie i wkrótce będzie potrzebny do wysłania tam. Oprócz tego w Monasterze Czerńców usadowimy się tak, jakiem to pisał już dawniej. Zdaje się, że usadowienie się na Nizie mamy już w ręce. Tylko błagam władzy o wspieranie tej rzeczy — kozacy z Tatarami według mego mniemania są dostateczną siłą do sprowokowania powstania w Polsce i do wsparcia go silnie i skutecznie — gdyby nawet emisaryuszostwa ztamtąd nie udały się. Warta tedy ta rzecz, żeby ją popierać. Opatrzność nam dozwoliła, że mimo tylu przeszkód, tylu trudności utrzymaliśmy się na tym ważnym punkcie dla polityki X-cia Pana — i mamy więcej jak dawniej nadziei i możności działania z niego właściwie i skutecznie. P. Puławskiemu dałem jak najszczególniejszy przepis co do jego postępowania za połączeniem się z p. Rad. Według tego przepisu mają się prezentować Hassan-bejowi obydwa razem, jako zawiązujący dom, nie mówiąc nic o mnie. Jak tylko odbiorę pieniądze, myślę zaraz wyjechać na Niż, jeśli p. Żukowski przyjedzie przed moim wyjazdem, to zabawiłbym tam z parę miesięcy, jeśli nie, będę musiał powrócić prędzej, zaraz po uregulowaniu rzeczy. Jeśli nic nie będzie ważnego przed zimą, co jeśli X-cia Pana wola będzie taka, abym tu pozostawał, chciałbym przepędzić zimę na Niżu i posunąć rzecz tak, jak potrzeba — w takim razie należy, żeby tu w Carogrodzie był kto tak n. p. jak doktor Drozdowski, już jeśli nie dla czego innego, to dlatego, aby mu można powierzyć korespondencye. Teraz za moim odjazdem spełni to mój dragman, który jest i wierny i roztropny i rozumiejący rzecz.

26. czerwca 1844, Carogród.

Od Puławskiego odebrałem dwa listy, które tu załączam. Dwie rzeczy powinny zadawalniać władzę w jego postępowaniu, że się sadowi na Niżu i dobre stosunki z miejscowemi władzami zawiązuje, że rzuca się do drogi emisaryuszostwa jedynej broni.

jaką ztamtąd dziś wojować powinniśmy — ostrożnie zapewnie i bardzo. ale zawsze nią namagać potrzeba. Puławski daje się kierować i mam nadzieję. tak jak zawsze miałem, że z jego tam posłania będzie korzyść, sama pozycya Muzułmanina i tureckiego beja jest już ważnym względem. a przytem narodowość Tatara... Dla tego jedynie nie chciałem mu wyrabiać paszportu francuskiego. chociaż on namówiony przez Rawskiego. koniecznie tego żądał. nie chciałem. żeby mu nie popsuć osobistej pozycyi. chwyciłem się innej drogi, by mu ustalić turecką. — skutek pokazał, że mam racyę. O paszport angielski albo nowy, albo o zwrot tego, który posłałem. bardzo proszę: w tem chcę jego żądaniu zadość uczynić. dla jego spokojności, ale nie pozwolę mu go użyć. by się nie zbałamuciła ta dobra pozycya osobista. jaką ma. Ja spodziewam się wyjechać na Niż 2-go. a najdalej 9-go tego miesiąca. to ostatnie zrobiłbym jedynie dla oczekiwania przyjazdu Drozdowskiego, żeby mieć kogo zostawić przy papierach i przy osadzie. czuję ja potrzebę choć chwilowego pobytu na Nizie. żeby rzeczy nadac tok właściwy. żeby emisaryuszostwo zorganizować, ale czuję i to. że każde moje oddalenie się z Carogrodu jest szkodą dla sprawy — przerwanie biegu rzeczy — zatrwożenie naszych przyjaciół — obudzenie czujności nieprzyjaciół — ale jest potrzeba pojechania na Niż i władza tak każe — więc pojadę. będę starał się jak najkróciej bawić się tam.

5. lipca. Carogród.

Z Niżu odebrałem list od p. Puławskiego, który tu załączam. Nie zawiera on w sobie nic ważnego. tylko wskazuje według mego mniemania bardzo praktyczne postępowanie tego agenta. chcącego gruntownie się usadowić. mającego na celu ostrożność. Już miałem wszystkie papiery ważne w porządku i miałem wyjeżdżać 2. lipca, ale na żądanie p. de Boucquenoy musiałem odłożyć ten wyjazd. Przyjazd W. i P. tego samego dnia wypadłby. kiedy czas mojego wyjazdu nastąpi — jednak jak tylko będę mógł. to zaraz to uczynię; tymczasem przedsięwziąłem środki. by to odroczenie mego wyjazdu nie dało się uczuć rzeczy. Powtórzyłem moje polecenie p. Puławskiemu, by wynalazł i miał gotowych emisaryuszów, co mu łatwiej zrobić w Tulczy. jak w każdym in-

nym miejscu. By przysposabiał materyały do raportu dokładnego o brzegach dunajowych, tak z tureckiej jak i moskiewskiej granicy i planowi, które on wcale nieźle robi. Taki raport może nam posłużyć i u władzy tureckiej i u Gub. fr. i angl. uprawni niejako nasze działanie na Niżu. By wchodził w jak najściślejsze stosunki z hanem z Czutad-Osman (?). By spełniał inne punkta zasadniczej instrukcyi, o ile można, żeby starał się usadowić. Wynalazłszy ludzi, emisaryuszowska robota z Niżu prędko pójdzie i prędko skutki zrobi. Dlatego też chociaż boleję nad niemożnością pospieszenia na Niż, tak jakbym pragnął, w tem opóźnieniu jednak koniecznością wypadków sprowadzonem, nie widzę uszczerbku. Jak tylko mamy posadę, do której możemy przyjechać i człowieka, który siedzi na Niżu, Niż w naszem ręku — dla tego przyszłym statkiem na Niż poszlę projekt współki handlowej p. Rad. z Achmetem, któryby oni ulegalizowali przez władzę turecką i któryby im niejako służył za firmę i prospekt domu komisyonerskiego, to zachęci, zaspokoi i ustali p. Rad. i będzie bardzo pożyteczne dla nas: drugą zaś prywatną umową Achmet-bej zabezpieczy się od wszelkich obowiązków i odpowiedzialności handlowych — tylko przyjmie takie, o których już poprzednio mówiłem w moich raportach, a które nam tylko same korzyści przedstawiają. Chciałem to wszystko w czasie pobytu mojego na Nizie uczynić, ale ponieważ ten się opóźnia, muszę chwycić się tej drogi, żeby sprawa nie ucierpiała i mam w Bogu nadzieję, że cierpieć nie będzie. Jak tę posadę będziemy mieli na Nizie, ja odpowiadam za Niż, że go żadna sprężyna z ogólnej roboty nie wyprzedzi i że on dostatecznie sprawie dopisze. Tylko w takim razie upraszam władzy albo o człowieka na Niż wyższych zdolności, jak zwyczajni agenci, takiego n. p. w połowie jak Zach. któryby przy charakterze, poczciwości, patryotyzmie, miał pojęcie polityczne o całej sprawie i robocie X-cia Pana. Albo o przysłanie człowieka takiego tu do Carogrodu, żeby mnie zastąpił, a ja pojadę na Niż. Trzeba wcześnie o takiego lub takiego człowieka się starać, żeby nas wypadki nie zastały bez tego człowieka — toby było źle — wypadki biegną, my je posuwamy zapewnie jak można najostrożniej i najroztropniej, ale posuwamy zawsze i nie będziemy w stanie wstrzymać — dla tego we wszystko trzeba się opatrzyć.

6. lipca 1844.

Jaśnie Oświecony Mości Książe! Raport mój zawiera o całym biegu X-cia Pana polityki, tu zaś umieszczam o rzeczach, które umieszczezam zwykle w listach do X-cia Pana. P. Okuniewski. o którym pisałem poprzednio, powrócił do mnie kilka razy z oświadczeniami patryotycznemi. w których zdawało się być wielka szczerość. te oświadczenia za każdem widzeniem wzmagały się. najwięcej mi mówił o hetmanie Wasilewskim. o jego patryotyzmie i o możności porozumienia się z nim. Przy zachowaniu wszelkiej ostrożności z p. Okuniewskim, nie sądziłem rzeczą stosowną odstręczać go od siebie okazywaniem podejrzenia, dałem mu do czytania o monarchii i dynastyi, to czytanie zrobiło na nim wielkie wrażenie — przyszedł mi oświadczyć. że chce wracać do Odessy, zawiązać stosunek z hetm. Wasilewskim i z innymi znaczniejszymi ludźmi, powiedziałem mu. że bardzo rad jestem widzieć taki zapał w Polakach przybywających z kraju. ale że nie rozumiem dość wyraźnie jego życzeń i dlatego proszę, by mi je wyraził na pismie. co też on natychmiast w mojej stancyi uczynił i które to pismo przy niniejszym liście załączam — oświadczyłem. że chociaż tutaj nic podobnego nie widziałem. jednak szczerze bym pragnał. by sprawa nasza mogła mieć korzyść z tak dobrej i szlachetnej woli; natenczas prosił mnie, bym listu jego oprócz X-cia Pana nikomu nie powierzał: o jego ofierze. oprócz X-cia Pana nikomu nie mówił — co mu najsolenniej przyrzekłem. Mnie się widzi p. Okuniewski być szczerym człowiekiem i dobrym Polakiem. choć słaby na zdrowiu. ale gorącego bardzo ducha. Oświadczył mi. że jest rodem z Galicyi i ze Lwowa. był przy p. Eufrazym Miaczyńskim z Wołynia. który był emigrantem, z nim i on i jego brat pojechali na Wołyń. obaj byli w uniwersytecie charkowskim. on został aptekarzem a brat doktorem — był w Tulczynie. a potem prowizorem apteki p. Kling w Odessie, zkąd wyjechał do Carogrodu, zna pp. Mołodeckiego. Zbyszewskiego, Jokieszów, Kurcewicza, Buguckiego, dał mi tedy sposób wywiedzenia się o sobie, co też uczyniłem dzisiejszą pocztą za pośrednictwem panny S. Spodziewam się mieć odpowiedź za dni dziesięć.

Teraz daję rys o osobach, z którymi się zna p. Okuniewski. Według jego zdania generał Wasilewski. rodem z Pobereża. był przy gen. Woroncowie posądzony o stosunki z naszymi powstańcami. był niejakiś czas w podejrzeniu, ale za protekcyą Woron-

cowa został mianowany policmajstrem Odessy, na tym miejscu wiele dobrego świadczył Polakom i za to też został usunięty. mianowano go hetmanem kozaków naddunajskich, ma lat do 60, czerstwy i zdrów, okazuje wielką przychylność ku Polakom, ale to bardzo roztropnie i szczerze, u swoich kozaków jest nadzwyczaj lubianym, ma pod swojemi rozkazami 10 pułków, w których według p. Okuniewskiego jest bardzo dużo Polaków. Według tego pana jest on znany od pp. Sobańskich i Jełowickich — uskarża się na Rzewuskiego, że mu w ostatnim powstaniu nie dopisał i o mało go nie skompromitował. Według odebranej wiadomości wczoraj przez p. Okun., hetm. Wasilewski miał odebrać rozkaz, iść z Odessy w kraj Czarnomorców, by wzmocnić linię kutaiską. Młodecki bardziej już znany, ma być bardzo poczciwy. Zbyszewski poczciwy i dobry Polak, ale za ciężki szlachcic, jest na czele domu handlującego zbożem. Ilkiewicze Feliks i Michał, jeden właściciel domów kilku, drugi doktor, dobrzy Polacy, ale ludzie łakomi, spekulanci i niepewnego charakteru. Kurcewicz też na wygnaniu, gorący, zagorzały nawet Polak, jest dyrektorem handlu suknem kompanii Hołowińskich, ma wziętość u Was. Buczacki z dawnej i znacznej ukraińskiej rodziny, człowiek młody, ma być gorący Polak, choć syzmatyk, zdatny, bez majątku, wspierany jest przez Wasilew. i niema żadnego stałego zatrudnienia. Radziłem p. Okuniew., by przyjął jakiś obowiązek w której z aptek Carogr., by do mnie nie przychodził tylko bardzo rano, by unikać pozorów, podejrzenia, tak będę czekał wiadomości z Odessy. Porozumienie się z hetm. Wasilew., gdyby mogło być porządnie zawiązane przez p. Ok., ale kto wie, może Opatrzność Boża nim pokierowała i tu sprowadziła. Chociażby p. Okun. wyjechał ztąd przed odebraniem wiadomości od X-cia Pana, upraszam jednak o wolę X-cia Pana względem tej rzeczy — nie spodziewam się, żeby wyjechał przed tym czasem, ale gdyby wyjeżdżał, to mu powiem, że my jesteśmy gotowi na wszelkie zniesienie z Was., ale żeby powiedział swoje widzenie i swoje warunki i przysłał do Caregr. człowieka z umówionym znakiem i upoważnieniem, któryby na przypadek potrzeby mógł pojechać i do Paryża. Upraszam X-cia Pana o wskazanie mi, o ile mógłbym się posunąć z zapewnieniem pomocy zewnętrznej, pieniężnej i dyplomatycznej fr. i angl., jeśli przyjdzie do umowy z takim człowiekiem, to będą pierwsze zapytania. Gdyby udało się zniesienie się z Was., w takim razie, czy nie dobrze byłoby zakołatać do patryotyzmu i dobrej woli pp. Aleksandra Branickiego, Zenona Brzozowskiego i Zygm. Krasiń-

skiego i w tem proszę o wolę X-cia Pana, bym czasem nie przekroczył za granicę tej woli i w takim razie należałoby przysposobić tych panów do przyjęcia tej komunikacyi. Mówię o tem wszystkiem przed czasem, by czas nie zastał nas nieprzygotowanych. List z Odesy z 12. lipca od p. Wagnera potwierdza, że Polakom wzbroniony przyjazd do Odessy, dozwolony tylko niektórym z przyczyny, że cesarz ma przyjechać do Stawropola i że Odessa za blisko Kaukazu, ta bojaźń naszego wroga jest dobrą wróżbą. O Czerkiesyi co mogłem uzbierać, jest w raporcie, ta wojna czerkieska, gdybyśmy mieli zasoby pieniężne, mogłaby być dla nas stanowczym wypadkiem, posłanie z 50 Polaków w mundurach polskich z chorągwią polską, byłoby hasłem do dezercyi w wojsku rossyjskim i mogłoby być doskonałem działaniem na nieukontetowane mosk. wojska. Gdyby się udał ten wyskok, ogromnie by dobrze zrobił, gdyby się nie udał, nic by nie popsuł z zasnutej polityki X-cia Pana ten fakt powinien by być odrębnym zupełnie — na taki wypadek trzeba koniecznie kogo, żeby był zdolnym na Niż lub żeby mnie tu zastąpił, bo na Niżu trzeba stanąć w gotowości do wybuchu; przez Achmeta (Puławskiego) można przekupić Hassan-beja za 4 lub 5 tysięcy duk., a mając drugie tyle w ręku można uprowadzić tysiąc (nieczyt.) najmniej do Besarabii, ja za to głową moją ręczę, tylko trzeba kilku dobrych oficerów, a co potem będzie, to Bóg dopomoże — i ten wyskok nawet, gdyby się nie udał nie popsuje polityki słowiańskiej. Skombinowany z czerkieskim ruchem, mógłby być bardzo skutecznym — to są przyjazne okoliczności. Już powtórnym listem poleciłem Puławskiemu posuwać rzeczy na Niżu, szczególniej wynaleść emisaryuszów, jak odbierze wiadomość o P. z Odessy — choćby sprawa K. i P. wymagała mojego pozostania — gdyby jednak w Czerkiesyi rzeczy szły, pojadę zaraz na Niż, ale niech X-że Pan będzie pewnym, że nie zrobię żadnego kroku, któryby skompromitował Jego politykę tak dobrze zaczętą i tak dobrze postępującą z łaską Bożą. Pełen najwyższego uszanowania i uwielbienia dla Oboojga Xięstwa Państwa i Ich Świetnego Rodu, zostaje zawsze i wszędzie gotów na rozkazy X-cia Pana, prawdziwy i nieodmienny sługa

M. Czajkowski.

P. S. Przyjechał tu Polak fortepianista p. Skoczyński z Poznańskiego, mówi, że jest znajomym z PP. Miełżyńskimi, że jest obywatel poznański, podróżował po całej Rossyi, chce dać koncert

dla biednych Polaków. Mówiłem o tem z X. Lelen i z przełożoną Sióstr Miłosierdzia ułożymy tę rzecz jak najlepiej, byle artysta sam dopisał, to jest, żeby nie był jaki oszust — co staram się wyrozumieć — bardzo dużo ciekawych rzeczy dowiedziałem się od niego, które umieszczam w raporcie. P. Okuniewski ma brata komornikiem we Lwowie, to jest trzeci z tych panów. Pakiet do Odessy poszedł, gdyby X-żę Pan chciał, to wszystko można tam przesłać.

16. lipca 1844, Carogród.

Z Niża list odebrany od Puławskiego załączam, stosownie do woli władzy, nakazałem mu czynniejsze prowadzenie rzeczy, z tego listu władza widzieć może, co to za trudność w prowadzeniu i wygadzaniu agentom, chociaż Puław. jest jednym z lepszych i wyrozumialszych ludzi, drugiego szukać trudno. Napisałem słowa szczerej i przyjacielskiej prawdy i spodziewam się, że go potrafię skierować na drogę powinności służbowej trochę ściślejszą, konieczna jest potrzeba, abym jechał na Niż, ale też i niemniejsza, bym tu pozostał i doczekał się przynajmniej p. Drozd. lub Żukow., żebym mu zostawił do strzeżenia osadę i korespondencyę — z zostawionym drogmanem potrafi to zrobić, a tymczasem może rozjaśni się rzecz W. i P. Teraz opuszczać Carogród byłoby może niebezpieczną rzeczą dla polityki X-cia Pana: trzeba koniecznie ze dni 20 zaczekać, w liście do X-cia Pana ten powód wyjaśniam. Puławski jest osobą ważną na Niżu dla nas, przez niego można kupić milczenie i dobrą wolę Turków, przy nim drugi agent rzutniejszy i więcej Polak koniecznie jest potrzebny i to jak najspieszniej, warto wyegzaminować p. Aleksandra Ilińskiego, przedstawionego mi przez Budzyńskiego, poręka tego ostatniego jest dla mnie dobrą rękojmią. Z p. Rad. rzecz się ułoży. Pisałem tą pocztą do niego, pisałem także do Puław., pokazując, że handlowanie pijawkami nie przeszkadza komisyjnemu handlowi, zresztą żona p. Rad. większy ma głos w tej rzeczy jak mąż, przez nią też działać trzeba, ma się rozumieć, że dla nas wszystko jedno, czy p. Rad. handluje pijawkami czy zbożem, byle był na Niżu i był dla nas ochotny. Handlowanie pijawkami na wyspach moskiewskich jest dla nas korzystnem, bo styka nas z wojskiem mosk. To wszystko wyłożyłem Puław., poleciłem, by z p. Rad.

był z wizytą u Hassan-beja w Babadach, przejechał przez Sary-Kios i widział Ganczarowa,[1]) namówił go do emisarki i żeby był w Czatel-Osma u hana Tatarów, do czasu mojego przyjazdu na Niż, będę wskazywał Puław. co poczty, co ma robić w szczegółach. Tym sposobem może pójdzie rzecz potrzebną drogą.

26. lipca 1844, Carogród.

Odebrałem dwa listy od p. Puławskiego, pierwszy nic nieznaczący, drugi ważny, gdyż donosi o kupnie domu przez p. Radoszewicza i o kupnie czyfliku przez p. Polakow. Obydwa kupna pod imieniem p. Puławskiego — obydwa te listy przesyłam władzy. Poleciłem p. Puław., by spisał umowę z p. Rad. o dom handlowy komisyjny, którą mu napisałem i posłałem, żeby ją legalizował u Hassan-beja, toby służyło za prospekt temu domowi. Żeby u p. Polakow wyrobił zręcznie miejsce na jednego lub dwóch Polaków. Żeby teraz już mając posadę właściciela, przyspieszał zawiązanie stosunku z hanem w Czatał-Osman, żeby wyszukiwał ludzi na emisaryuszów między kozakami i Tatarami, żeby jadąc do Babadach, przejeżdżał przez Sary-Kioi i tam się starał widzieć z Ganczarowem, żeby robił wskazane mu instrukcyą raporta o Niżu i o tem, co się dzieje nad granicą w Besarabii. Poleciłem mu, żeby nie korespondował z p. Wielogłowskim inaczej, tylko przez pośrednictwo władzy, gdyż przypadkiem dowiedziałem się, że p. Wielogłowski zobowiązywuł go do takiej korespondencyi,

---

[1]) Osip Honczarow, o którym często mowa, zwał się właściwie Hanczar. Dziad jego pochodził z Podola, z miasteczka Lityna i z rzemiosła był zdunem (hanczar), zkąd i nazwisko. Otóż ów Jakim Hanczar, niewiadomo z jakiego powodu uciekł do Galicyi, zamieszkał czas jakiś w Łukawicy, zkąd za Dobrudżę przeniósł się. Tu z ojca Semena urodził się Osip. Około r. 1860 wrócił do Rossyi i zamieszkał, zapewne z rozkazu rządu, w Chwałyńsku gub. Saratowskiej w tamtejszym klasztorze. W końcu wstąpił do zakonu jako mnich, nazwany został Joasafem; w r. 1879 tamże życie zakończył.

Jako materyał uzupełniający do traktowanej przez nas sprawy służyć mogą następujące rossyjskie pisma: A. Kudriawcow: Oczerk istorii staroobriad. w Dobrudzie, 1864; Kondratowicz: Zadunajskaja Sicz, odbitka Kijewsk. Stariny; Bachtałowskij: Osip Siemionowicz Ganczar (1796—1879) Russkaja Starina 1883 r.

dając mu adres na to. coby mogło być szkodliwe przez złe użycie. P. Puławski ma posadę dobrą, on u władzy miejscowej stanie się poręczycielem wszystkich Polaków tam przybywających z ramienia X-cia Pana i poręczycielem ich przed mieszkańcami Niżu nawet. Przez niego zawczasu można i należy wchodzić w ścisły stosunek z Hassan-bejem, gdyż tego człowieka trzeba kupić, jak przyjdzie się organizować na prędce pomoże, a wtenczas wszystko zrobimy. Posadzenie się p. Puławskiego na Niżu jest takie, jakiegośmy tylko życzyć sobie mogli. Teraz trzeba kilku ludzi rzucić na Niż, jednego tylko, żeby był płatnym przez władzę. innym tylko koszta podróży się zapłaci. a tu utrzymanie się wyrobi w służbie p. Rad. lub p. Polak.. ja mniemam. że to się uda zrobić i zaraz zacznę negocyacye o to. tylko potrzeba ludzi zdolnych, chętnych-niegłupich a najbardziej niewybrednych i upatrywanie innemi takich ludzi w gotowości jak najgoręcej upraszam władzę. To jest konieczna potrzeba. Z chrześcijanami p. Puław. Turek nie potrafi prowadzić rzeczy. bo u nich nie będzie miał zaufania i straci zaufanie u Muzułmanów: dla tego trzeba chrześcijanina, ukraińca. znającego Ukrainę i któryby pojmował potrzebę naszej sprawy. Co do kosztów podróży możeby nareszcie prosząc rząd francuski. można otrzymać kilka przejazdów. Możeby d'Etienne wysłał którego jako braciszka, a w końcu z Marsylii statkiem żaglowym można za 20 lub 25 kolonatów tu przyjechać. Tak przyjechał tu jeden Polak. nazwiskiem Bauer (?), za taką sumę z żywnością mając w Marsylii kogo z zaufanych, można wynaleźć okręt. za miesiąc tu stanąć. a przy pomyślnym wietrze i prędzej. Przy posadzie p. Puław. z ludźmi a przynajmniej z człowiekiem potrzebnym. przy mojem przezimowaniu na Nizie, mnie się zdaje, że tak można rzeczy przysposobić. że na wiosnę będziemy gotowymi.

26. lipca.

Jaśnie Oś. M. Książę! Odebrałem pierwszą wiadomość o p. Okuniewskim. P. Chotkowski tak pisze: P. Okuniewski był prowizorem w kilku aptekach w Odessie. nic złego przeciwko niemu nie mówią. owszem znają go za uczciwego człowieka, tylko zarzut na nim jest, ze wielki pasyonat i niedyskretny w tłumaczeniu się. nosił się porządnie i żył wygodnie, gdyż nim się opiekował generał Wasilewski. były policmajster — wszystko zrachowawszy.

może pan pomódz p. Okuniewskiemu do zarekomendowania do obowiązku. PP. Zbyszewscy odjechali na kilkanaście dni do Bałty, list u siebie zatrzymałem. Pani Szemiot wyjeżdża do Petersburga do syna. obywateli polskich dotąd niemasz. wojska przechodzą na Kaukaz, ale nie przez Odessę i t. d. Czekać będę do przyszłej poczty. może co ważniejszego dowiem się od p. Zbyszewskiego, ta wiadomość nic nie mówi złego względem p. Ok.. ale mnie dostatecznie zaniepokaja, jedna tylko ważna rzecz się potwierdza, że zna gen. Wasilewskiego — to dotąd p. Okuniewski bardzo porządnie się prowadzi, widuję go, ale on mnie o nic nie pyta, a swoje zawsze powtarza. Po odebraniu poczty nie widziałem go, nie wiem tedy, czy co odebrał z Odessy, iść do niego ani posyłać nie wypada mi, żeby go nie kompromitować, jesli przyszłą pocztą dostanę coś dostateczniejszego, to będę się starał wyprawić go do Odessy napowrót jak najprędzej — przed wyjazdem jego pokażę mu osadę i zakład Sióstr Miłosierdzia, żeby na przypadek jaki mógł się tłumaczyć, że to, co zbierał, chciał przesłać dla Sióstr do rozdania biednym, za filantropię nie tyleby karali, co za politykę i filantropia mogłaby pokrywać niejako politykę.

Fr. Rawita-Gawroński.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Fryderyka Chopina
pierwsze lata w Paryżu.
(1831—1838).

STUDYUM BIOGRAFICZNE.

(Ciąg dalszy).

Z pomiędzy licznych poetów, zamieszkałych w Paryżu, najserdeczniejszy stosunek łączył Chopina z Heinem. Poznał ich z sobą Hiller (jeszcze za bytności Mendelsohna), poczem spotykali się u wielu wspólnych znajomych: u Liszta, u Berlioza, u Francka. Twórca *Buch der Lieder* należał do tego samego kółka. Dla Chopina od pierwszej chwili zapłonął uwielbieniem, nie tylko dla jego muzyki, którą wynosił ponad wszystko, ale i dla człowieka, którego polubił nadzwyczaj. Uwielbieniu temu dał Heine niebawem wyraz w jednej ze swych korespondencyi paryskich, gdzie w tych słowach, po rozpisaniu się o Liszcie i Berliozie, skreślił sylwetkę Chopina: „Byłoby niesłusznem, abym przy tej sposobności nie wymienił jednego z fortepianistów, który po Liszcie najwięcej hołdów doznaje. Jest nim Chopin: jaśnieje on między nimi nie tylko jako wirtuoz przez techniczne wydoskonalenie, ale jako doskonały kompozytor. Jest to człowiek w całem znaczeniu wyrazu niepospolity. Stał się też ulubieńcem owego wyższego towa-

rzystwa, które w muzyce największej przyjemności ducha i umysłu szuka. Sława jego ma cechę arystokratyczną: wonna pochwałami wyższego towarzystwa, jest również wykwintna, jak jego osoba. Urodzony w Polsce z matki Polki i ojca Francuza, część swego wychowania odebrał Chopin w Niemczech. Wpływ tych trzech narodowości złożył się w nim na całość doskonałą, w której jaśnieją najlepsze przymioty tych trzech narodów. Polska dała mu zmysł rycerski i swą historyczną boleść; Francya — lekki wdzięk i gracye; a Niemcy — romantyczną głębokość. Natura zaś wyposażyła go piękną, wysmukłą, nieco wychudłą nawet postacią, najszlachetniejszem sercem i geniuszem. Tak, Chopinowi trzeba przyznać geniusz i to geniusz w całem znaczeniu tego słowa. Niepodobna nazwać go wirtuozem, on jest poetą: umie wlać w nas poezyę, która w jego duszy żyje.[1]) Nic nie może mierzyć się z rozkoszą, jaką słuchaczom sprawia Chopin, improwizując przy fortepianie. Wówczas nie jest on Polakiem, ani Francuzem, ani Niemcem; zdradza on w owej chwili daleko wyższe pochodzenie: jego ziemią rodzinną zdaje się być wtedy kraj Rafaela, Mozarta i Goethego, a prawdziwą ojczyzną poetyczne królestwo marzeń. Gdy on tak improwizuje, wydaje mi się, jakby mię odwiedzał ziomek z ukochanego kraju i opowiadał o najciekawszych zdarzeniach z czasu mej tam niebytności. Nieraz chciałbym mu przerwać i obrzucić pytaniami: Jakże się powodzi pięknej rusałce, co tak zalotnie umiała narzucać srebrzysty swój welon na zielonych zwojach? Czy u nas róże zawsze tak dumne? A drzewa czy ciągle śpiewają tak pięknie podczas księżycowych nocy?" Wogóle Heine w swoich korespondencyach do *Augsburger Zeitung,* raz po raz wspominał o Chopinie, zawsze entuzyastycznie. Widocznie był pod jego urokiem.[2])

To samo mógł powiedzieć o sobie Eugeniusz Delacroix, sam wielki artysta, a przytem jeden z najszlachetniejszych ludzi swego czasu. Wielbiciel Mozarta i Beethovena, od pierwszej chwili poznania stał się i on, jak tylu innych, entuzyastycznym wielbicie-

---

[1]) W tymże liście pisał o nim Heine, przeciwstawiając go zwłaszcza Lisztowi: „Seine Finger sind nur die Diener seiner Seele, und diese wird applaudirt von Leuten, die nicht bloss mit den Ohren hören, sondern auch mit der Seele".

[2]) W liście z d. 20. czerwca 1833 do Hillera pisze Chopin: „J'ai rencontré hier Heine qui m'a chargé de vous grüssen herzlich und herzlich..."

lem geniuszu Chopina. Rozkoszował się jego muzyką, zarówno kompozycyami, zwłaszcza drobniejszemi, jak i improwizacyami, a dla człowieka, z którym szczerze się zaprzyjaźnił, jak przystało na ich bratnie dusze, miał zupełnie wyjątkowe przywiązanie i szacunek. W dzienniku swym, w którym zapisywał wrażenia z każdego dnia, kiedy mu wypadło pisać o Chopinie, nazywał go w zachwycie „boskim". „Widziałem się sam na sam z Chopinem — pisał raz w swym dzienniku — którego bardzo kocham, a który jest człowiekiem rzadkiej dystynkcyi: to najprawdziwszy artysta, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Jest jednym z tych niewielu, których można podziwiać i czcić". Jakby wywdzięczając się za takie uwielbienie dla siebie, Chopin, pisząc raz do Franchomme, tak się wyraził o swym przyjacielu: „Eugeniusz Delacroix... Jest to jeden z najbardziej godnych podziwu artystów, przeżyłem z nim cudowne godziny. Czci Mozarta i zna wszystkie jego opery na pamięć". Istotnie Delacroix był wyjątkowo muzykalną naturą. Jako taki, wyrażał się o swym *ami angélique,* jak nazywał Chopina: „Quel charmant génie!" Jeden ze swych listów do Chopina, z którym korespondował czasami, zakończył Delacroix takim dowcipem: „Vous qui méritez des autels et *un hôtel* que je nous souhaits à nous deux". Wszystko to dowodziło, że między wielbicielami Chopina, których niebawem miał tylu, może pierwsze miejsce zajmował Delacroix.

Już to wielbicieli przybywało mu z dniem każdym, a wielu rekrutowało się i z pomiędzy największych sław literackich i artystycznych francuskich, z którymi się poznawał głównie przez Berlioza i Liszta. Nie wszystkich lubił jednakowo, jak n. p. Wiktora Hugo, którego mimo jego sławy jakoś nie mógł traktować na seryo; niektórzy, choć z nimi pozostawał na przyjacielskiej stopie, byli mu dość obojętni w gruncie rzeczy, jak n. p. Sainte-Beuve; ale za to nie brakło i takich, dla których miał wiele sympatyi. Do tej ostatniej kategoryi należeli w pierwszym rzędzie: poeta Alfred de Vigny, dziennikarz Jules Janin, dramaturg Ernest Legouvé,[1]) rzeźbiarz Bovy, aktor Boccage.

---

[1]) Legouvé w swych Soixante ans de Souvenirs tak pisze o swem poznaniu się z Chopinem: „Chodź pan — rzekł raz do niego Berlioz na początku lat trzydziestych — pokażę panu coś, czegoś nigdy nie widział, i kogoś, kogo nigdy nie zapomnisz". Tem czemś i tym kimś był właśnie Chopin.

Jeszcze nie upłynęło cztery miesiące od chwili, gdy Chopin znalazł się na bruku Paryża, a już, jak sam to w swym liście do Wojciechowskiego z d. 25. grudnia 1831 r. stwierdzał, zdołał sobie wyrobić „znaczne imię“ w paryskim świecie muzycznym. Zdawałoby się więc, że powinien być rad z siebie, że powinien być pełnym optymizmu, że na życie powinien się zapatrywać różowo, że powinien czuć się szczęśliwym i w dobrym humorze. Tymczasem miało się całkiem przeciwnie. Choć listy, które pisywał do rodziny, były pełne facecyi, to jednak nastrój, w jakim się znajdował, był raczej smętny i smutny, niż wesoły. Do domu nie pisał o tem, ale przed Wojciechowskim nie robił tajemnicy, że mu było smutno, że mu we znaki dawała się szalona tęsknota, że choć nie miał wyraźnych powodów do skarg, to jednak przez to, że poskarżyć się nie miał komu, czuł się nieszczęśliwym i osamotnionym. Choć cieszył się ogólną sympatyą, choć znalazł ludzi, którzy mu wiele okazywali życzliwości i przyjaźni, to przecież on nie miał takiego usposobienia, żeby przed każdym zwierzać się ze swych bolów i spleenów. Takiego przyjaciela, jak Wojciechowski lub Matuszyński, jeszcze tu nie znalazł, ani pośród swoich, ani wśród obcych. A przytem ze zdrowiem był niedobrze... Ztąd, gdy przyszło Boże Narodzenie, już drugie, które spędzał na obczyźnie, nie mógł się opędzić dojmującemu smutkowi. Wprawdzie i wilię i święta spędził w licznem gronie ziomków, tak, że mógł mieć wrażenie, iż znajduje się w kraju, między swoimi, ale ci swoi, to jednak byli ludzie obcy. Dlatego, kiedy w pierwsze święto Bożego Narodzenia, korzystając z wolnej chwili, zasiadł do pisania listu do Wojciechowskiego, pod pióro cisnęły mu się same smutne myśli. Oto niektóre z nich: „Ach, jakże bym chciał ciebie mieć przy sobie. Nie uwierzysz, jak mi tu smutno, że nie mam komu się wyjęczyć. Wiesz, jak łatwo zabiorę znajomość, wiesz jak lubię towarzystwo ludzkie, więc też takich znajomości mam po uszy; ale z nikim, z nikim westchnąć nie mogę. Jestem zawsze, co się tyczy uczuć, w synkopach. Dlatego męczę się, i nie uwierzysz, jak szukam jakiej pauzy, to jest samotności, żeby do mnie cały dzień nikt nie zajrzał, nikt nie zagadał...“ „W tej chwili odbieram twój list... przenoszę się jeszcze bardziej myślą do Ciebie, biorę Cię za rękę i płaczę... Kiedyż my się zobaczymy?... Może wcale nie, bo seryo mówiąc, zdrowie moje nędzne. Wesoły jestem powierzchownie, szczególniej, gdy się znajduję pomiędzy swojemi, ale wewnątrz coś mnie morduje. Jakieś przeczucia niedobre, niepokój, złe sny, albo bezsenność, tęsknota, obojętność na wszystko·

chęć życia, to znów chęć śmierci. Czasami jestem, jak w odrętwieniu umysłu; czuję jakiś błogi spokój w duszy; pamięć nasuwa mi obrazy, od których uwolnić się nie mogę, i to mnie dręczy nadzwyczajnie. Jednem słowem, miotany jestem mieszaniną trudnych do opisania uczuć...“ Wskutek tego, ile razy był sam, czuł się nieszczęśliwym. Czego mu brakło? Niekiedy sam by nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Wszak, jak na początek, wiodło mu się wcale nie źle; a przytem był w centrum sztuki, na wielkim świecie, w stolicy cywilizacyi. Wszystko to przyznawał, a jednak tęsknił i miał chwile zwątpienia. „Mnie tutaj los zapędził — pisał niedawno do Wojciechowskiego — oddycha się swobodnie, ale może też dlatego więcej się wzdycha!“ On wzdychał więcej, niż go posądzano o to, a jeśli mu z piersi tak często wyrywały się westchnienia, to ich głównym powodem był niezawodnie ten, że — jak powiada Byron o Childe Haroldzie — „nie miał serca, przed którem mógłby wylać swoje“.

IV.

W liście do Elsnera z d. 14. grudnia 1831 r. pisał mu Chopin między innemi: „Rodzice zapewne Panu powiedzą o odłożeniu mego koncertu na 25. (grudnia). Mam wielką biedę z układaniem onego i żeby nie Paër, Kalkbrenner, a szczególniej Norblin, który się Panu ślicznie kłania, nie mógłbym dać w tak krótkim czasie (oni to mało 2 miesiące na Paryż rachują). Baillot, bardzo grzeczny i przyjemny, gra kwintet Beethovena i Kalkbrenner ze mną Duo z akompaniamentem 4 fortepianów“. Obszerniej o tym projektowanym koncercie rozpisał się Chopin dwa dni przedtem w liście do Wojciechowskiego: „Daję koncert 25. grudnia. Baillot, ów rywal Paganiniego, Brodt, sławny oboista, przyjmą w nim udział. Ja grać będę mój F-moll Koncert, Waryacye B-dur, na które odebrałem przed paru dniami z Kassel od jednego Niemca, rozentuzyazmowanego temi waryacyami, dziesięcio-arkuszową recenzyę; gdzie po ogromnych przedmowach, przystępuje do rozbioru onych, takt w takt. Tłumaczy, że to nie są Waryacye, jak każde inne, tylko, że to jest fantastyczne *tableau*. Na drugą waryacyę mówi: że Don Juan z Leporellem biega, na 3-cią, że ściska Zerlinę, a Masetto w lewej ręce się gniewa, na Adagio 5-ty takt powiada, że Don Juan ca-

łuje Zerlinę w Des-dur!... Dziwna zaprawdę imaginacya recenzenta, który się uparł koniecznie, aby to drukować w *Revue musicale*, w dzienniku szwagra jego, Fetisa. Poczciwy Hiller ledwo mię od tego uchronił, mówiąc temu panu szwagrowi, że to zamiast być mi pomocnem, może tylko zaszkodzić.[1]) Lecz wracam do koncertu. Oprócz F-moll i Waryacyi gram z Kalkbrennerem Duo jego, czyli *Marsza Suivie d'une Polonaise* na 2 fortepiany z akompaniamentem 4 innych. Jest to szalona myśl. Jeden jest ogromny fortepian, który się Kalkbrennerowi należy, a drugi malutki, monokordny, ale donośny, jak dzwoneczki, co dla mnie przeznaczony. Na czterech zaś innych dużych, głośnych, jak orkiestra, grać będą: Hiller, Osborne, Stamaty i Sowiński... Pomagają mi jeszcze w koncercie Norblin, Vidal i sławny altowiolista Urhan. Bilety plusują się. Śpiewaczki najtrudniej było dostać. Rossini byłby mi której z opery pozwolił, gdyby sam mógł to uczynić bez pana Roberta, drugiego dyrektora, który, wiedząc, że jak raz pozwoli, to na 200 lub 300 podobnych próśb narażonym będzie (ostatecznie nie pozwolił)". Ale w końcu znalazły się dwie śpiewaczki, panie Isambert i Tomeoni, a nawet i śpiewak, p. Boulanger, którzy przyrzekli swój „łaskawy współudział" dla wypełnienia części wokalnej. Ale pomimo tak wpływowych protektorów, jak Rossini, Kalkbrenner, Baillot i inni, jeszcze i 25. grudnia koncert nie mógł dojść do skutku. Stało się to możliwem dopiero po upływie dwóch miesięcy, d. 25. lutego 1832 roku. W ciągu tego czasu kilkakrotnie zmieniał się komplet pianistów, mających zasiąść do owych czterech „głośnych jak orkiestra" fortepianów. Tak n. p. w połowie stycznia miał być jednym z nich Mendelsohn, lecz projekt ten spełzł na niczem.[2])

---

[1]) Pisze to Chopin jakby z ironią, jakby mu ta „poczciwość" w tym razie wydała się trochę podejrzaną. Waryacye zasługiwały na taki entuzyazm, a gdy o nim z niemniejszym entuzyazmem pisał Szumann i inni, wcale to Chopinowi nie zaszkodziło. Bądź co bądź, Hiller tu zbyt się okazał przezornym... A Chopin możeby nic nie miał przeciwko ogłoszeniu tej recenzyi w „Revue musicale", gdzie Fetis może by je wydrukował, gdyby nie Hiller, który mu to potrafił wyperswadować.

[2]) W liście do rodziny z d. 14. stycznia 1832 r. pisze Mendelsohn: „Nächste Woche ist ein Concert eines Polen: in dem muss ich (a więc nie z wielką ochotą!) ein sechspersönliches Stück mit Kalkbrenner, Hiller und Comp. spielen; erschreckt also nicht, wenn Ihr irgendwo meinen Namen geradebrecht seht..." Skończyło się na tem,

Po takich krokach przedwstępnych,[1]) po rozprzedaniu prawie wszystkich biletów (po 10 franków), z których znaczną wię-

że go zastąpił Stamati. Ale na programie figuruje jeszcze Mendelsohn. Oto odnośny numer programu: „Deuxième partie. 1° Grande Polonaise, précédée d'une Introduction et d'une Marche, composée pour dix Pianos par M. Kalkbrenner, et exécutée par Messieurs Kalkbrenner, Mendelsohn-Bartholdy, Hiller, Osborne, Sowiński et Chopin. Dziwna rzecz, że gdy Mendelsohn nie dopisał, Chopin musiał zwrócić się do Stamatiego, a nie do Liszta...

[1]) Ja dalece były czynione starania, żeby ten koncert mógł mieć powodzenie materyalne, a więc, żeby się odbył przy pełnej sali, pozwala się domyślać notatka dziennikarska, przeznaczona dla dziennika Le Temps, w którym jednak nie została pomieszczona. Chodziło o to, ażeby tym koncertem zainteresować publiczność francuską. W tym celu zredagowali przyjaciele Chopina — z kasztelanem Platerem na czele — następujący artykulik, który istotnie mógł się stać niezłą reklamą, gdyby nie redaktor dziennika, który się nie zgodził na jego zamieszczenie. Artykulik — którego autograf zachował się w zbiorach Biblioteki polskiej w Paryżu — brzmiał jak następuje: „Si l'encouragement des beaux arts est un des plus nobles usages que l'on puisse faire des faveurs de la fortune, combien la puissance que l'on se prouve par ce moyen n'est elle pas rehaussée, si l'on peut en même temps faire un acte de générosité Nationale et s'associer à une sympathie qu'eprouve tout un grand peuple. La chute deplorable de Varsovie qui a fait crouler tout l'Edifice social de Pologne, qui a couvert de deuil tout ce pays, brillant naguères de tout l'éclat de l'héroisme et de la gloire, cette chute a entrainé celle des toutes les familles, de toutes les existences particulières. Dans ce nombre se trouve atteint un jeune artiste Polonais d'un talent distingué, Mr. Chopin. La France un jour preta ce nom à la Pologne. La Pologne le presente aujourd'hui à la France. Mr. Chopin donnera jeudi prochain à 2 heures après midi rue Cadet N-ro 9 un concert de Piano. Des improvisations du jeune Polonais retraceront sur des thèmes prix dans la musique nationale et les chants qui ont fait affronter aux braves defenseurs de la Patrie tous les dangers d'une lutte inegale et les douces joies d'un espoire trompeur et la complainte qu' inspire à toute âme bien née le sort présent de la Pologne. Nous ne doutons pas que le nombre des auditeurs qui rempliront la salle Pleyel Rue Cadet 9 jeudi prochain ne prouve encore une fois, combien est vive, sincère et genereuse la sympathie, que les Francais eprouvent pour leurs anciens frères d'armes, pour leurs emules en amour des arts, de la gloire et de la liberté". Autograf niniejszy, przeznaczony „pour Monsieur le Redacteur du Temps", jest opatrzony następującym dopiskiem Ludwika Platera: „O pierwszem wystąpieniu Chopina w Paryżu".

O wiele względniejszym i usłużniejszym, aniżeli „Monsieur le Redacteur du Temps" okazał się Monsieur le Redacteur de la Revue Musicale, życzliwie dla Chopina usposobiony Fétis, który w swem

kszość rozebrali Polacy, tudzież po rozdaniu bardzo wielkiej ilości biletów gratisowych, które wraz z zaproszeniem otrzymali liczni przedstawiciele świata muzycznego, artystycznego, literackiego i dziennikarskiego, d. 26. lutego o godzinie 8-ej wieczorem odbył się zapowiedziany koncert de M. Frédérick Chopin de Varsovie, koncert, który go odrazu postawił między najpierwszymi pianistami świata. Gra Chopina, zarówno jak i jego kompozycye, wy-

---

pismie, w N-rze 48 z d. 7. stycznia 1832, w taki sposób, na tydzień przed tym koncertem, pisał o nim: „Un grand concert sera donné le 15 par M. Frederick Chopin, de Varsovie, dans les salons de M. Pleyel. MM. Baillot, Vidal, Norblin, Tilman et Urhan executeront un quintetto de Beethoven. Mais ce qui doit surtout piquer la curiosité, c'est une grande polonaise, composée par M. Kalkbrenner, et executée par l'auteur, MM. Mendelsohn, Hiller, Osborne, Sowiński et Chopin, sur six pianos. On trouve des billets chez les principaux marchands de musique". W tydzień później, w przeddzień koncertu, czytelnicy Revue musicale wyczytali o nim, co następuje:

„Le temps est fertile en concerts... Demain dimanche (15) à huit heures du soir, concert de M. Chopin, de Varsovie, dans les salons de MM. Pleyel et Comp. rue Cavet, N-ro 9.

Le programe de celui-ci a de quoi piquer la curiosité des amateurs de bonne musique; il est composé des morceaux suivants:

1. Quintetto de Beethoven, executé par MM. Baillot, Vidal, Urhan, Tilmant et Norblin;
2. Duo chanté par M-elles Tomeoni et Isambert;
3. Concerto pour piano, composé et executé par M. F. Chopin.
4. Air chanté par M-elle Tomeoni.

Deuxieme partie.

1. Grande polonaise precedée d'une introduction et d'une marche, composée pour six piano, par M. Kalkbrenner, et executée par MM. Kalkbrenner, Mendelsohn-Bartholdy, Hiller, Osborne, Sowiński et Chopin.
2. Air chanté par M-elle Isambert.
3. Solo de hautbois par M. Brod.
4. Grandes variations brillantes sur un thême de Mozart, composées et executées par M. Chopin.

On trouve des billets aux magazins de musique de MM. Schlesinger, rue de Richelieu N-ro 97; I. Pleyel et Comp., Boulevard Montmartre; Pacini, Boulevard des Italiens; Lemoine, rue de l'Echelle.

NB. Dziwna rzecz, Niecks pisze w swej książce o Chopinie, że programu tego koncertu nie udało mu się odszukać. Czyżby go nie szukał w Revue musicale? Oryginalny program tego koncertu znalazł się między papierami po Chopinie. Ogłosił go M. Karłowicz na str. 184 swej cennej pracy.

wołały zdumienie wśród słuchaczów. Sala trzęsła się od oklasków, a między najgłośniej klaszczącymi nie brakło i takich pianistów jak Liszt i Mendelsohn.[1]) Wszyscy się rozeszli pod najlepszem wrażeniem, rozentuzyazmowani, a i sam Chopin musiał być zadowolony pod każdym względem: nie tylko z powinszowań, z któremi przyjaciele cisnęli się do niego, ale nawet i z rezultatu pieniężnego, bo mu koncert bądź co bądź przyniósł znaczny dochód. Co prawda, koszta były prawie żadne, bo salę miał darmo, a wszyscy uczestniczący artyści popisywali się po tej samej cenie. Słowem udało się wszystko. Szczególniej cieszyli się przyjaciele Chopina, ci prawdziwi przyjaciele, którzy mu nie zazdrościli. Bo byli i tacy, którym ten koncert dał wiele do myślenia... o sobie, a którzy tem samem mogli być trochę zaniepokojeni tym nadzwyczajnym sukcesem młodego Polaka. Antoni Orłowski, który, jako skrzypek, nie potrzebował zazdrościć Chopinowi, tak pisał d. 9. marca 1832 r. do rodziców swych o tym koncercie: „Drogi nasz Fryderyk dał koncert, który mu przyniósł wielką reputacyę i trochę pieniędzy. Wszystkich tutejszych fortepianistów zabił na śmierć, cały Paryż ogłupiał. Zresztą ja mu to prorokowałem, jak tylko przyjechał". Liszt, który właśnie należał do tych „zabitych na śmierć", tak z czasem pisał o tym koncercie Chopina: „Pamiętam dobrze pierwszy jego popis w salonach Pleyela. Grzmiące oklaski, jakiemi go wtedy powitano, nie wydały mi się jeszcze dostatecznem uznaniem dla tego samorodnego talentu, który w dziedzinie uczucia poetycznego tak cudowne porobił odkrycia, a sztukę na tak nieznane dotąd pchnął tory. Zupełne to na pierwszym zaraz wstępie zwycięstwo, wbrew zwyczajnym w takich razach kolejom, ani go olśniło, ani upoiło: nagrodę swoją przyjął bez dumy, ale też i bez fałszywej skromności: słusznie mu się należała, więc też z jej powodu, jak czynić zwykli tylko trafu ulubieńcy, w dziecinną próżność się nie wzbijał". Co najważniejsza, i na czem Chopinowi z pewnością zależało najbardziej, to, że krytyka w zupełności stwierdziła pochwałę Orłowskiego, że odrazu po tym koncercie witała w Chopinie „jedną z najświetniejszych gwiazd świata artystycznego i pianistę, który tak w pogłębieniu techniki fortepianowej, jako też w poezyi muzycznej wzniósł się nad wszystkich swych współzawodników".

---

[1]) Mendelsohn, choć tak gorąco oklaskiwał Chopina, nic o tym jego pierwszym koncercie nie napisał w listach do rodziny.

W podobnym duchu rozpisał się o tym koncercie Fetis w swej *Revue musicale* z d. 3. marca 1832 r. Według niego był to jeden z najświetniejszych koncertów w całym sezonie zimowym. Oto niektóre główniejsze ustępy z jego obszernego sprawozdania: „Mamy tu do czynienia z młodym człowiekiem, który się poddaje swym wrodzonym popędom, a nie biorąc sobie nikogo za wzór, znalazł coś zupełnie nowego, a w każdym razie cząstkę tego, czego tak długo szukano daremnie, mianowicie, obfitość oryginalnych myśli, których pochodzenia nigdzie wskazać niepodobna. Nie chcemy utrzymywać przez to, że pan Chopin jest obdarzony potężną organizacyą jakiegoś Beethovena, albo żeby w jego muzyce znajdowały tak tytaniczne rzuty, jak w dziełach tego mistrza. Beethoven pisał utwory na fortepian, lecz mnie tu chodzi o muzykę fortepianową, a skoro się przyłoży tę miarę, to w utworach pana Chopina widzę oznaki rzeczywistego postępu, który z biegiem czasu w tej dziedzinie sztuki znaczny może wywrzeć wpływ“. Co się tyczy Koncertu F-moll, to słuchacze — zdaniem Fetisa — byli nim „zdumieni i przyjemnie zaskoczeni, zarówno nowością melodyi i rodzajem pasażów, jak modulacyami i charakterem motywów“. „Jest dusza w tych melodyach, jest fantazya w tych pasażach, a wszędzie jest oryginalność. Zbyt bujna modulacya, oraz pewien nieład w powiązaniu motywów, tak, że chwilami ma się wrażenie, że się słucha improwizacyi, a nie kompozycyi, oto jedyne braki, które się dają zauważyć obok już podniesionych przymiotów. Lecz braki te na razie pozostają w zawisłości od wieku artysty; znikną one przy dojrzalszem doświadczeniu. Jeśli późniejsze dzieła pana Chopina odpowiedzą jego debiutowi, to nie może ulegać wątpliwości, że dojdzie on do świetnej i dobrze zasłużonej sławy. Również i jako wirtuoz zasługuje młody artysta na pochwały. Gra jego jest elegancką, lekką, pełną wdzięku i odznacza się blaskiem i czystością. Można mu zarzucić, że nie dobywa dosyć tonu z instrumentu, pod którym to względem jest podobny do większości pianistów niemieckich: atoli można być pewnym, że w tym kierunku jego sztuki zwrócone studya pod przewodem Kalkbrennera, ułatwią mu przyswojenie sobie tej zdolności, od ktorej nerw wykonania zależy i bez której dźwięczność instrumentu nie może dowolnie być zmieniana.“

Nie wszyscy jednak podzielali to zdanie Fetisa, albowiem — jak to stwierdza Hiller — po tym koncercie „nie było już mowy o jakichkolwiek brakach techniki“. Zdaje się, że potrosze i sam Kalkbrenner zaczynał być tego zdania, uznał bowiem, że po zu-

pełnie wyjątkowym tryumfie, jaki Chopin odniósł na tym koncercie, i jako pianista, i jako kompozytor, dalsze „lekcye", choćby u takiego mistrza, jak Kalkbrenner, naprawdę były zbyteczne. A że i Chopin już miał dosyć tej nauki, więc choć nie przestał bywać częstym i mile widzianym gościem w domu Kalkbrennerów, to jednak przestał tu przychodzić, jako uczeń, a przychodził jedynie, jako kolega, jako przyjaciel. W tej przyjaźni, na której dnie było wiele wdzięczności za okazaną i niekłamaną życzliwość, nie ostygł nigdy i jak mógł, dawał jej dowody. [1])

F. Hoesick.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) O serdecznym stosunku przyjaźni, która Chopina łączyła z Kalkbrennerem, najlepiej świadczą listy tego ostatniego do Chopina, ogłoszone w książce M. Karłowicza.

Szkoły i wychowanie polskie na emigracyi ekonomicznej.

I.

Oświata szkolna Polonii północno-amerykańskiej.

TREŚĆ. 1. Organizacye polityczne. — Rozbicie Polonii północno-amerykańskiej na dwa stronnictwa i liczne grupy. — Stwarza to niepomyślne warunki dla rozwoju oświaty. — Liczebny i ekonomiczny stan Polonii północno-amerykańskiej.

2. Niebezpieczeństwo wynarodowienia. — Wynaradawianie przez Kościół. — Obojętność Komitetów dyecezyalnych. — Stanowisko rządu wobec działań oświatowych.

3. Ofiary Polaków Ameryki północnej na cele oświaty narodowej. — Powody budowania własnych szkół. — Budowa kościoła i szkoły to pierwsza akcya zbiorowa nowej parafii.

4. Inicyatywa i kierownictwo akcyi szkolnej. — Proboszczowie. — Stowarzyszenia świeckie. — Działalność Związku Narodowego Polskiego. — Zgromadzenia zakonne. — Szkoły polskie północno-amerykańskie są w rękach duchowieństwa. — Pewna rezerwa w sprawach szkolnych sfer liberalnych.

5. Brak funduszów i brak nauczycieli ukwalifikowanych. — Warunki kształcenia sił nauczycielskich. — Główna część sił nauczycielskich to

Siostry zakonne. — Siostry Felicyanki. — Siostry Nazaretanki i ich wyższa szkoła żeńska. — Polskie Siostry szkolne św. Józefa i ich Akademia. — Statystyka sił nauczycielskich.

6. Publiczne szkoły amerykańskie a polskie szkoły parafialne. — Języki wykładowe w szkołach parafialnych polskich. — Program nauki i jej rozdział na 8 stopni (grade). — Program nauki języka polskiego i wykaz używanych do niej podręczników. — Rok szkolny. — Nauka dwurazowa.

7. Najstarsze szkoły parafialne polskie północno-amerykańskie. — Liczba szkół parafialnych polskich. — Ilość dzieci w szkołach. — Rezultaty nauki szkolnej nie całkiem pomyślne. — Wobec przymusu szkolnego mały procent analfabetów. — Prawo ochronne pracy dzieci. — Mały udział dzieci polskich w wyższem wykształceniu elementarnem. — Obraz wykształcenia szkolnego przeciętnego dziecka polskiego północno-amerykańskiego. — Smutne następstwa małego wykształcenia. — Przyczyny lekceważenia wykształcenia elementarnego przez Polaków. — Jasne punkty w obrazie.

8. Mały procent Polaków północno-amerykańskich szuka nauki w wyższych szkołach. — Mała liczba zakładów polskich stopnia wyższego. — Polskie seminaryum duchowne w Detroit. — Historya jego powstania. — Organizacya. — Rozwój. — Jezyki wykładowe. — Grono profesorskie. — Znaczenie zakładu. — Z życia założyciela ks. Dąbrowskiego.

9. Wyższa szkoła polska OO. Zmartwychwstańców w Chicago. — Kolegium św. Stanisława Kostki tychże Ojców w temże mieście. — Organizacya jego. — Program naukowy. — Kollegia amerykańskie a nasze szkoły średnie. — Języki wykładowe. — Środki naukowe. — Warunki przyjęcia. — Grono profesorów. — Prawo udzielania stopni. — Internat. — Opłaty. — Organizacye młodzieży w obrębie szkoły. — Stowarzyszenie byłych uczniów. — Statystyka uczniów. — Znaczenie zakładu i zasługi OO. Zmartwychwstańców.

10. Młodzież polska północno-amerykańska w uniwersytetach i wyższych szkołach technicznych. — Zasługi Związku narodowego polskiego.

11. Polacy w Kanadzie.

1. Fale emigracyi politycznej z r. 1831 popłynęły aż do Ameryki północnej.

W r. 1842 partya byłych żołnierzy powstania listopadowego założyła w Nowym Yorku „Stowarzyszenie Polaków w Ameryce“, które jednak wnet upadło.

W dziesięć lat później w r. 1852 zawiązała się druga organizacya p. n. „Towarzystwo Demokratyczne Wygnańców Polskich w Ameryce“ i dawała znaki życia do roku 1858.

Po upadku powstania styczniowego przybyły nowe zastępy wychodźców politycznych.

Emigracya dla chleba czyli ekonomiczna na małą skalę sięga początku drugiej połowy XIX. wieku. Około r. 1856 powstały pierwsze kolonie w stanie Texas. Założyli je emigranci z Górnego Śląska.

Emigracya rekrutowała się w ogromnej większości z ludu roboczego. Była to ludność uboga, która szukała polepszenia bytu materyalnego. Wielu wybierało się do Ameryki na pewien przeciąg czasu, aby wrócić do stron rodzinnych po zebraniu trochę grosza na zakupno kawałka gruntu lub na spłacenie długów. Około roku 1870 zaczęła emigracya polska do Ameryki północnej przybierać szersze rozmiary. Emigranci osiedlali się w coraz to większej liczbie po miastach, gdzie ich jest obecnie już bardzo wiele. W Chicaga jest obecnie około 250 tysięcy Polaków.

Pierwszem towarzystwem politycznem i narodowem w tej epoce była „Gmina polska“, założona w Chicago r. 1866. Pamiątkowym zabytkiem jej żywota pozostała do dziś jeszcze w Chicago istniejąca Gmina polska nr. 1.

Liczba wychodźców ekonomicznych rosła: tworzyły się coraz to nowe stowarzyszenia.

W r. 1870 zorganizowano w Nowym Yorku „Zjednoczenia Polaków w Ameryce“. Związek ten przestał istnieć już około r. 1874.

W tym samym roku dn. 22. lutego ukazał się w Washingtonie pierwszy numer „Orła polskiego“, pierwszego czasopisma w Ameryce.

„Orzeł“ upadł, a miejsce jego zajęła r. 1873 „Gazeta polska“ w Chicago, do roku 1881 przewodniczka i zwierciadło ruchu narodowego polskiego w Ameryce północnej.

W r. 1881 zastąpiła pod tym względem Gazetę „Zgoda“, organ Związku Narodowego Polskiego, ale Gazeta utrzymała się i nadal.

W opozycyi przeciw organizacyom narodowo-liberalnym zaczęły powstawać organizacye narodowo-katolickie, a z niemi nowe czasopisma jak n. p. „Gazeta katolicka“, organ OO. Zmartwychwstańców.

Także w opozycyi do liberalizmu zorganizowało się w roku 1873 w Detroit „Zjednoczenie Rzymsko-katolickie polskie“, postawiwszy sobie między innemi za cel budowę szkół wyższych, założenie seminaryum, wogóle działanie na polu wychowania. Stowarzyszenie to nie rozwijało się z powodu nieporozumień pomiędzy klerem świeckim a Zmartwychwstańcami.

A znów w opozycyi do „Zjednoczenia“ wyłonił się w roku 1880 „Związek Narodowy Polski“, który dotąd istnieje, skupiając w sobie znaczną liczbę towarzystw. W r. 1905 liczył Związek około 43.000 członków.

Przeciw Związkowi od samego jego początku zwróciła się władza duchowna amerykańska jako instytucyi, jak ją nazwała, masońskiej, stanęli także do walki przeciw niemu OO. Zmartwychwstańcy.

Do zwalczania Związkowych wystąpiło „Centralne Zjednoczenie Polaków w Ameryce“, do którego mogli należeć tylko Polacy-katolicy. Centralne Zjednoczenie z siedzibą w Chicago było poniekąd wskrzeszeniem a raczej dalszym ciągiem dawnego Zjednoczenia.

Polonia Ameryki północnej rozdarła się zatem na dwa wielkie stronnictwa, na narodowo-liberalne i na narodowo-katolickie. Z stowarzyszeń narodowo-katolickich zasługują jeszcze na wzmiankę „Unia Polska“ i „Liga polska“.

W obrębie obu wielkich partyi, na które się Polonia amerykańska podzieliła, istnieją mniejsze lub większe grupy o mniej lub więcej skrajnych lub umiarkowanych odcieniach i zabarwieniach. I partye i grupy okazują sobie wzajemną nieufność i starają się pewną wyniosłością i zamknięciem w sobie oddzielić się od niemiłych sobie prądów i osobników. Ta wzajemna nieufność, to wewnętrzne rozdarcie i wzajemne zwalczanie się stwarza dla dzieła oświaty szkolnej niepomyślne warunki, bo chociaż każda partya, każda grupa na własną rękę stara się o szkoły i naukę szkolną, to jednak z powodu rozdrobnienia sił i funduszów a nie-

kiedy i wzajemnego zwalczania się, rezultaty działania muszą być małe.

A jednak Polonia amerykańska mogłaby przy większem skupieniu sił i większej jedności zdziałać na polu oświaty więcej nierównie, aniżeli dotąd zrobiła, bo jest i liczebnie dość silną i ekonomicznie, na ogół biorąc, dość zasobną i w przeważnej części skupioną w większe ogniska gminne i parafialne.

Ks. Kruszka obliczył w r. 1905 Polaków, zamieszkałych w samych Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej na 1,903.000.[1]) Byli rozrzuceni w 810 osadach polskich i skupieni około 517 kościołów polskich.[2])

Wartość ziemi, będącej w posiadaniu Polaków Stanów Zjednoczonych, wynosiła według rachunku wspomnianego autora w rzeczonym roku jeden miliard i pięćdziesiąt milionów koron, a wartość domów i placów trzy miliardy koron. Do tego trzeba dodać polskie zasoby w gotówce, w przedsiębiorstwach, sprzętach itd.

2. Różnice partyjne, ubezwładniające do pewnego stopnia szerszą akcyę szkolną Polonii północno-amerykańskiej, mają jednak silny wspólny hamulec w niebezpieczeństwach, grożących z różnych stron narodowości polskiej. Niebezpieczeństwa te widzą wszystkie partye i grupy i wobec nich niejednokrotnie jednoczą się do wspólnej akcyi.

Bo też szkoła narodowa polska jak wszędzie na obczyźnie, tak i tam w Stanach Zjednoczonych ma bardzo doniosłe znaczenie. Szkoła jest, obok kościoła z narodową służbą Bożą, główną ostoją i twierdzą przeciw wynarodowieniu.

A niebezpieczeństwo wynarodowienia jest w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej bardzo groźne wobec ogromnej przewagi ekonomicznej, kulturalnej i liczebnej żywiołu amerykańsko-angielskiego i wobec wybitnej jego ruchliwości i zachłanności.

Niebezpieczeństwo wynarodowienia zagraża z rozmaitych stron, a nawet i z tej, z której go się najmniej można było obawiać.

---

[1]) Cyfra ta jest dziś bezwarunkowo za niska i to znacznie. W samym roku 1907 przybyło do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej ze wszystkich trzech zaborów 138.033 Polaków.

[2]) Obecnie kościołów parafialnych polskich jest przeszło 600.

Na wiecu polskim w Chicago, odbytym dn. 1. stycznia roku 1901, stwierdzono fakt, że od pewnego czasu daje się zauważyć wśród wyższej hierarchii Kościoła rzymsko-katolickiego w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej dążenie do wprowadzenia kazań angielskich i nauki katechizmu w języku angielskim do kościoła i szkół, zbudowanych i utrzymywanych kosztem przedstawicieli różnych nieangielskich narodowości. Wykazawszy, iż już kilku biskupów wydało w tym kierunku listy pasterskie, wyraził wiec obawę, że mogą to samo uczynić i inni biskupi. i że przez to ludność polska narażonaby była na wynarodowienie. Wiecujący zajęli wobec tej tendencyi biskupów odporne stanowisko. Wyraziwszy należną cześć dla Stolicy apostolskiej i dla przedstawicieli jej w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, zwrócił się wiec do J. E. Delegata apostolskiego w Washingtonie i do propagandy Wiary świętej w Rzymie z prośbą i naleganiem, by, jak dotąd, tak i nadal w kościołach polskich kazania, śpiewy, modlitwy i obrzędy, a w szkołach parafialnych nauka katechizmu odbywały się jedynie w języku polskim i przez księży Polaków. Wiec wezwał jednocześnie wszystkie parafie polskie w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, aby wystąpiły w tym samym duchu i przesłały odnośne rezolucye do właściwych władz kościelnych.

Uchwały wiecu chicagowskiego zaakceptowało „Zjednoczenie rzymsko-katolickie polskie“. Silniejszej opozycyi przeciw uchwałom tego wiecu nie było.

Wiec chicagowski uświadomił w społeczeństwie polskiem Ameryki północnej potrzebę walki z nowym a poważnym przeciwnikiem, z duchem amerykanizmu, wdzierającym się w szeregi polskie przez Kościół.

Tą samą sprawą zajął się Kongres polsko-katolicki. zwołany w r. 1901 do Buffalo, oraz „Federacya Polaków katolików“, zawiązana nieco później.

Akcya obronna toczy się do tej chwili i nie ustanie widocznie, dopóki nie ustąpi niebezpieczeństwo.

W takich warunkach trudno się spodziewać życzliwego poparcia spraw szkół polskich w t. z. Komitetach szkolnych dyecezyalnych, złożonych z reguły z żywiołów niepolskich. A ingerencya tych Komitetów w sprawach szkolnych jest dalekonośna: One są po miejscowych proboszczach drugą wyższą władzą szkolną szkół parafialnych, one je wizytują, przeprowadzają w nich egzamina, załatwiają sprawy, dotyczące hygieny, dzierżą kontrolę nad kwalifikacyą pedagogiczną i fachową nauczycieli itd.

Ze strony rządu nie doznaje Polonia amerykańska, jak wogóle żadna narodowość żadnych zgoła przeszkód. Państwo nie pyta, kto i jak uczy, byle tylko uczył; wszelkie działania oświatowe są tam cenione bez względu na to, zkąd biorą początek. W Ameryce północnej panuje rzetelna wolność nauczania.

3. Społeczeństwo polskie Ameryki północnej a raczej jego więcej pod względem narodowym uświadomiona część, aczkolwiek rozbita na różne partye i grupy, oceniając należycie znaczenie własnej polskiej szkoły, nie szczędzi na nią ofiar i zabiegów.

Z obowiązku płacą Polacy jak wszyscy inni obywatele Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej podatek szkolny powszechny na utrzymanie publicznych szkół rządowych, z których mogą dowolnie korzystać. Utrzymywanie więc własnych szkół jest ofiarą i wysiłkiem, składanym na ołtarzu własnej wiary i własnej narodowości. Dwu tych haseł używają sfery kierujące, aby rozbudzić interes szkolny w szerokich masach.

Z dwu zatem powodów odciąga się dzieci polskie od amerykańskich szkół publicznych. Szkoły publiczne są bezwyznaniowe, niema w nich wykładu religii. Szkoły parafialne polskie mają charakter czysto katolicki i zaszczepiają zasady etyki katolickiej. Dzieci polskie, uczęszczające czy to z tych, czy z owych powodów do szkół rządowych, zarażają się bezwyznaniowością.

Drugim powodem jest wychowanie w duchu narodowym polskim. Szkoły parafialne polskie uczą języka polskiego i starają się wpoić w umysły młodociane dzieci ideały narodowe polskie, dążą do tego, aby ta młodzież czuła się polską przez całe swoje życie, by zawsze przy każdej nastręczającej się sposobności publicznie i śmiało przyznawała się przed społeczeństwem amerykańskiem do swego polskiego pochodzenia. Takiego wychowania dziecko polskie w szkołach publicznych niema i mieć nie może.

Zakładając z pobudek religijnych i narodowych własne szkoły, ponosi Polonia północno-amerykańska niemałe ofiary.

Ks. Wincenty Barzyński szacował w r. 1887 wartość samych budynków szkolnych na 500—600 tysięcy dolarów. A z początkiem wieku XX. wszystkie szkoły polskie wraz z domami Siostr nauczycielek przedstawiały już wartość około sześciu milionów dolarów.

W r. 1887 według obliczenia ks. Barzyńskiego płacili Polacy północno-amerykańscy pensyi nauczycielskich około 70.700 do-

larów. W r. 1901 wydali na pensye w szkołach parafialnych polskich dla 200 nauczycieli świeckich 140.000 dolarów a na utrzymanie 804 sióstr nauczycielek 160.000 dolarów czyli razem 300.000 dolarów, co czyni około $1^1/_2$ miliona koron. Szkoły parafialne nie mają osobnych dochodów, utrzymują się tylko z opłat szkolnych, składanych przez rodziców z reguły bardzo niskich (70 halerzy do 1 korony miesięcznie). Niektóre parafie są zamożne; większość jednak parafii jest mała lub niezagospodarowana a czasem i dobrze zadłużona.

Gdy się nowa parafia zorganizuje, to pierwszą jej wspólną troską jest, aby razem z kościołem a często i przedtem, zanim się budowa kościoła zacznie, wznieść szkołę, której budynek dzieli się na dwie części: na górną, gdzie się odprawia nabożeństwo, i na dolną, gdzie się uczą dzieci. Gdy się parafia zwiększy i gdy wybuduje osobny dom Boży, dawny budynek pozostaje na wyłączny użytek szkoły. Zamożne parafie budują wspaniałe, niekiedy bardzo wspaniałe i kosztowne gmachy szkolne.

Parafia polska św. Stanisława Kostki w Chicago Ill. z polskich największa, zbudowała sobie największą polską szkołę, do której uczęszczało około 4.000 dziatwy polskiej. Gdy szkoła ta w r. 1907 zgorzała, odbudowano ją na nowo kosztem 250 tysięcy dolarów. Szkoła ta mieści w sobie przeszło 50 obszernych klas.

4. Akcyą szkolną kierują w Polonii północno-amerykańskiej same parafie a względnie proboszczowie parafialni oraz rozmaite stowarzyszenia świeckie i zgromadzenia zakonne, których członkowie pełnią służbę duszpasterską po parafiach.

Proboszcz, niekiedy jedyny przedstawiciel inteligencyi w parafii, jest dla szkoły nieomal wszystkiem.

Pomyślny rozwój szkoły, pominąwszy kwestyę finansową, zależy w najgłówniejszej części od proboszcza. Proboszcz z tytułu stanowiska swego jest dla szkoły swej parafii: jej rzeczywistym dyrektorem i inspektorem i radą szkolną i niejednokrotnie w parafiach bardzo ubogich i nauczycielem, zgoła nieomal wszystkiem. Od proboszcza zależy cały system nauki w szkole, cały jej plan i siły nauczycielskie. To też, gdzie w parafii znajdzie się proboszcz gorliwy o oświatę szkolną, tam budzi się wśród parafian i większa ofiarność na cele szkoły i większe zrozumienie doniosłości nauki szkolnej, tam kwitnie ta nauka, jednem słowem szkoła prosperuje i spełnia należycie zadanie swoje.

Drugim ważnym czynnikiem siania oświaty szkolnej są rozmaite stowarzyszenia bądź polityczno-świeckie bądź zakonne.

Akcyę szkolną w wielkim stylu prowadzi „Federacya Polaków-katolików“. Referat Wydziału wychowawczego Federacyi, opracowany z jej polecenia na III. jej kongres jest wymownym dowodem jej troski o sprawy szkolne. [1])

Poza wielkimi związkami istnieją po parafiach rozmaite stowarzyszenia lokalne męskie i żeńskie, których wspólnym celem jest wierność dla wiary ojców, popieranie katolickich szkół. polskiego języka i bronienia się przed wynarodowieniem. Jak w kraju macierzystym tak i tu na emigracyi. identyfikuje ludność pojęcia „katolicki“ i „polski“. Wychodzi to na korzyść i Kościołowi i narodowości. W niektórych parafiach jest takich towarzystw bardzo wiele. W największej polskiej parafii św. Stanisława Kostki w Chicago jest ich przeszło 60.

Bardzo żywo zajmuje się oświatą szkolną „Związek Narodowy Polski“. Na IX. Sejmie swoim uchwalił zbieranie składek na seminaryum polskie w Detroit z tem zastrzeżeniem. że seminaryum to będzie przyjmowało także ubogich kandydatów.

Sejm XI. Związku z r. 1895 polecił, aby pod kontrolą Rządu centralnego związkowego powstał osobny Wydział oświaty. złożony z członków Związku. Wydziałowi temu polecono zorganizowanie Uniwersytetu ludowego na wzór takichże uniwersytetów amerykańskich, dalej zakładanie nowych i powiększanie dawnych czytelni ludowych. urządzanie popularnych odczytów. sprowadzanie pożytecznych książek. przedsiębranie tanich ludowych wydawnictw i wogóle gorliwe zabieganie około szerzenia oświaty wśród Polaków w Ameryce.

Wydział zorganizował się 3. paźdz. 1905 roku. W pierwszych dwu latach rozwinął energiczną działalność.

Już w r. 1895 zorganizowano Wszechnicę ludową, sprowadziwszy z Europy profesorów Kurcyusza i Siemiradzkiego. W kwietniu r. 1896 rozpoczęły się wykłady. Prócz wymienionych wykładali dr. Kodis, doktorka Kodisowa i Michnikowski. Wykłady nie miały powodzenia. Koszta były wielkie, a rezultat stosunkowo mały. Wszechnica ludowa upadła.

Równocześnie puścił Wydział oświaty Związku za przykładem amerykańskich towarzystw oświatowych w obieg po koloniach polskich biblioteczki wędrowne w liczbie 10 po 40 tomów oraz

---

[1]) Omawiam go szczegółowo w studyum p. t. „Literatura pedagogiczna polska na obczyźnie w dobie porozbiorowej“, drukującem się w „Szkole“, Lwów, 1909.

organizował tu i ówdzie odczyty. W następnych latach działał tylko za pomocą bibliotek wędrownych.

W dalszym toku akcyi nabrano przekonania, że najpotrzebniejszą sprawą dla dobra ogólnego jest rozdawnictwo stypendyów dla synów Związkowców, pragnących się kształcić. Zajął się tą sprawą sejm XIV. Związku z r. 1901. Teologów wykluczono od uczestnictwa w stypendyach. Od czasu zawiązania Wydziału oświatowego Związku, Wydział ten w ciągu pierwszych sześciu lat udzielił stypendyów 21 uczniom w kwocie 1.753 dolarów, a mianowicie 8 uczniom seminaryum polskiego w klasach gimnazyalnych, 2 uczniom tegoż seminaryum na kursie filozofii i 11 uczniom w rozmaitych szkołach publicznych. W r. 1908 zamienił Związek stypendya na pożyczki bezprocentowe.

Z zgromadzeń zakonnych najwięcej działają na polu oświaty szkolnej OO. Zmartwychwstańcy.

Na ogół biorąc, cała akcya szkolna w Polonii północno-amerykańskiej znajduje się w rękach duchownych. Wszystkie szkoły polsko-amerykańskie, oparte o kościoły parafialne, lub zgromadzenia zakonne mają kierownictwo duchowne i ogromną większość sił, dostarczonych im przez instytucye kościelne.

Ten stan posiadania nie da się prędko i łatwo zmienić. Trudno sobie wyobrazić instytucyę świecką dość bogatą, by mogła koloniom polskim dostarczyć potrzebnej im liczby szkół polsko-świeckich, a gdyby nawet znalazły się fundusze, to nie tak prędko zyskanoby dostateczną liczbę sił nauczycielskich świeckich, jaką Kościół rozporządza, mając do dyspozycyi jeżeli nie bezinteresowną, to w każdym razie ofiarną pracę zakonnic. Zresztą zeświecczenie szkół nie mogłoby się odbyć bez prawdziwej burzy, zamętu i walk w łonie społeczeństwa polskiego.

Ten stan rzeczy, ta silna pozycya Kościoła w dziedzinie szkolnictwa amerykańsko-polskiego, pozycya trudna do zdobycia, nie podoba się sferom polskim liberalnie usposobionym, które też, nie mając nadziei powodzenia w walce, gdyby ją podjęły, usuwają się od wspólnej pracy w dziedzinie szkolnictwa zwłaszcza początkowego, niewątpliwie z szkodą dla tej ważnej sprawy.

Stronnictwa postępowe objawiają więcej ochoty do podjęcia akcyi szkolnej w dziedzinie szkolnictwa średniego. Związek narodowy wciągnął ten program w zakres swego działania, ale go jeszcze nie przyoblókł w czyn. Sprawa zakładania szkół średnich należy w szkolnictwie amerykańsko-polskiem do szeregu najpilniejszych. Na dwumilionową ludność ma Polonia północno-ame-

rykańska dotąd zaledwie dwie szkoły średnie męskie, w których obecnie jest około 500 uczniów.

5. Społeczeństwo polskie północno-amerykańskie uświadomiło sobie dobrze już potrzebę tej akcyi, bo z nią wiąże się ściśle produkcya sił nauczycielskich i podniesienie poziomu ich wykształcenia. Niestety brak funduszów stoi na przeszkodzie tej tak ważnej akcyi. Niema dostatecznych funduszów ani na kształcenie sił nauczycielskich, ani na opłacanie fachowo wykształconych. I to jest jedna z największych bolączek szkolnictwa amerykańsko-polskiego, i ta bolączka jest też jednym z powodów, dlaczego szkoły amerykańsko-polskie, na ogół biorąc, stoją pod względem naukowym niżej od publicznych szkół amerykańskich, a nawet i od niektórych szkół prywatnych kolonistów amerykańskich innych narodowości.

Wynagrodzenie sił nauczycielskich w szkołach polskich nie jest unormowane, jest całkiem zależne od miejscowych funduszów. Na ogół biorąc, jest ono nienęcące i może wystarczyć tylko osobom mało od życia wymagającym, nieobarczonym rodziną. Przeciętna płaca Sióstr nauczycielek wynosi na miesiąc od 25 do 30 dolarów, a niejednokrotnie i tego nie otrzymują, kontentując się płacą 18 nawet dolarów miesięcznie, ucząc za to nieraz po 100 dzieci. W tych warunkach trzeba więc brać siły, jakie są i chcą uczyć. O wykwalifikowanych nauczycielach mogą myśleć tylko parafie zamożne, będące w możności przyznać im odpowiednią płacę.

Pewna liczba nauczycieli nadpłynęła z kraju macierzystego, z Galicyi i Wielkopolski, ogromna większość rekrutuje się z sił miejscowych, niekiedy bardzo dzielnych, niekiedy bez należytego wykształcenia.

Zbiorowo biorąc, stan nauczycielski polski w Ameryce wegetuje bardzo słabo: seminaryów nauczycielskich polskich należycie zorganizowanych niema, nauczyciele, sprowadzani z kraju macierzystego, gdzie ich zresztą także brak, byliby za drodzy, a ci, którzy sami przybywają, wnet porzucają swój zawód i szukają i znajdują popłatniejsze zajęcia. Trzeba więc szukać sił nauczycielskich zastępczych. A zapotrzebowanie sił nauczycielskich stało się bardzo wielkiem z chwilą, gdy po obudzeniu się nagłem ruchu narodowego polskiego w Ameryce zaczęto równocześnie zakładać po parafiach polskich liczne szkoły elementarne polskie.

Zakony żeńskie, zajmujące się nauczaniem, aby odpowiedzieć od razu bardzo silnemu i nie cierpiącemu zwłoki zapotrzebowaniu sił nauczycielskich, zmuszone były przyjmować wszystkie kandydatki, które tylko jakie takie miały powołanie, i odsyłać je na posterunki po doryweczem przygotowaniu. Te doryweczo przygotowane siły uczą po szkołach i dziś jeszcze. Obok nauczycielek zakonnych powierzano nauczanie organistom, z których nie wszyscy mieli odpowiednie kwalifikacye. Jak dawniej tak i obecnie uczą w ogromnej większości szkół nauczycielki zakonne. Te, jako nauczycielki, były niejednokrotnie srodze krytykowane. Zarzucano im brak wykształcenia. Zarzut ten, o ile dotyczył ogółu Sióstr uczących, był i jest niesłuszny, a w każdym razie niesprawiedliwy.

Jeżeli niektórym brakowało lub brakuje dostatecznego ukwalifikowania, to trzeba to przypisać brakowi środków i czasu, potrzebnych do należytego przygotowania. Szkoły polskie mnożyły się prędko, a dostatecznych sił nauczycielskich nie było i niema ich dotąd. Niejednokrotnie trzeba było latami czekać, aż zdołano wyprosić gdzieś w klasztorze nauczycielkę zakonnicę. Prawda, że nie wszystkie siły są dobre, ale gdyby ich nie było, to ktoby uczył dzieci polskie po polsku i rzeczy polskich. Tylko dzięki żelaznej i wytrwałej pracy zakonów żeńskich liczy Polonia Stanów Zjednoczonych setki nauczycielek Polek.

Zresztą materyał, z którego się siostry nauczycielki urabiają, jest bardzo surowy. Kandydatki pochodzą głównie z sfer włościańskich, z których emigracya składa się przeważnie. Trzebaby więc długiej pracy, aby z nich zrobić dobre nauczycielki.

Najstarszemi zakonnemi nauczycielkami są Siostry Boskiej Opatrzności, które zaczęły uczyć w szkołach polskich w Texas w r. 1872.

W dwa lata potem utworzył Zmartwychwstaniec ks. Feliks Zwiardowski odrębne polskie zgromadzenie Sióstr Niepokalanego Poczęcia, zwanych też Imakulatkami albo Aniołkami, zgromadzenie dziś już nieistniejące.

Dziś na ich miejscu prowadzą szkoły polskie w Texas Inkarnatki czyli Siostry Słowa Wcielonego. W r. 1901 było tych Sióstr Polek 17, a uczyły w sześciu texaskich szkołach około 1.180 dzieci.

W rzędzie najstarszych nauczycielek w szkołach polskich w Ameryce stanęły także Siostry Notredamki. Pierwszą szkołę objęły w Chicago w r. 1873. Na początku r. 1901 uczyły w 17 szkołach polskich 11.313 dzieci.

Od r. 1874 rozpoczęło skuteczną działalność pedagogiczną czysto polskie zgromadzenie Sióstr Felicyanek, które dziś prowadzi największą ilość szkół polskich. W r. 1901 uczyło 261 Felicyanek w 39 szkołach 17.822 dzieci polskich.

Siostry Felicyanki oddają się zawodowi pedagogicznemu z całem zamiłowaniem i prowadzą szkoły w sposób wzorowy. Pułkownik Zygmunt Miłkowski zwiedził w r. 1900 jedną z ich szkół w Detroit i nakreślił zajmujący jej obraz.

Budynek szkolny zdala uderza mile oko, jest duży i opasany murem.

Wewnątrz na schodach i korytarzach wszędzie zgoła panuje czystość wzorowa. Sciany jaśnieją białością niepokalaną. Na podłodze drewnianej, żółtawej barwy, wyszorowanej dobrze piaskiem, nie znajdziesz najmniejszej plamki. Korytarze są szerokie, jasne, bez cienia woni podejrzanej, chociaż w gmachu zgromadza się wielka ilość istot ludzkich. Dobrze urządzona wentylacya zrobiła tu swoje.

I w klasach zastano wzorowy porządek i czystość zarówno na przedmiotach martwych, jak istotach żywych. „Dziewczynki małe, — powiada Miłkowski — równie jak panienki w wieku podlotków, umyte, uczesane, ochędożnie odziane, a przytem zdrowo i czerstwo wyglądające, widokiem swoim prawdziwą sprawiały przyjemność“.

Nauka odbywała się w polskim języku. Miłkowski z rozkoszą przysłuchiwał się tam na ziemi angielsko-amerykańskiej szczebiotaniu dziewcząt i dziewcząteк, odpowiadających na stawiane im pytania, deklamujących wierszyki, śpiewających pieśni i piosenki narodowe polskie.

Ubranie ścian świadczyło, że w szkole uprawia się nauka poglądowa.

W jednej z sal oglądał Miłkowski mapę Polski przedrozbiorowej, w innej tablice chronologiczne historyi literatury polskiej. Pamiętając o praktycznym kierunku edukacyi, uczą Siostry Felicyanki rozmaitych robót ręcznych, n. p. robienia pończoch na maszynie.

Nie zapominają też i o wychowaniu fizycznem. W ogrodzie obszernym, przylegającym do klasztoru, pełnym drzew owocowych, wydzielono pewną obszerną przestrzeń do zabaw, gier i gonitwy w czasie rekreacyjnym dla dzieci. „Radował mnie — kończy Miłkowski sprawozdanie swoje — ich widok, widok matek przyszłych,

co dzieciom swoim będą w Ameryce po polsku kołysanki przyśpiewywały i po polsku do nich przemawiały i na Polaków ich wychowywały“.

Po Felicyankach co do liczby idą Siostry Franciszkanki. W r. 1901 liczył ten zakon 176 nauczycielek, uczących w 39 szkołach polskich 14.030 dzieci.

Od r. 1885 działa na niwie pedagogicznej polskiej drugie czysto polskie zgromadzenie Sióstr Nazaretanek, założone w roku 1874. Jak Felicyanki tak i one oddają Polonii północno-amerykańskiej znakomite usługi. W r. 1901 zakon ten miał w 16 szkołach polskich 112 nauczycielek, uczących 9.178 dzieci. Profesor Dunikowski, zwiedzając Amerykę, odzywa się o Siostrach Nazaretankach z pełnem uznaniem, podnosi ich wykształcenie, patryotyzm, poświecenie i skuteczną pracę. Zajmują się nauczaniem w szkołach parafialnych, a prócz tego założyły w r. 1892 w Chicago wyższą szkołę żeńską, pierwszą tego typu a tak niesłychanie dla Polonii północno-amerykańskiej potrzebną.

Nauczaniem zajmują się także, lecz na mniejszą skalę Benedyktynki, Józefinki, Zmartwychwstanki, Dominikanki, Urszulanki, Szarytki i Siostry św. Krzyża.

W r. 1901 powstało nowe zgromadzenie zakonne: Polskie Siostry szkolne św. Józefa z domem macierzystym w Stevens Point, Wis. Z początkiem r. 1903 Siostry te uczyły w 8 szkołach 4.280 dzieci.

Pomiędzy siłami nauczycielskiemi męskiemi szkół parafialnych mały procent należy do Zgromadzenia św. Krzyża.

W r. 1887 według obliczenia ks. Barzyńskiego było w Ameryce 257 nauczycieli i nauczycielek. Z nauczycieli świeckich tylko mała liczba miała fachowe wykształcenie: ogromna większość były to tak zwane „bożydudy“, to jest tacy, co zaledwie czytać, pisać i na organach dudlić potrafili.

Z początkiem roku 1901 w wszystkich szkołach polskich Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej było czynnych około 1.000 sił nauczycielskich, a mianowicie 200 nauczycieli świeckich i 804 Sióstr zakonnych. Nauczyciele świeccy mieli nie najgorsze wykształcenie seminaryjne; ucząc w szkołach, pełnili zarazem w znacznej części obowiązki organistów. Wykształcenie Sióstr nauczycielek było nierówne, w części wystarczające, w części niedostateczne.

6. Szkolnictwo polskie w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej jest dopiero w pierwszym stadyum swego rozwoju. Po-

lonia amerykańska musiała rozpocząć pracę szkolną *ab ovo*, musiała własnym wysiłkiem stworzyć wszystko. kraj macierzysty nie pospieszył jej z pomocą. Gdy się to uwzględni, to trzeba przyznać, że Polacy północno-amerykańscy w krótkim stosunkowo czasie w dziedzinie szkolnictwa dokonali mimo trudnych warunków rzeczy poważnych. W rozwoju szkolnictwa amerykańsko-polskiego widzimy powolny wprawdzie, ale ciągły postęp i mamy uzasadnioną nadzieję, że z biegiem czasu Polonia amerykańska nie tylko postawi nauczycielstwo na wysokości swego zadania. lecz uzupełni także dotkliwe obecnie jeszcze braki w organizacyi szkolnictwa.

Antoni Karbowiak.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JAWORÓW

monografia historyczna, etnograficzna i statystyczna.

Opis historyczny.

O początkach powstania Jaworowa nie podają nam źródła dziejowe żadnych wskazówek, giną one w pomroce zamierzchłej przeszłości, jak o setkach innych osad u nas i trudno podać w tym względzie coś stanowczego.

Utrzymuje się wprawdzie tradycya, że dzisiejsze miasteczko wzięło swą nazwę z l a s u j a w o r o w e g o, który miał się wznosić przed wiekami w miejscu, gdzie obecnie rozlega się obszerny staw, lecz na podobnych podaniach trudno polegać, zwłaszcza, że wszędzie występują one w sposób stereotypowy tam, gdzie brak istotnych podstaw historycznych do stwierdzenia prawdziwego źródła nazw pewnych miejscowości; wreszcie stawianie podobnych twierdzeń byłoby dorabianiem historyi do nazwiska. Wprawdzie wyprowadzenie nazwy Jaworowa od owego lasku zgadzałoby się ze zwyczajem przyjętym w Polsce, nazywania osad lub miejscowości według pewnych właściwości topograficznych, ale również i to najczęściej otrzymywały osady swoją nazwę albo od głowy rodu (patronimiczną), albo od osób, do których należały. W tym wypadku zdaje się prawdopodobniejszem, że pierwotna osada przyjęła nazwę od swego właściciela, jakiegoś „Jawora“, o których istnieniu na Rusi wspominają kroniki XIII. i XIV. wieku.

Że Jaworów co najmniej już w początkach XV. wieku stanowił zorganizowaną osadę, dowodzi dyplom Andrzeja z Szamotuł, kasztelana poznańskiego i tenutaryusza jaworowskiego, z dnia 1-go maja 1408 r.,[1]) którym nadał on cechowi szewskiemu w Jaworowie prawo na utrzymywanie w mieście 10 jatek szewskich.

Jest jeszcze wcześniejszy dokument, stwierdzający istnienie osady jaworowskiej w drugiej połowie XIV. wieku, a jest nim akt donacyi z dnia 24. czerwca r. 1376[2]) Władysława, księcia opolskiego, pana na Wieluniu i Rusi, wystawiony w Przemyślu, na rzecz braci Reinholda i Nytka, którym to aktem nadał im Władysław Opolczyk prawem lennem wsie: „Nowe Siedlce i Porudno, graniczące ze strony południowo-wschodniej z Jaworowem.

Wracając do przywileju Andrzeja z Szamotuł, nasuwa się pytanie, z jakiego tytułu magnat ten wielkopolski przyszedł w posiadanie kawałka ziemi na Rusi? Pewne światło na tą sprawę rzuca okoliczność, że po śmierci Andrzeja z Szamotuł, Jaworów nie przechodzi drogą spadku na jego następców, lecz otrzymał „tenutam javoroviensem“ Wincenty z Szamotuł, z mocy nadania jej przez króla Władysława w r. 1433.

Należał zatem Jaworów do tak zwanych królewszczyzn i Andrzej z Szamotuł musiał go posiadać także tytułem dożywotniego nadania.

Po Wincentym z Szamotuł przeszedł Jaworów w posiadanie księcia Wacława na Opolu i Raciborzu w r. 1450. Książę ten był ożeniony z córką Wincentego z Szamotuł.[3])

Do czasu objęcia Jaworowa przez księcia Wacława nie posiadało miasto żadnego kościoła, dopiero ten ufundował w r. 1454[4]) parafię jaworowską i przywilejem z dnia 20. lutego tegoż roku uposażył ją:

a) dziesięciną z młynów w Jaworowie na rzece Szkło;

b) oddał probostwu na użytek po wieczne czasy sadzawkę na potoku Jaxa, między Załużem i Jażowem;

c) tamże dwa łany pola, łąkę i dwa ogrody;

d) dziesięcinę z płodów w Zbądzinie i

e) opłatę po jednym groszu co kwartał od każdego mieszkańca przez dziesięć lat.

---

[1]) Akta grodz. lwow. T. 378, str. 2310 – 2319.
[2]) Rękps. Bibl. Ossol. Nr. 1851 i 1858.
[3]) Szaraniewicz: Rys istorycz. Rusi. T. II.
[4]) Akta grodz. lwow. T. 5, str. 175.

Tym samym przywilejem nadał książę Wacław probostwo w Jaworowie księdzu Mikołajowi, kapelanowi z Gródka.

Nie długo pozostawał Jaworów w posiadaniu księcia Wacława, bo już w roku 1456. aktem z dnia 22. października [1]) oddał go król Kazimierz Jagiellończyk w zastaw z prawem wyderkafu (odkupna), łącznie z przyległemi wsiami: Olszanicą, Załużem, Jażowem i Czołhyniami, Piotrowi z Szamotuł za kwotę 1.300 grzywien polskich i 1.650 grzywien węgierskich. Było to w przededniu wojennej wyprawy do Prus, kiedy brakło pieniędzy w skarbcu państwowym i za zgodą senatu wiele innych jeszcze królewszczyzn tą samą drogą poszło w zastaw.

Piotr z Szamotuł dodaje probostwu jaworowskiemu do praw już nabytych z przywileju księcia Wacława, dwa łany pola ze starem stawiskiem. [2])

Z tych czasów nie znachodzimy w aktach żadnych donioślejszych zdarzeń, odnoszących się do Jaworowa, z wyjątkiem kilkunastu wyroków sądowych, wydanych w sporach między mieszczanami, kilku skarg tamtejszych proboszczów na parafian i t. p.

Znamienniejszym z tych sporów był jeden między zarządcą Jaworowa, szlachetnie urodzonym Hynekiem, a szlachcicem Boratyńskim, który to spór oparł się o tron i został rozstrzygnięty wyrokiem króla Aleksandra z dnia 11. kwietnia 1502, skazującym Hyneka na karę 50 grzywien za niepokojenie Jana Boratyńskiego w używaniu gruntu, posiadanego w Jaworowie.

Od Szamotulskich przeszło prawo używania Jaworowa z wymienionemi powyżej wsiami, jako zastaw nieodkupiony, na ich spadkobierców, z których pierwszym był Łukasz Górka, kasztelan poznański.

Działo się to w początkach XVI. wieku, kiedy najezdnicze hordy Tatarów, Turków i Wołochów zapuszczały swe zagony na Ruś, niszcząc ogniem i mieczem czego nie mogli zrabować. — Od granic wschodnich po Przemyśl a nawet aż po pod Sanok zapuszczały się dzikie hordy, porywały tysiące ludności w jasyr i zostawiały po sobie tylko zgliszcza i zniszczone stepy.

I Jaworowa nie ominęły klęski, a musiały być bardzo dotkliwe, kiedy ówczesny tenutaryusz Jaworowa, pierwszy następca po Szamotulskich, Łukasz Górka, przywilejem z dnia 24. probably październi-

[1]) Akta grodz. lwow. T. 385. str. 183—185.

[2]) Th. Pirawski: Relationes etc. (wydał K. Hock), str. 132.

[3]) Akta grodz. lwow. T. 361, str. 574.

nika 1512.[3]) znaczne ulgi poczynił mieszkańcom miasta w opłacie obowiązujących ich danin, a nadto nowemi obdarzył ich przywilejami. I o kościele pamiętał Łukasz Górka i na lepsze uposażenie parafii nadał jaworowskim proboszczom po wieczne czasy prawo pędzenia wódki i wolnego wyszynku.

Prawo to wykonywali proboszczowie jaworowscy aż do zaboru Galicyi przez Austryę, która dekretem gubernium lwowskiego skompensowała to prawo na dochód roczny w kwocie 480 złr., z czego połowę winno opłacać miasto, a drugą połowę dominium jaworowskie.[1])

Następcy Łukasza Górki trzymali Jaworów w zastawie po rok 1563.

W tymże roku uchwalił Sejm egzekucyę wszystkich dóbr królewskich, nadanych czy to lennem, czy też na mocy zastawu i oddał odebrane w ten sposób ziemie jako królewszczyzny pod osobny zarząd, jako wyłączną własność państwa.

Z chwilą przejścia dóbr jaworowskich w posiadanie państwa, podniósł król Zygmunt August miasto Jaworów do godności starostwa i w uznaniu usług oddanych Rzeczypospolitej, nadał to starostwo Andrzejowi hrabiemu (comes) Górce.

Równocześnie z tem nadaniem określono ściśle granice nowego starostwa.

Starostwo jaworowskie składało się z dwóch nie graniczących z sobą obszarów.

Główny, jaworowski obejmował północno-zachodni narożnik powiatu lwowskiego, ogarniając tam na dorzeczu wschodnich dopływów Sanu okręg krakowiecki i lubaczowski, mierzący $4^1/_2$ mili kwadrat. Na zachodzie i północy opierał się o powiat bełzki, na południe o powiat przemyski i włość ziemiańska bruchnalską.

Od wschodu miał górno-wereszycką połać starostwa grodeckiego i obejmował miasto Jaworów z dziewięcioma wsiami, uprawiającemi wtenczas 131·5 łanów, co przy powierzchni 4.6 mil kwadrat. dawało trzy wsie na jedną milę, a na jedną wieś przeciętnie 14·6 łanów.

Obszar drugi leżał na wschód od poprzedniego u granicy powiatu bełzkiego od północy, lecz już po za działem górnym starostwa grodeckiego, na dorzeczu dopływów Raty. Od wschodu dotykał włości ziemiańskiej Winnickiej, od południa miał drobne działki starostwa lwowskiego. Obszar ten wynosił 2·5 mili kwa-

---

[1]) Th. Pirawski: Relationes (wydanie K. Hocka), str. 102.

drat. o 3 wsiach królewskich z 45 łanami. Zatem na jedną milę kwadrat. 1·4 wsi i 15 łanów na wieś.

Po za tem należała do obszaru pierwszego. odosobniona wśród włości bruchnalskiej, wieś Mołoszkowce z 3·25 łanów.[1])

Andrzej Górka objąwszy starostwo jaworowskie, powodowany poczuciem sprawiedliwości względem zamieszkujących Jaworów Rusinów, którzy w braku przybytku bożego, musieli chadzać na nabożeństwa do sąsiednich wsi i znacznych doznawali uciążliwości w wykonywaniu praktyk religijnych. ufundował dla nich na wielkiem przedmieściu jaworowskiem w r. 1568 cerkiew pod wezwaniem Wniebowstąpienia Panny Maryi, osadził przy niej popa i dodał łan pola z kawałkiem łąki.

Miasto rozwijało się pomyślnie. powstawały co raz to nowe cechy a i obcy osiadali w niem. znachodząc możność zarobku. to też ożywiony najlepszemi chęciami dla rozwoju zaniedbanych przedtem miast na Rusi. obdarzył król Zygmunt August Jaworów prawem magdeburskiem z mocy przywileju, wydanego w Lublinie dnia 2. lipca 1569 r.[2]) Prawo to było największem dobrodziejstwem w szeregu wszystkich innych. jakiemi wogóle można było jakieś miasto obdarować.

Początek wzięło ono w Magdeburgu, gdzie je spisał w pierwszych latach XIII. wieku niejaki Erhart von Repgow i nazywało się zwierciadłem saskiem *(der Sachsenspiegel)*. Przybyło ono do Polski razem z niemieckimi osadnikami, a od miasta. w którem zostało spisane, otrzymało nazwę magdeburskiego.

W początkach nadawano to prawo osadom czysto przez Niemców zamieszkałym. z czasem jednak przyznawali je królowie polscy niekoniecznie osadom niemieckim.

Polegało ono zasadniczo na wolności samoistnego rządzenia się miast. wyjmowało miasta niem obdarzone z pod powinności i ciężarów krajowych i nadawało im nie tylko autonomiczny samorząd administracyjny, lecz także własne sądownictwo i prawo miecza.

Wyrazem samorządu miasta na prawie magdeburskiem, zwanem także „prawem niemieckiem“, były dwie władze:

1. Rada z burmistrzem, jako urząd administracyjny i
2. Ława z wójtem. jako władza sądownicza.

---

[1]) Jabłonowski Aleks.: „Polska w XVI. wieku“.
[2]) Akta grodz. lwow. T. 361, str. 576.

Te dwa działy razem z szeregiem pomniejszych urzędów podwładnych, tworzyły Magistrat.

Po za temi dwoma władzami stała jeszcze:

3. Gmina, złożona ściśle z mieszczaństwa katolickiego, dzielącego się na kupców i rzemieślników, ujętych w organizacyę cechową, z własnymi reprezentantami, którym przysługiwało prawo brania pośredniego udziału w rządach miasta.

Te trzy działy rządów miasta stanowiły: „Stany“ (ordines).

Rada składała się z rajców (consules) i burmistrza (proconsul), wybieranego z pośród rajców.

Ławę tworzyli ławnicy i wójt, wybierany z pośród ławników.

Radę i Ławę wybierała Gmina, a mogli do nich być powołani tylko ludzie wyznania rzymsko katolickiego.

Rusini, Ormianie, Żydzi i wszyscy innowiercy byli początkowo wykluczeni od prawa obieralności.

Nadanie jakiejś miejscowości prawa magdeburskiego nie zwalniało go jednak z pod praw zwierzchniczych króla i państwa.

Równocześnie z nadaniem prawa magdeburskiego obdarzył król Zygmunt August miasto Jaworów z mocy tego samego przywileju innemi jeszcze dobrodziejstwy.

Przyznał mu prawo wieczyste poboru czynszów z drewnianego ratusza, wystawionego kosztem miasta w pośrodku rynku, a za opasanie miasta parkanem z wałami, kosztem mieszkańców, przyznał mu dochód z woskobójni (przedtem należny skarbowi państwa), oraz pozwolił na odbywanie jarmarków w dniu Przemienienia Pańskiego i na 11.000 Panien, jakoteż na targi tygodniowe co poniedziałku i piątku przez cały rok.

W r. 1572 powstała cerkiewka filialna na małem przedmieściu, lecz niewiadomo kto ją ufundował. Cerkiew tę uposażył Andrzej Górka przywilejem z dnia 12. kwietnia 1573 ćwiercią pola, w objętości 20 morgów 1212 sążni, a nosiła nazwę „Cerkwi Narodzenia Najśw. Panny Maryi.[1])

Nadanie samorządu podniosło Jaworów w znaczeniu i uczyniło go rozgłośnem, a rozgłos ten wzrósł znacznie i poszedł po całym kraju, gdy z polecenia króla Stefana Batorego zbadał w r. 1578 lekarz królewski Wojciech Oczko wody siarczane w Szkle, miejscowości w bezpośredniem sąsiedztwie z Jaworowem i na-

---

[1]) Akta c. k. Prokuratoryi Skarbu.

stępnie opisał w obszernym wywodzie właściwości tej wody i skuteczną jej działalność w pewnych cierpieniach.

Od tego czasu przybrały zródła szkielskie nazwę „Wód jaworowskich“ a liczni chorzy nawet z najwyższych sfer szukali tam różnemi czasy ulgi, zwłaszcza w cierpieniach reumatycznych i w nerwobolach.

Później opisał „Wody jaworowskie“ lekarz Erazm Syxt [1]) i podniósł wysoko właściwości lecznicze tamtejszej siarki, „która nigdy nie traciła swej skuteczności.

W wspomnieniach swoich o pobycie w Polsce poświęca pochlebną wzmiankę „wodom jaworowskim“ podróżnik francuski E. Savage.

Po śmierci Andrzeja Górki, starosty jaworowskiego, nadał król Stefan Batory to starostwo Janowi Zamojskiemu, kanclerzowi i wielkiemu hetmanowi koronnemu, w uznaniu niepospolitych usług, oddanych królowi i państwu. Dyplom nadania tego nosi datę: Grodno, dnia 8. lutego 1580. [2])

Ludność miasta wzrastała szybko, z każdym rokiem pomnażał się dobytek mieszkańców i na całym obszarze zapanował dobrobyt. Napływali rzemieślnicy z okolicznych miasteczek i niebawem było za ciasno tym wszystkim, którzy osiedlili się w Jaworowie. Miasto zabudowało się gęsto nie tylko wewnątrz, ale nawet na dalej wysuniętych przedmieściach powstały liczne sadyby i dworki.

Przeważała ludność ruska wyznania wschodniego i doszło do tego, że istniejące już dwie cerkwie nie mogły nawet połowy pobożnych pomieścić. Zaradzając tej potrzebie zezwolił król Zygmunt III. przywilejem z dnia 2. listopada 1588 [3]) na pobudowanie trzeciej cerkwi w Jaworowie, która stanęła u wylotu śródmieścia ku drodze, wiodącej do Sądowej Wiszni i otrzymała nazwę: Cerkwi pod wezwaniem św. Jerzego (Jura).

W r. 1605 otrzymał starostwo jaworowskie Hieronim Sieniawski, chorąży koronny i pozostawał na niem do swej śmierci, t. j. do r. 1615.

Następcą Sieniawskiego został z przywileju króla Zygmunta III., wydanego w r. 1616, Stanisław Żółkiewski, wielki hetman koronny.

---

[1]) Erazm Syxt: „O cieplicach w Szkle“ ksiąg troje.
[2]) Rkps. Bibl. Ossol. Nr. 261, str. 455.
[3]) Akta grodz. lwow. T. 364, str. 1116.

Za jego czasów powstaje w Jaworowie klasztor OO. Dominikanów, którzy zbudowali sobie drewniany kościółek z takimże parterowym domkiem na pomieszczenie trzech zakonników.

Przybycie OO. Dominikanów do Jaworowa przypada wprawdzie już na r. 1609, ale kościół i klasztor powstał dopiero w r. 1619. Kościół i klasztor OO. Dominikanów fundował Piotr Malawski, dzierżawca Starzysk, wraz z żoną Łucyą i przeznaczył na utrzymanie klasztoru aktem darowizny, sporządzonym w Starzyskach dnia 5. października 1615: „Dom z ogrodem i jego przynależnościami w Jaworowie na małem przedmieściu, przy samym gościńcu położony na dolinie t. z. Czerkawskiej, przytykający tylną częścią do wału miejskiego.

W następnych latach wykupili OO. Dominikanie już z własnych funduszów niektóre kawałki gruntu przytykające do ich posiadłości.[1])

Poświęcenia kościoła dokonał ks. biskup Pirawski, sufragan lwowski, w dniu 9. maja 1629.

Pierwszymi zakonnikami w jaworowskim klasztorze byli: O. Laurenty Budzyński przeor, O. Stanisław Bar superior, O. Jordan Skrzynno, Brat Antoni organista, Brat Melchior zakrystyan.

W okresie starostowania Sieniawskiego i Stanisława Żółkiewskiego wywiązały się liczne spory między mieszczanami jaworowskimi a rajcami miejskimi, którzy nadużywając swej władzy uciskali mieszkańców wbrew prawu i słuszności wygórowanemi daninami i różnemi świadczeniami na rzecz miasta.

Spory te opierały się o sądy starościńskie i wojewódzkie, jednak bezskutecznie, a doprowadzeni do rozpaczy mieszczanie udali się wprost pod opiekę samego króla i uzyskali przychylny dla siebie wyrok, wzywający burmistrza i rajców, żeby pod srogiemi grzywnami zaprzestali niepokoić skarżących się. Również w sporach mieszczan z jaworowskim proboszczem, ks. Piotrem Brodowskim, o pobór mesznego, które doprowadzały do częstych scen gorszących i groziły niebezpiecznemi zaburzeniami, rozstrzygnął dopiero sam krol Zygmunt III., ustalając po wieczne czasy normę tych świadczeń.[2])

O bezustannym wzroście Jaworowa świadczy wymownie okoliczność, że drukarz Jan Szeliga przeniósł w r. 1619 swą drukar-

[1]) Akta c. k. Prokuratoryi Skarbu.

[2]) Akta grodz. lwow. T. 366, str. 762—763.

nie z Jarosławia do Jaworowa. Tam drukował głośne dzieło ks. Gabryela Leopolity zakonu kaznodziejskiego, p. t. „Oratorium Palaczu duchownego".[1]) W drukarni Jana Szeligi w Jaworowie wyszły też r. 1619 ks. G. Leopolity „Przysmaki duchowne".

Stanisław Żołkiewski legł śmiercią bohaterską pod Cecorą dnia 6. października 1620. a król Zygmunt w uznaniu zasług wielkiego hetmana nadał przywilejem z dnia 8. sierpnia 1622 r. starostwo jaworowskie jego synowi Janowi, który odznaczył się męstwem w wojnach z Tatarami i także został ranny pod Cecorą.[2])

W roku 1620 posiadał Jaworów już dwa kościoły łacińskie, t. j. farny i OO. Dominikanów, oraz trzy cerkwie grecko-kat. W ślad za osiedleniem się Dominikanów zjawiły się w r. 1621 dwie mniszki zakonu ruskich Bazylianek i zakupiły na tymczasowe swoje pomieszczenie dwa domy tuż obok cerkwi świętego Jura.

---

[1]) Na karcie tytułowej „Oratorium Palaczu" umieszczono, że książka została wytłoczoną w r. 1619. w drukarni Jana Szeligi. na przedmieściu jaworowskiem. przy kościele św. Michała.

Ztąd wysnuwa Jerzy Samuel Bandtke w swojej „historyi drukarni w Polsce" (T. I. str. 399) wniosek, że drukarnia ta istniała w owym czasie w Jarosławiu lub we Lwowie pisząc: „nie wiem atoli czy to przedmieście jaworowskie we Lwowie czy Jarosławiu?"

Jan Szeliga przenosił wprawdzie swoją drukarnię z miejsca na miejsce i był z nią pierwotnie w Dobromilu, potem w Jarosławiu do końca r. 1613, w r. 1621 mamy książki z jego drukarni we Lwowie, zkąd przeniósł się ostatecznie na stały już pobyt do Krakowa. (Jerzy S. Bandtke. „Historya drukarni w Polsce", T. I. str. 118, 119, 303, 399).

Druk książki ks. Gabryela Leopolity przypada właśnie na okres czasu między pobytem Szeligi w Jarosławiu (do r. 1618) i we Lwowie (od r. 1621).

Karol Estreicher w swej bibliografii w dziale: „Spis drukarni w Polsce" (T. 8. str. 169) podaje stanowczo, że Szeliga drukował „Oratorium Palaczu duchownego" w Jaworowie, w drukarni przy klasztorze OO. Dominikanów. Podanie Estreichera jest zupełnie uzasadnione. a potwierdza je okoliczność, że ani we Lwowie ani w Jarosławiu nie istniał nigdy żaden kościół pod wezwaniem św. Michała na przedmieściu jaworowskiem, chociażby dlatego, że w żadnem z tych miast nie było przedmieścia tej nazwy — natomiast jest udowodnione oryginalnym aktem fundacyjnym, zeznanym przez Filipa Rykowskiego, fundatora kościoła i klasztoru OO. Dominikanów w Jaworowie, „że kościół pod wezwaniem św. Michała, na przedmieściu małem jaworowskiem, dostał się w posiadanie Ojcom Dominikanom".

[2]) Akta grodz. lwow. T. 54. str. 1219—1221.

W jednym z tych domów urządziły kaplice, a drugi przeznaczyły na tymczasowe mieszkanie.

Przy odbiorze starostwa przez komisyę królewską po śmierci Stanisława Żółkiewskiego, przeprowadzono w r. 1621 lustracyę całego majątku, z której czerpiemy tu daty, odnoszące się do ówczesnego stanu miasta Jaworowa.

Lustratio starostwa jaworowskiego anno D. 1621:

Domów: w Rynku 32, oprócz tego radziecki, wójtowski i organisty.

W ulicy Farnej 29 — ku młynowi 15 — na przemyskiem 66 — na jarosławskiem 10 — na lwowskiem 40. — W tem żydowskich 23.

Chałup zagrodników 151, chałupników 33.

Rzemieślników: Szewców 21, kowali 10, rzeźników 16, krawców 9, garncarzy 27, garbarzy 33, kowali 4.

Są cztery młyny a szczegółowo: Awedykowskiego, Szumiły, Charchalisów i Czajków.

Z wszystkich rzemiosł uprawianych w Jaworowie najpomyślniej rozwijało się szewstwo, a cech butarski, bo tak go ochrzcili tamtejsi mistrze kunsztu szewskiego, miał wielkie poważanie i wziętość w całej okolicy.

Czyniąc więc zadość rzeczywistej potrzebie, pozwalają burmistrz i rajcy miasta Jaworowa, dekretem z dnia 6. grudnia 1622, na pomnożenie dotychczasowo przyzwolonych dziesięciu jatek szewskich do liczby szesnastu.

Tym samym aktem wydają zakaz rzeźnikom miejscowym sprzedawania skór z zabitych bydląt po za obrębem miasta, a wyłącznie sprzedawać mają szewcom jaworowskim według stale ustanowionych cen.

Dekret ten został wydany na ręce ówczesnych cechmistrzów Pawła Łaszcza, Eliasza Bubeli i Mikołaja Cholewki.

Jako burmistrz miasta podpisany Grzegorz Morecki.[1])

Posiadał Jaworów browar piwny, należący do skarbu i woskobójnię.

Jan Żółkiewski niedługo pozostawał w posiadaniu starostwa jaworowskiego, umarł bowiem zaraz w następnym roku, z powodu odnowienia się rany, otrzymanej pod Cecorą. Następcą jego został Stanisław Kazanowski, z mocy przywileju króla Zygmunta III., wydanego 7. lipca 1625 r., a że od dłuższego czasu

[1]) Akta grodz. lwow. T. 378, str. 213.

rozgrywał się spór graniczny między jaworowskimi starostami a właścicielami Bruchnala i Czołhyń, wyznaczył król komisyę dla oznaczenia właściwych granic starostwa w spornych punktach. [1])

Po Kazanowskim dostało się starostwo jaworowskie Janowi Wandalinowi Mniszchowi, łowczemu królewskiemu, w r. 1635.

Z tych czasów istnieją dwa ważne dokumenta, odnoszące się do spraw miasta.

Jednym jest przywilej króla Władysława IV. z r. 1635. którym po raz pierwszy od czasu rządzenia się miasta prawem niemieckiem, zezwolił król na dopuszczenie do rady miejskiej jednego rajcy Rusina, również i jednego ławnika tego wyznania, do składu ławy sądowej.

Drugim aktem jest przywilej Jana Wandalina Mniszcha, starosty jaworowskiego, z dnia 7. lutego 1637 r., przyzwalający żydowskiemu kahałowi w Jaworowie zapisać sumę 5.710 złp. na fundacyę ołtarza Pana Jezusa, w tamtejszym kościele parafialnym.

Dokument rzeczony opiewa dosłownie:

„Jan Wandalin Mniszech, łowczy koronny, starosta jaworowski, oznajmuje tym moim Consensem komu o tem wiedzieć należy, iż pro autoritate mea Capitaneatis mając tego rationes permoventes, tudzież upatrując decorem kościoła farnego w mieście Jaworowie, na fundamencie pewnej przyjacielskiej z Jegomością księdzem Wojciechem Freyczakowskim, comendarzem jaworowskim, combinacyjej, officio consistoriali Archidyecezyj lwowskiej aprobowanej i autoritate superiorum potwierdzonej, pozwalam kahałowi jaworowskiemu zapisać sumę 5.710 złp, cum censu anno po 400 złp. na Altaryą w tymże kościele farskim scriptum Erectionis fundanda et eregenda y na to dając ten mój konsens, podpisem ręki mojej przy pieczęci stwierdzam.

Datum we Lwowie die 7. februarii anno Domini 1637.

Konsens czy pozwolenie to zatwierdził król August III. w r. 1746, o cały wiek zatem później, dodając w końcu klauzulę: „ut summam 5.710 flor. cum censu annuo per florenos septem a quolicet centum pendendam in rem Altaristae Sacratissimi Corporis Christi Domini nostri Jesu Christi in Ecclesia javoroviensi infideles judaei super Synagogam Scholaque sua judaica inscriberent.[2])

---

[1]) Tamże, str. 1853—1856.

[2]) Akta grodz. lwow. T. 538, str. 1509—1510.

Ciężką klęskę poniosło miasto w r. 1636 wskutek pożaru, który powstał z niewiadomej przyczyny. Rozszalały żywioł obrócił wszystko w perzynę. Wypaliły się domy w całem śródmieściu, z dymem poszła część wielkiego przedmieścia razem z cerkwią, ocalała tylko część od strony małego przedmieścia z kościołem farnym, klasztorem Dominikanów i zamkiem.

Pierwszą wzmiankę o istniejącym w Jaworowie zamku podaje nam dopiero opis tej pogorzeli. Przedtem nie ma nigdzie żadnego śladu, żeby w mieście był jakiś pałac lub zamek. A jednak musiały istnieć obszerniejsze zabudowania, w których mieszkali, jeżeli nie sami już starostowie, to przynajmniej podstarości i inni oficyaliści.

Wprawdzie Kazimierz Wielki po wcieleniu Rusi do Korony polskiej pobudował na wschodnich kresach cały szereg warownych zamków i forteczek przeciw bezustannym napadom Wołochów, Turków i Tatarów, ale Jaworów leżał już więcej w głębi kraju, nie był także starostwem grodowem, to znaczy: przeznaczonem na jedną z placówek obronnych, nie został więc w owych czasach zbrojnie opatrzony. Świadczy o tem późniejsze dopiero uzbrojenie go w armaturę z własnych funduszów przez Jana Sobieskiego.

Zamek, o którym wspomina opis pogorzeli Jaworowa w r. 1636 był większem zabudowaniem z materyału drzewnego, przeznaczonem w onczas wyłącznie na pomieszczenie właściciela, jego oficyalistów i domowników, był on typu ogólnego zameczków (fortalicyów) na Rusi.

Podczas ognia r. 1636 zgorzały także dwa domy, gdzie tymczasowo umieściły się przybyłe przed rokiem mniszki Bazylianki. Siostry zakonne zostały zupełnie bez dachu, lecz przyszła im z pomocą mieszczka jaworowska, Małgorzata Hryszkówna, darowała obszerny grunt swój pod budowę przyszłego klasztoru, który zbudowała własnym kosztem z materyału drzewnego, przy pieniężnej pomocy ze strony przemyskiego biskupa, Jerzego Winnickiego.

Sama wstąpiła do zakonu i była w nim pierwszą ksienią (игумeнiю).[1]

Starostwo jaworowskie dzierżawił bez przerwy, począwszy od r. 1580, gdy zostało nadanem Janowi Zamojskiemu szlachcic

[1]) Korotkij pohlad na monastyri i monaszestwo z r. 1867, str. 23. „Peremyślanin" z r. 1854, str. 92 i 127 — z r. 1856, str. 13 — z r. 1858, str. 21.

z ziemi radomskiej Filip Rykowski. Ośmdziesięcioletni przeszło starzec, czując w ocaleniu przed pożogą swego dobytku palec Boży, powziął myśl uczynienia ofiary na chwałę Przedwiecznego. Aktem fundacyjnym, spisanym na zamku jaworowskim, dnia 13. maja 1639[1]) zapisał OO. Dominikanom w Jaworowie wybudowany przez siebie kościół z twardego materyału, którego konsekracyi dopełnił biskup chełmski, ks. Jacek Święcicki.

Niesiecki podaje w „Koronie polskiej“: „że Filip Rykowski ufundował w Jaworowie murowany kościół parafialny pod wezwaniem św. Piotra i Pawła“, lecz tem podaniem odbiega wprost od własnoręcznego aktu fundacyjnego Filipa Rykowskiego, który w odnośnym ustępie brzmi dosłownie:

„Ja Filip Rykowski zeznawam tym pisaniem moiem, iż kościół św. Michała na przedmieściu małem jaworowskiem dostał się w posesyę OO. Dominikanom w taki sposób, jaki jest zeznany przez JMC. Pana Piotra Kołakowskiego starego, który był odemnie budowniczym tego kościoła postanowionym, na com y koszt swóy ważył i t. d.

Data w Jaworowie na Zamku die 13. Majii Anno Domini 1639. Philipp Rykowski m. p.

Wprawdzie kościół ten odebrany po zaborze Galicyi przez rząd austryacki OO. Dominikanom, został przeznaczony na kościół parafialny i od tamtego czasu nosi nazwę kościoła pod wezwaniem św. Piotra i Pawła, lecz stało się to prawie w sto pięćdziesiąt lat po jego zbudowaniu, bo w r. 1778.

Z dotychczasowego wywodu, opartego ściśle na istniejących materyałach historycznych nie odegrał Jaworow wybitniejszej roli w dziejach ani samego starostwa, a tem mniej w dziejach Rzeczypospolitej. Wzrastał stopniowo wsród normalnych warunków, lecz niczem wybitniejszem nie zaznaczył się w historyi naszych miast i miasteczek.

Nadeszła jednak chwila, która nadała mu rozgłos nie tylko w kraju, ale daleko po za granicami. Nazwa skromnego zakątka na ruskiej ziemi odbiła się głośnem echem we Francyi, zasłyszał o Jaworowie Wiedeń, Rzym, Petersburg, nawet Konstantynopol. Najpierwsi dygnitarze dyplomatyczni, książęta kościoła, apostolscy nuncyusze, ambasadorowie najpoteżniejszych mocarstw stąpali po

[1]) Oryginał aktu fundacyjnego, przechowany w kościele parafialnym w Jaworowie.

bruku jaworowskim, a wielu z nich wspomina o tem mieście w swych pamiętnikach.

W tej zapadłej mieścinie rozgrywały się sprawy europejskiego znaczenia, tam zawierano układy z sąsiednimi mocarzami i ztamtąd wychodziły hasła dziejowego znaczenia.

Po śmierci Jana Wandalina Mniszcha dostało się starostwo jaworowskie w r. 1639 Jakóbowi Sobieskiemu, wojewodzie ruskiemu, z prawem dziedzictwa aż w trzecie pokolenie.

Jakób Sobieski osobiście rzadko się pojawiał w Jaworowie, przenosząc nad wszystkie inne miasta ukochaną Żółkiew, pamiętał jednak o nowo objętem starostwie i całem szeregiem przywilejów uposażył miasto, jego mieszkańców i poszczególne cechy, nie zapomina także i o kościołach.

I tak przywilejem z dnia 25. kwietnia 1642 [1]) zezwala na prośbę bractwa przy cerkwi św. Jura, żeby odtąd zarząd cerkwi i majątku cerkiewnego objęło niepodzielnie to bractwo, a że pop przy tej cerkwi mieszkający nie miał z niej żadnego utrzymania, wyznaczył popostwu po wieczne czasy półtora łana pola i ogród, oraz kawałek łąki.

W ośm lat po objęciu starostwa jaworowskiego zmarł Jakób Sobieski w r. 1647 a prawem dziedzictwa objął starostwo Jan z Sobieszyna Sobieski.

Zanim przystąpimy do dalszych wywodów historycznych, odnoszących się do Jaworowa, w tej najciekawszej epoce jego rozwoju i znaczenia, uważamy za konieczne rzucić okiem, chociażby tylko pobieżnie na prywatne i domowe stosunki Jana Sobieskiego, których bliższe poznanie wyświetli nam w nagiej prawdzie niejeden doniosły fakt i niejedno zdarzenie, pozostające w analogicznym związku ze sprawami światowej doniosłości i wywierających często przeważny wpływ na ukształtowanie się pewnych stosunków w odniesieniu do spraw państwa.

Jan Sobieski był młodszym synem Jakóba, wojewody ruskiego i drugiej jego żony Teofili z Daniłowiczów. Urodził się 17. sierpnia 1629 r. na zamku w Olesku i przeważną część swej młodości przepędził na dworze francuskim, gdzie nabrał oglady towarzyskiej i wykwintnych form, co mu wcale nie przeszkadzało w zachowaniu całej zamaszystości prawdziwie sarmackiej i szczerości w całem obejściu.

---

[1]) Akta grodzk. lwow. T. 396, str. 358.

Zakochał się w pięknej pani Zamojskiej, z domu markizie de la Grange Araquin, młodszej co najmniej o lat 40 od swego męża.

Zalotna francuska, przykuta do boku starego męża, odnosiła się z pewną sympatyą do przystojnego i wyróżniającego się z pośród całego otoczenia młodego pana Chorążego, utrzymywała z nim bardzo ożywioną korespondencyę za życia męża pana, a nawet myślała o rozwiedzeniu się ze staruszkiem, żeby poślubić młodego Seladona.

O ile jednak Sobieski był bałwochwalczo zaślepiony w pięknej Marysience, jak nazywał Maryę Kazimierę Zamojską, o tyle chytra francuska obok może pewnego pociągu ku jego osobie łączyła zimną rachubę. Od chwili pierwszego poznania wywierała na młody i porywczy umysł Sobieskiego wpływ nieograniczony i umiała młodego zapaleńca zawsze nagiąć do swoich planów i zamiarów.

Ta ślepa uległość względem ukochanej, nie straciła na sile gdy nawet została już jego żoną i przetrwała do godziny skonu naszego bohatera.

Ileż to razy uległość Sobieskiego jako wielkiego hetmana i marszałka a później jako króla wobec żony zaznaczyła się ujemnie na jego publicznej działalności? często znalazł się w tak przykrem położeniu, że tylko ofiarą najświętszych przekonań wypływał obronną ręką.

Z drugiej strony niepomierna rozrzutność skapryszonej kobiety musiała w nim budzić pragnienie skarbów, żeby uchowaj Boże Marysience nie zbywało na niczem.

Z tego powodu posądzano Sobieskiego o chciwość, zarzucano mu, że ugania się za wszelkiego rodzaju synekurami i gromadzi milionową fortunę.

Może i nie bez podstawy podejrzywano go, że pobiera znaczne subsydya z Francyi za popieranie Kondeusza na tron polski i za akcyę dążącą do zdetronizowania Jana Kazimierza.

Podobne sądy stawały się głośnemi, chociaż często brakowało im racyonalnych przyczyn, ale plotka wspierana zawiścią biezy lotem błyskawicy i zakreśla co raz szersze koła.

Można Sobieskiemu zarzucić niejedno z jego życia prywatnego, co jednak w niczem nie ujmuje jego chwały jako bohatera i wiernego a dzielnego obrońcy ojczyzny.

Helzel w swej przedmowie do wydawnictwa listów Jana Sobieskiego słusznie daje o nim taki sąd:

„Sobieskiego należy oddzielić od jego stosunków prywatnych, nie kwalifikujących się do historycznego traktowania, a patrzeć na niego wyłącznie ze stanowiska jego publicznej działalności. Zarzucają Sobieskiemu, że był chciwy grosza... prawda! — ale żądzę skarbów zrodziła potrzeba zaspakajania fantastycznych wymogów ubóstwianej żony, której dzielny bohater nie miał siły się oprzeć, wytworzyło wychowanie, które usposobiło go do łatwego życia i lekkich rozrywek, a jednak oddaje on ostatni grosz na potrzeby ojczyzny, gdy ta znachodzi się w kłopocie, z własnych środków pokrywa zaległe wojsku lenunki i t. d.“

Edward Webersfeld.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

Samuel ze Skrzypny Twardowski

i jego poezya na tle współczesnem.

(Ciąg dalszy).

[Xiążę Wiśniowiecki Janusz, koniuszy koronny, krzemieniecki starosta, oyczystą Muzą przypomniany świeżo roku 1646. Leszno. Daniel Vetterus. str. nlb. 2, liczb. 52, in folio.] [1])

Okoliczności i pobudki pisania. — Treść i budowa. — Ocena.

Olbrzymie dobra Zbarazkich przeszły po wymarciu tego rodu w ręce Janusza Wiśniowieckiego, który był siostrzeńcem ostatnich potomków męskiej linii Zbarazkich, księcia Krzysztofa i Jerzego. Ci dwaj bracia roztaczali hojną opiekę nad Twardowskim, to też kiedy zabrała ich śmierć, p. Samuel szukać musiał innego protektora. Cykl wierszy panegirycznych z tego czasu dowodzi, jak pukał do serc możnych panów, a pukał napróżno. Dopiero wydanie „Przeważnej Legacyi“ z dedykacyą dla Janusza Wiśniowieckiego, zwróciło nań uwagę tego dziedzica fortuny Zbarazkich, który poczuł się w obowiązku objąć także niejako moralną spuściznę po wujach i przyjąć do swego domu przez nich protegowanego p. Samuela. W jesieni 1633 r. Twardowski jest już w Wiśniowcu, gdzie lat kilka miał przepędzić. Przyjechał na wir

[1]) Bibl. Czart. Uniw. Warszaw.

i zawieruchę. bo właśnie nadciągał Abazy-basza. a książę Janusz postanowił ruszyć w pomoc hetmanowi Koniecpolskiemu, który miał powstrzymać najazd turecki. Los poszczęścił Polakom. wróg cofnąć się musiał. Od tych pierwszych przygód wojennych, przebytych wspólnie z ks. Januszem, Twardowski ciągle bawił na jego dworze. razem z nim ruszał na wyprawy. razem z nim w pokoju się bawił. To też przy łożu śmierci księcia gorżko płakał i wnet napisał „Pobudkę cnoty“ dla młodziutkiego syna zmarłego, Jerzego Dymitra. Podobno także niedługo potem zaczął spisywać wierszem życiorys ks. Janusza [1]) ale rozmyślił się. robotę schował i dopiero w lat dziesięć, kiedy podrósł ów Jerzy i brat jego Konstanty, wydobył z ukrycia poemat, wykończył ostatecznie i wydał w 1646 r.

Pobudką pisania była chęć złożenia hołdu pamięci dzielnego księcia i zamiar przypomnienia synom obowiązków. jakie na nich wkładała tradycya po ojcu dziedziczona. Twardowski był może po śmierci Janusza nauczycielem młodych Wiśniowieckich przez czas jakiś i dla tego sądził. że trzeba dać im wzór postępowania w życiu i to wzór taki. do któregoby ciągnęło ich serce i tem silniejszy wzbudziło zapał dla cnoty i męstwa.

Krótko ujęty tok myśli poematu jest następujący. Po opisie żalu całego kraju i rodziny, genealogia domu Wiśniowieckich, którzy zawsze kresów ukrainnych bronili, szczegółowo jest wyprowadzona. Sam Janusz do wojaczki od dzieciństwa wzwyczajony, najpierw w kraju. potem we Włoszech nauki pobierał. Na zakończenie studyów podróżował nieco po południowej Europie, a wróciwszy do kraju, pełnił publiczne służby. Drugą podróż odbył morzem z Gdańska do Hamburga. potem lądem przez Holandyę. Francyę. Hiszpanię. Czas jakiś jako ochotnik brał udział w wojnach holenderskich. potem do Polski się udał w sam płomień potrzeby szwedzkiej. Po jej ukończeniu żeni się i gospodaruje w rodzinnych dobrach, zabawy uczone urządzając, polowania, uczty, rycerskie gonitwy. a w razie okazyi gromiąc zagony tatarskie. Na Sejmie elekcyjnym przyczynia się do obioru Władysława. na koronacyjnym jest także. W czasie najazdu Abazego 3.000 wojska w pomoc Koniecpolskiemu prowadzi. Udaje się pod Smoleńsk i zwiastuje królowi nowinę o zwycięstwie. Na kamieniecką potrzebę przywodzi 33 chorągwie. a po pokoju o utrzymanie dziel-

[1]) Jak zapewnia w dedyk. do „X. Wiśniow.“

nego wojska się stara. Nad Bohem zakłada Dymitropol. Coraz bardziej zapada na zdrowiu, nie pomagają lekarstwa. Wreszcie na krótko przed śmiercią odbiera z rąk królewskiego posłańca polną buławę.

Układ ogólny „Wiśniowieckiego“ jest taki sam, jak w innych panegirykach. Otóż najpierw łzy po jego stracie leje, potem o jego rodzie szeroko mówi, szereg przodków pod pochwalne promienie swej Muzy przywodząc, potem od kolebki do mogiły prowadzi swego bohatera, wplatając w historyę jego żywota wąskie pasmo pochwał, zachwytów, uniesień.

Oczywiście taki życiorys za świeżej pamięci spisany, ma znaczną wartość jako źródło historyczne, chociaż jest nieco pobieżny. Pisany wierszem trzynasto-zgłoskowym, czyta się gładko, rzekłbym gładziej, niż rzeczy późniejsze. Są ustępy nawet wcale ładne, sam koniec dość rzewny, a całość owiana wielką sympatyą dla Wiśniowieckiego; mimo tego czytelnikowi udziela się uczucie autora skąpo, więc się książeczkę przeczyta, odłoży, zapomni. Nie wryje się w pamięć postać księcia Janusza tak, jak się przez „Legacyę“ utrwala w wyobraźni Krzysztof Zbarazki. Za to wady są równe. Przy budowie większego okresu myśl rwie się Twardowskiemu, inaczej skończy, niż zaczął, a raczej zgoła o czem innem skończy. Pytania retorycznego nadużywa absolutnie, wiele zwrotów, porównań powtarza z „Legacyi“. Na wszystko patrzy przez pryzmat świata klasycznego, który mu polskie światło rozbija na barwy, przez Rzymian używane: tak dla określenia młodziutkiego wieku księcia powiada: „jeszcze w świetney kassance pretextowy chodził“. Pozwala sobie na niemożliwe przenośnie, np. „Sława w twardym dyamencie dłutem kuła złotym“, jakby go zadowalało zestawienie ładnych słów, choćby one nie dały treści. Tak wady wadom „Legacyi“ równe, a zaciekawienie budzi „X. Wiśniowiecki“ wiele, wiele mniejsze i rychło rozpływa się, w pamięci żadnego nie utrwalając wrażenia.

[Władisław IV., król Polski y Szweski. Leszno. Daniel Vetterus. 1649 i 1650, str. 275, in folio.][1]

Powstanie. — Brak końca. — Podział. — Niezgodność treści z tytułem. — Materyały. — Wartość historyczna i obyczajowa. — Ocena: Forma. Język. Treść.

Jeżeli Zygmunt Waza nie cieszył się sympatyą szlachty, która na królewską głowę wszystkie winy nawet własne zwalała, to Władysław IV. wręcz naodwrót zdołał pozyskać wiele serc i umysłów. Z jego imieniem łączono sławę zwycięstw tureckich, moskiewskich, oswobodzenia Prus, poskromienia Tatarów, ukrócenia buty i zuchwałości kozackiej, rozszerzenia granic na Wschód, chwalono jego rycerskość, jego zamiłowanie w polskich rzeczach. Niemniej jednak choroba antikrólewskiej opozycyi, podtrzymana i wzmocniona mimowoli przez rządy Zygmunta, nie znikneła pod berłem Władysława. Ta sama szlachta kładła swoje niszczące wota na drodze królewskich zamiarów, ta sama wiązała prawie jednomyślnie ręce przedsiębiorczej polityce zewnętrznej, która Władysława kochała bardziej, niż jakiegokolwiek innego króla od dawnych czasów, aż do Michała Wiśniowieckiego. Z takiej miłości, z takiego podziwu dla pięknych czynów polskiego oręża za Władysławowego panowania, wypłynął wielki, o 11.000 z górą wierszy poemat Twardowskiego. „Bo kiedy króla tak wielkiego wszystkie inne style y języki mówią, czemu go oyczysta milczeć miała Muza?“ [2])

Muza pracowała lat kilka. Trudno oznaczyć dokładnie, kiedy poemat powstawał, to jednak zdaje mi się niewątpliwie, że nie należy rozwałkowywać pisania na czas długi. Na str. 63-ciej jest wzmianka o roku 1638, a więc pieśń druga po tym roku była pisana. Na str. 208 już Ossoliński jest kanclerzem; był nim od roku 1643. Na str. 252 i 253 są przewagi Wiśniowieckiego nad kozakami, jest nawet Połonne i strata Baru. Wnosiłbym z tego, jak z faktu, że Twardowski wydał w roku 1640 „Satyra“, więc czas poprzedni jego tworzeniem miał zajęty; dalej: że w chwili pisania „Satyra“ nie całkiem przychylnie był

[1]) Wyd. z 1649. Czart. Branic. Dzikow. Jag. Un. warsz. Krasiń. Wyd. z 1650. Ak. Um. Ossol.

[2]) „Wład. IV.“ — Do łaskawego czytelnika.

dla Władysława usposobiony, bo na królewskim dworze forytowano cudzoziemszczyznę i pochlebstwo; następnie: że skutkiem tego dopiero nieco później pomysł takiego panegirycznego bądź co bądź poematu powziąwszy, wpierw materyał historyczny zebrać musiał; w końcu: że przy znacznej łatwości pisania nie potrzebował zbyt długiego czasu na stworzenie choćby 11.000 wierszy; z tego wszystkiego wnosiłbym, że powstawanie „Władysława IV.“ na jakieś lat pięć najwyżej przed rokiem 1649 rozłożyć należy.

Poemat nie stanowi całości zamkniętej. Nicią wiążącą pojedyncze jego części jest osoba Władysława. Po za tem każda pieśń sama dla siebie jest całostką. Pieśni jest pięć, ostatnia kończy się rozejmem ze Szwedami w Sztumsdorfie, a więc na roku 1635. Twardowski przerywa, obiecując pisać dalej. Tymczasem wybuchły były wojny kozackie, które porwały go w zamęt, przepłoszyły z Zarubieniec, przeszkodziły w pracy, ale z drugiej strony dały mu materyał do „Wojny domowej“. Sądzę z tego, wbrew przypuszczeniom innych,[1]) że nie dla tego nie skończył „Władysława“, jakoby smutna rzeczywistość zadała kłam pochwałom dla króla i zniechęciły go osobiste i narodowe klęski, jakoby czasy były antykrólewskie, a on króla uwielbiał, ale dla tego, że po prostu zabrał się do czego innego. Może miał nawet pewne notatki do dalszego ciągu, lecz zaskoczony śmiercią Władysława, to, co było gotowe, wydał, a potem już do dawnego pomysłu nie wrócił, tem bardziej, że rozmiłowany w opisywaniu wojen, nie miałby w ostatnim dziesiątku lat Władysławowego panowania odpowiedniego materyału, kiedy z drugiej strony jego uwagę, myśl, serce, wyobraźnię porwały krwawe zapasy na wschodnich kresach, wzniecone buntem Chmielnickiego.

Że poemat mógł zirytować cara i przyprowadzić do pasyi Puszkina, dziwić się trudno. Zdaniem Twardowskiego naród moskiewski jest: „nikczemny y gruby“,[2]) a kiedy w czasie tatarskiego jarzma posłowie hana po haracz przyjeżdżali do Moskwy i gdy kobylego mleka

„na grzywę końską co kanęło
Wielkim kniaziom ulizać potrzeba to beło“.[3])

---

[1]) Chlebowski.

[2]) „Wład. IV.“, str. 8.

[3]) „Wład. IV.“, str. 9.

To też, jak już w życiorysie wspomniałem, został „Władysław IV.“ skazany na spalenie i spalony publicznie. Szkody nie poniósł właściwie jednak żadnej, bo ciekawa publiczność zaintrygowana głośną sprawą, chciwie rozkupowała egzemplarze,[1]) które przed katem schowano, a z tego, że mamy druk identyczny z lat 1649 i 1650 wnosiłbym, że zaraz zrobiono drugi nakład.

„Władysław IV.“ dzieli się na pięć punktów. Pierwszy obejmuje sprawę Dymitra i wojnę moskiewską (1617—1618), drugi wojnę turecką, więc pogrom cecorski i bitwę pod Chocimem; trzeci podróż królewicza po Europie; czwarty wojnę szwedzką, śmierć Zygmunta i elekcyę; piąty wreszcie wojnę moskiewską, niedoszłą turecką i szwedzką: całość tedy zawiera lat trzydzieści, ale z jakiemiż przerwami! Przedewszystkiem zauważyć należy, że „Władysław“ jest pisany bez należytego planu. Tytut skłaniałby do wniosku, że to będzie życiorys króla, opowiedziany jednym ciągiem i że może na tem tle rozwinięte będą dzieje Polski, o ile stały w związku z królewskim sternikiem. Tymczasem jest inaczej. Pierwsza pieśń, pomijając dziecięcy wiek Władysława, charakteryzuje go ogólnie i rzuca z góry przegląd krótki jego czynów. Lecz zaraz porzuca bohatera i wywiódłszy historyę moskiewską gędzi o wyprawie Dymitra i całej wojnie z niej wynikłej, a z bohatera ani śladu i dopiero pod sam koniec występuje na chwil parę, żeby zemsty szukać na wiarołomnych Moskalach. Podobnie w drugiej pieśni Władysław chowa się za sceną, a akcya przeskakuje aż na Wołochy. Jest historya wołoska, potem owe wyprawy Koreckiego, Potockiego i Wiśniowieckich, jest trochę o kozakach, o układach Żółkiewskiego i Skinderbaszy (1617—1618), wreszcie klęska cecorska. Tymczasem z życia Władysława notuje jeden drobny fakt: nieudały zamach na Zygmunta, przy którym królewicz był i pierwszy ojcu na ratunek skoczył. Tymczasem o Polsce całej cicho, tylko Sejm z r. 1620 wspomniany. Następuje bitwa chocimska i wszystkie bliżej z nią na kresach związane wypadki. Czy znowu Władysława niema? Owszem jest. Przyjeżdża do obozu, kładzie się do łóżka, a walki trwają swoim trybem. Dopiero trzecia pieśń cała, jak jest, jedzie z królewiczem w podróż po Europie; to też zdawałoby się, że skoro Twardowski pomija znowu parę lat historyi Polski, to wróci do niej o tyle tylko, o ile wymagać będzie związek jej z bohaterem. Ale nie! Czwarta pieśń zapomina o Władysławie i zajmuje się rozwlekle

[1]) Pam. Albr. Radziwiłła.

wojną szwedzką, a dopiero kiedy umiera Zygmunt, przypomina sobie kogo właściwie opiewać powinna, więc zwołuje Sejm elekcyjny, wybiera go jednomyślnie, w końcu przenosi się do Krakowa, gdzie przypatruje się ciekawie pogrzebowi zmarłego króla i koronacyi nowego. Właściwie wyłącznie w piątej pieśni rzeczywistym bohaterem jest Władysław, nie tylko z imienia jako główna osoba poematu, ale jako naczelny wódz w wyprawie moskiewskiej i kierownik dalszych spraw grupujących się około niezgody z Turcyą i walk ze Szwecyą.

Jakby to jednak nie było, chociaż ani planu niema, chociaż raz sprawy ściśle prywatne Władysława opowiada, to znów do publicznych się zwraca, które w żadnym z nim nie stoją związku, przecież pojedyncze części poematu same dla siebie stanowią całostki i zamykają parę kart dziejów Polski. Wobec tego faktu, narzuca się pytanie, jaka jest historyczna wartość „Władysława IV."

Szmat czasu, z trzydziestu lat najważniejsze wypadki prawie bez wyjątku! Może ten zgmatwany w układzie poemat jest nieprzebraną kopalnią, niewyczerpanem źródłem naukowem? Niestety nie.

Idźmy koleją i spisujmy dzieła, jakie Twardowski mógł mieć pod ręką:

Do punktu I. Żółkiewski Stan.: „Początek i progres wojny moskiewskiej". Marchocki Mikołaj: „Historya wojny moskiewskiej" (kończy na roku 1611). Maszkiewicz Samuel: „Dyaryusz" (kończy na przygotowaniach do wojny chocimskiej).

Do punktu II. Sobieski Jakob: „Commentarium belli Chotinensis" (1646 dwukrotnie tłumaczone na język polski w rękopisach). Petrycy Jan: „Rerum in Polonia ac praecipue belli cum Ossmano, Turcarum imperatore, gesti finitique historia anno 1620 et 1621" (1627). Szemberg Teofil (naoczny świadek): „Relacya o polskiej wyprawie do Wołoch" (1621). Zbigniewski Prokop: „Relacya wojny wołoskiej" (1621). Rudomin (świadek naoczny): „Dyaryusz wyprawy wojsk polskich pod Chocim w r. 1621" (wierszem 1640).

Do punktu III. Pac Stefan: „Dyaryusz podróży królewicza Władysława".

Do punktu IV. Koniecpolski Stanisław: „Rozprawa pod Amersztynem z Gustawem Adolfem". — „Relacya wjazdu w Rzymie Jerzego Ossolińskiego, posła." (Przełożona z włoskiego 1633).

Do punktu V. Sobieski Jakób: „Dziennik rokowań z posłami szwedzkimi w Sztumsdorfie.

Do całości: Łubieński Stanisław: „Kronika" (jako dalszy ciąg Heidensteina: zaginęła ona, ale mógł ją mieć jeszcze Twardowski. [1]) Piasecki Paweł: „Chronica gestorum in Europa singularium" (1645). Wassenberg Everhard: „Gesta Vlad. IV." (1641). Gorczyn Jan Aleks.: „Pamięć Władysława IV." (1648). Okolski Szymon: „Dyaryusz" i „Kontynuacya dyaryusza".

Czy wyliczyłem wszystko? Nie: nie wyliczyłem nawet połowy. To jednak już wystarczyłoby, ażeby odtworzyć prawie całego „Władysława", oczywiście co do treści. Ale po za tem są przecież niektóre szczegóły, zwłaszcza w punkcie piątym, które Twardowski wziął z własnych notat. Jedne rzeczy widział sam, inne żywa tradycya z ust do ust obiegająca i jemu życzliwie udzieliła, inne z różnych listów, z pamiętników, z sylw czerpał. Dziś już one zaginęły, ale wówczas krążyły gęsto i przybiegały do rąk p. Samuela.

Naturalnie takie rzeczy, o których pisał:

„A z ust ludzkich y uszu dźwięki te zbieramy", [2])

takie rzeczy mają dla nas wartość historycznego źródła. Niestety ograniczają się do małoważnych szczegółów: tu i ówdzie zapisane nazwisko jednego więcej szlachcica, który życie wiódł ciche, szeroko nie zabłysnął i położył głowę na polu bitwy. Pewnie, że pięknie jest nagrobek takiemu wystawić, pewnie, że ze czcią imię jego wspominamy, ale historya zyskuje na tem mało. Tu i ówdzie wiadomość o jakimś drobnym podjeździe, o którym gdzie indziej się nie słyszało, to znowu szczegolik z oblężenia miasta, albo parę słów o ataku jakiejś chorągwi. Ale historyi całej nie tylko szkielet, lecz także wszystkie główniejsze fakta, nawet tych faktów rozprowadzenie, nawet w tem rozprowadzeniu małe wzmianki wzięte zkądinąd, w innych dziełach odszukać się dadzą. [3])

Pisze Brodziński w swych „Pismach", [4]) że obrzędy i zwyczaje narodowe obszernie i żywo są oddane we „Władysławie IV."

---

[1]) Jego stosunków z Łubieńskim dowodzą dedykacye i wiersze, patrz „Misc. sel."

[2]) „Wład. IV." str. 53.

[3]) Twardowski sam odsyła do innych historyków, str. 13.

[4]) 1872, t. IV. str. 177—228.

I tego niema. Wszystko wypełniają bitwy, potyczki układy, walki w nocy i w dzień, ciągle słychać szczęk bojowy, a po za tem jest wprawdzie pokojowa pieśń trzecia, ale ta zajmuje się zagraniczną podróżą, z której ani obrzędów, ani zwyczajów narodowych nie można poznać. Szersze niejako tło, w którem dadzą się dopatrzeć rzeczy, jakie Brodziński widział, stanowi elekcya Władysława, pogrzeb Zygmunta i Sejm koronacyjny (razem stron 18).

Pomysł takiego rozległego życiorysu wierszem jednego króla był w Polsce nowością. Za granicą inaczej. W samej Hiszpanii pisze Geronimo di Semper „La Carolea" (1560), w którym 30 pieśniami opiewa ważniejsze czyny Karola V. Podobnie Luis Zapata pisze „Carlo famoso" o 40.000 wierszach. Podobnie Juan Rufo Gutierrez „Austriada" o Don Juanie austryackim. Wszystko to jednak nie jest poezya i nasz Twardowski przecież od nich stoi wyżej.

Nuta panegiryczna dźwięczy co prawda, ale jak miało być inaczej, kiedy ten Władysław musiał nielada być człowiekiem, skoro go nawet, jak zapewnia p. Samuel, kamienie chwaliły,[1]) a cesarze rzymscy nie wytrzymali z nim porównania.[2]) Pod względem samego wynalazku, żeby wierszem taki ogrom historyi spisać[3]) i pod względem kompozycyi nie ostoi się „Władysław IV." wobec krytyki. Mówiłem już o braku myśli przewodniej, która sprowadza zupełny brak architektoniki. Ale obok tych zasadniczych wad, obok wielu nudnych rzeczy, sucho, po kronikarsku, z przysypką źle przyczepionych zwrotów niby poetyckich, są piękności, jeno ich szukać trzeba, bo nie na każdej są karcie.

Wiersz jest trzynastozgłoskowy, ulubiony Twardowskiego w „historyach", wynikający z natury rzeczy, zastosowany dobrze. Inne formy byłyby albo za trudne, albo nieodpowiedne. Wszystko, co o klasycznych wpływach powiedziałem przy „Legacyi", mutatis mutandis odnosi się i do Władysława. Najsilniej przypominają się Wergili i Ovidius, zwłaszcza Wergili w tonie, który lubo bez miary gorszy i niklejszy, przecież podobny, jakby na tych samych skrzypcach rzecz o równym nastroju zagrał mistrz-wirtuoz

---

[1]) „Wład. IV.", str. 263.

[2]) Tamże, str. 274.

[3]) Pisali inni, ale o pojedynczych faktach dziejowych, nie taki ogrom.

i skrzypek-amator. Choćby same dedykacye do Jowiszowych cór, choćby sam początek:

„Króla powiem wielkiego w woynie y w pokoiu...“

Porównań epickich nie żałuje, w inne jednak tropy i figury mniej jest poemat ozdobny. Przez to wygląda jak szeroki, długi pas, w którym tu i tam drogie kamienie są osadzone, gdzieniegdzie przetykane perełkami. Nierównomierne rozmieszczenie tych kleinotów wynikło z tego, że Twardowski ogrom taki na wiersz przerabiając, wskutek mało poetycznej treści, wskutek drobiazgowości szczegółów historycznych, wskutek wreszcie niejednokrotnego zasiadania do pracy bez weny, musiał po prostu czasem znaczny kawał pasa pozostawić bez ozdoby.

Porównania, które bierze żywcem z dzieł klasycznych, a które są ściśle spojone ze światem klasycznym, naturalnie są gorsze.[1]) Wszystkie lasy Hercyńskie, Eurusy, Wezuwiusze, Mollosowie, Plutony mogłyby spoczywać w pokoju. Natomiast porównania wzięte z natury, wcale nieźle przeprowadzone, dostosowane dobrze, czasem ładne, czasem nawet piękne. Kiedy Twardowski skupi ich parę w jednem miejscu, wtedy nawzajem się zacierają i mącą wrażenie. Przecież i tu nie bez wyjątków, np.:

„Lata myśl szalona
Jako cyga od dzieci biczami sieczona,
Albo piorun niebieski w bystrey błyskawicy,
Albo po przezroczystey od słońca miednicy
Blask ciskany.“ [2])

Szczególnie miejsca, gdzie mówi o samym Władysławie[3]) są ładne, rzecz zaraz idzie żywszym tempem, wyobraźnia lepiej służyć poczyna. Szkoda tylko, że balast mitologii tak szczodrze rozrzuca, bo przyćmiewa erudycya blask, jaki wywołać potrafi, gdy z nią zerwie.

[1]) Np. na str. 70. Gracyan z desperacyi morduje Turków, jak wół ofiarny, gdy się w świątyni tłucze, skoro się urwie z przed ołtarza. Anachroniczne porównanie.

[2]) „Wład. IV.“ str. 55. Swoją drogą porównanie: „jako cyga i t. d.“ było już w „X. Wiśniowieckim“ (str. 28).

[3]) Np. „Wład. IV.“ str. 48 lub wjazd do Krakowa, str. 201.

Na licencye poetyczne, które gramatykę dla rymu lub rytmu torturują, pozwala sobie bardzo rzadko, za to słów obcych wprowadza dobrze opatrzoną chorągiew.

Alteca (55), presumpcye (61), apprehensye (60), inwitować (61) i t. d. z łacińskiego bardzo dużo. Wierozuby (62), bałakszyje (62), mahloch (76), rodela (126), wekier (127), freysztuk (154), speza (181), abuchty (192), pawiment (206), abszach (241) i t. d. Z drugiej strony są jednak słowa polskie czysto, dziś zatracone, nawet u Lindego nie zapisane. Najsolenniej na tem miejscu zapewniam, że kto słownik polski całkowity wydać zapragnie, nie pożałuje trudu, gdy poematy Twardowskiego przejrzy.

Ramy „Władysława IV" chociaż są znaczne, jednak za małe do tej treści, jaką w nie wpakował autor. Weźmy przykład. Połowa drugiej pieśni opisuje wojnę chocimską: z niej samej robi Wacław Potocki swój wielki poemat. Oczywiście w takich warunkach mógł Potocki rozsnuć doskonały koloryt, dać obraz jednolity, a wierny i barwny, mógł dać przynajmniej słaby przedblask epopei. Twardowski pozostał całkiem w sferze rymowanej historyi. On nawet tam, gdzieby się obeszło, jeszcze przyda kroniki: tak, zanim do sprawy Dymitra przystąpi, wyprowadzi dzieje Moskwy z dawnych, bardzo dawnych czasów, dziw, że nie od Adama i Ewy: tak, zanim do Cecory przyjdzie, wywodzi dzieje Wołoszczyzny od Kazimierza Wielkiego. Przytem szczegóły muszą być porządnie opowiedziane i systematycznie, jak historykowi przystoi. Najpierw wypowiedzenie wojny lub tylko jej przyczyny, potem przygotowania obustronne, taktyczne akcye, spotkanie wojsk, szyk bojowy, epizody, walki i tym ładem w dalszym ciągu, aż do rozejmu i wszystkich punktów pokoju. Głębszego ujęcia historyi nie ma. Są jej zewnętrzne, najbardziej huczne przejawy: wojny. Wszechstronnego obrazu życia narodowego nie ma. Jest jego jeden rys: wojny. Nawet ludzi, którzy siłą rzeczy cisnęli się pod pióro, nie charakteryzuje, jakby się tego pragnęło w imieniu prawa artystycznego. Jeden Władysław dokładniej, trochę Żółkiewski i Chodkiewicz. Darowałoby mu się bodaj żółci nieco np. dla Zygmunta, byleby dał jego sylwetkę. Ale on chwali wszystkich równo, pobieżnie, mimochodem i zbywa ludzi, o którychby się prosiło i pytało, jacy byli, paru słowami wzmianki.

Najpiękniejszymi ustępami są niektóre bitwy. Ładna dość jest cecorska, a taka smutna, taka bolesna, że, kiedy na jej koniec z żalu zapuszcza zasłonę, rozumiemy bardzo dobrze jego przejęcie się sprawą, które mu pióro wytrącało z ręki. Z entuzyazmem

opisuje śmiertelny bój kozackiego podjazdu, który na wołoskiej ziemi osaczony przez 150.000 Turków trzy dni się bronił, póki nie został wysieczony do szczętu.[1] Zupełną słuszność Twardowskiemu przyznać trzeba, kiedy bohaterską walkę tej garstki przeciw tłumowi napastników do Termopil lub Maratonu przyrównuje. W wojnie moskiewskiej bitwę na Skowronkowej górze opisuje dobrze, barwnie i strasznie. Kiedy się takie ustępy czyta, kiedy się pomyśli, że tworzył je człowiek współczesny, z żywem, czującem sercem, dla którego stanowiły radość i szczęście, lub krwawiący ból i łzawy smutek, kiedy się pomyśli, że to wszystko było prawdą, nie zmyśleniem, nie mrzonką poetycznej fantazyi, ale naszą chwałą, przodków naszych bohaterstwem, chlubą naszej ojczyzny, wówczas chciałoby się zamknąć oczy na wszelkie błędy, niedostatki opowieści i przeniósłszy się myślą do szczęśliwszych czasów, czytać bez końca tę naszą wielkość głoszące wiersze.

Dr. Stanisław Turowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) Punkt II.

KLUB PATRYOTYCZNY WARSZAWSKI

w czasach powstania listopadowego

(1830 — 1831).

(Ciąg dalszy).

XVIII.

Zapowiedź *Nowej Polski* o obchodzie Majowym nocy listopadowej. — Program uroczystości. — Generał-gubernator Krukowiecki w opałach. — Odezwa do Rządu Narodowego. — Odpowiedź Krukowieckiemu. — Klub patryotyczny mianuje Krukowieckiego swym członkiem. — Nowe kłopoty Krukowieckiego. — Zapytanie do Rządu. — Odpowiedź wymijająca. — Krukowiecki dozwala na obchód, lecz nie pod gołem niebem.

W N-rze 139 dziennika *Nowa Polska* z 25. maja 1831 r. zamieszczono ogłoszenie następujące:

„Towarzystwo patryotyczne „Bydź albo nie bydź“ postanowiło w dniu 29. maja odbydź półroczny publiczny obchód pamiątki wiekopomnej nocy 29. listopada, w sposób następujący: O godz. 5 po południu członkowie i publiczność zgromadzą się w amfiteatrze teatru łazienkowskiego. O godz. 6-tej prezydujący zagai uroczystość, następnie obok wzniesionego ołtarza wolności zabiorą głosy obywatelskie: ks. A. K. Pułaski, przy-

były z Wołynia obyw. Służewski, wice-prezes Ostrowski i obyw. Chodorowski, poczem nastąpi kantata z towarzyszeniem muzyki.

„Gdy godzina 7-ma ostatnia panowania despotyzmu w Polszcze uderzy, członkowie udadzą się do ogrodu belwederskiego, gdzie ob. wiceprezes Krępowiecki będzie miał mowę na cześć bohaterów belwederskich, poczem czytana będzie oda przez Sew. Goszczyńskiego. Zakończy pieśń „Cześć polskiej ziemi", przez wszystkich przytomnych śpiewana."

Dowiedziawszy się o takim programacie uroczystości generał gubernator stolicy, Jan Krukowiecki, zwrócił się do Rządu Narodowego z odezwą następującego brzmienia:

„W N-rze 139 gazety *Nowa Polska* ogłoszoną jest uroczystość, którą Towarzystwo patryotyczne obchodzić zamierza w Łazienkach i Belwederze d. 29. b. m. Ponieważ ani Łazienki, ani Belweder nie są własnością Tow. Patryotycznego, a Minister spraw wewnętrznych i policyi jest w obawie, że w bliskości lazaretów mogłaby mieć niebezpieczny wpływ na zgromadzenie, mam honor upraszać Rząd Narodowy, aby mnie o intencyi swej w tej mierze najrychlej zawiadomić raczył.

Gen. piechoty: *Jan hr. Krukowiecki.*"

Odpowiedź Rządu Narodowego brzmiała:

„W odpowiedzi na raport JW. Generał-gubernatora z d. 26. b. m. Nr. 5.865 względem uroczystości, którą tak nazwane Towarzystwo Patryotyczne obchodzić zamierza w Łazienkach i Belwederze, oświadcza Rząd Narodowy, że JW. Gen.-gubernator masz do tego prawo, władzę i moc potrzebną, a nawet obowiązek zaradzenia złym skutkom, jakieby takie zgromadzenie, osobliwie w bliskości lazaretu za sobą pociągnąć mogło.

Warszawa, 27. maja 1831 roku.

Prezes Rządu

w zast.: *W. Niemojowski.*"

Dowiedziało się Towarzystwo Patryotyczne przez swoich zaufanych, do sfer rządowych zbliżonych członków, o tej wymianie odezw między Rządem i Krukowieckim, chcąc więc zaszachować możliwe następstwa zakazu uroczystości majowej, na zebraniu nad-

zwyczajnem zamianowało generał-gubernatora swoim członkiem honorowym, o czem go bezzwłocznie zawiadomiło.

Ze swej strony Rząd Narodowy przez audytora generalnego uprzedził Krukowieckiego, iż istnienie Towarzystwa patryotycznego sprzeciwa się obowiązującym prawom.

Krukowiecki ambitny znalazł się w położeniu krytycznem i odezwą do Rządu Narodowego z d. 26. maja oświadczył:

„Uwiadomiony przez audytora generalnego, że stosownie do art. 1. i 2. Postanowienia z d. 6. listopada 1821 r. wszelkie towarzystwa są zakazane, a odebrawszy zawiadomienie, że Towarzystwo patryotyczne uczyniło mi zaszczyt obrać mnie Swym Członkiem honorowym, mam honor zapytać Rządu Narodowego, czyli z tego chlubnego mianowania korzystać mogę?

Gen. piechoty: *Jan hr. Krukowiecki.*“

Rząd Narodowy odpowiedział:

„Gdy postanowienie dawnego Rządu, z dnia 6. listopada, odnosi się do towarzystw tajnych i miało na celu osiągnięcie zamiarów dzisiejszemu Rządowi obcych,

„gdy Rząd Narodowy dotychczas obojętnie patrzał na istnienie stowarzyszenia, które tytuł Towarzystwa patryotycznego przybrało,

„zostawionem więc bydź powinno woli i rozpoznaniu JW. Gen.-gubernatora, czyli zechcesz należeć do Towarzystwa, które nie posiada dotąd zatwierdzenia rządowego.

„Doświadczenie JW. Generała w długiej i chlubnej dla niego służbie nabyte, Jego znane obywatelstwo i patryotyzm rzetelny są Rządowi Narodowemu rękojmią rezolucyi, jaką JW. Generał w tym względzie weźmiesz.

„Taką jest odpowiedź, którą Rząd Narodowy za najstosowniejszą uznał na Odezwę JW. Generał-gubernatora z dnia 26. b. m. Nr. 5.874.

Warszawa, 27. maja 1831 r.

Prezes rządu:

w zast.: *W. N.*“

Krukowiecki wybrał drogę pośrednią. Nie odrzucając ofiarowanej sobie godności członka klubu, zezwolił jedynie na odby-

cie uroczystości w murach gmachów stolicy, lecz nie pod gołem niebem, wskutek czego w programacie zapowiedzianym nastąpiła zmiana.

XIX.

Dwa obchody Majowe. — W sali akademickiej i redutowej. — Szyrma o rycerzach Ostrołęki. — Wiersz Oknińskiego. — Żart Gołka. — Hymn Czeczota. — W klubie. — Mowa Lelewela o konieczności rewolucyi socyalnej. — Kantata Stefaniego. — Mowa szewca Chodorowskiego. — Mowa Krępowieckiego.

W dniu 29. maja 1831 r. odbyły się dwa obchody, jeden urządzony staraniem prof. Szyrmy w sali uniwersyteckiej, drugi w salach redutowych staraniem prezesa klubu, Lelewela.

W Uniwersytecie prof. Szyrma starał się wykazać wpływ ducha narodowego na wypadki w rewolucyi, wspomniał z uwielbieniem o bohaterskich cieniach generałów Kickiego i Kamińskiego, poległych w krwawej bitwie pod Ostrołęką.

Hunnicki odczytał poezye oklaskami przyjęte. Po nim p. Okniński deklamował wiersz: „Wspomnienia chwil upłynionych", tudzież przekład wiersza Delavigne'a „Do Polaków". Grabowski czytał prozą dyatrybę przeciw arystokracyi skierowaną.

Wyrwał się z czytaniem, bez pozwolenia prezydującego, niejaki Gołek, członek Klubu patryotycznego, na temat: „być, albo nie być" i dowodził, że się chce pożegnać z rodakami, iść na wojnę i dłużej w Warszawie „nie być".

Przerwano mu sykaniem, tupaniem i śmiechem. Tymczasem rozpoczęto śpiewy. Jakaś dama odśpiewała wiersz „Do skowronka" Suchodolskiego, nadesłany z pola bitwy.

Zakończono posiedzenie następującym życzeniem: „Cześć dla tych, którzy bohaterów 29. Listopada uznawszy za dzieci narodowe, zachowali rewolucyę od zguby i okazali się przez to prawdziwymi ojcami narodu. Niech żyją reprezentanci Polski!"

Wzniesiono również okrzyk na cześć tych, co w walce chlubne odnieśli blizny i co dla ojczyzny polegli. Hymn „Cześć polskiej ziemi", odśpiewany chórem, zakończył uroczystość, na której był obecny marszałek sejmowy, wielu posłów i znaczna liczba dam.

Z kolei odbyło się posiedzenie Klubu patryotycznego pod prezydencyą Lelewela, który zagaił je mową, zapowiadającą konieczność rewolucyi socyalnej.

„Już pół roku mija — głosił Lelewel — od pamiętnej nocy 29. listopada, która dała hasło nowego w narodzie poruszenia. Nie same bliskie przyczyny na to wpływały, nie same nadużycia i gwałty, które osobistą wolność i narodowe uczucia dotykały. Dalsze są tego przyczyny, ktore w samym narodzie zdawna egzystują.

„Przed wiekiem Rzplta polska uciśniona klęskami i niedolą, osłabła, wpadła w niemoc i odrętwienie. Ledwie do uczucia przychodzić poczęła, dotknęły ją ciosy, które zjednały jej upadek. Wielokrotnie ponawiane usilności powstania narodu, na własnej i na obcej ziemi okazane, stały się głośne po całej kuli ziemskiej. Długo były one daremne. Los podźwignął to Księstwo Warszawskie, to małe królestwo, w których niejakie znaczenie narodu wskrzeszone było, ale brakowało niepodległości. Od pamiętnej nocy 29. listopada upomniał się naród o swoj byt i swoją niepodległość. Sejm obecnie obradujący wielolicznymi aktami, przystąpił do powstania narodowego, powołał do tego powstania Naród, powołał braci naszych Polaków pod jarzmem rossyjskiem będących, którzy w Litwie, na Wołyniu, na Podolu i na Ukrainie porwali się do broni wspólnie z nami dobijać się niepodległości. Sejm i naród zarówno dały dostateczne dowody poświęcenia się i wytrwałości. Z Sejmu wynikły najświetniejszego patryotyzmu i najgodniejszego uznania decyzye; w Narodzie objawiła się nieograniczona wola wyswobodzenia. Dziś, albo nigdy! Nadeszła dla Narodu polskiego chwila, aby swego dopiął. Epoka tego ostatniego wysilenia, hasłem p o w s t a n i a stała się noc 29. listopada, zasługuje tedy na uroczysty obchód.

„Dźwigając się wśród Polski z poniżenia swego, niemniej począł ulegać t o w a r z y s k i m z m i a n o m. Głośna, nam zaszczyt i sławę przynosząca, a dziś niedość od nas znana i oceniona k o n s t y t u c y a 3. M a j a jest niejako p o c z ą t k i e m r e w o l u c y i s o c y a l n e j, która się od tej daty bez przerwy toczy. W upadku swoim był naród rozerwany między trzy ościenne mocarstwa, a w tym upadku zachodziły w nim s o c y a l n e o d m i a n y, które postęp rewolucyi popierały. Wzrastała mimo wszelkich przeszkód oświata, rozpowszechniała do wszelkich klas ludu i między ludźmi stosunki odmieniała. Zaledwie w Księstwie i Królestwie niejaki byt narodu ukazał się, aliści ten uzyskał konstytucyę, do-

wód jasny, że bez politycznego życia, naród polski egzystować przez się nie może. Konstytucye te nadały równe, polityczne i cywilne prawo całemu obywatelstwu jakiegokolwiek stanu. Dziś, obecnie obradujący Sejm pomyka dalej socyalne odmiany, popiera w narodzie towarzyską rewolucyę. Wziął on przed się los włościan, których ulepszenie bytu będzie znamienitym aktem rewolucyi socyalnej. Wkrótce połączą się województwa wschodnie z naszemi nadwiślańskiemi. Inny jest w tamtych stan socyalny, nieodzownem się tedy staje dalsze rozwinięcie się rewolucyi socyalnej. Kojarząc się jedne z drugiemi, kojarzyć będą swe socyalne porządki, im więcej są różne, tem więcej odmianie ulegać będą. Tak tedy pamiętna noc 29. listopada, stała się nowem hasłem rewolucyi socyalnej, w której od tak dawna naród postępował. Równie tedy i z tego powodu pamiętną się staje, zdarzeniem wielkiej wagi i godnem uroczystego obchodu.

„Obchodzimy ją tedy po upłynieniu półrocza, które było dowodem, ile wytrwałości, ile poświęcenia naród okazuje; obchodzimy tem posiedzeniem, w którem inni mówcy sławić ją będą."

Po Lelewelu obywatel z Wołynia, Służewski w imieniu braci przemówił z zapałem.

Kantata, kompozycyi Stefaniego do słów Słowaczyńskiego, odśpiewana przez artystów Teatru Narodowego, pozyskała ogólny poklask. Wszedł następnie na mównicę sędziwy Roch Chodorowski, szewc, i głosem prostoty uczcił zasługi ludu polskiego i zakończył swą przemowę w słowach:

„Nie żądamy skarbów, ani też honorów, które prostota nasza śmiesznymi widzi. Mało chcemy... niech przecież w nas widzą ślepi a pyszni ludzie podobne sobie stworzenia. Niech spojrzą litośnie na ten nasz bratni lud wiejski, z tak bezprzykładną ochotą broni, poświęceniem życia, chyba tylko swojej nędzy i swoich nauczycieli: niech w przyszłości od tej rewolucyi świętej nie będzie na ziemi naszej pysznych panów, mieszczan i chłopów, ale tylko poczciwi Polacy, chociaż różniący się mieniem, ale jednakowi cnotami i obywatelską równością!"

Ksiądz Kazimierz Pułaski przedstawił w mowie swej obraz powstania i kampanii i zwracając się do Francuzów tą jedynie zapowiedział zemstę, że w złej doli Francyi, Polska za nią jeszcze krew przeleje.

Długą tę mowę podaje *Gazeta Polska* w Nr. 153. i 154. z r. 1831.

Tadeusz Krępowiecki zakończył uroczystość patryotyczną przemową, a obecni chórem odśpiewali: „Cześć polskiej ziemi".

XX.

Następstwa mowy jakobińskiej Lelewela. — Deputacya z Izby Sejmowej u Skrzyneckiego. — Tajna narada delegatów w sprawie rozwiązania klubu. — Protest Lelewela. — Rozłam w łonie klubu. — *Nowa Polska* w obronie Lelewela. — Dwie odezwy członków klubu, jedna, za jego rozwiązaniem, druga, za jego utrzymaniem.

Głos Lelewela, wieszczący konieczność rewolucyi socyalnej, nie przeszedł bez echa.

Deputacya wyznaczona z Izby sejmowej do Naczelnego wodza Skrzyneckiego dla wynurzenia uczuć wdzięczności za bohaterskie wysiłki armii narodowej, powróciwszy ze swej misyi, w d. 3. czerwca odbyła tajne posiedzenie, na którem, między innemi sprawami pilnemi, poruszyła sprawę zamknięcia klubu patryotycznego i skierowania jego członków do najważniejszej sprawy — obrony zagrożonej stolicy.

Dowiedziawszy się o owej naradzie, prezes Lelewel nadesłał w d. 4. czerwca do klubu protest następującej osnowy:

„Obywatele! Dowiedziałem się, że dnia wczorajszego, na zebraniu nadzwyczajnem, przez dwudziestu kilku obywateli, wyrzeczone zostało rozwiązanie Towarzystwa patryotycznego.

„Powołany w początkach rewolucyi życzliwością licznych obywateli do przewodniczenia tworzącemu się Towarzystwu, nie miałem dosyć czasu, dość często odwiedzać obrady. Wszakże z pełną ufnością w godność uczucia grona całego, polegając na szczerem wylaniu się każdego dla sprawy powszechnej narodu i ojczyzny żadnym krokiem, anim się wyparł, ani usunął od obywatelów, tak tych, którzy się rozbiegli w usłudze Ojczyzny, jak w miejscu obradujących. Nigdy w życiu do żadnych pokątnych stowarzyszeń nie należałem, ale z chęcią przystąpiłem do jawnych obrad obywatelskich. Dotykały nas ciężkie oszczerstwa i potwarze ale te ani na chwilę nie mogły zachwiać mojego dla obywatelskich uczuć zaufania, ani zwrócić z drogi, po której mnie przekonanie moje prowadzi.

„Podług mego przekonania, obywatele przypadkowo zebrani na nadzwyczajne posiedzenie, nie mogli w imię Towarzystwa wyrzekać ani o rozwiązaniu Towarzystwa, ani o zamknięciu, ani o zawieszeniu obecnych jego obrad. Podług mego przekonania, obywatele mogli o tym przedmiocie mówić, rozważać go, ale decyzya do zwyczajnego zebrania należała.

„Podług mego przekonania, na zwyczajnem obywatelów zebraniu można było wyrzec o zawieszeniu, o zamknięciu obecnych obrad Towarzystwa, ale rozwiązywać nikt nie ma prawa.

„Wiadomość o zadecydowaniu rozwiązania napełniła mnie niemałem strapieniem. Nie obawiam się, aby mnie obywatele posądzać mieli o jakie do tego z mej strony podniety, ale się lękam, aby nie mniemano, że na to przystać mogę. Gdyby się obecnie obradujących obywatelów wola powszechna objawiła, zawiesić, zamknąć obecne obrady, winienbym takową szanować i podpisać, ale o rozwiązaniu i bycie Towarzystwa nikt obecnie wyrzekać niema mocy i takiego aktu podpisywać nie mogę. Nie wpływałem na zawiązanie się Towarzystwa, rozwiązywać go nie mogę, ani do rozwiązania przystępywać, owszem, przeciw aktowi takiemu protestować się będę.

„Zdarzenie wczorajsze zbyt skwapliwie zaszłe, spowodowało mnie do niniejszego przełożenia na piśmie, abym wyraźnie i jawnie niepewności, jakieby o mojem w tej mierze przekonaniu zachodzić mogły, uchylił i o mojem jednostajnem postępowaniu wszystko obywatelstwo zapewnił.

Warszawa, 5. czerwca, piątek, 1831 r.

Lelewel Joachim.“

Zamiar rozwiązania klubu podał deputacyi sejmowej poseł Ledochowski, uzasadniając swój projekt jakobińskiemi zasadami stowarzyszenia, na którego czele stał Lelewel. Projekt ów był w związku z zamierzonem wywróceniem rządu i potrzeba zaprowadzenia w nim większej centralizacyi i energii.

Przeciw takim zamysłom powstał dziennik *Nowa Polska* w Nr. 149 z d. 5. czerwca 1831 r. w słowach:

„P. Ledochowski mówi sobie: Ponieważ Joachim Lelewel jest prezesem Towarzystwa patryotycznego, wyznającego jakobińskie zasady, a więc rząd wywrócić trzeba. Nie jesteśmy ślepymi wielbicielami Joachima Lelewela. Jesteśmy tylko sędziami czynów

i zasług ojczyźnie. Wszechstronna i wielka nauka Lelewela, jego patryotyzm wsławiony prześladowaniem, jego imię rozniesione po całej Europie, jego mnogie pisma nacechowane prawdą, miłością Polski i zbawiennemi zasadami, jego przeważny wpływ na wybuchnienie rewolucyi 29. list., jego nieskazitelny charakter, jego duma nie umiejąca ulegać żadnym względom i widokom, żadnym obawom, jego nareszcie wielkie przekonanie, że to, co działa i mówi, Polskę może zbawić, to wszystko p. Ledochowski umiał wykrzywić i znieważyć...

„P. Ledochowski woła, że Towarzystwo patryotyczne ma jakobińskie zasady. Jakież ma dowody? Posiedzenia nie sąż publiczne? Ustawy, czy są tajemne? Jeżeli p. Ledochowski, nie mając dowodów, rozsiewa tylko podejrzenia, jeśli nie mogąc wynaleźć winy, twierdzi, że wina być może, jeśli własne domniemania za zbrodnie Towarzystwu poczytuje, musimy powiedzieć, że p. Ledochowski nadaje fałszywy kierunek swemu patryotyzmowi, że nie jest patryotyzmem znieważać swoich ziomków, zohydzać wielkie imię i nazywać bezprawnem Towarzystwo, którego nasze prawo nie tylko nie zabrania, ale dozwala.

„P. Ledochowski dalej przemówił wyrazy socyalna rewolucya... Rozumież on, co jest rewolucya socyalna? Zaręczamy, że nie pojmuje. Rewolucyą socyalną miała Francya. Widziała domowe rozboje i rabunki, lecz historya, lecz rozum dał zupełne rozgrzeszenie rewolucyjnej Francyi. Francya spełniła wielkie zbrodnie, prawda, lecz zmuszona była walczyć przeciw sprzymierzonym tronom, przeciw domowym potwarzom i nieprzyjaciołom, rozwinęła okropną energię, rozkiełznała wszystkie namiętności. Lecz Francya ocaliła cywilizacyę Europy, własną niepodległość, wszystkie święte i zbawienne zasady swej rewolucyi, dziś będące i własnością i życzeniem Europy!“

Tego rodzaju poglądy i zaniepokojenie opinii publicznej zapowiedzią przewrotu w stosunkach socyalnych narodu walczącego o niepodległość, wywołały w łonie klubu patryotycznego rozłam.

Znaleźli się członkowie, którzy walkę z istniejącym porządkiem rzeczy, przy pomocy klubu, uznali za zgubną i dnia 2. czerwca na zebraniu nadzwyczajnem uchwalili klub rozwiązać.

Obwieściły o takiem postanowieniu niektóre dzienniki w słowach:

„Towarzystwo patryotyczne po wysłuchaniu mowców swoich stanowi: Towarzystwo patryotyczne jest rozwiązane i nie istnieje.

„Działo się na posiedzeniu Towarzystwa, dnia 2. czerwca 1831 r.

Wiceprezes: *Tadeusz Krępowiecki.* Sekretarz: *W. Kazimirski.*“

Tymczasem inne stronnictwo, zaprotestowawszy przeciw takiej uchwale, nadesłało do redakcyi (*Gazety Polskiej*) odezwę następującego brzmienia:

„Towarzystwo patryotyczne ma zaszczyt donieść, iż na posiedzeniu swojem zwyczajnem, d. 3. czerwca 1831 roku, ustanowiło, że zebranie się niektórych członków w dniu 2. czerwca, na którem zamyślano rozwiązanie Towarzystwa, ma za nieważne i nie było.

„W Warszawie, na ogólnem zwyczajnem posiedzeniu Towarzystwa, 3. czerwca 1831 r.

Prezydujący: *Walenty Zwierkowski.* Za sekretarza: *Ks. Kazimierz Al. Pułaski.* (*Nowa Polska*, Nr. 151 z r. 1831).

XXI.

Rząd Narodowy przeciwdziała dążnościom jakobińskim klubu urządzeniem obchodów narodowych w ogrodach Krasińskim i Saskim 5. i 12. czerwca 1831 roku. — Wojsko i lud. — Biesiada i toasty. — Uczta w ogrodzie Saskim. — Chorągwie i napisy. — Generalitet polski. — Toast Skrzyneckiego. — Toast kasztelana Niemcewicza. — Toast księcia prezesa Czartoryskiego na cześć Warszawy.

Pamiętamy dobrze urządzony za dni naszych 5. listopada 1905 r. wspaniały pochód narodowy przez ulice Warszawy. Miał on być i był w rzeczy samej godłem ruchu, skierowanego przeciw wybujałym dążnościom stronnictwa, które wolność w znaczeniu ogólno-ludzkiem stawiało wyżej nad aspiracye do niepodległości politycznej i samowiedzy narodowej, opartej na tradycyi.

Takiego środka przeciwdziałania budzącemu się ruchowi socyalnemu za przewodem klubu patryotycznego, użył Rząd Naro-

dowy w d. 5. czerwca 1831 roku, urządziwszy ucztę dla wojska w ogrodzie Krasińskich.

O godz. 2-giej z południa zastawiono tam liczne stoły dla oficerów i żołnierzy wszelakiej broni. Gwardya narodowa obsługiwała walecznych bojowników. Muzyka porozstawiana na trawnikach przygrywała, po obiedzie zaś i po licznych toastach rozpoczęto tańce. Wkrótce cały ogród zamienił się w jedno koło tańczących. Niewiasty wszystkich stanów przyjęły w tej zabawie udział. O godzinie 7-ej bębny wezwały wojowników do obozu. W porządku opuścili oni miejsce zabawy, pożegnawszy gościnnych gwardyaków narodowych.

Świetniejszą jeszcze była uczta w ogrodzie Saskim 12. czerwca. Zaproszono tu 250 oficerów wszelkich stopni i 3200 żołnierzy. Zastawiono pod lipami olbrzymie stoły. Sędziwi weterani przypomnieli sobie wtedy uroczystość, gdy w ogrodzie Saskim po ogłoszeniu konstytucyi 3. Maja. Stanisław Sołtyk zgromadził około siebie patryotów, autorów wiekopomnej ustawy, a młodzież przy blasku księżyca radziła nad losami Ojczyzny.

W środku ogrodu urządzono piramidę, ozdobioną zdobycznemi chorągwiami z napisami: „W imię Boga za naszą i waszą wolność!“ i tarczą, na której wypisano pola bitew niedawno zwycięsko stoczonych. Orkiestry grały pieśni narodowe.

Przy oddzielnym stole zasiedli: wódz naczelny Skrzynecki, członkowie Rządu narodowego, marszałek Sejmu, wielu posłów, kasztelan Niemcewicz i minister spraw wewnętrznych.

Dowódca gwardyi narodowej, wojewoda Ostrowski wzniósł szereg toastów, zdrowie bohaterskiego wojska, Naczelnego wodza, Rządu narodowego, posłów, pierwszego grenadyera gwardyi narodowej polskiej i zdrowie Polek.

Naczelny wódz wzniósł zdrowie gwardyi narodowej i jej dowódcy, następnie zdrowie księcia prezesa Rządu narodowego. Ósmy toast wygłosił marszałek Sejmu na cześć bohaterskiego wojska.

Kasztelan Niemcewicz wzniósł zdrowie obywateli Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy, na to odpowiedział naczelnik powstania wołyńskiego, Dominik Stecki.

Dziesiąty toast wzniósł prezes Rządu narodowego Czartoryski na cześć Warszawy, pierwszego ogniska powstania.

Po uczcie zaczęły się śpiewy i tańce. Znikła wszelka różnica stanów. Posłowie wdali się w rozmowę z wiarusami, oddawali cześć ich męstwu i wytrwałości.

O godzinie 7-mej ozwały się bębny, wzywające wojsko do obozu. Okrzyk wielu tysięcy zgromadzonego ludu pożegnał obrońców Ojczyzny. Nie pilnowały ich straże bezpieczeństwa. Obchód cały odznaczał się uroczystym nastrojem i porządkiem i niezatarte w sercach ludności warszawskiej pozostawił wrażenie.

Alexander Kraushar.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z życia domowego szlachty sandeckiej w epoce Wazów.

(Ciąg dalszy).

Panowie rajcy pomyśleli także o ugoszczeniu wielmożnego pana starosty. Pod przewodnictwem sławetnego Sebastyana Żmijowskiego, rewizora wina, zapuścili się w podziemia królewskiego miasta swego, aby zobaczyć składy daru Bożego, którym Stwórca węgierskie nasze sąsiady wyposażył i wyszczególnił przed innymi narodami. I znaleziono w mieście 23 składy węgierskiego wina, a w nich beczek 334. Obejrzawszy się tedy po owych składach, mianowicie między beczkami Bonpaula Węgrzyna, wybrali panowie rajcy maślacza czteroputowego, t. j. takiego, gdzie na jedną beczkę moszczu wchodziło 4 putni wyśmienitych rodzynek, i ugodzili ją za 150 złp.

Witając tedy pana starostę, ofiarowali mu ją w dowód uniżoności swej i posłuszeństwa i radości z przybycia, poczem w rejestrze wydatków nadzwyczajnych zapisano: „Na przywitanie Imci pana starosty darowaliśmy beczkę wina za półtorasta“. Starszy dworzanin starosty dostał ciepłą ręką honorarium talerów twardych 10, czyli 30 złp., aby się przyczyniał za miastem i rajców jego pańskiej łasce poufnie polecał, a wpływem swoim biednych ludzi od ciężarów ochraniał.

Załogę miasta stanowiło mieszczaństwo, obowiązane bronić miasta swego w czasie wojennych napadów. Każdy cech miał sobie przydzieloną basztę, czyli wieżę miejską, w obrębie murów warownych, która raz na zawsze miała być opatrzoną w strzelbę, t. j. broń palną, tak ręczną jako i wałową, proch, kule i wszelki rynsztunek wojenny. W celu wprawiania mieszczan do broni, odbywano cztery razy do roku podczas jarmarków ćwiczenia wojenne, czyli okazowania zbrojne albo monstry. A to pogotowie wojenne nie było wcale zbytecznem, kiedy zbójcy podgórscy napadali jarmarki, hałaśliwa zaś szlachta, zjechawszy do miasta, dopuszczała się różnych wybryków i nadużyć.

Zapraszano wtedy do regimentowania świadomego wojenki mieszczanina, lecz najczęściej szlachcica, osiadłego w mieście; najbardziej jednak radzi byli mieszczanie iść pod rozkazy jakiego porucznika lub rotmistrza, jeżeli właśnie przebywał w mieście lub przejeżdżał, a dał się uprosić. Wdzięczne miasto Jego Królewskiej Mości nie zapomniało też ugościć panów wojskowych, zapisując to do księgi wydatków. I tak w r. 1644 zanotowano: „Przed wyjazdem chorągwi dragańskiej z miasta, rotmistrzowi i oficerom, którzy byli przy monstrze generalnej miejskiej, dało się kontentacyi 3 garnce wina za 6 złp." W r. 1651 „dla pana Krzesza, regimentarza na okazyi, za półgarnca wina 1 złp. 6 gr." Czasami, jeżeli stała dragonia w mieście, używano dobosza od dragonii, jak w r. 1644, gdzie zapisano: „Doboszowi dragańskiemu podczas monstry miejskiej, także trwog węgierskich, [1] za pracę 1 złp. 3 gr." W czasie monstry strzelano do tarczy, a zaszczycał ją niekiedy obecnością swoją sam starosta grodowy, n. p. w r. 1648 Konstanty Lubomirski, wraz z małżonką swoją niedawno poślubioną, Barbarą Domicelą ze Szczawińskich, wojewodzianką brzesko-kujawską, oraz liczną szlachtą, grodzką i ziemską.

Nie sami jednak mieszczanie ze szlachtą przychodzili na monstrę wojenną. W groźnych czasach wojennych brali w niej czynny udział także chłopi, poddani wsi miejskich. Miasto rade im było i raczyło ich piwem. Tak n. p. w r. 1655 zanotowano: „Panom mieszczanom, którzy na monstrę wychodzili, według dawnego zwyczaju na achtel piwa 4 złp. 10 gr.; chłopom, którzy na monstrę przyszli z innych wsi, na achtel piwa 4 złp. 10 gr.;

[1]) Z powodu morowego powietrza, grasującego wówczas na Węgrzech.

dla panów kolegów,[1]) gdy z monstry przyszli, za 2 garnce wina 3 złp. 6 gr.; dla regimentarzów, którzy byli na monstrze, za półgarnca wina 24 gr." — Podobny zapisek znajduje pod r. 1656: „Za 3 achtele piwa na jeneralną monstrę: jeden dla panów mieszczan, drugi dla przedmieszczan, a trzeci dla wsianów *(sic)*, aby accedente aliquo casu ochotniej szli do murów i obrony, 12 złp.; dla panów kolegów, którzy na tejże monstrze prezydowali, za 3 garnce wina 6 złp.; dla dwóch regimentarzów półgarnca wina 1 złp.; na piwo dla różnych osób znaczniejszych, którzy byli praesentes przy tej monstrze, 18 gr."

Takie okazowania zbrojne zaprawiały mieszczaństwo do szermierki wojennej, a w czasie najazdu szwedzkiego zostały pomyślnym uwieńczone skutkiem. Z początkiem października 1655 r. wkroczyli wprawdzie Szwedzi do Nowego Sącza, pod wodzą pułkownika Jerzego Forgwella, lecz niedługo w nim utrzymać się zdołali. Różne grabieże szwedzkie, a jeszcze bardziej wieść o znieważeniu przez tych wrogów grobów kollegiaty — wskutek zdrady szlachcica, Floryana Siemichowskiego,[2]) który niedługo przedtem (1652) porzucił Aryan i był ochrzczony w Bruśniku, a teraz znów powrócił do nich i połączył się ze Szwedami — lotem błyskawicy rozeszła się po całej okolicy i rozjątrzyła całą ludność do ostateczności. W mieszczanach sandeckich zakipiała rycerska krew przeciw łupiestwom szwedzkim. Chwycili więc za broń, a przy pomocy włościan z Nawojowej, Podegrodzia i Brzeznej, pod dowództwem braci szlachty: Jana i Krzysztofa Wąsowiczów, oraz Felicyana Kochowskiego,[3]) zadali Szwedom najzupełniejszą klęskę 13. grudnia 1655, i wyparli ich z miasta.

[1]) To jest dla rajców (consules) i ławników (scabini) miejskich. Zarząd bowiem miasta spoczywał w ręku rajców, z burmistrzem (proconsul) na czele; sądownictwo zaś w ręku ławników, pod przewodnictwem wójta (advocatus). Wybory tak rajców, jak i ławników, odbywały się corocznie na ratuszu, zwykle w lutym. Przewodniczył tym wyborom czasami sam starosta grodowy, lecz najczęściej jego podstarości, burgrabia zamkowy, dworzanin lub inny jaki znakomity szlachcic, wraz z inną szlachtą asystującą.

[2]) Pojmany potem i oddany sądowi wójtowskiemu, musiał dać głowę pod topór kata, na środku rynku pod pręgierzem, 22. grudnia 1655. Pogrzebiony za murami miasta na miejscu tracenia złoczyńców; burmistrz zaś, Jan Marcowicz, zapisał w księdze wydatków: „Exekurowi od exekucyi Siemichowskiego, co zrabował groby u fary i nawodził Szwedów, 3 złp."

[3]) Dowódca piechoty nawojowskiej, stryj Wespazyana Kochowskiego, historyka-poety († 1700).

Nawet w uroczystościach kościelnych spostrzegamy pewną łączność i korzenie się przed Panem Zastępów szlachty wspólnie z mieszczaństwem. Jeżeli każdej uroczystości kościelnej towarzyszyły bębny i trąby, to na obchody Bożego Ciała wszystko, co tylko mogło dodać okazałości, spoiło się z sobą. Całe miasto wraz z szlachtą grodzką wyroiło się w najlepszych szatach. Cechy stanęły pod bronią z regimentarzem i chorążym na czele, a działa ponabijane przygotowano po basztach lub na wałach miejskich. Ołtarze przybrano w obrazy i różnobarwne firanki, drogi umajono brzeziną, uwieńczoną w kwiaty, całą zaś drogę, którędy po rynku obnoszono Przenajśw. Sakrament, wysadzono szpalerem zielonych drzew, zwykle z brzóz jedna przy drugiej, i wysypano szuwarem.

Podczas tego obchodu „puszkarz puszczał strzelbę", t. j. dawał ognia z muszkietów i półhaków, a równocześnie odzywały się salwy armatnie; dobosze bębnili, trębacze trąbili, regimentarz zaś regimentował piechotą miejską. Jeśli możliwem było, zapraszano na tę uroczystość trębaczy i dobosza od dragonii, lub innego wojskowego, a kantor zaciągał muzyków i śpiewaków, zaco wszyscy odbierali stosowne honorarya. I tak w r. 1628 „w dzień Bożego Ciała dla ozdoby procesyi i chwały Bożej, dało się porucznikowi, który regimentował pospólstwem, 2 chorążym, 2 bębenistom, 2 puszkarzom i trębaczom kontentacyi 3 złp. 7 gr." — W r. 1638 „trębaczowi, korneciście i puzanistom dwom, którzy grali w procesyi Bożego Ciała, kontentacyi 1 złp." — W r. 1647 „dla trębaczów Imci pana starosty, którzy trąbili w procesyi Bożego Ciała, dano na miód 1 złp. 6 gr.; dla szyposzów jegomości starosty w tenże dzień na miód 1 złp. 6 gr.; regimentarzom miejskim kontentacyi wedle zwyczaju pod tenże czas 18 gr.; kantorowi według dawnego zwyczaju 2 złp.; bębeniście 12 gr."

Ostatnim objawem dobrych stosunków pomiędzy szlachtą a mieszczaństwem, było wzajemne pożyczanie pieniędzy, spółki handlowe wina i sukna, oraz pobieranie towarów na kredyt lub zastaw. Stosunkowi temu poświęciłem dwa poprzednie rozdziały, gdzie zestawione szczegóły wyjaśniły rzecz dostatecznie.

ROZDZIAŁ V.

Pieniactwo i awantury.

1. Piotr z Rożnowa Rożen, dziedzic Mogilna i Koniuszowej, był wybitnym typem szlachcica pieniacza, jak świadczą rozliczne protesty i reprotesty przeciwko niemu, w aktach grodzkich sande-

ckich i ziemskich czchowskich. Ks. Mikołaj Gliński, pleban mogilski, dopominał się zaległych pieniędzy kościelnych u Jana Karczmarza, poddanego Rożna. Rozgniewany o to pan dziedzic, wpadł na plebanię z bronią w ręku 25. lipca 1621. a dobywszy szabli, płazował nią księdza po plecach. Nie dość jeszcze złego. Tego samego dnia, gdy ksiądz Gliński szedł do kościoła w zamiarze odprawienia nieszporów przed uroczystością św. Anny, oraz rozpoczęcia jubileuszu, nadanego od papieża Grzegorza XV., zastąpił mu drogę pan Rożen ze swymi hajdukami dworskimi. Kazał go porwać przemocą i rozciągnąć na ziemi, a potem wraz z nimi bił go nielitościwie, deptał nogami i piersi jego kolanami potłukł, przyczem ostrogami poranił mu wargi, ręce i nogi, sutannę zaś kapłańską podziurawił i poszarpał, wreszcie odebrał mu klucze kościelne i zamknął przed nim kościół. Na to barbarzyńskie widowisko patrzali ze zgrozą parafianie mogilscy wraz ze szlachtą, bardzo licznie w tym dniu zebrani, z powodu rozpoczęcia jubileuszu świeżo ogłoszonego. Tak haniebnej zniewagi, wyrządzonej osobie duchownej z pogwałceniem praw Boskich i ludzkich, trudno było zamilczeć i puścić bezkarnie. Dlatego znieważony kapłan wniósł bezzwłocznie skargę do grodu sandeckiego i do sądu ziemskiego w Czchowie, ten zaś w imieniu króla Zygmunta III. skazał Rożna na karę 1.000 grzywien (1.600 złp.) i przeproszenie księdza.[1])

Nader uprzykrzone sąsiedztwo miał też Nowy Sącz z tym Piotrem Rożnem, który od r. 1626 ciągle wrębywał się w miejskie lasy w Paszynie i ustawicznie miedzę swoje rozszerzał. Z tego powodu zanoszono nieraz przeciwko niemu żałobę, jużto do grodu sandeckiego, jużto do sądu ziemskiego w Czchowie,[2]) a nawet do trybunału w Lublinie. Nieczuły pan Rożen na te wszystkie protesty i żale, jakby w odpowiedzi na nie, kazał po dawnemu poddanym swoim najeżdżać miejskie lasy i wyrębywać w nich drzewo. Ale i miasto pamiętało o sobie. Wójtowie wsi miejskich: Paszyna i Piątkowej, nie dla pozoru tylko odprawiali rok rocznie prawo rugowe[3]) i ćwiczenia wojenne z parobkami obu gmin. A skoro panowie rajcy rozkazali strzedz lasu, to obaj wójtowie, zwoławszy co śmielszych, obskoczyli mogilskich najezdników, i jak niepy-

---

[1]) Act. Castr. Sandec. T. 115, p. 908—910. Act. Terrestria Czchow. T. 32, p. 157—159.

[2]) Act. Terrestr. Czchow. T. 57. p. 108.

[3]) Od niem. Rüge, Rügen — urzędowe badanie, roztrząsanie, sądzenie spraw poddanych miejskich.

sznych. razem z wozami i wołmi przywodzili do miasta. Panowie zaś rajcy odstawiali ich do grodu, jako corpus delicti, protestowali uroczyście, a gród wysyłał woźnego na miejsce w celu oglądania i sprawdzenia poczynionych szkód. Pan Rożen oczywiście nie stawał na pozwy, więc podpadał kontumacyi: wycinał las dalej. jak przedtem. a rajcy z mieszczanami znowu musieli po staremu bronić swej sprawy.

Taki stan rzeczy trwał niezmiennie aż do r. 1630, z tą tylko różnicą. że pan Rożen począł sobie przywłaszczać nawet grunta miejskie. Miasto obwieściło swój żal i zaniosło skargę do Stanisława Lubomirskiego. wojewody ruskiego. swego najbliższego sąsiada w Nawojowej. zapraszając go na oględziny granic paszyńskich. Tymczasem posłano do Paszyna biegłego malarza. który narysował mapę lasu i miedzy, zaco dostał 15 gr. Pan Rożen. widząc takie przygotowania. zaprotestował przeciwko miastu i jego zabiegom. Zjechał wreszcie uproszony pan wojewoda wraz z prawnikami 1631 r. W jego przytomności Andrzej Jordan. komornik graniczny. oglądał miedze. a pisarz spisał protokół. poczem malarz sporządził nową. dokładną mapę. Przy tej komisyi odwoływało się miasto na przywilej księżnej Gryfiny. wdowy po Leszku Czarnym. pani sandeckiej ziemi z r. 1299. A iż był pisany trudną staroświecką łaciną, dano Maciejowi Tessarowiczowi od przepisania tego średniowiecznego dokumentu 1 złp. Długi ten proces kosztował miasto przeszło 200 złp.: sam komornik graniczny wziął za swój trud 100 złp.

Gdy w r. 1633 rozkazał Rożen siłą i przemocą zaorać miedze miejskie, gród wytoczył śledztwo na miejscu. W tym celu kazano stanąć poddanym miejskim. gród zesłał woźnego i kilku z pomiędzy szlachty, miasto zaś rajców i mieszczan. Tym razem wielmożny Rożen stanął ze zbrojną czeladzią. chcąc gwałtem swego dokazać. Jakoż rozpoczął ustną walkę z mieszczanami, a potem rwał się do korda. Lecz panowie z grodu. widząc niesłuszność uroszczeń jego. stali mocno przy mieszczanach, a nawet oświadczyli wyraźnie, iż oręż orężem odeprą, i byli na to przygotowani. Tak więc pan Rożen. rad nie rad. musiał na razie ustąpić. Ale niedługo trwała owa pozorna ugoda. bo to już taka była nieszczęśliwa przywara tych panów Rożnów, że od czasów Zygmunta Augusta prawowali się ustawicznie o miedze to z miastem, to z opactwem sandeckiem Premonstratensów. Nie dziw przeto. że i obecny graniczny spór powtarzał się jeszcze niejednokrotnie w na-

stępnych latach 1635—1645.[1]) Raz po raz zasięgano rady u biegłych prawników, to w Krakowie, to w Lublinie, w Warszawie, a nawet Piotrkowie, co wszystko połączone było z niemałym kosztem i trudem podróży. Dla lepszego bowiem poparcia słuszności, posyłano tam prawnikom po baryłce dobrego wina, łososie, cienkie lniane płótno i pieniądze gotowe. Sąd ziemski czchowski i trybunał lubelski wydawał ciągle swoje wyroki pod groźbą grzywien, a Piotr Rożen po swojemu contumax, wycinał sporny paszyński las. Trwało to aż do jego śmierci 1647 r.

Sprzykrzyły się wreszcie jego spadkobiercom te spory i zatargi z miastem. Za pośrednictwem Konstantego Lubomirskiego, starosty grodowego, tudzież za wdaniem się okolicznej szlachty, stanęło piśmienne pojednanie, jak Bóg przykazał, na rozum i sumienie, przepisane na czysto ręką chłopca aplikanta,[2]) który dostał zato 10 gr. na orzechy.

Skoro więc stanęła ugoda z panami Rożnami, Stanisław Kopeć dał najprzód na wotywę i ubogim jałmużnę, co razem wynosiło 2 złp. Poczem z lekkiem już sercem zdał Marcinowi Frankowiczowi swoje burmistrzowskie urzędowanie i wyprawił go do Paszyna na ostateczną ugodę. Wraz z nim pojechało kilku panów przyjaciół rycerskiego stanu, zaproszonych umyślnie do tej sprawy i ugody granicznej, oraz kilku mieszczan obok ks. Szymona Jaroszowskiego, prepozyta kollegiaty, Walentego Włockiego, regenta kancelaryi grodzkiej, i jego pisarza. Ugodziwszy się o granicę, sypano nowe kopce. Przytomny woźny sądowy obwieszczał światu i gromadom zebranym granice nowe, a każdy kopiec oblewano, t. j. panowie rajcy pili na zdrowie swoje i trwałość sąsiedzkiej granicy i zgody, a skoro wypróżnili jaki gąsior, to go stłukli, a czerepy szkła wedle starego obyczaju zagrzebywali w sam rdzeń kopca, jako signum metallicum, wraz z kawałkami żelaza, jak świadczy o tem transakcyjny dokument sądowy. Poczem małych chłopców bez wszelkiej ceremonii kładziono na kopcu i, aby pamiętali w późne lata, gdzie granica między Paszynem a Mogilnem, sypano im po kilka serdecznych batów, a na basarunek[3])

---

[1]) Act. Terrestria Czchov. 1634—1639. Tom 37, gdzie 13 rozpraw sądowych, dotyczących Rożna a rajców sandeckich odszukać i odczytać można.

[2]) Aplikant — sposobiący się do czego, ćwiczący się praktycznie w prawach.

[3]) Z niem. Besserung — nagroda za bicie, nawiązka.

dawano miodowniki na osuszenie łez, bo taki był poważny staropolski zwyczaj sypania kopców i batów kopcowych.

Po skończonej ugodzie nastąpiła suta biesada: samych ryb słonych: śledzi i wyziny, tudzież świeżych: karpi, szczupaków i ślizyków, spożyto za 24 złp. 26 gr., wina zaś wypito 15 garncy za 40 złp. Prócz tych wydatków na wspólną biesiadę, popłaciło miasto także honorarya i opłaty sądowe. Księdzu prepozytowi darowano pięknego łososia za 7 złp. 18 gr.: regentowi kancelaryi grodzkiej kontentacyi 30 złp.: a pisarzowi grodzkiemu za trud i drogę wyliczono talerów kopowych 10 czyli 18 złp. Wszystkie zaś poszczególne wydatki owej ostatecznej granicznej ugody, wynoszące wraz z biesiadą ogółem 173 złp. 13 gr., wpisano do księgi rachunkowej: „Percepta et Distributa".

2. Wojciech Kostecki, chociaż ze szlachty pochodził, przyjął jednak prawo miejskie w Nowym Targu i ożenił się z mieszczką, wdową po Józefie Słowiaku, który kupią soli z Wieliczki na Orawe i Liptów, dorobił się majątku. Za rządów podstarościego, Wiktoryna Zdanowskiego, wybrany był ławnikiem nowotarskim 1618 r., a później wójtem. Nie zapominał też nigdy pisarz miejski podpisywać go w aktach: nobilis, podobnie jak jego poprzednika, Samuela Łużeńskiego.

W r. 1630 przeniósł się do Nowego Sącza, gdzie przyjmując prawo miejskie, przysięgał według zwyczaju, iż we dnie czyli w nocy posłusznym będzie rozkazom panów rajców i ławników. Nie szczerze jednak przysiągł!

Kupił on dom przy ulicy polskiej i wnet go zadłużył Janowi Ziębie w 200 złp., żona zaś jego osobno w 100 złp. Nadszedł czas zapłaty, której wcale nie uiszczał, więc Zięba zapozwał go sądownie. Kostecki nie stanał na termin i upadł w prawie. Zapadł zatem wyrok, aby Zięba wszedł w posiadanie jego domu.

Kostecki, ufając w szlachectwo swoje, lekceważył sobie wójtowski wyrok, po trzykroć według obyczaju na miejscu ogłoszony. Owszem drwił sobie z sądów miasta i wójta, a drobna szlachta sandecka wtórowała temu. W końcu jednak poszedł na ratusz, nie po to, żeby się poddać wyrokowi, lecz aby zaprotestować przeciwko niemu. Podał tedy piśmienne zastrzeżenie, że nie podlega sądom wójtowskim z tej przyczyny, że jest szlachcicem. Owszem, oświadczył powtórnie, że przy swych wolnościach szlacheckich mocno stoi i żadnego sądu miejskiego nie uznawa nad sobą. Długu jednak nie zaprzeczył: za żonę odpowiadać nie chciał, ani osoby swej więzić nie dozwalał.

Sędziwy wójt, Tomasz Pytlikowicz,[1]) przypomniał mu przysięgę złożoną na posłuszeństwo sądom miejskim, i to we dnie czy w nocy; przypomniał małą wartość połowy domu, którą Ziębie oddaje, przypomniał lekceważenie powagi miejskiej i pomimo protestu i odwołania się do szlachectwa, zawyrokował nań więzienie ratuszne przystojne, chociaż za kratą w skarbcu miejskim gdzie miał pozostać aż do zupełnego spłacenia długu.

Uwięzienie Kosteckiego rozgniewało szlachtę osiadłą w mieście, która postanowiła uwolnić go koniecznie. Mikołaj Chronowski, podpisek[2]) grodzki, ulegając namowom drugich, rozkazał hajdukom zamkowym, aby odbili kłódki i uwolnili więźnia. Posłuszni dwaj hajducy starościńscy, zawezwali do tego ślusarza, Wojciecha Częstochowskiego. Ten myśląc, że chodzi o odbicie kłódki u wieży zamkowej, nakłonił się ochotnie. Ale skoro spostrzegł, że go do ratusza wiodą, wzbraniał się i wymawiał mocno. Lecz hajducy imieniem pana starosty nalegali gwałtownie, a w razie nieposłuszeństwa grozili mu odstawieniem na zamek. Trudna rada! Ślusarz odbił kłódki ratuszne, a Kostecki wyszedł sobie swobodnie. Nazajutrz wszyscy rajcy i ławnicy uroczyście zaprotestowali przeciwko takiemu pogwałceniu prawa i bezpieczeństwa, i orzekli na niego banicyę, czyli zupełne wydalenie z miasta.

Kostecki był poprzednio ławnikiem nowotarskim, więc czuł dobrze, że niema żartów z takim wyrokiem, gdyż tu chodzi o gardło. W rok niespełna sprzedał swój dom za 500 złp. Katarzynie z Młodatycz, wdowie po Mikołaju Kamieńskim, a pospłacawszy swe długi, myślał o powrocie do Nowego Targu. Jedna jeszcze sprawa wiązała go z Sączem.

Mikołaj Żmijowski pożyczył był u niego pieniędzy na wino, kupione od Macieja Filka w Kezmarku, i nie chciał mu oddać, opierając się na tem, iż wyjętemu z pod prawa nie powinien stawać do sądu. Rady innej nie było, jak uniżyć i poddać się napowrót miastu, tem bardziej, że także Jan Zięba i Stefan Cholewicz mieli swe żale przeciwko niemu. Tych więc najprzód przeprosił Kostecki, a potem wójta i rajców. Ławica sądowa uniewinniła go ostatecznie i odwołała wyrok, który woźny obwieścił donośnym

[1]) Długoletni rajca (1619—1636), lubiany i szanowany powszechnie majster krawiecki, używany do różnych poselstw w sprawach miejskich do króla.

[2]) Pomocnik pisarza grodzkiego, urzędnik niższy kancelaryjny, zajęty wyłącznie wpisywaniem aktów.

głosem: „iż Wojciech Kostecki wydarty jest z nieprzyjaciół mocy i przywrócon objęciom przyjaciół...“ Teraz dopiero mógł wystąpić przeciwko Żmijowskiemu i za dług swój zagrabić mu wina złożone w piwnicy Jana Zieby.[1])

3. Anna Wielogłowska, wdowa po Samuelu, mieszkała w Nowym Sączu przy swej córce Konstancyi drugich gód Przytkowskiej, której pierwszy mąż, Stanisław Zawistowski, zapisał 1.000 złp. oprawy (posagu) na kamienicy Smoczowskiej, przy ulicy młyńskiej. Wojciech Łopacki był właściwym tej kamienicy dziedzicem, mając za żonę Magdalenę, córkę Jerzego i Jadwigi ze Smoczów Kłodawskich. Z człowiekiem tak burzliwym i zaczepnym, jak on, trudne było sąsiadowanie, a tem bardziej szlachciankom Wielogłowskim, krewniaczkom Marcina Wielogłowskiego, podwojewodzego sandeckiego. Gwałtowny Łopacki, żywiąc niechęć w sercu do energicznego podwojewodzego, szukał ciągle zaczepki, a wnet nadarzyła się do tego sposobność.

Pani Wielogłowska, nie mogąc znieść dłużej ciągłych obelg przeciwko podwojewodzemu, ujęła się za swym krewniakiem i na obelgę odpowiedziała obelgą. Łopacki za jedną obelgę oddawał kilka, i wbrew oświadczył, że ją wyrzuci ze swej kamienicy. Obrażona szlachcianka, tracąc cierpliwość, uderzyła go, a on nie pytając wiele, pochwycił i wyrzucił ją na ulicę, tak że w błoto wpadła. Córka ujęła się za pokrzywdzoną matką, ale i ją pochwycił, wyrzucił na ulicę, powybijał potem okna, wyważył drzwi i zabrał z sobą. Działo się to na św. Marcin o czwartej godzinie w nocy 1631 r.

Wystraszone szlachcianki, nie wiedząc, co począć, udały się zaraz do burmistrza, Pawła Użewskiego,[2]) prosząc o wymiar sprawiedliwości. Nazajutrz Marcin Wielogłowski, podwojewodzy sandecki, i brat jego Krzysztof, podstarości sandecki, przyszli na ratusz i, jako opiekunowie, zanieśli żal i skargę na Łopackiego. Pani Konstancya okazała siny raz na ręce, a matka jej swoje szaty splamione w błocie. Wyznaczono termin, czyli roki sądowe. Ale właśnie pan podwojewodzy musiał w tym czasie wyjechać w osobistych interesach swoich, więc urząd odłożył sprawę na później, o co Łopacki nie pogniewał się wcale.

---

[1]) Act. Consul. Sandec. T. 52 p. 60—63. T. 53, p. 189. Act. Scabin. T. 51. p. 479—482. T. 54. p. 276.

[2]) Złotnik i rajca sandecki 1630—1643.

Łopacki miał niezwyciężoną chętkę, według zwyczaju swego, pieniać się na zabój, ale nowa sprawa ciężkiej obrazy[1]) honoru ks. Bartłomieja Fuzoryusza, kustosza kollegiaty, wskutek której całe miasto poruszył przeciwko sobie, skłoniła go do zgody. Posłał tedy do pani Wielogłowskiej, prosząc o zgodę i zdając się na sąd polubowny Jana Wojakowskiego i Stanisława Rogalskiego. Jakoż stanęła zgoda. Łopacki za szkody i urazy zapłacił 12 złp., przeprosił i zaręczył, iż panią Konstancyę Przytkowską pozostawi nadal w spokojnem posiadaniu części kamienicy Smoczowskiej.

Pan Adam Trzciński z Nowejwsi miał także 700 złp. długu u Łopackiego. Dowiedziawszy się więc o znieważeniu pani Wielogłowskiej i jej córki, zjechał i zapozwał go o swój dług. Łopacki, rozgniewany na wójta Tomasza Pytlikowicza, który różne jego sprawki już nieraz sądził, wmówił w siebie, iż się to stało na jego wezwanie: głośno zatem obwiniał wójta, iż doniósł panu Trzcińskiemu o swem niecnem postępowaniu.

Zapis był prawny, więc sąd zawyrokował, iż pan Trzciński może odebrać współposiadanie kamienicy Smoczowskiej, nie ubliżając prawu pani Konstancyi Przytkowskiej. Naznaczono roki, aby się Łopacki dobrowolnie usunął lub pieniądze oddał. Ale nie dał się nakłonić na żadną stronę. Dlatego przed ostatecznem poparciem powagi sądu siłą, posłał doń wójt Pytlikowicz: podwójciego i ławnika jednego wraz z woźnym. Ci wezwali go w imieniu prawa, aby dług 700 złp. panu Adamowi Trzcińskiemu zapłacił według przewodu prawa nad nim, albo kamienicę opuścił.

Zastali tam przypadkiem miejskiego kata. W jego przytomności, wpadłszy Łopacki w swój zwykły gniew, odpowiedział: „Panowie przysiężnicy! powiedzcie ode mnie wójtowi, że ja go, tego niecnotliwego syna, tego złodzieja zabiję! Miałem go dawno kijem zabić u rurmuza,[2]) alem mu folgował. Jak zostanę burmistrzem, każę go pojmać... pojmawszy, dam go za kratę... a potem wepcham mu w gardło ową kartę, co pisał o mnie do pana Trzcińskiego... i każę ściąć lub obwiesić... ale każę malarzowi po-

---

[1]) Bliższe wyjaśnienie tej sprawy zob. Hist. Now. Sącza T. II. 102—104.

[2]) Na mocy przywileju Kazimierza Jagiellończyka, wydanego w Krakowie 1465 r. i ponownie Zygmunta Augusta na sejmie warszawskim 17. stycznia 1555, założono w Nowym Sączu wodociągi, zapomocą których sprowadzano wodę z gór w Roszkowicach do miasta. Całe to urządzenie i zabudowanie, skąd wodę rurami tłoczono do miasta, nazywano rurmuzem.

wroz pomalować, żeby na białym albo surowym nie wisiał, ale na pomalowanym. Ty! (zwracając się do kata), Janie mistrzu! będziesz nad nim exekutorem, będziesz miał robotę koło niego..."

Wkrótce jednak po odejściu przysiężników pohamował się Łopacki. Uprosił Stanisława Grybowskiego, ławnika, i posłał go do wójta Pytlikowicza, aby mu odpuścił i za złe nie miał, gdyż to w gniewie mówił. Wójt odrzekł: Odpuszczam z serca, jeżeli mu prawo odpuści! Słysząc to Łopacki, odpowiedział po swojemu: Porwał go kat! com mówił, tom mówił!

Ks. Jan Sygański T. J.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MATERYAŁY
do historyi polskiej XIX. wieku.

Działalność emigracyi z roku 1831 na terenie Turcyi do pokoju Paryskiego.

(Ciąg dalszy).

6. sierpnia 1844.

Raport p. Puławskiego posyłam. Ostatnim statkiem, to jest wczorajszym, nic nie pisał, widać, że wyjechał z Tulczy, aprobowałem podróż do Hassan-beja, ale zaleciłem jak najmocniej, by zaniechał projektu przyjechania do Carogrodu, choćby na najkrótszy czas, toby było błędem, niepotrzebną stratą czasu i pieniędzy. Według mego zdania paszport cudzoziemski p. Puław. wcale potrzebnym nie jest, ale z obawami i przywidzeniami tych panów, to rady sobie dać nie można, jak się czegoś zachce, to trzeba koniecznie dostarczać, bo inaczej to rzuca posadę, jak gdyby na spacer wychodził. Pozycya p. Puław. jako Muzułmanina i poddanego tureckiego, jest ważną, gdyby zrobił jaką niedorzeczność, byłoby to wielką szkodą dla sprawy, dlatego upraszam władzy, jeśli można, dołożyć starania i dostać mu ten paszport angielski, a przynajmniej napisać w tym względzie na osobnej karteczce

stosownie do moich powyższych raportów, jak władza uważa pozycyę p. Puław., że nie chce, aby był cudzoziemcem, lecz poddanym tureckim, zwłaszcza, że już jest właścicielem, że to potrzebne dla dobra sprawy i odwołać się do poświęcenia się p. Puławskiego. dlatego proszę o podobną karteczkę, że pp. Wielogłowski i Rawski wlali mu to przekonanie, że to ja przez upór nie chcę tego zrobić, ale żebym chciał, to byłoby to zaraz zrobionem — oni to w nim obudzili tę obawę niczem niewyrezonowaną. Ja starałem się u Rizy Paszy o powtórne polecenie p. Puław. władzom miejscowym i p. (nieczyt.), mnie jak najsolenniej zapewnił, że to jest zrobionem. — czemu wierzę, gdyż p. Puł. nie uskarża się na miejscowe władze — owszem, przybyły ztamtąd sługa jego Giovani donosi. że jest doskonale uważanym. Proszę także o przygotowanie człowieka potrzebnego na Niż, ale tak, żeby mógł tam ze mną część zimy przepędzić — jabym pragnął tam zimować. Moje posiedzenie tam jest konieczne, jak równie mój pobyt tu, nie masz dnia, godziny, żeby tu nie było co do zrobienia, trudna to jest rzecz, a nawet nie wiem, czy podobna, podzielić się obecnością na dwa miejsca, żeby temu zaradzić, trzeba mieć albo tu dobrego zastępcę. albo tam zdolnego i wiernego wykonawcę rozkazów. ten ostatni zdaje mi się podobniejszym do wynalezienia, chociaż ja wolałbym mieć pierwszego. Jak tylko sprawa W. i P. rozjaśni się, zaraz jadę na Niż, ale dlatego prosze władzy o przysyłanie korespondencyi jak zazwyczaj, nie przerywając jej. bytność Drozdowskiego w części korespendencyjnej zaradzi wszystkiemu, ja mu zostawię jak najszczegółowszą instrukcyę.

16. sierpnia.

Z Niżu raport p. Puławskiego posyłam — pozycyę jego uważam za najlepszą, jakiej tylko spodziewać się i życzyć sobie moglibyśmy. Nieposuwanie rzeczy przez p. Puław., do czego niema potrzebnej ruchliwości, bynajmniej sprawie nie szkodzi, stosunki, jakie zawiązuje i roztropność, z jaką się prowadzi, bardzo jest pożyteczną. Mam nadzieję, że pobytem moim na Niżie przez kilka tygodni, rzecz jak potrzeba wdrożę, ale do prowadzenia wdrożonej trzeba człowieka roztropnego i przezornego, a zarazem ruchliwego, ten z Puławskim odpowiedzą potrzebie polityki X-cia Pana — a jeśli będę mógł zimować na Niżu, to ufam w Bogu, że ten ważny, dziś może najważniejszy punkt, będzie za-

jęty przez nas, jak tego potrzebujemy. Chciałbym od przyszłego wtorku za tydzień a najdalej za dwa tygodnie wyjechać na Niż. Poleciłem p. Puław., by wchodził w stosunek bliższy z Tatarami, bardziej przekładając stosunek z Tatarem Manhińskim. (?) miejscowym, jak Birbuszcem (?), tylko przejezdnym. By za jednym razem starał się Nekrasowców z Konnonki blisko Manhina,[1]) w wielkiej zażyłości będących z Tatarami, pobudzić do działania na kozaków Płatowskich, przybyłych zastąpić koz. Manhińskich.

Poleciłem, by w kupionym młynie przez p. Polaka, starał się umieścić Polaka, do czegobym mu posłał p. B(nieczyt.), o którym poprzednio pisałem, im więcej Polak na Niżu, a roztropny, tem lepiej dla nas, możemy się nim posługiwać a o naszych zamysłach i robotach nic powinien nic wiedzieć. Co do świadectw mnicha, to nic nie znaczą i z tymi mnichami nie można nic zaczynać, póki ja nie przyjadę na Niż, można jednak z tej rzeczy wyciągnąć korzyść, ale w tem wszystkiem, trzeba się samemu rozpatrzyć.

26. sierpnia.

Z Niżu odebrałem tylko wiadomość ustną i list od p. Radyszewicza, że p. Puławski wyjechał w okolice Babadach. P. Radyszewicz jest z dawnej administracyi statków w Kustendży — pisałem o nim nieraz w moich raportach. P. Radujewicz zaś, który miał interes z Zaborowskim, jest Serbo-Czarnogórzec, używany przez Turków do rozmaitych posług, szczególniej przez Murze-Paszę, dla odróżnienia będę nazywał odtąd p. Radyszewicza p. Tomasz. Prosiłbym władzy jak najusilniej o przyspieszenie p. Zaleskiego do zawiązania stosunku komisyonerskiego z p. Tomaszem, to dla naszej posady koniecznie potrzebnem. P. Puławskiego kondycya Muzułmanina jest bardzo ważną, ale to pewna, że on sam nie jest wstanie odpowiedzieć potrzebie sprawy na Niżu. Jeśli Iliński się uda, to z nim Puławski będzie wyśmienity. Dla tego proszę o Ilińskiego, ale proszę, by w paszporcie można było owe „ski“ jakoś zmienić. Mimo, że tu jest ciągła a ciągła robota, chcę 4. a przynajmniej 11. września wyjechać na Niż, choćby na jakiś czas tylko i spodziewam się, że to zrobię 11-go. Dziś przychodzi

---

[1]) Zdaje się, że tu mowa o miejscowości Akmanhit, dawnej kolonii Zaporozkiej. Kozacy tej kolonii w r. 1807 wrócili do Rossyi, nazywano ich Manhińskimi. Utworzyli w tymże roku naddunajskie pułki kozackie. (Ust'-dunajskije połki). Patrz list z 26. wrześ. — przypisek.

statek z Niżu, jeśli mi przywiezie jakie ważne wiadomości, to jutro doniosę o nich przez pocztę pod adresem: Pani Mosel de (nieczyt.). Chciałbym bardzo zimować na Niżu.

6. września.

List od Puławskiego załączam. odebrałem także ustną wiadomość przez przybyłego ztamtąd mieszkańca, że Austrya wysyła na Niż niejakiego hofrata imieniem Geringer dla spisania Mołokanów, poddanych Austryi, znachodzących się na Niżu ze stadami i trzodami, także popa ruskiego, prześladowanego przez Moskwę, zbiegłego do Turcyi i tam trzymanego w areszcie. P. Szturmer wyzwolił i sprowadza do Carogrodu, ten pop jest teraz w Tulczy: zwróciłem uwagę i całą ostrożność p. Puław. na te zachody Austryi i poleciłem, by obudził wreszcie podejrzenie urzędników tureckich przeciw tym rzeczom. To mi było doniesione przez Franciszka Iryeza. właściciela domu i kawiarni w Tulczy dobrze reputowanego człowieka. On mi bardzo dobrze mówił o Puław. i oświadczył. że teraz jest na biesiadach przedramazanowych z hanem i murzami tatarsk.. z którymi ma być w wielkiej przyjaźni. To zaprzyjaźnienie się Puław. może przynieść bardzo korzystne skutki, ale ze wszystkiego widzę, że on sam nie potrafi sobie rady dać na Niżu: doszedłszy do stopnia zaprzyjaźnienia. dalej nie pójdzie. zresztą nie rozumie ważności. jaką nadaje jego posadzie cecha Muzułmanna i poddanego Porty. Trzeba do niego człowieka. któryby lepiej rozumiał służbę. lepiej rozumiał Polskę i potrzeby Polski, niech ma energię. dobrą wolę i akuratność w spełnianiu poleceń. Tego tylko potrzebuję. Jeśli jest takim Iliński. to proszę władzy o niego jak najprędzej. Rzecz o Haffrain zdaje się sprawdzać (nieczyt.). P. Dubrawczyc z dawnej administracyi Kustendży mówił, że rząd austr. zamyśla o przywróceniu tej stacyi i dla tego ma wysłać urzędnika na miejsce dla przejrzenia tego punktu i zebrania potrzebnych wiadomości. Namówiłem Stefana Kalinowskiego. który pokłóciwszy się z Niemcem, ogrodnikiem sułtańskim. porzucił służbę sułtańską — do udania się na Niż. a Puław. poleciłem, by mu wynalazł tymczasowe jakie miejsce. będzie to dobry emisaryusz — ma do tego chętkę — jest to ten sam. co ze mną robił podróż po Niżu i Bułgaryi. dawniej on żądał pozytywkę i chciał iść między kozaków czarnomorskich i azowskich, których kraj zna, gdyż między tymi ostatnimi był lat kilka. Prosiłbym bardzo o przysłanie

przez p. Ilińskiego jednej lub dwóch pozytywek a przytem kilka rozmaitych harmonik, to doskonała rzecz dla emisaryuszów idących między lud. Azowscy kozacy są zaporożcy, ostatnim razem wyprowadzeni z Turcyi z Hładkim. Jest ich przeszło 3 tysiące, na pograniczu Ukrainy z ziemiami Czarnomorców, rząd mosk. chociaż im nadał konstytucyę wojskową, nie używa ich do służby, są to awanturnicy na wszystko gotowi, wciąż uciekają na Niż i z nich można mieć dobrą korzyść, byle między nich rzucić naszą myśl.

Proszę władzy bardzo myśleć i zrobić co dla domu handlowego p. Radyszewicza, niech do niego przynajmniej napiszą komunikacyę handlową, informującą się p. Falkenhagen, to go pokrzepi — on kupił dom i czeka, a to stanowisko dla nas tyle korzystnem, że warto nim się gorąco zająć. Ja chciałbym wyjechać w ten wtorek na Niż, zrobiłbym do tego potrzebne kroki o odświeżenie papierów, ale nie wiem, czy to uskutecznię prędzej jak przed 17. wrześn., taki nawał interesów na mnie się zwala, że już to za największą łaskę Bożą uważam, że mogę im jako tako wydołać — a bytność moja na Niżu jest konieczna.

16. września.

Raport od p. Puław. odebrałem i takowy posyłam. Wczoraj dopiero ten raport odebrałem, z tego powodu, równie jak i z przyczyny święta ramazanu, nie mogłem się dowiedzieć, czy wieść o p. Kuźniczewie jest prawdziwą, mówiłem do p. B., ale on o niczem nie wie, ale ja temu wierzę, że Porta dla zatarcia sprawy o złapany okręt z prochami do Czerkies, mogła takową koncesyę zrobić. Moskwa opierając się na prawności, mogła tego żądać, a Risaefendi człowiek słaby i bojaźliwy mógł pozwolić na to — a zwyczajem swoim przez wstyd taić takowy krok przed innymi gabinetami — zaradzić temu dyplomatycznie niepodobna. Gdyby zaś ta wieść była płonną, rozgłaszając ją, możnaby Moskali naprowadzić na drogę — postanowiłem tedy, jeśli jest prawdziwą, radzić (nieczyt.) miejscowym przez Puław., by zrobili ogłoszenie, któreby odwołało dezerterów i pozwoliło im pokryć się w bezpieczne schronienie, po jakimś czasie mogą wrócić na swoje miejsca. Pod rządem tureckim udać się to może. To postanowienie Porty byłoby bardzo szkodliwe dla naszych zamiarów. Zamierzam jutro wyjechać na Niż i chyba jakiś nadzwyczajny wypadek może

przeszkodzić tej podróży. Czuję, że moje położenie będzie trudnem, jeśli zastanę p. Łkuznicza na Niżu z okazyi swojej misyi, ale mam w Bogu nadzieję, że on nas nie opuści. Zresztą chcę wyegzaminować stosunki, porobione przez Puław., ustalić porozumienie się z p. Radysz. Tomas. i wypatrzyć emisaryusza. Po tem przejrzeniu może wypadnie, abym powróciwszy do Carogrodu na jakiś czas, jechał na zimę na Niż, jeśli taka będzie wola X-cia Pana.

Carogród, 26. września.

W tej chwili wracam z Niżu, to jest z Tulczy, gdzie byłem dni kilka. Mam bardzo mało czasu do pisania i dlatego w krótkości będę o wszystkiem pisał — późniejszym raportem rozwinę obszerniej co potrzeba. Wyjechałem z Carogrodu 17. b. m., przybyłem do Tulczy 19. w nocy, ztamtąd wyjechałem 23-go po południu i tu w tej chwili przybywam. W podróży tam przebyliśmy burzę i o mało co nas statek nie zgruchotał się.

Achmet-beja pozycyę zastałem jak tylko można najlepszą — jest uważany i lubiany przez władzę i mieszkańców wszelkiego rodzaju, ta jego pozycya i chętność w spełnianiu rozkazów, dała mi możność prędkiej roboty. Umowę asocyacyi między Achmet-bejem a p. Tomaszem Radyszewiczem do założenia domu handlowego komisyi spisałem i oni go podpisali, zrobiłem to dla ustalenia p. Tomasza i nadania powierzchownej cechy pobytowi Achmet-beja. Byłem u gubernatora (ajana) Tulczy Ali Effendi, mówiliśmy z nim o tej asocyacyi i on koniecznie chciał do niej należeć, tak dalece, że ofiarował się dać 50 tys. piastrów do współki i wystawić sklepy. Ta propozycya i ta chęć ajana jest dla nas ogromną korzyścią, możemy być prawdziwymi panami Niżu, tylko chciejmy. Dla większego zachęcenia i wciągnięcia w rzecz ajana ułożyliśmy, że on razem z Achm.-bej. i p. Tom. Rad. spisze rejestr szczegółowy rzeczy czyli towarów potrzebnych do sprzedaży na Niżu i produktów Niżu z cenami i objaśnieniami szczegółowemi, to wszystko mają zrobić i przesłać mi jak najprędzej do Carogrodu. Wystawiłem ajanowi potrzebę tajemnicy przed zazdrosnymi mu... i przed Moskwą i nawet przed jego władzą do pewnego czasu, ten język bardzo mu trafił do przekonania.

Jest to młody jeszcze człowiek — ponętę ma do cywilizacyi i znaczenia. Umowę między p. Tom. a Achm.-bej. mam u siebie, ale ją przeszlę razem z rejestrami. Teraz trzeba rzecz wystawić

p. Falkenhagen, że oprócz wysokiej, niepospolitej służby, jaką oddać może Ojczyźnie, nigdzie lepiej nie może prowadzić zarobku handlowego, jak w Tulczy dom komisyjny. Wspólnik ajana będzie miał wszystkie produkta miejscowe taniej i snadniej jak każdy inny kupiec. Składy i sklepy przyjdą domowi prawie za nic. Przez skasowanie biura w Kustendży miasto Talcza ogromnie się podniosło — ja go nie poznałem. Ludność się stroiła, więcej 200 porządnych domów się pobudowało, daleko więcej życia i ruchu w Tulczy jak w Warnie i Sylistryi. Moskale nad odnogą Sulina budują miasto, już jest więcej 50 domów. Sulina jest za kordonem zdrowia. Wszystko kupuje w Tulczy, wojsko stojące w Sulinie także nabywa potrzebnych rzeczy w Tulczy, a może snadno robić kontrabandę do Rossyi. W Tulczy i Sulinie co roku buduje się ogromna ilość statków tak na Dunaj, jak i na morze Czarne — przy mnie w Tulczy spuszczano z warstatów cztery okręty, między którymi dwa były o trzech, a dwa o dwu masztach. Na warsztatach w Tulczy widziałem do 40, a w Sulinie daleko więcej. Więcej widziałem w Tulczy ludzi w kapeluszach po europejsku, jak w Ruszczuku. To wszystko zapewnia odbyt towarów europejskich, szczególnie w spółce z ajanem. P. Tom. Rad. ma swój dom bardzo porządny i za pośrednictwem Achm.-beja dostał przywilej na rzeźnictwo. Achm.-b. jest w doskonałych stosunkach z Hussajm-Effendim i Halil-Effendim, najbogatszymi właścicielami Tulczy. Hassan-bej, dawny gubernator Niżu jest teraz właścicielem ceł (guimrakczy) od Silistryi aż do Warny, bardzo dobrze jest z Ach.-bej., a dla mnie oświadcza jak najszczerszą przyjaźń. Przemycanie towarów zakazanych przez osadę wojskową z Suliny, jest niepospolitej wartości i handlowej i politycznej, nie wyjmując dzisiejszego zastępcę gubernatora Suliny, maj. Hanzyiow, wszyscy oficerowie i żołnierze okazują ogromną chętkę do tego przemycania. Bliskość i ciągła komunikacya z Besarabią nadaje ogromną ważność handlową i polityczną Tulczy. Należy się teraz odezwać i do patryotyzmu i do inteligencyi p. Falkenhagen. Jeśli prędko bez odkładania, bez przewlekania potrafimy korzystać z tego, co się tu zasnuło, polityka X-cia Pana stanie na olbrzymiej posadzie. Niech p. Falkenhagen stanie na czele dyrekcyi tego domu komisyjnego, będzie reprezentantem polityki X-cia Pana i handlu domów angielskich a może i franc. Gubern. Tulczy i p. Tom. właściciel, powinni być gwarancyą temu handlowi, a Achm.-bej doskonałym pośrednikiem do mieszkańców. Tylko nie trzeba opaźniać tej rzeczy. Ona nam daje usadowienie

się na Niżu, działanie na Niżu i z Niżu propagowanie samychże Moskali. Posyłam Achm.-b. Constitutionel i już go czytają i zabierają Moskale, oficerowie i urzędnicy kwarantan Tomorowcy, Suliny, a nawet kursuje do Ismaiłowa, dla tego to proszę o regularne przysyłanie dzienników, broszur i t. d. Teraz więcej jak kiedykolwiek jestem przekonany, że z Niżu jedynie tylko można rozburzyć carstwo moskiewskie. Jedynie tylko i to moje przekonanie jest jak najgorętsze, tam dobrze prowadzona i żywiona polityka X-cia Pana musi rozburzyć przez osiągnięcie zwycięstwa. Obraz Matki Najświętszej pokazałem Ojcu Parssi, bardzo go uradował, po Ramazanie Achm.-b. mu go odwiezie. Prosiłbym władzy o przysłanie mi rozmaitych tanich obrazów świętych, choćby małych i wprost na papierze, a szczególnie św. Michała, św. Stanisława, św. Jozefata, św. Kazimierza, M. Boskiej, św. Anny i św. Jadwigi, o ile można stylu wschodniego oraz cacek kościelnych, mało kosztujących — to wielki pożytek zrobi. Czy nie dobrze by było ową odezwę Lelewela do Moskali przeinaczyć, po moskiewsku przetłumaczyć, wydrukować i to przez Sulinę rzucić. W wojsku moskiewskim szczerze niechęć ku rządowi i carowi: niedawno jakiś wyższy oficer Leontij Osipowicz — nazwiska jego nie umiał mi powiedzieć doktor Warnińskij Kwasantowicz — posądzony o spisek, uciekł przez Ruszczuk, Warnę, tam siadł na okręt i popłynął do Ameryki do Bostonu. Przyszedł do Paszy rozkaz schwytania go, ale Grecy warnscy ułatwili mu ucieczkę za pomocą doktora, doktor mi mówił, że bardzo utalentowany człowiek. Jechałem na statku z Mosk. Sergijem Szutow z Rygi, poeta i człowiek bardzo przyzwoity, z umiarkowaniem ale z niechęcią mówił o carskim despotyzmie, o naszej sprawie bardzo zdrowo sądził, dla uniknięcia awantury nie pojechał z Bukaresztu do kraju, ale jedzie na Stambuł, Tryest, przez Niemcy do Rygi, tak się boi tej awantury policyjnej. Oficerowie Suliny i Tomarowy, znajomi Achm.-beja, tęsknią za swobodą, uskarżają się na despotyzm. Wszystko to jawnie dowodzi, że pierwiastek rewolucyjny grasuje w Moskwie, ale nigdy na rewolucyę Moskwy spuszczać się nie można, trzeba swoje robić, a ten duch może nam ułatwić działanie tylko, nic więcej.

Niemam czasu tylko do widzenia niektórych osób koniecznie potrzebnych i tę ekspedycyę kończyć będę w nocy i w nocy poszlę do Terapii. Widziałem Plor., oświadczył mi, że interesa Toiti i Morsku (?) są (nieczyt.) i że teraz trzeba będzie to, żeby Francya z Anglią mogły razem działać i krzepić swoje przymierze. Plro.

pojmuje, że tą kwestyą powinna być kwestya słowiańska, zaręcza za takoweż same chęć i pojęcie p. de B., ale obawia się, by p. Canner nie był temu przeciwny, gdyż Austrya zraża go bezustannie od tej kwestyi — jako mającej przewrócić Ottomańskie państwo — dlatego radzi, by X-żę Pan jak najspieszniej zrobił staranie w tym względzie koło gabinetu St. James. Z p. de B. będę mówił stosownie do woli i rozkazu władzy. Ale przyznam się, że nic mnie tak nie kosztuje, jak mówić z prośbą o pieniądze, ale będę mówił.

Przez czas mojej niebytności nic nie zrobiono, dopiero ja dziś list (otrzymałem) z Serbii i memorya Neofil. (?). Mimo najlepszych chęci nie było to zrobiono, pokrzyżowano nawet niektóre rzeczy, ale to nic bardzo złego nie zrobiło, tylko że wszystko dowodzi, jak ciężko na kilka dni oddalić się ztąd, nie mając dobrego i wprawnego zastępcy. Polityka X-cia Pana na tym stopniu stanęła, że nie można jej odstępywać na chwilkę. List Zacha przesyłam. Już z niego widno, że rady nasze słuchane, że obawy o scysyę między W. i P. a L. Aleou nie tak są strasznymi. Posyłam memoar Archi Neof., dałem jedną kopię p. de B., jedną posłałem do Serbii.

Poznałem się z przełożonym monasteru Czylin-dere Uspenia Bohorodyci. Ojcem Paissin, tym samym, o którym pisywał p. Rawski — jest on rodem z Kardyszówki z pod Berdyczowa, mój niedaleki sąsiad, dzieckiem wyszedł ztamtąd, ma lat do 50 i przeszło, człowiek prosty, pełen zdrowego rozsądku, łagodny i szczerze serdeczny. Kilka dni będąc z nim, nie widziałem go ani razu pijanego. Doskonale zrozumiał całą naszą pozycyę, nasze działania i otwiera nam swój monaster, o tem interesie piszę w liście do X-cia Pana. Jest to rzecz ważna i bardzo dla naszej sprawy. Monaster jest o 3 mile drogi do Tulczy i tyleż od Isu Kery, o półtory od Dunaju, w lesie, blisko wioski Tełycia, gdzie zakładają monaster kobiet, na samym przechodzie chłopstwa uciekającego z Moskwy do Turczyzny. Będziemy mieli człowieka w tym monasterze. Ojciec Paissi wskaże ludzi godnych wiary na emisaryuszów, można i trzeba koniecznie mieć drukarnię ręczną z literami polskiemi i ruskiemi dla drukowania potrzebnych pieśni, modlitw i odezw do ludu naszego, malutkiego formatu książeczki do tego posłużą. Takim sposobem przygotujemy, podniesiemy i opanujemy lud Ukrainy i taka propaganda wielkiego czasu nie potrzebuje. Lud Ukrainy nie trzeba przekonywać, ale zentuzyazmować, to dzieło tygodniowe a nie roczne, a bez tego żadne emisaryuszostwo na nic się nie przyda a przynajmniej nie na wiele — i dłu-

giego czasu potrzebuje. Ja tu zaraz zajmę się przygotowaniem takich rzeczy, ale prosiłbym władzy o przygotowanie i przysłanie mi także jakiejś piosnki, jakiejś modlitwy, tylko byle nie były długie, o ręczną drukarnię na Niż proszę. Teraz człowiek, który będzie w monasterze, musi zupełnie przyjąć cechę powierzchowną życia monasterskiego, a nawet i krój sukień do monasteru zastosować. Mnie się ta rzecz nie wydaje ani trudną, ani przykrą, ale ja wiem, że takie poświęcenie się Polakom nie bardzo się podoba, dla tego dobrze naprzód wystawić rzecz, wysyłanemu, żeby potem nie było korowodów. Musi taki człowiek uczęszczać na mszę, być codzień i w wieczór na modlitwie, nie udawać junaka — mało gadać, zachować pozorne posłuszeństwo dla igumena (przełożonego monasteru), żyć w zgodzie z mnichami, a jednak z nimi się nie spoufalać, z narodem prostym po karczmach nie włóczyć się, w swoich stykaniach się z Achm.-b. zachować wszelką a wszelką ostrożność, ślepo wykonywać polecenia władzy politycznej. Czy na to wszystko p. Iliński przystanie? Misya to jest nadzwyczajnie ważna, pole do odznaczenia się piękne, do służenia sprawie pożyteczne, przyszłość otwarta, ale trzeba wytrwałości i poświęcenia się. Przy funduszu, jaki jest wiadomy X-ciu Panu, 300 fr. rocznie na ekspedycye, rozmaite prywatne potrzeby i t. d., powinny wystarczyć takiemu agentowi — a przytem trzeba mu zapewnić, że jeśli nie przez swoją omyłkę, nie z własnej woli, ale przez nieprzewidziany zbieg okoliczności lub z rozkazu władzy opuścić będzie musiał stanowisko, a nie był użytym do innej posługi, dostanie 500 fr. i wolność udania się, gdzie mu się podoba, to mi się zdaje być rzeczą konieczną; z agentem agencya główna miała stosunek czysty. Chciałem, to jest miałem zamiar użyć do tej posady p. Chmielowskiego — umie po rusku i po rossyjsku, zna się na drukach i na drukarni, a przytem cichy, ale jest teraz chory i niestety jakieś nieszczęście jest przywiązane do tego człowieka, zkąd inąd i chętnego i zdolnego nawet. Jeśliby p. Iliński się zdał do tej sprawy, trzebaby się spieszyć z wysłaniem onego, gdyż statki do Gałacu chodzą tylko do końca października. Robię tu jeszcze jedną uwagę. Gdyby mnie okoliczności nagliły, gdyby spóźniona pora nakazywała konieczność, gdyby p. Chmielow. wyzdrowiał, natenczas musiałbym go wysłać, żeby nie stracić drogiego czasu. Jednak to bynajmniej nie przeszkadzało by mnie umieścić tam i Ilińsk., a nawet p. Chmiel. dałbym tę postę, jako czasową tylko — na Niżu jest co robić. Wszyscy mnisi w monasterze są Ukraińcy. O. Paissi jest w dobrej zgodzie z biskupem

Bułgarem, który najczęściej przebywa w Tulczy, choć powinien mieszkać w Sylistryi, ten biskup jest także w przyjaźni z Achm.-bej. Z tego monasteru można działać i na Dońców, zwłaszcza, że teraz Dońce są w Ismaiłowie i w kwarantannie na wyspie Tomarowa i bardzo często przychodzą do Tulczy, można i ich nie zaniedbywać i ztąd może niejeden pożyteczny związek się wywiąże. Ganczarowa nie widziałem, gdyż wyjechał do Ruszczuka z towarami, jednak zapewniał Achm.-b. przez Parojoła (Polaka Stanisława) o swoich chęciach służenia sprawie, a nawet udania się gdzie zechce, byle zapewnić na przypadek jakiegoś nieszczęścia los jego żonie i dziecku. Poleciłem tedy Ach.-b., by za jego powrotem z nim rozmawiał i jeśli tak, jak chciał dawniej Gancz. jechać do Carogrodu, żeby go wysłał, a ja ztąd go wyprawię na Don, chociażby przykładając się cośkolwiek do jego podróży. Myślę na przypadek nieszczęścia zapewnić jego żonie i dziecku mieszkanie na Osadzie i upraszam władzę o napisanie mi w tej sprawie swojej woli. Ganczarow jadąc przez Berdiańskie, będzie doskonałym emisaryuszem na kozaków dońskich i azowskich (zaporożców ostatnio przeniesionych z Turcyi, osiedlonych koło Berdiańska),. to będzie dobra rzecz, a kosztów wielkich nie przyniesie. Liczba kozactwa pomnożyła się znacznie na Niżu, ale naszego kozactwa, w samej Tulczy 68 nowych chat tego roku pobudowali, poleciłem Achm.-bej., by doradzał ajanowi o zasiedlenie nowej osady koło Besz-tepe (pięciu wzgórz), niedaleko ostatniej Siczy i może się to stanie. Duch kozactwa ogromnie wojenny, niektórzy mnie poznali i to już robiło ruch nadzwyczajny i dla tego powodu, żeby nie rozbudzać tego ducha, a tem samem nie kompromitować dalszej pozycyi Achm.-b., byłem bardzo rad, że tak na prędce mogłem wszystko przejrzeć i zrobić. To kozactwo zawsze jest do naszego wzięcia, w ciągu tygodnia możemy że dwa tysiące snadno wyprowadzić w pole, z tymi wprost niema co gadać, tylko ich uważać i przez monaster nad nimi czuwać i pracować. Widziałem kilku Nekrasowców ze Sławy i Sary-Kioi, bardzo mnie uprzejmie witali i zapewnili chęć bycia dobrze z nami, pytali mnie o różne rzeczy, bardzo się uskarżali na p. Rawskiego, że nimi pomiatał, że nie chciał z nimi żyć, że hołotę na nich podburzał, nazywając ich Kacapami, Moskalami i t. d. Chociaż sądzę, że w tych skargach jest przesada, jednak wierzę, że musi być i część prawdy, gdyż i ihumen mnie, i wszyscy Achm.-bej, mówiąc o p. Raw. nawet najprzyjaźniej, oświadczali, że od ludzi porządniejszych stronił, a z hołotą przystawał i że tem od siebie

porządnych ludzi odstręczał, a podejrzenie władzy miejscowej obudzał. Jednak te wszystkie eskapady pustej głowy nie popsuły nic na Niżu, tylko zmuszają nas do pewnych powierzchownych ostrożności, co jest i z pożytkiem dla sprawy. Nekrasowców zapewniłem o naszych jednakich uczuciach względem nich, a w mojem przekonaniu możemy na nich rachować na każdą potrzebę. Moskale puszczają wieści, że Moskwa ma ten kraj zabrać, w zamian za Krym, dotąd ta wieść rodzi ogromny przestrach między Turkami i obudza niechęć i gotowość do odporu w kozactwie i Tatarach. Ta rzecz może na naszą korzyść się obrócić, jeśli nie zaspiemy, jeśli będziemy w możności działania. Austryacy naglądają Niż, biorąc za powód protekcyę nad Mołokonami, którzy tam przychodzą wypasać stada. Szpiegowanie tej przeklętej Austryi jest dla nas niebezpieczniejszem i szkodliwszem, jak cała czujność i zręczność Moskwy. Poleciłem Achm.-bej. wielką czujność przeciw tym ludziom i dyskredytowanie ich u władz miejscowych a nawet podburzanie przeciw nim mieszkańców. Więcej mamy się obawiać Austryi jak Moskwy. Przy mnie przybył do Galacu z konsulatu niejaki austryak Szamo, który miał oczekiwać na Br. Geringer, mającego objechać wszystkich Mołokonów — od Tulczy do Bazarczyka (?) i Warny. Z Tatarami Achm.-bej bardzo roztropnie interes prowadzi, wszedł w ścisły stosunek znajomości z hanem Murzą z Czałał-Omen, naczelnikiem wszystkich Tatarów, 35-letnim głowakiem roztropnym i chętnym naszej polityce i z Ak-Murzą (Białym Murzą) z Matczyna.[1]) człowiekiem zasłużonym wojskowo między Tatarami — przeszło 50 lat mającym, bardzo poważanym, pojmującym naszą politykę i jej chętnym. Ci dwaj ludzie mogą całą Tatarszczyznę poruszyć. Z opowiadania Achm.-beja widzę rzecz tak dobrze prowadzoną i tak posuniętą, że można przystąpić do czynów ostatecznych. Posłałem teraz obydwom tym ludziom podarki i przystąpię z nimi do umowy. Upraszam tedy władzę o oznajmienie mi, do jakiej sumy mogę posunąć datek na jeźdźca uzbrojonego — w razie już potrzeby. Z rozmów tych dwóch ludzi i ze znajomości ducha tutejszych Tatarów wiem, że to będzie główny, zasadniczy warunek umowy. Upraszam o prędkie zadecydowanie tej rzeczy. Gdyby można posunąć tę sumę do 400 piastrów tur., to byłoby dobrze i to tak 100 p. t. na rękę, 100 złożone u naczelnika, a 200 dwoma ra-

---

[1]) Może tu mowa o Maczynie, starej kolonii ukraińskiej na Dobrudży?

tami już za Dunajem w naszym kraju. Niech władzę bynajmniej nie zatrważa to zadecydowanie: roztropnie i z niem i z umową się obejdziemy. Nie zrobię lekkomyślnego porywczego kroku, a sprawy pewnie nie skompromitujemy. Ludność Tatarów przenosi 40 tys. płci męskiej, a snadnie wyprowadzić można w pole 5 tys. jeźdzców; wszyscy mają konie dobre, osiodłane i potrzebną broń. O tradycyi dezerterów wieść ani tu ani tam na Niżu bynajmniej się nie potwierdza. Co do p. Kuzniewicza, ten był w Warnie i jest w jej okolicach, o czem piszę do X-cia Pana.

Kończę moje zdanie sprawy z podróży na Niż, upraszając władzy o poparcie i prędkie rezolucye. Gorąco to przedstawiam, bo widzę już owoce dojrzewające naszych zachodów, a obawa mnie dręczy, by one nie przepadły. Koszta na te podróż i na datki tu załączam, równie jak kwit Achm.-beja i jego rotę przysięgi, wziąłem z sobą w pugilares rotę przysięgi 3. maja i tak przypadek zrządził, że taką rotę on napisał. Dla zachęcenia Achm.-b. musiałem mu zostawić dubeltówkę (nieczyt.), zrobiłem zastrzeżenie, że jeśli zechce mieć ją na własność, to mu policzę w pieniądzach. Teraz zapytuję władzy, czy nie byłoby pożytecznie, żeby ją dać Achm.-b. jako gratyfikacye, a dla mnie przysłać inną, co jest potrzebnem. P. Różycki posiada wysoki talent zrobienia z powstańca doskonałego żołnierza i odnoszenia zwycięstw partyzanckich — świetnych. Gdyby Opatrzność chciała zmiłować się nad nim i sprawie dać nową podporę, P. Różyckiego miejsce jest Niż. Z nim kozactwo i Tatarstwo wróci króla Polsce, a Polskę z królem nam z Różyckim na Niżu, gdyby Polska nie była zbawiona oddałbym siebie dobrowolnie na największe męki i cierpienia — takie jest moje przekonanie i taka moja wiara. Na Kaukaz trzeba innego człowieka, a szczególniej dawnego żołnierza i starszego stopniem od Lenoira. Kto wie, czy p. Podczaski albo Bocański z dobrym sekretarzem politykiem, n. p. Budzyńskim, nie byłby tym człowiekiem, możeby jaki doktor (bo doktor operator jest ważną rzeczą tam) się znalazł, coby mógł przemawiać do kozaków. Możeby który z naszych panów, n. p. Potocki chciał należeć do tej misyi — jego imię dobreby wrażenie zrobiło, a czas, by przecie ci panowie dali choć jeden dowód swojego poświęcenia się, i że są warci imienia swojego rodu. Co do Baltazara, tego trzeba uważać jako drogmana przyszłej misyi i tylko z takim uważaniem i zobowiązaniem się jego stosownem, można go tu przy-

[1]) Może Bojarski Edm. kapitan z r. 1831?

słać naprzód. Zapewne. że jego pobyt tu w Stambule pod mojem okiem. będzie korzystnem dla niego, dla misyi i dla sprawy. Przedstawiam jeszcze raz potrzebę przygotowania imienia w pogotowiu do wyprawy tej misyi, na pierwszy raport dobry p. Lenoir, czekać z onej formacyą do rozpatrzenia się. co z raportu wypadnie zrobić, jest to toż samo, kiedy trzeba bić się, myśleć o skupywaniu broni. Byłem na statku, tam jadąc z młodym Ghiką. synowcem byłego hospodara, który ogromnie zażalony na Be-b. i na Francyę, że opuściła Wołoszczyznę dla Serbii. dobry człowiek jakiś, ale Wołoch w całem znaczeniu. dawałem mu nauki, słowami prawdy bez ogródki i zdaje mi się. że to na nim wrażenie robiło. na Serbów strasznie zażalony. o p. Canner i o p. Titof dziwne rzeczy mi wygadywał. ale zdaje się mi. że po większej części zmyślał. jednak z tego zrobię użytek do Serbii. Nazad wracając. znalazłem na statku owego sławnego X. Suchopana, o którym już niegdyś pisałem — przyjechał do Stambułu na wezwanie p. Titof skarżyć X-cia Sturdzę. Od p. Reinera żadnej wiadomości nie mam. co mnie mocno niepokoi. będę pisał do p. Winklera, stosownie do woli X-cia Pana. P. hr. Dzieduszycki jeszcze tu jest. żyje z austryakami i kupuje konie. Drozdowski chciał się z nim poznać i użył do tego p. Ok., emigranta, ale ten pan wyraźnie oświadczył. że z emigrantami nic nie chce mieć do czynienia, ani zawierać znajomości. Jest to człowiek mający lat do 30. Pod żadnym warunkiem nie wypada mnie nastręczać się jego znajomości. Kiedy on nie tylko że nie szuka, ale jej unika. Do Kuneńskiego list napiszę na przyszłą pocztę, teraz nie mam ani chwili czasu. Na osadę posłałem dziś p. Drozdowskiego. a oczekuję p. Żukowskiego z niecierpliwością.

Kończę mój raport o 2-giej w nocy, posyłam do Francyi, a jestem w obawie. by znowu jakiego bałamuctwa nie zrobili w przesyłce.

Michał Czaykowski.

Fr. Rawita-Gawroński.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Fryderyka Chopina
pierwsze lata w Paryżu.
(1831—1838).

STUDYUM BIOGRAFICZNE.

(Ciąg dalszy).

Ale pomimo odniesionego sukcesu, Chopin zaczął się zniechęcać do Paryża, albowiem zaczynał doznawać uczucia zawodu, nabierając przeświadczenia, że w gruncie rzeczy niema tu co robić. A przytem czuł się coraz bardziej osamotnionym, coraz bardziej zawadzającym swoim kolegom-pianistom, którzy w cichości ducha — choć niby tego nie dawali mu poznać po sobie — nie mogli strawić jego tryumfu, jego wyższości pod każdym względem (bo nawet w towarzystwie, jako człowiek wykwintnych form towarzyskich, „umiał się znaleźć“, jak żaden z nich), a w końcu, gdy się wyczerpały pieniądze, które mu przyniósł koncert, i znów wypadło pisać o jakiś „skromny zasiłek“ do domu, gdzie również przy zmienionych warunkach politycznych nie przelewało się wcale, popadł w taki stan przygnębienia moralnego, że nawet w listach do rodziny, tak zwykle wesołych i pełnych dowcipu, nie umiał zataić swego smutku. Przytem tęsknił za wszystkimi, których zostawił w Warszawie, miał różne niedobre przeczucia o niektórych,

co wszystko razem wzięte, sprawiało, że miewał chwile, w których się czuł nieszczęśliwym, rozstrojonym nerwowo, pozbawionym energii i wiary w siebie, nie mówiąc już o nostalgii, jeszcze spotęgowanej neurastenią. Orłowski, który go widywał często, tak o nim w tych czasach pisał do swoich: „Kochany Chopin ściska Was serdecznie; od kilku dni jest bardzo smutny, do tego stopnia, że czasem przyjdę do niego i wyjdę i nic do siebie nie gadamy. Ale to pochodzi z tęsknoty. Tylko proszę Was, nic nie mówcie o tem rodzicom (Chopina), gdyż by to ich bardzo martwiło. Tu u nas w Paryżu kiepsko, nędza między artystami. Cholera wszystkich bogatych panów wypędza na prowincyę. A co jest najokropniejsze, że ani jeden muzykant nie jest w niebezpieczeństwie śmierci, chociaż ich jest tu, jak psów. Żeby tak z połowa umarła, toby dobre czasy znów zakwitły, ale może do tego przyjdzie“.

Ta okoliczność, że w Paryżu było muzyków, „jak psów“, utrudniała egzystencyę także i Chopinowi, który ostatecznie, o ile chciał zostać nad Sekwaną, musiał myśleć o zarobku; ciągle żyć z tego, co mu przysyłano z Warszawy, nie mógł; zbyt na tem cierpiała jego ambicya. Ale właśnie o ten zarobek było najtrudniej, a jeśli na ogół panowała „nędza między artystami“, którzy często i nie przebierali w środkach, gdy w grę wchodziła walka o kawałek chleba, to cóż dopiero miał powiedzieć on, który z natury był niezaradny, który absolutnie nie potrafił walczyć. Jakoż i z jego finansami było „kiepsko“, co oczywiście nie mogło być bez wpływu na humor. Zdawało mu się z początku, że po koncercie, który go tak postawił w opinii, będzie mógł liczyć na lekcye, że z nich będzie miał jaki taki zarobek. Tymczasem zawiódł się i pod tym względem. Ponieważ wszystko, co zamożniejsze, uciekło przed cholerą, więc lekcyj nie było dawać komu. A zresztą inni fortepianiści, których przecież było „jak psów“, zażarcie walczyli o te lekcye. On czekał, aż ludzie sami zgłoszą się do niego, prosząc o lekcye, i jak dotąd czekał napróżno. Jakże wobec tego nie miał być zniechęconym! Z kompozycyj także nie dało się wyciągnąć pieniędzy, bo nakładcy jeszcze się dali prosić, żeby drukowali za darmo, a już płacić — przynajmniej Chopinowi na razie — nie mieli ochoty.

Znalazłszy się w tak przykrem położeniu, z którego wcale nie widział wyjścia, zrozpaczony Chopin wpadł na pomysł, który niezwłocznie, jako zbawienne e u r e k a, zakomunikował rodzicom: żeby pojechać do Ameryki. O ile w Paryżu jest artystów „jak

psów". tam ich niema wcale: ztąd łatwość zarobku, a o to na razie chodziło mu przedewszystkiem. Zapaliwszy się do tej myśli. w której go może różni „przyjaciele" paryscy, pragnący się pozbyć niebezpiecznego współzawodnika, jeszcze utwierdzali, Fryderyk pisał list po liście do domu. starając się przekonać rodzinę. że wygra wielki los na loteryi, skoro opuści Paryż, gdzie niema nic do roboty, gdzie wobec tak wielkiej konkurencyi nic nie wysiedzi z pewnością. a pojedzie do Ameryki. Tam nie on, ale jego będą się prosić o lekcye, tam mu złote dolary same będą napływały do kieszeni. tak pustej w Paryżu! Okazało się jednak. że rodzice byli innego zdania. że wcale nie przekonani listami Fryderyka. nie chcieli słyszeć o tej jego amerykańskiej wyprawie po złote runo! To też odpisali mu. że skoro w Paryżu niema żadnych widoków dla siebie, to niech nie traci czasu. lecz wraca do Warszawy. Wobec tak postawionej kwestyi Chopin znowu nie wiedział, co czynić: bo ile z jednej strony pragnął wrócić do kraju, za którym mu chwilami tak było tęskno, gdzie miał tyle osób drogich, kochanych. gdzie mu tak dobrze było zawsze, o tyle z drugiej strony. kiedy miał wybierać między Paryżem a Warszawą. między stolicą świata, centrum sztuki etc.. a partykularzem, jakim była ówczesna stolica ciemiężonego Królestwa, to mu zaczęło być żal Paryża. Zawsze co Paryż, to nie Warszawa! Nadto przyjaciele jego. tacy. jak Liszt. Hiller, Sowiński. Orłowski. tłumaczyli mu. że powinien zostać w Paryżu, że tylko tutaj może wypłynąć na szerszą widownię, że tylko tutaj może zrobić wielką karyerę artystyczną. podczas gdy wracając do Warszawy, na jej gruncie, w obecnych warunkach. tylko zmarnuje swą świetną przyszłość. To nie jest teren dla niego! Cóż. kiedy rodzice nalegali. żeby wracał. Jakoż, pomimo wszelkich perswazyj przyjaciół. którym przyznawał dużo racyi. postanowił zastosować się do woli rodziców. Swoją drogą, o ile do niedawna tak się wyrywał z Paryża. o tyle teraz. kiedy pomyślał. że musi wyjeżdżać. że musi opuścić Paryż. było mu przykro: wolałby zostać. Ale zdecydował się jechać, napisał do domu, że wraca. więc trudno. Nie pozostawało nic innego, tylko pakować rzeczy. bo zbliżał się termin wyjazdu. Jakoż nadszedł już niemal...

Wtem stał się fakt. który w jednej chwili odmienił wszystko. Oto, jak go opisuje dobrze poinformowany Karasowski: „Potrzeba zdarzenia. iż w przeddzień wyjazdu spotkał Chopin na ulicy księcia Walentego Radziwiłła; więc go począł żegnać, oznajmiając zamiar niezwłocznego opuszczenia Francyi. Radziwiłł, nie

śmiejąc stanowczo odradzać, wymógł na nim tyle, iż Fryderyk tego samego dnia udał się z nim na wieczór do Rotschildów. Chopin podniecony widokiem najświetniejszego towarzystwa paryskiego, gdy na prośby gospodyni domu (pewno do tego namówionej przez Radziwiłła) zasiadł do fortepianu, grał i improwizował, jak nigdy jeszcze; słuchacze, do najwyższego stopnia zachwyceni, przesadzali się w oznakach uwielbienia dla jego czarującego talentu. Od tego wieczora, jakby za dotknięciem laski magicznej, położenie Chopina zaczęło się poprawiać: los zwrócił do niego uśmiechnięte swoje oblicze, uchylając mu cokolwiek zasłonę, przez którą przebijała pogodniejsza przyszłość, niby zwiastunka świetności nowo wschodzącego słońca. Natychmiast, jeszcze w salonach u Rotschildów (w czem znowu nie obeszło się pewno bez podszeptów Radziwiłła), otrzymał ktlka zaproszeń do dawania lekcyj na fortepianie w pierwszych domach stolicy; położenie jego materyalne poprawiało się z dnia na dzień; od rodziców nie potrzebując już żadnej pieniężnej pomocy, przestał myśleć o powrocie do Warszawy. Jeszcze się nie skończył rok 1832, a więc upływał zaledwie rok od chwili, gdy stanął na paryskim bruku, a pozycya Chopina, jako pierwszego nauczyciela gry na fortepianie, już była ustalona. Miał pięć godzin lekcyj dziennie, od 11-tej do 4-tej, wszystkie po 20 franków za godzinę. Może zgodziłby się dawać i taniej, ale Platerowie i Czartoryski rozpowiedzieli wśród swoich wszystkich znajomych z arystokracyi paryskiej, że to jest jego stała cena, że mniej nie bierze. A ponieważ zarówno jego uczniowie, jak i uczenice, których była znaczna większość, rekrutowali się wyłącznie z najwyższych sfer towarzyskich, zamieszkujących przedmieścia Saint Germain i Saint Honoré, więc cena ta nie grała żadnej roli. Tym sposobem zarabiając po 100 fr. dziennie, stał się Chopin odrazu „jednym z najbogatszych Polaków“, zamieszkałych w Paryżu.[1]) Niestety, nie zawsze te lekcye, które go materyalnie czyniły niezależnym, równały się przyjemności. Przedewszystkiem, z nielicznymi wyjątkami, nudziły go strasznie. Udzielał ich, ponieważ musiał zarabiać na życie, ale nie można powiedzieć, żeby to wogóle czynił z zamiłowania. Artysta i poeta, nie był stworzony na pedagoga. Był nim z musu. A ponieważ stało się modą wśród dam i panien świata paryskiego, by się módz nazywać uczenicą Chopina, więc nie brakło pomiędzy

[1]) Tak go nazwał w jednym ze swych listów gen. Bem. — Zob. Karłowicz, str. 282.

ego uczenicami i takich, których muzykalność wiele pozostawiała do życzenia. Owszem, takich uczenic miał najwięcej. Na prawdę muzykalne i utalentowane, jak panna Paulina Platerówna — a z czasem księżna Marcelina Czartoryska — należały do rzadkich wyjątków. Ale choć dawał lekcye dla zarobku, to jednak do honoraryów przywiązywał bardzo małą wagę. Daleki od zmateryalizowania, o pieniądze nie dbał zupełnie, do tego stopnia, że ciągle nań musiano nalegać, by brał więcej, by nie zadawalniał się tem, co mu ofiarowywano. Tymczasem jemu było wszystko jedno, tak dalece, że nie cofnąłby się nawet przed uczeniem za darmo... To sprawiało, że choć zarabiał dużo, nadzwyczaj był skorym do rozdawania pieniędzy; że zaś między emigrantami nigdy nie brakło takich, co potrzebowali, więc nieraz wyzyskiwano tę jego dobroć i hojność. [1])

Oczywiście, że i na humorze zyskał odrazu i ze zdrowiem czuł się lepiej znacznie i na życie zapatrywał się różowiej. Odbiło się to w jego listach z tego czasu, zarówno do rodziny (do której jednak zaczął pisywać coraz rzadziej, tak, że wciąż otrzymywał skargi z domu, że nie pisze), jak i do przyjaciół. Oto n. p. co w październiku roku 1832 pisał do Dominika Dziewanowskiego: „Między tutejszymi artystami mam i przyjaźń i szacunek, chociaż dopiero rok pomiędzy nimi bawię. Dowodem szacunku jest, że mi dedykują swoje kompozycye, nawet ludzie z ogromną reputacyą, wprzódy, niż ja im. I tak: Pixis swoje ostatnie waryacye z orkiestrą wojskową mnie przypisał; powtóre, komponują waryacye na moje tematy. Kalkbrenner mojego Mazurka z w a r y o w a ł; uczniowie konserwatoryum, uczniowie Moschelesa, Herza, Kalkbrennera, słowem artyści skończeni, biorą odemnie lekcye, stawiają imię moje obok Fielda. Słowem, żebym był jeszcze głupszy, myślałbym, że jestem na szczycie mojej karyery. Tymczasem widzę, ile mi jeszcze zbywa, aby być doskonałym, a widzę to tem bardziej, że żyję ściśle z pierwszymi artystami i wiem, czego każdemu niedostaje".

Za lekcyami poszły stosunki z najpierwszymi domami w Paryżu, wśród najwyższej arystokracyi, wśród ambasadorów, książąt, markizów, hrabiów etc., nie wyłączając oczywiście i *haute finance*. W dzień zajęty lekcyami, wszystkie wieczory spędzał „w świecie", które bardzo często przeciągały się późno w noc. Ztąd i wydatki

---

[1]) Z r o z m ó w o C h o p i n i e (z opowiadania pani Emilii z Borzęckich Hoffmanowej) Kraj, 1900, Nr. 33.

zwiększały się z dniem każdym, bo jako prawdziwy *arbiter elegantiarum*, do stroju przywiązujący niemniejszą wagę, jak największa elegantka. Chopin zaczął nie tylko żyć z arystokracyą, ale i nie liczyć się z groszem, jak jakieś książątko. „Pięć lekcyi mam dzisiaj dać — pisał do przyjaciela — myślisz, że majątek zrobię? Kabryolet więcej kosztuje i białe rękawiczki, bez których nie miałbyś dobrego tonu“. A zresztą w świecie, w którym bywał teraz, a w którym go sobie rozrywano poprostu, pieszczono, wyróżniano, sadzano na pierwszem miejscu, uprzedzano wszelkie zachcenia i kaprysy — bo miał już i kaprysy — musiał dostrajać się do arystokratycznego kamertonu, co mu zresztą nie sprawiało żadnej przykrości, przeciwnie, stało się drugą naturą. O tych swoich stosunkach w wielkim świecie, w którym miał tak niezwykłe powodzenie, tak pisał Chopin w r. 1832 do Dziewanowskiego: „Rozerwany jestem na wszystkie strony. Wszedłem w pierwsze towarzystwa, siedzę między ambasadorami, książętami, ministrami, a nawet nie wiem, jakim cudem, bom się sam nie piął. Dla mnie jest to dziś rzecz najpotrzebniejsza, bo ztamtąd niby dobry gust wychodzi; zaraz masz większy talent, jeżeli cię w ambasadzie angielskiej lub austryackiej słyszano:, zaraz lepiej grasz, jeżeli cię księżna Vandemont (ostatnia ze starożytnego rodu Montmorency) protegowała. P r o t e g u j e nie mogę napisać, bo baba przed tygodniem umarła. A była to dama nakształt nieboszczki Zielonkowej lub kasztelanowej Połanieckiej, u której dwór bywał, która bardzo wiele czyniła dobrego, wielu arystokratów przechowywała podczas pierwszej rewolucyi. Pierwsza po dniach lipcowych przedstawiła się na dworze Ludwika Filipa. Żywiła koło siebie mnóstwo białych i czarnych piesków, kanarków, papug, a przytem posiadała najzabawniejszą w tutejszym wielkim świecie małpę, która na wieczornych przyjęciach inne... kontesy... kazała“. Ostatni dowcip może służyć za dowód, że Chopinowi nie bardzo imponował ten świat arystokratyczny paryski, że choć w nim był „rozrywany na wszystkie strony“, to jednak — jak przystało na przyjaciela Mochnackiego — w gruncie rzeczy był usposobiony demokratycznie, co zresztą było modą na emigracyi.

Cokolwiekbądź, cokolwiek sobie w głębi duszy myślał o tych wszystkich „kontesach“, p r i n c i p e s s a c h i b a r o n e s s a c h, w każdym razie było faktem, że wszedłszy do tego wielkiego świata, „siedział między ambasadorami, książętami, ministrami“. Przez tych ambasadorów należy rozumieć trzech: lorda Rothsay Stuarta, ambasadora angielskiego, hrabiego Apponyi, ambasadora

austryackiego i barona Stockhausen, ambasadora holenderskiego. Z pomiędzy tych trzech ambasadorskich domów, jako dom muzykalny, pierwsze miejsce zajmował salon hrabiostwa Apponyi, których wieczory muzykalne, uświetniane popisami największych znakomitości artystycznych, miały swoją sławę w Paryżu. Szczególniej muzykalną była hrabina Apponyi, przyjaciółka Liszta, a dla Chopina, jako jego uczenica, pełna najwyższego uwielbienia. Podobny stosunek łączył go z baronostwem Stockhausen, gdzie również nie wiedziano, gdzie go posadzić. Niemniejsze względy okazywano mu w domach książęcych, czy to w domu księstwa de Noailles, gdzie dawał lekcye księżniczce.[1]) czy to w otwartym domu księżnej Belgiojoso, o której zaletach piszą z takim entuzyazmem Heine i Balzak.[2]) Domem, którego dostojny gospodarz stał się nie tylko gorącym wielbicielem geniuszu Chopina, ale i jego serdecznym, szczerze oddanym przyjacielem, był muzykalny dom margrabiego Adolfa de Custine, jeden z pierwszych domów w Paryżu, a przytem jeden z najmilszych. Chopin korzystał tu ze wszystkich przywilejów, jakie mogą przysługiwać ulubieńcowi pana i pani domu.[3]) Nazywano go tam Polonniaiseur. Między hrabiowskimi domami, z którymi Chopina łączył stosunek przyjaźni, pierwsze miejsce zajmował świetny dom hr. Karola Flahault, słynnego lowelasa, który tak decydującą rolę odegrał w życiu i sposobie prowadzenia się Delfiny Potockiej, (którą, jak powiada Krasiński, „przepsuł“ jeszcze przed rokiem 1830). Hrabia Flahault, niegdyś, jako adjutant, ulubieniec Napoleona i... królowej Hortenzyi, był ożeniony ze Szkotką, baronówną Keith, dziedziczką wielkich posiadłości w Szkocyi.[4]) Dom państwa Flahault, w najarystokratyczniejszej dzielnicy Saint-Honoré, co niedziela otwierał swoje podwoje, a jako taki cieszył się opinią jednego z najbardziej gościnnych, najwięcej uczęszczanych. Stałym gościem bywał tu Tayllayrand... Obie hrabianki Flahault, panny Emilia

---

[1]) O księżnej de Noailles, córce księcia Mouchy obszerniej pisze w swych pamiętnikach A. E. Koźmian.

[2]) Heine w Kunstberichte aus Paris, Balzak w Lettres à l'Etrangère.

[3]) O serdecznej przyjaźni, jaką margr. de Custine miał dla Chopina, świadczą jego listy do niego, których zachowało się kilkanaście, a które czytelnik znajdzie streszczone w książce M. Karłowicza.

[4]) Tutaj z pewnością pozna się Chopin z czasem z panną Jane Stroling, krewną pani Flahault.

i Klementyna, były uczenicami Chopina.[1]) Były niemi również hrabiny i hrabianki Caraman, Fürstenstein, Germain, Pertuis,[2]) Esterhazy, Branickie, d'Haussonville, de Loban, Komarówny i wiele innych o najświetniejszych nazwiskach. We wszystkich tych domach bywał Chopin nie tylko w roli nauczyciela, ale go z nimi łączył stosunek towarzyski. Jeżeli chodzi o hrabiowskie domy, to jeszcze należy wymienić dom hrabiny d'Agoult, która przed rokiem 1836 stale mieszkała w Paryżu, przyjmując wszystkich przyjaciół Liszta, a więc prawie cały świat muzyczny paryski. Chopin cieszył się jej wyjątkowymi względami. Po hrabiowskich przychodziła kolej na domy baronowskie. Tutaj prym trzymał dom Rotschildów. Pani Rotschild zaliczała się do stałych uczenic Chopina. Nic semickiego nie mieli w sobie baronostwo d'Est, a baronowa d'Est była nie tylko pilną uczenicą, ale i szczerą przyjaciółką Chopina.

Równie wielką, jak utytułowanych, była liczba nieutytułowanych przyjaciół i przyjaciółek, uczniów i uczenic Chopina. Tutaj na pierwszem miejscu należy wymienić otwarty dom bankiera Leo, który w swych salonach na rue du Mont Blanc gromadził cały paryski świat literacki i artystyczny. Chopin i Heine cieszyli się szczególnymi względami u „Leona", jak go w listach nazywał Chopin, który też, ile razy był w chwilowych kłopotach pieniężnych — co mu się zdarzało niekiedy, zawsze w takich razach mógł liczyć na tego „żyda szelmę", jak na Zawiszę. Domami, w których Chopin bywał częstym gościem, gdzie dużo muzykowano, były nader miłe domy państwa Freppa, Eichthal i Albrecht, braci Tilmant, abbé Bardin i w. i. Do jego najlepszych uczenic, biorących lekcye u niego, należały panny Muker i Hatmann i inne. Trudno wymieniać wszystkie. Lista byłaby zbyt wielka.

W każdym razie nie przesadzał Chopin, kiedy pisał do Dziewanowskiego, że jest „rozerwany na wszystkich". To też rozerwany od rana do późnej nocy, często do rana, zaabsorbowany lekcyami i życiem towarzyskiem, ciągle zapraszany na śniadania, na obiady, nie wiele miał czasu dla siebie, nie wiele był sam.

Ale też i nie szukał samotności. Zawsze wolał mieć kogoś przy sobie, tak dalece, że z chwilą, kiedy się poprawiły jego in-

---

[1]) Zob. list jednej z nich, pisany do Chopina, a ogłoszony w książce Karłowicza, str. 292.

[2]) Hrabia Pertuis, był adjutantem króla Ludwika Filipa. Za jego pośrednictwem wejdzie Chopin w stosunki z dworem.

teresy, niebawem porzucił swe małe mieszkanko na Cité Bergère 4, dokąd się w połowie r. 1832 przeprowadził z Boulevard Poissonière i wziął większe mieszkanie po dr. Francku przy rue de la Chaussée d'Antin 5.[1]) w którem zamieszkał razem ze swym przyjacielem jeszcze z Warszawy, doktorem Aleksandrem Hoffmannem.[2]) Dzielny lekarz, który po ukończeniu medycyny w Berlinie, właściwą praktykę rozpoczął na polach bitew w r. 1831, a potem w Paryżu powiększył liczbę emigrantów, Hoffmann był wymarzonym towarzyszem dla Chopina, bo nie tylko miał nadzwyczaj zgodne usposobienie, ale nadto był bardzo muzykalnym z natury.

F. Hoesick.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) List Chopina (Franchomme'a i Liszta) do Hillera, z d. 20. czerwca 1833, już jest pisany z tego mieszkania.

[2]) W liście z d. 7. grudnia 1833 pisze Mikołaj Chopin do Fryderyka: „Mille et mille belles choses à Mr. Hoffmann; que je suis aise que vous êtes ensemble!"

Szkoły i wychowanie polskie na emigracyi ekonomicznej.

(Ciąg dalszy).

Jak dotąd Polonia północno-amerykańska skupiła główne siły około organizowania szkół parafialnych. Szkoły tego typu są zakładami równoległymi do amerykańskich szkół publicznych czyli według naszej utartej terminologii szkół ludowych początkowych. Szkoła publiczna (public school) jest fundamentem całego systemu szkolnego amerykańskiego. To samo znaczenie mają w systemie szkolnym polsko-amerykańskim polskie szkoły parafialne. Jak tam tak i tu uczą się dzieci mniej więcej od roku 6 do 14, w którym to wieku istnieje w Ameryce powszechny przymus szkolny.

Chociaż szkoły parafialne polskie odpowiadają co do stopnia nauki publicznym szkołom amerykańskim, to istnieją jednak pomiędzy jednemi a drugiemi pewne częściowo zasadnicze różnice. Przedewszystkiem szkoła parafialna polska jest wyznaniową, katolicką podczas gdy szkoły publiczne amerykańskie są bezwyznaniowemi z pewnym jednak podkładem protestanckim.

W szkołach publicznych amerykańskich w przeważnej ich części jest system koedukacyjny, w szkołach parafialnych polskich uczą się osobno dziewczęta a osobno chłopcy.

Językiem wykładowym w szkołach amerykańskich publicznych jest tylko język angielski. organem szkoły amerykańsko-polskiej jest język polski i angielski.

Z reguły obowiązuje wykład w języku polskim dla nauki religii oraz dla wszystkich przedmiotów polskich, jak sam język polski, dzieje ojczyste, geografia Polski, wiadomości z literatury polskiej. Zresztą z zasady język polski jako wykładowy ma przewagę nad angielskim w niższych klasach szkół parafialnych polskich, a na odwrót angielski nad polskim we wyższych klasach tychże szkół. W początkowych klasach nauka rachunków i niektórych innych przedmiotów odbywa się, ale i to nie wszędzie, w języku polskim.

Języka angielskiego używa się natomiast przy nauce samego języka angielskiego oraz we wyższych klasach przy wykładzie rachunków, geografii, historyi Stanów zjednoczonych, nauk przyrodniczych, fizyki, oraz po większych miastach przy nauce buchalteryi i stenografii.

Znajomość języków wykładowych dzieci polskich przy wstępowaniu do szkoły jest nierówna.

Dzieci sześcioletnie emigrantów, niedawno w Ameryce osiadłych, wstępując do szkoły, nie umieją po angielsku, dzieci zaś starszej generacyi wychodźców polskich, zrodzone na ziemi amerykańskiej, władają zazwyczaj biegle językiem angielskim, ale za to źle językiem polskim. Jest zatem zadaniem pierwszych klas szkoły parafialnej wyrównać te nieraz rażące różnice w duchu interesu narodowo-polskiego i w duchu praktycznej użyteczności życiowej.

Różnica pomiędzy szkołami parafialnemi polskiemi a szkołami amerykańskiemi publicznemi leży jeszcze w tem, że te, utrzymywane kosztem państwa, uczą dzieci bezpłatnie, tamte zaś, nie mając innych środków egzystencyi, utrzymują się ze składek czyli opłat szkolnych gminnych, a nareszcie i w tem, że polskie szkoły parafialne, przyjmując w zasadzie organizacyę i program szkół publicznych, muszą uczyć przedmiotów czysto polskich i uczyć dzieci drugiego czyli swojego głównego języka wykładowego, języka polskiego.

Program nauki i jej zakres w poszczególnych szkołach nie jest widocznie jednaki i nie może być jednakim z powodu najrozmaitszych warunków lokalnych i środków materyalnych, którymi dana szkoła rozporządza.

Są w Ameryce północnej szkoły polskie, które zaledwie wegetują, które nie mają ani warunków rozwoju, ani odpowiedniego nauczyciela, ani należytej opieki i kierownictwa, takie szkoły uczą widocznie tego, na co je stać, uczą mało, daleko im do wyczer-

pania planu naukowego nawet w najmniejszem minimum. Obok takich szkół istnieją szkoły zamożne, urządzone dostatnio, kierowane przez kwalifikowanych zdolnych pedagogów, oparte na pewnej materyalnej podstawie, takie szkoły mogą widocznie stanąć na wysokości zadania swego i dorównać nie tylko publicznym amerykańskim pod względem naukowym, lecz spełnić nadto swój specyficznie polski program.

Normalnie i w całości rozwinięta szkoła parafialna polska podobnie jak szkoła amerykańska publiczna składa się z dwóch kursów: z kursu elementarnego (primary school), rozdzielonego na pięć względnie cztery lata nauki czyli pięć a względnie cztery klasy oraz z kursu wyższego (grammar school), rozłożonego także na cztery lata czyli tyleż klas. Kurs elementarny obejmuje zatem prócz przypadkowej klasy przygotowawczej pierwsze cztery klasy (I.—IV.), a kurs wyższy cztery ostatnie klasy (V.—VIII.). Ma więc każda szkoła parafialna polska zupełna, nie licząc oddziału przygotowawczego, ośm stopni nauki, rozłożonych na 8 lat, t. j. od 6—14 roku życia.

W zakres programu naukowego zupełnej 8-klasowej, a względnie 9-klasowej szkoły parafialnej polskiej wchodzi około 16 rozmaitych przedmiotów nauki, a mianowicie: Religia i historya biblijna, język polski i angielski z pewnym zasobem wiadomości literackich, arytmetyka z algebrą, buchalterya i prawo handlowe, kaligrafia, stenografia i pismo maszynowe oraz rysunki, historya i geografia, fizyologia, gimnastyka, roboty ręczne oraz śpiew.

Wszystkim klasom, wstępnej nie wyjmując, przydzielono jako przedmioty obowiązkowe: religię, oba języki wykładowe, polski i angielski, arytmetykę z algebrą, rysunki i kaligrafię. Te więc przedmioty trzeba uważać za główne podstawy edukacyi publicznej amerykańsko-polskiej.

Rozpatrzmy ten program w szczegółach.

W zakres nauki religii wchodzi: katechizm, historya biblijna i historya kościoła. W r. 14-tym a czasem i wcześniej przystępują dzieci polskie do komunii świętej, zamykając tym aktem edukacyę szkolną.

Program nauki języka polskiego obejmuje ćwiczenia w ustnem i piśmiennem używaniu języka, ćwiczenia ortograficzne, lekturę, naukę gramatyki a w klasie VII. i VIII. stylistykę z głównemi zasadami wymowy polskiej oraz nareszcie w najwyższej klasie VIII. zarys literatury polskiej.

Do nauki języka polskiego używają szkoły amerykańsko-polskie: Elementarza, a w dalszym ciągu Pierwszej, Drugiej, Trzeciej i Czwartej książki polskiej Spółki wydawniczej polskiej albo książek Dyniewicza albo Smulskiego, Mniejszej Gramatyki polskiej Małeckiego, Przyjaciela dzieci części I. i II., Wypisów z autorów polskich oraz rozmaitych podręczników historyi literatury polskiej.

Nauka języka angielskiego idzie równolegle z nauką języka polskiego i stara się ucznia doprowadzić do zupełnej wprawy w ustnem i piśmiennem władaniu tym drugim językiem wykładowym oraz do poznania główniejszych zjawisk literatury angielskiej.

Nauka języka angielskiego przynosi dzieciom polskim podwójną korzyść: daje im te wszystkie przywileje, które daje ukończenie publicznej szkoły amerykańskiej, i przez wzgląd na te przywileje wykonywa rząd pewną kontrolę nad szkołami amerykańsko-polskiemi, a powtóre opanowanie języka angielskiego w mowie i piśmie przysparza wychowankom szkół polskich jeden z ważnych środków w życiu ekonomiczno-społecznem amerykańskiem.

W zakres nauki arytmetyki wchodzą wszystkie cztery działania liczbami całemi, ułamkami prostymi i dziesiętnymi, reguły procentu, potęgowanie i algebra.

W dwu klasach najwyższych uwzględnia się w związku z matematyką w klasie VII. i VIII. buchalteryę i prawo handlowe, a w związku z kaligrafią w klasie VIII. stenografię i pismo maszynowe.

Znamiennem jest dla szkół amerykańskich nauczanie rysunków i kaligrafii, rozciągające się na cały ośmioletni tok nauki i prowadzone z całą systematycznością według ściśle określonych planów. W nauce kaligrafii jest w powszechnem użyciu metoda Palmera, polegająca na mięśniowym ruchu pisma.

Rysunki i kaligrafia reprezentują estetyczny kierunek nauki w szkołach amerykańskich publicznych i amerykańsko-polskich. W tym kierunku ma też oddziaływać nauka śpiewu, ciągnąca się przez wszystkie klasy z wyjątkiem VIII. Nauka śpiewu obejmuje śpiew kościelny i świecki, a w śpiewie świeckim zarówno pieśni polskie jak angielskie na jeden lub dwa głosy.

Do nauki śpiewu polskiego we wyższych klasach używają szkoły albo części pierwszej „Szkoły śpiewu“ prof. A. Małłka albo „Śpiewnika dla użytku Polaków w Ameryce“, opracowanego przez muzyka A. J. Kwasigrocha i poetę-liryka S. Zahajkiewicza.

Poważne miejsce w programie naukowym szkół amerykańsko-polskich zajmuje także nauka historyi, przydzielona klasom III. do VIII. włącznie i nauka geografii, pomieszczona w planie klasy II. do VII. włącznie. Odnośne plany naukowe uwzględniają w zarysie historyę i geografię powszechną, główny jednak nacisk kładą na historyę i geografię Stanów zjednoczonych oraz na ich konstytucyę, a w szkołach amerykańsko-polskich także na historyę i geografię Polski. Historya Polski nie bierze się widocznie w zakresie szerszym i pogłębionym. Podręcznik popularny Józefa Chociszewskiego p. t. „Dzieje narodu polskiego" jest w powszechnem użyciu.

Edukacya fizyczna jest w szkołach amerykańsko-polskich potrosze zaniedbana. Gimnastyki a względnie rozmaitych robót ręcznych uczą zaledwie w klasie przygotowawczej i w dwu pierwszych klasach.

A już całkiem zaniedbane są nauki przyrodnicze. Znane mi plany naukowe szkół parafialnych polskich nie wykazują osobno tych przedmiotów. Znajdujemy w nich jako osobny przedmiot tylko fizyologię, pomieszczoną w planie naukowym klasy VII. i VIII.

Po ukończeniu 8 a względnie 9 klasy robi się rodzaj matury z sześciu przedmiotów, a na tem zazwyczaj przeciętny Amerykanin kończy swoje wykształcenie. Gdy się chce uczyć dalej, to albo wieczorami chodzi do rozmaitych zakładów prywatnych na naukę mechaniki, buchalteryi i t. d., albo idzie na kurs klasyczny, który go przygotowuje do Uniwersytetu.

Kursa, w szkołach amerykańsko-polskich, jeżeli szkoły te chcą się pod względem naukowym utrzymać na wysokości szkół publicznych amerykańskich, są trudniejsze niż w tychże szkołach publicznych, bo prócz przedmiotów wspólnych są w ich planach przedmioty polskie, jest zwłaszcza język polski, który trzeba traktować z całą troskliwością.

Rok szkolny w szkołach amerykańskich publicznych i amerykańsko-polskich trwa jak u nas od 1. września do końca czerwca, ale w ciągu roku niema dłuższych przerw, za to wolne są od nauki, prócz niedziel także soboty, a przytem także niektóre święta kościelne i krajowe.

Nauka jest dwurazowa. Rozpoczyna się o 8 rano, a kończy o 11½, a po południu trwa od 1 do 4. Poszczególne godziny dzielą dłuższe lub krótsze pauzy, najdłuższa pauza trwa cały kwadrans. Naukę ranną poprzedza zazwyczaj msza święta dla dzieci.

7. Liczba szkół parafialnych polskich północno-amerykańskich rosła prędko, ale była zawsze i jest obecnie w stosunku do ludności polskiej za mała.

Najpierwsza i najstarsza szkoła parafialna polska powstała w pierwszej najstarszej parafii i przy pierwszym najstarszym kościele parafialnym w osadzie polskiej, zwanej Panna Marya w Texas. Założył ją około r. 1866 Zmartwychwstaniec ks. Bakanowski, a uczył w niej Piotr Kiołbasa, pierwszy zdaje się nauczyciel świecki polski na drugiej półkuli.

Drugą najstarszą szkołą północno-amerykańską polską jest niezawodnie szkoła św. Stanisława biskupa i męczennika w Milwaukee, Wis. Powstała w r. 1867 staraniem ks. Jastra i przy pomocy obywatela Wilczewskiego. Uczyła w niej siostra Tyta, pierwsza nauczycielka Polka w Ameryce.

Liczba szkół rosła w miarę wzrostu ludności polskiej a raczej w miarę organizowania się nowych parafii polskich. Gdzie parafia była uboga i nie mogła utrzymać szkoły i nauczyciela, tam zazwyczaj proboszcz uczył dzieci polskie języka polskiego i religii w języku polskim. Jako zasadę do obliczenia szkół można przyjąć, że szkół polskich parafialnych było i jest w Ameryce północnej nieco mniej, aniżeli rzeczywiście zorganizowanych parafii polskich, bo nie każda parafia może utrzymać szkołę.

Według obliczenia ks. Kruszki było w Ameryce północnej z początkiem tego stulecia około 400 szkół polskich rzeczywiście zorganizowanych, posiadających i utrzymujących własnych nauczycieli lub nauczycielki. W tej liczbie miało pełne ośm a względnie dziewięć stopni czyli osobnych klas, nie licząc klas równorzędnych, tylko około 8 szkół: reszta posiadała szkoły o mniejszej liczbie stopni.

W roku 1907 obliczono liczbę szkół polskich na blisko 500.

Ilość dzieci uczęszczających do poszczególnych szkół parafialnych jest bardzo nierówna, wynosi od 40 do kilku tysięcy. Szkoła św. Stanisława Kostki w Chicago miała w r. 1907 przeszło 3.600, a w 1908 r. już około 4.000 dzieci.

Ogólna cyfra dzieci polskich, korzystających z nauki w szkołach polskich, trudna do obliczenia, wynosiła w r. 1887 według rachunku ks. Barzyńskiego około 14.150. W r. 1901 ks. Kruszka, autor mozolnej i obszernej pracy p. t. Historya polska w Ameryce, naliczył dzieci uczęszczających do szkół północno-amerykańskich parafialnych 69.919, z czego na samo miasto Chicago przypadło 15.120 dzieci.

A jakie rezultaty naukowe wynoszą te rzesze dzieci ze szkół parafialnych polskich? Jaki jest poziom naukowy tych zakładów? Jak wygląda działalność szkoły parafialnej polskiej w porównaniu z amerykańską szkołą publiczną? Zdania są tu podzielone. Kto patrzał na dobrą część szkół amerykańskich polskich i obserwował ją w koloniach, gdzie pragnienie oświaty szkolnej jest żywsze, ten orzeknie, że ogół szkół amerykańsko-polskich stoi na wysokości swego zadania, i zrozumie, że nawet rządowa komisya w sprawozdaniu z wystawy chicagowskiej mogła przyznać tym szkołom pod względem naukowym szczególne pochwały. Ale też te szkoły, które na tę pochwałę zasłużyły, to śmietanka szkolnictwa polskiego północno-amerykańskiego. Ogół tych szkół i rezultaty ich działania nie przedstawiają się tak wesoło.

Nauczyciele i nauczycielki Polacy, którzy pracowali w szkołach publicznych amerykańskich wśród ludności mięszanej polsko-niemiecko-amerykańskiej, stwierdzają fakt, że dzieci polskie, wychodzące z tych szkół, na ogół biorąc, nie posiadaja tych wiadomości, co dobrze prowadzone dziecko amerykańskie: że maja myśl całkiem nie wdrożoną do pracy książkowej, o rządzeniu swą małą osóbką nie mają pojęcia, do życia wśród ruchliwej ludności Ameryki są mało przygotowane, nie mają pojęcia, co kraj ma im do ofiarowania i jak to sobie zdobyć mogą. Wychodzą w świat, by być ciągle na pasku czyimś wodzone lub by wolności nadużyć.

Na stan oświaty szkolnej polsko-amerykańskiej rzuca wiele światła sumienne studyum p. Heleny Piotrowskiej, z którego tu wyjmuję odnośne szczegóły.

Dzieci emigrantów polskich biora co prawda coraz znaczniejszy udział w oświacie szkolnej, ale nie siegają po wyższą oświatę szkolna elementarną.

W stanach, posiadających znaczną ludność polską, procent analfabetów wśród dzieci od lat dziesięciu do czternastu, zrodzonych z rodziców przybyłych do Ameryki, przedstawia się według statystyki urzędowej z r. 1900 bardzo korzystnie, korzystniej od procentu analfabetów pomiędzy dziećmi w tym samym wieku, zrodzonemu z rodziców białych amerykańskiego pochodzenia. Są to stany New York, New Jersey, Pensylwania, Ohio, Indiana i Illinois. Przewaga analfabetów po stronie dzieci rodziców, przybyłych do Ameryki, zresztą przewaga nieznaczna, jest tylko w stanie Michigan i Wisconsin.

To garnięcie się do oświaty ma rozmaite pobudki, ale głównym czynnikiem są rozporządzenia stanowe, domagające się, aby

każde dziecko chodziło pewną ilość lat do szkoły, zwykle od 8—14 roku, obojętna do jakiej szkoły, publicznej czy prywatnej. W stanie Michigań w dystryktach rolnych prawo przymusu szkolnego wymaga tylko czterech miesięcy w roku, a w Wisconsin przymus szkolny został wprowadzony dopiero w r. 1901.

Przymus szkolny jest skutecznym czynnikiem szerzenia oświaty. Uchylających się od wykonania ustawy o przymusie szkolnym czeka kara pieniężna od 5—25 dolarów, a w niektórych stanach do 50 dolarów, stosownie do tego, czy przestępstwo popełniono raz pierwszy, czy też powtórzono wielokrotnie. Stopniom kary odpowiada ustopniowana kara więzienna w razie, gdy winny zapłacić nie może.

Równolegle zwalcza analfabetyzm i wspiera prawo o przymusie szkolnym prawo ochronne pracy dzieci. W stanach, w których najwięcej jest Polaków, i które nas zatem najbardziej interesują, ustawa o ochronie zabrania przyjmować dzieci do pracy przed ukończonym 14 rokiem życia, a nawet po 14, jeżeli dziecko nie spędziło pewnego czasu w szkole.

Prawo to ma doniosłe znaczenie we walce z analfabetyzmem, bo do uzyskania pracy potrzebne jest świadectwo szkolne, jako dowód, że ubiegające się o pracę dziecko umie co najmniej czytać płynnie po angielsku i pisać czytelnie proste zdania w tymże języku. Niewiele to jest. Ostatecznie jednak nie wszystkie dzieci polskie zdobywają to minimum wykształcenia. Wiele rodziców umie za pomocą wykrętów i przebiegłości obejść prawo, oddaje dzieci do pracy przed ukończonym 14 rokiem życia, nie umiejące czego potrzeba, nie mające świadectwa pracy (Labor certificate). We fabrykach unikają starannie inspektorów fabrycznych aż do 16 roku życia, kiedy prawo ochronne przestaje obowiązywać.

A jak się ma sprawa z dalszem wykształceniem dzieci polskich? Dopiero przewyżka nad rządowe minimum będzie miarą i zdolności dzieci polskich w Ameryce i zrozumienia przez rodziców pożytku, płynącego z oświaty i miarą nareszcie energii wychodźctwa polskiego.

Z przysłanych mi uprzejmie przez pannę Helenę Piotrowską z Itaki N. Y. materyałów wyjmuję szereg ciekawych szczegółów.

Normalny przebieg wykształcenia elementarnego dziecka polskiego jest taki: Dziecko polskie kończy mniej więcej w 12 roku życia szkołę parafialną i przystępuje do komunii świętej, potem idzie na rok lub dwa do szkoły publicznej. Często przed wstąpieniem do szkoły polskiej przechodzi dwa lub trzy stopnie szkoły

publicznej. Rezultat jest taki, że do roku 14 kończy cztery najwyżej pięć stopni t. j. otrzymuje wykształcenie, przeznaczone dla ośmioletniego dziecka amerykańskiego i z takim zasobem umysłowym idzie w życie: najprzód do pracy, potem do zakładania ogniska domowego, wreszcie do życia obywatelskiego. Życie przynosi takiej niedokształconej jednostce wiele gorzkich zawodów: iwiększość Polaków pod względem umysłowym pozostaje dzieckiem do śmierci

Panna Piotrowska w braku źródeł statystycznych, obejmujących całe Stany Zjednoczone, ilustruje tę kwestyę ścisłemi datami, zaczerpniętemi ze szkół publicznych w Buffalo w polskiej dzielnicy miasta, a więc wśród ludności prawie jednolicie polskiej, ze szkół z dziećmi przeważnie polskiemi. Cyfry bierze z „stanowego cenzusu szkolnego" za rok 1906.

W trzech szkołach publicznych w polskiej dzielnicy jest dzieci w wieku szkolnym, w wieku od 8 do 14 lat, razem 2.072, powyżej tego wieku tylko 208: pomiędzy temi ostatniemi są tylko nieliczne jednostki polskie.

W tych samych dzielnicach polskich do polskich szkół parafialnych chodzi 3.647 dzieci w wieku od 8 do 14 lat, a powyżej tego wieku tylko 26. W tych cyfrach mamy dowód, że polska ludność posyła dzieci do szkoły tylko wtedy, gdy musi. Wyjątki są nieliczne.

A jak się rozdziela frekwencya dzieci polskich na poszczególne szkoły? Odnośne cyfry podadzą zasób wiedzy, którą młode pokolenie polskie wynosi w życie.

W Buffalo w tych samych trzech szkołach publicznych, razem wziętych na pierwszym stopniu nauki jest 1.007 dzieci, na drugim 580, na trzecim 485, na czwartym 339, na piątym 272, na szóstym 182, na siódmym 116, na ósmym 74, na dziewiątym 22. Od stopnia czwartego frekwencya obniża się gwałtownie, a w klasach wyższych Polacy są wyjątkami.

I znów trzeba stwierdzić fakt smutny, że w Buffalo, w typowej kolonii polskiej w Stanach Zjednoczonych, dzieci polskie otrzymują tylko połowę tych nauk elementarnych, jakie są koniecznie potrzebne dla przeciętnego obywatela amerykańskiego.

Co za wykształcenie wynosi więc dziecko polskie w Ameryce północnej ze szkoły? Kończąc czwartą klasę do chwili przyjęcia komunii świętej, przeczytało dziecko w korzystnych warunkach mnóstwo powiastek i wierszy, nauczyło się wiele z nich na pamięć, wyćwiczyło się w pisaniu łatwiejszych wyrazów angiel-

skich; w szkole parafialnej polskiej douczyło się do tego katechizmu, historyi świętej polskiego czytania i pisania, ewentualnie przy sprzyjających okolicznościach trochę gramatyki i historyi polskiej, a więc posiadło same tylko początki wykształcenia. Poza tem zdobyło sobie mało co. Ono odchodzi, gdy inne dzieci będą pracowały jeszcze całe cztery lata i to w wieku już rozwiniętym. Odchodzi, zacząwszy zaledwie robić zadania piśmienne, odchodzi, dotknąwszy zaledwie nauki o ułamkach, a nie nauczywszy się wcale rozwiązywać trudniejszych praktycznych zadań rachunkowych. Z geografii poznało zaledwie geografię Stanów Zjednoczonych w najogólniejszych zarysach, a zresztą mało co więcej. Poznało urządzenia cywilne i historyę miasta lub miejscowości amerykańskiej, którą zamieszkuje, i do tego historyę odkrycia Ameryki, ale odchodzi bez znajomości historyi całego kraju. Z nauk przyrodniczych nabrało pojęcia o kilku najpospolitszych roślinach i zwierzętach swej okolicy, o ich pożyteczności i pięknie przyrody z kilku poemacików. Ze zajęć ręcznych nauczyło się trochę rysunku, modelowania w glinie, początków koszykarstwa, ale odchodzą chłopcy bez oswojenia się z wyrobami w drzewie i żelazie, oraz z trudniejszem koszykarstwem i posuniętym rysunkiem, a dziewczęta, nie nauczywszy się szycia.

Na każdem polu nauka dla dzieci polskich urywa się wówczas, gdy z łatwej i przygotowawczej miała się stać pełniejszą, rozleglejszą. A ponieważ nauka rozwija umysł, to też rozwój umysłowy z jej ustaniem musi ustać, pozostaje w stadyum dziecinnem.

Z lekceważenia nauki elementarnej rodzi się u Polaków amerykańskich ubóstwo i niedołęstwo umysłowe a równocześnie chwiejność i słabość charakteru. Rutyna szkolna zrobiła dla dziecka o połowę mniej, niż mogła zrobić: dobre przyzwyczajenia nie mogły utrwalić się dostatecznie, szlachetne zamiłowania nie mogły się ukształtować, a indywidualność dziecka objawić się i rozwinąć. Idzie ono w świat jak nieociosana bryła i wpada w ręce tych, którzy potrafią je najlepiej zużytkować dla siebie.

Przyczyny zjawiska, że Polacy tak lekceważą wykształcenie elementarne, są wielorakie. Panna Piotrowska zestawia najważniejsze i dzieli je na ekonomiczne, społeczne i psychiczne.

Ze względów ekonomicznych posyłają rodzice dzieci do pracy, aby zarabiały, a bierze je do pracy pracodawca, bo zyskuje taniego robotnika. Dzieci padają ofiarą chęci zysku: rodziców winić

nie można, bo oni nawet nie zdają sobie sprawy, że szkodzą dzieciom własnym; trzeba ich w tym kierunku oświecać.

Społeczne stosunki są nienaturalne i za mało uregulowane. Dziecko polskie musi pobierać naukę w dwu językach naraz i w dwu niejednako zorganizowanych szkołach.

Nauka w języku obcym sprawia dzieciom trudności znaczne, a samo wyuczenie się drugiego języka jest niełatwe. Tej jednak przyczyny nie można usunąć, można ją tylko roztropnem pokierowaniem nauki złagodzić.

Za to spada odpowiedzialność na kierownicze sfery polskie w Ameryce, że programu nauki w polskich szkołach parafialnych nie dostroiły należycie do programu nauki w szkołach publicznych tak, iżby przechodzenie z jednych szkół do drugich mogło się odbywać bez straty czasu. Obecnie w równoległych klasach szkół parafialnych polskich nie uczą pewnych przedmiotów wcale, a innych nie tak intenzywnie. Skutek jest ten, że dzieci polskie, ukończywszy w szkołach polskich pewną klasę, muszą w szkołach publicznych wstąpić do klasy niższej, chociaż wiekiem należą do wyższej. W ten sposób dzieci marnują czas i tracą ochotę do nauki. A samo przeskakiwanie ze szkoły do szkoły pod względem wychowawczym korzystne być nie może. Szkoły parafialne polskie potrzebują pilnych reform w niejednym kierunku.

Główne przyczyny psychiczne upatruje p. Helena Piotrowska w ciemnocie rodziców, w braku kontroli nad dziećmi, w słabości dla nich i w braku systemu w życiu domowem.

Ciemnota rodziców nie jest ich winą, ale jest ich nieszczęściem. Przedewszystkiem nie rozumieją oni znaczenia oświaty, uważają szkołę za zło konieczne. Zaczynają dzieci posyłać do szkoły jak najpóźniej, a zabierają je z niej jak najwcześniej.

W ciemnocie swej nie pojmują, że dzieci i w najmłodszym wieku mogą się w szkole czegoś dobrego nauczyć, a że na ulicy uczą się wiele złego. Dziecko czasem nie chce iść do szkoły, rodzice ulegają mu bezmyślnie. Niektóre matki znów nie posyłają dzieci, bo się boją, aby go n. p. kolej nie przejechała lub starsi towarzysze nie pobili i t. d. A zacząwszy ostatecznie po ośmiu latach dzieci posyłać do szkoły, odrywają je z najrozmaitszych powodów. Smutno przedstawia się ten fakt w cyfrach, zaczerpniętych znów ze szkół w Buffalo.

W dzielnicach tego miasta, najgęściej przez Polaków zamieszkałych, liczba dzieci zatrzymanych w domu z chwilowej potrzeby, dochodzi do 734, a zatrzymywanych z niedbałości do 918, a dzieci

wałęsających się po ulicach do 1.080, czyli razem do 2.732 dzieci, które w przeciągu jednego roku nie stawiły się do szkoły, do czego były zobowiązane.

Ciemnota rodziców ma i te skutki, że rodzice nie interesują się zgoła tem, co dziecko w szkole robi, dziecko widzi pomiędzy szkołą a domem przepaść i nabiera przekonania, że ta szkoła przecież z życiem niema nic wspólnego i nie bierze pracy szkolnej na seryo.

Ponury to obraz, ale prawdziwy. Punktów jaśniejszych na nim nie brak, ale jest ich nie wiele.

Wiele dzieci polskich odznacza się wyjątkową pojętnością, wszystkie na ogół uczą się dość łatwo, celują zwykle w rysunkach, nieraz w kompozycyi, odznaczają się większą wrażliwością od przeciętnych dzieci amerykańskich lub niemieckich, słowem przedstawiają wdzięczny i wiele obiecujący materyał wychowawczy. Tem większa szkoda, że istnieją przeszkody, które nie dają im się rozwinąć dostatecznie.

Zawsze będą jednostki, które przy wyjątkowych zdolnościach, energii lub większej zamożności rodziców, zdołają się wybić ponad ogół, ale trzeba dążyć do tego, aby się właśnie cały ten ogół podniósł na wyższy szczebel oświaty.

8. Młodzież polska, nie skora do zdobywania sobie wyższej wiedzy w szkołach amerykańskich publicznych, a względnie w szkołach parafialnych polskich, szuka jej w mniejszym jeszcze procencie na wyższych stopniach szkół systemu amerykańskiego. Nie mamy dokładnej statystyki młodzieży kształcącej się w amerykańskich szkołach średnich, ale to, co o tem wiemy, jest zjawiskiem smutnem. Polonia amerykańska nie garnie się do wyższej oświaty i dla tego zamiast rządzić, musi służyć i zajmować najniższe stopnie społeczne. W Buffalo n. p. w trzech ogromnych high schools jest na 60.000 ludności polskiej co roku zaledwie po kilku Polaków, od trzech do pięciu. W New Yorku i okolicy jest grupka może do 10 Polaków, dążących wyżej.

W Chicago jest zastęp polskiej młodzieży w high schools nieco liczniejszy, dochodzi do 100.

Przy tak powszechnym braku pragnienia wyższej oświaty i nauki jest zjawiskiem całkiem zrozumiałem, że Polonia północno-amerykańska nie okazuje chęci do organizowania zakładów naukowych średnich.

Niema w Polonii północno-amerykańskiej polskich seminaryów nauczycielskich męskich.

Seminarya nauczycielskie żeńskie czyli internaty istnieją, ale tylko przy klasztorach żeńskich macierzystych i pozostawiają w przeważnej części wiele do życzenia.

Siostry Felicyanki mają internat w Detroit, Michigan, w którym w r. 1901 było 80 internatek.

Szkołę średnią polską t. z. Akademię dla dziewcząt utrzymują Siostry Nazaretanki (po ang. Holy Family Academy).

Antoni Karbowiak.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JAWORÓW

monografia historyczna, etnograficzna i statystyczna.

(Ciąg dalszy).

Po tym odskoku, który w dalszem naprowadzaniu faktów, odnoszących się do działalności Sobieskiego, uważaliśmy za niezbędny, przystępujemy do właściwego zakresu niniejszej pracy.

Pod smutną wróżbą objął Jan Sobieski starostwo jaworowskie, bo w kilka miesięcy zaledwie po tem straszna klęska nawiedziła nie tylko Jaworów, ale cały szmat obszaru w okręgu starostwa.

Pladrujace od Lwowa bandy kozaków Chmielnickiego podpadły pod Jaworów w listopadzie r. 1648, obróciły w perzynę miasto podnoszące się po klęsce pożaru w r. 1636, wycięły w pień ludność rzymsko-katolicką, wymordowały łacińskich księży, zrabowały doszczętnie zamek, sprofanowały kościół, a co nie wybiły, zabrały w niewolę.

W tym rabunku dopomagali mieszczanie i przedmieszczanie jaworowscy greckiego obrządku, którzy złączywszy się z najezdcami, przewyższali ich w srogości.

Bardzo szczegółowy opis rabunku miasta podają nam trzy wyroki trybunału lubelskiego, ferowane w tej sprawie na winnych rozboju.

Pierwszy, wydany na skargę Wacława Rykowskiego, syna fundatora klasztoru Dominikanów i po nim dalszego dzierżawcy Jaworowa:

„In judiciis ordinariis Tribunalis Regni w Lublinie. Feria tertia in Vigilia S-ti Bartholomei, anno Domini Millesimo sexcentesimo quinquagesimo: skazuje przewódzców w rabunku, mieszczan jaworowskich: Zaharyasza Putaja, Fed'ka Letwoja, Stanisława Wołka, Andrzeja Kołpaczka, Łeska Dłubatowa szewca i Stefana Bielanika na karę śmierci, a 49 mieszczan i 139 przedmieszczan z małego przedmieścia, oraz 40 z wielkiego przedmieścia na ciężkie kary więzienia i solidarny zwrot IMC. Panu Wacławowi Rykowskiemu wyrządzonych szkód, ocenionych przez królewskiego komisarza IMC. P. Adama Kurowskiego na okrągłą sumę 20.000 złp.“

Z szczegółowego rejestru podanych przedmiotów, które zostały zrabowane, podajemy niektóre pozycye, i tak:

Miodu prząśnego 62 półbeczków, wartości 6.200 złp., masła 80 fasek, miodu warzonego 50 półbeczków, zbroi, strzelby ręcznej i pałaszy wartości 1.600 złp.

Baranów 30 sztuk, jałowic karmnych 21 sztuk, bydła rogatego 400 sztuk, kotłów gorzelnianych 18, pszczół 20 pni, karetę nową, małmazyi baryłę wartości 600 złp., mis cynowych, talerzy, dzbanów 540 sztuk i t. p.[1])

Drugi wyrok został wydany na skargę Andrzeja Łahodowskiego, starostę dobrzyckiego i właściciela Krakowca, odległego o dwie mile od Jaworowa. Oskarża on rajców, burmistrza, wójta i ławników jaworowskich, że z gromadą pospólstwa napadli w r. 1648 na Krakowiec jeszcze przed wkroczeniem Tatarów do kraju i w połączeniu z maruderami kozackimi spalili mu dwór w Krakowcu, wszystko złupili, poniszczyli wszelkie sprzęty, dostatki, ozdoby i kosztowności, zabrali 660 fur siana, wyrąbali i wywieźli z lasu 20.000 fur drzewa, zamordowali jego oficyalistę Stanisława Koca, znieśli urzędy polskie a zaprowadzili ruskie i wycięli w miasteczku księży oraz wszystkich katolików.

Trzeci wyrok odnosi się do obrabowania kościoła parafialnego w Jaworowie, który według skargi proboszcza ks. Łukasza Witwickiego napadli rabusie, złupili doszczętnie, dopuszczając się znieważenia świętej Hostyi, zrabowali naczynia kościelne i wszy-

[1]) Odpis wierzytelny wyroku, w prywatnym zbiorze d-ra Aleks. Czołowskiego, we Lwowie.

stkie przybory, przedstawiające jakąś wartość. — Za ten napad zostali zasądzeni mieszczanie jaworowscy: Jacek Kocan, Semko Kowal i Semko Smałła, jako przywódcy rozboju, na karę śmierci.[1])

Doszczętnemu rabunkowi uległy okoliczne wsie Kochanówka, Olszanica, Porudno, Porudenko i t. d., które wypalono do ziemi, rabując dobytek włościan, a ich samych popędzono w niewolę.

Po tym napadzie popadł Jaworów w ostatnią nędzę. Z miasta pozostały tylko zgliszcza, cały dobytek katolickiej ludności uprowadzili rabusie, a czego nie mogli zabrać, zniszczyli i wytłukli, większą część mieszkańców wymordowali, resztę wzięli w niewolę... Kamień na kamieniu nie został z kilkutysięcznej mieściny.

Zewsząd pospieszono z pomocą dotkniętemu miastu. Król Jan Kazimierz dyplomem, wydanym we Lwowie dnia 4. września 1649 r., uwolnił mieszkańców na lat 4 od wszelkich podatków i danin.[2])

Jan Sobieski, starosta jaworowski, opuścił im wszelkie daniny i obowiązki w stosunku do dworu, zezwolił na wrąb w lasach starościńskich, zwolnił z powinności świadczeń w robociznie i zasilił ziarnem z zamkowych szpichlerzy.

Wszystkie te ulgi i dobrodziejstwa nie prędko jednak byłyby dźwignęły miasto z ruiny, gdyby nie zdarzenie szczęśliwe dla przyszłości Jaworowa, że Sobieski upodobał sobie to miejsce i postanowił dzielić swój pobyt między Żółkwią i Jaworowem.

Na zamkowem obejściu zawrzała robota w całej pełni. Setki rzemieślników pracowało nad przyprowadzeniem do należytego stanu zabudowań, wzniesiono piętro nad głównym domem mieszkalnym, przywożono przez długie miesiące kosztowne meble, obicia, makaty, obrazy i t. p. z Żółkwi, wzmocniono obwarowania i własną armaturą Sobieskiego uzbrojono zamek.

Kilka lat trwały te przygotowania, zanim Sobieski zjechał po pierwszy raz na dłuższy pobyt do Jaworowa, razem z żoną i licznym dworem.

Od tego czasu zaznacza się właściwy wzrost miasta, które mimo ponownego napadu w r. 1655 kozaków z samym Chmielnickim na czele, goniącym z pod Lwowa za w. hetm. koronnym, Stanisławem Potockim, bokami nadszarpnął i powiat jaworowski —

---

[1]) „Żereła do istorii Rusy i Ukrainy“, T. 4, str. 128 (list Samuela Konaszewicza).

[2]) Akta grodz. lwow. T. 399, str. 979.

prędko poczęło się odbudowywać z zachowaniem już pewnych form symetryi ulic i placów.

Z częściowem przeniesieniem się Sobieskiego na stały pobyt do Jaworowa, w miarę jak Sobieski wzrasta w znaczenie, poczynają tam napływać dostojni panowie polscy, bądź to w odwiedziny do wielkiego hetmana, lub w sprawach dotyczących wypadków krajowych. Zjawiają się przeróżni wysłańcy postronnych mocarstw w celu paktowania z Sobieskim jako wielkim marszałkiem koronnym, posłowie tatarscy, wołoscy, kozaccy, emisaryusze króla francuskiego i t. p.

Dwór pański w Jaworowie słynie z gościnności, a sława ta rozbrzmiewa jak kraj długi i szeroki. Na jaworowskim zamku zapadają najważniejsze postanowienia wojenne, tu układają się pakta z sąsiadami od Południa i Północy, w Jaworowie rozgrywa się właściwa kampania przedelekcyjna po abdykacyi Jana Kazimierza i są chwile, gdzie właściwe środowisko rządu całego państwa koncentruje się w tej, do niedawna nieznanej mieścinie.

W roku 1658 przybył do Jaworowa wysłannik Ludwika XIV., opat Paulmiers, dla nawiązania z Sobieskim stosunków, dążących do zdetronizowania Jana Kazimierza i osadzenia na polskim tronie księcia Kondeusza.

Marya Kazimiera, żona Sobieskiego, oddana całą duszą Francyi, popierała usilnie zabiegi opata i starała się wszelkimi sposobami pozyskać dla tej roboty męża, ale w tym jednym może tylko wypadku oparł się Sobieski pięknej kusicielce i wręcz odmówił swego współudziału. Sześć tygodni zabiegał emisaryusz francuski ze wszystkich stron, żeby pozyskać Sobieskiego, musiał jednak odjechać, nie dopiąwszy zamierzonego celu.

Po za sprawami urzędowemi poświęcał Sobieski cały wolny czas na przyozdobienie swej siedziby w Jaworowie. Pozakładał wspaniałe ogrody, własną ręką zasadził długą aleę lipową, pobudował łazienki: na wyspie stawu, przyległego do zamku, wzniósł letni pałacyk z wieżyczką, urządził wspaniale komnaty mieszkalne opatrzył zamek stałą załogą, zorganizował nadworną kapelę i pozaprowadzał wszystko, co mogło przyczynić się do wygody i uprzyjemnienia pobytu. Lustracya dokonana z r. 1661, a więc w kilka lat zaledwie po osiedleniu się Sobieskiego w Jaworowie tak opisuje stan zamku:

Zamek nad stawem, otoczony wałem, odarniowany czosnkami i drzewem ocembrowany.

Budynek drewniany wyborny, pobity gontami o 4 izbach z gdańskiemi oknami, drzwi stolarskiej roboty, złocistemi sztukami sadzone. Posadzka w jednej izbie marmurowa, w drugiej gdańska, polerowana — izba stołowa — to na dole.

Na górze w budynku sala, w której 8 okien, na rogu skarbiec murowany.

Łaźnia na sadzawce, kuchnia na stawie, gdzie mieszkanie dla kuchmistrza i dla dwóch sadzów dla ryb.

Ogród włoski fundują dopiero de novo.

Do zamku jest brama na przegródku, na której izba mała z komnatą, a na rogu baszta.

Armatura zamku własna IMC. Pana starosty, a nie należąca do starostwa.

Dział spiżowych 4, żelaznych 2, śmigownic spiżowych 4, żelaznych 4, hakownic z zamkami 4 i organki. [1])

W tym czasie wspomina o samem mieście i o jaworowskim zamku Verdun, sekretarz opata de Paulmiers:

„Na północno wschodniej stronie miasta leży zamek częścią z kamienia, częścią z drzewa. Miasto posiada 2 rzymsko-kat. kościoły, jeden z kamienia (OO. Dominikanów), drugi z drzewa (parafialny). Całe otoczone wałami z ziemi, na nich wysokie ściany z belków i parapety. Są tam 2 cerkwie i synagoga.“

Synagogę, o której wspomina Verdun, fundował Sobieski. Była ona zbudowaną z drzewa, jednak w pewnym stylu i przedstawiała się wspaniale.

Świadkiem ciekawego, a jednak doniosłego znaczenia zajścia był Jaworów w r. 1663.

Wojska nie płacone przez dłuższy czas, utworzyły konfederacyę z kasztelanem Janem Świderskim na czele, stanęły obozem w Kochanówce pod Jaworowem i żądały wypłaty zaległego żołdu w kwocie siedmiu milionów złp., grożąc rewoltą. Podeszli pod Gródek w szyku bojowym, gdzie naprzeciw nich podążał król Jan Kazimierz z pozostałą w wierności resztą wojska.

Dnia 29. maja natknęły na siebie obydwie armie i król wydał rozkaz dowodzącemu królewskiem wojskiem w. hetm. Sobieskiemu natarcia na buntowników.

Wdanie się jednak księcia Prymasa i wstawiennictwo Sobieskiego zapobiegły krwawemu starciu, poczem skonfederowani po-

---

[1]) Baliński, „Ojczyste spominki“.

ciągnęli napowrót pod Jaworów, dokąd podążył za nimi Jan Kazimierz.

Równo ze świtem 2. czerwca 1663 r. witał Jaworów wystrzałami armatnimi przybycie do miasta króla Jegomości z Jejmość królową, Ludwiką Maryą.

Stanęła ugoda między królem i skonfederowanymi w dniu 3. czerwca, podpisana w miejskim ratuszu, poczem królestwo bawili w gościnie u Sobieskich 10 dni, t. j. do czasu wypłaty połowy zaległego żołdu skonfederowanym.

Po wypłacie oddał Świderski wszystkie akta konfederacyi królewskim komisarzom, a miejscowy pleban spalił je w obecności króla w kościele, nad świecą, zdjętą z ołtarza.

Nastąpiły przeprosiny króla przez delegatów z ramienia wojska, które odbyły się z całą pompą i nader wystawnie.

Szczegóły tych ceremonii opisał dokładnie Rousseau de la Valetté.

Szlachta i senatorowie zjechali się bardzo licznie na ten akt ugody, nie licząc kilku książąt kościoła i świty królewskiej. Zdarzyło się to po raz pierwszy, że Jaworów gościł w swych murach tylu dostojników naraz.

Po za dygnitarzami koronnymi przybyło kilkuset oficerów, obozującego pod Bruchnalem wojska i mnóstwo żołnierzy snuło się przez cały tydzień po ulicach grodu.

W zawartej ugodzie pośredniczyli ze strony króla: ks. Wacław hr. na Leśnicy, biskup leśnicki — Prymas hr. na Tarnowie i Jarosławiu — z świeckich dygnitarzy wojewodowie: zamościcki, sandomirski i lubelski, dalej kasztelan wojnicki, wielki hetman i marszałek koronny Jerzy Lubomirski, skarbnik koronny Władysław Nagłowicz, starosta nowomiejski Libuski oraz Szczepan Sarnowski i Stanisław Rzemieski, jako zastępcy lwowskiego obwodu.

Za wojsko podpisali traktat ugodowy:

Jan Samuel Świderski, kasztelan, imieniem koła rycerskiego, a imieniem wojskowości:

Stanisław Jordan, Andrzej Chojnacki, Jan Rambiewski, Krzysztof Dziewalski, porucznicy — Antoni Kruszyński, Stanisław Godowski, Zbigniew Błyskowski, Albert Kołysenko, Jan Czaykowski, Adam Polanowski, Aleksander Arodowski, Franciszek Pruszkowski, Stanisław Trzemeski, Franciszek Czapski, pułkownik Jordan, płatnik Gralewski, Mikołaj Chłopicki, Kazimierz Pruchnicki, Jan Chrząstowski, Stanisław Zabielski i Aleksander Mikrowski.

Sobieski przebywał na przemianę w Żółkwi i w Jaworowie, od czasu jednak przyprowadzenia zamku do należytego porządku częściej przesiadywał w Jaworowie, dokąd zjeżdżał zawsze z przyboczną kancelaryą i z najbliższem otoczeniem swoich poufnych.

Z Jaworowa wyruszył w r 1667 na wyprawę Podhajecką, na którą poczynił zaciągi wojska z własnych funduszów, gdy Sejm zwłóczył z uchwaleniem potrzebnych kwot, tam wrócił z wyprawy i tam zawarł z wysłannikami hana traktaty, zabezpieczające Polskę na dłuższy czas od najazdów tatarskich.

Pogrom podhajecki przyniósł jeszcze tę korzyść dla Polski, że Doroszeńko, który się był złączył z Tatarami i wspólnie z nimi napadał południowe prowincye polskie, zerwał zawarty z nimi sojusz i poddał się królowi Janowi Kazimierzowi.

Sobieski otrzymał w nagrodę zwycięztwa wielką buławę i został wielkim hetmanem koronnym.

Pani hetmanowa Sobieska bawiła w tym czasie w Paryżu, dokąd pod pozorem leczenia się wyjechała z Jaworowa jeszcze w czerwcu 1667.

Sobieski utrzymuje stałą, prawie codzienną korespondencyę z żoną i w długich listach powiadamia ją o wszystkiem, co dotyczy jego osoby.

Marysieńka powiła w Paryżu pierwszego syna, któremu nadano imię Jakóba, a do chrztu trzymali go: król Ludwik XIV, i królowa wdowa angielska po Karolu I, przez delegacyę.

W liście, pisanym do żony z Jaworowa dnia 18. maja 1668 roku, zawiadomił ją Sobieski, że nowonarodzonemu nadaje tytuł starosty jaworowskiego, „bo sam długo ten tytuł nosił i miał z nim dobre szczęście do ludzi".

Podczas swego pobytu w Paryżu zacieśniła Marysieńka węzły łączące ją z dawną ojczyzną i podjęła w myśl życzenia Ludwika XIV, poddany jej projekt detronizacyi Jana Kazimierza i osadzenia na tronie Kondeusza.

Powróciła do Jaworowa w towarzystwie francuskiego opata de Courtois, który przywiózł własnoręczny list ks. Kondeusza, pisany do Sobieskiego w tej sprawie.

Sobieski odmówił swego współudziału w tej intrydze i mimo odmiennych podań niektórych pisarzy z owej epoki, stał od niej zdala.

Czego nie dokonały intrygi Marysieńki, spełniło się samo z siebie.

Jan Kazimierz skołatany tyln niepowodzeniami, które spadły na kraj w czasie jego panowania, popadł w stan przygnębienia, a gdy na domiar nieszczęścia umarła mu żona Marya Ludwika. powziął niezłomne postanowienie złożenia korony, co też uczynił w dniu 16. września 1668 r., przenosząc się na stały pobyt do Nevers we Francyi.

Do wolnego tronu zgłosiło się dziewięciu książąt zagranicznych. z których największe szanse miał książę Kondeusz. zalecany przez Francyę a popierany przez prymasa Prażmowskiego. licznych senatorów i silną partyę. na której czele stanęła żona Sobieskiego. Marya Kazimiera.

Zabiegi pięknej Marysieńki około zjednania Sobieskiego na rzecz Kondeusza zostały po długich pertraktacyach uwieńczone pomyślnym wynikiem i wybór tego francuskiego księcia zdawał się zapewniony.

Lecz w ostatniej chwili. już podczas samej elekcyi padły w najgorętszej agitacyi za Kondeuszem słowa jednego z senatorów: „Niech żyje Piast!“ Hasło tak rzucone podjęto skwapliwie. coraz gęstsze głosy zaczęły oświadczać się za Piastem. ktoś inny dorzucił „Wiwat Piast, król Michał Wisniowiecki!“ i wbrew wszelkim oczekiwaniom. wyszedł z wyboru Michał Korybut Wisniowiecki. ukoronowany w dniu św. Michała r. 1669 królem polskim.

Zawiedzione w nadziejach stronnictwo Kondeusza. nie wyłączając Sobieskiego. na którego oddziaływała z całą zawziętością nadobna Marysieńka. zajęło wrogie stanowisko względem. ich zdaniem. narzuconego sobie króla i z miejsca powzięto zamiar unieważnienia wyboru. a gdy to nie dało się przeprowadzić. rozpoczęto agitacyę za zdetronizowaniem słabego i osamotnionego Michała. a posadzeniem na tronie Kondeusza.

Z tak nadarzonej sposobności nie omieszkał korzystać Ludwik XIV. i wysłał do Jaworowa osobnego emisaryusza. aby w połączeniu z Marya Kazimiera podjął akcyę w tym kierunku.

Zjawił się rzeczywiście ten wysłannik w osobie markiza de Bonzy i zakwaterował się na zamku jaworowskim, zkąd rozpuszczał razem z Marysieńką pajęcze nici po całym kraju. Marya Kazimiera namawiała Sobieskiego wtenczas, żeby zdetronizował króla Michała i sam sięgnął po koronę. lecz on oparł się temu [1])

---

[1]) Helcel, str. 227.

Przyjeżdżali i wyjeżdżali z Jaworowa różni dygnitarze i senatorowie, związani aktem sprzysiężenia, a najczęściej bywał tam podskarbi koronny Tyzenhaus i Feliks Potocki, syn byłego w. hetmana. Pozyskano część wojska dla sprawy i knuto w cichości dalsze plany.

Robota jednak nie szła składnie, bo ciągłe utarczki z napadającemi hordami Tatarów i kozaków wytężały całą działalność senatu i poszczególnych senatorów w jedynym kierunku, którym było zabezpieczenie ojczyzny od upadku. Sobieski, o ile nie bawił w obozie, przesiadywał w Jaworowie, tam ciężko zachorował w styczniu 1671 i kilka tygodni przeleżał w łóżku, skarżąc się na: gorączkę, chrosty po ciele, dymy do głowy i t. p.[1])

U łoża chorego w. hetmana stanął w Jaworowie wysłannik wielu pułków kozackich, setnik Taraszowski, aby imieniem tych pułków, oburzonych na Doroszeńkę, że w Czehrynie poddał całą kozaczyznę sułtanowi, ofiarować ich przysięgę na wierność królowi polskiemu.

W lipcu 1671 r. na wieść, że Doroszenko z Tatarami ruszył trzema szlakami na Pokucie, Wołyń i Lwów, rozpisywał Sobieski z zamku jaworowskiego przez cały tydzień dniem i nocą uniwersały do wojsk, rozsyłał ordynanse do wodzów, a 18. lipca wyjechał z Jaworowa do obozu.

W rok później przyjmował Sobieski w Jaworowie osobnego wysłannika od hana Selima, niejakiego Abdermana, który przybył tam celem omówienia szczegółowych warunków nawiązanego traktatu i wyznaczenia wielkich posłów dla ostatecznego zawarcia wieczystego, pokoju. Posła tego przekazał Sobieski wprost do króla w Warszawie, nie chcąc brać na siebie całej odpowiedzialności za ewentualne następstwa przymierza.

Napięty stosunek wielkiego hetmana w odniesieniu się do króla Michała w niczem się nie polepszył, przeciwnie, z biegiem czasu zaostrzył się znacznie i doprowadził do zupełnego zerwania, z wyjątkiem spraw dotyczących ściśle urzędowego charakteru Sobieskiego, jako wielkiego hetmana i marszałka.

Myśl detronizacyi króla Michała zaczęła się coraz bardziej upowszechniać, a Sobieski wspólnie z Prażmowskim, prymasem, wzywali Ludwika XIV., żeby wysłał do Polski Kondeusza w 25.000

---

[1]) Listy Sobieskiego.

wojska, a on będzie go oczekiwać w Prusach w 8.000 Polaków i ogłosi królem, pozbawiając tronu Michała.[1])

W czasie tej rozterki między królem a pierwszym dygnitarzem państwa, spadły ciężkie klęski na kraj.

Mahomet IV. zdobył Kamieniec, Buczacz, Jazłowiec i Złoczów, a dzikie hordy Turków i Tatarów rozsypały się po całem Podolu, plądrując, paląc i rabując co im tylko wpadło pod rękę.

EDWARD WEBERSFELD.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Korzon, „Dola i Niedola Sobieskiego" T. III. str. 197.

LISTY PARYSKIE.

II.

Podręczniki bibliograficzne. — Léo Claretie i jego historya literatury. — Muzy francuskie. — Barbey d'Aurevilly i Maurice de Guérin. — Georges Grappe o Sainte-Beuve'ie i romantykach. — Baśń fantastyczna u romantyków. — Pisarze francuscy w Rzymie. — Memento.

Żywo dotychczas dawał się odczuwać brak dokładnego podręcznika bibliografii historyi piśmiennictwa francuskiego. Zawierał wprawdzie wskazówki liczne podręcznik literatury Gustawa Lanson'a,[1]) — jeżeli chodzi o stronę informacyjną, najlepszy, jaki dotychczas istnieje, — ale oczywiście mógł podać tylko rzeczy najważniejsze: autorowie ośmiotomowej *Histoire de la langue et de la littérature française* Petit de Julleville'a[2]) w dziale bibliograficznym również nie wszystko, co zasługuje na uwagę, mogli uwzględnić; Brunetière w swym znakomitym *Manuel de l'histoire de la littérature française* podaje znowu jedynie te wskazówki, które mu posłużyły do zbudowania swej teoryi ewolucyi: *Manuel du Bibliothécaire et du Libraire* Brunet'a, przeznaczony dla fachowców, bibliotekarzy i bibliografów, nie jest dostępny dla każdego: słowem, odnalezienie czy sprawdzenie jakiejś daty biblio-

---

[1]) Gustave Lanson: Histoire de la littérature française, Paris, Hachette, 1906 (ost. wyd.), 5 fr.

[2]) Paris, Colin, 1896—1900, 8 t., 120 fr.

graficznej, przedstawiało dużo trudności i wymagało wielu poszukiwań.

Postawił sobie za zadanie temu zaradzić p. Lanson, który od lat wielu na wydziale literackim w Sorbonie, a także w Wyższej Szkole Normalnej, bibliografię literatury francuskiej wykłada: rozpoczął wydawnictwo p. t. *Manuel Bibliographique de la littérature française moderne* (1500—1900), której zeszyt pierwszy: *Seizième siècle,* [1]) świeżo opuścił prasę: trzy inne zeszyty zawierać będą wieki: XVII., XVIII. i XIX.

„Wiele istnieje podręczników literatury, — pisze p. Lanson w przedmowie — ale znajdują się w nich oceny autorów raczej, niż wskazania co do tego, gdzie należy szukać tekstów i dokumentów, na podstawie których buduje się historya piśmiennictwa... W pracach najbardziej „objektywnych" podawane są rezultaty badań, ale nie łatwo jest wykryć, jak autor doszedł do tych rezultatów. Nasze źródła pomocnicze dla prac literackich bardzo są niekompletne". Przyczynić się do ich skompletowania oto zadanie świeżo ogłoszonego podręcznika, zadanie, które p. Lanson osiągnął w zupełności.

Prac bibliograficznych nie można oceniać bezwzględnie, t. j. nie można od nich żądać ścisłości matematycznej, szczególniej jeżeli nie są przeznaczone dla fachowców bibliografów: mimo to konieczna jest jednak pewna dokładność, a nadewszystko dokładność w tytułach i datach. Nie mogłem oczywiście sprawdzić wszystkiego; w tych jednak poszukiwaniach, jakie w nowej książce p. Lansona robiłem, nie zdołałem odnaleźć ani jednego błędu. Miałbym jednak do zarzucenia autorowi, że z uszczerbkiem dla wartości swej książki, pominął wskazówki co do wydawców, u których dzieło dane zostało ogłoszone: utrudnia to w wielu wypadkach skonstatowanie tożsamości książki, a także odnalezienie jej w bibliotekach czy księgarniach. Z tem zastrzeżeniem uważam *Manuel* za doskonały i niezbędny dla każdego, kto nowoczesną literaturą francuską się zajmuje.

Podobny podręcznik bibliograficzny, dla wieku dziewiętnastego, ogłosił niedawno amerykanin, p. Hugo P. Thieme: [2]) podaje on tylko ważniejszych autorów (ułożony jest chronologicznie)

---

[1]) Paris, Hachette, 1909, 5 fr.

[2]) Guide bibliographique de la littérature française de 1800 à 1906, Paris, Walter, 1907, 25 fr.

i niezawodnie oddać może bardzo wielkie usługi: nie radziłbym jednak ufać mu bezwzględnie, gdyż wiele bardzo błędów zawiera, szczególnie w datach i we wskazówkach odnoszących się do adresów bibliograficznych.

Wracając do *Manuel'a* Lanson'a, zeszyt pierwszy, oprócz wieku szesnastego, zawiera dział p. t. *Généralités*, który podaje bibliografię metod stosowanych w krytyce i w historyi literackiej, bibliografię katalogów i repertuarów rękopisów, wreszcie bibliografię retrospektywną (bibliografię bibliografii, encyklopedyi, katalogów, towarzystw uczonych, zbiorów i t. d.).



Skoro mówię o podręcznikach dla poznania literatury francuskiej, wzmiankować muszę świeżo wydany tom IV. i ostatni *Histoire de la littérature française*[1]) p. Léo Claretie, bratanka Jules Claretie, członka Akademii francuskiej.

Specyalnością p. Léo Claretie jest wygłaszanie odczytów; w tej działalności odczytowej uzyskał nazwisko: ten charakter, że tak powiem, „odczytowy“, posiada jego podręcznik, który zawiera wiele bardzo ciekawych ocen i szczegółów z życia omawianych autorów. Dla poznania literatury francuskiej nie może on być podstawą, ale dopełnieniem tylko. P. Claretie, redagując swą *Histoire*, dwa miał na oku zadania: zadanie krytyka i zadanie historyka. „Krytyk — powiada — sądzi i tłumaczy. Przetwarza wrażenia, jakie odbiera przez czytanie utworów literackich i dzieli się z czytelnikiem tem, czem stał się utwór, przeszedłszy przez jego umysł; jakie wrażenie wywarł na osobistości krytyka i na jego upodobaniach. Rola historyka literatury jest inna: ma on się kształcić, rozpowszechniać to, co jest małoznane z życia, z obyczajów, z charakteru pisarzów, z warunków zewnętrznych, które wpłynęły na talent pisarza, z mody, jaka podsunęła autorowi ten a nie inny temat, z warunków, które stworzyły powodzenie wśród współczesnych, słowem, ze wszystkiego, co może uzewnętrznić osobistość omawianego pisarza.“

---

[1]) Léo Claretie: Histoire de la littérature française (900—1900). Tome quatrième: le dixneuvième siècle, Paris Ollendorff, 1909. 7·50 fr. Całość stanowi 4 tomy po 7·50 fr.

Tej metody trzymając się, w trzech pierwszych tomach omówił p. Claretie literaturę XVI., XVII. i XVIII. wieku: czwarty poświęcony jest wiekowi dziewiętnastemu: rozpoczyna się od ogólnego rzutu oka na zmiany, jakie zaszły we Francyi po Wielkiej Rewolucyi: były to zmiany polityczne i społeczne, — powiada p. Claretie — a nie literackie: „do roku 1815. we względzie literackim jesteśmy w wieku XVIII.“ Te zmiany polityczne wpłynęły na chwilowy upadek czystej literatury, ożywiły publicystykę, a nadewszystko oratorstwo. „Mowy zastąpiły pióra. Chwile tragiczne przeżywano na placach publicznych, na polu walki, w więzieniach, a nie w gabinetach, przy pracy pisarskiej.“ Później znowu, kiedy zapanował względny spokój, brakło swobody do wypowiadania się; piśmiennictwo dbało o formę, myśli się obawiało, ale kiedy niema myśli, to i forma musi się wydać chwiejna...

„Właściwy wiek XIX. zaczyna dopiero Chateaubriand, jedyny godny pisarz do otwarcia odrzwi tego wspaniałego pałacu“. I cytuje p. Claretie zdanie Emile'a Ollivier'a, który niemal cały ten wiek przeżył: „Nasz wiek miał piękne dni, podczas których dobrze było żyć, a zważywszy wszystko, można twierdzić, że w tym wieku człowiek, nie powiem, iż był najszczęśliwszy — kiedyż jest nim zupełnie? — ale z pewnością najmniej nieszczęśliwym. To co wiek ten przyniósł, bez względu na punkta widzenia, z jakiego obserwować, jest wielkie i wspaniałe“.

Oddzielne rozdziały poświęca p. Claretie: Chateaubriand'owi, Lamartine'owi, de Vigny'emu, Victor'owi Hugo, Musset'owi i Gautier'owi; później traktuje przedmiot rzeczowo i mówi o poetach, o powieści, o teatrze, o historyi, o prasie, o naukach ścisłych i publicystyce, wreszcie o literaturze francuskiej po za granicami Francyi politycznej.

Nie mogąc wchodzić w szczegóły, zadowolę się podaniem tego, co mówi p. Claretie o szkołach i kierunkach. Romantyzm, mimo krzywd, jakie wyrządził umysłowości francuskiej, „wyswobodził, odmłodził, uczynił bardziej giętką poezyę, wykąpał ją w źródłach czystego liryzmu, dał jej szczerość, różnolitość, koloryt, swobodę, wolność, dał duszy głos i skrzydła, poruszył i wyswobodził namiętności i nienawiści: usprawiedliwił życie“.

Pisząc o realizmie, mówi: „Dzięki jakim upodobaniom dziwnym i chorobliwym, nasi pisarze myśleli, że czynią dobrze, obserwując, oceniając i opisując to, co jest brzydkie, nizkie, środowiska zatrute, plugawe, popularne? Wistocie wyraz realizm jest synonimem brutalności, nieprzyzwoitości, plugawstwa. Balzac,

Flaubert, a nadewszystko Zola, popchnęli piśmiennictwo francuskie na tę drogę, a zostali na niej zdystansowani przez swych uczniów. Już w końcu XIX. wieku realizm został uznany za szkodliwy".

Co do symbolizmu, uważa p. Claretie, że „oceniano go zbyt surowo: jego pojawienie się było powrotem do idei w utworach pisarskich. Pozytywizm uważał, że wszystko tłumaczy, że wszystko zdolny jest sprawdzić. Należało mu przypomnieć, że nawet mimo postępu nauki, istnieją tajemnice i istnieć zawsze będą. Erudycya, krytycyzm, obserwacya nie są wystarczające dla poezyi, której panowanie nie jest z tego świata, ponieważ wyraża ona to, co się nie da ściśle określić, co jest po za granicami obserwacyi naukowej. Symbolizm był wywołany wstrętem dla naturalizmu".

Wogóle należy przyznać panu Claretie, że w swojej historyi literatury wydaje sądy objektywne i raczej tłumaczy i komentuje, niż gani i chwali. Z tego względu książka jego posiada wartość bezstronnego przyczynku do historyi rozwoju myśli francuskiej w XIX. wieku. Zaznaczam, że nie może być traktowana jako podręcznik, lecz jako książka do czytania, jako zbiór sądów kompetentnego autora o ludziach i dziełach tych ludzi w jednym z najbardziej ciekawych okresów piśmiennictwa francuskiego, którego wpływy nie ograniczyły się na Francyi samej, ale także odbiły się echem głośnem na ruchu umysłowym całej Europy.

*

* *

Szczęśliwą myśl miał p. Alphonse Séché, układając antologię poetek francuskich.[1]) Wogóle pisarki francuskie, panią George Sand wziąwszy za nawias, nie mogą znaleźć się na liście wielkich pisarzy, co bynajmniej nie znaczy, aby między niemi nie było pisarzy dobrych, a szczególniej poetek. „Nie mają one żadnego programu specyalnego, — mówi p. Claretie w omawianej co tylko literaturze, — ale zalecają się swem sercem". I dlatego właśnie, że „zalecają się sercem", w poezyi, o ile są szczere, mogą łacniej dojść do czegoś niżeli w prozie, gdzie obok formy i uczucia, myśl odgrywa rolę dominującą...

---

[1]) Alphonse Séché: Les muses françaises, anthologie des femmes-poètes T. I. (1200—1891) T. II. XX. siècle. Paris, Louis-Michaud, 1908—9, 2 t. 7 fr.

„Wiek XX. — pisze p. Séché — będzie wiekiem kobiety, tak jak wiek XIX. był wiekiem pary“. Kobieta, szukając zarobku, zabierze się do pracy literackiej, w pierwszym rzędzie do pracy poetyckiej. „A jeżeli jest prawdą to, co mówiono, że stan poetycki (stan psychiczny) jest stanem kobiecym, czyż nie jest naturalnem, że kobieta zajmować się będzie poezyą, że nie będzie ją to kosztowało wielu wysiłków... Poeta z urodzenia, kobieta pisać będzie poezye... wystarczy do tego, aby kochała, aby cierpiała, aby żyła“. Otóż w chwili obecnej, przełomowej w tym względzie, należy zestawić to, co kobiety na polu poetyckim zrobiły dotychczas, należy ułożyć bilans, zanim nastąpi rozwód ostateczny...

Bilans ten układa p. Alphonse Séché w dwóch tomach antologii: pierwszy zawiera poetki od XIII. wieku począwszy do końca XIX., od Marie de France i Agnieszki Nawarskiej do Pani Ackerman i Ondine Valmore; drugi poświęcony wiekowi XX., rozpoczyna Emilia Arnal, a kończy Helena de Zuylen.

Każdej autorki daje p. Séché życiorys, opatrzony portretem, bibliografię i wybór kilku poezyi; mamy więc sposobność poznania muz francuskich dokładnie i skonstatowania raz jeszcze tego samego, co za p. Bertaut mówiliśmy w Liście poprzednim: Oryginalności mało, forma niekiedy poprawna, temat zawsze ten sam: miłość, jej rozkosze i zawody. Przeglądając listę poetek francuskich, jedna rzecz uderza: znaczny bardzo procent cudzoziemek, albo pochodzących z rodzin cudzoziemskich: hr. de Noailles — Rumunka, Renée Vivien — Amerykanka, Marya Krysińska — Polka, hr. Kapnist — Rossyanka i t. d. Przypuszczam, że nie wiele mijając się z prawdą, można twierdzić, że ruch emancypacyjny kobiet francuskich w tym względzie pochodzenia jest cudzoziemskiego: cudzoziemki wskazały drogę (tak samo zresztą, jak i w studyach uniwersyteckich), a za niemi dopiero poszły Francuzki.

Mimo niezbyt oryginalnej jeszcze do dzisiaj pracy poetyckiej kobiet, nie można ich działalności traktować jako *une quantité négligeable*, waży ona na szali, a ważyć będzie coraz więcej; historyk literatury musi o tem pamiętać; zawcześnie jeszcze stawiać horoskopy na przyszłość; trzeba czekać, a tymczasem „robić bilanse“, tak, jak to uczynił p. Séché, oddając poważną usługę sprawie.

* * *

W roku zeszłym obchodzono we Francyi stuletnią rocznicę urodzin Barbey d'Aurevilly. Z tej okazyi przedrukowano niektóre jego pisma,[1]) a także ogłoszono cały szereg studyów o jego działalności pisarskiej: Paul Bourget,[2]) jeden z tegorocznych odczytów w *Societé des conférences* poświęcił temu oryginalnemu myślicielowi. Jest to postać w literaturze francuskiej bodaj jedyna, zajmuje miejsce tak różne od innych, że nie da się zestawić z nikim... Znienawidzony od współczesnych, potępiony i skazany na zapomnienie, dopiero pod koniec zeszłego wieku zaczyna być uznawany, dopiero w ostatnich latach zeszłego stulecia zajęto się nim poważnie... Przed paru miesiącami p. Fernand Clerget ogłosił wyczerpującą monografię o Barbey d'Aurevilly,[3]) która dzisiaj przynajmniej, stanowi najlepszą syntezę działalności pisarskiej autora *Les Diaboliques*.

A działalność tę, bardzo różnolitą, nader skomplikowaną, pełną sprzeczności, charakteryzuje indywidualizm krańcowy. Jest to niezawodnie w znacznym stopniu wynikiem pochodzenia Barbey d'Aurevilly; urodzony w Normandyi, ma cechy rasy, do której należy: bezwzględność, uznawanie autorytetów i tradycyi tych tylko, do jakich przywykł. Pochodzeniem również tłumaczyć sobie należy jego religijność i przywiązanie do monarchii, dwa czynniki przewodnie w jego działalności, od których na krótko tylko, w latach młodzieńczych, odbiegł. Po ukończeniu mianowicie studyów prawniczych w Caen, wraz z przyjacielem swoim, Trébutien'em zakłada pismo *La Revue de Caen* i głosi w niem zasady krańcowo republikańskie. Trwa to jednak niedługo: Czasopismo wyszło dwa numery. Barbey przyjeżdża do Paryża, staje się arystokratą, zrywa z przeszłością. Zaczyna pisać w dziennikach, wydawać książki, pisze z jednej strony powieści, z drugiej studya krytyczne: w jednych i w drugich przebija namiętność: Barbey d'Aurevilly nie może być objektywnym: uważa, że pisarz ma do spełnienia misyę: dla niego tą misyą jest propaganda na rzecz religii i na rzecz monarchii, a więc walka z tem wszystkiem, co dwie te instytucyę demoralizuje i rozkłada...

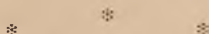
---

[1]) Barbey d'Aurevilly: La théâtre contemporain. Paris, Stock, 3 vol. 1908—9, 10·50 fr.

[2]) La revue hebdomadaire Nr. 15, 10. avril 1909.

[3]) Fernand Clerget: Barbey d'Aurevilly de sa naissance à 1909, Paris, Falque, 1909, 3·50 fr.

P. Clerget w swej książce, niemal z roku na rok, opowiada życie Barbey d'Aurevilly, analizuje jego prace, tłumaczy i komentuje; słowem, daje czytelnikowi klucz do zrozumienia tego dzieła, którego wpływy dopiero teraz zaczynają się przejawiać, a które z czasem unieśmiertelnią nazwisko Barbey d'Aurevilly.



Z autorem *Les Diaboliques* ściśle jest związane nazwisko innego pisarza katolickiego, Maurice'a de Guérin. Dla Guérin'a pisał Barbey swe *Memoranda;* był to jeden z najlepszych i najserdeczniejszych jego przyjaciół, a kiedy umarł, Barbey długo zapomnieć go nie może.

Guérin napisał niewiele: przynajmniej dotychczas niewiele jego prac zostało opublikowanych. Puścizną po nim literacką zajmuje się p. A. Lefranc i obiecuje wkrótce jej ogłoszenie. Zanim to jednak nastąpi, pragnę zwrócić uwagę czytelnika na wybór pism Guérin'a, wydany świeżo przez p. Remy de Gourmont. [1])

Ten wybór zawiera: *Le Centaure,* który jak zaznacza p. Gourmont, „należy zaliczyć do najpiękniejszych i najcenniejszych utworów w literaturze francuskiej": fragment z *La Bachhante* i z *Glaucus* parę poematów, dziennik i wyjątki z korespondencyi.

Poprzestanę zresztą na tej notatce, gdyż mam zamiar powrócić do omówienia obszerniej działalności Guérin'a po ukazaniu się jego prac nieznanych. Zanotuję tylko ustęp w jednym z jego listów (datowany z La Chenaie d. 15. maja 1833 r. a pisany do p. de Bague, au Chateau de Rayssac, par Vabre [Tarn]), odnoszący się do oceny *Ksiąg Pielgrzymstwa* Adama Mickiewicza; oto co o nich mówi: „Montalembert ogłosił przekład *Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa Polskiego od początku świata aż do jego męczeństwa,* przez Adama Mickiewicza, poetę polskiego, największego poetę współczesnego, mówi p. Feli (de Lamennais). Jest to książka zachwycająca; w stylu ma ona w sobie coś z proro-

---

[1]) Maurice de Guérin: Collection des plus belles pages, avec un portrait et une notice de Remy de Gourmont, Paris, Mercure de France, 1909, 3 fr.

ków i z Ewangelii. Nigdym nie widział bardziej przejmującej poezyi. Sądzę, że wszyscy przyjaciele czasopisma *L'Avenir* będą łaknęli tej książki."



„W ogrodzie Sainte Beuve'a"[1]) — tak zatytułował swój ostatni zbiór szkiców literackich p. Georges Grappe, młody a zapowiadający świetną przyszłość pisarz. Nie jest to pierwsza jego praca: od kilku lat pisuje w czasopismach literackich, a ogłosił dotychczas monografie: o Newmann'ie i o Stevensonie, dwie książki o literaturze angielskiej: *Les Pierres d'Oxford* i *La poésie anglaise au XIX. siècle*, wreszcie, we wspaniałym pod względem technicznym wydawnictwie, *L'art et le beau*, — tekst do zeszytu o Degos'ie.

Dans le jardin de Sainte Beuve — jeżeli mnie pamięć nie myli, — składa się z umieszczonych dawniej, przy rozmaitych okazyach, w czasopismach studyów o Wiktorze Hugo, Aleksandrze Dumas, o George Sand, Quinet'cie, Balzac'u, Merimée i Sainte Beuve'ie, oraz ze wstępu, niedrukowanego jeszcze dotychczas rodzaju fantastycznej konwersacyi pośmiertnej z Sainte Beuve'em, ojcem współczesnej krytyki francuskiej, dla którego p. Grappe ma kult wielki.

Szkice o poszczególnych pisarzach obejmują całą niemal epokę romantyczną: p. Grappe jest jej wrogiem, podziela zdanie Laserre'a, który widzi w romantyzmie dużą klęskę dla Francyi, klęskę wpływami swoimi szkodliwymi sięgającą aż do dnia dzisiejszego. Ale p. Grappe wyraźnie jej nie potępia, gdyż uważa, że zadaniem krytyka nie jest wydawać sądy kategoryczne, ale raczej tłumaczyć i komentować autora, ułatwić czytelnikowi wniknięcie w jego psychologię, w jego zamiary i cele.

„Mon métier est de semer des doutes — Moim zawodem jest rozsiewanie wątpliwości" — tę dewizę, wyjętą z Bayle'a umieszcza p. Grappe na czele swej książki; rozsiewanie wątpliwości tam, gdzie jej niema, w sprawach uznanych za zdecydowane, a jednak wątpliwych: jedynie tą drogą dojść można do odkrycia

[1]) Georges Grappe: Dans le jardin de Sainte Beuve. Paris, Stock, 1909, 3·50 fr.

względnej prawdy, jedynie, stawiając znak zapytania, da się uniknąć sądów narzuconych autorytetem, niejednokrotnie niepowołanym.

Stawianie w wątpliwość prawd uznanych, a obok tego dużo ironii, — oto, co zdaje się, stanowi cechę charakterystyczną szkiców p. Grappe'a.

Najdłuższy, a zarazem najciekawszy szkic w *Dans le jardin de Sainte Beuve* — to rozmowa pośmiertna z autorem *Causeries de Lundi*.

Wprowadza w niej p. Grappe czytelnika do historycznego domku przy ulicy Montparnasse, pozwala mu wniknąć w życie codzienne wielkiego krytyka i poznać jego zapatrywania i poglądy, daje nam portret tak wierny i tak żywy, że chwilami wydawać się może, iż rzeczywiście wczoraj czy onegdaj rozmawiał i obcował z Saint-Beuve'em. Ten interwiew, mówiąc językiem współczesnym, z autorem *Volupté*, należy też do najlepszych kart, jakie Sainte Beuve'owi w ostatnich latach poświęcono.



Ot, jeszcze przyczynek nowy do epoki romantycznej.

Ziomek nasz, p. I. H. Retinger, ogłosił studyum p. t. *Le conte fantastique dans le romantisme français;* jest to, jak powiada autor w przedmowie, rozdział jeden większej pracy, którą przygotowuje do druku, o baśniach fantastycznych w literaturze powszechnej XVIII. i XIX. wieku. W swej broszurze traktuje o pracach, które pojawiły się między latami 1820—1850, t. j. we właściwej epoce romantycznej; wyklucza z niej baśni czarodziejskie, mające źródło swe w wierzeniach religijnych, a uwzględnia jedynie baśni fantastyczne, w ścisłem tego słowa znaczeniu, t. j. te baśni, które początek swój biorą „w duszy zbuntowanej, dumnej ze swej własnej siły, walczącej z potęgami wyższemi, w porozumieniu z innemi także wyższemi, a najczęściej złemi potęgami“. Z natury rzeczy wynika, że „baśń fantastyczna jest... krwawa, dzika, przestraszająca i zimna jak lodowce północy zkąd pochodzi.“

Pierwiastek fantastyczny do literatury francuskiej wprowadza romantyzm, odrazu staje się on dominującym, uzyskuje aprobatę i uznanie, a także powodzenie wśród czytelników. Ten pierwiastek przechodzi do Francyi z Niemiec i z Anglii, ale pod wpływem

pisarzów francuskich nabiera charakteru „łacińskiego“: aczkolwiek naśladowany jest oryginalny.

W oddzielnych rozdziałach traktuje p. Retinger o Nodier, o Teofilu Gautier, o Merimée'm, o de Nerval'u i o Balzac'u, wykazując źródła i pochodzenie poszczególnych baśni i podkreślając cechy charakterystyczne każdego z wymienionych autorów. W zakończeniu szuka wpływów późniejszych, manifestujących się w twórczości pisarskiej Juliusza Verne, Villiers de l'Isle-Adam, Barbey d'Aurevilly i innych. „I oto, — kończy — rodzaj ten najbardziej modny w epoce romantycznej, przeżył tę epokę i wydał, aż do dni dzisiejszych arcydzieł wiele, które mogą być zaliczone do najpiękniejszych, jakie w języku francuskim zostały ogłoszone.“



Niemasz niemal pisarza, któryby Rzymu nie odwiedził, a z odwiedzin tych nie wywiózł wrażeń takich, że odbiły się na jego działalności pisarskiej. Z tego założenia wychodząc, p. Gaspard Valette w książce p. t. *Reflets de Rome*[1]) zebrał wyjątki z autorów francuskich, odnoszące się do ich pobytu w Rzymie, a zebrawszy, z sobą wzajemnie powiązał i skomentował. „Rzym — pisze p. Valette — jest miastem, które przemawia do każdej duszy i mówi jej to, czego oczekuje, co jest dla niej właściwe“. Zastanawia się nad tem, co Rzym daje: a więc jednym piękno ruin, innym bogactwa swe artystyczne, innym jeszcze otoczenie przyrody, innym wrażenia świętego miejsca i t. d., zarówno heretyk, jak wierzący, artysta, pisarz, czy myśliciel, czy zwykły podróżnik, — słowem każdy znajdzie swą cząstkę, znajdzie to, co mu sprawi zadowolenie i miłą, niezatartą pozostawi pamiątkę.

Swoją podróż retrospektywną literacką zaczyna p. Valette od Montaigne'a, który przedewszystkiem szukał Rzymu starożytnego: pozatem, tak jak w swoich *Essais* badał człowieka... do Rzymu przywiązał się już był dawniej, czytając autorów starożytnych i koniecznie chciał zostać obywatelem rzymskim — był to zresztą jeden z powodów, dla których odbył swą podróż; obywatelstwo to uzyskawszy „mając wielkie zadowolenie z tego po-

---

1) Paris, Plon, 1909, 3·50 fr.

wodu", — jak pisze w swym dzienniku podróży — wyruszył w drogę powrotną.

W wieku XVI., z pisarzów francuskich, byli jeszcze w Rzymie: Rabelais i Joachim du Bellay. Rabelais trzy razy w charakterze doktora Jana du Bellay, miasto pamiątek odwiedzał; napisał nawet dzieło p. t. *Topographia Romae,* którego manuskrypt w Rzymie zostawił i naraził się na to, że ogłoszone zostało pod nazwiskiem Włocha Marliani. Du Bellay z pobytu dwa tomy poezyi wydał: *Antiquités de Rome* i *Regrets;* ostatni bardziej szczery niż pierwszy, — rozmyślania i medytacye przesadzone na ruinach Rzymu.

W wieku XVII. widzimy w Rzymie: Voiture'a, Scaron'a, panią de Sevigné, Balzac'a; w XVIII.: Montesquieu, zkąd przywiózł myśl napisania *Considérations sur les causes de la grandeur et de la décadence des Romains,* de Brosses'a, autora *Lettres familières,* dzisiaj jeszcze, jak mówi p. Valette, „jednego z najlepszych przewodników dla przechadzek po Rzymie".

Właściwa jednak literatura Rzymu w piśmiennictwie francuskiem rozpoczyna się z wiekiem XIX.: Chateaubriand, Veuillot, Stendhal, J. J. Ampère, bracia Goncourt, Taine, Renan, Bourget, Zola, Anatole France i wielu innych, których lista nie miałaby końca...

Chateaubriand „widział Rzym, niby malarz, czuł niby poeta, opisał jako poeta i jako malarz wieś wspaniałą i opustoszałą. Tyber melancholijny, ruiny, symbole śmierci i nicości, cienie i światła tych pamiątek oblewanych promieniami martwego księżyca". Veuillot nawrócony widokiem Rzymu i pobytem w Rzymie „dał najpiękniejszy opis katolicki tego, co tam widzieć można".

Dzieła Stendhala pełne są opisów i epizodów z Włoch i z Rzymu. Naprzód jednak dwie książki specyalnie poświęcone temu przedmiotowi: *Rome, Naples et Florence* i *Promenades dans Rome;* o pierwszej, aczkolwiek niedorównywa ostatniej, która jest późniejsza, pisał Goethe do swego przyjaciela Zelter'a: „Należy nie tylko czytać tę książkę, ale ją posiadać na własność"; nawiasem mówiąc, Stendhal, jakto zresztą było w jego zwyczaju, bez ceremonii żadnej przepisał w swej książce całe ustępy z Podróży Goethe'go; Goethe o tem wiedział, ale mimo to chwalił: „Czyta się tę książkę, odczytuje się ją na nowo, a radby człowiek na pamięć nauczyć się pewnych ustępów".

Po Stendhalu, w chronologicznym porządku, odwiedził Rzym J. J. Ampère, zresztą Stendhala mając za przewodnika. Dla Am-

père'a Rzym jest wszystkiem, staje się on Rzymianinem do głębi swej duszy, boli go niezmiernie, kiedy widzi zmiany, jakie „postęp“ w imię „nauki“ każe zaprowadzać „w tem mieście Petrarki“. Ampère pozostawił książkę, przy redakcyi której umarł, p. t. *Histoire romaine à Rome.*

Wprowadza nas wreszcie p. Valette do epoki współczesnej: mówi o włoskich pracach Goncourt'ów, o *Voyage en Italie* Taine'a, *Letttres à Berthelot* Renan'a, *Cosmopolis* Bourget'a, *Rome* Zoli, *Sur la pierre blanche* Troule'a. „Przechadzając się po Rzymie dzisiejszym, idąc śladami tych, co o nim pisali z całą swobodą, wedle naszej fantazyi i naszych upodobań osobistych, nic nie stanie nam na przeszkodzie, abyśmy te same robili odkrycia, abyśmy to samo co i oni odczuli, te same odnieśli wrażenia. A do tego dołączona będzie przyjemność, że niejednokrotnie znajdziemy u siebie myśli i urojenia podobne do ich myśli i wrażeń, do myśli i wrażeń tych podróżników wybranych, tych umysłów wyższych“.

I rzeczywiście książka p. Valette'a miłym będzie towarzyszem, a nadewszystko łatwym do zabrania z sobą dla tych, co Rzym odwiedzają, a dla których piśmiennictwo francuskie nie jest martwą literą.

Memento: W księgarni Baillière'a: *Ray Nyst: La Caverne* (1909, 4 fr.) — powieść z życia ludzi pierwotnych w Epoce formacyi trzeciorzędowych. — U Fayard'a: *Leon Séché: Le roman de Lamartine* (1909, 1 fr. 35 cnt.). — U Gresset: *Emile Baumann: L'immolé* (1909, 3·50 fr.) — powieść katolicka; *Leon Lafage: La Chèvre de Pescadoire* (1909, 3·50 fr.); *Etienne Rey: De l'amour* (1909, 3·50 fr.) — krytyka metafizyki życia płciowego Schopenhauera, oraz zbiór aforyzmów o miłości. — U Louis-Michaud: *E. de Fréjac: Voyage à l'axe de la terre* (1909, 3·50 fr.) — powieść fantastyczna w rodzaju Wells'a, na którym autor niezawodnie się wzoruje. — *P. Hittemans: Souvenirs et avanture d'un cabot* (1909, 3·50 fr.) — pamiętnik francuskiego aktora, rodem z Belgii — przyczynek do historyi współczesnego teatru. — Mercure de France: *E. Mazel: Bibliothéques* (1908, 2 t. 15 fr.). — Wykazanie błędnej organizacyi bibliotek francuskich w zestawieniu z bibliotekami angielskiemi i amerykańskiemi; zbiór wskazówek mających związek z księgarstwem: *Emile Verhaeren: Les Heures claires* (1909, 3·50 fr.) — zbiór nowych poezyi. — U Plon'a: *Henry Bordeaux: Portraits*

de femmes et des femmes et des enfants (1909, 3·50 fr.) — szereg sylwet i szkiców: Pani de Charmoisy — przyjaciółka Franciszka z Asyżu, hr. de Boigne, Pani de Charrière, Panna de Lespinasse; dzieciństwo Bayard'a i Mistral'a; — *Ernest Seillière: Une tragédie d'amour au temps du romantisme* (1909, 3·50 fr.) — tragiczna śmierć pani Stieglitz, stosunek jej do męża i wpływ, jaki wywarła na jego działalność pisarską. — U Sansot: *Magali Boisnard: Les Endormies* (1909, 3·50 fr.) — powieść z życia kobiet arabskich. — U Stocka: *Abel Faure: L'individu et les diplômes* (1909, 3·50 fr.) — autor wydanej w r. z. książki *L'individu et l'esprit d'autorité* traktuje o wadach w wychowaniu i wykształceniu francuskiem.

Kazimierz Woźnicki.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

Samuel ze Skrzypny Twardowski

i jego poezya na tle współczesnem.

(Ciąg dalszy).

[Wojna Kozacka późniejsza, przez Najjaśniejszego Króla Polskiego i Szwedzkiego poparta i ukończona szczęśliwie 1651 r. — Leszno, 1657.[1]) — Woyna Domowa z Kozaki y Tatary, Moskwą, potym Szwedami y z Węgry przez lat dwanaście tocząca się dotąd, na czteri podzielona xięgi. — Nakł. Jerzego Forstera. — Kraków. Wdowa Kupisza. 1660. str. 96 in fol.[2]) — Woyna Domowa z Kozaki y Tatary, Moskwą, potym Szwedami y z Węgry przez lat dwanaście za panowania Nayiaśniejszego Jana Kazimierza. króla Polskiego, tocząca się. — Opus posthumum. — Kalisz. Soc. Jesu. 1681. Cz. I. 104 + Cz. II. 284. = 388 in fol.[3])]

Geneza. — Podział i treść. — Styl i język. — Wady.

Nie darmo Kochowski pojedyncze tomy swojej historyi panowania Jana Kazimierza „Klimakterami" nazwał. Prawie nie-

[1]) To wydanie zaginęło. O niem Bentkowski, I. 370 i Załuski: Bibl. hist. etc. 68.

[2]) Bibl. Jag., Czart., Un. Warsz., Dzikow., Ossol.

[3]) Akad. Um. Jag., Czart., Un. Warszaw., Chrept., Dzikow., Krasiń., Ossol., Zieliń., Branic.

przerwanym pasmem przez siedem lat od śmierci Władysława ciągnęły się walki z kozakami. Po nich przyszedł gorszy jeszcze okres, najazd szwedzki i wszystkich ościennych państw z wyjątkiem cesarza, a okres ten trwał znowu lat mniej więcej siedem. Potem zwalić się miały nowe nieszczęśliwe siódemki. Ale tych Twardowski już nie dożył. Tem sam rok, który przyniósł Polsce pokój oliwski, złudną nadzieję zupełnego wytchnienia po bojach, przyniósł także wieczysty pokój strudzonemu poecie. Śmierć zamknęła litościwie jego życie, zanimby rzeczywistość zaprzeczyła marzeniom o rozkwicie ojczyzny po nieszczęściach, na które patrzył i za skończone uważał.

„Wojna domowa“ zawarła w 16.000 wierszy dwanaście lat historyi (1648—1660). Kiedy się Twardowski zabrał do pisania, nie da się dokładnie oznaczyć. W roku 1654 była gotową do druku „Nadobna Paskwalina“, a powstała pewnie w tymże czasie. Przedtem może miał p. Samuel już zamiar pisania „Wojny“, może zbierał materyały, o które nie tak łatwo było, jak dziś przez gazety, może nawet skreślił niektóre ustępy. Ale zważywszy, że z Podola musiał uciec i nie miał myśli spokojnej, że prawdopodobnie brał udział w niektórych akcyach wojennych, dalej, że w pierwszym zaraz punkcie mówi o wojnie kozackiej, jako o rzeczy załatwionej i zakończonej pogromem kozaków, w trzecim zaś o zdradach Chmielnickiego na rzecz Turcyi, [1]) wreszcie, że musiał ściągać zewsząd wiadomości, oznaczyłbym właściwe zaczęcie pierwszej części „Wojny“ na rok mniej więcej 1655.

Ukazała się ona w druku w 1660 r., [2]) prawdopodobnie jeszcze za życia autora. Część druga według Załuskiego wydaną została w roku 1657. [3]) Dalsze części pisane były w ciągu lat paru, z przerwami wynikającemi albo z powodu zamieszek, które odrywały od pióra Twardowskiego, albo z powodu zniechęcenia i zwątpienia, czy doczeka końca wojen. Przecież doczekał i poemat mógł zaokrąglić, chociaż ostatnie karty na krótko przed śmiercią nawet po nocach spisywał. [4]) Całość wyszła dopiero w 1681 r.

---

[1]) Woj. dom. cz. I. str. 93.

[2]) Od klęski korsuńskiej do ugody zborowskiej.

[3]) Siarczyński: „Obraz wieku Zygm. III.“ podaje, jakoby „Wojna kozacka“ wyszła w Lesznie w 1651 r. Czyby to miała być część jakaś? Nie wiadomo, bo wydanie zaginęło. Estreicher pod rokiem 1637 (w bibl. XVII. w.) podaje „Wojnę kozacką późniejszą“. Jest to oczywiście omyłka.

[4]) Cz. II. str. 255.

Części jest cztery. Pierwsza obejmuje czas od klęski korsuńskiej do ugody zborowskiej (1648—1649) i dzieli się na trzy pieśni (zwane jak zwykle punktami): z tych pierwsza kończy się pod Piławcami, druga na wyjściu Skrzetuskiego z okopów zbarazkich, trzecia zawiera Zborów i walki współczesne na Litwie. Część druga opiewa zwycięstwo pod Beresteczkiem i dalszy ciąg do ugody białocerkiewskiej (1650—51). Część trzecia od klęski batowskiej do rozprawy pod Żwańcem (do 1653). Część czwarta resztę wojny, a dzieli się na pięć pieśni: pierwsza obejmuje moskiewską i kozacką, druga szwedzką do ucieczki króla na Ślązk, trzecia powstanie do zdobycia Warszawy, czwarta dalszą szwedzką i z Rakoczym, w piątej jest Czarniecki na Pomorzu i w Danii, jest nowa wojna moskiewska, zawikłania domowe, w końcu pokój oliwski.

Wartość historyczna jest niezaprzeczona. Twardowski jako cel postawił sobie nie piękność, ale prawdę, i z całem należy być uznaniem dla pracy i zasługi człowieka, który mimo przeszkód i trudu, jaki przedstawiało pisanie współczesnych dziejów, wytrwał do końca na stanowisku. Tytuł nie odpowiada całkowicie treści, bo jeżeli wojnę z kozakami można uważać za domową, jeśli nawet wojna ze Szwedami, ile że do nich przyłączali się Polacy, dałaby się z trudem pod tę nazwę podciągnąć, to jeszcze po za nią wybiegają wojny z Moskwą i z Rakoczym. Z drugiej strony jednak jest to historya nie Polski, ale wojen w Polsce i o tyle wypełniając ogólnie swoje zadanie, stanowi ważne źródło. Opuszczenia, miejscami pobieżność, naturalnie są. Wynikają one po pierwsze z tego, że materyałów odpowiednich nie miał Twardowski, po wtóre, że umyślnie niektóre rzeczy pomijał.[1]) Raz grał w nim wstyd, np. kiedy po sromotnej ucieczce piławieckiej powiada:[2])

„O! ktoby twarz tey nocy, kto widzianą trwogę
Mógł opisać? Ia przyznam, pióra tu nie mogę
Pomknąć daley: Żebym wstyd zawsze rycerskiego
I hańbę niebywałą narodu mojego
Miał obnażyć. I owszem rzucę tu na oczy
Umbrę sobie.“

Innym razem znów grały względy uboczne, np. kiedy nie wymienia wprost Janusza Radziwiłła, tylko powiada ogólnikowo

[1]) Woj. dom. str. 256.
[2]) Woj. dom. Koniec punktu I. części I.

o jednym wodzu, który Litwę poddał Karolowi,[1]) albo kiedy przemilcza o zdradach Bogusława.

Ale to, co jest, zawiera ogromne mnóstwo szczegółów, czasem drobnych, czasem znów ważniejszych.[2]) Sama „Wojna“ nawet do opisu pojedynczych, bardzo dokładnie zresztą opowiedzianych bitew nie wystarczy, ale inne źródła wesprze znakomicie, braki uzupełni, tu i ówdzie powiąże dwa fakta, tam znów rzuci światło na jakąś operacyę taktyczną. Naturalnie nie mojem jest zadaniem przejść cały ogrom tych dziejów i wykazać, czego w innych źródłach znaleźć nie można. Ale kiedy się czyta szkice Szajnochy lub Kubali, widać, gdzie Twardowski mógłby im dorzucić szczegółów. Podobnie możnaby Sienkiewiczowi wypisać omyłki historyczne; np. pod Rudnikiem zajechał Karola Gustawa nie Szandarowski, ale Dymitr Wiśniowiecki z Wołochami i nie rajtarya broniła, ale piechota.[3]) Możnaby także udowodnić, o ile czerpał z Twardowskiego Sienkiewicz.

Twardowski dowiadywał się o wszystko, wszystko zapisywał jaknajskrzętniej, nazwisk wymienia całe mnóstwo, traktaty podaje punkt za punktem, słowem jest źródłem niezaprzeczonem, poważnem i dość bogatem. Ale choć opowiada porządnie, historykiem dobrym nie jest. Bo nie jest nim ten, który pilnie i skrupulatnie notuje i bada, materyał mądrze układa, wyzyskuje sprytnie, pisze barwnie, ale ten dopiero, kto głębiej rzecz biorąc, każdego wydarzenia przyczyny umiejętnie wyszukuje, lub nawet wysnuć, odgadnąć potrafi, wydarzeń skutki zreasumować zdoła, krótko mówiąc, bardziej filozoficznie rzecz traktuje. Tego u Twardowskiego nie

---

[1]) Woj. dom. cz. IV. punkt II.

[2]) Czechowski pisze w „Wojna domowa S. v. S. Twardawski“: „Zajęło się nim nowo rozkwitające kronikarstwo małoruskie, jako źródłem historycznem. Stefan Sawicki, pisarz pułku dubieńskiego, drukuje I. część „Woj. dom.“ (1648—49) w małoruskiej przeróbce: „Повѣсть о козацкой зъ Поляками войнѣ чрезъ Зѣновія Богдана Хмельницкого etc. 1718; Samuel Weličko (Симойло Величко): „Сказанія о войнѣ козацкой зъ Поляками etc.“ kładzie za podkład swej kroniki z lat 1648—1660 dzieło Twardowskiego i daje na końcu krótką treść „Woj. dom.“ (Придатокъ до книги Твардовского etc.).

[3]) Kowalewski zmienia się u Sienkiewicza w Kowalskiego i t. p. Kowalewskiego pod Warsz. zabił ktoś z leibgwardyi Karola, a nie ks. Bogusław Radziwiłł.

szukać, bo się nie znajdzie. Albo jest mało, albo nic, np. o przyczynach szwedzkich wojen cicho zupełnie.

Ale Twardowski odgrywa we „Wojnie“ jeszcze drugą rolę. Rolę poety. Poetą jest mniej niż historykiem. Wyobraźnia jakby zgaszona, jakby go odbiegła. Prawda historyczna lepiej na tem wychodzi. Lecz przy braku wyobraźni, przy uczuciu wybuchającem rzadko, czasem tylko gorecej zabarwiającem słowa, redukującem się zresztą wyłącznie do patryotyzmu, który ze zwycięstwa się cieszy, nad klęską płacze, czasem ironią lub napomnieniem dla rodaków opowieść zaprawi, — pierwiastek poetyczny stacza się na bok i przebija prawie tylko w rymie i rytmie, w porównaniach i metaforach, jakby wymuszonych, więc w zewnętrznych objawach, więc za mało. To, co jest we „Wojnie“ uczucia, co jest wyobraźni, nie przenosi od każdego historyka wymaganej miary. Twardowski nie prezentuje tu już ani zdolności w opisywaniu wypadków, ani w rysowaniu postaci, ani w obrazach z natury. Paleta jakby mu wyschła, farby jakby stężały, fantazya jakby służby powolnej odmawiała. Ścisłość historyczna skrępowała polot, monotonność nuży i książkę wyjmuje z ręki. Twardowski lubi przytaczać obce mowy, ale są one zazwyczaj w jego reprodukcyi i rozwlekłe i nudne. Nawet w rymach kuleje, co dawniej mu się nie zdarzało:

„...Chmielnicki też kilka
Kroć się kusząc i znowu podobny do wilka...“ [1])

Albo:

„...Słońce w swey dużości
Nie zaraz się obraca y gmach obłomisty
Uchodzi za ciężarem: tak sprawić się i z ty
Liczby ludzi...“ [2])

Urabia epiteta ornantia niestety złożone: „noc straszydłoroda“, [3]) „kret śleporody“ [4]) i t. p. Nawet porównania, które w dawniejszych rzeczach tak obfite były i tak ozdoby przyczyniały, tutaj albo są rzadziej rozmieszczone, albo mniej ładne. Można

---

[1]) W. dom. Cz. I. str. 62.
[2]) Tamże, Cz. II. str. 29.
[3]) Tamże, Cz. I. str. 88.
[4]) Tamże, Cz. II. str. 34.

spotkać strony całe bez jednego tropu, bez jednej figury. Można znaleźć porównania przepisane[1]) z „Władysława“, lub z „Legacyi“. Naturalnie wolno mu było, pożyczać od samego siebie — nie grzech. Ale dowodem to, jak pisał bez natchnienia, nawet bez podniecenia chwilami, jak pisał skutkiem raczej nabranego rozpędu, wewnętrznej potrzeby skończenia za każdą cenę, niż pod wpływem zamiłowania twórczego.

Są wyjątki, są ustępy ładniejsze, są udatne porównania. Obok nieudolnych, są dobrze przeprowadzone, obok zdań ciężkich i niezrozumiałych, są płynne i jasne. Obok barbaryzmów (jak w „Wład. IV.“) są mało znane, rdzennie polskie słowa.

Wpływy „Pharsalii“ Lucana, „Eneidy“ i „Jerozolimy wyzwolonej“ w przekładzie P. Kochanowskiego widoczne. Od Lucana wziął barokowy styl, dygresye osobiste, moralne i polityczne. Od Kochanowskiego łacińską konstrukcyę zdań, od niego i z „Eneidy“ niektóre porównania.[2])

Główną wadą, wadą naczelną „Wojny“ jest brak jedności w układzie i kompozycyi. Homer wybiera do Illiady z dziesięciu lat ciągłych walk, rok jeden, a z tego jednego zaledwie sto dni. U Twardowskiego za wiele jest lat, wypadków, bitew, ztąd wszędzie masy działają i przygniatają sobą wszystko. Akcya poczyna skakać, wędrować z miejsca na miejsce, a w szarym tłumie występujących aktorów, nie masz, ktoby się stał osią, szkieletem całości, nicią wiążącą. Z początku jako tako wznosi się ponad tło Wiśniowiecki, zwłaszcza pod Zbarażem, gdzie go Twardowski z zapałem opiewa, potem Jan Kazimierz wysuwa się na pierwszy plan. Ale bohatera właściwego wogóle brak, i w ciągłem przerzucaniu się na różne tereny bojowe, przy zmianie czasu nawet Czarniecki nie zdobywa sobie głównej roli, a harmonia układu pryska i rozbija się coraz bardziej.

---

[1]) Choćby: W. d. s. 10. — Wł. IV. s. 77.
W. d. s. 86. — Wł. IV. s. 231—232.

[2]) Jer. wyzw. (wyd. z 1856) s. 280. — W. d. II. 211.
s. 359. — „ II. 132.
s. 459. — „ II. 43.
Eneida. II. s. 304. — „ I. 16.
„ VII. s. 586. — „ II. 92 i t. d.

Patrz Czechowski: „Wojna domowa“, Posen 1894. Tam też obce słowa.

Siłą w dygresyach czasami jest. Powstaje w nich głównie na prywatę i nierząd szlachty, dając dowód politycznego rozumu i miłości ojczyzny, nie ratując jednak swojej olbrzymiej „Wojny“ od nazwy „rymowanej historyi“.

[Zakończenie].

Wiek XVII., jako przedsłannik epoki saskiej, musiał siłą rzeczy pozwolić na rozrost korzeni, które w XVIII. wieku właściwie rozwinąć się miały. Późniejsze błędy, brak smaku, karłowatość literatury tkwią zarodkami w czasach Twardowskiego. Załuski spisuje bibliografię wierszem: oddaje nauce ogromne korzyści, ale nadużywa oczywiście poezyi bez litości. Ma on jednak godnych poprzedników w XVII. w., którzy pakują w rymy, co się pod rękę nawinie: Mądrowicz św. Tomasza z Akwinu, Siennik medycynę, Symplicyan uwagi o śmierci i sumieniu, Potocki herbarz, Głuchowski Jan i Klonowicz Seb. życiorysy królów.

Naturalnie nauki ścisłe żadnym sposobem we wierszowanej formie pomieścić się nie dawały i z owych nieszczęśliwych usiłowań wyszły na światło dzienne jako koślawe potwory. Względnie najlepiej udało się z historyą, która stanowiła jeszcze najbardziej podatny materyał. Zjawia się nawet myśl stworzenia epiki historycznej, z początku w nieudałych próbach, krótszych, jedną chwilę dziejową obejmujących, epicznych wierszach, potem w olbrzymich poematach. Już Kochanowski Jan „Jezdą do Moskwy“ dał inicyatywę; za nim Eliasz Pielgrzymowski rozpisuje się o poselstwie moskiewskiem z 1600 r., Krajewski wymęcza swoją „Chronologię wojny moskiewskiej“, a Andrzej Zbylitowski puszcza w świat „Podróż do Szwecyi“. Wyroił się zaraz tłum liczny, który wybierał sobie drobne wypadki wojenne, relacye z bitew itp.

Brak epickiego języka, brak wzorów technicznych w ojczystej literaturze, brak przykładu, na którymby się kształcić można było, tworzyły zasadę nie do rozbicia. Dopiero Piotr Kochanowski (opatrznościowy człowiek, gdyby inni byli za nim poszli) przez tłumaczenie „Jerozolimy wyzwolonej“ Tassa, a wpierw jeszcze Andrzej przez tłumaczenie „Eneidy“ Wergilego wyrąbali w zaporze znaczną przerwę i odtąd epika, nikła w XVI. wieku, zaczęła

się powoli rozwijać. Dawniejsze suche kronikarstwo teraz przerabiało się w poezyę i można powiedzieć, że wiek XVII. stworzył historyczną epikę. Koroną jej, szczytem, miały być wielkie poematy, dzieła bohaterskie, pomniki narodowej chwały. Do tej jednak wysokości nie wznieśli się ówcześni poeci; dwóch zatrzymało się w dolnej połowie drogi, reszta została u stóp. Podczas kiedy w drobniejszych formach poszło wcale nieźle, w okazalszych rozmiarem pomysł spalił na panewce w braku talentu i taki np. Krasiński Gabryel „Tańcem Rzpltej Polskiej“ przyczynił historyi źródła, poezyi nie przysłużył się wcale.

Ci dwaj, którzy wysoko górują nad resztą, to Twardowski i Potocki.

Przyczyna, dla której Twardowski nie stworzył epopei historycznej tkwi w fakcie, że za cel postawił sobie prawdę i tylko prawdę. Gdy między zmyśleniem, przewagą wyobraźni i uczucia, a prawdą, przewagą rozumu, zrobi się wyłączny wybór na korzyść drugiej, to tem samem zrywa się z poezyą, choćby się zatrzymało strój zewnętrzny i niektóre wewnętrzne cechy poezyi.

Już Lelewel pisał, że „spółczesnych rzeczy wierszowanie, kolorytem poezyi naciągnięte, zasługuje na baczność poszukiwaczy historycznych“. I w istocie poematy Twardowskiego w mniejszym lub większym stopniu dla nauki mają wartość. Biblioteka Uniwersytetu warszawskiego posiada dwa rękopisy z XVIII. wieku, które dowodzą, że z „Wojny domowej“ uczono się odnośnych dziejów, podają bowiem bardzo dokładną treść. Jeden rękopis jest z biblioteki Towarzystwa Przyjaciół Nauk,[1]) drugi z Załuskich.[2])

Ale to jest znaczenie dla historyi. Natomiast z poezyą rzecz inna. Zbierając to, co w różnych miejscach mówiłem, dojść trzeba do wniosku, że przez język często zeszpecony barbaryzmami, przez styl nieraz ciężki, przez nawał mitologii, przez ozdoby poetyckie, jakby doczepione tylko, przez rozwlekłość, przez drobiazgowość

---

[1]) Nr. 233 a. b. c. $2^{6}/_{27}$ b. Od str. 7 „Woyna domowa“ dokładna treść całego wydania z 1681 r. do str. 290. c. od str. 112 „Przeważna Legacya“, także dokładna treść według wydania z 1745 r.

Obie te rzeczy raczej są przepisywane, tylko tu i ówdzie skrócone, rym opuszczony, słowa przestawione dla zatraty rytmu i t. p.

[2]) Nr. 558. 2. $^{1}/_{15}$. „Historya o buntach Chmielnickiego, o woynie z Tatarami, z Szwedami, z Moskwą, z Węgrami za Jana Kazimierza, króla polskiego, przez lat 12, krótko zebrana z księgi Samuela Twardowskiego wierszem pisaney y do druku po śmierci iego podaney 1681“. Jest to znów dokładna treść.

i nagromadzenie szczegółów, a przedewszystkiem przez brak układu, harmonii i kompozycyi, głównych osob, poematy Twardowskiego zostają w sferze rymowanych historyi. Najlepsza jest „Legecya“, najwięcej wykazuje talentu pod każdym względem. Z rozszerzeniem treści, z zamiarem objęcia olbrzymich przestrzeni czasu i wypadków, powstawały rzeczy coraz słabsze. Rutyna, wprawa, umiejętność pisania, ani natchnienia i polotu zastąpić, ani wogóle starczyć nie mogły.

Potocki nie stworzył także epopei. Przerósł Twardowskiego, bo chociaż wady jego posiadał, ale w stopniu mniejszym, a natomiast dał dowody większej siły i większego talentu. Obaj mieli wzory wspólne: Lucana i „Jerozolimę“ Tassa.[1]) Potocki, którego poemat został na długo w rękopisie, na potomnych nie wywarł żadnego wpływu. Twardowski, żyjący wcześniej, oddziałał na niego i na Kochowskiego „Dzieło Boskie“. Po za tem już dla nikogo nie był wzorem,[2]) bo epika historyczna przycichła i upadła, aż ją wskrzesił dopiero Krasicki we „Wojnie Chocimskiej“.

„Satyr na twarz Rzeczypospolitey“.

[1640 b. m. wyd. i aut. in 4. kart 24 nlb. trzy edycye.[3]) 1645 b. m. wyd. podpis S. T. Z. S. str. nlb. 51].

Najsilniejszem światłem w epoce każdej są panegiryczne utwory, największym cieniem satyry. Oba rodzaje są ostatecznością, bo pierwszy biegnie górnym krajem i zbiera sam wybór, sam kwiat, drugi wałęsając się po dolnych, mrocznych głębiach, kopie w zgniłych, stoczonych przez jad warstwach. Pierwszy jest wypływem optymistycznego nastroju, drugi powstaje w pesymistycznem podnieceniu. Oba mogą być zapalczywe, oba mogą być chłodne. Oba zawsze przesadzają. Przesadzają niekoniecznie w tre-

---

[1]) Z Tassa np. wyliczanie wodzów i wojsk; podawanie na początku każdej pieśni krótkiej treści.

[2]) Nieco na Makowieckiego. (Brückner: Hist. lit. pol. Warsz. 1903, t. I.).

[3]) Dwie odmienne ma bibl. Uniw. warsz., a trzecią Przyborowski. Nadto Jag. (2 egz.), Kras., Uniw. warsz.

ści; ale w ich odblasku, w refleksie, jaki na duszę czytelnika rzucają, we wrażeniu, jakie wywołują, jest zupełna jednostronność, a przez jednostronność i wyłączność musi być przesada. Oba jednak dzięki jaskrawości kolorów dają wyraziste granice. wśród których mieści się prawda ogólna. przeciętowa, syntetyczna. Dla tego oba są do zbadania epoki niezbędne. jeno należy je brać z zastrzeżeniem, ażeby nie wpaść w ostateczność w jednym lub drugim kierunku.

Gdybyśmy zawierzyli bezkrytycznie satyrycznym obrazom XVII. w., wówczas wstyd zarumieniłby nam czoła, rozpacz wżarłaby się w serce, oczy odwracałyby się od przeszłości z bólem bez miary. Lecz nie dajmy się ponosić prawdzie jednostronnej, spojrzyjmy po za cienie, a zobaczymy światła, świateł wiele, pełnych siły i ciepła dla dusz miłujących przeszłość.

Twardowski, który uprawiał panegirykę. zostawił także jeden utwór satyryczny „na twarz Rzpltey". Od poprzedników. od Zbylitowskich, Andrzeja i Piotra, od Stanisława Witkowskiego jest wyższy obfitością treści. zaczepia bowiem sam nie tylko te wady, które oni z osobna atakowali. lecz także inne jeszcze. Od Opalińskiego Krzysztofa niższy jednak, bo nie tak wyczerpujący. Wszystkie grzechy publiczne i prywatne. błędy i śmieszności odbijają się w satyrach Opalińskiego, jak w zwierciedle. Twardowski nie ogarnia tak rozległych horyzontów i stoi jakby w pośrodku między poprzednikami a następcą. Ma jednak nad następcą wyższość jako poeta: jego „Satyr" pisany jest wierszem jednostajnym.[1]) ale gładkim, tamtego satyry nie są właściwie wierszami wcale, choć je usiłują imitować. Z drugiej strony ma na następcę znaczny wpływ. Twardowski Opalińskich znał; Krzysztofowi dedykował „Nadobną Paskwalinę", może był z nim pod Ujściem. w każdym razie usprawiedliwiał jego zdradę; pod Piotrem walczył przeciwko Szwedom. Otóż Krzysztof mógł łatwo zaciekawić się utworem znajomego. Że zaciekawił się. że czytał „Satyra", dowodzą wpływy. Po pierwsze są one w myślach; o to mniejsza. bo skoro temat ten sam zupełnie. refleksye mogą być podobne. jak dwie krople wody, a jeszcze niekoniecznie zapożyczone. Po wtóre wpływ jest w zwrotach, w wyrażeniach; to już o wzorowaniu się rozstrzyga.

Obaj mają równe wady. Ich satyry nie są satyrami w pełnem znaczeniu słowa, nie ironizują, nie kłują niby grzecznie. a do

---

[1]) 13-zgłoskowym.

krwi, nie zabijają uśmiechem, który do furyi doprowadza i zarazem do wściekłego uczucia, że niema ich o co zaczepić, nie zaprawiają rzeczy drażniącym humorem, ale chłostają wprost, rąbią ciężko i przez to są dydaktyczni, nie satyryczni. Brak im dowcipu, któryby i nas pociągnął. To też dla poznania epoki czytać ich musimy, lecz nie wracamy do nich inaczej, jak z konieczności.

Przyczyną, dla której Twardowski napisał „Satyra“, było zdaje się to, że według jego zdania, skoro wszyscy o grzechach milczą, bo nie chcą, albo nie mogą, godzi się wystąpić i zrobić, czego nie robią. Jest wprawdzie wiele „papug“, które gadają, ale nikt niema odwagi rżnąć prawdy prosto z mostu, a gdy taki się znajdzie, to mu gębę zamkną chlebem i zaraz siedzi cicho.

Twardowski powstaje w „Satyrze“ na błędy publiczne i prywatne. Pierwsze zło, najogólniejsze, jest, że gwałt się dzieje prawdzie i dobrym radom. Oczywiście słuszność zupełna, bo gdy zadławię tego, kto mi błędy wytyka, już mnie w drodze ku bezprawiom nikt nie zatrzyma. Za tem zasadniczem złem idzie szereg innych. Zrywanie sejmów, swawola, prywata, wielkie spory o błahostki, przekupstwo urzędów, panowie rozdrapują dobra stołowe, nieufność względem króla,[1] dworskie pochlebstwo, przedajność sądów, nawet trybunału, sofizmatyka palestrantów i całej przez to procedury sądowej: oto bardziej publiczne wady. Cudzoziemskie obyczaje, małpowanie zagranicy w strojach, zwłaszcza u kobiet, ich rozwiązłe życie, niedołężność mężów, złe wychowanie panien, nawet tańce, prowadzenie domu nad stan, lub sknerstwo i u księży często spotykane: to znów bardziej prywatne cechy.

We formie Twardowski naśladuje Kochanowskiego Jana, niby w skórę satyra się ubierając. Wykazuje jednak pewną inwencyę, bo udaje, jakoby raz w deszczowej nocy zabłąkanego senatora w lesie zaprosił do siebie, przez co zdobywa sobie możność wprowadzenia ulubionego wówczas dyalogu. Ten senator dodaje powagi niektórym zdaniom, a nadto odgrywa jeszcze rolę parawana, z za którego autor może bezpieczniej prawić morały tam,

„gdzie trzeba iak po ogniu y po brzytwach chodzić“.[2])

---

[1]) Trzeba wiary:

„...Bo kto tak nie zginie,
Kiedy na kim wesprze się, iakoby na trzcinie.“ (str. 12).

[2]) Str. 8.

bo się zaraz gotowi mścić zaczepieni. Z tego samego powodu utwór wychodzi zrazu bezimiennie, a dopiero potem z inicyałami Twardowskiego. Na drugi dzień satyr odprowadził senatora aż w pole, a wracając ujrzał w szklannej karecie niewiasty, jadące z góry.

Zdawałoby się, że na tem tle wywiąże się jakaś akcya, ale on, jakby zaraz o karecie zapomniawszy, do końca nie przeprowadza pomysłu. Szkoda, że tej inwencyi nie więcej, bo dodałaby ona interesu książeczce.

Chociaż Twardowski pisał „Satyra“ prawdopodobnie w znacznem rozgoryczeniu,[1]) przecież od paszkwilu potrafił się uchronić i dać objektywny, choć nie całkowity obraz wad, nurtujących w społeczeństwie polskiem.

Wiersze różne.

[Miscellanea Selecta, w różnych panegirycznych okazyach do druku sparsim podane, teraz iako godne pamięci w iedno opus zebrane. — W Kaliszu. R. P. 1681 i 1682.[2]) — Zbiór Różnych Rytmów przedrukowany w Wilnie. Druk. Akad. Soc. Jezu. R. 1770.[3]) — Zbiór Rytmów wyd. K. J. Turowskiego. Kraków, 1861.[4])]

Pierwszym wierszem Twardowskiego, który ukazał się w druku była „Na wiazd... Macieia Łubieńskiego, kujawskiego i pomorskiego biskupa do Wrocławka... Oda winszuiąca.“[5]) Pisywał już przedtem, ale widocznie nie wydawał.

„Czego się bawisz Muzo moia w cieniu?
I dotąd w ciasnym trzymasz mnie więzieniu,
W ścianach y szczupłey chudobie
Sama skaczesz, sama igrasz sobie.“[6])

---

[1]) O czem w życiorysie wspomniałem.

[2]) Bibl.: Jag. Ak. Um., Czart., Un. warsz., Bran., Chrept., Dzikow., Czetwer., Kras., Ossol., Przezdz.

[3]) Bibl.: Jag. Ak. Um., Czart., Un. warsz. i wiele innych.

[4]) Według Kraszewskiego (Wilno IV.) „Mis. sel.“ były przedrukowane w Wilnie 1634. Byłby to mniejszy zbiorek.

[5]) 1631. 5. październ.

[6]) W dedyk. do „Ody“. Zb. Rytm. 1770, str. 60.

Ten pierwszy wiersz jest panegirykiem, a za nim miał podążyć szereg innych, gdyż Twardowski w tych latach (koło 1631) znajdował się w opałach finansowych, jak to w życiorysie zaznaczyłem. Panegiryki, które zajmują większą część zbiorku, wychodziły zrazu osobno. Ściągnęły one gromy na głowę biednego autora, któremu zrobiono zarzut szpetnego pochlebstwa, zrywającego z wszelkiem poczuciem godności osobistej.[1]) Charakteryzując Twardowskiego jako człowieka, broniłem go już, to też teraz zostaje mi tylko przejść kolejno panegiryczne wiersze i wykazać słuszność mego zapatrywania.

Zaraz ten na cześć M. Łubieńskiego podnosi, że biskup cnotą wszedł na wysokie stanowisko, w senacie bronił nie prywatnego ale publicznego dobra, a jako kapłan jest bez zarzutu. Gdzie tu przesada, gdzie pustota frazesów?

Druga „Oda winszująca“ dla Stan. Łubieńskiego, biskupa płockiego, zasługi jego wylicza, że rzetelną pracą dobijał się nagrody, że piórem służy nauce, słodką wymową się odznacza, nigdy z prawej nie zszedł drogi, królowi był zawsze wiernym.

„Pod elekcyą szczęśliwą... Władysława IV.“ składa się z trzech wierszy. Dwa z nich opowiadają o klęskach z ostatnich pięciu lat panowania Zygmunta III. i o jego dzielności. Trzeci wróży Władysławowi szczęśliwe rządy, opierając się na jego dawniejszych przewagach. Zastrzega się przytem, że król ojcem winien być dla narodu, nie tyranem.

„Sieradz się świeci“ jest wprawdzie masowym panegirykiem dla przeróżnych ludzi z sieradzkiej ziemi, ale nie jest oryginalny; jest tłumaczony z lekkiem rozszerzeniem treści.

Tylko „Pamięć śmierci... Aleksandra Karola...“ [2]) jest przesadna i nudna, bo cóż się da wynaleźć wielkiego w życiu choćby królewicza, który bardzo młodo umarł.

„Pobudka cnoty“ [3]) dla Jerzego Dymitra Wiśniowieckiego jest wcale ładna. Dwa wierszyki głoszą chwałę przodków Dymitra, trzeci wróży dziecku świetną przyszłość, a wróżby istotnie nie zawiodły.

„Pałac Leszczyńskich“ [4]) z okazyi wjazdu Bogusława Leszczyńskiego na wielkopolską generalię, to nudny opis z pochwa-

---

[1]) Chlebow. Braun. Bartoszewicz i inni.

[2]) R. 1634 — 20. listop. — Ossolin.

[3]) R. 1615.

[4]) Wyszło osobno: Leszno 1643. 6. lipca, in fol. str. nlb. 56. Krasiń. Także w rps. Bibl. warsz. N. 362. 1. $^{4}/_{11}$, str. 207—252, odpis.

łami na cześć całego domu Leszczyńskich, ich krewnych i krewnych tych krewnych.

W końcu „Omen Królowi szwedzkiemu, wymuszona przy zgubioney na ten czas oyczyznie Poesis“.[1]) Właśnie nie powinna była być wymuszona, nie powinna istnieć wcale. Lecz abstrahując od względów patryotycznych przyznać trzeba, że Karola Gustawa nie wynosi zgoła pod niebiosa, utrzymuje się w tonie objektywnego przedstawienia stanu Polski ówczesnej i przypomina nowemu królowi jego obowiązki względem Polaków.

Dr. Stanisław Turowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) 1655. Odpisy w Ossol. rkps. 1411 (115) i 240 (88).

KLUB PATRYOTYCZNY WARSZAWSKI
w czasach powstania listopadowego
(1830 — 1831).

(Ciąg dalszy).

XXII.

Lud warszawski burzy się. — Pochód na Hurtiga. — Scena przed Zamkiem. — Czartoryski nawołuje lud do cierpliwości. — Posiedzenie nadzwyczajne klubu. — Poeta Tymowski. — Stanisław Jachowicz. — Jego wniosek o założenie Towarzystwa opieki nad dziećmi wojowników. — Księga zapisów. — Projekt codziennych narad w klubie.

Tegoż samego dnia, gdy między ludem rozeszła się wiadomość o odkrytej zdradzie przeciw narodowi, uknutej jakoby przez generała Hurtiga i gdy tłumy, podążywszy na ulicę S-to-Jerską, pochwyciły obwinionego i powlekły do Zamku, domagając się pod kolumną Zygmunta wymierzenia nań natychmiastowej kary, a książę Czartoryski stojąc w powozie z odkrytą głową, nawoływał do cierpliwości, z zapewnieniem, że sąd bezzwłocznie sprawę generała weźmie pod obrady, ukazało się wezwanie prezydującego klubu ks. Pułaskiego, by członkowie zgromadzili się bezzwłocznie w salach redutowych Teatru Narodowego.

Okazało się, że stronnictwo przeciwne rozwiązaniu klubu, odniosło przewagę. Tysiączne tłumy zapełniły sale obrad. Zagaił posiedzenie poseł poeta Kantorbery Tymowski, poczem mecenas Kraiński w zabranym głosie uzasadnił, że wolność jest podstawą życia narodów, ich świetności i chwały. Przyjaciel dzieci, bajkopisarz Stanisław Jachowicz, w charakterze sekretarza klubu, odwołał się do patryotyzmu Polek i wniósł, by utworzono Towarzystwo, czuwające nad losem dziatek opuszczonych przez walczących na polu bitew ich ojców.

Artysta dramatyczny Wojciech Piasecki deklamował wiersz pod tyt.: „Anioł polskiego narodu“, pióra Goszczyńskiego, poczem odśpiewano chórem „Warszawiankę“ Delavigne'a, w przekładzie Karola Sienkiewicza.

Wiceprezes klubu ks. Kazimierz Pułaski mówił na temat wypadków współczesnych. Deklamował wiersz swój artysta Kroplewski, poczem artystka opery panna Wołków odśpiewała przy akompaniamencie orkiestry marsz za Bug, kompozycyi Kurpińskiego, ze słowami Goszczyńskiego.

Po skończeniu obchodu zaczęto się zapisywać do księgi Towarzystwa sierot po poległych wojownikach i utworzono komisyę w celu ułożenia projektu jego organizacyi.

Jednocześnie, z uwagi na ważność chwili, postanowił klub, począwszy od 1. lipca zbierać się codziennie na obrady w salach redutowych, o godzinie 6-tej wieczorem.

XXIII.

Odezwa klubu do narodu z 4. lipca, wzywająca do czuwania nad podejrzanymi o nieprawomyślność narodową. — Zaniepokojenie w sferach rządowych. — Odezwa ministra Gliszczyńskiego do Rządu. — Odpowiedź wymijająca prezesa Niemojewskiego.

W dniu 4. lipca 1831 r. klub patryotyczny ogłosił Odezwę do narodu, wzywającą wszystkich obywateli do czuwania nad zakusami kontra-rewolucyjnymi, których objawem był wykryty niedawno spisek.

„W imię dobra Ojczyzny — głosiła Odezwa — wzywamy was, prawi obywatele Polski, zwrócić baczne oko w każdym zakątku tej ziemi na potępionych przez opinię; zwrócić uwagę na

wszystkich i na wszystko, co was otacza. Odkrywajcie jad zabójczy, który może wewnątrz toczy ciało Ojczyzny, gdy za nią przelewa się tyle potoków krwi bohaterskiej.

„Nie zginiemy przez nieprzyjaciół jawnych, zginąć możemy przez zdrajców. Nie opuści nas Opatrzność, jeżeli sami siebie nie opuścimy, ale biada nam, gdyby się powrócić miały sromotne zdarzenia, które przed czterdziestu laty grób Ojczyźnie wykopały i ściągają przekleństwo pokoleń.

Działo się na posiedzeniu publicznem Towarzystwa, d. 4. lipca 1831 r.

Za Prezesa *ks. Pułaski,* Sekretarz: *W. Kazimirski.*

Wobec tak jawnej dążności klubu do owładnięcia opinią publiczną i przeciwstawienia własnych środków obrony narodu, środkom podejmowanym przez Rząd Narodowy, sfery rządowe zaniepokoiły się i uznały za konieczne stanąć w obronie zachwianej powagi władzy narodowej.

W dniu 6. lipca 1831 r. minister prezydujący w komisyi spraw wewnętrznych, Gliszczyński zwrócił się do Rządu Narodowego z odezwą tej osnowy:

„W Narodzie, który ma ukonstytuowane władze prawodawcze i rządzące, wykonawcze i sądownicze, który w uchwale z d. 31. stycznia i 8. lutego b. r. uroczyście przed państwami i rządami Europy, przez prawnie zgromadzonych reprezentantów swoich ogłosił system i zasady, których przestrzegać postanowił i że ich nikomu bezkarnie przekroczyć nie pozwoli, władza administracyjno-policyjna zdaje się już mieć wyraźną do postępowania kolej. Daleka przeto od chęci prześladowania opinii, wykraczania poza obręb swoich atrybucyj, przejęta owszem uszanowaniem dla należytości i swobód indywidualnie każdemu obywatelowi i mieszkańcowi zawarowanych, zwracać przecież uwagę czuje się obowiązaną na Towarzystwa, których cele nie dosyć są jawne i znajome, tudzież dążenia zasadom przyjętym i prawom krajowym preciwne

„Towarzystwo patryotyczne przybierać zdaje się codziennie więcej znaczącą postawę. Nie tai się ze swemi pretensyami, działa coraz czynniej, objawia ducha propagandy i zamiar oceniania patryotyzmu mieszkańców, dąży do pomnażania sobie licznych zwolenników, ogłasza w gazetach odezwy do

obywateli, aby do niego przystępowali i z niem się łączyli, na obrady w celu dyskutowania materyj w programie wskazanych zgromadzać się nie zaniedbywali i wzniosłe cele, jakie też Towarzystwo mieć twierdzi, wspierali.

„Minister prezydujący w kom. spraw wew. i policyi, nie mając sobie przecież tych celów komunikowanymi, bacząc, że żadne podobne Towarzystwo, choćby pod najpiękniejszą i najszanowniejszą firmą, bez wiedzy Rządu, ani powinno być zawiązane, ani utrzymywane: chcąc uniknąć wszelkich wyrzutów i odpowiedzialności, gdyby z tej przyczyny szkodliwa walka między opiniami Towarzystwa patryotycznego i opiniami, bądź Sejmu, bądź Rządu wyniknąć miała, uprasza o wyraźną instrukcyę, jak pomienione Towarzystwo uważać i jak Mu się względem niego zachować należy?

Gliszczyński.“

Odpowiedź Rządu Narodowego brzmiała:

„Prawodawstwo dotąd w naszym kraju obowiązujące, potępia tylko Towarzystwa wyraźnie przez Rząd zakazane. (Kod. karzący art. 277) a bynajmniej nie implikuje, aby wszelkie towarzystwa potrzebowały uprzedniego zatwierdzenia i żadne nie mogło bydź bez wiedzy Rządu zawiązane. Dlatego, oprócz Towarzystwa patryotycznego istnieje kilka innych w stolicy od Rządu nie upoważnionych.

„Towarzystwo patryotyczne ogłosiło drukiem swoje ustawy i odbywa publicznie posiedzenia swoje. Nie można więc twierdzić, że jego cele nie są jawne i znajome, lecz słuszniej powiedziećby można, że nie są dosyć określone, przez co wzbudzić mogą niejaką czujność nad jego postępowaniem i użycie w tym celu wszystkich środków prawnych, jakie są w jego ręku. Wszakże już art. 277 Kod. karzącego stosowne ku temu zawiera przepisy.

„Rząd Narodowy tolerował dotychczas tak nazwane Towarzystwo patryotyczne, dlatego, że z egzystencyi jego nie wynikło żadne zamieszanie pokoju publicznego, ani żadna znaczna nieprzyzwoitość, i dlatego, że zakaz mógłby wywołać Towarzystwa tajne, daleko niebezpieczniejsze. Tej reguły zamierza się trzymać Rząd Narodowy i nadal, chyba, żeby Towarzystwo rzeczone dało mu słuszne powody zmienienia swego względem Towarzystwa postępowania.

„Rzeczą jest J. W. Ministra, pod którego zwierzchnim nadzorem policya krajowa zostaje, czuwać nad tem i wcześnie Rząd ostrzedz.

Warszawa, 9. lipca 1831 r.

Prezes Rządu
Wincenty Niemojewski."

XXIV.

Klub coraz śmielej wkracza w atrybucye Rządu. — Dwie władze. — Rola Lelewela. — Jachowicz w sprawie fabrykacyi saletry. — Ks. Pułaski dopuszcza osoby obce klubowi do kontroli nad działaniami Rządu. — Klubista Zatwarnicki gani dowództwo Skrzyneckiego i jego umiarkowanie w sprawie osób podejrzanych. — Mowa Grzymały. — Jakobinizm klubu. — Mowa Lelewela. — Dalsze wnioski Zatwarnickiego. — Przeciw tytułomanii. — Projekt adresu do Skrzyneckiego.

O wymianie zdań w sprawie wzmagającego się stopniowo wpływu klubu patryotycznego na opinię publiczną — o owej wymianie, którą dopiero po upływie lat 66 wykryły nam akta archiwalne Rządu narodowego, nic w klubie nie wiedziano i dlatego członkowie Stowarzyszenia, widząc bierne zachowywanie się władz rządowych, które, jako dowód ich niemocy uważały, coraz śmielej i skuteczniej wkraczali w atrybucye Rządu, w tej właśnie chwili, gdy rozpaczliwe położenie kraju po szeregu klęsk, poniesionych na polach bitew, od Ostrołęki poczynając, wymagało jednolitej, energicznej, dyktatorskiej niejako władzy i skupienia wszystkich sił w kierunku obrony całości i niepodległości Ojczyzny.

W rzeczy samej, w kraju istniały w połowie roku 1831 dwie władze.

Jedna, legalna — Rząd narodowy — ześrodkowana pod sztandarem walki orężnej z nieprzyjacielem zewnętrznym i druga zaś, nielegalna — klub patryotyczny — coraz intenzywniej wkraczająca w atrybucye Rządu powstańczego i siejąca w umysłach zamęt, oporność i nieposłuszeństwo władcom legalnym. Do spotęgowania owego wpływu klubu na umysły, przyczyniał się przeważnie udział w jego prezydyum członka Rządu, Lelewela, męża niepospolitej popularności, cieszącego się sympatyą ludu

miejskiego, patryoty gorącego, lecz jednocześnie stawiającego wolność jednostki wyżej ponad poddanie jej wymaganiom czasowym legalności i konieczności ulegania czasowym środkom jednolitej, sprężystej i energicznej władzy rządowej.

W imię tej właśnie zasady, że w czasie walki orężnej, każdy obywatel ma prawo i obowiązek na własną rękę działać i szukać sposobów na ratowanie Ojczyzny, tolerował Lelewel wszelkie ingerencye klubu w sprawy nawet wojskowe i zagarniał w sferę kompetencyi tegoż klubu sprawy natury czysto technicznej, np. fabrykacyi saletry do wyrobu prochu.

Na posiedzeniu klubu 1. lipca dał Lelewel głos bajkopisarzowi, zacnemu ojcu dziatek, Jachowiczowi, który wystąpił z projektem utworzenia komitetu dla czuwania nad działaniem Rządu w sprawie fabrykacyi owego materyału bojowego.

Ks. Pułaski wzmocnił ów wniosek żądaniem, aby ta sprawa, jako też i inne, ważniejsze, mogły być roztrząsane w klubie przez wszystkich jego członków, a nawet i przez osoby obce, do klubu przychodzące.

Gdy niektórzy członkowie wyrazili obawę, by z powodu takiego udziału osób obcych w obradach klubu nie powstał nieporządek, ks. Pułaski zmienił swój wniosek w duchu, by arbitrom wolno było przymawiać się do głosu w sprawie już obradowanej, bez możności czynienia wniosków nowych.

Klub na to się zgodził i wyznaczył delegacyę pod prezydencyą Jachowicza do pomagania komisyi rządowej w sprawie fabrykacyi saletry.

Następnie członek klubu, Zatwarnicki wniósł, by Towarzystwo zwróciło się do naczelnego wodza Skrzyneckiego z adresem naganiającym jego zasadom działania w polu i wyrażającym nieufność do jego otoczenia. Zarazem zwrócił uwagę klubu na niewłaściwość odezwy Skrzyneckiego do mieszkańców stolicy, w której powiedziano, że osoby obwinione o kontra-rewolucyę 29. czerwca, mogą się okazać niewinnemi.

„Skoro takie jest dążenie — głosił mówca — trudno, aby naród obiecywał sobie wymiar sprawiedliwości, nawet na generałach Jankowskim i Bukowskim, względem których karygodności niema powątpiewania.“

Obyw. Grzymała był przeciwnego zdania, lecz poparł wniosek Zatwarnickiego arbiter, nie członek klubu, Grodecki, Wołyniak, dowodząc, że klub winien „działać z całą gorliwością, jakiej obecny stan rzeczy wymaga i czuwać nad prowadzeniem sprawy na-

rodowej...“ „Moderantyzmem — mówił — zabijamy najświętszą sprawę, najświętsze usiłowania. Niechaj nieprzyjaciele nasi szerzą fałszywe wieści o demagogii i jakobinizmie. Są to głosy nieprzyjaciół, bo ludy wogóle inaczej o nas sądzą. Lud domagał się kary na zdrajców. Wytoczyć krew zdrajców Ojczyzny, to nie jest demagogia“.

Prezes Lelewel w krótkich wyrazach oświadczył, że „Towarzystwo przejęte jest temiż samemi uczuciami, jakie mówca wynurzył, że najpierwszym jego celem jest dobro ogółu, wywalczenie niepodległości i połączenie się z braćmi“.

Poczem wezwał arbitra Grodeckiego do udziału czynnego w pracach klubu.

Obyw. Kozłowski radził również „baczność nad działaniami Rządu i przychodzenie mu z pomocą“.

Następnie Zatwarnicki żądał, by w adresie do Naczelnego Wodza zganić jego jeden z rozkazów dziennych, w których zalecono, by zażalenia wojskowych przechodziły przez władze pośrednie. „Było to przyzwoitem i we zwyczaju za cesarzewicza, lecz to opóźnia bieg sprawiedliwości“.

W końcu zaprotestował Zatwarnicki przeciw tytułom nadanym za zeszłego rządu, „uzyskanym przez tych, co je noszą na grobie Ojczyzny, za pochlebstwa i czołganie się po obcych dworach, za zdradzanie sprawy powszechnej. Noszenie takich tytułów jest najpierwszym dowodem niepatryotyzmu“.

Obyw. Królikowski uważał za właściwe, by Tow. patryotyczne zamiast pisania adresu do Naczelnego Wodza odwołało się w tej mierze do rozsądku publicznego narodu, „który będzie umiał ocenić i czczość owych tytułów i przeciwne duchowi teraźniejszemu rozporządzenie.“

Prezes Lelewel, zarządziwszy głosowanie, polecił członkom Grodeckiemu, Pułaskiemu i Zatwarnickiemu ułożenie redakcyi adresu do Naczelnego Wodza, poczem sesyę salwował.

XXV.

Dyskusya w klubie nad wyborem świątyni do odbycia nabożeństwa dziękczynnego z powodu odkrycia spisku kontrrewolucyjnego. — Królikowski przeciw kościołowi. — Protest Kierśnickiego. — Religia panująca. — Kozłowski o kontrrewolucyi. — Jan Czyński domaga się kary na szpiegów. — Projekt klubu nieustającego. — Spory klubistów. — Odezwa do Narodu.

Posiedzenie klubu z 3. lipca 1831 roku odbyło się pod prezydencyą Dembińskiego, — który zaleciwszy sekretarzowi odczytanie projektu obyw. Czarkowskiego w sprawie odbycia nabożeństwa kościelnego za odkrycie spisku 29. czerwca, dał głos obyw. Królikowskiemu.

Ten sprzeciwił się projektowi z uwagi, „że w Towarzystwie są członkowie różnych wyznań, zachodziłaby tedy wątpliwość, w jakim kościele odbywać nabożeństwo, aby nie ubliżyć żadnemu wyznaniu".

Obyw. Kierśnicki sądził, że gdy religia katolicka jest u nas panującą, wątpliwość co do świątyni nie może mieć miejsca.

Obyw. Królikowski był odmiennego zdania. „Twierdzenie — głosił — jakoby religia katolicka była u nas panującą, jest zupełnie mylne i niezgodne z ustawą naszą konstytucyjną".

Na wezwanie prezydującego obyw. Czarkowski od wniosku swego odstąpił.

Poczem obyw. Kozłowski, mówiąc o kontrrewolucyi, wyraził się, że istoty jej nie należy szukać w samych tylko wojskowych, „lecz we władzach, do jakich należała dyktatura i wszystkie władze, które się zasad przyjętych przez dyktatora nie zrzekły".

„Dyktator w sprawie szpiegów i policyi tajnej zagroził nieujawnionym nawet przestępcom infamią. Takie postanowienie trwa dotąd. Lecz cóż to jest infamia? Za dawnej Rzplitej, kiedy była szlachta i nieszlachta, łatwo było dotykać infamią, (tak dotknęły konstytucye nasze wszystkich hrabiów i starających się o tytuły) i pozbawiać czci, odejmując szlachectwo i jego przywileje. Dziś zaś straciliśmy znaczenie tego wyrazu". Uważał zatem mówca za potrzebne excytować Rząd o zmianę postanowienia dyktatorskiego.

W tem miejscu odezwał się arbiter Jan Czyński i zwrócił uwagę klubu na władzę, wcieloną przez Rząd gubernatorowi oble-

żonej stolicy i dlatego należałoby do tegoż gubernatora udawać się w sprawach o karcenie szpiegów.

Obyw. Płużański poparł wniosek o zmianę postanowień dyktatora. Toż samo głosił mecenas Krainski, powołując się na nieukarane czyny Rożnieckiego, Szaniawskiego i Nowosilcowa. Domagał się zatem zniesienia postanowień dyktatorskich o szpiegach. drogą adresu do Rządu.

Wyznaczono komitet w tej sprawie w osobach: Płużańskiego. Jozafata Ostrowskiego. Kozłowskiego i Kraińskiego.

Posiedzenie następne z 4. lipca poświęconem było dalszym obradom w sprawie szpiegów.

Obyw. Królikowski domagał się, by klub „zawiązał z grona swego komitet nieustający. w którymby się koncentrowały działania, mające na celu wykrycie zdrajców, ludzi kwalifikujących się do tego, a nawet ostrzeganie o niezdatnych do kierowania sprawy publicznej, jakim był np. dyktator, który nas zgubił nie tyle przez złą wolę i zdradę, na co dowodu niema, ale przez niezdolność“.

Na uwagę kilku członków, iż cały klub stanowi już taki komitet i że utworzenie nowego jest zbytecznem, wniosek odrzucono.

Następnie Prezydujący złożył hołd obywatelce Manowskiej. która ofiarowała szpilkę i obrączkę złotą na rzecz Towarzystwa opieki nad dziećmi po poległych rycerzach i odczytał list dra Lewkowicza, przyznający słuszność żądaniu klubu w sprawie sztabu Naczelnego Wodza, skoro w nim znajduje się taka osobistość, jak Józef hr. Załuski. o którym w *Gońcu krakowskim* potępiający zamieszczono artykuł.

Obyw. Grodecki domagał się przedrukowania i rozpowszechnienia pomienionego numeru *Gońca*.

Poczem całe zgromadzenie uchwaliło wystosować do Narodu imieniem klubu odezwę, nawołującą do czuwania nad wszystkiemi podejrzanemi o zdradę osobistościami.

Odezwę tę podpisaną za prezesa przez księdza Kazim. Aleksandra Pułaskiego i sekretarza Wojc. Kazimierskiego, wydrukowała *Gazeta Polska* w Nr. 179 z r. 1831.

XXVI.

Awantura dziennikarska. — Pobicie redaktora *Merkurego*. — Wdanie się w tę sprawę Skrzyneckiego w obronie generała Redla i Zawadzkiego. — Krukowiecki zamyka gazetę. — Huki w klubie. — Odezwa do Narodu. — Rozbiór zasad konstytucyjnych Rządu. — Odezwa klubu do duchowieństwa w sprawie pospolitego ruszenia. — Projekt uczczenia 27. lipca rewolucyi francuskiej. — Sprawa koni w armii, podjęta przez klub.

Sprawa podejrzanych o zamysły kontrarewolucyjne generałów nie przestawała niepokoić umysłów. Redaktor dziennika *Merkury* ogłosił w liczbie spiskowców generałów Redla i Zawadzkiego. Obwinieni, broniąc swej czci, dopuścili się gwałtu na osobie redaktora. Wdał się w tę sprawę Wódz Naczelny Skrzynecki, żądając wytoczenia procesu o potwarz oskarżycielowi. Generał-gubernator stolicy Krukowiecki polecił redaktora uwięzić, a redakcyę dziennika opieczętować.

Wszczął się z tego powodu głośny rumor w klubie patryotycznym. W dniu 11. lipca 1831 klub wydał odezwę do Narodu i zwrócił się z zażaleniem do Rządu i Sejmu, wskutek czego rozkaz Krukowieckiego uchylonym został.

„Najjaśniejszy Sejmie! Najwyższy Rządzie! — brzmiała odezwa — w waszej jest mocy powściągnąć nadużycia, zaradzić złemu na przyszłość; dopilnowanie zaś wykonania praw i usunięcie zdrożności waszym jest obowiązkiem dostojni Ministrowie. Błaga was o to Towarzystwo patryotyczne warszawskie, a naród cały oczekuje od was wywiązania się z właściwych każdemu obowiązków...

„Żadne uboczne względy już nie tylko na znaczenie i dostojność stopni, w jakich osoby winne zostają, ale nawet na ich zdolność i użyteczność w służbie wojskowej, nie mogą i nie powinny im zjednywać wyłączenia od zasłużonej kary, bo i prawa krajowe nie znają ułaskawienia przed wyrokiem, czyli tak zwanej abolicyi i honor narodowy wymaga, aby w walce świętej o niepodległość Ojczyzny ci tylko synowie mieli zaszczyt bydź uczestnikami, którzy żadnym niegodnym czynem osobistego honoru nie splamili, którzy postępowaniem swojem nie objawili dążenia przeciwnego ogólnemu celowi odzyskania wolności narodowej...“

Na posiedzeniu 13. lipca 1831 r. zapadła uchwała, by poświęcić następne obrady klubu rozbiorowi konstytucyjnych zasad i zadań najwyższej władzy.

„Zaprasza Towarzystwo — brzmiała odezwa — na te posiedzenia obywateli, którzyby światłem swojem chcieli pomódz Towarzystwu w tej ważnej pracy i nie wątpi, że publiczność tłumnem zbieraniem się ciągle dowodzić będzie, jak wiele ją obchodzą przyszłe nasze instytucye.“

Jednocześnie ogłosił klub odezwę do biskupów, prałatów, kanoników i przełożonych Zgromadzeń zakonnych, tej osnowy:

„Przejęte prawdziwą pobożnością, nigdy nie poświęcające widokom swoim interesu krajowego, wyższe niekiedy nad uprzedzenia wieków Duchowieństwo polskie, przekazało późnym pokoleniom najwznioślejsze przykłady poświęcenia się zupełnego dla dobra drogiej Ojczyzny. Ziarno dobrych przykładów padło na dobrą ziemię i pożądany owoc wydało.

„Dostojni Pasterze Polski i Litwy! Niech was nie rumieni sprawiedliwa pochwała. Niektórych rozrzewniające odezwy, innych żarliwa kaznodziejska wymowa, wielu zbawienne rady, a wszystkich chętne wszelkich ofiar podejmowanie, przekonały nas, przekonały świat cały, jakich w was ma naród obywateli, jak godnymi jesteście zajmować wielkich poprzedników stopnie! Wszakże, aby zupełny obywatelski wieniec pozyskać, nie dosyć jest w czasie walki, zwłaszcza o byt narodu, wysługiwać go samemi czynami pokoju. Uczuło to już wielu z kapłanów wam podległych i pospieszyło do szeregów. Godło zbawienia w ich ręku przewodniczyło do bitew pod Stoczkiem, Grochowem, Dębem, Iganiami, Boremlem i Ostrołęką, natchnęło religijnym zapałem niezrównanych wojowników i przyniosło wiekami niespożyte orężowi naszemu wawrzyny.

„Dostojni Pasterze! nie inaczej postępowali poprzednicy wasi. Aaron, opat tyniecki nieodstępnie towarzyszył na wyprawach Bolesławowi Wielkiemu, Getko, biskup krakowski, radą i orężem pomógł do wybicia się uciśnionemu narodowi z pod jarzma samowładcy. Fulko, również krakowski biskup, utrzymał pod Mozgawą ducha walczących naprzeciw przywłaszczycielowi. A wasze męstwo pod Grunwaldem, Oleśnicki i pierwszy Prymasie, mogłożby komu bydź nieznane? Lecz po co wielu przykładów? Nie masz okresu w dziejach naszych, w którymby nie jaśniały gło-

sne czyny Duchowieństwa wyższego. Nigdy jednak większego zaszczytu nie przyniosły dla świętego powołania, nigdy nie stały się korzystniejsze dla kraju, jak w chwilach najniebezpieczniejszych, a ostatecznych toniach. Prawi mężowie, ufni w Bogu i dobrej sprawie polskiej, wtenczas całą moc patryotyzmu rozwijali. Nawet chociaż niekiedy przerażenie, odrętwienie, cały naród ogarnęło, oni, wyższym duchem przejęci, nie schylali czoła przed tryumfującym już wrogiem, ani przelawszy swoje uczucia do serc współobywateli, albo znękali najezdników, albo przynajmniej zmuszali ich krwią opłacać zbrodnicze zamachy. Takim był Kordecki, przeor jasnogórski, takim był biskup Kamieniecki. Widzą w nich rodacy chlubę przy Czarnieckim i Kościuszce, a historya wielbi ich dzieła obok bohaterów Europy. Pozazdrościł im sławy Sołtyk. Towarzystwo sprzysiężonych patryotów, na którego czele z całą kapitułą stanął, miało wyrwać Ojczyznę z opiekuńczych więzów, Polsce niepodległość, cywilizacyi bezpieczeństwo zapewnić. Inaczej chciał wyrok niezbadany! Może też Opatrzność któremu z następców przeznaczyła wieniec wdzięczności Narodowej i Europejskiej. Ale czas, okoliczności obecne, wam sprzyjają. Wy go możecie osiągnąć. Pospolite ruszenie z sercem przepełnionem uczuciami religii i miłości Ojczyzny, stoi gotowe. Naśladowcy wzorów wielkich! Pospolite ruszenie jest Towarzystwem sprzysiężonych patryotów. Niech żyją bohaterowie!"

W dniu wydania pomienionej odezwy do kapłanów, ukazało się obwieszczenie publiczne, iż klub postanowił w dniu 27. lipca 1831 r. uczcić uroczystym obchodem rewolucyę francuską.

Zapowiedziano, po zagajeniu prezesa, przemowy członków: Królikowskiego, Grodeckiego, Bronikowskiego, Kazimierskiego i Pułaskiego, oraz wygłoszenie poezyj przez Tymowskiego i Seweryna Goszczyńskiego. Zakończyć mają śpiewy: „Marsylianka" i „La Parisienne".

Przy wyborach członków, odbytych dnia 18. lipca, powołano do klubu: Ludwika Królikowskiego, Wincentego Cyprysińskiego, Jozefata Bolesława Ostrowskiego, Józefa Grabowskiego, Aleksandra Smolikowskiego, Wojciecha Sulimierskiego i Jana Czyńskiego.

Posuwając się nieprzerwanie w kierunku zwierzchniego nadzoru nad czynnościami Rządu, klub patryotyczny na posiedzeniu 21. lipca 1831 r. wydał odezwę, zarzucającą nieprawidłowość w rekwirowaniu koni dla wojska, w uwzględnianiu bogatszych

obywateli, którym jakoby najlepsze pozostawiano konie z krzywdą ubogiego ludu.

„Dlatego — brzmiała odezwa — odzywamy się imieniem współobywateli do władz wykonywających uchwałę Sejmu, co do rekwizycyi koni: 1. aby nastąpiła rewizya ocechowanych już koni i 2. aby ściśle trzymając się tejże uchwały, zapobiegać raczyły tym gorszącym przykładom, które okazują gorszącą względność dla możnych, a oburzające uciemiężenie ludu.“

Alexander Kraushar.

(Dokończenie nastąpi).

Z życia domowego szlachty sandeckiej w epoce Wazów.

(Ciąg dalszy).

Tymczasem Łopacki dowiadywał się pilnie o tym długu, gdziekolwiek mógł, i nabrał przekonania, że ten zapis raz już przewiedzion w prawie i zaspokojon. Ofiarował też na to przysięgę. Wyprowadzając się z kamienicy do browaru, przy którym miał jakie takie mieszkanie, otrzymał wyrok dopuszczający go do przysięgi: Jako ten membran zatrzymany jest po przewodzie prawa! Sąd, uznając słuszność dowodu, zawezwał pana Trzcinskiego do składania przysięgi. Ale nie stanął, więc upadł w prawie, a Łopacki się utrzymał. [1])

Burzliwy Łopacki, wstąpiwszy raz na drogę awantur, posunął się na niej aż do odszczepieństwa. W r. 1634 przejął się zasadami różnowierczemi i odszczepił się od kościoła katolickiego, choć jeszcze nie jawnie. Ustępując z Nowego Sącza, rozszerzał w Krościenku pod Szczawnicą 1648 r. swe przekonania, przeciwne wierze kościoła rzymskiego, łżył księży, bluźnił obrzędom i obrazom, a w końcu podziurawił je i porąbał. Ze zgrozą doniesiono o tem sądowi wójtowskiemu w Nowym Sączu. Wysłano czem prędzej gońca, aby uczynił śledztwo, jak notuje burmistrz, Wojciech

[1]) Act. Consul. Sandec. T. 53, p. 3, 16, 32, 118. Act. Scab. T. 54, p. 107, 114, 150, 172, 179, 199, 216.

Bogdałowicz, w księdze wydatków: „Posłańcowi, który chodził w sprawie miejskiej do Krościenka dla inkwizycyi w sprawie Łopackiego o porąbanie obrazów, na drogę i dla wyjęcia extraktu 2 złp.“ Po sprawdzeniu istoty czynu, wystąpił instygator, żądając ukarania. Sąd wójtowski, zważywszy ciężkość jego zbrodni, surowy orzekł nań wyrok: „wygnania, bezecności, ucięcia grzesznych rąk i szyi“. A ponieważ ani razu nie stawał do sądu, więc zadwornie ogłoszono go 17. maja 1649 r. umarłym wobec praw „civiliter mortuus“. [1])

4. Pomiędzy licznemi rodzinami włoskiemi, za Zygmunta III. w Polsce osiadłemi, byli też Dzianottowie „Gianotti de Castellati“. W r. 1645 było ich sześcioro rodzeństwa: Jakób Gianotti, nobilitowany [2]) przez cesarza Ferdynanda III.; Stanisław, później proboszcz Bożogrobców w Gnieźnie i sufragan kijowski; Kazimierz, później pleban lubrański; Jan, kupiec i rajca warszawski; Piotr, później waleczny towarzysz roty husarskiej „hastatae cohortis“ Jerzego Lubomirskiego, [3]) marszałka wielkiego koronnego; wreszcie Barbara z Dzianottów Morikoniowa. Była to rodzina bogata i utrzymywała osobną kaplicę w warszawskim kościele św. Jana, gdzie się chowali w wspólnym grobowcu. Rzeczona Barbara, żona Marka Antoniego Morikoniego, kupca krakowskiego, kazała po śmierci ciało swe przyoblec w habit franciszkański, włożyć do trumny szają włosienną obitej, i odwieźć do grobu rodzinnego w Warszawie. Z dożywocia zaś swego 40.000 złp. zapisała połowę mężowi, połowę braciom i kościołowi.

Jan Dzianotti kupczył winem węgierskiem, którego dostarczali mu kupcy spiscy i sandeccy, spławiając je Popradem, Dunajcem i Wisłą. Piwnica jego była też gospodą wspólną wszystkich Sandeczan, płynących licznie w owe czasy z towarem do Warszawy. Tam to rajcy, wysyłani do króla w sprawach miejskich, schadzali się z kupcami i spławnikami sandeckimi, mianowicie z Sebastyanem Żmijowskim, Stanisławem Jamińskim, Stan. Rogalskim, Zacharyaszem Światłowiczem i innymi. Z flisakami

---

[1]) Act. Consul. Sandec. T. 58, p. 229.

[2]) Act. Castr. Rel. Cracov. T. 85, p. 459—467, gdzie oblatotowany jest ów dyplom cesarski, wydany w Wiedniu 10. lutego 1644 r.; a prócz tego osobne świadectwo sędziego kantonu Rzeczypospolitej szwajcarskiej, „Vallis Praegaliae in Rhaetia“ z r. 1614, potwierdzające rodowite szlachectwo Jakóba Gianottego.

[3]) Act. Castr. Cracov. T. 91. B. p. 2721.

przybyły młody Jakób Klimuntowicz, syn krawca a pasierb Aleksandra Ziółka, złotnika, także się tam kręcił. A że to był chudy pacholek, więc niedługo przed najazdem Szwedów, przyjął służbę u tegoż Dzianottego, a właściwie u jego żony, która zawiadywała prawie wyłącznie kupią winną, podczas kiedy mąż jej trudnił się przeważnie radzieckiemi i publicznemi sprawami.

Szwedzi zajęli Warszawę 8. września 1655, a w ślad w ślad za nimi przyszło morowe powietrze. Ludzie rozpaczali, a kto co miał, zakopywał w ziemię przed łakomstwem wroga, ażeby choć dzieciom dostało się rodzicielskie mienie. Jan Oxenstierna, szwedzki komendant miasta, podejmował hojnie oficerów szwedzkich i polskich, sprzyjających Szwedom. Wina dostarczała piwnica Dzianottego, któremu sumiennie obiecywał zapłacić. Już 20 beczek wybranych wypili goście jego, a zapłaty żadnej nie było: już król Jan Kazimierz nadciągał z wojskiem koronnem. Szwedzi pili i pili, a Dzianottowa obietnice tylko otrzymywała. Wskutek zgryzoty i zmartwienia zaniemogła i zaległa łoże boleści. Mąż jej, rajca warszawski, nie chcąc na siebie ściągać podejrzenia, jakoby ze Szwedami obcował, nie mógł chodzić i upominać się o dług, samej choroba przeszkadzała. Przypłynął tam właśnie Andrzej Waigner, kupiec z Preszowa. Dzianottowa uprosiła go za dobrem wynagrodzeniem, że się podjął iść do Oxenstierny i prosić o wypłatę długu. Jako Niemiec spiski, łatwo się z nim rozmówił, i schlebiając luterskiemu Szwedów wyznaniu, pozyskał jego łaskę. Jakoż na jego prośbę Oxenstierna, jadąc raz przed Dzianottowej domem, stanął i kazał ją przywołać. Zwlokła się nieboga z łóżka i pospieszyła przed kamienicę. Przywitał ją łaskawie i rzekł: Niemam gotowych pieniędzy, ale mam złoto, to je dam za dług. Rozumie się, że na to chętnie przystała, więc kazał przysłać Waignera. Oxenstierna dał mu złota lanego laskę, grubą na wielki palec a długą na pół łokcia, i kazał zaręczyć pani Dzianottowej, iż w niej jest 1.100 złotych. Była też jego pieczęć wytłoczona na niej.

Uradowana Dzianottowa, że przynajmniej cokolwiek, t. j. po 55 złp. odebrała za beczkę, postanowiła natychmiast zakopać złoto wraz z innymi skarbami swymi. Zawołała tedy wiernego starszego czeladnika, Zacharyasza Habetyka, i Pawła Turczyka, Sandeczanina, a ci, przyniósłszy niewielką skrzynkę żelazną, układali w niej, co im podawała chora Dzianottowa. Była tam zaś, prócz złota szwedzkiego, cegiełka złota na dwa palce szeroka, były portugały złote, były perły i drogie kamienie, oprawione w złoto i srebro; wszystko razem ogólnej wartości 20.000 złp. Kazali potem wyko-

pać dołek w piwnicy, żeby zaś ukryć rzecz całą, użyli do tego Klimuntowicza i Światłowicza, Sandeczan, którym Dzianottowa zaufała, licząc może na ich rychłe wydalenie się z miasta. Wykopali po kryjomu dołek, że żadne oko obce nie wiedziało o nim, a kiedy wszystko było gotowe, wstała Dzianottowa z łoża i wraz z Waignerem i Habetykiem udała się do piwnicy, gdzie w jej obecności zakopali skrzynkę, ziemię udeptali i wszelkie ślady zatarli.

Obłudny Waigner, ukrywając powierzone skarby przed chciwością wroga, sam w sobie obudził łakomstwo. Nie dawało mu ani na chwilę spokoju, przemyśliwał więc nad tem, jakby wykraść zakopaną skrzynkę. Morowa zaraza szerzyła się dalej, padli jej ofiarą wierny Habetyk i poczciwy Światłowicz. Waigner widział dogodną chwilę, a nie mógł z niej korzystać, bo nie miał przystępu do piwnicy, którą Dzianottowa sama zawiadywała, nie wpuszczając tam nikogo, prócz usłużnego swego piwnicznego, Jakóba Klimuntowicza. Rad nie rad Waigner, musiał mu się zwierzyć, i opowiadał, jakie skarby spoczywają w tym dole: potem namawiał go, aby je wspólnie wykradli, a winę na nieboszczyków [1]) zwalili. Klimuntowicz obawiał się z początku, bo to mieczem pachło, i udzielił tajemnicy Pawłowi Turczykowi, rodakowi swemu. Ten zaś, nie wahając się ani na chwilę, poparł zamiar kradzieży, ale z wykluczeniem Waignera. Upatrzywszy więc porę, wydobyli skrzynkę i brali garściami, co w niej było. Poczem zasypali dołek ziemią napowrót i zniszczyli ślady, o ile mogli. Klimuntowicz wziął oba kawałki złota i nieco pieniędzy, Turczyk zaś resztę.

Tymczasem król Jan Kazimierz obległ Warszawę, przypuszczono szturm i zdobyto miasto 29. czerwca 1656, a Szwedzi ustąpili z niego. Korzystając z popłochu Waigner, dobył się do piwnicy i kopał, szukając skarbu. Znalazłszy skrzynkę próżną, domyślił się prawdy, wmawiając jednak w siebie, że może Dzianottowa sama dla lepszego zatajenia, gdzieindziej skarb zakopała, próbował w kilku miejscach, lecz wszędzie nadaremno. Złorzeczył więc Klimuntowiczowi. Dzianotti zaś podczas szturmu kazał piwnicę zamurować. Po uciszeniu się w mieście, poczęli ludzie wydobywać, co gdzie schowali. Dzianotti zawołał Turczyka i Klimuntowicza i wraz z czeladnikiem Jerzym, w miejsce zmarłego Habetyka przyjętym, z murarzem i pomocnikiem odbili zamurowanie

[1]) To jest na Zacharyasza Habetyka i Zachar. Światłowicza, zmarłych podczas morowej zarazy.

i weszli do piwnicy. Chłopu kazali kopać, ale zaraz zobaczyli ziemię świeżo poruszoną i to w kilku miejscach, co też i samego Turczyka i Klimuntowicza niemało zdziwiło.

Dzianotti nie wiedział, kogo właściwie w tym wypadku posądzać. Klimuntowicz nawet, udając franta, pytał się, co tam zakopane, a Turczyk obłudny odpowiedział mu: Mieliśmy tu swoje rzeczy zakopane, aleśmy je wykopali po oblężeniu. i pana Dzianottego tu były...

Wkrótce jednak wrócili Szwedzi. Karol Gustaw. król szwedzki. mszcząc się zniewagi swego wojska. zdobył napowrót Warszawę 31. lipca 1656. Klimuntowicz uciekł przed wrogiem wraz z innymi Sandeczanami. a Turczyk umarł zapowietrzony. Dzianotti był w niemałej rozpaczy, bo wszelki ślad kradzieży zaniki zupełnie. Tymczasem Klimuntowicz, kupiwszy w drodze dwa chędogie pistolety dla własnej obrony, wrócił szczęśliwie do Nowego Sącza, wprost do matki swej Anny,[1]) drugich gód wdowy po Aleksandrze Ziółku, złotniku miejskim. Zwierzył się o wszystkiem matce, a ona pasierbowi, Michałowi Ziołkowi alias Sekulińskiemu, ten zaś ciekawością zdjęty, kazał sobie pokazać owe kawałki złota. Klimuntowicz pokazał złoto, pistolety i wszystko, co przywiózł z sobą. Uradzono tedy naprzód złoto przetopić; Ziółko czem prędzej uderzył młotem w laskę złota, zniszczył Oxenstierny pieczęć i zabierał się bezzwłocznie do przetapiania szlachetnego kruszcu.

Nadchodzi na to czeladnik Jana Żołądkowskiego, kramarza, a widząc złoto, pistolety i inne rzeczy, pyta, czyje to jest? Odpowiadają mu, że Klimuntowicza, zdobyte na Szwedach. Czeladnik zdziwiony, opowiedział w domu, co widział i słyszał. w czasie zaś wieczornej pogadanki przy gorzałce w gospodzie cechowej, rozszerzał dalej tę wiadomość pomiędzy młodzieżą miejską. Po całem mieście tylko o tem mówiono. Nawet wielebnego księdza Teodora Karmelitę, bawiącego chwilowo w Sączu, zdjęła ciekawość oglądać

[1]) Była rodem z Wołynia od Łucka. Przybyła wraz z mężem swym, Maciejem Klimuntowiczem, krawcem, który na Wołyniu szczęścia szukając, tam się ożenił, a w r. 1648 przed trwogą kozacką do rodzinnego Nowego Sącza powrócił, z żoną i synem. Po śmierci męża poszła za wiekowego złotnika, Aleksandra Ziółka, który jednak wnet umarł. Pasierb jej, Michał Ziółko, nie miał żadnych zobowiązań względem Jakóba Klimuntowicza, więc ów wyrostek popłynął z flisakami szukać szczęścia w Warszawie.

te kosztowności, boć przecie wiedział, że tam kościelnego złota niemało będzie w owym szwedzkim łupie.

Wkrótce potem ożenił się Klimuntowicz i jął się kupiectwa. Przed św. Piotrem i Pawłem pojechał do Preszowa na jarmark. Spotkał się tam w gospodzie z Waignerem, który zaraz na wstępie wymawiał mu zdradę, a nawet w zapale gniewu wygadał się o Oxenstiernie i skarbie Dzianottego. Podsłuchał ich w tej kłótni obecny tamże Grzegorz Szydłowski, a po powrocie do domu, opowiadał, co wiedział o Klimuntowiczu, Turczyku i Waignerze.

Umarł w tym czasie (1657) ks. Jan Witaliszowski, kustosz kollegiaty sandeckiej. Pani Anna Ziółkowa wzięła na siebie dostarczanie światła na pogrzeb, którego na obchód żałobny bardzo wiele potrzebowano. Korzystając z tej sposobności, zabrała ze sobą kawałek tego złota i sprzedała cechmistrzowi złotników krakowskich, Walentemu Wosińskiemu[1]) za 45 czerwonych złotych. Działo się to w gospodzie Kazimierza Glińskiego, miecznika krakowskiego.

Wykradzenie skarbu Dzianottego gruchnęło po całej Warszawie. Sandeczanie zaś, przybywający do tego miasta w interesach handlowych, opowiadali o złocie, które Klimuntowicz miał zdobyć na jakimś Szwedzie. Dzianotti nie wątpił bynajmniej, że to jego złoto. Nie żałując więc trudu, puścił się do Nowego Sącza z niejakim Jakóbem Kazimierzem Haurem. Stanęli gospodą w rynku u sędziwego Stanisława Kopcia. Dzianottego, jako bogatego kupca i rajcę warszawskiego, witał Kopeć z radością; pospieszyły też panie rajczynie złożyć mu uszanowanie swoje. Dzianotti opowiadał, w jakim celu przyjechał, a Kopeć stwierdził jego podejrzenie i pierwszy obiecał świadczyć przeciw Klimuntowiczowi. Wnet i panie rajczynie zaczęły rozgłaszać po mieście: Źle się dzieje, źle się dzieje! Klimuntowicza o skarb panu Dzianottemu skradziony, będą pozywać i pójdzie do więzienia. Ale gdyby złoto oddał i wyjawił, kto je wykopał, toby się bez więzienia obeszło... Anna Ziółkowa nie miała przyjaciół w mieście, jużto jako obca i przychodnia ruska, ale bardziej jako kłótliwa i zaczepna niewiasta. Przed samym najazdem Szwedów (1655) tak się niegodziwie wyrażała o Nowym Sączu, że ją pani Wawrzyńcowa Szy-

---

[1]) Był widocznie zamożnym, skoro w testamencie 1675 r. robi zapis na swej kamienicy 1.000 złp., od której kwoty mają spadkobiercy opłacać rocznie 50 złp. na msze św. żałobne w kaplicy cechowej. Zob. Leonard Lepszy: Cech złotniczy w Krakowie, str. 30. Kraków 1898.

dłowska nahajką po grzbiecie obiła. Obecnie też całe miasto było przeciwko niej i jej synowi, Jakóbowi Klimuntowiczowi.

Niebawem wytoczyła się sprawa. Sędziwy Kopeć zaprzysiągł, co był słyszał od Żołądkowskiego i od Sebastyana Żmijowskiego, który spławiał podówczas do Warszawy miedź, orzechy i sery wołoskie. Zawezwano też innych świadków i po nitce dochodzono kłębka. Obwinieni zrazu wypierali się wszystkiego. Przebiegła Ziółkowa była rodem z Wołynia od Łucka, a korzystając z tej okoliczności, przyznawała się później, iż miała czonik (sic) złota zlewanego koronnego, które posiadała jeszcze od r. 1647, kiedy z Wołynia wychodząc, dom swój sprzedała. Twierdziła, iż było zlewane to złoto w Łucku i ważyło 51 czerwonych złotych. Wyuczony jej pasierb, Michał Ziółko, tak samo twierdził, dodając, iż było poczerniałe od zakopania w ziemię i bez stempla.

Skoro ludzie spostrzegli, że to marne krętactwo, a złoto rzeczywiście do Dzianottego należy, jednogłośnie potępili Ziółkową, tem bardziej, że wraz z swym synem Klimuntowiczem taką hańbę ściąga na miasto. Klimuntowicza osadzono na razie w więzieniu. Dzianotti zaś ciągle zapewniał, iż odstąpi od powodu, jeśli mu wrócą, co jego jest. Grzegorz Szydłowski zeznał, co słyszał o Waignerze na jarmarku w Preszowie. Dzianotti sprowadził Waignera do Sącza, a ten Klimuntowiczowi całą prawdę wypowiedział w oczy, dodając, iż on i Turczyk wtedy ani dwu talarów nie mieli majątku. Wyjawiła się też sprzedaż złota w Krakowie, dokąd Dzianotti umyślnie pojechał, a przywiózłszy zeznanie cechmistrza złotniczego, Walentego Wosińskiego, i właściciela gospody, Kazimierza Glińskiego, dostarczył sądowi niewątpliwych dowodów.

Zgorszona tem ławica sandecka zawyrokowała, aby upartego Klimuntowicza oddano do szatławy,[1]) czyli na tortury w piwnicach ratuszowych, w celu przyznania się do winy. To poskutkowało! Zatrwożona Ziółkowa padła do nóg Jakóbowi Haurowi, pełnomocnikowi Dzianottego, wyjawiła wszystko i oddała, co miała, a wspaniałomyślny Dzianotti ułaskawił obwinionych, odstępując od dalszego śledztwa.[2])

Dzianottowie uzyskali także względy króla i Rzeczypospolitej. Piotr Dzianotti, za waleczność i męstwo okazane w różnych wy-

---

[1]) Szatława (czes. šatlawa) — więzienie, ciemnica.

[2]) Processus inter spectab. Joannem Dzianoth et Jacobum Klimuntowicz. Act. Consul. Sandec. T. 61, p. 543—559. Act. Scab. T. 64, p. 113—115.

prawach wojennych, otrzymał od Jana Kazimierza na sejmie warszawskim 1. maja 1662 r. indygenat wraz z zatwierdzeniem swego szlachectwa.[1]) Przyjęto go do grona braci szlachty i pozwolono używać nadanego herbu od cesarza Ferdynanda III. w r. 1644: W błękitnej tarczy zamek czerwony o 5 wieżycach, a nad nim dwugłowy orzeł czarny z koroną złotą.

Dzianottowie nabyli później dobra ziemskie w Sandeckiem, gdzie ród ten przetrwał aż do II. połowy XIX. wieku.

ROZDZIAŁ VI.

Kult Świętej Kingi.

Pod koniec XIII. wieku jedną z najpiękniejszych postaci sandeckiej ziemi była Kunegunda albo Kinga, córka Beli IV., króla węgierskiego z dynastyi Arpadów, poślubiona Bolesławowi Wstydliwemu, księciu krakowskiemu i sandomierskiemu. Mieli ci Arpadowie w swym rodzie tylu znakomitych i świątobliwych ludzi, nie tylko na węgierskim tronie, lecz także na Śląsku i Morawach, w Turyngii, Szkocyi, Portugalii, Sycylii, Anglii i Francyi, a nawet w Grecyi, bo przecie matką Kunegundy była Marya, córka Teodora Laskarysa, cesarza greckiego. Nie podobna tu roztaczać długiej genealogii Kingi, wystarczy nadmienić, że jej stryj Koloman, książę halicki, ożeniony był z błog. Salomeą, córką Leszka Białego, a siostrą Bolesława Wstydliwego. Rodzona jej siostra, Jolanta czyli Helena, poślubiona Bolesławowi Pobożnemu, księciu kaliskiemu, a po jego śmierci Klaryska w Gnieźnie, również w poczet błogosławionych jest policzona. Nie dziw przeto, że wśród takich wzorów rodzinnego gniazda wychowana Kinga, już od pierwszej młodości zajaśniała niezwykłą świątobliwością życia — umiała być księżną, matką swego ludu i Bogu poświęconą dziewicą — stąd też odbierała nieprzerwaną cześć od chwili swego zgonu († 24. lipca 1292).

Żywot i cuda tej przesławnej królewskiej córy, ukochanej i uwielbianej od narodu polskiego, opiewanej wierszem i prozą, nie były wcale tajemnicą wśród wyższych i niższych warstw społeczeństwa naszego. Opisał je bowiem w XIV. stuleciu ks. Stani-

[1]) Act. Castr. Cracov. T. 91, B. p. 2721.

sław, teolog franciszkański:[1]) uzupełnił je i znacznie rozszerzył wielki dziejopis w ojczyźnie naszej, ks. Jan Długosz,[2]) kanonik krakowski († 1480); a z jego łacińskiego autografu na polskie przełożył i wydał w Krakowie ks. Przecław Mojecki 1617 r. Ten spolszczony życiorys, rozchwytywany z rąk do rąk, czytywany z zamiłowaniem, tak po naszych miastach, jak i po pańskich dworach, wlewał balsam pociechy w zbolałe serca znękanej ludzkości; a zarazem obudzał ufność w jej stawiennictwo przed Bogiem, w ciężkiej niedoli życia.

Dwie inne jeszcze, ważne okoliczności, przyczyniły się wiele do spotęgowania czci naszej świętej — szkoła klasztorna i same Klaryski. Jedynym zakładem wychowawczym dla dziewcząt w sandeckiej ziemi, była wzorowa szkoła Klarysek w Starym Sączu, podobnie jak dla chłopców szkoła przy kollegiacie w Nowym Sączu już od początku XV. wieku, odpowiadająca pod względem znaczenia dzisiejszym szkołom średnim, czyli gimnazyalnym.[3]) Nie ulega też wątpliwości, że wychowanki starosandeckie wnosiły wraz z edukacyą kult św. Kingi do swych rodzinnych ognisk.

W ciągu XVII. wieku napotykamy też między zakonnicami starosandeckiemi niemało szlachcianek[4]) — córek obywatelskich sandeckiej ziemi — które zamieniły powaby tego świata za welon zakonny. Oddane zaś wyłącznie bogomyślności od lat młodocianych, nie mogły być obojętnemi o cześć swej fundatorki,[5]) lecz

---

[1]) Monumenta Polon. Histor. T. IV. p. 682—744. Lwów 1884.

[2]) Joannis Długossii Opera, vol. I. 183—336. Kraków 1887. — Swój autograf, na pergaminie pisany, darował Długosz klasztorowi starosandeckiemu 18. maja 1474, gdzie przechowuje się dotąd.

[3]) Zob. wyżej rozdz. I. str. 25.

[4]) Były tam między niemi: Zofia Boczkowska — Anna i Franciszka Bobowska — Urszula, Konstancya, Barbara i Anna Jordanówna — Dorota Koziarowska — Anna i Klara Lipska — Elżbieta i Helena Marchocka — Beata, Joanna i Anna Połomska — Zofia i Eufrozyna Rożnówna — Zofia i Magdalena Stanówna — Anna Sędzimirowna — Elżbieta Trzcińska — Magdalena Tabaszowska — Ewa, Klara i Agnieszka Wielogłowska — Zofia Wróblewska — Katarzyna i Krystyna Wierzbięcianka — Jadwiga i Franciszka Wiktorówna — Katarzyna Zielińska.

[5]) Kunegunda po śmierci męża swego, Bolesława Wstydliwego († 1279), wstąpiła do klasztoru Klarysek w Starym Sączu, który już poprzednio tamże fundowała, a dnia 6. lipca 1280, na mocy osobnego dyplomu, prawdziwie po królewsku uposażyła. Zob. Kod. dyplom. małopol. T. II. p. 145—147.

krzewiły ją gorliwie pośród skoligaconych rodów bliższych i dalszych, o których znajdziemy poniżej niejedną wzmiankę. Cała więc Sandeczyzna, tak ściśle zespolona już od XIII. wieku z klasztorem Kingi, współzawodniczyła niejako we czci swej patronki i opiekunki, i można tu słusznie powtórzyć słowa:

A Kinga niebios otoczona chwałą,
Świeci, jak zorza, nad ziemią tą całą.

1. Po śmierci Sebastyana Lubomirskiego († 1627), postąpił na starostwo grodowe sandeckie Jerzy z Nowotańca Stano, [1]) chorąży sanockiej ziemi, który piastował tę godność do 10. kwiet. 1637 r., z ogólnem uznaniem i zadowoleniem mieszczaństwa i szlachty. Już poprzednio, przed swym przyjazdem do Sącza, na różnych posługach koronnych spędzał lata swoje. Najprzód na sejmie warszawskim 1611 obrany był komisarzem do granic od Węgier; posłował potem na sejm 12 razy, a osobliwie 1620, skąd do lustracyi dóbr królewskich na Rusi i Wołyniu naznaczony; zasiadał deputatem na trybunale koronnym kilka razy; jeździł 2 razy do Porty Ottomańskiej [2]) z innymi legatami, a raz do Moskwy. Małżonką jego była Zofia z Pleszowic, córka Andrzeja Fredry, dziedzica na Nowosielcu, wojskiego [3]) przemyskiego. I ona nie odrodziła się od wzniosłych myśli pobożnych przodków swoich. Z miłością Boga łącząc zawsze miłość bliźniego w zaciszu domowego życia, prawdziwą chlubę i zaszczyt przynosiła swemu rodzinnemu gniazdu.

Państwo Stanowie byli to ludzie w ciężkiej wychowani szkole, w czasach ustawicznych wojen za Zygmunta III., to ze Szwecyą, to z Moskwą, z Tatarami i Turcyą, kiedy rycerz polski, kładąc się do spoczynku, nie wiedział wcale, czy nie zaśnie na

---

[1]) Mianowany w Warszawie 15. kwietnia 1627, ingres na starostwo odbył 17. czerwca tegoż roku. Act. Castr. Sandec. T. 117, p. 815, 964.

[2]) Wrażenia swoje podróżne opisał wierszem: O poselstwach w różne kraje wschodnie i wyprawach rycerskich, ksiąg trzy. Kraków, bez roku in 4°. — Druk ten należy dzisiaj do rzadkości bibliograficznych.

[3]) Strażnik zamku, powiatu w czasie wojny. Powinnością jego było przestrzegać bezpieczeństwa w powiecie, skoro szlachta wyruszała na pospolite ruszenie.

wieki od pogan oręża, albo czy nie zbudzi się spętany w tatarskie łyki. Szlachta polska dźwigała wtedy ciężar obrony kraju, kościami swemi zaścielała mnogie pobojowiska Ukrainy, Podola, Wołynia, Rusi i Wołoszczyzny — owego cmentarza polskiej rycerskiej najdzielniejszej szlachty! Jedni z nich obok Stanisława Żółkiewskiego pod Cecorą zalegli „nieprzebytym progiem dla wroga ojczyzny“: drudzy z Janem Karolem Chodkiewiczem pod Chocimem zakończyli życie, a ci, co wrócili jeszcze z pola bitwy do domu, nieraz krew przelewali w ciężkich najazdach Kantymira, tatarskiego murzy. Prawdziwie ciężka to była doświadczenia szkoła! Można było nauczyć się w niej gorącej wiary w Boga, ale też zarazem przesiąknąć pogardą do niemieckiej nauki „o prawie miecza“, którą rozszerzali na Zachodzie nowinkarze religijni, dalecy od Tatar i Turków. Za ich przykładem Aryanie sandeccy, gęsto po dworach nad Dunajcem i Łososiną osiadli, podobnie głosili i nauczali, że grzech dobywać miecza i wojnę prowadzić. W chwilach wojennych nie stawali orężnie przeciwko wrogom ojczyzny, lecz w domu siedząc, łupili bezkarnie kościoły i dobra duchowne, w czem jednak żadnego bezprawia, żadnej nie upatrywali zbrodni!

Ks. Jan Sygański T. J.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MATERYAŁY
do historyi polskiej XIX. wieku.

Działalność emigracyi z roku 1831 na terenie Turcyi do pokoju Paryskiego.

(Ciąg dalszy).

16. listop.

List X-cia Pana i depeszę p. Woronicza z 17. października odebrałem i dzienniki do 24. paźdz. — jedna tedy depesza spóźniona jest i dzienniki o trzy numera spóźnione także. Odebrałem list księcia Witołda z 5. paźdz. pisany przez hr. de R. Co do Niżu — zapewnia, że mój pobyt był za krótki w stosunku do mojego życzenia, chciałbym bardzo tam dłużej siedzieć, jednak wyznaję, że gdybym dwa i trzy miesiące tam siedział, nie mógłbym nic dostateczniejszego urządzić, jak to, co urządziłem — a do czego potrzeba mi było ludzi, przyzwolenia władzy, zasobów nawet pieniężnych, a czego wszystkiego pod ręką nie miałem, ani mieć mogłem. Teraz trzeba o ile trzeba, o ile władza przyzwoli, rzecz urządzoną, że tak powiem, więcej jak w projekcie ustalić — posadzić na miejscu, wtenczas dopiero moja bytność albo bytność takiego człowieka jak Falkienhagen, jest koniecznie potrzebną na

Niżu. Gdyby władza na mój tam pobyt zdecydowała się, czegobym ja bardzo pragnał, wtenczas trzeba, aby mój zastępca tu, był człowiek zdolny, któryby należycie odpowiadał potrzebom tej posady, gdyż dyrekcya odemnie nie mogłaby być dostateczną, z przyczyny, że komunikacye nie mogłyby być regularne w żaden sposób — i że misyą carogrodzką, po oddaleniu się miesięcznem, już nie można dostatecznie kierować, tak to wszystko rozmaitym zmianom i wypadkom podlega, a jeden opuścić, już wątek złapać bardzo trudno. W mojem przekonaniu wykonanie działania na Niżu i z Niżu, po wprowadzeniu na miejsce urządzeń przezemnie przedstawionych władzy — powinno pójść bardzo szybko i inaczej być nie może, to jest konieczność przywiązana do tego działania, do natury elementów, którymi się działa i do natury naszego położenia, że tak nazwę, konspiracyjnego. Jabym ośmielał się zaręczać za dobre skutki. Jeśli wszystko dopełnimy, co potrzeba, (brak) przystępuję tedy do szczegółów, które będą powtórzeniem tego, co zawierały poprzednie moje raporta, ale które zdaje mi się nie zawadzi, dla lepszego może wyłożenia rzeczy mojej władzy.

Nie rozumiałem inaczej i nie rozumiem — tylko że kozactwo Niżu powinno być celem głównej naszej akcyi i że przez to kozactwo rozpoczniemy i przygotowawcze i ostateczne działania. Pobyt p. Rawskiego, zapewne nieszczęsnego człowieka i jego smutny wypadek w Babadach, zwrócił moją uwagę, że człowiek bez posady stałej, jeśli się potrafi utrzymać jakiś czas, choćby dłuższy nawet na Niżu, przez samą obawę, przez niepewność swojej posady, nie potrafi odpowiedzieć żądaniom władzy, naszym potrzebom. Myślałem i przedstawiałem o czyfliku, o handlu, ale przyznaję, że jedna i druga rzecz wymagała większych kosztów jak jest nasza możność i możeby jeszcze nie odpowiedziały tylko w połowie naszej potrzebie. W chwili tych moich chęci i układań przez okoliczności, o których wyłożyłem i w raportach i w listach do X-cia Pana, przyszła kombinacya monasteru, którą za moim krótkim pobytem na Niżu urządziłem — teraz tylko czekam człowieka. Posada tego człowieka, jaką mu nadajemy przez fundacyę, nawet pokrywa go przed podejrzeniem mnichów. Przez swoje zdolne postępowanie zyskamy sobie mnichów a przynajmniej kilku zdolnych i najlepszych do propagowania i trzymania na wodzy kozactwa Niżowego, do wybierania i namawiania na emisaryuszów na Ukrainę, do dowiadywania się, co się dzieje za granicami, za Dunajem i dalej w państwie rossyjskiem. Ztamtąd można działać i na kozaków granicznych, Czerncy Czelinderskiego

monasteru bardzo mają dobre stosunki. To jest właściwa posada do działania na kozactwo i przez kozactwo na kraj. Na niej dopiero agent ma właściwą i dostateczną możność działania. Umowę zrobiłem, zapewniłem fundusz, który przynosi ulgę skarbowi publicznemu. Czułem o tem doskonale, że p. Chmielowski nie jest zdolnym na to miejsce, że nie pojmuje jego ani ważności, ani by był w stanie wydołać potrzebom. Ale wiem, że przewłoka może zniszczyć umowę, a tem samem zniszczyć całą piękną podstawę rzeczy. Wiem, jak jedzie p. Żukowski i dlatego podałem p. Chmielowskiego. Wolałem, żeby ktoś nawet niezdolny zajął to miejsce, jak gdyby umowa miała w niwec się obrócić. Oby Bóg nas od tego zachował, ale ja jestem w wielkim niepokoju i obawie nawet, aby się to nie stało z przewłoki w wysyłaniu człowieka. Obydwie strony zawierające umowę zrażą się do nas — a raz rzecz upadłą, nie potrafimy do niej wrócić.

Prosiłem o drukarnię ręczną, bo czuję potrzebę mienia takowej, koniecznie potrzeba, rozsiewać między lud prosty śpiewki różne, modlitwy i tym podobne rzeczy broń Boże odezw i proklamacyj, teraz tego nie zrobię. Władza może być pewną i dla tego jeszcze raz powtarzam moją prośbę o drukarnię. I tak przewłoka w przesyłaniu człowieka już nam robi ambaras, ostatni statek wychodzi do Galatu 19. t. m., trzeba tedy będzie posyłać lądem, co i koszt i kłopotu przymnaża. Władza może nie zwraca na to uwagę, że ja przy takich trudnościach, jakie mi się coraz przedstawiają, a o których nawet nie lubię powtarzać — przy tak spóźnionych odpowiedziach i postanowieniach władzy, żałując, by nic nie stracić, by wszystko zyskane zachować a ciągle posuwać postęp i powagę polityki X-cia Pana, muszę się chwytać sposobów, które w Paryżu słusznie mogą być widziane za niepotrzebne, a które tu niewykonane, mogłyby rzecz na szwank narazić. Mając monaster obsadzony, można i potrzeba zaraz rozpocząć przygotowawcze kroki na kraj, oprócz tego, co z monasteru ciągnąć można, a o czem wyżej mówiłem, starałem się i o inne sprężyny. Dlatego dopomogłem Stefanowi Kalinowskiemu, ogrodnikowi, do wyrobienia paszportu i pojechania na Niż. Poleciłem Achmet-bejowi, by go tam utrzymał, żeby mieć w pogotowiu agenta do Berdy, do kozaków azowskich, i prosiłem władzy o pozytywkę i proszę o nią.

Ganczarowa przeznaczam na Niż, gdyż on jest Nekrasowiec z prawdziwego szczepu dońskiego był na Donie, zna mnóstwo

Dońców, jak to pisałem w dawniejszych raportach, pisał do mnie kilka razy. P. Rawskiemu gotowość do usług oświadczył i tylko w tem okazywał obawę o swoją rodzinę i teraz trwa w tych samych chęciach, a zresztą jest najzdolniejszym ze wszystkich Nekrasowców do tej posługi. Jeśli znajdzie się drugi naprzykład Liskarow, to i ten nie zawadzi... Zapewnienie chaty, gruntu i pomocy Ganczarowa żonie na osadzie żadnego wydatku skarbowi publicznemu nie przyniesie, ani żadnej szkody osadzie. Handel, to jest dom handlowy, uważam za rzecz bardzo potrzebną i pożyteczną i dlatego to, co mogłem, to urządziłem — zrobiłem umowę, która może się stać podstawą domu handlowego, mówiłem z Ajanem i o ile mogłem oddaliłem zdania p. Radyszewicza, teraz namówiłem p. Dąbrowczyca, by tam zimował i mnie przysyłał projekt i raporta o handlu — takowych oczekuję. W tych wszystkich rzeczach nie naruszałem bynajmniej skarbu publicznego, ani odpowiedzialności mojej władzy. Uznaję za konieczną potrzebę takiego dyrektora, jak p. Falkienhagen i dla kierowania rzeczą Niżu tem ważnem działaniem przygotowawczem i propagandą na moskiewskie wojsko, a które omówiłem w poprzednim raporcie, można ją robić snadno, bez kompromitowania rzeczy — książkami, dziennikami, broszurami i nic nie będzie nadzwyczajnego, że dyrektor handlu ma te rzeczy u siebie i że żyje z oficerami moskiewskimi. Ta rzecz, to jest ta robota w Paryżu może zanadto rośnie w ogrom postaci, przez słowo — propaganda na Moskalów, ale tu na miejscu, to będzie bardzo prostą i naturalną. Tatarów nie należy brać za mało ważną rzecz — jest ich 40 tysięcy, mają swoją arystokracyę, broń, konie, mają swój pułk jazdy, który teraz przychodzi na zimę do Babadach — mają gotowość do awanturniczej wyprawy. Do nich Turcy nie bardzo zazierają, tworzą doskonałą korporacyę, mogą tedy snadniej przygotować się do wyprawy, jak kozacy, a co więcej, pod ich skrzydłem kozacy mogą się przygotować. Część gotówki pieniężnej trzeba na ich wyprowadzenie, przyjmą resztę w obiecanie z wodzami jak Han-Mirza, jak Ak-Mirza, jak Murad-bej, można się umawiać i Achmet-bej do tego zdolny, dziś poleciłem mu wchodzić w stosunki przyjazne — a jak potrzeba będzie za mojem poleceniem dopiero posuwać rzecz. Tatarzy w wyprawie nam nie zawadzą, a kto wie, czy dziś przy powrocie Said-Mirzy na Sandżak Sylistryjski nam nie pomogą, dlatego pozwalam sobie zwrócić uwagę władzy, że Tatarowie nie są narzędziem do odrzucenia i że z nimi stosunek pożyteczny

i potrzebny. Oto są szczegółowe rozwinięcia o Niżu, które dołożone do moich poprzednich raportów, mniemam, że doda władzy wyraźniejsze objaśnienie o przedstawionych rzeczach po moim powrocie z Niżu i pokaże potrzebę uskutecznienia moich przedstawień i próśb. Ostatni raport Achm.-beja załączam, nie był on dla mnie przyjemnym, bo widzę człowieka, który przy swojej wartości muzułmańskiej, nie rozumie jej, a ciągle się rwie do paszportu europejskiego. Przytem więcej wymaga pieniędzy jak ja mogę mu dać, a nareszcie, że mu roją się projekty jakiejś podróży z Anglikami wcale dla nas niepotrzebnymi, są to resztki tej natury niespokojnej podróżowania po świecie. Pisałem do niego list w tych rzeczach po przyjacielsku do otwartości, by raz przecie z tem skończył, i nie poszlę mu żołdu za I. kwartał 1845 r., aż odebrawszy od niego dostateczną odpowiedź. To nieustalenie w charakterze Achm.-beja pokazuje konieczność przysłania i to jak najprędszego agenta na Niż, który i osadzić się dobrze i obznajomić z wielu rzeczami będzie mógł w przytomności Achm.-beja, a przy tem dodać i temu ostatniemu dobrej otuchy, dobrym przykładem. Achmet-bej był także jednak w możności, albo go wysłać, albo Niż zaniechać a nawet stracić był w perspektywie. Szczęściem, że Achm.-bej nic złego nie zrobił, zrobił dobrego wiele i zrobi, jak się osiedzi i ustali.

26. listop. 1844.

Z Niżu odebrany list komunikuje — ostatni statek odszedł do Galacu i już więcej tego roku chodzić nie będą statki, nie wiem, jak się będzie udawała komunikacya. Czekam na powrót tego ostatniego statku i zaraz posyłam Achmetowi żołd na pierwszy kwartał 1845 roku. Rad bardzo będę, jeśli Achmet dotrzyma słowa i przezimuje na Niżu, tem samem już posada będzie niezaniechana. Jak przyjedzie p. Iliński, wyszlę go lądem natychmiast, by osadzić jak najprędzej fundacyę, zrobioną na monaster. Obiecanych rzeczy oczekuję z upragnieniem — lepsza jest drukarnia, ale jeśli być nie może, to się zgodzimy i na autografiarnię — ona koniecznie jest potrzebna, jakem to w poprzednich raportach wyłożył. Co zaś do pozostania tu lub udania się na Niż, ja decydować nie mogę, tylko prosić o rozkaz władzy, a być gotowym do spełnienia

go. Czuję ja potrzebę bycia tu i potrzebę bycia na Niżu. Władza wie o potrzebach polityki X-cia Pana. ona stanowić najlepiej może. Co do Nekrasowców objaśnienie daję następne, aż do czasu (nieczyt.). Nekrasowce Niżu mieli przywilej niepłacenia haraczu i dani żadnych, ale obowiązek służenia wojskowo, nie uważani byli za (nieczyt.), ale za żołnierzy sułtańskich. Ten haby-szeryf (?) demokratyczno-konstytucyjny niszczył i ich przywilej. Turcy nastawali na jego zniszczenie, Nekrasowcy binewelscy nie wzięli gruntów i zachowali przywilej, choć ciągle kontestowany, ale nie zniszczony czynem. Na Niżu posiadając grunta, musieli w części znacznej uledz skutkom haby-szeryfu Gulhańskiego (?) i ten przywilej został niejako de nomine w tradycyi prawie, jednak Turcy o nim mówią jako o egzystującym.

Teraz zjawiła się w lasach naddunajskich i podeszła aż na Niż banda rozbójników pod dowództwem Silvillego i Bonezu-Oglu. Władze tureckie nie mogły zniszczyć tej bandy, chciałem tedy, by kozacy Nekrasowcy podali do Ajanów żądanie wsiąść na koń i pójść przeciw rozbójnikom, jeśliby to było przyjętym, po odbytej wojaczce żądać przywrócenia przywileju, a w czynie zachować posadę wojskową. Do tego było mi powodem, że w czasie owego spisku w Ibrezłowie Nekrasowcy z Kamienia wsiedli na koń i przyszli do Matczyna na obronę granicy i za to przez rok nie pobierano od nich żadnych opłat, mogli zachować stanowisko wojskowe, ale sami dobrowolnie go opuścili, a teraz żałują. Dobrą by to było rzeczą, by wrócić kozaków Nekrasowskich na tę posadę przywileju wojskowego, do tego powinniśmy dążyć, o ile możemy.

Carogród, 6. stycznia 1845.[1])

P. Ilinski przybył statkiem 4. stycznia nie przywiózł z sobą żadnych rzeczy, żadnych instrukcyi, które były mi obiecane, szczególnie względem rozmów z Tatarami, nie miał żadnych funduszów przy sobie, tak, że musiałem na statku zapłacić dług, wynoszący 140 piastr. tur. W depeszach niemasz żadnego śladu, jakie fundusze były dane p. Ilińskiemu, ani postanowienia, co mam mu

[1]) Rp. 5488. Bibl. Czart. w Krakowie.

płacić miesięcznie — to wszystko stawia mnie w kłopotach, od których można było mnie uwolnić, zwłaszcza w chwili, kiedy jestem tak przebarczony pracą, że nie wiem, jak dalej będę mógł jej podołać. P. Iliński za późno przyjechał, bym go mógł wysłać z Nufim-Effendim, który dnia dzisiejszego wyjeżdża — muszę go zatrzymać przynajmniej dni 10 lub 15 dla poznania go dobrze, rozmówienia się z nim i dania mu potrzebnych informacyi i instrukcyi. Spóźniona pora roku przedstawia wielkie trudności w podróży p. Ilińskiego i w kosztach na tę podróż. Jeśli nie będę mógł wyprawić go morzem na statku handlowym przynajmniej do Warny, będzie musiał jechać lądem przez Adryanopol. Jest to kara, jaką musimy ponieść za spóźnienie w jego wysyłce. Jeśli rzeczy przyszłym statkiem nie przyjdą, nie będzie mógł zabrać ich p. Il. i będą musiały czekać do wiosny do statków parowych. Jeśli zaś onych będziemy oczekiwać, jak i przyjazdu p. Żukowskiego, strwonimy drogi czas i będziemy potem żałowali. Będę się starał, by zrobić wszystko jak najlepiej — ale powinnością moją było zrobić przedstawienie władzy, by nie odpowiadać za złe skutki, od których Boże nas zachowaj, a któreby wynikły nie z mojej winy. Z Niżu odebrałem raport, który tu załączam. Achm. nie rozumie zupełnie interesu handlowego, boi się kompromitacyi, której spotkać nie można. Piszę do niego dziś, naprowadzając go na właściwą drogę. Mniemam, że p. Dubrawczyc zrobi tę rzecz dobrze, bo to jest człowiek wprawny i zdolny do handlu, a przytem sumienny i poczciwy, namawiam tego pana, żeby został przy p. Tomasz., on by potrafił niestałość jego ustalić i prowadzić rzecz, harmonizować z p. Tom. Achm. i Turków. P. Tom. jest ważną figurą, bo ma swój dom i grunt i zawsze okazywał się chętnym słuchać nas, ja mam nadzieję, że ta rzecz się sklei, jeśli p. Falkenhagen dobrze dopilnuje. Ta posada jest potrzebną, to nic skarb nie kosztuje, a można z niej więcej robić, jak ze wszystkich innych. Ona się uregularyzuje pozycyą Achmeda — nam bardzo potrzebnego.

Donoszę mu o przybyciu człowieka do monasteru i polecam, by w dalekie podróże nie zapuszczał się, bo miał intencyę jechać do Ruszczuka — póki niedoczeka się i nie osadzi p. J. Stefan Kalinowski, który oczekiwał pozytywki na Niżu, zaczyna się niecierpliwić i nie wiem, czy go utrzymamy, szkoda emisaryusza, którby dobrze rzecz zrobił i bez kosztu. To są skutki spóźnienia — przez spóźnienie może najwięcej tracimy, bo nie możemy

korzystać ani z pomyślnej chwili, ani z przychylnych i chętnych ludzi. O owej spalonej karczmie poleciłem Achm. dać jaśniejsze tłumaczenie. Jednak jeśli się trafi zręczność, będę się starał uprzedzić portę, jako o rzeczy słyszanej — przygotować ją.

Jak się rozmówię z p. H., wtenczas przedstawię władzy cały plan mojego zarządzenia nim.

Fr. Rawita-Gawroński.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Fryderyka Chopina
pierwsze lata w Paryżu.
(1831—1838).

STUDYUM BIOGRAFICZNE.

(Ciąg dalszy).

To też Chopin lubił Hoffmanna nadzwyczaj, a przez cały czas, gdy mieszkali razem, chętnie w niektórych rzeczach szedł za jego wskazówkami, nie wyjmując wskazań lekarskich, których, jako słabowity i rzadko zdrów zupełnie, często potrzebował. Czy zawsze stosował się do nich, to inne pytanie. Gdy mu n. p. Hoffmann doradzał, żeby się szanował, żeby się wysypiał, żeby prowadził regularniejsze życie, przestrogi te, choć je Chopin uznawał za słuszne, były grochem na ścianę. O tem ich wspólnem mieszkaniu tak opowiada wdowa po ś. p. Aleksandrze Hoffmanie, pani Emilia z Borzęckich: „Mąż mój około r. 1833 przez dwa lata mieszkał razem z Chopinem. W wielkiej żyli z sobą przyjaźni. Mąż mój był nadzwyczaj muzykalny i miał ogromnie dużo artystycznego poczucia. Chopin, mieszkając z nim wspólnie, bardzo często stosował się do jego uwag w rzeczach kompozycyi. Tak n. p., gdy skomponował znaną Etiudę A-moll, która w swej pierwotnej redakcyi odrazu zaczynała się od szalonych

pasażów prawej ręki, mąż mój, choć zachwycony nią, zwrócił mu uwagę, że obok całej wspaniałości motywu i faktury, brak etiudzie tej... początku, że, jego zdaniem, zaczyna się zbyt raptownie, że sprawiałaby daleko silniejszy efekt, gdyby ją poprzedzić kilkoma taktami jakiegoś wstępu. Chopin, który, raz napisawszy rzecz jakąś, już jej nie lubił przerabiać, był zdecydowany, pomimo tej uwagi mego męża, etiudę tę zostawić tak, jak była, choćby dlatego, że mu nie przychodził na myśl żaden lepszy początek; lecz uwaga przyjaciela, uznana przez Chopina za słuszną, tak długo nie dawała mu spokoju, aż raz w nocy przyszedł mu pomysł na cztery takty melancholijnego — przepięknego — wstępu, poprzedzającego namiętne *fortissimo* tej etiudy, wstępu, który odrazu, wstawszy z łóżka, dopisał. Nazajutrz zagrał go memu mężowi, ten zaś, zachwycony nim, aprobował go bez zastrzeżeń. W ten sposób powstały pierwsze cztery takty Etiudy A-moll, przedostatniej w drugiej seryi, nawet robiące wrażenie, jakby były dopisane później, choć są cudownym prologiem do całości, której główny motyw poetycznie streszczają. Wogóle, opowiadał mi mój mąż, że pomysły do kompozycyi najczęściej przychodziły Chopinowi w nocy; wtedy wstawał z łóżka, zasiadał do fortepianu, grał, poczem, nie kładąc się, spisywał wszystko w głównych zarysach. Takie w chwilach gorączkowego podniecenia rzucone na papier szkice opracowywał następnie i cyzelował dopóty, dopóki go względnie przynajmniej nie zadawalniały. Opowiadał mi także mój mąż, jak raz wracał karetą z Chopinem po jednym z jego koncertów w sali Pleyela. Choć miał nadzwyczajne powodzenie, choć wszyscy byli grą jego zachwyceni, sam on był zrozpaczony, albowiem zdawało mu się, że grał gorzej, niż kiedykolwiek. Tak go denerwowało i paraliżowało każde wystąpienie publiczne: poprostu nie był panem swych palców i samego siebie. Dlatego koncert każdy był dla niego męką... Co było dlań również bardzo charakterystycznem, że przed każdym koncertem zawsze wyprawiał awantury z powodu fraka, który mu nigdy nie wydawał się dość zgrabnym i dobrze skrojonym. Na ubiór bowiem zawsze, a cóż dopiero, gdy miał wystąpić na estradzie, niesłychaną zwracał uwagę". [1])

---

[1]) Z rozmów o Chopinie. „Kraj", 1900, Nr. 33. Gdy po dwóch latach Hoffmann wyjechał z Paryża, Chopin przesyłał mu zawsze swoje świeżo wydane utwory, zawsze z serdecznemi, a najczęściej dowcipnemi dedykacyami. W posiadaniu pani Hoffmann znajduje się

A był to okres czasu, w którym coraz częściej zaczął występować na estradzie. W równe trzy miesiące po swym pierwszym koncercie, dn. 20. maja 1832 r. wziął udział w koncercie na ubogich, urządzonym przez księcia de la Moskowa. Koncert ten, uświetniony występami wszystkich najsławniejszych artystów paryskich, odbył się w sali Pleyela. Chopin wykonał pierwszą część swojego Koncertu F-moll, wrażenie jednak, jakie tym razem uczynił na słuchaczach, wypadło dość słabo. Na ogół grał za cicho, ze zbyt „małym tonem“, tak, że zbyt głośno akompaniująca orkiestra zagłuszała go czasami. Zresztą kompozycya sama zbyt mało znana, nie potrafiła przykuć uwagi trochę roztargnionego audytoryum. Recenzent *Revue musicale* tem sobie tłumaczył mniejszy sukces tego wystąpienia Chopina. [1])

Dnia 3. kwietnia 1833 r. uczestniczył Chopin wraz z Lisztem w koncercie braci Herzów, z którymi odegrali na dwóch fortepianach kwartet na ośm rąk. Dnia 15. grudnia tegoż 1833 r. odbył się w sali Konserwatoryum koncert kompozytorski Hillera. Na koncercie tym odegrał Chopin z Lisztem i Hillerem Allegro de Concert z koncertu na trzy fortepiany J. S. Bacha, a wszyscy trzej grali „avec une intelligence de son caractère et une delicatesse parfaite“. Dnia 7. grudnia 1834 na trzecim koncercie Berlioza grał Chopin z orkiestrą *Andante* ze swojego Koncertu, prawdopodobnie z Koncertu F-moll, ale tym razem nie zrobił wielkiego wrażenia na słuchaczach, z czego sobie sam jak najlepiej zdawał sprawę. W parę tygodni później, dn. 25. grudnia w sali Pleyela, na *matinée musicale*, urządzonej staraniem i na korzyść dr. François Stoepel'a, autora uczonych artykułów w *Ga-*

egzemplarz pierwszego wydania Allegro de Concert z własnoręczną dedykacyą Chopina: „Rzemieślnikowi szlązkiemu grajek“. Dr. Hoffmann bawił wtedy na Szlązku, gdzie zajmował się mechaniką w jednym z tamtejszych zakładów przemysłowych.

[1]) Oto odnośny ustęp z tej recenzyi w Revue musicale, odnoszący się do Chopina: „Dans ce concert on a entendu le premier morceau d'un concerto de piano composé par M. Chopin de Varsovie, et executé par l'auteur. Ce Concerto avait été déjà entendu chez M. Pleyel, et il y avait obtenu un succès brillant; il a été moins bien accueilli dans cette circonstance, ce qu'il faut attribuer sans doute à l'instrumentation qui manque de legereté et au peu de son que M. Chopin tire du piano. Il me parait au reste que la musique de ce jeune artiste gagnera beaucoup dans l'opinion publique quand elle sera plus connue.

zette musicale, wykonał Chopin z Lisztem Grand Duo à quatre mains Moschelesa, oraz wielki duet na dwa fortepiany na temat jednej z pieśni Mendelsohna, kompozycyi Liszta. W koncercie tym, oprócz pięknej pani Heinefetter z Wiednia, której Chopin był gorącym wielbicielem, wziął udział także i słynny skrzypek-poeta, Ernst, dla którego gry Chopin miał prawdziwy entuzyazm. O koncercie tym, bardzo świetnym, obszernie się rozpisała *Gazette musicale*, ustęp zaś, dotyczący Chopina i Liszta, brzmiał, jak następuje: „Nadmieniać zbyteczna, że utwór ten (Moschelesa), jedno z arcydzieł kompozytora, zagrany przez dwóch największych pianistów naszej epoki, został wykonany z rzadką doskonałością. Świetna technika, nierozłączna z najwyższą delikatnością i nigdy nie słabnącą werwą, kontrasty porywającego życia i najspokojniejszej pogody, najwdzięczniejszej lekkości i najdostojniejszej powagi, a wreszcie zręczne kojarzenie odcieni, wszystko to nie było niespodzianką u dwóch artystów tej miary i tak subtelnej muzykalności. Entuzyastyczne przyjęcie, z jakiem spotkali się pp. Liszt i Chopin, przekonało ich lepiej, niż tego słowa niniejsze dokazać mogą, jak dalece zachwycili słuchaczów, raz na początku koncertu wykonaniem utworu Moschelesa, jak i za drugim razem, gdy odegrali duet na dwa fortepiany Liszta". Dnia 22. marca 1835 r. odbył się w sali Pleyela, „ostatni" koncert w sezonie, z udziałem najwybitniejszych sił artystycznych paryskich. Obok Hillera, braci Herzów, Osborna, Stamatiego i in. wziął w nim także udział Chopin.[2]) W niecałe dwa tygodnie później, d. 4. kwietnia 1835 r. odbył się

---

[1]) O grze Chopina na tym koncercie tak pisała Gazette musicale: „Pour terminer, M. Chopin, ce compositeur si spirituel et pianiste inimitable dans son genre, a éxecuté un adagio de sa composition. C'est un morceau, qui, dans sa combinaison avec ce qui précède et ce qui suit, doit sans aucun doute, produire un fort bel effet. Il est très bien arrangé et fort riche en nuances delicates; de sorte qu'il présenta des contrastes bien saillants avec les masses colossales de l'Orchestre de M. Berlioz".

[2]) O koncercie tym tak pisał Le Menestrel z d. 22. marca 1835 r.: „Le dernier concert donné dans les salons de M. Pleyel etait très brillant. Des hommes du monde, des gens de lettres et des artistes s'y etaient donné rendez-vous pour entendre nos célébrités musicales, MM. Herz, Chopin, Osborne, Hiller, Reicha, M-mes Camille Lambert et Leroy et M. Stamati, jeune pianiste, qui ne s'etait point encore produit dans nos salons. Cet artiste a executé divers morceaux qui ont enlevé sous les suffrages. On a surtout applaudi des variations de Kalkbrenner sur la cavatine Di tanti palpiti".

w teatrze włoskim, wielki koncert na korzyść biednych emigrantów polskich, koncert, urządzony staraniem Chopina, który też na nim uchodził za gospodarza. Był to jeden z najświetniejszych koncertów w sezonie: orkiestrą dyrygował Habeneck, a jako soliści wystąpili: Nourrit, Falcon, Ernst, Dorus, Pantaleoni, Liszt i Chopin. Orkiestra wykonala dwie uwertury, z Oberona i z Wilhelma Tella, Nourrit z panną Falcon odśpiewali słynny duet z Wilhelma Tella, Nourrit śpiewał szereg pieśni Schuberta, których był tak niezrównanym interpretatorem, Ernst grał na skrzypcach, Liszt na fortepianie. Chopin wystąpił dwukrotnie: raz z Lisztem, z którym odegrał duet na dwa fortepiany Hillera, raz sam, grając z orkiestrą swój Koncert E-moll. Grał, jak zwykle, pięknie, wrażenie jednak, jakie zrobił na trochę roztargnionej publiczności, wypadło słabo, całkiem nie tak, jak tego mógł się spodziewać, a nawet się spodziewał. Gdy skończył, w sali wśród publiczności panował jakiś dziwny chłód, którego rozgrzać nie potrafiły rzęsiste oklaski znawców i przyjaciół Chopina. Szeroka publiczność, wypełniająca widownię, nie dała się zahypnotyzować tym oklaskom, tak, że po chwili ucichło się w sali, co boleśnie dotknęło Fryderyka, bo odczuł to natychmiast. Odrazu poznał, że gra jego, choć grał lepiej może, niż kiedykolwiek, nie porwała audytoryum, owszem, pozostawiła je dość obojętnem. Nie mogło go to nie zaboleć. Nic nie pomogły perswazye przyjaciół, którzy w nim starali się osłabić to przykre wrażenie zawodu, on wiedział, co myśleć o tem. Nie przekonało go też zapewne i obszerne sprawozdanie z tego koncertu, zamieszczone w *Gazette musicale*, w którem, obok komplementów dla Chopina, jako inicyatora tego muzykalnego festynu, o jego występie znalazlo się takie dyplomatyczne osłodzenie gorzkiej pigułki: „Chopina Koncert, tak oryginalny, tak błyskotliwego stylu, tak pełen natchnionych szczegółów, tak świeży w swej melodyjności, osiągnął bardzo wielki sukces. Trudno jest niezmiernie nie być jednostajnym w koncercie fortepianowym, to też wielbiciele Chopina mogli mu tylko być wdzięczni za dostarczoną im przezeń rozkosz, gdy tymczasem artyści podziwiali jego talent, czyniący go zdolnym do skomponowania takiej rzeczy i jednocześnie do odmłodzenia tak przestarzałej formy“. Te wyrażenia o „przestarzałej formie“ i „jednostajności“, której tak trudno uniknąć w szablonie koncertowym, również nie musiały być miłe Chopinowi, tembardziej, że to napisano w *Gazette musicale*, a więc w piśmie Schlesingera, jego nakładcy, co z góry wykluczało wszelkie krytyczne

zastrzeżenia. Na szczęście, w trzy tygodnie później, na wielkim koncercie w Konserwatoryum, urządzonym na benefis Habenecka, Chopin osiągnął wielkie powodzenie. Grał z orkiestrą swojego Poloneza Es-dur, poprzedzonego świeżo napisanem *Andante spianato*, a grał tak cudnie, z taką marzycielską poezyą, że oczarował wszystkich. „Le compositeur rêveur — pisano o tym jego występie — l'élégiaque pianiste, produisit à ce concert un effet délicieux". Wogóle tym razem miał wielkie powodzenie, co mu po niedawnym zawodzie mogło i musiało dodać otuchy. Jednym z najświetniejszych koncertów, zaszczyconych udziałem Chopina, był ostatni pożegnalny koncert Liszta, dany przezeń d. 9. kwietnia 1836 r. w sali Erarda. Na koncercie tym, po niewydanych Etiudach Chopina, wspaniale zagranych przez Liszta, odegrał z nim Chopin, na zakończenie koncertu, jako ostatni numer programu, brawurowego walca Liszta, *Grande Valse à 4 mains*. Rzecz ta — jak opiewa program tego koncertu — *executée par MM. Chopin et Liszt*, była jakby świetnym fajerwerkiem, którym Liszt — przy niezrównanym akompaniamencie Chopina — pożegnał rozentuzyazmowaną publiczność paryską „*pour la dernière fois avant son départ*". Nadmienić wypada, że na wszystkich koncertach, gdzie Chopin grał razem z Lisztem, Liszt zawsze grał w wiolinie, Chopin stale siadał do basów. Tej samej zasady trzymał się i na innych koncertach, gdy nie grał sam, n. p. na koncercie Walentego Alkana d. 5. marca 1838 r., na którym razem z koncertantem, tudzież z Gutmanem i Zimmermanem grał Beethovenowską Symfonię A-dur w układzie na dwa fortepiany i ośm rąk, sporządzonym przez tegoż Alkana.

O wszystkich tych występach Chopina na estradzie koncertowej, w miarę, jak się o nich pojawiały dłuższe lub krótsze sprawozdania w pismach paryskich, rozpisywała się i prasa warszawska, szczególniej popularny *Kuryer Warszawski*, którego redaktor Dmuszewski, wiedząc, jak Warszawa interesuje się Chopinem, raz po raz o nim pomieszczał różne wzmianki i artykuły, przeważnie tłumaczone z pism zagranicznych, francuskich i niemieckich. Oto n. p. jeden z tych „artykułów nadesłanych", podpisany literą T., a wydrukowany w numerze z d. 18. sierpnia 1835 roku:

„Aby okazać, jak niesłusznie powstają u nas przeciw autorom artykułów koncertowych, a przez to odstręczają najlepsze chęci i pozbawiają dziś zasługujących na takowy hołd, przyta-

czamy tu dwa artykuły, wyjęte z gazet francuskich o panu Szopenie (Chopin), rodaku naszym, w których szczodrą ręką w najżywszych przenośniach prawdziwemu talentowi pochwały są oddane. O pierwszym koncercie p. Szopena jedna z nich tak mówi: „Na jednym z wieczorów, na których słyszeliśmy Pana Ernsta, duet skomponowany przez Liszta, a wykonany przez Szopena i autora, okazał całą wielkość źródeł piękności fortepianu, pod ich palcami. Lecz winien jestem oświadczyć i nie obawiam się, aby kto przypisał wpływom przyjaźni zdanie moje, iż uczynili każdy z osobna wrażenie żywsze jeszcze w czasie 2-ch koncertów w konserwatoryum. W pierwszym, Szopen miał szczęśliwy pomysł odegrać *adażjo* ze swego ostatniego koncertu. Ten zachwycający utwór, wykonany między dwiema symfoniami w stylu gwałtownym, utwór, w którym tylko wdzięk pociągający, jest połączony z najgłębszemi i religijnemi myślami, wprowadził słuchaczów w pewną radość spokojną i zachwycającą, której jeszcze na innych koncertach nie doznawano. Całe to dzieło, tak różne od adażjów rozwlekłych i długich, nudzących powszechnie wśród takowych koncertów: tyle nowości połączonej ze świeżą imaginacyą, sprawiły, że po ostatniej nucie, która, jak perła w naczynie złote padła, publiczność, pogrążona w zamyśleniu, wstrzymała na chwilę oklaski i słuchała jeszcze. Tak człowiek przypatrując się stopniowemu ubywaniu światła dziennego, jeszcze stoi odrętwiały w ciemnościach, zawsze wpatrując się w punkt horyzontu, z którego światło znikło". O drugim zaś koncercie inna gazeta tak się wyraża: „Osoby składające grono fortepianistów, zaiste różnią się między sobą: tu przytoczymy mianowicie Pana Szopena, który więcej się ubiega za pięknością myśli, niż za trudnościami fortepianowemi, a którego utwory, równie jak styl jemu właściwy, odznaczają się poprawnością rysunku, który nie ma w sobie nic drobiazgowego, nic ścieśnionego, nic nadto przygotowanego: oryginalnością bez pretensyi, śmiałością bez zboczeń, blaskiem bez błyskotek, energią bez walenia ręką, wyrazem zawsze jasnym, zawsze rozsądnym i żywo chwytającym się duszy. P. Szopen dokazał, że śpiewa na fortepianie, co jest najrzadszą zaletą gry fortepianowej, dokazał szczególnie, że złagodził dźwięki tego instrumentu tak, iż odjął mu nieco to, co ma w sobie przykrego i przerywanego. Gdybym śmiał użyć przenośni nieco pospolitej, ale wielce trafnej, którą opisano czystość jemu właściwą, powiedziałbym z jednym z naszych najdowcipniejszych

artystów, że przez niego wydane nuty są dojrzałe, a nuty większej części jego kolegów są jeszcze zielone. Zresztą rodzaj, w którym Szopę okazuje najwięcej niezaprzeczonej wyższości, jest to wyraz uczuć słodkich, uczuć, które umie wydawać z wdziękiem, naiwnością, wytwornością i świeżością obrazów niezrównanych".

Tymczasem Chopin, choć wogóle w tych latach występował dosyć często, to jednak, z drugiej strony nie lubił tych popisów na estradzie, a szczególniej zraził się do nich, gdy na niektórych koncertach, zwłaszcza na owym w operze włoskiej, przekonał się dowodnie, że jako pianista-wirtuoz, nie posiadał odpowiednich warunków do działania na szerokie masy. Terenem, na którym się czuł najswobodniejszym, na którym z całym polotem mógł rozpuścić skrzydła natchnienia, był salon i małe kółko doborowych znawców, o ile możności przyjaciół, a w każdym razie *ein Kreis edler Gemüthe.* Dobrze go pod tym względem charakteryzuje doskonale wtajemniczony w jego uczucia Stanisław Koźmian: „Cichy i usuwający się z natury, nie lubił tłumnych zgromadzeń i hałaśnych poklasków. Gra też jego nabierała coraz większej subtelności, tego najwytworniejszego cieniowania, które tylko w szczuplejszem miejscu i dobranem towarzystwie można było w najlżejszej zmianie pochwycić. Ustąpienie to ze sceny i z widowni powszednich popisów uczyniło go tembardziej przedmiotem poszukiwanym dla prawdziwych znawców i wyłączniejszego towarzystwa. Stało się to cenionym przywilejem, kiedy gdzie grać zechciał". Swoją drogą lubił grać w prywatnych salonach, nawet na większych zgromadzeniach. Wtedy nie miał nerwowej tremy, wtedy był sobą, a więc zupełnym panem instrumentu; wtedy też nie potrzebował się lękać, że nie zrobi wrażenia na słuchaczach, których subtelności i znawstwa był pewnym, bo siadając do fortepianu, z góry wiedział, że potrafi przemówić do ich dusz wrażliwych, że to jest audytoryum, które zrozumie jego muzykę. Bardzo trafnie w tej kwestyi pisze o nim Liszt: „Chopin wiedział to dobrze, że nie jemu dane było działać na tłumy, które w tym razie porównaćby można do wielkiej ołowianej toni, przy lada ogniu topliwej, a niemniej trudnej do wmuszenia w formę, którąby jej myśl i uczucie mistrza narzucić chciała. Wiedział on, że ocenionym stosownie mógł być tylko w tych zebraniach, na nieszczęście nazbyt szczupłych, ale za to złożonych z ludzi, któ-

rym na jego skinienie, wraz z nim, wchodzić się godziło w ową świątynię, zdobną w drzwi z kości słoniowej, wspartą na słupach z dyamentu, nakrytą jednym wielkim kryształem grającym w światłach na tle mgły szarawej, jak te opale meksykańskie, to zda się zgasłe, to znów płonące, kędy to rzecz każda jest cudowiskiem, niespodzianką szaloną, snem na jawie, w co wszystko Chopin uciekać lubił, w czem wszystkiem rad pozostawał. Ztąd nie dziwnego, że mi nareszcie powiedział raz w zaufaniu: „Nie jestem ja wcale do dawania koncertów. Wszelkie wystąpienie publiczne z nóg mię ścina. Duszą mnie te zbiorowe oddechy, paraliżują te ciekawe spojrzenia, oniemiają te twarze całkiem mi obce. Ty co innego: tyś na to stworzony, bo choćbyś nawet nie wzruszył publiczności, to jeszcze masz ją czem w kark wyrżnąć“.

Za to lubił koncerty cudze, zwłaszcza, jeśli występował artysta, którego usłyszenia szczególniej był ciekawym. Do takich w r. 1832 należał w pierwszym rzędzie Field, z którym go porównywano tak często. To też, gdy się dowiedział od Schlesingera, że Field zjeżdża na zimę do Paryża,[1]) z niecierpliwością wyczekiwał jego przyjazdu i koncertów. Doczekał się ich już w grudniu 1832 r. Field dał dwa koncerty, pierwszy z wielkiem powodzeniem, z salą przepełnioną, drugi z mniejszem, z salą nie pełną. Krytyki miał entuzyastyczne, ale pomimo tego *vox populi* utrzymywał jednogłośnie, że nie był to już ten Field, co dawniej, choć właściwie miało się raczej przeciwnie: Field się nie zmienił, lecz zmieniły się wymagania, zmienił się styl gry fortepianowej, do czego w znacznej mierze przyczynił się właśnie Chopin. Nie przeszkadzało mu to jednak, że bardzo gorąco pragnął nie tylko poznać rodzaj gry Fielda, ale i poznać się z nim osobiście. Jakoż poznał się rzeczywiście, a Field okazał się bardzo uprzejmym dla Chopina, z wielkiem „uznaniem“ wyrażając się zarówno o jego grze, jak i o kompozycyach. Przekonany o szczerości tych pochwał ze strony twórcy Nokturnów, których od dziecka był gorącym wielbicielem — co nawet nie pozostało bez wpływu na jego pierwsze Nokturny — Chopin szeroko się o tem „uznaniu“ Fielda rozpisał w liście do rodziny,[2]) nie przypuszczał bowiem, by Field

---

[1]) W liście do Hillera z d. 2. sierpnia 1832 r. pisze Chopin: „Maurice (Schlesinger) est revenu de Londres... nous a assuré que Moscheles et Field arriveront à Paris pour l'hiver...“

[2]) W liście z września r. 1832 pisze do syna Mikołaj Chopin: „L'étonnement de Meyerbeer a du te faire plaisir, ainsi que l'appro-

w oczy mówił mu co innego, a co innego za oczy: nie podejrzewał zwłaszcza, by po słowach pełnych „uznania“, mówionych do niego, w jego nieobecności mógł się wyrazić o nim: „un talent de chambre de malade“. Nawiasem mówiąc, zdanie to Fielda, kolportowane z ust do ust, w niektórych kołach muzycznych, szczególniej w Niemczech, bardzo zaszkodziło Chopinowi. Kto wie, czy nie było wypowiedziane w tym celu właśnie, bo sława Chopina, jego „znaczne imię“, jako pianisty i kompozytora i jako reformatora muzyki fortepianowej, mogły nie podobać się Fieldowi, którego gwiazda już była przeszła swój zenit. Dlatego nic nie miał przeciwko temu, jeśli jego zjadliwe określenie muzyki chopinowskiej, jako czegoś szpitalno-chorobliwego, mogło przyczynić się do niejakiego przyćmienia blasku wschodzącej gwiazdy Chopina. Cokolwiekbądź, pewnem jest zupełnie, że Field po wyjeździe z Paryża, gdziekolwiek przyjechał z koncertami, które się cieszyły coraz mniejszem powodzeniem, wszędzie psuł opinię Chopinowi, najniepochlebniej wyrażając się o jego kompozycyach. A Chopin? Chopin, cokolwiek mógł myśleć o spasłej i ociężałej figurze Fielda, jako o człowieku, bardzo się rozczarował nim, jako pianistą. Uważał poprostu, że Field gra, nie jak mistrz, ale jak uczeń, i to wcale nie dobry uczeń. Poprostu był zdania, że mało który z pianistów gra gorzej od Fielda. Słowem, nie podobał mu się wcale, z czem się też nie krył w rozmowach z artystami, lub w listach do przyjaciół. Bardzo wiele światła na te wzajemne o sobie opinie Chopina i Fielda rzuca list Edwarda Wolffa z Wiednia do Józefa Nowakowskiego w Warszawie, pisany d. 8. sierpnia 1835 r. pod wrażeniem świeżo zawartej znajomości z Fieldem: „Chopin tutaj (w Wiedniu) bardzo już znany i lubiony. N. B. Field jest tutaj, poznanie (z nim moje) było komiczne. Byłem u Graffa (słynnego fabrykanta fortepianów), jak zwykle i grałem mój koncert. W tem wchodzi Field. Ja zaraz domyśliłem się, że to on jest, bo mi Graff powiedział, że go co chwila oczekuje. Ma się rozumieć, żem zaraz wstał, ale on prosił, żeby mu grać. Nie chciałem grać i wyekskuzowałem się, bo chciałem usłyszeć jego najpierwej. On też zaczął grać. C h o p i n i t y m a c i e r a c y ę, ż e g r a j a k j a k i p o c z ą t k u j ą c y: żadnej biegłości, żadnej elegancyi, i żadnych trudności nie jest wstanie wygrać, jednem słowem, bardzo nędzny gracz. Ale i on ma swoje zalety: równa

---

b a t i o n d e F i e l d q u e t u d é s i r a i s s i a r d e m m e n t d e c o n n a i t r e“.

niemiecka gra. wolna: ein. zwei. drei: tryle wolne. ale zawsze czterema palcami. Grał mi *b* koncert. grał czysto, pewno i równo. Oto masz Fielda i nie dziw, że się nigdzie nie podobał. Bardzo wymyśla na Paryż i Włochy. Chopina, Kalkbrennera. Moschelesa. a osobliwie Hummla chwali. a Herza, Liszta ogromnie gani. Jestem u niego dzisiaj na obiedzie. Bardzo grzeczny i poczciwy człowiek. Daje dzisiaj koncert w teatrze. Nakoniec prosił mię, żebym mu co zagrał. Trochem się ośmielił. Wypaliłem mu Allegro moje i Rondo, którem tutaj zrobił i skończył. Bardzo mu się podobało. Nakoniec zagrałem mu Etiudy Chopina i moje Mazury. Powiedział mi po francusku: „Ta młodzież to prawdziwie dyabelska jest!“ [1])

F. Hoesick.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) Autografu tego listu udzielił mi do moich Preludyów o Chopinie ś. p. Adam Münchheimer. który go miał od samego Nowakowskiego.

Szkoły i wychowanie polskie na emigracyi ekonomicznej.

(Ciąg dalszy).

W rzędzie wyzszych zakładów żeńskich wyróżnia się Akademia Polskich Sióstr szkolnych. Dla poparcia tych Sióstr zawiązało się w r. 1902 osobne Towarzystwo, którego głównym celem było wystawienie klasztoru, połączonego z wyższym instytutem żeńskim. Zakład ten pod nazwą Akademii został otwarty r. 1903, a zadaniem jego jest dostarczanie wyższego wykształcenia nietylko przyszłym nauczycielkom zakonnym, lecz także i panienkom świeckim.

W Milwaukee ks. Grusza założył rodzaj szkoły przemysłowej polskiej, zakład, wybiegający programem naukowym poza program szkół parafialnych.

Właściwe szkoły średnie męskie Polonia północno-amerykańska zorganizowała dotąd tylko dwie. Obie przytuliły się do instytucyi czysto kościelnych, i moment ten świadczy wymownie, że głównym ich celem jest przysporzenie Kościołowi kandydatów do stanu duchownego. Trzeba jednak już tu nadmienić, że z obu zakładów korzysta także młodzież, która odbywa studya z zamiarem pozostania w stanie świeckim. Jednym z tych zakładów jest Kolegium, istniejące przy seminaryum duchownem polskiem w De-

troit, Mich., założone przez ks. Józefa Dąbrowskiego, a drugim Kolegium św. Stanisława Kostki w Chicago, utrzymywane przez OO. Zmartwychwstańców.

Nazwisko ks. Dąbrowskiego zapisało się w dziejach szkolnictwa polskiego w Ameryce północnej złotemi literami. Jedną główną jego zasługą jest założenie domu macierzystego Sióstr Felicyanek w Detroit a drugą równie doniosłą utworzenie pierwszego Polskiego Seminaryum duchownego również w Detroit.

Myśl założenia Seminaryum duchownego polskiego na ziemi amerykańskiej podał pierwszy ks. kardynał Ledóchowski. Od razu też przystąpiono do działania. Stolica apostolska dała zezwolenie na zbieranie składek, a kardynał Ledóchowski powierzył tę misyę franciszkaninowi ks. Leopoldowi Moczygebie. Ks. Moczygęba, zebrawszy około 8.000 dolarów, ustąpił z powodu podeszłego wieku i przekazał dalszą pracę ks. Dąbrowskiemu, proboszczowi w Polonii, Wis. Ks. Dąbrowski, przeniósłszy się z zajmowanego dotąd probostwa na kapelanię u Felicyanek w Detroit, przystąpił od razu do zrealizowania wielkiego projektu. W r. 1884 rozpoczęto budowę gmachów seminaryjnych w Detroit, a już w grudniu 1887 otwarto zakład.

Zakład składa się z dwóch kursów: kolegialnego czyli gimnazyalnego o pięciu klasach i tyluż latach studyów i z kursu filozoficzno-teologicznego również pięcioletniego, z czego na filozofię przypadają dwa a na teologię trzy lata. Zakład połączony jest z internatem, w którym uczniowie płacą pewną kwotę za naukę i utrzymanie, obecnie po 150 dolarów rocznie. W części świeckiej zakładu uczą się także eksterniści.

Instytucya rozwijała się pomyślnie. Na początek było 6 uczniów, a już z końcem roku szkolnego 26, w dziesięć lat później (1897/8) 131 uczniów, a po dziesięciu dalszych latach w kolegium i seminaryum ogółem 300 uczniów.

Zakład utrzymywał i utrzymuje się z opłat uczniów oraz ze składek i ofiar dobrowolnych, stanowiących dziś minimalną część dochodów.

Wykłady odbywają się w trzech językach. Po angielsku wykładane są języki angielski, niemiecki i francuski oraz geografia i matematyka we wyższych klasach, reszta przedmiotów po polsku. Na kursach teologicznych obowiązuje język wykładowy łaciński.

W r, 1901 miała instytucya 11 profesorów, a mianowicie sześciu duchownych i pięciu świeckich; z tych było trzech narodowości polskiej, dwóch angielskiej. Ostatnimi czasy uczą w Kole-

gium przeważnie sami profesorowie Polacy. Na czele zakładu stoi obecnie jako rektor ks. Witołd Buhaczkowski.

Do czerwca r. 1901 wyświęciło się w Seminaryum na księży 32 alumnów, oprócz tego około 50 studentów poszło z Seminaryum polskiego do innych zakładów i tam otrzymało święcenia.

Prócz tego wychowało się w zakładzie wiele młodzieży, która przeszła do zawodów świeckich na adwokatów, doktorów, urzędników itd.

Kolegium-seminaryum w Detroit ma w dziejach Polonii północno-amerykańskiej doniosłe znaczenie.

Twórca tej pożytecznej instytucyi ks. Dąbrowski umarł w r. 1903.

Zasłużony ten kapłan urodził się w Żołtańcach w Królestwie Polskiem w r. 1842.

Ukończywszy studya gimnazyalne w Lublinie, uczył się w Uniwersytecie warszawskim nauk przyrodniczych i matematyki. Przerwał studya, aby wziąć udział w powstaniu w r. 1863, i bił się w rozmaitych utarczkach pod Mierosławskim. W r. 1864 uszedł do Drezna, a ztamtąd do Szwajcaryi, gdzie poświęcał się studyom matematyczno-technicznym. Po paru latach tułaczki, karmiąc się często „chlebem płaczu i kielichem łez", poczuł powołanie do stanu duchownego, podążył do Rzymu, gdzie po odbyciu studyów teologicznych w Kolegium polskiem Zmartwychwstańców pod kierunkiem ks. Semenenki otrzymał święcenia kapłańskie w r. 1869. W roku następnym był już w Ameryce.

Pułkownik Zygmunt Miłkowski, który osobiście zetknął się z ks. Dąbrowskim, założycielem Seminaryum polskiego, i oglądał jego dzieło, mówi o osobie kapłana i o jego działalności z wielkiem szczerem uznaniem.

Porównał go z ks. Piotrem Baudouinem, bo bez grosza przy duszy, gorliwie się krzątając, a na przykrości i zniewagi narażając, dokonał jak tamten dzieła wielkiego: założył pod nazwą Seminaryum polskiego wyższą szkołę dla młodzieży polskiej oraz klasztor Felicyanek, przytulisko dla dziewczynek osieroconych, będące zarazem szkołą dla panienek starszych. Wszystko to zrobił z niczego, za grosz wyproszony, i utrzymuje, nie posiadając funduszu, zapewniającego jutro. Miłkowski dodaje, że przejmowała go głęboka cześć dla tego prawdziwego cudotwórcy.

9. Ks. Dąbrowski zaraz po swoim przyjeździe do Ameryki zachęcał OO. Zmartwychwstańców do założenia wyższej szkoły polskiej, kolegium czy seminaryum. Ale OO. Zmartwychwstańcy

nie odważyli się wtedy (1870 r.) podjąć tej bądź co bądź śmiałej myśli. Uczynili to dopiero po 20 latach.

W r. 1890 otworzyli początkowo w szkole św. Stanisława Kostki 1 klasę „Wyższej Szkoły polskiej" i zaczęli w niej uczyć łaciny. Zapisało się na początek 12 uczniów. Nie wiele więcej przybyło w dwu następnych latach. Przez te trzy lata rektorem „Wyższej Szkoły polskiej" był ks. Józef Halter. C. R. Nie było to jeszcze Kolegium, była to dopiero próba, ale próba niefortunna. Po tej trzechletniej niepomyślnej próbie postanowiono zwinąć zaledwie założoną szkołę, ale nie uczyniono tego wobec silnej szerokiej akcyi za utrzymaniem tak bardzo potrzebnej szkoły średniej.

Na czele zakładu stanął ks. Jan Piechowski C. R. (1892 do 1895), który dokładał wszelkich starań, aby rozpoczęte dzieło utrzymać i rozwinąć. I od tej chwili t. j. od r. 1893 ustalił się byt instytucyi, wyższego zakładu naukowego polskiego w Chicago, który przybrał nazwę: „Kolegium św. Stanisława Kostki" i dotąd rozwija się coraz pomyślniej w duchu katolickim i polskim.

W obecnym stanie swoim ma instytucya ta rozmaite części składowe.

Ma Kurs dwuletni przygotowawczy dla młodzieży, nieprzysposobionej należycie do studyów na kursach kolegialnych czyli w wyższej szkole.

Ma dalej Kurs pierwotnie trzechletni, obecnie dwuletni handlowy dla młodzieży, pragnącej się poświęcić zawodowi kupieckiemu.

Trzecią najgłówniejszą częścią zakładu jest Szkoła wyższa (high school), zwana także Akademią, której kurs rozkłada się na cztery lata i przygotowuje do pewnych specyalnych studyów w Uniwersytecie, jak medycyna, dentystyka, farmacya i t. p.

Nareszcie istnieje w zakładzie jako czwarta jego część składowa Kurs dwuletni filozofii, którego zadaniem jest przygotowanie do studyów teologicznych w seminaryach, a zatem uzupełnienie i zaokrąglenie nauki, udzielanej w szkole wyższej.

Kurs przygotowawczy dzieli się na dwa oddziały: jeden dla młodszych i drugi dla starszych. Nauka trwa w każdym oddziale cały rok. W program nauki Kursu przygotowawczego wchodzi: Kaligrafia, język angielski i polski, arytmetyka, historya i geo-

grafia, nauki przyrodnicze i fizyologia, religia, śpiew i gimnastyka oraz nareszcie, ale tylko w oddziale drugim początki łaciny.

Na program naukowy Kursu komercyalnego składa się: język angielski i polski, katechizm, historya biblijna i kościelna, arytmetyka i algebra, kaligrafia, pismo maszynowe i buchalterya, geografia i historya powszechna i polska, z szczególnem uwzględnieniem gografii i historyi handlowej oraz urządzeń cywilnych Stanów zjednoczonych, muzyka i gimnastyka.

Na kursach akademickich czyli w czterech klasach Wyższej szkoły jest przeprowadzona częściowa możność wyboru pomiędzy klasycznym a umiejętnościowo-praktycznym kierunkiem.

Na program naukowy składają się przedmioty wspólne i takie, pomiędzy którymi uczeń może dowolnie wybierać. Wybierać można pomiędzy greką a językiem francuskim, pomiędzy językiem niemieckim a naukami ścisłemi, a w szczególności matematycznemi, pomiędzy śpiewem a gimnastyką.

Do wspólnych przedmiotów, uprawianych przez całe cztery lata kursu akademickiego, należy język angielski i polski, religia i łacina. Prócz tego wchodzą w skład programu nauki matematyczne a mianowicie: arytmetyka, algebra, geometrya i trygonometrya oraz nauki przyrodnicze: botanika, fizyografia, fizyka, chemia i biologia a nareszcie nauki historyczne, a w szczególności biblia, historya kościelna, historya powszechna z mitologią i urządzenia cywilne (civil government).

Kurs filozoficzny jest właściwie dalszym ciągiem i uzupełnieniem kursów akademickich. I tu możliwy jest wybór pomiędzy kierunkiem klasycznym a umiejętnościowo-praktycznym. W programie naukowym Kursu filozoficznego, rozłożonym na dwa lata, jest łacina i język polski, greka i język francuski (na życzenie), język niemiecki (na życzenie) i religia, filozofia i ekonomia polityczna, język angielski (na życzenie) i geologia oraz astronomia, i nareszcie według wyboru matematyka i historya nowożytna.

Organizacya Kolegium chicagpwskiego nie jest podobna do organizacyi naszych gimnazyów. Przedewszystkiem niema tam dwustopniowości, jaką mamy w naszych gimnazyach galicyjskich. Nie można też zakładu tego porównywać z zakładami galicyjskimi.

Kolegium jest w organizacyi swej podobne do analogicznych zakładów amerykańskich i dostosowuje się do miejscowych warunków.

Szkoły publiczne średnie w Ameryce (high schools) mają kursa czteroletnie, katolickie kolegia amerykańskie liczą pięć kur-

sów. Kolegium OO. Zmartwychwstańców poszło śladem kolegiów katolickich, bo liczy razem z drugim kursem przygotowawczym, na którym się bierze już łacina, także pięć kursów rocznych, do których jeszcze dodano dla zaokrąglenia dwa kursy roczne filozoficzne. Kurs kupiecki stoi poza organizacyą właściwego kolegium.

Zakład posługuje się dwoma językami wykładowymi. W polskim języku wykłada się religia oraz wszystkie specyficznie polskie przedmioty: język i literatura polska oraz historya Polski. Wszystkie inne przedmioty wykładane są po angielsku.

Zakład ma osobne laboratoryum fizykalne i chemiczne. O gabinetach do nauk przyrodniczych niema w sprawozdaniach wzmianki.

Do nauki przedmiotów, wykładanych po polsku, używane są te same książki, co w szkołach średnich galicyjskich, a więc do nauki religii Historya biblijna ks. T. Dąbrowskiego, ks. Jougana Historya kościelna i tegoż autora Liturgika oraz Etyka ks. W. Szczeklika.

Do nauki języka i literatury polskiej służy Gramatyka A. Małeckiego, Wypisy Próchnickiego, Wypisy Czubba i Zawilińskiego oraz Wypisy Tarnowskiego i Wójcika.

Przyjęcie do zakładu zależne jest od ściśle określonego stopnia przygotowania.

Na Kurs przygotowawczy może być przyjęty każdy uczeń, który ukończył z pomyślnym skutkiem pięć klas szkoły parafialnej polskiej.

Uczniowie, chcący wstąpić do klasy pierwszej Kolegium, muszą przedłożyć świadectwo, że ukończyli klasę szóstą w szkole parafiylnej a prócz tego poddać się egzaminowi z religii, z języka polskiego i angielskiego oraz z rachunków.

Rok szkolny rozpoczyna się z początkiem września a kończy się pod koniec czerwca.

Na czele zakładu całego stoi rektor. Po ks. Piechowskim objął rektorat ks. Jan Kruszyński C. R. (1895—1905), a po nim ks. Jan Kosiński C. R., który nim dotąd kieruje. W skład obecnego zarządu wchodzi nadto jako wice-rektor ks. Władysław Zapała C. R., i jako dyscyplinaryusz ks. Jan Sobieszczyk C. R.

Przy końcu roku szkolnego 1906—1907 grono profesorów liczyło 14 członków, a mianowicie sześciu księży Zmartwychwstańców i ośmiu profesorów świeckich w większej części Anglików.

Kolegium ma od r. 1900 prawo wydawania świadectw ukończenia zakładu, które otwierają wychowańcom wstęp do uniwer-

sytetów (the degree of Bacholor of Arts-A. B.). Uczniowie, którzy ukończyli pomyślnie Kurs komercyalny, otrzymują: the degree of Master of Accounts.

Przy zakładzie istnieje internat, do którego może wstąpić każdy przyjęty do szkoły uczeń. Uczniowie, zamieszkali w internacie, mają prócz opieki domowej mieszkanie, wikt, pranie, nadzór i pomoc ze strony profesorów w naukach.

Wstępujący do internatu płacą obecnie rocznie 200 dolarów za mieszkanie i utrzymanie, a prócz tego uiszczają osobne opłaty uboczne. Opłata roczna za pomoc naukową i opiekę wynosi rocznie 40 dol., na bibliotekę 1 dol., za naukę muzyki instrumentalnej 30 dol., za naukę stenografii 20 dol., za wyuczenie pisma maszynowego 10 dol., za pokój osobny (private room) 30 dol. i inne.

Książki szkolne kupuje sobie każdy uczeń za własne pieniądze.

Eksterniści płacą obecnie za naukę, pobieraną w zakładzie, 4 dolary miesięcznie.

Internistów obowiązują osobne zwięźle zebrane „Przepisy domowe“.

Na dany znak wstają starsi uczniowie w lecie o godzinie $5^1/_2$ z rana, a młodsi o godzinie 6, zimową porą zaś o pół godziny później. Do spoczynku kładą się wszyscy o godzinie 9-tej wieczorem.

Nauka jest dwurazowa od $8^1/_2$ do $11^3/_4$ przed południem i od $1^1/_2$ do $3^3/_4$ po południu. Dwa razy w tygodniu odbywają się wspólne wycieczki.

Życie młodzieży w zakładzie jest urozmaicone. Uczniowie mają własną Bibliotekę, złożoną z najcelniejszych dzieł literatury polskiej i angielskiej, a obok tego Czytelnię, w której są dzienniki polskie i angielskie.

Poza tem wiążą się w najrozmaitsze organizacye.

Celem gruntowniejszego wyćwiczenia się w języku polskim zawiązało się „Kółko literackie imienia Henryka Sienkiewicza“. Zadaniem tego Kółka jest szerzenie ducha narodowego, budzenie zamiłowania do dziejów ojczystych oraz pielęgnowanie mowy ojczystej. Zebrania i posiedzenia tego Kółka odbywają się co drugą sobotę po południu. Programem zebrań są debaty, deklamacye, dyalogi, odczyty na rozmaite tematy, między innemi życiorysy sławnych polskich mężów i poetów. W r. 1906/7 Kółko liczyło 60 członków. Kółko ma swój własny zarząd, wybie-

rany co pół roku, a złożony z prezesa, wiceprezesa, sekretarza, dwu marszałków, bibliotekarza i redaktora.

Kółko to wydaje pisemko p. t. „Dwutygodnik kolegialny“.

Obok tego zorganizowało się w r. szk. 1904—5 „Kółko dramatyczne im. Aleksandra hr. Fredry“, które ma na celu gruntowniejsze poznanie najcelniejszych utworów naszej literatury dramatycznej. Posiedzenia odbywały się co trzy tygodnie, wygłaszano na nich z pamięci partye z niektórych dramatów i odbywano próby do przedstawień scenicznych już to prywatnych, już to publicznych. W zakładzie istnieje w gmachu kolegialnym od grudnia r. 1904 osobna sala teatralna. W r. 1906/7 liczyło to Kółko 38 członków, a między nimi sześciu członków własnego zarządu.

Dla celów kształcenia się w języku i w literaturze angielskiej zawiązało sią w r. 1896 osobne „Kółko angielskie“ (St. Stanislaus' Literary and debating society) także z osobnym własnym zarządem.

Nad kółkami czuwają jako moderatowie członkowie grona nauczycielskiego.

Zakład utrzymuje nadto dobrze zorganizowaną i wyćwiczoną należycie bandę i orkiestrę uczniowską, któremi kierują dwaj profesorowie zakładu. Zadaniem jednej i drugiej jest naturalne budzenie zamiłowania do muzyki i uprzyjemnianie chwil wolnych od nauki. Zakład kładzie nacisk na wykształcenie muzykalne i udziela nauki muzyki instrumentalnej przez fachowych profesorów.

Obok istnieją rozmaite kluby uczniowskie, jako to: „Klub śpiewaków“, „Stowarzyszenie bilardowe“, liczące siedmiu członków i mające własny zarząd, rozmaite kluby dla gimnastyki i atletyki, jak: S. S. Athletic Club, Foot-Ball Team, Junior Foot-Ball Team, Base-Ball Team, jeden starszych, drugi młodszych, Hand-Ball League. Na wychowanie fizyczne zwraca zakład baczną uwagę.

Byli uczniowie zakładu zorganizowali w r. 1901 w czerwcu: „Stowarzyszenie abituryentów Kolegium św. Stanisława Kostki“. Członkowie zjeżdżają się na doroczne posiedzenia w czasie wakacyi. Stowarzyszenie liczyło z końcem roku szkolnego 1906—7 członków 62. Celem stowarzyszenia jest odświeżenie dawniejszych miłych wspomnień z ławy szkolnej i nawiązaniem nowych stosunków itd. Na czele stowarzyszenia stoi

zarząd, złożony z sześciu członków, z komitetem wykonawczym i z komitetem redakcyjnym.

Stopień bakałarzy czyli świadectwo ukończenia studyów w kolegium otrzymało w r. 1901: 9, 1902: 6, 1903: 7, 1904: 2, 1905: 13, 1906: 9.

W r. szkol. 1904—5 liczył zakład w klasach wstępnych i kolegialnych 163 uczniów, w obu następnych latach po 166.

Zakład wychowuje co prawda przedewszystkiem kandydatów Zgromadzenia Zmartwychwstańców, ale już z tego powodu jest dla Polonii północno-amerykańskiej ogromny pożytek, bo ojcowie ci pracują gorliwie dla dobra Kościoła i dla dobra szkoły polskiej, dwóch najgłówniejszych ostoi narodowości polskiej w Ameryce. A powtóre ze zakładu korzysta wiele młodzieży, która przechodzi do zawodów świeckich. Zakład Zmartwychwstańców pomnaża zatem w Polonii północno-amerykańskiej szereg ludzi, mających wyższe wykształcenie. Krótko mowiąc, kolegium chicagowskie jest i bardzo pożyteczne i bardzo potrzebne.

Zgromadzeniu Zmartwychwstańców trzeba poczytać za walną zasługę, że wkłada w nie trud znaczny i ponosi koszta niemałe.

Rząd nie udziela pomocy materyalnej szkole Zmartwychwstańców, jak wogóle żadnemu zakładowi. Księża Zmartwychwstancy utrzymują zakład własnemi staraniami. Wznieśli gmach szkolny kosztem 130.000 dolarów. Utrzymanie roczne zakładu dochodzi do 30 tysięcy dolarów. Dochody mają z niewielkich opłat szkolnych i z internistów, których w tej chwili mają przeszło 30. Na ofiarność publiczną mogą liczyć niewiele. Długo ratowali się tem, że składali w kolegium dochody, uzyskane z zarządu parafiami. Obecnie od kilku lat stanął zakład finansowo lepiej, bo ma w połowie profesorów z własnego Zgromadzenia, którym nie płaci pensyi a odbiera poboczne dochody.

10. Wobec słabej frekwencyi młodzieży polskiej w szkołach średnich liczba słuchaczów narodowości polskiej w uniwersytetach i szkołach wyższych technicznych musi być także nieznaczną.

Daty statystyczne trudno zebrać. Według relacyi listownych było w półroczu zimowem r. 1907/8 w uniwersytecie w Ithaca N. Y. czterech Polaków (studentów i studentek), w Chicago dwudziestu kilku, w New-York i okolicy 6—8, w Baltimore w szkole technicznej niższej byłs spora grupka Polaków około 50.

Jednostki polskie lub co najwyżej kilka można znaleźć niemal w wszystkich zakładach wyższych politechnicznych lub uniwersytetach Ameryki północnej, jak w Ann Arbor Mich: w Buf-

falo, N. Y.; w Columbii, Mo; w Philadelphii, Pa; w Champaign, Ill; New Haven. Conn; w Missouri; w Cleveland i innych.

Młodzież polska północno-amerykańska zaczęła się garnąć do amerykańskich kolegiów, uniwersytetów i wyższych szkół technicznych dopiero od jakich lat pięciu. Wielkie zasługi położył na tem polu Związek narodowy polski, który od lat mniej więcej ośmiu zaczął wydawać dzieciom swych członków, pragnącym wyższej nauki, stypendya zwykle na dwa lata w sumie do 100, 125 dolarów, czasami i wyższe. W r. 1908 Związek zamienił stypendya na pożyczki bezprocentowe i udzielił takich pożyczek nowych razem 18.

Można mieć uzasadnioną nadzieję, że Polonia północno-amerykańska przy swej wytrwałości, ruchliwości i ofiarności doprowadzi i sprawę wyższej edukacyi do pożądanego stanu w niedalekiej przyszłości.

Cały obraz oświaty szkolnej północno-amerykańskiej w Stanach zjednoczonych mimo niejednego ciemnego na nim punktu nie robi przygnębiającego wrażenia.

11. W Ameryce północnej są Polacy i poza Stanami zjednoczonemi, w Kanadzie. Jest ich tam przeszło 50 tysięcy, zamieszkałych miejscami w większej liczbie. Miejscowość Brandon ma ich około 5.000. O stosunkach szkolnych tamtejszej Polonii nie udało mi się niestety zdobyć żadnych pozytywnych wiadomości. Z pism polskich północno-amerykańskich doszły nas na wiosnę r. 1908 wiadomości, że koloniści ruscy w Kanadzie za przykładem Ukraińców w Galicyi zajęli wobec kolonistów polskich wrogie stanowisko, że między innemi dążą do zdobycia i zruszczenia tamtejszych szkół polskich.

II.

Z dziejów szkolnictwa polskiego w Ameryce południowej.

TREŚĆ: 1. Rozmieszczenie emigrantów polskich w Brazylii. — Stan oświaty szkolnej w pierwszej dobie emigracyi. — Era gorączki brazylijskiej. — Początki szkolnictwa polskiego w Brazylii. — Pierwszy elementarz polsko-brazylijski. — Macierz polska w Brazylii. — Walka partyi w dziedzinie szkolnictwa. — Towarzystwo szkoły ludowej w Brazylii. — Obrona narodowości polskiej. — Zabiegi jednostek. — Pomoc z kraju macierzystego.

2. Trudności przy organizowaniu szkolnictwa. — Rozprószenie osad. — Lekceważenie oświaty szkolnej. — Liche płace nauczycielskie.

3. Podręczniki: warszawskie, galicyjskie, różne brazylijskie.

4. Z statystyki szkół w Paranie. — Szkoły w Thomas Coelho. — Szkoła w Rio Vermelho.

5. Stan oświaty szkolnej. — Udział Polaków w edukacyi wyższej.

6. Polacy w Argentynie.

1. Emigracya polska, zdążająca do Ameryki południowej, kierowała się głównie do Stanów brazylijskich i do Argentyny.

Brazylia, kraj nieomal tak wielki jak Europa, ma zaludnienie bardzo rzadkie, liczy zaledwie 19 milionów mieszkańców.

Z 20 stanów Brazylii do kolonizacyi nadają się tylko stany południowe, gdzie klimat jest łagodniejszy, znośny dla europejczyka.

Liczba Polaków osiadłych w Brazylii wynosi obecnie przeszło 100.000. Rozrzuceni są po miastach, po plantacyach i po koloniach.

Główna fala wychodźctwa polskiego popłynęła do stanu Parana, mniejsze fale do stanów São Paulo, St. Catharina, Rio Grande de Sul, Minos Geraes, Espiritu Santo i Rio de Janeiro.

Pierwsi imigranci przyszli do Brazylii około r. 1872. Odtąd przybywało ich coraz więcej. Pomiędzy kolonistami pierwszych 20 lat nie było inteligencyi prócz kilku księży, którzy się jednak o oświatę ludu wcale nie troszczyli. Skutek tego obecnie jest ten, że pokolenie z tamtego okresu emigracyi zalicza się z małymi wyjątkami do analfabetów. Nie zakładano żadnych szkół, żadnych towarzystw, a że się kolonista polski nie wynarodowił, to tylko dzięki temu, że miał obok siebie daleko niżej stojącego Brazylianina, który też żadnych szkół nie posiadał.

W erze gorączki brazylijskiej, w r. 1892 i 1893, w licznych zastępach kolonistów polskich przybyło sporo jednostek piśmiennych, a między niemi paru inteligentów. Założone przez tych towarzystwa poupadały wprawdzie, ale w ludzie pozostała jakaś niewyraźna myśl o potrzebie łączenia się i oświaty. Tu i ówdzie zakładano szkółki, szkółki nędzne, bo większość nauczycieli nie umiała nawet czterech działań z arytmetyki; uprawiano tylko na-

ukę czytania. A w dodatku ci pierwsi nauczyciele nie przyświecali dzieciom i ich rodzicom przykładem trzeźwości.

W tym czasie wyszedł pierwszy podręcznik polski w Brazyli, a mianowicie: „Elementarz dla polskich szkół w Brazylii“. Opracował go w języku polskim i portugalskim Hieronim Durski, nauczyciel elementarny w Kurytybie, a wydał (w Poznaniu 1893) Karol Szulc, założyciel pierwszej „Gazety polskiej w Brazylii“.

Odtąd też sprawa oświaty szkolnej zaczyna wchodzić na lepsze tory.

W r. 1902 p. Rymarkiewicz, bardzo bogaty inżynier Polak, zamieszkały w Brazylii, podarował na cele szkolnictwa polskiego w Paranie 1.000 milrejsów. Pieniądze te złożone zostały na ręce p. Leona Bieleckiego, redaktora „Gazety polskiej w Brazylii“, który z tej racyi założył razem z ks. Leonem Niebieszczańskim „Towarzystwo Szkoły ludowej w Brazylii“.

Tymczasem w r. 1903 w miesiącu sierpniu przyjechał do Parany p. Kazimierz Warchałowski, człowiek zamożny i ruchliwy, który działalność swą skierował między innemi i na pole szkolnictwa polskiego, owej piekącej sprawy emigracyi brazylijskiej.

Dzięki zabiegom p. Warchałowskiego i ofiarności jednego z kolonistów polskich p. Preisa założono szkołę w osadzie polskiej Abranches. Przy obsadzaniu posad nauczycielskich wyłoniły się dwa poglądy. Partya p. Bieleckiego oświadczyła się za zakonnicami, partya p. Warchałowskiego za siłami świeckiemi, argumentując, że siły zakonne zawsze będą zależne od biskupa obcokrajowca, który może ujemnie oddziaływać na polskość szkoły. Szkołę objęły ostatecznie siostry zakonne, sprowadzone z Poznańskiego. Te różnice zdań były początkiem walki na niwie szkolnej polskiej w Brazylii, walki, prowadzonej dotąd pomiędzy partyą zachowawczo-klerykalną a liberalno-postępową.

Do drugiego starcia przyszło, gdy p. Warchałowski zażądał reorganizacyi założonej przez p. Bieleckiego „Towarzystwa“. Do porozumienia nie przyszło, owszem rozpoczęło się ostrzejsze wzajemne przeszkadzanie w pracy społecznej. Pan Warchałowski, chcąc zyskać równą broń w walce z partyą p. Bieleckiego, mającą do dyspozycyi „Gazetę polską w Brazylii“, założył w grudniu roku 1904 drugie pismo polskie w Brazylii p. t. „Polak w Brazylii“. Oba pisma, zwalczając się wzajemnie, zaczęły każde w swoim duchu nawoływać do oświaty i organizowania się. Walka, prowadzona niekoniecznie przykładnie, miała przecież tę dodatnią

stronę, że pobudzała ogół kolonistów do myślenia, że wywoływała pewien dobroczynny ferment. Partya „Polaka w Brazylii“ z p. Warchałowskim na czele, pragnąc skuteczniej działać w dziedzinie szkolnictwa, założyła „Towarzystwo Szkoły ludowej w Paranie“ zaregestrowane dn. 11. marca 1905 roku. Siedzibą Towarzystwa jest Kurytyba, a jednym z głównych jego celów jest szerzenie oświaty wśród Polaków, zamieszkałych w Brazylii, a jednym z głównych środków, prowadzących do tego celu, jest zakładanie i utrzymywanie szkół polskich. Do r. 1908 założyło i utrzymywało Towarzystwo pięć szkół. Towarzystwo stara się też o organizowanie po koloniach towarzystw lokalnych, któreby między innemi opiekowały się miejscową szkołą.

Antoni Karbowiak.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JAWORÓW

monografia historyczna, etnograficzna i statystyczna.

(Ciąg dalszy).

Gdy to się dzieje na Podolu, ugania się Sobieski za czambułami tatarskimi, które poczęły grasować, począwszy od Krasnobrodu po Niemirów, Jaworów i Gródek.

W 2.500 koni przebiegł Sobieski w ośmiu dniach około 45 mil po niedostępnych drogach. zniósł pięćkroć silniejsze zastępy Tatarów 6. października pod Narolem, 7. października pod Bruśną około Horyńca, 8. października stanął w Kochanówce, przewinął się po pod Jaworów, gdzie komendant zamku Jan Matczyński, urządziwszy wycieczkę, zadał ciężkie razy dzikim hordom, dopadł 10. października pod Gródkiem Nuradyna Baszę, zgromił go na głowę. 11. paźdz. spędził Tatarów z Komarna i napędził ich aż po za Kałusz, gdzie 14. października zadał im stanowczą klęskę, a w bagnistych lasach chłopi okoliczni kołami i drągami dobijali resztki pobitych. [1])

W tej pogoni legło przeszło 12.000 Tatarów, którym odbito około 50.000 kobiet, dzieci i włościan, gnanych w jasyr. Pod Ho-

[1]) Korzon, „Dola i niedola Sobieskiego“, T. 3. str. 244—253.

rylicem wziął Sobieski do niewoli znacznego murzę tatarskiego Tuchaj-Beja i przyprowadził go do Jaworowa.

Pod wrażeniem klęsk poniesionych na Podolu, zawarł król Michał haniebny dla Polski traktat Buczacki.

Traktat ten nie uzyskał jednak aprobaty sejmu, lecz połączył rozdwojonych senatorów ku wspólnemu celowi, a tym było: przygotowanie powszechnej wyprawy na Turka.

Odezwał się w Sobieskim wierny syn pognębionej ojczyzny, to też odrzuciwszy wszelkie urazy do króla, tak pisze z Jaworowa do swego szwagra Radziwiłła, bawiącego przy dworze:

„Wszystkie nam już suspicye i dyfferencye wykorzenić potrzeba. Dlatego Panu Bogu oddałem wszystkie urazy dawne i niesnaski a szczerze i przez różnych ludzi garnę się do szczerej króla Jegomości konfidencyi.“ [1])

Do jesieni roku 1673 trwały zaciągi wojskowe na te powszechną kampanię, uchwaloną przez Sejm.

Król Michał powziął postanowienie udać się do obozu i razem z wojskami wyruszyć na Turków. W tym celu zjechał do Lwowa 3. października 1673 przez Jarosław i Radymno, zkąd wziął się boczną drogą ku Lwowu, żeby ominąć Jaworów i nie spotkać się z Sobieskim, który tam czekał na skompletowanie wojsk.

Ze Lwowa posyłał król dwukrotnie do Sobieskiego do Jaworowa z wezwaniem, żeby przybył do Lwowa w celu zniesienia się z nim de operatione belli, ale Sobieski umyślnie pominął Lwów i z Jaworowa na Żółkiew udał się wprost do obozu pod Gliniany. [2])

Długi czas utrzymywała się w Jaworowie tradycya, że Sobieski przed wyjazdem na tą wyprawę ukrył swoje skarby w murowanym chodniku, wiodącym od zamku od cerkwi na małem przedmieściu i że obydwa wejścia do tego chodnika kazał zamurować. Do dziś dnia widać w lochach budynku, używanego teraz na areszta sądowe, w ścianie południowej, zamurowane miejsce na wysokości dwóch metrów ponad podłogą, ale skarby, jeżeli w rzeczywistości były tam przez jakiś czas przechowane, musiał Sobieski z nastaniem spokojniejszych dni zabrać i w innem ulo-

---

[1]) „Pangotti“ list bez daty. (Był on tłumaczem dla tureckiego języka przy Sobieskim).

[2]) „Grabowski“, Ojczyste Spominki — list nieznanego autora z dnia 29. listopada 1673.

kować miejscu. Ciekawi próbowali kilkakrotnie dostać się do tych skarbów, nawet w ostatnim dziesiątku lat czyniono za nimi poszukiwania i to znacznym kosztem, ale napróżno.

Sobieski wyruszył ze Złoczowa pospiesznymi marszami na Podole, nie zetknąwszy się z królem, który nagle zasłabł i musiał pozostać we Lwowie.

Dnia 11. listopada napadł na 80.000 armię Husseina Baszy pod Chocimem i zniósł ją ze szczętem, zadając na długie lata śmiertelny cios potędze ottomańskiej. W przededniu tego świetnego zwycięstwa, bo 10. listopada 1673, umarł we Lwowie król Michał.

Zwycięstwo pod Chocimem wprawiło w podziw świat cały. We wszystkich językach pojawiają się szczegółowe opisy tej pamiętnej bitwy, pełne uwielbienia dla wodza, a wychodzące w Frankfurcie po niemiecku „Diarium Europeum“ w numerze z dnia 11. grudnia 1673 kończy odnośny artykuł przepowiednią, iż Sobieski zostanie obrany królem.

Do opróżnionego tronu zgłosiło się dziewięciu kandydatów, zagranicznych książąt, między nimi nie brak nawet Hohenzollerna.

Powódź broszur zalewa Warszawę, zalecając różnych kandydatów, tworzą się partye i stronnictwa, różne kuse figury pojawiają się w Warszawie, agitując za swymi mocodawcami, senatorowie wysiadują w stolicy, oryentując się w chaosie, tylko Sobieski wróciwszy z pod Chocima, osiadł w Jaworowie, zdala od ogólnej targowicy o koronę.

Podwójne bezkrólewie zapanowało w Polsce, bo wkrótce po skonie króla Michała umarł także Prymas, który z tytułu swego urzędu po każdorazowej śmierci króla obejmował zastępczo najwyższą władzę w kraju.

W rzeczywistości pierwszą figurą w państwie był wtenczas Sobieski, jako wielki hetman i wielki marszałek, otoczony w dodatku aureolą świeżo odniesionego zwycięstwa.

Do niego zwracali się wszyscy w najważniejszych sprawach i znów stał się Jaworów ową Mekką, do której pielgrzymowali wielcy i mali, mający do załatwienia jakieś interesa państwowe.

W pierwszych dniach stycznia 1674 r. przybył w tajemnicy do Jaworowa wysłannik sułtana, żeby imieniem swego pana ofiarować Sobieskiemu wszelką pomoc w zdobyciu polskiej korony i oświadczył gotowość wyłożenia na ten cel największych nawet

sum pieniędzy bez wszelkiego ograniczenia w zamian za pokój wieczysty, na podstawie posiadania status quo. [1])

Ale Sobieski nawet nie marzył o ubieganiu się o koronę i odrzucił uczynioną mu propozycyę.

W Jaworowie nawiedził go w styczniu tego roku umyślny poseł królowej wdowy po Michale, z własnoręcznem jej podziękowaniem za Chocim, a także papież Innocenty X. wysłał specyalnie w tym celu apostolskiego nuncyusza, który przywiózł Sobieskiemu do Jaworowa własnoręczne breve Ojca świętego z błogosławieństwem.

Między innymi zjawił się też książę siedmiogrodzki Michał I. Apaffi i imieniem wdowy po Rakoczym, oraz całego narodu ofiarował Sobieskiemu węgierską koronę.

Nawiedzali go często różni senatorowie celem naradzenia się co do wyboru przyszłego króla i licznymi w tej sprawie zasypywano go listami, a nie brakło propozycyi, żeby się sam ubiegał o koronę.

Na te wszystkie zabiegi odpowiedział Sobieski listem wystósowanym do senatu, a treść tego listu stwierdza najwyraźniej, że nigdy nie myślał o własnej kandydaturze:

„Słowa mojego niczyim nie uwięziłem interesem i takiego pana życzę i znaležćbym rad, któryby nam uczciwy pokój bez odrywania prowincyj z tym tak potężnym mógł uczynić nieprzyjacielem".

Z pomiędzy zgłaszających się kandydatów uważał za najodpowiedniejszego księcia Kondeusza i cały oddał się jego sprawie.[2])

Elekcyę wyznaczono na dzień 20. maja 1674, musiał więc Sobieski opuścić Jaworów, by jako wielki marszałek otworzyć Sejm elekcyjny.

Wyjechał z Jaworowa 18. marca, lecz nie bardzo się spieszył do Warszawy, bo wstąpił po drodze do Lublina i do swoich Pielaszkowic.

Sejm w dniu 20. maja zagaił w zastępstwie prymasa ks. biskup Trzebicki, a gdy po przemowie Jabłonowskiego przeciw wyborowi księcia Lotaryngskiego postawił kandydaturę Sobieskiego, zawrzało na całem obejściu Woli, gdzie Sejm się odbywał.

---

[1]) Waliszewski, „Archiw. spraw zagr. franc. do dziejów Jana III. T. I. str. 3.

[2]) Listy Sobieskiego.

Kasztelan lwowski Jan Maksymilian Fredro i biskup chełmski Stanisław Dąbski poparli Jabłonowskiego w gorących słowach, lecz z drugiej strony Pacowie, wrogo usposobieni do Sobieskiego, poczęli zwalczać jego kandydaturę, grożąc rozbiciem Sejmu.

Nie wahali się podnieść nawet takiego zarzutu, że gdy Marya Kazimiera chorowała w tym właśnie czasie w Jaworowie (na wiatrową ospę), miało to ztąd pochodzić, że Sobieski ją truł, żeby po śmierci żony poślubić Eleonorę, wdowę po królu Michale i tym sposobem ułatwić sobie drogę do tronu.

Sobieski sam przemówił na Sejmie stanowczo przeciw kandydowaniu swojej osoby i polecał gorąco Kondeusza.

Do północy trwały spory i narady i sejmujący rozeszli się bez wyniku.

Dopiero nazajutrz 21. maja zgodzono się i jednomyślnym wyborem oddano koronę Janowi Sobieskiemu, który przybrał tytuł królewski jako Jan III.

Widocznie już w księdze przeznaczeń nie było Sobieskiemu zapisane, by używał dłuższego spokoju i wypoczynku. Od najmłodszych lat pędził żywot na ciągłych bojach z Tatarami, kozakami i t. p. Jako wielki hetman zaledwie gościem bywał w domu a i na tronie nie lepiej mu się działo.

W samą rocznicę obioru swego, t. j. dnia 20. maja 1675 zjechał do Jaworowa z całym swoim dworem, w otoczeniu najwybitniejszych senatorów, żeby wobec postanowionej w Dywanie wojny z Polską być bliżej wschodnich granic państwa i ztąd gotować się na przyjęcie Bisurmanów.

Przybył do króla bawiącego w Jaworowie poseł Hana, Hussein Basza z wiadomością, że tabory tatarskie wstąpiły już na Dzikie pola, gdzie czekają rozkazu, by rozlać się po całym kraju, że jednak Han ma upoważnienie od sułtana układać się z królem o pokój, jeżeli wypełni zobowiązania buczackiego traktatu.

Tę samą wiadomość otrzymał Sobieski przed przyjazdem Husseina Baszy od Morawskiego, wysłanego z poselstwem do Hana. Niedowierzał Jan III. tym pokojowym propozycyom, żeby jednak zyskać na czasie, podjął pozorne rokowania, wysłał razem z Husseinem Baszą z Jaworowa pułkownika Grebena w poselstwie do Hana z podarunkami, zwracając mu równocześnie kilku znaczniejszych jeńców, wziętych pod Barem, ale równocześnie gromadził wszystkie wojska pod Lwowem.

Zwołał do Jaworowa posiedzenie senatu, gdzie uchwalono wysłać do Hana w i e l k i c h p o s ł ó w, w osobach: Stefana Bidziń-

skiego, strażnika koronnego. Krzysztofa Koryckiego, generała piechoty, Tomasza Karczewskiego, podczaszego sanockiego i pułkownika Grebena.

Nie obiecując sobie wiele z tych pertraktacyj odbył na zamku jaworowskim 15. lipca naradę wojenną, na której przeważyło jego zdanie: „żeby stanąć obozem pod Lwowem, zkąd tamquam de equo Trojano wszystkim partyom rozrzuconym na Rusi możnaby dawać posiłki i zasłonić viscera Regni“.[1])

W dwa dni po tej naradzie wyruszył król z Jaworowa w otoczeniu zgromadzonych tam wodzów i rycerzy i poza Szkło i Janów stanął w południe we Lwowie.

Królowę z dziećmi wyprawił dla większego bezpieczeństwa przez Krakowiec do Jarosławia.

Po koronacyi odbytej w Warszawie, zjechali królestwo w czerwcu 1676 do Jaworowa na dłuższy pobyt.

Z luźnych notatek, zebranych po różnych miejscach, jesteśmy w możności zestawić imienny skład królewskiego otoczenia na zamku jaworowskim.

Z panów szlachty byli tam: Aleksander Polanowski, chorąży koronny — Marek Matczyński, koniuszy koronny — Jan Morsztyn, podskarbi koronny — Franciszek Gałecki, kuchmistrz koronny — Rzewuski, starosta chełmiński — Jan Szomowski, podskarbi nadworny — Jędrzej Modrzewski, podczaszy sieradzki — ks. Stanisław Sarnowski, biskup przemyski — Anna Stanisławska, wojewodzina kijowska, nienawidzona przez wszystkich i dla swej uszczypliwości przezwana: „starą wiedźmą“.

Z najbliższego otoczenia: Braun, nadworny lekarz króla — Brunetti, proboszcz jarosławski i osobisty sekretarz króla — Drion Mikołaj, major domus — bawi przy dworze wdowa po Bernardzie Bernim, nadwornym lekarzu królewskim, kobieta bardzo wykształcona, poetka, pisująca łacińskie wiersze. Komendantem zamku był niejaki Seuweusz (Seiweiss?)

Głową dworzan był Atanazy Matczyński, późniejszy wojewoda wołyński.

Służbę przyboczną pokojową króla składało trzech kamerdynerów, Francuzów: Dumoulin, Dupont i l'Espine.

Przy królowej bawił jej ojciec Markiz d'Arquien, brat jej hrabia Maligny i siostra, wdowa po francuskim pośle d'Bethuine.

---

[1]) Rękopis Bibl. Czartoryskich w Krakowie Nr. 173, str. 467.

Pierwszą panią dworską i ulubienicą była Mademoiselle Feudherbe, której Sobieski nie mógł ścierpieć, bo jak mawiał. „dzieci rodzi a za pannę się udaje i męża ma i z nim nie mieszka, a takie mariages de consciense nie uchodzą".

Do frauzymeru należała panna Szumowska, późniejsza żona chorążego lubelskiego Pawła Orzechowskiego i panna d'Elreux. dworska pokojowa.[1])

W grudniu tegoż roku grasował w Jaworowie i okolicznych wsiach tyfus, zabierając mnóstwo ofiar. Podanie niesie, że było to powietrze morowe, ale ówczesne pamiętniki twierdzą inaczej.

Jeden z współczesnych tak pisze o tej słabości:

„Powietrze morowe poniekąd w Brodach na ostatek i w Jaworowie, gdzie król właśnie przemieszkiwał podczas i w inszych przyległych miasteczkach panować poczęło być. ale go zima tęga bardzo uskromiła, jeżeli to powietrzem nazwać można, co bardziej niedostatek i głód sprawował." [2])

Król, bawiąc wówczas w Jaworowie, żywo się zajął dotkniętą ludnością i co było zapasów w szpichrzach zamkowych w ziarnie, kartoflach i w wódce kazał darmo ludziom rozdawać. Nie poskąpił także grosza z własnej szkatuły, by ulżyć niedoli.

Wspaniałą uroczystość święcił Jaworów w r. 1678 w dniu 15. czerwca. z okazyi chrzcin w tamtejszym kościele parafialnym królewicza Aleksandra.

Zjechał się cały prawie senat, mnóstwo dostojników państwowych. liczne deputacye ze Lwowa, Krakowa i z Warszawy oraz reprezentanci ościennych mocarstw.

Do chrztu trzymali królewicza: papież Innocenty XI. przez umyślnie w tym celu wysłanego zastępcę. nuncyusza Marcelego i cesarzowa wdowa po Ferdynandzie III., zastąpiona przez księżnę Radziwiłłową, siostrę Jana III.

Imieniem obcych monarchów asystowali przy tym obrzędzie: Baron Zerowski z ramienia dworu austryackiego i marszałek hr. Beaujeau jako delegat króla francuskiego.

Ten sam hr. Beaujeau spisał wspomnienia ze swej podróży do Polski, w których poświęcił wzmiankę o Jaworowie w tych słowach:

---

[1]) Pamiętniki Przeździeckiego, Biblioteka wydania Muczkowskiego i Grabowskiego, „Spominki ojczyste" i t. d.

[2]) Jemiołowski Mikołaj, „Pamiętniki".

„Miasto okolone wałem ziemnym, dość wysokim, opatrzonym palisadą, bez fos i bez żadnych wyskoków. Jest tu jezioro milowego obwodu, osłaniające połowę miasta, bardzo zarybione, a przez środek płynie rzeka, obmywająca dno i wpływająca wielce na dobroć ryb.

Jest to słynna miejscowość z częstego w niej pobytu króla i jest starostwem, które daje 20.000 dukatów dochodu.

Król otrzymawszy starostwo aż w trzecie pokolenie z prawem dziedzictwa, (myli się Beaujeau, bo starostwo w trzecie pokolenie otrzymał ojciec Jana III., a król był już drugim z rzędu starostą) łożył wiele w tamtejszy ogród i zamek.

Zamek wprawdzie drewniany ale obszerny i wygodny, o dwóch dziedzińcach, oddzielonych wałem ziemnym, bastionami i fosą wodną, król dodał ogród rozległy i bardzo jest na kraj tutejszy ozdobny, gdzie nawet używa takiej sławy jak wersalski, choć mojem zdaniem na to nie zasługuje.“

W monarchii rakuskiej zanosiło się w tym czasie na zupełny przewrót stosunków państwowych z powodu wichrzeń na Węgrzech, które dążyły do zupełnego oderwania się od Austryi. W tych zamysłach dopomagał im Ludwik XIV., wskutek stałego antagonizmu do dynastyi Habsburgskiej, a chcąc pociągnąć i Polskę do współdziałania w tej robocie, wysłał do Jaworowa umyślnego posła pana d'Vitry. W krótkim czasie po przybyciu d'Vitryego zjechał na dwór królewski w Jaworowie, wysłannik Tekyelego, niejaki Nemeszany, żeby pozyskać króla na stronę Węgier. Miał ten Nemeszany audyencyę u króla 27. lutego 1682 r., lecz został odprawiony z niczem, bo Jan III. utrzymywał najlepsze stosunki z Austryą, nie tylko więc, że nie przyłożył ręki do oderwania się od niej Węgier, ale uważał za obowiązek powiadomić cesarza Leopolda o knowaniach w tym kierunku i wraz z listem własnoręcznym wyprawił z Jaworowa w marcu 1682 umyślnego gońca do Wiednia z ważnymi dokumentami, dowodzącymi niezbicie porozumienia się zupełnego w tej sprawie Ludwika XIV. z Tekelym.

Polska zażywała od kilku lat szczęśliwego spokoju, zabezpieczona pokojem żurawieńskim od najazdu tureckiego i leczyła się po długoletnich wojnach i klęskach.

Ale potęga ottomańska nie zaprzestała swej ekspanzywnej polityki ku wnętrzu Europy, a zamknąwszy sobie drogę do Polski, rzuciła się na Austryę. Zabrała jej większą połowę Węgier i uchwa-

liła na Dywanie ruszyć pod Wiedeń, zdobyć Austryę i osadzić na stałe półksiężyc na wieży kościoła św. Szczepana.

Z niezmierną potęgą ponad 200.000 Turków i Tatarów wysłał sułtan najdzielniejszego z swych wojowników wielkiego wezyra, Kara Mustafę, na wyprawę przeciw Austryi.

Zagrożony niechybną utratą korony i kraju zwrócił się cesarz Leopold do papieża, błagając o pomoc, a że oprócz Polski nie było nikogo, ktoby mógł przynieść tę pomoc, udał się Innocenty XI. do Jana III. i pozyskał go dla tej wojny w „Obronie całego chrześcijaństwa“.

Wiemy, jak się sprawił król pod Wiedniem i jakie pozatem klęski zadał na Węgrzech, uciekającym w popłochu zastępom pokonanych Turków.

Po ciężkich trudach tej prawie półrocznej wyprawy, wypoczywał Jan III. w Jaworowie i tu zaskoczyły go gratulacye wszystkich chrześcijańskich monarchów i państw, z okazyi odniesionego tryumfu nad półksiężycem.

Już z początkiem maja r. 1684 zaczęli się zjeżdżać do Jaworowa specyalni posłowie z różnych krajów, wioząc bogate upominki nie tylko dla króla, lecz i dla Jejmość królowej i królewiczów. Zjazd ten trwał przez cały maj i czerwiec, a był tak liczny, że już nie w zamku, ale w całem mieście nie było kącika na pomieszczenie bezustannie przybywających.

Najpierwszy przybył hr. Montecuculli, poseł króla hiszpańskiego, witany wystrzałami z armat i przywiózł od swego Pana podarki dla króla i królowej, a dla królewicza Aleksandra 10.000 czerwonych złotych. Prawie razem z tym posłem zjechała deputacya kapituły krakowskiej.

Po nich przybył ks. Marcyan Ogiński, wojewoda trocki z litewskimi Pany.

Dalej wysłannik Rzeczypospolitej weneckiej, Angelo Morsini, z sekretarzami Mikołajem i Jakóbem Gaviani, prowadząc przy sobie siostrzeńca Hieronima i deputata szlachty weneckiej Alojzego Baradonnę.

Hrabia marszałek de Beaujeu, jako zastępca króla francuskiego, Bułhaków wysłannik cara, dwóch posłów multańskich, ablegat papieski Santacrucce, przedstawiciele węgierskiej korony, bojarowie z Wołoszy... istna wieża Babel.

A każdy z tych posłów przyjeżdżał dworno i w licznem otoczeniu swoich ludzi.

Z kraju, co było tylko wyższego dostojeństwem, bawiło od kwietnia w Jaworowie.

Jako ostatni przybył poseł cesarza Leopolda, hr. Wallenstein, którego przy wjeździe witano prawie z królewskim ceremoniałem.

Hrabia wjechał z liczną świtą konno na dziedziniec zamkowy, wśród nieustających strzałów działowych i fanfar licznie zebranych kapeli.

Z kolei, jak przyjeżdżali posłowie, oddawali królowi listy od swych panów i przywiezione podarki.

Największą uwagę zwracał na siebie poseł cesarski, bo z okazałą zawsze występywał pompą. Gdy otrzymał audyencyę u króla, wszedł do komnaty z odkrytą głową, skłonił się kornie, wręczył listy i upominki, a załatwiwszy ten ceremoniał, kiedy zaczął mówić, nałożył na głowę kapelusz i wojskową przybrał postawę.

Z podarków przywiózł dla króla cztery konie czystej krwi arabskiej, królowej wielką różę brylantową, wartości na ówczas najmniej 4.000 talarów, królewiczowi Jakóbowi parę koni arabskiego pochodzenia, a nawet podkomorzy królewski, Matczyński, otrzymał jednego konia.

Sobieski obok ciągłych audyencyi miał czas na załatwianie spraw państwa, konferował codziennie z senatorami, wysyłał listy i ordynanse, nie spuszczając przy tem z oka, żeby goście bez wyjątku należytą mieli wygodę.

Kulminacyjnym punktem tego licznego zjazdu, była oficyalna uczta, wydana przez króla w dniu 6. lipca.

Do uczty nakryto w bardzo obszernej, oszklonej altanie nad stawem, gdzie przy stołach, ustawionych w podkowę, zasiadło kilkadziesiąt osób, samych pierwszorzędnych honoratiorów. Ucztę tę uwiecznił na olejnym obrazie malarz włoski, nieznanego nazwiska. (Oryginał w Muzeum Ossolińskich we Lwowie).

Po środku stołu zasiadł król Jegomość, po którego prawicy poseł austryacki, a z lewej królewicz Jakób.

Podczas bankietu śpiewał cudownie Włoch Clementini, śpiewak sławny na całą Europę, którego przywiózł z sobą umyślnie na tę ucztę hr. Montecuculli. Król obdarzył Clementiniego szczerozłotym łańcuchem ze swem popiersiem wagi 200 dukatów, a nadto kazał mu wyliczyć 300 dukatów w gotówce.

Pito tam różne zdrowia w wymownych słowach, a prawie wszystko po łacinie.

Kiedy się uczta miała ku końcowi, dano znać Panu Jegomości, że na dziedzińcu zamkowym jawiła się deputacya mieszczan jaworowskich z wójtem na czele.

Podniósł się król Jegomość od stołu, co było znakiem, że uczta skończona i wyszedł na dziedziniec w otoczeniu całego towarzystwa, gdzie barwny obraz przedstawił się oczom przybyłych. Jak gdyby na szerokiej łące, upstrzonej różnobarwnem kwieciem, zamigotały na tle trawnika podwórzowego różnokolorowe sukmany męskie i pstrokate spodnice i chusty kobiet, tworząc malowniczą żywą grupę.

Gdy król się zjawił na dziedzińcu, wystąpił na przód gromady siwowłosy wójt jaworowski i wiódł na żelaznym łańcu sześć siwych wołów, a tuż obok leżał pług, brona i socha.

Król podszedł ku gromadzie i powitał ją łaskawem słowem, na co odezwał się wójt, zniżając czapkę do pańskich kolan:

„A iżeście się Miłościwy Panie potracili na tę wojnę, otóż bez urazy Waszej, daje Wam tu przezemnie gromada statek kmiecy na zapomogę, bo za statkiem idzie dostatek“.

Sobieski przyjął wdzięcznie ofiarę i rozkazał na podwórzu zamkowem zastawić stoły, dobyć gorzałki i miodu z lochów, przynieść jadła i ugościć gromadę.

Bardzo zdziwiła obcych panów taka poufałość między panującym, a najniższymi z jego poddanych, ale nie tu był koniec ich zadziwienia.

Kiedy ludzie już sobie podjedli do syta i popili, wszedł król w pośrodek gromady, wdał się w rozhowory ze starszymi i serce rosło na widok, jak się to wszystko garnęło do boku królewskiego z radosnem uczuciem i dziecięcem przywiązaniem.

W tem wysunął się król naprzód, skrzyknął na kapelę:

„A nuże krakowiaka!“

I ująwszy za rękę jedną z mieszczek, posunął posuwistym krokiem w narodowy tan.

Królowa Jejmość podała rękę wójtowi i szła w ślady małżonka, a za nimi mnóstwo par, pany z mieszczkami a panie z mieszczanami.

Obeszli tak dwa razy w koło dziedzińca, a kiedy król zbliżył się do miejsca, gdzie grała kapela, przystanął, nasunął czapkę na prawe ucho i zaśpiewał do swojej danserki:

— „A zkądżeś ty?

— Z Jaworowa! — odśpiewała ona.

— A czyjaś ty?

— Kowalowa! — odpowiedziała danserka.

— Kowalowa z końca, [1])
Chodźże mi do tańca.
Bóg daj zdrowa
Kowalowa.
Kowalowa
Bóg daj zdrowa" — dokończył król, rozwiązując dalsze tany.

Mieszczanie bawili się potem między sobą do późnej nocy, podczas gdy goście to przysłuchiwali się pięknemu śpiewowi Cantelliniego w altanie, to znów zachwycali się przeróżnymi ogniami sztucznymi, puszczanymi na stawie.

Obcy posłowie wróciwszy do swych krajów, opowiadali dziwa o tym patryarchalnym stosunku Pana i króla do swoich poddanych.

Na scharakteryzowanie popularności, jaką się Jan III. odznaczał względem wszystkich, przytaczamy zabawny epizod, także z czasów jego pobytu w Jaworowie.

Król polował namiętnie i często zapuszczał się w pojedynkę w sąsiednie lasy wiszeńskie.

Otóż pewnego razu wracając z polowania, spotyka na drodze długiego jak sosna szlachcica, wlokącego się na wychudłej szkapie ku Janowu.

— A dokąd to panie bracie?

— Do Żółkwi — odpowiada szlachcic, odkłaniając się na pozdrowienie króla.

— A z czemże pan brat do Żółkwi?

— Do króla Jegomości?

— Ej! a pocóż?

— Prosić, żeby mi nadał wakujące u nas wójtostwo, tylko nie wiem, jak tam będzie dostąpić do niego?

Król postanowił zażartować sobie z szlachcica i nie zdradzając swego incognito, zwłaszcza, że był ubrany tylko w szarą burkę, przepasaną surowym rzemieniem, odezwał się w te słowa:

— Ja tam służę za strzelca u dworu, jak przybędziecie do zamku... tylko że to teraz król nie siedzi w Żółkwi i dopiero za dwa dni tam przyjedzie... tedy zapytajcie na bramie o Jana, strzelca,

---

[1]) Wielkie przedmieście w Jaworowie zwie się „Nakoneczne", a miejscowa ludność skraca tę nazwę i używa wyrazu „Na Końcu".

a ja wam już resztę ułatwię... Ale co będzie, jak król Jegomość nie zechce wam nadać to wójtostwo?

— To mu powiem, żeby pocałował moją kobyłę tam, gdzie jej ogon wyrósł.

Uśmiechnął się Sobieski na takie dictum, ale nie zdradzając się, pożegnał szlachcica i wrócił do zamku.

W kilka dni po owem zdarzeniu udał się Sobieski do Żółkwi, a nie zapomniawszy spotkania ze szlachcicem, polecił wartom zamkowym, że jeżeli taki a taki szlachcic będzie się pytał na bramie o strzelca Jana, żeby go, nic nie mówiąc, wprowadzili wprost do królewskiej kancelaryi.

Zjawił się w istocie szlachcic, uwiązał szkapę u przypłotka obok zamku i wszedłszy w bramę, jął wypytywać o strzelca Jana.

Pełniący służbę ordynans wprowadził go wprost na zamek, do pokoju króla.

Szlachcic zdębiał na widok mniemanego strzelca, którym, jak się teraz przekonał, był sam król.

Stanął jak oszołomiony, ruszał tylko wargami, męcząc czapkę w obydwu rękach i nie mógł słowa z siebie wydobyć.

Król bawił się chwilkę zakłopotaniem szlachcica, poczem przerwał to milczenie i jak gdyby o niczem nie wiedział, zapytał łaskawie, co by sobie życzył.

Zebrał się szlachcic na animusz, odchrząknął, że aż szyby brzękły w ołowianej oprawie u okien i wręcz, bez żadnej przedmowy wypowiedział w kilku słowach prośbę o nadanie sobie wójtostwa.

Król przyrzekł mu to wójtostwo i odprawił łaskawie, lecz kiedy szlachcic skłoniwszy się do kolan pańskich, był już blisko drzwi, postąpił za nim Sobieski, położył mu rękę na ramieniu i zapytał z figlarnym uśmiechem:

— Ale cóżbyś Waszmość uczynił, gdybym mu był odmówił?

Wyprężył się szlachcic jak struna, podkręcił sumiastego wąsa, a następnie ująwszy króla za kolano, wyrzekł pewnym głosem:

— Ha cóż Najjaśniejszy Panie! Słowo się rzekło, a kobyła u płotu.

Sobieski parsknął szczerym śmiechem, poklepał szlachcica po ramieniu i wsunął mu w łapę parę czerwonych złotych na drogę. [1])

---

[1]) Wodzicki Stanisław, „Wspomnienia z przeszłości".

Wracając do uczty jaworowskiej z dnia 6. lipca, należy zaznaczyć, że nazajutrz po festynach odprawiono tam drugą ceremonię, ściśle o urzędowym charakterze. Chodziło o oddanie wielkiej pieczęci litewskiej, po śmierci Krzysztofa Paca, wielkiego kanclerza litewskiego.

Najpoważniejszym kandydatem na tę wysoką godność, upatrzonym powszechną zgodą zdań panów senatorów, był wojewoda trocki, ks. Marcyan Ogiński.

EDWARD WEBERSFELD.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Archiwum Namiestnictwa we Lwowie.

Jeszcze w r. 1869 ankieta historyków obradowała w Wiedniu nad sprawą organizacyi archiwów państwowych w Austryi i przedłożyła swe wnioski rządowi. Dla użytku tej ankiety władze rządowe w krajach koronnych dostarczyły sprawozdań o zbiorach archiwalnych, znajdujących się w krajach.[1])

Mijały jednak lata i do organizacyi archiwów państwowych nie przychodziło. Dopiero dzięki staraniom jednego z członków ankiety z 1869 r., znanego historyka d-ra Józefa Aleksandra Helferta, prezydenta Komisyi centralnej dla badania i utrzymywania pomników artystycznych i historycznych, sprawa organizacyi archiwów państwowych stała się przedmiotem obrad Izby Panów Rady Państwa w latach 1893 i 1894. Wybrana z tej Izby komisya uchwaliła przedłożyć Ministeryum spraw wewnętrznych żądania następujące:

Archiwa państwowe w Austryi mają być zorganizowane wedle wymogów nowoczesnej administracyi i nauki.

Przy organizacyi archiwów pomocną będzie rządowi stała Rada archiwalna, złożona z sił zawodowych.

---

[1]) O zbiorach archiwalnych Galicyi ankieta mogła powziąć dokładną wiadomość ze sprawozdania O. Bedy Dudika, z Zakonu Benedyktynów, który z polecenia Ministeryum Stanu zwiedził archiwa galicyjskie i sprawozdanie ogłosił drukiem w r. 1867.

Od urzędników archiwalnych wymagać się ma wykształcenia naukowego w zawodzie archiwalnym i dlatego urzędnicy archiwalni zaliczeni być mają do etatu urzędników konceptowych.

Rząd dostarczać będzie środków do nabywania archiwaliów, które narażone są na niebezpieczeństwo zatraty.

Ministeryum spraw wewnętrznych przychyliło się do tych żądań i już w r. 1894 ustanowiło Radę archiwalną, która w latach 1895 i 1896 na licznych posiedzeniach ustaliła zasady organizacyi archiwów państwowych. W myśl tych zasad, przyjętych przez Ministeryum spr. wewn., urzędnicy archiwów państwowych zostali ujęci w jeden etat wspólny, archiwa istniejące otrzymały większą ilość urzędników, a warunki przyjęcia do służby archiwalnej zostały ustalone. Rada archiwalna wypracowała też zasady regulaminu archiwów i zasady, wedle których należy w przyszłości szkartować akta, opracowywać i wydawać poglądowe inwentarze archiwów państwowych.

Za wskazówką uchwał Rady archiwalnej Ministeryum spraw wewn. zorganizowało swoje archiwum ogólne i archiwum heroldyi (Adelsarchiv), znajdujące się w temże Ministeryum, dalej archiwa Namiestnictw w Wiedniu (1893), w Pradze, w Insbruku, w Zarze i archiwum rządu krajowego w Salzburgu i utworzyło w r. 1905 archiwum Namiestnictwu w Gracu. Za przykładem Ministeryum spr. wewn. także inne ministerya zorganizowały swe archiwa, mianowicie Ministeryum finansów w r. 1892, Ministeryum wyznań i oświaty w r. 1896, Ministeryum kolei państwowych w r. 1901.

Zanim jednak doszło do tego stopnia rozwoju archiwów państwowych w Austryi, niektóre kraje koronne wyprzedziły rząd w organizacyi archiwów. Zorganizowały się, względnie powstały na nowo: archiwum krajowe w Gracu (1869), w Celowcu, w Wiedniu, w Bernie morawskiem, w Pradze, w Krakowie, we Lwowie (1878), w Opawie, w Insbruku (1891) i w Bregencyi (1899), a w r. 1895 w Lincu. Z tych archiwum w Lincu przyjęło w przechowanie najdawniejsze dokumenty i akta Namiestnictwa górnoaustryackiego a archiwum krajowe w Bernie dawne akta Namiestnictwa morawskiego. Także archiwum krajowe aktów grodzkich i ziemskich we Lwowie przyjęło w przechowanie wielką ilość aktów rządowych, jako to metrykę józefińską, kataster z r. 1820 i akta sądu karnego lwowskiego. Dzięki więc swej wcześniejszej organizacyi, archiwa krajowe uratowały od zatraty wiele cennych aktów rządowych.

Nie poprzestając na dotychczasowych wynikach pracy, Rada archiwalna popiera sprawę otwierania coraz to nowych archiwów państwowych w miastach będących siedzibami Namiestnictw względnie Rządu krajowego. Nie pominęła też Galicyi. Na sesyi dnia 10. maja 1907 r. członek Rady archiwalnej, profesor Uniwersytetu wiedeńskiego, Oswald Redlich, referował wnioski Namiestnictwa galicyjskiego o utworzenie archiwum przy Namiestnictwie we Lwowie, które Rada uchwaliła jednogłośnie poprzeć u Ministeryum spr. wewn. swą opinią naukową.

Ministeryum spraw wewn. przychyliło się do wniosków Namiestnictwa galicyjskiego i opinii Rady archiwalnej i ustanowiło dla Archiwum Namiestnictwa we Lwowie z dniem 1. października 1908 r. urzędnika, któremu powierzyło kierownictwo tego archiwum.



Akta najdawniejsze galicyjskiego Gubernium, od r. 1849 Namiestnictwa, pochodzą z ostatniej ćwierci w. XVIII. i z pierwszej połowy w. XIX. i mieszczą się obecnie w trzech niepołączonych z sobą lokalnościach.

A. W registraturze prezydyalnej Namiestnictwa na I. piętrze gmachu głównego:

Akta prezydyalne z lat 1791 do 1867.

Akta te nie są dotąd oddzielone od aktów nowszych i najnowszych i składają się:

Z 227 fascykułów aktów.

Z 129 tomów protokołu podawczego.

Z 140 tomów indeksów.

Z 3 tomów ksiąg szkontrowych.

Z 4 tomów z liczbami i datami dekretów nadwornych.

Wobec tego, że akta te są obecnie zestawione razem z aktami nowszymi i najnowszymi, praca archiwalna około nich musi być odłożona aż do czasu, gdy będą ustawione w lokalu archiwalnym po jego rozszerzeniu.

B. W lokalu archiwalnym. Ten znajduje się w parterze gmachu Namiestnictwa, jest sklepiony, suchy, choć nie słoneczny, oświetlony 7-ma oknami wychodzącymi na podwórze. Składa się z 6 pokoi, z których 3 mają po 2 okna i zajmuje

167 m. kw. powierzchni. Wzdłuż tego lokalu ciagnie się kurytarz niezamykany, gdyż służący do przechodu, w którym w szafach otwartych ustawiony jest protokół podawczy gubernialny od r. 1772 do 1859.

W lokalu tym mieszczą się:

1. Akta gubernialne z lat 1772—1859 w liczbie około 1864 fascykułów.

2. T. zw. registratura krakowska licząca około 700 fascykułów. Są to akta władzy, która w biegu lat nosiła nazwy różne. Od 1846—1849 r. była Komisyą nadworną, od 1849 do do 1854 Komisyą gubernialną, od 1854 do 1860 Rządem krajowym, a od 1867 Komisyą Namiestnictwa. Do aktów tych są osobne indeksy.

3. Akta, które w różnych czasach dostały się w przechowanie Gubernium z powodu, że władze, w których akta te powstały, pozostawały w związku z Gubernium. Akta te są już ułożone i ustawione i wyliczone będą poniżej. Ilość ich 352 fascykułów.

4. Indexy do aktów registratury gubernialnej i liczne inne księgi oprawne, które wyliczone będą poniżej.

5. Część registratury serwitutowej i indemnizacyjnej z r. 1849, umieszczona w dwu otwartych sztelażach.

C. W pałacu Namiestnikowskim. Tu mieści się:

Registratura indemnizacyjna i serwitutowa z r. 1849 w trzech pokojach parterowych, niesklepionych, z których jeden jest zupełnie ciemny. Lokal ten zajmuje 74 metrów kwadr. powierzchni i jest zupełnie nieodpowiedni na pomieszczenie tych aktów, które nawet w całości w nim się nie zmieściły, tak, że jedną ogromną szafę z aktami i drugą mniejszą, trzeba było wcisnąć do lokalu w gmachu głównym Praca archiwalna około tych aktów podjętą być może dopiero wówczas, gdy się je przeniesie do lokalu obszerniejszego.

Akta gubernialne ułożone są w registraturze w sposób trojaki, a mianowicie albo w t. zw. fascykuły, t. j. stosy aktów tej samej materyi dotyczących i pochodzących z tego samego roku lub z lat kilku, a ułożone w porządku liczbowym, a skutkiem tego chronologicznym, albo w t. zw. rektyfikaty, t. j. pliki aktów do jednej sprawy odnoszących się w osobnej okładce z napisem i sygnaturą albo wreszcie w t. zw. konwoluty, t. j. akta będące

załącznikami do aktów przechowanych w fascykułach lub rektyfikatach, które jednak dla swej wielkiej objętości nie mogły być do aktów dołączone.

Ze względu na treść podzielona jest cała registratura gubernialna na cztery działy główne:

I. Publico Politica.
II. Contributionalia.
III. Comercialia.
IV. Militaria.

Każdy z tych działów głównych dzieli się na liczne materye, zwane fascykułami (Materienfascikel), opatrzone w każdym dziale numerami porządkowymi. Dział I. (Publico Politica) liczy tych fascykułów 64, a mianowicie:

Fasc.

1. Agenda der Landesstelle:
   - Staatsbürgerschaft.
   - Sujets mixtes.
   - Publico politica.
   - Auswärtige Angelegenheiten.
   - Schematismus und Statistik.
2. Personal und Besoldungsstand der Landesstelle.
3. Buchhalterei.
4. Sanitäts-Wesen.
5. Wald und Forstwesen.
6. Privilegien und Freiheiten.
7. Adelsstandsangelegenheiten. Standeserhebungen.
8. Studien und Bücherzensur.
9. Holzausfuhr.
10. Geld und Getreideaushilfe in Notjahren.
11. Judenwesen.
12. Hofreisen.
13. Polizeiwesen.
14. Tranksteuer.
15. Ein und Auswanderung. Ansiedelung.
16. Geistliche Sachen.
17. Mildestiftungssachen.
18. Kreisamts und Kassa Gegenstände.
19. Pensionen der Beamten. Wittwen. Waisen.
20. Huldigungsakten.
21. Interessen Regulirung und Wucher.
22. Malversationen der Beamten.

Fasc.
23. Grund und Grenzstreite.
24. Königl. Güterangelegenheiten.
25. Salzwesen.
26. Tax- und Stempelsachen, dann Arrha.
27. Postwesen.
28. Hauptzahlamt Angelegenheiten.
29. Veräusserung des königl. und Religionsfonds Güter.
30. Fiskalamtssachen.
31. Urlaube der Beamten.
32. Kanzlei Erfordernisse und Auslagen.
33. Bankozettel und Einlösungsscheine.
34. Schuldenwesen der Beamten.
35. Brandsteuersammlungen für abgebrandte Städte.
36. Reise und Liefergelder.
37. Vieh-Zucht.
38. Tabakwesen.
39. Lottospiel.
40. Münz und Bergwesen.
41. Zimmentirungswesen.
42. Justizwesen.
43. Untertans Angelegenheiten.
44. Pass-Ertheilungen.
45. Schauspiele und öffentliche Belustigungen.
46. Königs von Polen Forderungen.
47. Arrestanten und deren Verpflegung.
48. Domainenwesen.
49. Landes Mappirung, Genie und Navigationswesen.
50. Rechnungen und Praeliminar-Systeme.
51. Gemischte Gegenstände. (Miscellanien).
52. Städtische Sachen.
53. Abfahrtsgelder.
54. Bauwesen und Aerarialgebäude.
55. Mortuarium Erbsteuer. Puppillare.
56. Tituli mensae.
57. Konfoederations-Wesen.
58. Ständische Sachen.
59. Landes Gefällen Ausweise.
60. Urbariale und Robot Abolition.
61. Landeskultur.
62. Wasserbauten.

Fasc.

63. Chotimer Rayon.
64. Moldau betreffende Akten.

Dział II. Contributionalia liczy fascykułów 17:

Fasc.

1. Steuer-Beamte. Cautionen und Malversationen.
2. Ausweise der Landesgefälle und Steuerabfuhren.
3. Steuerbeschwerden.
4. Fassionen. Güterbesitzveränderungen.
5. Judensteuer und Koscherfleischgefälle.
6. Feuer, Wasser und Wetterschaden.
7. Steuer Rückstände. Executionen und Sequestrationen.
8. Steuersachen überhaupt.
9. Grund Ausmessung und Steuer-Regulirung.
10. Urbarial Ingenieurs und Tagschreiber.
11. Grundsteuer.
12. Häusersteuer.
13. Lahnensteuer.
14. Gewerbsteuer.
15. Kriegsteuer. Kriegsdarlehen.
16. Reise und Liefergelder.
17. Klassensteuer.

Dział III. Commercialia liczy fascykułów 25:

Fasc.

1. Commercialia in genere.
2. Ansiedelungen und Kaufleute.
3. Fabriken und Manufakturen.
4. Privilegien der Handelsleute.
5. Strassenbau.
6. Waaren und Produkten Ein- und Ausfuhr.
7. Jahr- und Wochenmärkte.
8. Glückshäfen.
9. Porcellain Handel.
10. Glashandel.
11. Contrebande und Schwärzungen.
12. Metallhandel und Fabriquen.
13. Honig, Wachs und Inschlitthandel.

Fasc.
14. Pass Ertheilungen.
15. Reise- und Liefergelder.
16. Mauth- und Zollwesen überhaupt.
17. Getreidehandel, dann Ein- und Ausfuhr.
18. Zollbeamte.
19. Excessen und Schulden der Beamten.
20. Mauth-Rechnungen.
21. Weg und Brückenmauthe und Überfahrten.
22. Malversationen der Beamten.
23. Vieh-Handel.
24. Beförderung des Commerzes.
25. Mercantil Tabellen.

Dział IV. Militaria liczy fascykułów 30:

Fasc.
1. Militaria in genere.
2. Bequartierung.
3. Deserteurs.
4. Natural Lieferungen.
5. Rekrutirung.
6. Militär Excessen in- und ausländischen Militärs.
7. Militär Montours Oeconomie und Rüstungswesen.
8. Militär Kasernen und Depôt.
9. Remontirung und Beschellungsanstalt.
10. Militär Spitäler und Feldapotheken.
11. Fortificationswesen.
12. Haupt-Landes-Liquidation über gelieferte Naturalien.
13. Arrestanten und Kriegsgefangenen.
14. Kriegskasse und Gelderfordernisse.
15. Militär Vorspann und Marschrouten.
16. Conscriptionswesen und Evidenzhaltung.
17. Militär Service und Bettfornitourensachen.
18. Militär Schuldenwesen.
19. Militär Akademie und ständische Cadetten.
20. Reise, Liefergelder und Botenlohnauslagen.
21. Exercier und Feldlager.
22. Falsche Werber und Reklamation der Untertanen.
23. Militär Wittwen und Kinder, dann Invalidenversorgung.
24. Pulverwesen.

Fasc.
25. Salniterwesen.
26. Militär Promotionen und Belohnung der Tapferkeit.
27. Artillerie und Kriegsgerätschaften.
28. Beurlaubung und Verabschiedung der Soldaten.
29. Schlachtvieh und Fleischlieferung.
30. Militär Fuhrwesen und Pontons.

Nadto jeszcze była registratura podzielona na oddziały, których było 10, zwanych Registraturs Departemente. Z tych obejmował:

Dep. I. Publico Politica. Beamten. Sanitätssachen.
II. Städtische und Polizeisachen.
III. Domainen und Kassawesen.
IV. Judicialia et Criminalia.
V. Taxalia. Salinaria. Postsachen. Taxgegenstände. Tabaksachen. Montanistica.
VI. Ecclesiastica.
VII. Studien-, Juden-, Untertanssachen.
VIII. Contributionalia.
IX. Militaria.
X. Commercialia.

Osobny dział aktów registratury gubernialnej stanowią t. zw. Normalia. Składają się one:

1. Z 189 fascykułów aktów z lat 1777—1859.
2. Z 90 tomów oprawnych, nazwanych Normalien albo Generalien z lat 1801 do 1859.

Do aktów zawierających normalia, jest indeks w pięciu seryach, liczących razem tomów 30. Normalia i generalia oprawione w tomy (według lat), mają indexy w każdym tomie względnie roczniku.

Prócz tego są następujące zbiory mniejsze normaliów:
1. Normalia 1816—1822 (z indeksem).
2. Normalia 1855—1859 (z indeksem).

I normalia specyalne:

3. Pensions Vorschriften 1767—1803 (z indeksem).
4. Normalien in städtischen Angelegenheiten 1772—1828. I. Teil, z osobnym indeksem.

5. Normalienbuch in städtischen Angelegenheiten 1832—1841.

6. Normalienbuch in städtischen Angelegenheiten 1841—1844.

7. Studiensachen Normalia 1793—1826 i 1827—1834, dwa tomy; do tego osobny indeks ułożony przez X. Grzegorza Jachimowicza, doktora teologii, profesora Uniwersytetu lwowskiego i kanonika honorowego gr. kat. kapituły we Lwowie, późniejszego Metropolity.

8. Zbiór normaliów szkolnych 1835—1843 (nieoprawiony).

9. Normalia 1845—1850, zbiór pochodzący z departamentu spraw duchownych Namiestnictwa.

10. Normalien Buch der Prov. Baudirektion 1844—1848 w 6 tomach.

11. Normalia techniczne 1793—1865 (nieoprawione).

Nadto istnieje zbiór normaliów i generaliów, wydanych dla Galicyi Zachodniej i składa się:

1. Normalienbuch (für das westgalizische Landesgubernium) 1796, 1797, 1798 (tom 1).

2. Generalien Buch 1796—1809 (tomów 12).

3. Normalien Buch I. Band 1796—1809 (tom 1).

Serya 2-ga (Generalien Buch), znajduje się w archiwum w dwu egzemplarzach.

W związku z normaliami zostają nadto:

1. Hofresolutionen. Serya tomów zawierająca odpisy rozporządzeń władz centralnych z lat 1774—1810. Liczy tomów 33 i 9 tomów indexów. Brak tomów z lat 1778, 1786—1795, 1799, 1801, 1804 i 1809.

2. Hofdekretennummerbuch, serya 8 tomów zawierających liczby i daty dekretów nadwornych.

3. Kreisschreiben, drukowane okólniki gubernialne od r. 1773—1844 w pięciu fascykułach. Jest to zbiór bardzo niekompletny.

Wykaz urzędowy patentów i cyrkularzy, w trzech tomach; obejmuje lata 1772—1858.

Nadto jest w 1 tomie: Sammlung der Patenten und Resolutionen des J. 1792.

Do registratury gubernialnej należą jeszcze:

1. Protokół podawczy, którego są dwie serye:

1-sza od października r. 1772 do grudnia r. 1783, jest protokołem t. zw. expeditionum, t. j. streszczeniem wszystkich

rezolucyj gubernium w tym porządku chronologicznym, w jakim wyszły na zewnątrz i liczy tomów 28. Spostrzec się w niej daje luka: od czerwca do sierpnia 1783.

II-ga od 1. stycznia 1784 do 31. grudnia 1859, która wedle zasad wprowadzonej od tego dnia nowej manipulacyi, jest protokołem exhibitorum i podaje treść, liczbę i datę wniesienia każdego aktu. Serya ta liczy tomów 2.254, a brak w niej 5 tomów (30. i 31. z 1817, 4. z 1834, 8. z 1837).

2. Indeksy. Ułożone są do wszystkich dziesięciu działów (departamentów) registratury wedle materyi tych działów i liczą tomów:

Dep. I.	Publico Politica. Urzędnicy. Sprawy sanitarne.	131
II.	Sprawy miejskie i policyjne	111
III.	Domeny. Kasy	49
IV.	Judiciale	84
V.	Taxalia. Salinaria	48
VI.	Ecclesiastica	118
VII.	Sprawy szkolne, żydowskie, poddańcze	162
VIII.	Contributionalia	47
IX.	Militaria	98
X.	Commercialia	116

Akta gubernialne z lat 1772 do 1859 są przeszkartowane, a nadto pewne akta gubernialne w różnych czasach odstąpiono do użytku władzom innym a w szczególności: władzy skarbowej zwanej Vereinigte Cameral Gefällen Verwaltung (w r. 1831/2), krajowej Dyrekcyi Skarbu (1850/53), Sądowi apelacyjnemu we Lwowie (1850), Rządowi krajowemu Bukowiny (1856/1861), Rządowi krajowemu w Krakowie (1856), zkąd jednak wróciły napowrót i Nadprokuratoryi Państwa we Lwowie (1866).

Liczby aktów wyszkartowanych są spisane w księgach, które stanowią 3 serye:

I. podaje liczby aktów wyszkartowanych z lat 1772 do 1818 i liczy tomów 6
II. z lat 1819—1840 (względnie 1835) i liczyła tomów 24
Brak jednak t. 5, 22, 23.
III. z lat 1841 (względnie 1836) do 1859 i liczy tomów 12
Liczby aktów odstąpionych władzom innym są również spisane w księgach, których jest tomów 6

Przy szkartowaniu aktów z lat 1772—1818 postępowano w ten sposób, że wszystkie referaty gubernialne, zawarte w danym fascykule, streszczano na odpowiednio porubrykowanych arkuszach w tym porządku, w jakim referaty złożone były w fascykule. Streszczanie zwało się elenchiren, a streszczone akta Elenchen. Streszczenia te registratura gubernialna przedkładała szefom tych departamentów, do których odnośne akta ze względu na treść należały i ci zakreślali te referaty, które powinny były w aktach pozostać, a inne pozwalali szkartować. Skutkiem tego powstały w registraturze księgi zwane Elenchen, które dzielą się na cztery serye:

I. obejmuje streszczenia aktów wyszkartowanych od r. 1772—1795 i liczy tomów	. . . . . .	105
II. od 1796—1806 i liczy tomów	. . . . .	27
III. od 1807—1813 „ „	. . . .	11
IV. od 1814—1818 „ „	. . . . .	8
Razem tomów elenchów	.	151.

Alojzy Winiarz.

(Dokonczenie nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.